Sczytanie: Natalia Kłobukowska
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
Rok 1928 (od 25 grudnia),
Rok 1929 i
Rok 1930 (do 16 sierpnia).
Michał Römer
Profesor Uniwersytetu Litewskiego w Kownie
Członek Rady Stanu Rzeczypospolitej Litewskiej
Tom XXXIII

25 grudnia, rok 1928, wtorek
Jakieś bezbarwne i obce mi jest Wilno. Gdym jechał do Wilna, w drodze wszystko mi się zdawało swojskie i bliskie. Ze Święcian jechały ze mną dwie młode nauczycielki ludowe, Polki het z Galicji, młode i ładne dziewczyny, agentki nie tyle oświaty, ile polonizacji ludu, który w stronach święciańskich jest czysto litewski. Jechały na święta do swoich stron rodzinnych, a nie miały pojęcia o tych stronach, w których siedzą dla chleba i wskazań politycznych polskiej racji stanu. W drodze ja – formalnie dziś tutaj „cudzoziemiec" – uczyłem i informowałem je o kraju lokalnym. Nie wiedziały, na przykład, że kolejka wąskotorowa, która łączy miasto Święciany ze stacją kolejową Nowe Święciany, idzie dalej – na Głębokie i Postawy, o których zgoła nie słyszały; nie znały stacji między Święcianami a Wilnem; gdy pociąg minął Wilejkę, nie stając, wystarczyło mi spojrzeć przez okno w noc ciemną, oświetloną jeno śniegiem, by orzec dokładnie, gdzie jesteśmy. Czułem się tu, pod Wilnem, na swoich śmieciach – w kraju własnym. Ale Wilno mię nie cieszy. Mury, ulice, forma – ta sama, ale ludzie – inni. Z ludem wileńskim, z jego klasami niższymi nie stykam się w tym krótkim pobycie świątecznym, rodzina moja i krewni – to sfera ziemiańska, która się, oczywiście, trzyma Polski dla względów społeczno-gospodarczych, niechętna jest małej „Litwie Kowieńskiej", którą pogardza i której dla reformy agrarnej się boi, nienawidzi zaś ruch białoruski dla jego radykalizmu społecznego, będąc w kierunku polonizacyjnym „*plus polonais, que les Polonais eux-mêmes*"[1], potępia władze polskie za „ustępliwość" wobec ruchu białoruskiego, rzekomo przez tę ustępliwość właśnie sztucznie wytwarzanego. Co zaś do moich dawnych znajomych i przyjaciół z inteligencji – nawet „demokratycznej" miejscowej, to, z wyjątkiem jednego Narkiewicza, u którego to się w mniejszym obserwuje stopniu, ludzie ci są w ogóle na problem polsko-litewski obojętni i wcale się nad tym nie zastanawiają. Stało się to dla nich czymś zgoła nieciekawym i nieaktualnym, czymś, na co wystarcza paru frazesów zdawkowych. Tkwią oni całkowicie w aktualności życia polskiego lub spraw miejscowych. Perspektywa ich nie zajmuje. Trzeba byłoby wleźć głębiej w życie wileńskie, dotknąć ludu, nawiązać czucie z Litwinami i Białorusinami, aby wyczuć tętno problemów krajowych w ich perspektywie historycznej. Żywym i upartym typem koncepcji perspektywicznej jest w miejscowej inteligencji polskiej Ludwik Abramowicz, ale bodaj on jeden – samotny jak ostatnie żubry w ogrodach zoologicznych po wyginięciu ich rasy w stanie dzikim podczas ubiegłej Wielkiej Wojny.
Odwiedziłem dziś pp. Alseików. Dr Alseika i obie siostry Janulaitisa – pani Alseikowa i Bieliunasowa – to typy żywe, pełne temperamentu, czynne w miejscowym życiu społecznym litewskim. Nasłuchałem się tam skarg na Voldemarasa i politykę litewską w Wilnie, która rzekomo pogrzebała tu prasę litewską i szkolnictwo litewskie, stała się

[1] Bardziej polscy niż sami Polacy (fr.).

winną rozłamu w wileńskim ruchu litewskim i prowadzi do dezorganizacji żywiołu litewskiego w Wilnie. Wieczornym pociągiem wyjechałem do Grodna.

26 grudnia, rok 1928, środa
Przyjechałem do Grodna w nocy – stanąłem w Hotelu Europejskim. Rano nie śpieszyłem się. Wstałem późno, z hotelu wyszedłem koło jedenastej. Przyjechałem do Grodna, oczywiście, dla odwiedzenia córki i złożenia wizyty Reginie. Będąc w Wilnie raz na cztery lata – nie mogę pominąć Grodna. Nasz stosunek z Reginą jest na takich jakichś fałszywych torach, że chętnie bym tej wizyty uniknął i że staje mi się ona jakąś pańszczyzną, nie zaś radością. Wprawdzie wrażenie pierwszej wizyty z r. 1924 było niezwykle wielkie i oszałamiające. Wstrząsnęło mię ono wtedy do głębi i całkowicie przeniosło afekt z osoby córki na osobę Reginy. Korespondencja nasza przez cztery lata następne była nierówna i nerwowa. Z pierwszych tonów gorącej serdeczności i przyjaźni Regina niebawem kuć zaczęła jakąś nić mistycznej miłości, której ja ze względu na związek z Jadzią studzić i hamować musiałem, usiłując wlać tę korespondencję w łożysko spokojnej i uprzejmej przyjaźni. Regina te moje usiłowania brała za coś fałszywego i sztucznego, węsząc jakąś u mnie obłudę, a ilekroć serdeczniej i goręcej się odezwałem – tylekroć wybuchała ona miłością. Było więc w tym naszym stosunku czteroletnim jakieś pasowanie się wzajemne i jakieś – z mojej zwłaszcza strony – niedopowiedzenie. Ale niedopowiedzenie było i z jej strony: nic nie wiem, na przykład, o pannie Elizie Courtot – czy jest ona u Reginy, czy jej już nie ma. Przed czterema laty była – samem ją widział. W korespondencji naszej nie było o niej nigdy ani słowa. Równolegle z tym sztucznym i nierównym stosunkiem do Reginy płynął osobną korespondencją mój stosunek z córką. Ten stosunek był bezbarwny, zdawkowy, pozbawiony ciepła. Byłem dla córki ojcem z urzędu; traktowała ona mię ona z grzecznością dobrze wychowanej dziewczynki – nic ponadto. Serca jej nie miałem i w jej listach zdawkowych, grzecznie ułożonych żadnego jej wnętrza nie wyczuwałem. Przyjechać tu teraz musiałem, bo bytność w Wilnie bez zajechania do Grodna byłaby demonstracją, której usprawiedliwić po nawiązaniu stosunków byłoby niepodobna. Przez cały jednak ranek ociągałem się. Chodziłem po mieście, zaszedłem na herbatę na dworzec kolejowy, bo wszystkie kawiarnie i restauracje były z powodu święta zamknięte, czekałem szarej godziny, aby nie trafić do Reginy na obiad i kłopotu jej nie uczynić. Bałem się też tego spotkania. Na ulicy koło południa spotkałem nawet Celinkę, nie będąc pewny, czy to ona. Spojrzeliśmy oboje na siebie i, zdaje się, że oboje zawahaliśmy się, ale – minęliśmy się. Potem stwierdziliśmy w rozmowie, że istotnie byliśmy się spotkali. Wreszcie koło godz. czwartej poszedłem do mieszkania Reginy przy ul. Sapernej nr 18. Zadzwoniłem. Otworzyła mi Regina osobiście i przywitała słowami: „A, to prawdziwa niespodzianka!”. Pocałowałem ją w twarz i w rękę. Wyczułem, że się zdziwiła pocałunkiem w twarz i nawet jakby się przez chwilę usuwała, gdym się do jej twarzy ustami zbliżał Zaprowadziła mię do saloniku – tego samego, w którym mię przyjęła przed czterema laty, posadziła mię i usiadła naprzeciwko za stołem sama. Wnet i Celinka z drzwi bocznych wyszła, przywitała się ze mną i usiadła. Celinka jest już uczennicą VIII klasy gimnazjum humanistycznego (z łaciną) i po zdaniu matury wybiera się na uniwersytet do Warszawy na filologię, bo lubi języki i ma zdolności do nich, nie lubi zaś matematyki. Celinka jest zupełnie nieładna; zbrzydła nawet od lat czterech. Ma twarz pucatą, trochę nawet obwisłą, nos – kartoflowy, wyraz – przeważnie zasępiony, który ją czyni starą. Chwilami tylko w oku błyska uśmieszek młody, który ją nieco krasi 18-letnią młodością. Kwiatek to, który – mam wrażenia – dość prędko zwiędnie. Przesiedziałem tak z Reginą i Celinką całe cztery godziny. Usiłowałem od razu i mniej więcej przez cały czas utrzymać ton lekko

żartobliwy, ale nie bardzo mi się to udawało. Moje panie były sztywne, rozmowa się nie kleiła – ani Regina, ani Celinka nie mają temperamentu towarzyskiego, mimo że Celinka chwali się zamiłowaniem do tańca.
Próbowałem wybadać Celinkę, jaką ona jest, co lubi, do czego ma jakiś pociąg gorętszy, w jakim kierunku zwraca się jej myśl i uczucie. Nie dowiedziałem się niczego. Jest zamknięta w sobie, nie ekspansywna, żyje albo wewnętrznym nurtem głębokim, albo jałową próżnią zajęć powszednich. Zdaje mi się wszakże, że jest raczej głęboka, niż próżna. Ma to po Reginie i może po mnie. Ale czy z tą głębią łączy się u niej inteligencja i tęsknota twórcza, jak u mnie, czy też jest ona intelektualnie uboga, jak Regina – tego zbadać nie mogłem. Sztywności jej, mimo chwilowe błyski uśmieszków w oku, przełamać nie zdołałem, bo przecie i sam ekspansywny nie jestem i nie umiem na poczekaniu strzelać dowcipem i rozweselać towarzystwo. Regina uśmiechała się dużo, patrząc w stół, ale w słowach była powściągliwa, sztywna i żadnego tonu cieplejszego nie wydała. Po czterech godzinach takiego siedzenia, które nas chyba wszystkich troje zmęczyło, odszedłem.

27 grudnia, rok 1928, czwartek
Jakże mię wczoraj przyjęła Regina? Jak – po wszystkich zapewnieniach wieczystej „*quand même*” miłości, po tylekroć ponawianych oświadczynach dramatu jej życia, spalonego w ofierze dla mnie, po tych wspaniałych jak lawa wybuchach romantycznych, które mam w jej listach, po tych pełnych bólu i – zdawałoby się – krwią serdeczną pisanych słowach, którymi w bieżącym jeszcze roku odpowiadała ona na mój list chłodzący, w którym zastrzegałem, że będąc tylko przyjaciółmi i rodzicami wspólnego dziecka – nie jesteśmy już przecie małżeństwem – jakże po tym wszystkim, po korespondencji czteroletniej, w której tyle było wyznania z jej strony, zareagowała ona teraz na moją wizytę, gdym się, że tak powiem, w naturze, w osobie własnej z ciała i krwi w jej progi wkroczył? – Zdawkowo i sztywnie. Grzecznie – no, tak – ale nie lepiej i nie szczerzej, niż się przyjmuje przeciętnego znajomego lub bardzo dalekiego i obojętnego krewnego. Że mi scen miłości nie robiła – to owszem. Nie o wznowienie stosunku małżeńskiego mi chodziło, bom tego wznowienia nie życzył. Ale przyjaźni i szczerości, swobody domowej – nie było w tym przyjęciu ani kropli. Czy Regina pokazała mi choć swoje mieszkanie, pokój córki, w ogóle to, co mię w tym wnętrzu domowym mojego dziecka mogłoby zajmować? Nie. Od początku do końca – przez cztery godziny – wytrzymała mię w salonie, nie ruszając się z miejsca, jak żebyśmy byli wszyscy troje przykuci do siedzeń, na których ciała nasze zlokowaliśmy. Czy starała się Regina przełamać jakoś sztywność naturalną Celinki wobec mnie i jakimś słówkiem, jakimś taktu odruchem ułatwić tajanie tych lodów, wygładzić drogi stosunku, stworzyć atmosferę rodzinną, właściwą kontaktowi ojca z córką, dać córce poczucie żywe pokrewieństwa z tym ojcem dalekim? Może by to było żądanie za wielkie? Ale któż, jak nie ona, która córkę tę zna i co dzień z nią obcuje, mógłby te lody nieśmiałości dziewczęcej przełamać, a przynajmniej ją ku pewnemu zbliżeniu ze mną pokierować? Nie, Regina tego nie uczyniła. Co więcej – przeciwnie – jakby umyślnie oddalenie między nami pielęgnowała. Gdym córkę wybadać próbował, gdym z tej lub innej beczki rozmowę zaczynał i szukał na próżno punktów jej wrażliwości, w których by się coś z jej serca i upodobań odezwało lub gdym jakąś jej cechę uwydatniał i kontaktu ze sobą szukał, Regina nie ułatwiała mi tego, lecz mię ucinała wszędzie tam, gdziem mógł coś między córką a mną nawiązać. Cokolwiek bądź z jakichś cech Celinki zostało przez nas dotknięte, Regina zawsze, o ile nie stwierdzała, że córka ma to po niej, podnosiła coś ze związku z jej, Reginy, rodziną – że to ma Celinka, na przykład, po Julku (bracie Reginy) lub po Edziu (także jej bracie), ale po mnie – ojcu Celinki – nigdy i przenigdy.

Ze mnie w Celince nie ma nic – o tym nawet żadna kwestia nie powstaje i mowa zachodzić nie może. Chyba więc byłem nie ojcem, jeno maszyną, która sprowokowała urodzenie dziecka wyłącznie Reginy. A Celinka siedziała sztywna i obca, obojętna i widocznie znudzona, okrutna w tej zimnej obojętności dla serca ojcowskiego. Biedny byłem, siedząc tak przez cztery godziny między sztywną matką i córką, z których druga jest zarazem córką moją. Gdym wreszcie wstał, by się pożegnać, poczułem, że dwa dni na tę wizytę po czterech leciech niewidzenia córki – to za dużo. Wrócić – znów nazajutrz, aby znowu kilka godzin wysiedzieć, zamęczając siebie i zanudzając córkę – to już dla Celinki tortury, po których gotowa ona znienawidzić ojca. Dość. Zaproponowałem, abyśmy się może gdzie wybrali razem. Stanęło na tym, że pójdziemy razem zjeść obiad do restauracji Hotelu Europejskiego o godz. pierwszej. Proponowałem przyjść zabrać Reginę z Celinką, ale Regina tę propozycję uchyliła, mówiąc, że same przyjdą i żebym je w samej restauracji spotkał. Toteż dziś przyszedłem do restauracji i czekałem na Reginę z Celinką od dwunastej. Przyszły nie pierwszej, lecz o pół do trzeciej i usiadły daleko, a ja przez mój krótki wzrok nie mogłem je dostrzec. Jeżeli Celinka jest taką lalkowatą panienką, że nie może przejść przez restaurację i podejść do stolika ojca, bo to pannie nie uchodzi szastać się samej między stolikami w miejscu publicznym do „mężczyzn", to można było kelnera do mnie podesłać. Ale panie nie raczyły. Dopiero domyślając się, że wśród kilku stolików z paniami jest gdzieś zapewne i Regina z Celinką, zapłaciłem rachunek, przeszedłem się między stolikami i znalazłem te panie. Byłem po koniaku – pod dobrą datą, pełny humoru. Przekomarzałem się trochę z Reginą i Celinką, ale Regina mi kilkakrotnie boleśnie docięła, a Celinka była zupełnie sztywna, obojętna i zapewne znudzona. Śpieszyły się zresztą, bo... czekały jakiegoś gościa w domu, a Regina pośpieszyła mię poinformować, że wieczorem gdzieś się w gościnę wybierają. Akurat gość i gościna wtedy, kiedy ojciec po czterech leciech niewidzenia się z Celinką przyjechał! Zaś Regina dopełniła miarki, mówiąc mi, że jak tylko odbierze pieniądze od rządu za zabrany od niej na reformę agrarną folwark, to mi zwróci z wdzięcznością pieniądze, które jej przysyłałem dla córki. Tego mi już było dosyć. Sam przynagliłem do wyjścia, odprowadziłem Reginę i Celinkę kawałek i pożegnałem je na ulicy. Czy ja mam córkę? Bodajże jej nie mam.
Wczoraj proponowałem Reginie, aby Celinka pojechała ze mną na dwa dni do Wilna. Poznałaby rodzinę, która tam właśnie bawi, a której ona nawet z imion nie zna. Nie chciała tego Regina.

28 grudnia, rok 1928, piątek
Wróciłem do Wilna rano. Zaraz też – po złożeniu walizki u dr Narkiewicza – pośpieszyłem do sióstr na Baksztę, by się dowiedzieć, na którą godzinę wyznaczone jest posiedzenie współspadkobierców z arbitrami. Zastałem już i Stefana Mieczkowskiego, który przyjechał z Obodowiec dla spotkania się z Elwirą i towarzyszenia jej w dziale. Stefan Mieczkowski zaczął tyć, wygląda dobrze, jest dość przejęty kwestią sprzedaży przez Marynię jej schedy z Bohdaniszek, którą byśmy z Mieczkowskimi odkupili do spółki albo raczej po połowie. Dotąd Mieczkowski był na posadzie u Mieczysia Bohdanowicza w Obodowcach i jednocześnie eksploatował las, który był w tamtych stronach przed kilku laty zakupił. Teraz posadę u Mieczysia porzuca czy już porzucił. Chciałby też znowu do Bohdaniszek przyjechać; czy na stałe – nie wiem. Kusi go odkupienie schedy Maryni, a zapewne i perspektywa w takim razie dzierżawy ode mnie. Co do tej sprzedaży Maryni, to sądzę, że jeszcze na dwoje babka wróżyła. Prawda, że Marynia, oczywiście pod wpływem Ewy, która na nią stale w tym kierunku oddziaływa, znowu w tych dniach wypowiadała się kategorycznie za sprzedażą

Bohdaniszek i przeniesieniem się do Polski, ale już dziś waha się znowu i w każdym razie zastrzega się, że się z tym nie śpieszy i że kilka lat jeszcze w Bohdaniszkach posiedzi. W kontakcie z Ewą Marynia nawraca zawsze do projektów sprzedaży Bohdaniszek, ale teraz zaczyna się u Maryni wytwarzać przeciwwaga tym wpływom Ewy. Marynia, aczkolwiek ma zawsze większą słabość do Ewy, zaczyna już mieć dwa przeciwne ciążenia: jedno – do Ewy, łączące się ze sprzedażą Bohdaniszek i przeniesieniem się do Polski, i drugie – do współżycia z synową Marysią Stefanową i wnuczką Steniulą, łączące się z zachowaniem Bohdaniszek. W Bohdaniszkach Marynia tęskni do Ewy; gdy jednak przyjeżdża do Polski i tu się z Ewą łączy, to niebawem zaczyna tęsknić do Bohdaniszek z synową i wnuczką. Nerwowość i arbitralność Ewy męczy Marynię; już same projekty Ewy, sama myśl sprzedaży Bohdaniszek i nowego instalowania się w Polsce niepokoją Marynię; w dodatku – w projektach tych jest pewna rozbieżność: Marynia chciałaby Wilno i miasto albo coś podmiejskiego z domkiem i ogrodami, Ewa – usiłuje Marynię ciągnąć do Polski właściwej i do jakiegoś folwarku – do gospodarstwa rolnego, które dałoby podstawę materialną jej mężowi – Kotowi Meyerowi, tęskniącemu do „hreczkosiejstwa", ale niepraktycznemu i ciężkiemu. Marynia chciałaby, jeżeli nie w Bohdaniszkach na starym, to w Polsce czy w Wilnie na nowym – rządzić się sama i być panią swojej własności i pracy. Oddać inicjatywę córce, która jest chora, i zięciowi, który jest próżniakiem i niedoświadczonym, a ostatecznie Maryni dość obcym, i samej siąść u nich kątem – to się jej nie uśmiecha wcale, tym bardziej, że stan zdrowia Ewy budzi obawy poważne. Marynia nie może się nie liczyć z możliwością śmierci Ewy i szczególnie teraz myśl taka wciąż się Maryni nasuwa, bo oto Ewa, mieszkając przez lat parę pod Zakopanem, gdzie mąż jej obecnie ma posadę, zapewniała Marynię, że już jest zupełnie zdrowa, z chwilą przyjazdu do Wilna teraz tak się rozchorowała, że wszystkie iluzje o jej zdrowiu prysły: jest leżąca stale, potrzebuje doktorów, gorączkuje, nie może nic jeść; żołądek jej nie trawi wcale i co zje – to zaraz zrzuca; wygląda mizernie, blada i chuda, z wypiekami gorączki, aż smutno patrzeć; czy to coś z suchot, czy coś innego – niepodobna dociec. Marynię ten stan Ewy przeraża, a perspektywy męczą. Ewa dzieci nie ma i gdyby Marynia do Polski się przeniosła, zostawiając w Litwie synową z wnuczką, a Ewa by następnie umarła, to cóż by miała Marynia? Zięć, młody i przystojny, albo stworzyłby nową rodzinę i usunął się od Maryni, gdyby Marynia gospodarki mu nie dała, albo, gdyby w myśl pożądań Ewy, Marynia coś dla nich jako podstawę ich bytu i pracy dała – Marynia w razie śmierci Ewy albo musiałaby się pogodzić z tym, że na jej dobrach siedzieć będzie obcy dla niej jej były zięć, który, jeżeli nie za jej życia, to po jej śmierci stworzy nową rodzinę, albo będzie musiała zięcia usunąć. Te perspektywy, płynące z choroby i bezdzietności Ewy, niepokoją Marynię i skłaniają ją przeciwko tym projektowym kombinacjom. A wtedy w umyśle Maryni budzi się tęsknota do ciszy bohdaniskiej z synową i wnuczką, z radio, z długimi wieczorami jesieni, z monotonną pracą gospodarską, z pracowitą wiosną i latem, nawet z kłopotami, z długami, z którymi borykać się musi, zaciągając je na wysyłanie pieniędzy dla Ewy, na utrzymanie Stefana w Pradze, na zatykanie różnych dziur itd. Marysia Stefanowa ma charakter zupełnie inny niż Ewa. Jest cicha, nie narzucająca się, nie wymagająca niczego od Maryni, nie forsująca żadnych projektów, nie wtrącająca się w pracę i decyzje Maryni. W towarzystwie Marysi Marynia jest spokojna i pracuje sama. W towarzystwie Ewy Marynia schodzi na drugi plan, czuje się forsowaną i traci pewność siebie. Toteż zaczyna sama przyznawać, że z synową w Bohdaniszkach jest jej lepiej, niż z córką wśród projektów i perspektyw zmian. I spotkawszy się z córką – tęsknić zaczyna do synowej i kochać swoje życie bohdaniskie. A wraz z tym zaczyna wspominać serdeczniej Litwę i pragnie powrotu tam, skąd się zazwyczaj wyrywa. Co u Maryni

zwycięży – nie wiem. Jeżeli Ewa nie wyzdrowieje i nie będzie miała dziecka – zwyciężą chyba Bohdaniszki i synowa z wnuczką.

29 grudnia, rok 1928, sobota
Nic nie napisałem wczoraj o posiedzeniu dzielczym. Na godzinę więc jedenastą rano zebrali się wczoraj spadkobiercy w osobach Kotuni Pruszanowskiej, Elwiry Mieczkowskiej, asystowanej przez męża Stefana, Maryni Römerowej, mnie, Henrysia Wołłowicza i Zitki Komorowskiej, reprezentującej swoją nieobecną matkę Elizkę Komorowską, i arbitrowie w osobach pp. Bronisława Krzyżanowskiego, Bohdana Piłsudskiego i Stefana Szostakowskiego. Posiedzenie odbywało się w wynajętym *ad hoc* numerze salonowym Hotelu Europejskiego. Arbitrowie, którzy poprzednio obejrzeli kamienicę spadkową, po krótkiej naradzie ogłosili nam swoje wnioski o szacunku kamienicy i całej nieruchomości. Wartość rynkowa, a więc wartość realna nieruchomości oszacowana przez nich została na 30 000 dolarów, to znaczy, że za tę sumę można by było ją sprzedać. W tym stosunku wartość 1/7 części, to znaczy jednej schedy, wynosi 4300 dolarów (jedyna Kotunia ma 2/7, bo oprócz własnej schedy posiada takąż schedę wdowią Karola O'Rourke'a, który ją jej darował). Wartość finansowa nieruchomości, to znaczy ta suma, która się otrzymuje z odpowiedniej kapitalizacji dochodów faktycznych, oszacowana została na 22 000 dolarów. Wreszcie wartość tzw. kapitalna kamienicy, to znaczy ta suma, którą by dziś kosztowała jej budowa, oszacowana została na 60 000 dolarów. Oczywiście, realna jest dla nas tylko wartość pierwsza, bo wyraża ona tę gotówkę, który wziąć moglibyśmy konkretnie, ale oczywiście z zastrzeżeniem, że znalazłby się konkretny nabywca, o co nie jest zbyt łatwo w obecnych koniunkturach gospodarczych Wilna. Ale przecie jest to suma, na którą, zdaniem arbitrów, w obecnych właśnie koniunkturach liczyć mniej więcej można. Nieznalezienie konkretnego nabywcy odchyliłoby szacunek ku wartości drugiej, polepszenie zaś koniunktury, zależne w pierwszym rzędzie od działania czynników politycznych, odchylałoby szacunek w kierunku wartości trzeciej. Na tych wnioskach szacunkowych, jako założeniach orientacyjnych dla naszych kombinacji dzielnych, skończyła się właściwie funkcja pp. arbitrów. Stwierdzili oni jeszcze, że nieruchomość spadkowa podzielić się dogodnie w naturze nie tylko na 7 części, ale nawet na jakieś trzy lub dwie, bez wielkiego uszczerbku dla wartości całości nie da, już choćby dlatego, że to by znacznie utrudniło albo nawet całkowicie uniemożliwiło zaciągnięcie pożyczki z banku. Bank Ziemski wileński nie udziela wcale pożyczek na takie obiekty, które nie mają własnego wyjścia na ulicę, a w tym wypadku tylko część frontowa miałaby wyjście; skądinąd zaś możność pożyczki hipotecznej bankowej stanowi jedno z kapitalnych ułatwień do spłat między schedami, z drugiej zaś strony i sprzedaż podzielonych obiektów byłaby wielce utrudniona. Co do ewentualnej pożyczki hipotecznej z banku, to ujawniło się, że niepodobna liczyć na większą sumę, niż na jakieś 10 tysięcy dolarów. Poza tym arbitrowie, a raczej jeden Krzyżanowski jako prawnik udzielił nam niektórych wyjaśnień prawnych, w szczególności o niestosowalności formy kooperacyjnej, dającej możność podziału użytkowania kamienicy między kilku współwłaścicielami; ta forma, dająca możność w drodze spółdzielczej zrealizować podział niepodzielnego w zasadzie obiektu, bardzo się w Polsce rozwinęła przy stawianiu kamienic (oczywiście tam, gdzie się one rzeczywiście stawiają, to znaczy nie w Wilnie, ale, na przykład, w Warszawie, bo w Wilnie w obecnych koniunkturach w ogóle nic się nie buduje), jest ujęta w takie przepisy prawne, które wyłączają jej zastosowanie do kamienic starych. W rozmowach i konszachtach, które się następnie wywiązały, ujawniło się, że w tych warunkach tylko Kotunia Pruszanowska i Stefan Mieczkowski pragnęliby pozostać na kamienicy i skupić inne

schedy, zaś ja, Marynia, Komorowscy i Wołłowicz pragniemy spłaty albo wspólnej sprzedaży całości dla podzielenia się gotówką. Zresztą aktywnie na rzecz skupienia sched wystąpiła tylko Kotunia, Mieczkowski zaś zajął postawę wyczekującą, nie angażując się do niczego. Kotunia zaczęła na razie kombinować skupowanie za spłatę na kredyt, czyniąc zwłaszcza mnie propozycje odpowiednie, ale mnie się spłata kredytowa, oparta na zahipotekowaniu sumy, nie uśmiecha, bo Kotunia jest śmiertelna, a uzyskiwanie potem należności od jej dzieci byłoby bardzo trudne. Zaproponowałem wreszcie jedno z dwojga: albo sprzedaż ogólną wszystkiego, albo spłatę gotówką bez kredytu z zastrzeżeniem, że o ile w ciągu trzech miesięcy – do 1 kwietnia r. 1929 gotówka na spłatę mojej schedy będzie mi wyłożona na stół, o tyle przyjmę spłatę w sumie 3500 dolarów, to znaczy z rabatem 800 dolarów. Inni życzący spłat skłonili się do tegoż. Zainteresowała się tym Kotunia, która ma się zająć śpiesznie tą rzeczą. Będzie ona próbowała dostać gotówkę bądź z kredytu od Karola O'Rourke'a, bądź częściowo w drodze pożyczki bankowej, by do 1 kwietnia móc spłacić z tym rabatem. Mieczkowski milczał i kombinował. Na tym więc zjazd formalnie się na razie skończył. Będziemy czekać widoków starań Kotuńki o pieniądze na spłatę lub o kupca na sprzedaż dogodną całości. Administrację pozostawiliśmy dotychczasową. Arbitrom tegoż dnia wyprawiliśmy obiad w gabinecie restauracyjnym Hotelu Europejskiego.

30 grudnia, rok 1928, niedziela
Wyjechałem dziś rano z Wilna. Wracam już do Litwy Niepodległej – jadę dziś bezpośrednio do Bohdaniszek, skąd za parę dni muszę już pośpieszyć do Kowna.
Na pociąg, który odchodzi na Zemgale o godz. 8.30 rano, odprowadził mię poczciwy mój przyjaciel dr Adolf Narkiewicz, u którego przez czas pobytu w Wilnie mieszkałem. Na dworzec kolejowy dla pożegnania się ze mną przybyli także moi siostrzeńcy: Henryś Wołłowicz, Helcia Mieczkowska i Andrzej Mieczkowski. Pociąg, którym wyjechałem, był pośpieszny. Im dalej od Wilna ku granicy łotewskiej – tym bardziej pociąg pustoszał. Wreszcie w Zemgale pozostali w moim wagonie tylko trzej Żydzi z Rygi, jadąca do krewnych do Rygi piękna Żydóweczka z Łodzi i ja. Okolice na północ od Wilna aż po Dyneburg stanowią daleki partykularz, wciśnięty wydłużoną dziwaczną kiszką, czyli „korytarzem" między Litwę Niepodległą, Łotwę i Białoruś Sowiecką, mechanicznie związany z Polską jako jej „Kresów" kresy, ale w istocie z natury etnicznej i geograficznej bliższy tych krajów „ościennych", niż Polski, do której państwowo należy. Jak ci tu „Polska"! Pożal się Boże! W partykularzu tym, zamkniętym kordonami, cisza głucha i pustka. W istocie jest to kraj nie pogranicza polskiego, lecz pogranicza litewsko-białoruskiego, którego piętno indywidualne zatarte jest jeszcze ścieraniem się rywalizujących od wieków potęg sąsiednich – Polski i Rosji. To cząstka kraju, która się jeszcze od zalewu wewnętrznego wpływów potentackich nie wyemancypowała. Polska jest tutaj wyrazem panowania, ale nie wyrazem samorzutności kraju. Jej rola tutaj jest rolą doczesną, analogiczną roli przedwojennej Austrii na ziemiach południowych Europy Środkowej.
Wiozę ze sobą sporą pakę książek i papierów moich, które od roku 1920 leżały w Łomży na przechowaniu u panny Lusi Roszkowskiej. Na moją prośbę Lusia przesłała je pocztą do Wilna na imię Henrysia Wołłowicza, od którego je zabrałem i wiozę nierozpakowane. Obawiałem się, że będą mi czynione o to trudności na granicach. Ale rewizja celna łotewska była w Zemgale bardzo względną, paki tej nie kazano mi rozpruwać. Z Zemgale, mając jeszcze sporo czasu, zajechałem do Dyneburga, a następnie udałem się na nasz pociąg litewski do Grzywy (Kałkun). Niebawem dojechałem do Abel, gdzie urzędnicy komory celnej litewskiej, którzy mię znają i wiedzą, a może nawet przeceniają moje wysokie stanowisko w Kownie, zgoła żadnej

rewizji u mnie nie czynili. W Abelach spotkał mię Piotr Skrebys i... Jadźka, która dziś rano z Kowna przyjechała. W dużych saniach parokonnych odjechaliśmy do Bohdaniszek, gdzie już w domu moim zastałem ogień płonący na kominku i pożądany spoczynek.
W Wilnie w ciągu paru dni ostatnich – poza właściwym posiedzeniem dzielnym i obiadem dla panów arbitrów – musiałem sporo czasu udzielić rodzinie. Odwiedzałem chorą Ewę Meyerową, jeden wieczór spędziłem na herbacie u Kotuni i Elwiry w mieszkaniu Heli Czarnej Römerówny, od której za 50 złotych polskich kupiłem dwa ładne rysunki piórkiem fragmentów architektonicznych Wilna, wykonanych przez Stasia Römera. Wczoraj byłem na obiedzie familijnym u Henrysiostwa Wołłowiczów, odwiedziłem też starą stryjenkę Elżusię Bolesławową Römerową, którą zastałem przeziębioną i leżącą w łóżku. Stryjenka była bardzo serdeczna i miła. Rozpytywała mię o moją wizytę u Reginy i córki i bardzo wzięła do serca to, com jej opowiedział o potraktowaniu mię przez Reginę.
Osobno wspomnę jeszcze w dzienniku o żalach lewicy litewskiej w Wilnie, o ewentualnych projektach publicystycznych Ludwika Abramowicza i kilka słów o ogólnych wrażeniach z Wilna. Jednocześnie ze mną bawił w Wilnie prof. Michał Biržiška z rodziną. Nie spotkałem się z nim w Wilnie. Podobno Michał Biržiška wciąż się nosi z zamiarem zamieszkania w Wilnie i pragnąłby pozyskać katedrę na Uniwersytecie Stefana Batorego. Na dziś właśnie na godz. piątą Ludwik Abramowicz był zaprosił grono swych przyjaciół i sympatyków łącznie z Michałem Biržišką i ze mną na pogawędkę. Ja wszakże nie zgodziłem się na odroczenie mego wyjazdu, mimo że w zebrańku takim chętnie bym wziął udział.

31 grudnia, rok 1928, poniedziałek
Spędziłem cały dzień cichutko Bohdaniszkach, wypoczywając z rozkoszą po ruchu wileńskim. Siedziałem w moim domu i przez cały dzień prawie że na dwór nie wyjrzałem. W domu moim prócz dwóch pokojów – jadalnego i Jadzi, które już latem były zamieszkane, zająłem obecnie trzeci pokój – mój pokój. Jest to pokój rogowy na dole w końcu korytarza. Ładny to i duży pokój o dwóch piecach, przeto dość ciepły. Jadzia ze służbą zajęta była rozbieraniem dwóch kabanów, które dziś zakłuto.
Z rodziny nie zastałem w Bohdaniszkach nikogo. Marysi Stefanowej Römerowej, dla której przywiozłem z Wilna listy, pieniądze i zlecenia od Maryni Römerowej i Elwiry Mieczkowskiej, nie zastałem tutaj. Jak wyjechała przed 12 dniami – jeszcze przed naszym wyjazdem do Wilna – do swoich krewnych Narbuttów w ich sprawach do Burń pod Żejmami, tak dotąd się do Bohdaniszek nie pokazała; co dzień chodzą po nią do Abel konie, ale na próżno: nie przyjeżdża i nic nie pisze. W ogóle nie daje żadnego znaku życia. Jej niespełna trzyletnia córeczka Stenia i mały dziesięcioletni Michaś Mieczkowski, którzy zostali zostawieni w Bohdaniszkach i mieli być na opiece Marysi Römerowej, bawią do jej przyjazdu w Gaczanach.
Wracam jeszcze do streszczenia dokładniejszego i przeżuwania wrażeń i nowinek wileńskich. Tu na razie dotknę w szczególności stosunków litewskich w Wilnie. Do r. 1927-1928 ruch litewski czy też akcja narodowa litewska w Wileńszczyźnie była prowadzona jednolicie połączonymi siłami wszystkich elementów narodowych litewskich. Formalnego podziału na stronnictwa nie było. Na czele całej akcji stał jednolity Komitet Litewski, w którym elementy lewicy współpracowały z elementami prawicy i którego prezesem był lewicowiec dr Alseika. Wszakże już od jesieni r. 1927 zaczęły się między dwoma obozami litewskimi – lewicą radykalną i prawicą klerykalną – różnice poglądów taktycznych pogłębiać. Niebawem doszło do rozłamu otwartego i rozszczepienia się to przeto akcji narodowej na dwie akcje odrębne. Lewica, którą

reprezentują zwłaszcza doktorostwo Alseikowie, jest bardzo rozżalona na Voldemarasa i czyni mu cały szereg poważnych zarzutów ze stanowiska wileńsko-litewskiego. Jednym z powodów rozłamu lewicy i prawicy, raczej jedną z pierwszych skaz w solidaryzmie poprzednim – był stosunek do ostatniej kampanii wyborczej do Sejmu. Lewica była za braniem udziału w wyborach i za zaniechaniem przeto dotychczasowego bojkotu Sejmu polskiego przez Litwinów wileńskich. Koniunktury polityczne były w tych wyborach dla Litwinów pomyślne, albowiem blok mniejszości narodowych, pragnący pozyskać Litwinów, dawał im warunki do otrzymania trzech mandatów poselskich narodowych. Bez umowy z blokiem Litwini siłą samej liczebności swojej samodzielnie zdobyć tej ilości mandatów nie mogli. Komitet Litewski wypowiedział się za udziałem czynnym w wyborach i dr Alseika przyjeżdżał do Kowna w tej sprawie, by się z rządem litewskim porozumieć. Kiedy jednak Voldemaras zażądał kategorycznie uchylenia się od wyborów, twierdząc, że udział Litwinów wileńskich w Sejmie będzie czynił wrażenie zaakceptowania przez nich faktu aneksji Wilna przez Polskę i niepotrzebnie ujawni słabość liczebną czynnika litewskiego w kraju, którego przynależności państwowej do Litwy sami żądają. Ponieważ Komitet Litewski w Wilnie słucha dyrektyw rządu kowieńskiego, przeto żądanie Voldemarasa zostało spełnione. Alseika wszakże, który był innego zdania i który zdanie swoje w komitecie poprzednio rozwijał i był nawet przeforsował, wobec takich dyrektyw Voldemarasa z komitetu wystąpił. To był początek rozłamu. Alseika twierdzi, że przez uchylenie się od tych wyborów Litwini zrazili do siebie blok mniejszości i że już nigdy innym razem perspektyw zyskania trzech mandatów poselskich nie zdobędą. Drugi zarzut czy żal, który lewica litewsko-wileńska wysuwa przeciwko Voldemarasowi i jego grze wileńskiej, jest rzekome zaprzepaszczenie postulatu autonomii Wilna w Polsce. Dalszy ciąg – jutro.

1 stycznia, rok 1929, wtorek
Jakie są moje życzenia na rok nowy? Osobiście w zakresie pracy mojej i stanowiska – życzyłbym sobie najbardziej wycofać się z Rady Stanu i pozostać na profesurze oraz być wybranym na rektora na lat trzy. Życzenie to jest wszakże związane nie tylko z reformą rektoratu (trzyletni rektorat zamiast rocznego), ale także z podwyżką wynagrodzenia profesury, która umożliwiłaby mi kontynuowanie budowy domu w Bohdaniszkach. Chętnie bym to połączył z pewnym powiększeniem pracy profesorskiej, które by oddało w moje ręce wykład także prawa konstytucyjnego litewskiego. Ewentualnie zaś, jeżeli nie mam otrzymać rektoratu, wolałbym już wrócić do sądownictwa – zwłaszcza do sądu kasacyjnego najwyższego, o ile by taki sąd został utworzony, niż tkwić w niezbyt miłej Radzie Stanu. Poza tym wszystkim życzyłbym zdrowia Jadzi, spieniężenia mojego udziału w kamienicy spadkowej po śp. Maryli O'Rourke'owej w Wilnie i jak największych postępów w budowie mego domu i kuchni w Bohdaniszkach.
Kontynuuję relację ze stosunków litewsko-wileńskich. Co do postulatu autonomii Wilna (i Wileńszczyzny), lewica litewska w Wilnie powiada tak. Przed półtora rokiem postulat ten został przez piłsudczyków rozwinięty i z wielkim decorum propagowany. Trąbiła o nim prasa wileńska Piłsudskiego, noszono się z nim jak z najmodniejszym hasłem w najbliższym otoczeniu Piłsudskiego, wreszcie pod hasłem autonomii zwołany był w Wilnie zjazd jakiś. Postulat ten był tak spopularyzowany, że czekano ogłoszenia tej autonomii jako rzeczy bardzo aktualnej i bliskiej. Powszechne jest zdanie – słyszałem to nie tylko od lewicowców litewskich obecnie, ale o wiele dawniej i z rozmaitych stron – że w grudniu roku 1927, kiedy na zjeździe Ligi Narodów w Genewie wypłynęła sprawa stosunków polsko-litewskich, Piłsudski miał autonomię Wilna, że się

tak wyrażę, w zanadrzu i że gdyby Voldemaras w Genewie zgodził się od razu na nawiązanie komunikacji i stosunków handlowych z Polską zamiast wkroczenia na mętne tory jakichś przelewających z pustego w próżne rokowań dyplomatycznych, to na gest Litwy Piłsudski odpowiedziałby gestem ogłoszenia tej autonomii. Nie doszło do tego, bo sztywność Voldemarasa okazję tę zmroziła. Postulat autonomii Wilna gdzieś się odtąd ulotnił i zastąpiony został w obozie piłsudczyków modnym dziś w Polsce zdawkowym i banalnym hasłem „regionalizmu", szablonowo na wszystkie prowincje Polski rozciąganym. O autonomii Wilna w Polsce i w obozie Piłsudskiego przestano mówić. Lewica litewsko-wileńska robi z tego zarzut Voldemarasowi, który w grudniu 1927 nie wyczuł tej sytuacji i nie zdyskontował jej w swojej polityce, zaprzepaszczając tak ważną dla sprawy litewskiej w Wilnie rzecz, jak pozyskanie dla Wileńszczyzny autonomii w Polsce. Zdaniem tej lewicy, Voldemaras mógł i powinien był przez pewne układy zakulisowe (przez pewne „*bons offices*"[2] poszczególnych nieurzędowych osób) nawiązać kontakt z Piłsudskim dla znalezienia gruntu ustępstw wzajemnych. Co prawda, w jesieni 1928 na konferencji w Królewcu Voldemaras sam w jednej z mów swoich dotknął postulatu pewnego *régime*'u międzynarodowego dla Wilna, mogącego być zrealizowanym przez autonomię, ale – zdaniem tej lewicy – ten gest był już pozbawiony wszelkiego znaczenia praktycznego: hasło autonomii już przebrzmiało, a zresztą Polska, która w r. 1927 skłaniała się do samorzutnego ogłoszenia tej autonomii w związku z ewentualną samorzutnością ustępstw litewskich, nie zgodziłaby się nigdy na wytargowanie tej autonomii przez Litwę jako na wynik formalnego układu. Gest więc Voldemarasa z jesieni roku 1928 był w tej sprawie chybiony i nie naprawił błędu poprzedniego.

2 stycznia, rok 1929, środa
Z powodu podróży do Wilna mój pobyt świąteczny w Bohdaniszkach zmalał w tym roku do minimum. 30 grudnia wieczorem tu przyjechałem, a oto dziś już wyjeżdżam. Muszę wyjeżdżać, bo jutro mam już posiedzenie Rady Stanu. Wystarczyło mi jednak tych trzech dni pobytu, aby wydać 1300 litów na potrzeby Bohdaniszek. Zapłaciłem Sinicy 500 litów jako resztę należności za otynkowanie domu z wewnątrz, 400 litów zapłaciłem zaległej pensji Piotrowi Skrebysowi, 100 litów zapłaciłem zaległości za wapno, 200 litów dałem Piotrowi na wydatki, 100 litów wypłaciłem pensji Marii Żemaitisowej. Słono mię kosztują Bohdaniszki. W tym roku będzie nie lepiej. Budowa ścian i podmurówki kuchni i oszalowanie domu mieszkalnego będą kosztowały do 12 000 litów. Rano chodziłem dziś do Gaju, gdzie wyznaczałem jodły do ścięcia dla Jadzi na budowę domu mieszkalnego i dla mnie na ściany wewnętrzne do kuchni. Pod wieczór wyjechałem z Jadzią z domu dużymi saniami parokonnymi. Pojechaliśmy na Antonosz. Sanna byłaby dobra, gdyby nie to, że jest jeszcze kopka i że jadąc nowym gościńcem na Pokrewnie trzeba bardzo uważać, aby się nie zbić z drogi, bo po obu bokach gościńca są duże rowy. W Antonoszu byliśmy na herbacie u Eugeniusza Falejewa i udaliśmy się stamtąd ma dworzec kolejowy do Abel, gdzie o mało co nie zgubiłem pugilaresu z 90 dolarami (żołnierz jakiś znalazł mi go na podłodze przy kasie i na szczęście zwrócił).
Wracam do relacji wileńskiej. Mówiłem, że lewica litewsko-wileńska gniewa się na Voldemarasa za to, co nazywa zaprzepaszczeniem autonomii Wileńszczyzny. Postulat tej autonomii jest przez nią bardzo ceniony. Alseikowie uważają, że autonomia jest warunkiem zasadniczym do rozwoju sprawy litewskiej w Wilnie. Dziś przy istniejącej centralizacji nie ma prawie żadnych szans do wzrostu inteligencji narodowej litewskiej w Wilnie. Dawne kadry tej inteligencji prawie że w całości wyemigrowały do Kowna,

[2] Usługi (fr.).

pozostała jeno garstka nieliczna i wcale nie błyszcząca talentami. Cała młodzież studiująca litewska z kraju okupowanego do niedawna też uciekała do Kowna. Dopiero od paru lat, gdy gimnazjum litewskie imienia Witolda Wielkiego uzyskało prawo publiczne, Uniwersytet Wileński im. Stefana Batorego zaczął się po trochę napełniać Litwinami, których ilość wynosi obecnie koło 60 studentów, zorganizowanych w odpowiednim stowarzyszeniu. Ale za wyjątkiem ludzi, poświęcających się zawodom wolnym, młodzież ta po ukończeniu studiów uniwersyteckich musi albo odpływać w głąb Polski, albo emigrować znowu do Kowna, bo w Wileńszczyźnie na stanowiska na służbie państwowej liczyć nie może. Dopiero statut autonomiczny kraju zmieniłby tę sytuację i umożliwił Litwinom krajowym służbę w kraju. Poza tym, autonomia podniosłaby znacznie wagę Litwinów i Białorusinów o wiele skuteczniej, niż dotąd, kiedy przy istniejącej centralizacji ludność miejscowa i mniejszość narodowa głosu nie mają. Łatwo więc pojąć, jaką wagę ma dla Litwinów wileńskich autonomia Wileńszczyzny. Traktują ją oni jako środek przeciwko polonizacji i jako etap w wyzwoleniu kraju w kierunku jego zlania się z Litwą.

3 stycznia, rok 1929, czwartek
Rano przyjechaliśmy z Jadzią do Kowna. Rzeczy odwiozłem do mieszkania, wypiłem kawę i pośpieszyłem na posiedzenie Rady Stanu. Zastałem na nim nowego członka Rady – Papečkysa – i z tego dowiedziałem się o jego nominacji. Podług mego najgłębszego przekonania, jest to nominacja zgoła niefortunna. Kandydaturę Papečkysa popierał gorąco Šiling: wart Pac pałaca... Papečkys to człowiek zupełnie niepoważny, prawnik początkujący bez doświadczenia i wiedzy, w dodatku człowiek przykrego charakteru – zarozumiały, karierowicz, człowiek bez przekonań. Może Šiling wyczuwał w nim naturę pokrewną i dlatego tak gorliwie zabiegał o jego nominację. Papečkys długi czas był w wojsku litewskim i uchodził za lewicowca, należał nawet do stronnictwa ludowców. W lewicowym gabinecie Ślażewicza w r. 1926 piastował tekę ministra wojny; na tym stanowisku zastał go przewrót grudniowy r. 1926. Na tym też stanowisku zyskał sławę niedołęgi, bo będąc ministrem wojny nie wyczuł wcale nastrojów w kołach oficerskich i ani się domyślał o spisku, gotującym przewrót. Gdy zaczęły krążyć głuche wieści o spisku i gdy jego koledzy w gabinecie zwracali się do niego, zapytując go o prawdziwości tych wersji, on ich uspokajał i twierdził, że w wojsku wszystko jest spokojne i żadnych podstaw do jakichś obaw nie ma. Nie przedsięwziął żadnych środków bezpieczeństwa i spał spokojnie na wulkanie, ufny w swoją gwiazdę i zapatrzony w swoją aureolę ministerialną. Gdy spisek wybuchł, chciał uciekać, ale został przez spiskowców schwytany i aresztowany. Niepopularny w wojsku, musiał po przewrocie zeń ustąpić i objął posadę w Radzie Ministerium Sprawiedliwości, gdzie zajmował się w ciągu paru lat ostatnich układaniem projektu kodeksu karnego. Šiling, który był ministrem sprawiedliwości i który udzielił Papečkysowi przytułku w radzie ministerium, jest bardzo wysokiego zdania o opracowywanym przez Papečkysa projekcie, ale skądinąd ze strony słyszałem o tym projekcie zdanie zgoła przeciwne; sam projektu tego nie znam. W ciągu dwóch lat po przewrocie Papečkys, strącony ze szczytów ministerialnych kariery w niełaskę i skazany na skromne stanowisko w zaciszu pracy gabinetowej, miał czas do rozmyślania o niestałości rzeczy ludzkich i, zdaje się, doszedł do przekonania, że lepsze jest trzymanie się łaski możnych, niż trwanie w przekonaniach lewicowych, toteż są wszelkie poszlaki po temu, że należy on teraz do „nawróconych” z herezji błędów lewicowych i że nominacja do Rady Stanu jest dlań właśnie zapłatą za nawrócenie. Czy będzie neofitą gorliwym – to już się nam w Radzie Stanu pokaże. Ale świeżo Papečkys nabrał nowego rozgłosu przez artykuł o reformie sądownictwa, wydrukowany w

„Lietuvos Aidasie”. W artykule tym z arogancją nowicjusza, który nigdy z sądownictwem kontaktu praktycznego nie miał i przeto sądzić może o sądownictwie, jak ślepy o kolorach, wystąpił z pomysłami nowatorskimi bardzo, co prawda, śmiałymi, ale też bardzo podobno naiwnymi i niepraktycznymi. W opinii świata prawniczego jeno się tymi pomysłami swymi skompromitował, a w motywacji swoich wniosków nowatorskich użył jakichś zwrotów niezręcznych, w których członkowie magistratury sądowej dopatrzyli się obrazy stanu sędziowskiego w Litwie, wskutek czego Sąd Okręgowy w Kownie zareagował nawet na to i wystąpił o wdrożenie postępowania karnego przeciwko autorowi artykułu – pomocnikowi adwokata przysięgłego Papečkysowi. A oto akurat w tej chwili skompromitowany pomocnik adwokata przysięgłego Papečkys otrzymał wysoką nominację do Rady Stanu. Nominacja to bardzo niestosowna. Obniża ona jeno powagę Rady Stanu. O tym, że Papečkys jest karierowiczem, słyszałem już od dawna od ludzi, którzy go znali dobrze. Kiedyś – w r. 1922 – kiedy się tworzył Wydział Prawniczy na uniwersytecie, Papečkys był zaangażowany na docenta prawa karnego, ale potem docentury nie objął.

4 stycznia, rok 1929, piątek
Wieczorem poszliśmy z Jadzią na operę „Kosztowności Madonny”, która w sezonie jesiennym jako premiera wkroczyła na scenę litewską. Rzecz jest ładna na ogół, bardzo wyrazista; muzyka jest stylowa, włoska, kwalifikująca się do szkoły klasycznej; ale opera ta ma nadmiar ruchu i temperamentu, przez co jest nieco nużąca i działająca na nerwy; gwałtownością akcji i tempem przypomina nieco „Carmen”.
Wracam jeszcze do relacji wileńskiej. Lewica litewsko-wileńska, która z Alseiką na czele wycofała się w roku zeszłym z Komitetu Litewskiego i zrywając z akcją prawicy klerykalnej i nacjonalistycznej zainicjowała akcję własną, zakładając towarzystwo „Kultura” i czasopismo „Vilniaus Šviesa”, jest bardzo rozgoryczona na Voldemarasa, któremu zarzuca nie tylko osłabienie Litwinów na gruncie wileńskim przez udaremnienie ich udziału w ostatnich wyborach do Sejmu w Warszawie i zaprzepaszczenie sprawy autonomii Wilna, ale także szereg innych poszczególnych ciosów. W szczególności zarzuca Voldemarasowi jego stanowisko w sprawie szkolnictwa litewskiego w Wileńszczyźnie. Jak wiadomo, władze polskie w jesieni r. 1927, w tym samym czasie, kiedy piłsudczycy byli podnieśli hasło autonomii Wileńszczyzny, na osobiste życzenie Piłsudskiego zamknęły czterdzieści kilka szkół ludowych litewskich w Wileńszczyźnie i seminarium nauczycielskie litewskie, utrzymywane przez towarzystwo „Rytas”. To zarządzenie drakońskie, wymierzone przeciwko prądom nieprzejednanym, panującym w szkolnictwie organizowanym przez „Rytas”, było w szczególności uzasadnione przez władze polskie jako akt „retorsji” za krzywdzenie w Litwie szkolnictwa polskiego po przewrocie r. 1926. Zarządzenie to Voldemaras wyzyskiwał w Genewie jako akt ucisku litewskiego w Wileńszczyźnie. Tymczasem lewicowa „Kultura” uzyskała od władz polskich pozwolenie na założenie seminarium nauczycielskiego w miejsce zamkniętego seminarium towarzystwa klerykalnego „Rytas”. Ale towarzystwo „Kultura”, mając pozwolenie, nie ma środków własnych na otwarcie seminarium. Rząd litewski wszakże środków tych mu nie daje i Voldemaras oświadcza, że założenie tego seminarium nie jest mu na rękę ze stanowiska atutów do akcji międzynarodowej w sprawie polsko-litewskiej; atutem tym jest dla niego właśnie owo zamknięcie szkół i seminarium „Rytasu” jako akt represji polskiej; woli on, aby to było zamknięte, niż żeby przez otwarcie seminarium „Kultury” krzywda została wyrównana; trwanie krzywdy jest bronią w polityce Voldemarasa, ewentualnie zaś chodzi mu o zmuszenie Polaków do ustępstwa na rzecz otwarcia tego samego seminarium „Rytasu”, które było zamknięte; wyjścia kompromisowego przez otwarcie

seminarium „Kultury” nie chce. Otóż lewica litewska w Wilnie czyni z tego zarzut Voldemarasowi i powiada, że dla sprawy litewskiej w Wileńszczyźnie funkcjonowanie seminarium nauczycielskiego litewskiego ma wagę pierwszorzędną, bo bez tego nie ma sposobu wyrobić kadry nauczycielstwa wykwalifikowanego, a przeto niepodobna zakładać szkoły ludowe litewskie. Voldemaras więc poświęca najaktualniejsze potrzeby narodowe Litwinów wileńskich – przede wszystkim ich oświatę narodową – dla jakichś atutów politycznych, potrzebnych mu dla gry spekulacyjnej w sprawie polsko-litewskiej. Gdybyż – powiadają lewicowcy – ta gra polityczna Voldemarasa była przynajmniej skuteczna. Ale w istocie jest ona zupełnie bezowocna, a tymczasem szkolnictwo litewskie na tym cierpi i polonizacja czyni postępy, a sprawa Wilna dyplomacją Voldemarasa nie posuwa się bynajmniej naprzód.

5 stycznia, rok 1929, sobota.
Nie wychodziłem z domu. Pracowałem u siebie. Piszę artykuł o konstytucji litewskiej dla „Przeglądu Wileńskiego”.
Jeszcze relacja wileńska o stosunkach litewsko-wileńskich. Lewica litewsko-wileńska, do której prócz Alseiki z żoną należą z wybitniejszych i bardzie znanych działaczy miejscowych Karazija, Wielecki, Šlapelis, Biliunasowa, jest bardzo rozgoryczona na rząd litewski i w ogóle na Kowno. Skarży się ona na to, że Kowno dla jakichś atutów dyplomatycznych w swoim procesie międzynarodowym z Polską żąda z lekkim sercem ofiar od Litwinów wileńskich i skazuje ich na różne cierpienia, każąc im opłacać koszta sporu. Z jednej strony Litwinów wileńskich poświęca Kowno, z drugiej – mszczą się na nich za różne prawdziwe i urojone winy Kowna Polacy. Zdaniem lewicy, Litwini wileńscy powinni by byli być traktowani przez Kowno z większą troskliwością, albowiem oni są najistotniejszym ze wszystkich atutów sprawy litewskiej w Wilnie. Tymczasem nikt się nich nie troszczy, nikt ich sprawy szczerze do serca nie bierze, a choć Kowno ma ich ciągle na ustach, jednak w istocie jest dla nich macochą, ich krzywdy nie słyszy i nie czuje i jest lekkomyślnie przekonane, że wystarcza, iż oni są i że przez to samo stanowią oni niewzruszoną placówkę polityczną litewską. Tymczasem w istocie, będąc zaniedbani i pozostawieni własnemu losowi, Litwini wileńscy w powiatach lidzkim, oszmiańskim, trocko-wileńskim, brasławskim i nawet święciańskim polonizują się w młodszym pokoleniu i powoli wydają placówkę w ręce przeciwnika. Z wielkiej gry międzynarodowej o Wilno owoce dla Litwy będą małe i w końcu wypadnie Litwie zrezygnować z wielu postulatów polityki dotychczasowej, nawiązując komunikację i stosunki handlowe z Polską, a tymczasem dla tej gry zaprzepaszcza się w Wileńszczyźnie dużo z tego, co by się tam ocalić i wzmocnić mogło. Lewica wileńsko-litewska, będąc usposobiona sceptycznie do wielkiej polityki irredenty Kowna i reprezentując kierunek szczególnej akcji społecznej Litwinów wileńskich, skłonna jest niewątpliwie do pewnej ugodowości w stosunku do Polaków i Polski. Chce ona polityki realnej, nie pogardza ustępstwami i koncesjami, które można wytargować na Polsce lub wyrobić przez stosunki z demokracją polską i pragnie, nie rezygnując z celów ostatecznych połączenia Wilna z Litwą, realizować na razie w warunkach istniejących państwowości polskiej wszystko to, co może służyć wzmocnieniu i rozwojowi żywiołu litewskiego w Wileńszczyźnie; ten cel stawia ona dziś na pierwszym planie i tym się różni od polityki Kowna i solidarnej z nim prawicy litewsko-wileńskiej, złożonej z czynników głównie klerykalnych. W stosunku do twierdzeń tej prawicy, że ona jedna reprezentuje myśl szczerze i całkowicie litewską, lewica wskazuje, że panowie z prawicy – przeważnie księża – udając nieprzejednanych Litwinów i osłaniając swój bezwład frazesem patriotycznym – jednocześnie wysługują się kurii metropolitalnej biskupa Jałbrzykowskiego, którego akcja jest bardzo wyraźnie i precyzyjnie

polonizacyjna. Prawica natomiast pomawia lewicę o uleganie wpływom emigranckim Plečkaitisa *et consortes*, co, zdaje się, rzeczywistości nie odpowiada wcale, bo lewica miejscowa litewsko-wileńska do wszelkiego kontaktu z grupą izolowaną Plečkaitisa, koncentrującą się, jak się zdaje, obecnie w Grodnie, odżegnywa się i na wszelkie sposoby odgradza. Lewica pragnęłaby powrotu Michała Biržiški do Wilna. Zdaje się, że i Michał Biržiška, który w tym samym czasie, co ja, był w Wilnie, miałby ochotę po temu. Słyszałem w Wilnie, że usiłuje on zbadać grunt co do szans otrzymania katedry na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

6 stycznia, rok 1929, niedziela
Oto list, który otrzymałem dziś z poczty *via* Łotwa od Reginy:
„Grodno. 27.XII.28. o pierwszej w nocy. Kochany Michale. Zrobiłam Ci dużo przykrości, ale tak być musiało! Ty się nawet może nie domyśliłeś wtedy, gdyśmy się spotkali w restauracji, jaką walkę stoczyłam ze sobą i wiele łez gorzkich wypłakałam! Nie wolno nam o sobie myśleć, bo dzieli nas przepaść, sam mi to kiedyś pisałeś! Miałam Ci dużo powiedzieć, ale nie miałam siły, lękałam się, że stracę wtenczas panowanie nad sobą! A przyznasz, że musiałam dobrze zacisnąć zęby, choć może w tej samej chwili serce mi pękało z bólu. Umiej mnie zrozumieć, i przebaczyć jeżeli Ci zrobiłam bardzo wielką przykrość, a może nawet i ból! Tak być musiało, mój ty biedny przyjacielu! Musimy zostać dla siebie tylko po dawnemu dobrymi znajomymi! Proszę Cię, napisz mi zaraz po powrocie, bo listy Twoje, o ile są szczere, są zawsze bardzo mi drogie i zawsze ciekawe. W tej chwili, gdy te słowa piszę, ty odjeżdżasz z Grodna, myśląc pewnie o mnie, że jestem bardzo zła, a to nieprawda, jestem chyba tylko bardzo w tej chwili smutna. Żegnaj mi, Ty, którego kiedyś tak nieopatrznie i nieszczęśliwie los mi dał za męża! Nie byliśmy stworzeni dla siebie i lepiej by nam było zupełnie siebie nie znać.
Pomimo wszystko jednakże, mnie ta twoja bytność u nas strasznie wzburzyła; nie jestem wcale bez czucia, jak to mylnie o mnie sądzisz! Nie chowaj do mnie urazy; zrozum i wniknij w to, co Ci piszę. Ślę Ci, kochany, przyjacielskie pozdrowienie. Regina”.
Bez komentarzy. Histeryczka albo medium panny Elizy Courtôt.

7 stycznia, rok 1929, poniedziałek
Rano miałem posiedzenie Rady Stanu. Radzie Stanu przybyło trochę zajęcia. Rząd przysłał jej do rozpoznania projekt ustawy o podatkach na rzecz samorządu. Dzięki Bogu, że nie skierował do Rady projektu właściwej ustawy o samorządzie lokalnym, jeno o podatkach, bo projekt ustawy o samorządzie zawiera reformę w kierunku centralizacji, wzmocnienie pierwiastka cenzusowego w samorządzie i wzmocnienie ingerencji władz państwowych w czynności samorządu i przeto jest projektem ściśle politycznym, którego Rada Stanu bynajmniej sobie nie życzy rozpoznawać, bo musiałaby wkroczyć w dziedzinę, w której się toczą walki stronnictw. Projekt ustawy o podatkach samorządowych tego zabarwienia politycznego nie ma. Komisja Rady Stanu, która wystudiowała ten projekt, była złożona z Kalnietisa, Ciplijewskiego i Masiulisa. Dziś nas komisja informowała o swoich wnioskach, zaś właściwa debata na plenum Rady Stanu została wyznaczona na piątek; ma być zaproszony minister finansów i minister spraw wewnętrznych albo ich mężowie zaufania. W sprawie naszego grudniowego memoriału do rządu o potrzebie reformy i ujednostajnienia prawa cywilnego prezes ministrów Voldemaras zwrócił się do Rady z pismem, wskazującym, że memoriał Rady jeno krytykuje istniejące prawo cywilne różnych dzielnic Litwy i mówi dobitnie o tym, jakim ono być nie powinno, lecz nie zawiera żadnych

wskazówek, jakim nowy kodeks cywilny, zdaniem Rady, być powinien; wobec tego Voldemaras prosi o te wskazówki pozytywne w uzupełnieniu do negatywnych. Rada Stanu uznała, że taka praca jest już zapoczątkowaniem pracy nad układaniem kodeksu i że przeto pismo Voldemarasa daje Radzie upoważnienie do zapoczątkowania tej pracy.
Na początku dzisiejszego posiedzenia Rady Stanu referowałem prywatnie członkom Rady moje wrażenia i spostrzeżenia z pobytu w Wilnie.
A teraz przechodzę do tej relacji wileńskiej już nie w Radzie Stanu, lecz w dzienniku moim. Omówię rzecz ciekawą, która się tam inicjuje. Są to pewne nowe posunięcia piłsudczyków w sprawie białoruskiej. Mówiąc o piłsudczykach, należy przede wszystkim odróżnić dwa ich odcienie różne, a może nawet wręcz przeciwne. Jeden blok piłsudczyków – to obóz konserwatywny, obóz ziemian i monarchistów. Drugi – to obóz piłsudczyków właściwych, dość różnorodny, ale na ogół radykalny. Piłsudczycy-konserwatyści i monarchiści – arystokracja, ziemianie – skłonni są uznawać Piłsudskiego jako „mniejsze zło". Cenią oni w osobie Piłsudskiego człowieka silnego, który jest w stanie wytworzyć mocną władzę i trzymać państwo w karbach, a o to im głównie chodzi. Uważają oni, że największą wartością i zaletą Piłsudskiego jest to, że sprzęga on tę masę warcholską i pstrą o najrozmaitszych apetytach, aspiracjach, usposobieniach i poglądach, która się nazywa piłsudczykami i skupia pod jego sztandarem, a która, gdyby nie było Piłsudskiego, rozprzęgłaby się i taki chaos w Polsce nabroiła, że kraj i społeczeństwo stoczyłyby się w anarchię, w przepaść wichrzeń, komunizmu itd. Zdaniem przeto tej prawicy „piłsudczyków", Piłsudski asekuruje Polskę od piłsudczyków i to jest w nim najcenniejsze. Jako miłośnicy „ładu" i niewzruszalności układu społecznego, pragną oni ten stateczny czynnik Piłsudskiego, który dziś się w jego osobie streszcza, utrwalić, choćby za cenę ofiarowania Piłsudskiemu korony polskiej, aby po jego śmierci, której się najbardziej boją, zbawienny pierwiastek spójni, jaki on reprezentuje, wcielił się i zachował w jego dynastii. Taki jest ich mniej więcej stosunek do Piłsudskiego.

8 stycznia, rok 1929, wtorek
Znany literat litewski i dziekan Wydziału Humanistycznego na uniwersytecie Litewskim – prof. Wincenty Krėvė-Mickiewicz – otrzymał w czasie świąt list prywatny od Tadeusza Hołówki, którego zna jeszcze sprzed lat 20 ze Lwowa, kiedy obaj byli członkami PPSu. Podczas pobytu Hołówki w Kownie w roku ubiegłym jako prezesa podkomisji polskiej do układów z Litwą, obradującej w Kownie nad pewną poszczególną kwestią tych układów, Hołówko przypomniał sobie Krėvė-Mickiewicza i wznowił z nim stosunki osobiste. Otóż w liście tym, jak mi dziś sam Krėvė opowiadał, Hołówko dotyka stosunków polsko-litewskich i powiada, że Marszałkowi Piłsudskiemu sprawa ta leży bardzo na sercu i że nie chciałby on umrzeć z poczuciem krzywdy, wyrządzonej Litwie. Dalej Hołówko ubolewa nad tym, że z powodu Voldemarasa sprawa nie może się posunąć naprzód i powiada, że dopóki Voldemaras kieruje akcją układową, dopóty nie może być mowy o jakimś polubownym załatwieniu sporu. Zdaniem Hołówki, z Voldemarasem nie tylko dogadać się nie można do niczego, ale nawet nic mówić na serio nie można, a to mianowicie dlatego, że wszystko, co się ze strony polskiej Voldemarasowi mówi, choćby nawet poufnie, staje się natychmiast wiadome Niemcom. Na poparcie tego twierdzenia Hołówko cytuje różne przykłady z toku pertraktacji polsko-litewskich, kiedy wszystko, o czym się mówiło i co ze strony polskiej było polubowne, docierało zaraz do Niemców. Dalej więc Hołówko powiada, że Polacy mają większe zaufanie do prezydenta Smetony, niż do Voldemarasa i że przeto dla sprawy porozumienia byłoby pożądane, żeby może Smetona osobiście wydelegował kogoś innego do rozmowy, może nawet nieurzędowej, z Polską.

Krėvė-Mickiewicz traktuje ten list jako prywatny i żadnej konsekwencji z niego nie wyciąga; nic sam przedsięwziąć nie myśli. Swoją drogą jednak trudno przypuścić, aby Hołówko, który brał wybitny udział w rokowaniach polsko-litewskich i zajmuje wysokie stanowisko w Ministerium Spraw Zagranicznych w Warszawie, poruszał w liście prywatnym takie rzeczy na wiatr. Z pewnością napisał on ten list w porozumieniu z dyplomacją polską, a może i za wiedzą osobistą Piłsudskiego. Forma listu prywatnego, który formalnie do niczego nie obowiązuje, jest zapewne tylko pretekstem i środkiem do podsunięcia Litwinom propozycji układów zakulisowych. Hołówko to lis szczwany. Umiał on w swoim czasie prowadzić konszachty z grupą emigrancką Plečkaitisa i jakieś na tych elementach budować perspektywy.

9 stycznia, rok 1929, środa
Miałem dziś rozmowę z p. Felicją Bortkiewiczową o moich wrażeniach wileńskich. Mamy zwołać lożę, na której ja i Michał Biržiška mamy zreferować wobec braci nasze spostrzeżenia z Wilna. Ciekawe będzie zestawić to, co się dowiedział Biržiška, z tym, co się ja dowiedziałem.
Na godz. piątą wszyscy członkowie Rady Stanu z prezesem Šilingiem na czele byliśmy zaproszeni na herbatkę do Prezydenta Rzeczypospolitej, urządzoną specjalnie dla nas. Zabawiliśmy na herbatce koło dwóch godzin. Najwięcej mówił sam prezydent, którego słów przez respekt należało słuchać nie przerywając. Prezes Šiling, ja, generał Dowkont i Papečkys też trochęśmy swojego do rozmowy dołożyli, tylko Ciplijewski, Kalnietis i Masiulis pary z ust nie puścili. Wpierw była rozmowa na tematy ogólne – międzynarodowe – o przewrocie królewskim w Jugosławii, o wypadkach w Afganistanie, o Turcji i stosunkach turecko-armeńskich i turecko-greckich itp., w dalszym jednak ciągu rozmowa zeszła na zadania i perspektywy działalności Rady Stanu. Prezydent Smetona, który zresztą przywiązuję dużą wagę do Rady Stanu i dba bardzo o podniesienie jej autorytetu, mówił obszernie, ale banalnie i mętnie. Myśmy dorzucali uwag i poniekąd nakierowywali prezydenta na linię, którą uważaliśmy sami za właściwą w myśl debat, któreśmy już w tej kwestii u siebie prowadzili. Tylko Papečkys wyrwał się jak Filip z konopi z przemówieniem w najwyższym stopniu niesmacznym, pełnym pochlebstwa i fałszu, renegackim w ustach człowieka, który sam był członkiem rządu lewicowego, obalonego przez przewrót grudniowy r. 1926. Zdawało się, że chcę się popisać swoim „nawróceniem" i gorliwością w deptaniu tego, czemu sam służył i służeniu temu, co jest wręcz przeciwne wyznawanym przezeń niedawno ideałom. Zdawało się, że chce być *„plus papiste que le Pape*". Mam wrażenie, że cały ten Papečkys – to jest jeden brud karierowiczowski.
Wolę wrócić do mojej relacji wileńskiej w dzienniku. To będzie lepsze. Mówiłem o tzw. prawicy piłsudczyków, która ceni Piłsudskiego jako asekurację od piłsudczyków właściwych, czyli lewicowych. Tego rodzaju wierna Piłsudskiemu prawica, która gotowa go wynieść na tron polski i zarazem wielkoksiążęcy litewski (w stylu, oczywiście, Litwy dawnej, historycznej i tradycyjnej, zespolonej „unią" z Polską i zgoła odrębnej od Litwy współczesnej, narodowej i ludowej, jest „na Kresach" i w Wilnie reprezentowana dość silnie. Rekrutuje się ona z arystokracji rodowej i ziemian, jest, oczywiście, bardzo zachowawcza, a nawet wsteczna, bardzo niechętna wszelkim ruchom „ludowym", wszelkiemu wszczynaniu jakichś nowinek demokratycznych itp. W Wilnie organem tej prawicy wstecznej Piłsudskiego jest dziennik „Słowo". Drugie jej gniazdo jest w Krakowie ze swym organem starym, który należał niegdyś do tzw. „stańczyków", dziennikiem „Czas". Z tych sfer monarchiczno-ziemiańskich kresowych prawicy piłsudczyków wchodzili do rządu po przewrocie majowym Piłsudskiego w r. 1926 ministrowie Aleksander Meysztowicz i Niezabitowski. Stosunek tej prawicy i tych

ministrów do Litwy niepodległej i Kowna jest oczywiście wrogi. Do sprawy białoruskiej, która w Polsce na terenie „Kresów" bardzo się rozrosła i rozrasta ciągle, stosunek ich był jeszcze bardziej wrogi. Sfery te uważają cały ruch białoruski za zgoła sztuczny, nic wspólnego z ludem rzekomo nie mający, jeno buntujący lud ciemny; lud białoruski rzekomo sam przez się niczego nie pragnie, nie rozumie nawet, co to jest Białoruś, język białoruski, naród białoruski; pragnie on dobrobytu, chce szkoły polskiej i pozostawiony sobie byłyby najpotulniejszy; ferment sztuczny ruchu białoruskiego wytwarza agitacja komunistyczna, płynąca z Mińska sowieckiego, w połączeniu z wrogimi Polsce elementami rosyjskimi i garstką otumanionych warchołów i maniaków. Na taki „ruch" potrzeba rzekomo jeno twardej ręki. Polityka represji i ostrego kursu – to całe lekarstwo na uzdrowienie stosunków „białoruskich". Polacy sami winni, że się ten ruch rozrasta, bo go rozzuchwalili koncesjami i ustępstwami dla warchołów i poważnym liczeniem się z tym, co zgoła poważnym i godnym jakiegoś liczenia się nie było.

10 stycznia, rok 1929, czwartek
Egzaminowałem studentów. Zdawało czterech: Adolf Bielawski i Klemens Dargis z VII semestru i Abram Lipski i Iser Burak z VI semestru. Celująco zdał tylko Lipski, inni – dobrze.
Wieczorem byłem u Janulaitisa, który mię zaprosił do siebie na herbatkę dla opowiedzenia mu moich wrażeń wileńskich. Miała słuchać mego opowiadania i piękna p. Janulaitisowa, żona Augustyna, także Wilnianka (córka nieżyjącego fotografa i cynkografa Juraszajtisa z Wilna, młoda i piękna, ale poczciwa żonka starego profesora).Wątpię jednak, aby p. Janulaitisowa coś ciekawego się z mego opowiadania dowiedziała, bo w gorącej wodzie kąpany, pełny temperamentu i mający zawsze w każdej kwestii określony pogląd Janulaitis nie bardzo dawał mi przyjść do słowa: nie tyle mnie słuchał i ode mnie się czegoś dowiadywał, ile sam mówił i na każdy przeze mnie wypowiedziany szczegół natychmiast reagował i po swojemu mi go wyjaśniał i mnie „oświecał". Nie ja byłem jako narrator twórcą pogadanki, lecz on jako iluminator poszczególnych urywków mojej opowieści.
Ciąg dalszy mojej relacji wileńskiej w dzienniku. Jeżeli prawica ziemiańska i monarchiczna Piłsudskiego, której mężem zaufania był w rządzie Aleksander Meysztowicz, hołdowała polityce twardej ręki i ostrego kursu represyjnego wobec ruchu zwłaszcza białoruskiego, który uważa za ruch sztuczny – komunistyczno-warcholski, ale także wobec „wichrzeń" ruchu ukraińskiego i wobec „wichrzeń" litewskich „inscenizowanych" z Kowna, to lewica Piłsudskiego, czyli właściwi piłsudczycy inaczej się zabierali wobec ruchu białoruskiego do rzeczy. Mieli oni na ustach frazes wolnościowy, słodycz braterską haseł „równi z równymi", federacji itd.; w istocie wszakże pod tym frazesem braterskim, w którym – trzeba przyznać – tak celują Polacy, kryło się rzeczywiste pragnienie polonizacji. Nie mogli oni żądać represji na Białorusinów i gnębienia ruchu narodowego „bratniego". Z logiki swych frazesów musieli uznawać i głosić prawo każdego narodu – zwłaszcza bratniego w łonie wspólnej Rzeczypospolitej – do nieskrępowanego rozwoju i swobodnego stanowienia o sobie. Dla nich ruch białoruski musiał być prawowity i sam przez się legalny. Musieli oni uznawać prawo Białorusinów do szkolnictwa narodowego i do wszelkich postulatów narodowych w państwie polskim, mającym być ojczyzną wspólną, a więc i ojczyzną białoruską. Metoda ich przeto musiała być inną niż metoda twardej ręki. Dotychczas usiłowali oni działać w ten sposób, żeby pośród Białorusinów wyłapać jednostki słabsze, bardziej podatne na korupcję, chciwsze na pieniądze, ewentualnie łatwowierniejsze i bliższe polskości i z ich pomocą, raczej przez nie, udzielając im

pieniędzy na akcję, wytwarzać w łonie ruchu białoruskiego prąd polonofilski i prądem tym licytować i zwalczać prąd komunistyczny lub nacjonalistyczny i polonofobski białoruski. Oczywiście, jednostki takie, które gotowe były iść na te kombinacje i brać pieniądze, zawsze się wśród działaczy białoruskich znaleźć udawało. Takim był w swoim czasie głośny Aleksiuk i cały szereg innych. Aleksiuk *et consortes* brali chętnie pieniądze, dużo obiecywali piłsudczykom, nieraz spełniali bardzo gorliwie swoje przyrzeczenia – wydawali polonofilskie gazetki białoruskie, zakładali związki i stowarzyszenia, urządzali stronnictwa i zwoływali zjazdy... Ale żaden z tych prądów nie zdołał się rozwinąć i utrwalić. Wszystkie usiłowania poszły na nic. Pieniądze tonęły w kieszeniach organizatorów, bańki mydlane pękały, kierownicy tych ruchów gdzieś przepadali lub wycofywali się do życia prywatnego. Imprezy, rozpoczynane z wielkim hałasem, rozgłosem i reklamą, upadały i masy białoruskie na tę wędkę się nie brały, pozostając obojętne lub nieufne.

11 stycznia, rok 1929, piątek
Przed obiadem odbyło się posiedzenie Rady Stanu, na którym obradowaliśmy z udziałem delegatów Ministerium Spraw Wewnętrznych i Ministerium Finansów nad zgłoszonym do zaopiniowania Rady projektem ustawy o podatkach samorządowych. Rada Stanu od dziś otrzymała lokal własny, na który składają się pokoje, położone na piętrze pałacyku Gabinetu Ministrów. Lokal ten udzielony jest Radzie czasowo – na parę miesięcy. Pałacyk, który obecnie zajmuje Gabinet Ministrów, ma być oddany do dyspozycji nuncjusza papieskiego monsignore Bartoloniego.
Wracam do mojej relacji wileńskiej. Ruch białoruski, który się rozwija i rozrasta energicznie na terenie ziem północno-wschodnich obecnego terytorium państwowego Polski (Białoruś Zachodnia), zawiera w sobie dwa prądy, raczej dwie koncepcje. Jedna jest czysto komunistyczna, ściśle z Mińska sowieckiego inspirowana, posłuszna mu i dążąca po prostu do jedności sowieckiej, druga – w istocie swej narodowa. Druga w walce przeciwko polonizacji także się politycznie orientuje na Mińsk, który, będąc sowieckim, stał się zarazem ogniskiem białoruskiej narodowej pracowni kulturalnej. Orientacja na Mińsk jest u narodowców białoruskich Białorusi Zachodniej raczej środkiem taktyki dla wygrywania atutów przeciwko Polsce, niż wyrazem jakichś ich dążeń istotnych do ustroju sowieckiego czy komunizmu. Ale w obliczu Polski, która szuka polonizacji Białorusinów i usiłuje wytworzyć sztucznie prąd polonofilski w ruchu białoruskim dla zwalczania przezeń narodowego i separatystycznego dążenia w tym ruchu, narodowcy białoruscy wraz z komunistami tworzą blok jeden solidarny i różnic głębszych nie uwydatniają. Łożyskiem i formą organizacyjną, w które się w ostatnich latach wlał cały ten ruch białoruski na terenie państwowym polskim, stała się głośna, mocno rozgałęziona i coraz potężniejąca organizacyjnie i wpływami „Hramada". W „Hramadzie" ześrodkowały się pierwiastki komunistyczne z narodowymi; radykalizm społeczny ostry i orientacja na Mińsk stały się najwybitniejszymi cechami „Hramady". Równolegle do bankructwa sztucznie i mozolnie nasadzanych przez piłsudczyków prądów polonofilskich białoruskich, żyjących zasiłkiem polskim, opartych na przekupstwie i korupcji, nie trafiających do ludu i przez masę ludową bojkotowanych biernie, „Hramada" rozrastała się żywiołowo i potężnie, szerząc się żywiołowo. Obok „Hramady" radykalnej i jaskrawej tli się jeszcze ruch narodowo-katolicki białoruski, utrzymywany przez garstkę księży Białorusinów i ześrodkowany w wydawnictwie „Krynicy". Ruch narodowo-katolicki „Krynicy" jest dość wątły i prądu masowego nie stanowi, w każdym razie jednak jest on samodzielny, wolny od konszachtów z piłsudczykami, niezależny. Radykalne dążenia społeczne „Hramady", mnożenie się i rozgałęzianie na wsi jej kół, jej jaskrawe hasła agrarne i polityczne, jej ciążenie do

Mińska sowieckiego – wszystko to musiało niepokoić ziemian polskich na Białorusi. Z kół ziemiańskich i w ogóle konserwatywnych podniósł się wielki krzyk przeciwko znienawidzonej „Hramadzie”, żądanie represji względem niej, denuncjowanie i demaskowanie jej aspiracji i dążeń przeciwpaństwowych w Polsce. Sami piłsudczycy „lewicowi” byli zdezorientowani i nie odważali się brać w obronę „Hramady”. Na tym tle minister Aleksander Meysztowicz uzyskał od czynników rządowych najwyższych „placet” na wystąpienie bezwzględne przeciwko „Hramadzie” w kierunku zniszczenia jej doszczętnego w myśl aspiracji przyjaciół Meysztowicza.

12 stycznia, rok 1929, sobota
Przyjechała do Kowna Elizka Komorowska, która mi wczoraj telegrafowała zawczasu o swym przyjeździe. Przyjechała dla swoich spraw gospodarczych. Władze państwowe leśne dokonały w jesieni rewizji tej części lasu staczeraskiego, który się Elizce w r. 1921 dostał z działu Bohdaniszek i który ona z właściwą Komorowskim skwapliwością wycięła, zdewastowała i spieniężyła, a wreszcie ziemię spod lasu sprzedała. Rewizja wykazała, oczywiście, całkowite zdewastowanie lasu. Spisany został protokół, pnie zostały zliczone, nabywcom ziemi zakazano jej dalszego uprawiania jako ziemi, która ma być znowu zalesiona, zaś na Elizkę naliczono 17 000 litów szkód i tyleż sztrafu. Wniosła ona skargę do Departamentu Leśnego, prosiła o sprawdzenie wyników pierwotnej rewizji, ale to nie zostało zrobione i inspektor podatkowy ściąga już z niej chociaż jeszcze nie sztraf, ale podatek od wyrębu. Elizka broni się tym, że rzekomo właściwego lasu tam nie było, jeno resztki, właściwy zaś rabunkowy wyrąb lasu miał rzekomo miejsce przed objęciem lasu przez nią – za okupacji niemieckiej i za inwazji bolszewików w r. 1919, co jest nieprawdą. Teraz Elizka przyjechała tu, aby w Departamencie Leśnym żądać wyznaczenia komisji dla dokonania drugiej rewizji, wobec której będzie się już ona broniła. Chodziło jej, oczywiście, o moją protekcję. Choć nie bardzo mi się to podoba, bo uważam, że istotnie się przewiniła i zasłużyła w zupełności na tę karę, bowiem łamała bez żadnego skrupułu przepisy prawa i dewastowała rabunkowo ten las, który Papa tak kochał i szczędził i który rzeczywiście jest elementem bogactwa krajowego, lekkomyślnie przez naszych ziemian, ile go im jeszcze po reformie agrarnej zostawiono, tępionego i rabowanego, jednak nie mogłem jej odmówić i poszedłem z nią do dyrektora departamentu. W sprawie wyznaczenia komisji dla sprawdzenia rzeczy na miejscu powiodło się Elizce dobrze, ale czy przez to co merytorycznie wskóra – tego nie wiem. Jak rabować i szarpać dobro krajowe – to chcą, a jak potem konsekwencje ponosić – to krzyczą gwałtu. Wszyscy są winni – Litwa chłopska, urzędnicy przewrotni, łapownicy i tchórze – tylko oni, ziemianie, doskonali i krzywdzeni! W Polsce tak by nie śmieli robić, bo tam patriotyzm ich obowiązuje i tam zresztą opinia publiczna krępowałaby ich, ale w Litwie!.. A zresztą chciwość i rozwijający się nałóg pasożytniczy tej klasy może od wszelkiego „patriotyzmu” silniejszy.
Elizka bardzo wzięła do serca wiadomość o śmierci z raka naszej cioteczno-rodzonej siostry Mani Michasiowej Ordziny, Bohdanowiczówny z domu, o której się ode mnie dowiedziała.

13 stycznia, rok 1929, niedziela
Nie wychodziłem z domu. Rano byli u mnie studenci z tłumaczeniem konstytucji francuskiej z r. 1791 – Vileišisówna i Kubilius, potem parę godzin zabawiła Elizka Komorowska, potem była Kamilka Römerówna.
Wracam do relacji wileńskiej. Oddanie sprawy „Hramady” białoruskiej do dyspozycji Aleksandra Meysztowicza było zwycięstwem prawicy. Rozpoczęła się polityka twardej

ręki względem Białorusinów. Jako minister sprawiedliwości, Meysztowicz sam kierował procesem „Hramady” Śledztwo było prowadzone ostro, do odpowiedzialności karnej pociągnięto szereg wybitnych działaczy białoruskich z Antonim Łuckiewiczem i Taraszkiewiczem na czele. Nietrudno było, oczywiście, w działalności „Hramady” natrafić na ślad wpływów mińskich, a może i bezpośrednich wichrzeń sowiecko-komunistycznych, ponieważ w „Hramadzie” narodowcy współpracowali i łączyli się z komunistami. Meysztowicz z całym zamiłowaniem, z całą bezwzględnością i oddaniem się osobistym sprawie rozwijał ten proces, który miał być dla akcji białoruskiej miażdżącym. Chodziło mu o zadanie „*coup de grâce*” ruchowi białoruskiemu. Działano bez pardonu, nic i nikogo nie oszczędzano. Lewica piłsudczyków szemrała na tę bezwzględność Meysztowicza i uważała ten kurs, nadawany procesowi „Hramady”, za błąd, który jeno bardziej zaogni i podnieci ruch białoruski w kierunku wrogim Polsce. Rozprawa sądowa przeciwko „Hramadzie” szła pod hasłem represji. Szereg oskarżonych skazano, Taraszkiewicz, który niegdyś był się mocno zaangażował w ugodę i brał czynny udział w aferze Żeligowskiego jako jeden z dwóch członków Białorusinów pierwszej „Komisji Rządzącej” (rządu) Litwy Środkowej, skazany został na 10 lat ciężkiego więzienia. Antoni Łuckiewicz wszakże, któremu formalnego należenia do „Hramady” nie udowodniono, został uniewinniony; przeciwko uniewinnieniu Łuckiewicza prokuratora zgłosiła protest, skazani założyli apelację, sprawa w II instancji jeszcze zakończona nie jest. Tymczasem w kołach piłsudczyków właściwych dojrzewać zaczęła nowa orientacja traktowaniu sprawy białoruskiej. Zaczęto zdawać sobie sprawę, że dotychczasowa metoda sztucznego nasadzania prądów polonofilskich białoruskich przez najmitów, choć kosztuje drogo, jest nieprodukcyjna i ruchu białoruskiego nie osłabia i nie dezorientuje; metoda zaś prawicowa represji Meysztowiczowskich choć wpędza ten ruch w podziemie działania nielegalnego, jednak czyni go jeszcze zacieklejszym i złośliwszym, grożąc katastrofą wybuchu i nie dając żadnego rozwiązania pokojowego. Przyszła więc na myśl metoda pośrednia, która by polegała na kompromisie ustępstw wzajemnych z czynnikami ściśle narodowymi, nie-komunistycznymi, ruchu białoruskiego. W myśl tych nowych dążeń zwrócono naturalnie uwagę na Antoniego Łuckiewicza, który jest istotną głową, istotnym mózgiem całego ruchu białoruskiego i aczkolwiek trzyma się ostrożnie w ukryciu, działając jeno zakulisowo, jednak w istocie jest sprężyną czynną, do której się zbiegają wszystkie nici ruchu, i kieruje całą robotą, będąc sam osobiście najczystszej wody narodowcem. I oto w ostatnich czasach rozpoczął się flirt piłsudczyków wileńskich z Antonim Łuckiewiczem, oczywiście za wiedzą rządu warszawskiego i pod protektoratem ministra Staniewicza, Wilnianina. Akcja ta jest obecnie właśnie w toku. Pierwszym, zdaje się, warunkiem Łuckiewicza była dymisja Aleksandra Meysztowicza, reprezentującego w rządzie polskim kurs represyjny antybiałoruski, i likwidacja procesu „Hramady”. Dalszy ciąg innym razem.

14 stycznia, rok 1929, poniedziałek
Od powrotu z Wilna rozpocząłem ze studentem prawnikiem VIII semestru Dominikiem Kriwickim, bodajże najlepszym ze studentów, jakiego w chwili obecnej na Wydziale Prawniczym mamy, sprawdzanie tłumaczenia tomu I (części ogólnej teoretycznej) kapitalnego dzieła zmarłego profesora Esmeina „Éléments du Droit Constitutionnel”. Praca nad tym tłumaczeniem, która się dokonywa z ramienia i kosztem Litewskiego Towarzystwa Prawniczego pod moją redakcją naczelną, jest rozdana siedmiu czy ośmiu studentom prawnikom, z których każdemu wypadły do przetłumaczenia 2-3 arkusze. Kriwicki, który w tej pracy jest moim pomocnikiem i prawą ręką, sam też bezpośrednio cząstkę książki tłumaczy; ale oprócz tego jego zadaniem głównym jest ujednostajnienie

całego tłumaczenia wszystkich cząstek, tłumaczonych odrębnie przez poszczególnych studentów i następnie sprawdzenie ostateczne przetłumaczonego i ujednostajnionego tekstu ze mną. Każdy więc ze studentów, pracujących nad tłumaczeniem, oddaje swoją pracę jemu, on zaś ją sprawdza i koryguje, a następnie tekst skorygowany odczytujemy wspólnie, sprawdzając z oryginałem. Zaczęliśmy na razie od tej części, która jest bezpośrednio przez samego Krivickasa przetłumaczona. Będzie z tym roboty na lat parę. W sprawie tego tłumaczenia porozumiałem się już z właścicielem praw autorskich wydawnictwa. Ponieważ sam prof. Esmein już nie żyje, redaktorem zaś wydań pośmiertnych jego książki jest prof. Henryk Nézard, dziekan Wydziału Prawniczego na uniwersytecie w Caen, więc zwróciłem się do prof. Nézarda. Nézard odpisał mi z wielką i szczerze francuską kurtuazją, ofiarował się bardzo chętnie dać nam wstęp do naszego tłumaczenia, który będzie przezeń *ad hoc* napisany, i w sprawie praw autorskich skierował nas do p. de Peyralade w Paryżu, właściciela czy dyrektora znanej firmy wydawniczej „Recueil Sircy", do której należą prawa wydawnictwa dzieła Esmeina. Dziś właśnie otrzymałem kurtuazyjną odpowiedź z firmy „Sircy", udzielającą nam prawa tłumaczenia za bardzo dostępną cenę 1500 franków za 1500 egzemplarzy nakładu (licząc po 1 franku za egzemplarz).
Dziś także byłem u ministra sprawiedliwości Aleksandra Żylińskiego dla okazania na prośbę tegoż studenta Kriwickiego protekcji jemu w uzyskaniu posady w Ministerium Sprawiedliwości. Kriwicki jest chłopcem tak zdolnym, wykształconym, wyrobionym i pracowitym, że wart jest posady i pofatygowania się mego osobistego o to. Posada, którą zajmie, stanowczo jeno zyska na tym. Minister Żyliński obiecał mi to zrobić. Wieczorem rozpocząłem wykłady na II semestrze. Dziś dopiero rozpoczęły się zajęcia na uniwersytecie po feriach świątecznych i nikt jeszcze, prócz mnie, nie zaczął wykładać. Ale kurs mój jest tak obszerny, że czasu tracić nie mogę. Studenci nie bardzo się jeszcze zjechali, Uniwersytet świeci jeszcze pustkami, ale do 30 studentów na mój wykład się zebrało, więc audytorium słuchaczy, acz nieliczne, miałem. Za to do colloquium stawili się prawie wszyscy, którym ono na dziś wyznaczone było. Przez trzy tygodnie ferii mieli dość czasu na przygotowanie się.

15 stycznia, rok 1929, wtorek
Miało dziś miejsce posiedzenie Rady Stanu, ale krótkie. Prace komisji prawa wodnego i komisji do ustawy o podatkach samorządowych jeszcze nieukończone, przeto plenum nie ma co robić. Druga z tych dwóch komisji, do której należą Kalnietis, Ciplijewski i Masiulis, pracuje bardzo intensywnie, pierwsza zaś – komisja prawa wodnego, która ma już materiał opracowany (mój memoriał, zawierający krytykę szczegółową działającego prawa wodnego i szeroko rozwinięte studium o francuskiej teorii domen publicznych, których zasadę chcemy zastosować do reformy prawa wodnego, dalej – memoriał generała Dowkonta o prawie morskim i tezy Šilinga o przyszłej ustawy wodnej, wreszcie referat Kalnietisa w sprawie legalności wydanych przez Ministerium Rolnictwa przepisów o gospodarstwie rybnym w wodach państwowych) – powiadam – komisja prawa wodnego w tej chwili próżnuje, albowiem ten materiał jest poddany na razie skalpelowi stylizacji językowej Masiulisa. Co do nadesłanych przez ministra rolnictwa przepisów, raczej projektu przepisów o ograniczeniach handlu nawozami sztucznymi w celu ochrony rolników przed falsyfikatami, w związku z zamierzoną ustawą w tym względzie, to sprawa ta, sama przez się dość skomplikowana, bo zahaczająca o problemy autonomii ustawodawczej Kłajpedy, której Izba Handlowa usiłuje sparaliżować tę reformę, okazała się jeszcze niedojrzała do pracy Rady Stanu nad nią, bośmy dotąd nie otrzymali samego projektu ustawy. Pozostawała więc jedna tylko kwestia na posiedzenie dzisiejsze – mianowicie ułożony przez Šilinga memorialik

do Prezydenta Rzeczypospolitej, uzasadniający domaganie się Rady Stanu przywrócenia szeregu pozycji preliminarza Rady, wykreślonych przez Gabinet Ministrów; memorialik ten, ułożony dość zręcznie, jak to Šiling umie nawiązać misternie różaniec z pozbieranych paciorków myśli cudzych, uzasadnia te żądania naturą przewidywanych prac Rady, których plan czy prospekt schematycznie wykłada. Referacik ten Šiling nam w całości odczytał; odczytywanie swoich elaboratów, w których się Šiling lubuje, to jego słabostka największa: czyta on je z rozkoszą lubieżną smakosza. Referacik, zresztą wcale dobry, został z małymi poprawkami detalicznymi przyjęty.
Resztę dnia spędziłem na pracy w domu. Parę godzin poświęciłem sprawdzaniu ze studentami Sergiuszem Kalistratowem i Jakubowskim dokonanego przez nich tłumaczenia konstytucji Białej Rusi sowieckiej.

16 stycznia, rok 1929, środa
Jadźka zachorowała mi dziś ciężko. Jest mocno zaziębiona i lękam się, żeby to nie było zapalenie płuc. W jej stanie choroby płuc wszelkie przeziębienie jest dla niej niebezpieczne. Dr Ławrynowicz, który ją leczy (obecnie, po kuracji „złotem", przeprowadzonej w jesieni, odbywa ona kurację świetlną i jednocześnie sam doktor zastrzykuje jej ingrediencje odżywcze dla powiększenia wagi jej ciała), wciąż ją przed przeziębieniem ostrzega. Ale pomimo ostrych mrozów, które panowały w tygodniu ubiegłym, Jadzia dużo wychodziła, była też kilka razy w swej szkole, gdzie bardzo mocno marzła, zresztą i nasze mieszkanie jest zimne, przeto o przeziębienie było łatwo. Dziś jeszcze rano wstała jak zwykle wcześnie i wybierała się do szkoły, mimo że się czuła słaba i kaszląca. Zdołałem ją namówić (nie jest to łatwe), aby nie wychodziła z domu i położyła się do łóżka. Jednocześnie dostała dziś menstruacji. Pod wieczór rozchorowała się na dobre, na obiad nic nie jadła, osłabła, wieczorem miała silną gorączkę – przeszło 38 stopni. Jestem bardzo niespokojny o nią.
Na uniwersytecie miałem dziś seminarium prawa konstytucyjnego na IV semestrze. Student Čelkas wygłosił referat na temat stosunku konstytucyjnego Irlandii do Anglii. Referat był bardzo słaby. Kontrreferentem był student Morduch Rudnik, którego kontrreferat był bardzo ładny i treściwy.
Ciąg dalszy mego referatu wileńskiego w dzienniku. Pertraktacje, które piłsudczycy wileńscy z ministrem Staniewiczem na czele rozpoczęli i prowadzą z Antonim Łuckiewiczem jako głową nacjonalistów białoruskich, są podobno dość daleko posunięte. Powiadają w Wilnie (szczegółowo informował mię o tym Ludwik Abramowicz), że dymisja ministra prawicowego Aleksandra Meysztowicza, która nastąpiła tak nagle i zaskoczyła wszystkich akurat w czasie, gdym przyjechał do Wilna, jest właśnie pierwszym owocem realnym tych pertraktacji. Oczywiście, chodzi tu nie tylko o samą osobę Meysztowicza, ale zwłaszcza o kurs polityczny jaskrawie i ostro antybiałoruski, który się z osobą Meysztowicza łączył. Toteż powiadają, że Meysztowicza usunął właściwie Łuckiewicz. Postulatem konkretnym programowym Białorusinów w tych pertraktacjach jest autonomia kraju. Piłsudczycy w zasadzie hasło autonomii akceptują. Czy obie strony tak samo autonomię tę pojmują – to oczywiście jeszcze kwestia. Chodzi tu jednak o autonomię nie samej tylko Wileńszczyzny jako takiej, to znaczy terenu spornego między Litwą a Polską z dodatkiem ewentualnie korytarza wilejsko-dziśnieńskiego (województwo wileńskie), ale o autonomię tych ziem dawnej Litwy historycznej, które obecnie do państwa polskiego należą (a więc województwa wileńskie i nowogródzkie, część białostockiego, bodajże bez Białegostoku, co zaś do województwa pińskiego, czyli Polesia, to nie wiem, czy ma ono być do tej kombinacji wcielone). Byłaby to autonomia raczej Białej Rusi Zachodniej z

Wilnem i pograniczem białorusko-litewskim, niż autonomia Wileńszczyzny. Taka autonomia wzmocniłaby przede wszystkim element białoruski i dałaby mu nawet pewne uprawnienia do Wilna, co ze stanowiska ściśle litewskiego miałoby pewne znaczne minusy, choć może wobec akcji polskiej byłoby i Litwinom na rękę. Kto wie, czy piłsudczycy, o ile na taką kombinację istotnie są iść gotowi w stosunku do Białorusinów, nie mają na myśli celowo różnić Białorusinów z Litwinami, aby na tym poróżnieniu wygrywać.

17stycznia, rok 1929, czwartek
Stan zdrowia Jadzi trochę lepszy, przynajmniej o tyle, że gorączki dziś nie ma; kaszel jednak i katar jest, jest też osłabienie bardzo wielkie po gorączce wczorajszej i humor zły. Jutro sprowadzę doktora. Najgorsze to, że Jadzia od wczoraj od obiadu nic zgoła nie je, co ją osłabia jeszcze bardziej.
Rano miałem czterech studentów do egzaminu. Jeden z nich – Samuel Szwarc – nie zdał, inni zdali dobrze.
Wczoraj otrzymałem z Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej pismo tej treści:
„*Gerb. Prof. Römeriui.*
Kai vienas kūno narys serga, tai negali jo ligos nejusti visas organizmas. Apsirgo mūsų tautos organizmo dalis – šiaurės Lietuva. Nukentėjusios Lietuvos dalios negali neatjausti visa Lietuva. Gi be abejo atjaučia ir laukia progos, kad tam tikras organizuotas visuomenės centras imtųs iniciatyvos. Vadinasi – reikia organizuoti šiaurės Lietuvos šelpimo centrinis komitetas. Jis ir yra p. Prezidentienės kviečiamas ketvirtadienį 16 val.“[3].
Chodzi tu o klęskę nieurodzaju, która na skutek zimnego i mokrego lata ubiegłego nawiedziła pas północny Litwy wzdłuż granicy z Łotwą, zwłaszcza powiat birżański, także rakiski, jezioroski i północną część szawelskiego. Choć skutków nieurodzaju nie można nazwać głodem, to jednak stan jest istotnie ciężki; kartofli prawie wcale nie ma, zboża na siew i na chleb mało, poszor także nędzny.
W drugiej połowie pisma z Prezydentury podany jest spis osób, zaproszonych przez p. Prezydentową Smetonową do Komitetu Pomocy Litwie Północnej. Oto jest spis tych osób: ksiądz prałat Januszewicz, ksiądz dziekan Mironas, pani Michałowa Ślażewiczowa, dyrektorowa Šklerysowa, Galdikasowa, prezes Šaulių Sąjungos Putwiński, ja, dyrektor banku Tilmanas, dyrektor banku Sołowiejczyk, dyrektor banku Zygmunt Starkus, Zygmunt Toliušis, dyrektor fabryki konserw „Maistas” Lapėnas, dyrektor fabryki tytoniu i papierosów Olicki, redaktor Bielinis, prof. Zygmunt Žemaitis i redaktor popularnego pisma dla rolników Bružas.
W spisie tym uwzględnieni są ludzie wszystkich stronnictw litewskich; z chrześcijańskich demokratów są Starkus i Galdikasowa, z ludowców – Toliušis i p. Ślażewiczowa, socjalny demokrata Bielinis. Swoją drogą, spis ten jest ułożony dość chaotycznie. Nie wiadomo dlaczego nie ma w nim nikogo z wojskowych, nie ma energicznego i niezbędnego na wszelkich komitetach generała Nagiewicza, wśród pań nie ma ani jednej ministrowej – w szczególności ani p. Voldemarasowej, ani p. Tubelisowej, która jest rodzoną siostrą Prezydentowej, nie ma szeregu innych osób, które by się do tej pracy nadawały i które lubią i umieją się tym zajmować, nie

[3] „Szan. P. Prof. Römer.
Kiedy jedna część ciała jest chora, nie może tej choroby nie czuć cały organizm. Zachorowała część organizmu naszego narodu – Litwa Północna. Losowi cierpiącej części Litwy nie może nie współczuć cała Litwa. Współczuje ona oczywiście i czeka okazji, by jakieś zorganizowane centrum społeczeństwa podjęło inicjatywę. Znaczy to, że należy zorganizować komitet centralny wspierania Litwy Północnej. P. Prezydentowa zwołuje go na czwartek na godz. 16”.

wiadomo zaś dlaczego i skąd ja się w liczbie zaproszonych znalazłem, bo się nigdy w tego rodzaju przedsięwzięcia nie bawiłem i żadnego doświadczenia ani specjalnej żyłki do tej pracy nie mam, a z Prezydentową znam się bardzo mało.

18 stycznia, rok 1929, piątek
Ze zdrowiem Jadzi jest lepiej. Po obiedzie był sprowadzony dr Ławrynowicz, który stwierdził, że to jest zwyczajna grypa czy influenza, która grasuje w czasach obecnych, że płuca wszakże nie są zaatakowane, ból zaś w boku i plecach pochodzi tylko od mięśni. Powiedział mi też, że stan płuc Jadzi w ogóle znacznie się w tym roku na skutek leczenia systematycznego rozmaitymi kuracjami polepszył. Przepisał jej jedzenie obfite, złożone zwłaszcza ze śmietanki, masła i jaj z wyłączeniem mięsa na razie, albowiem Jadzia niezupełnie jest zdrowa na nerki. W ogóle nic strasznego w jej stanie zdrowia nie ma.
Wyszedł dziś z druku nr 14 czasopisma „Teisė", do którego jako dodatek załączona jest w osobnej odbitce broszurowej, zawierającej 40 stron druku, książeczka moja o nowej konstytucji litewskiej z r. 1928. Jest to pierwsze studium głębsze o tej konstytucji, jakie się dotychczas ukazało. W pracy tej zanalizowałem znaczenie konstytucyjne dwóch przewrotów, które złamały dawną konstytucję sejmową z r. 1922 (przewrót z d. 17.XII. 1926 i akt prezydencki z kwietnia r. 1927 o rozwiązaniu Sejmu bez rozpisania wyborów) i wystudiowałem w szczegółach całą konstrukcję reformy konstytucyjnej, dokonanej przez konstytucję z r. 1928 w stosunku do dawnego ustroju konstytucyjnego z r. 1922. Ciekaw jestem, jak ta moja praca przyjęta będzie przez opinię publiczną i w szczególności jak ją przyjmą koła rządzące i opozycja. W pracy tej starałem się być zupełnie przedmiotowy, nic wszakże nie ukrywając i nic nie zabarwiając ani przejaskrawiając bądź na rzecz aspiracji i upodobań rządzących, bądź na rzecz aspiracji i upodobań przeciwników reformy. Być może koła rządzące wolałyby, aby pewne dyspozycje tej konstytucji przeszły niepostrzeżenie i aby zbytnio kropek na i nie stawiano; być może chodzi im o przemycenie pewnych szczegółów kontrabandą, aby się opozycja i w ogóle szersza opinia publiczna zbytnio nie zorientowała i dlatego mogą one być czasem nierade z krytyki, zbytnio odsłaniającej istotną treść reformy i usuwającej zasłony parawaników, służących do maskowania szczegółów istotnych i rożków cezaryzmu, wyzierających z tej konstrukcji konstytucyjnej. Opozycja zaś, choć może być zadowolona z kładzenia punktów na i, których może czasem sama nie była dostrzegła, pragnęłaby może jaskrawości większej i jakichś wniosków potępiających, nadających mojemu studium prawniczemu przedmiotowemu charakter polityczny i agitacyjny. Zresztą nasza opinia publiczna i dziennikarstwo są tak niemrawe, że może nie wyciągną z mojej pracy żadnych wniosków dla siebie i jej nie dostrzegą nawet. Ale prawnicy dostrzegą ją z pewnością i dostrzeże też młodzież akademicka dla swych studiów seminaryjnych u mnie.
Nie dokończyłem wczoraj o tym Komitecie Pomocy dla Litwy Północnej, który został zainicjowany przez panią Prezydentową Smetonową. Otóż wszyscy zaproszeni z wyjątkiem trzech osób stawili się na posiedzenie. Nie stawił się bez wytłumaczenia przyczyn tylko socjalny demokrata Bielinis, widocznie bojkotujący ze względów politycznych partyjnych inicjatywę Prezydentowej. Natomiast ludowcy w osobie Toliušisa wzięli udział; Toliušis nawet szczególnie podkreślił wagę i użyteczność tej inicjatywy. Nie stawiła się p. Michałowa Ślażewiczowa, ale to dlatego, że, jak się okazało, nie otrzymała zaproszenia, które przez pomyłkę gońca doręczone zostało innej p. Ślażewiczowej. Wreszcie nie stawił się z powodu choroby Putwiński. Projekt organizacji Komitetu Centralnego i krótki zarys akcji ratunkowej ułożony był i odczytany został przez dyrektora „Maistasu" p. Lapėnasa. Na prezesa komitetu

upatrzony był prezes Związku Strzelców Putwiński, który choć na razie nieobecny, został na to stanowisko przez zgromadzonych zaaprobowany. Prezeską honorową została, oczywiście, p. Prezydentowa. Wiceprezesów utworzono dwóch: jednym z nich zostałem na prośbę obecnych ja, choć się wymawiałem i wolałbym tego uniknąć, bo nie mam ani czasu, ani szczególnych umiejętności w takich akcjach. Sekretarz i kasjer komitetu zostali zaaprobowani w osobach tych, których przewidział w swoim szkicu organizacyjnym p. Lapėnas.

19 stycznia, rok 1929, sobota
Jeszcze o Komitecie Wspierania Litwy Północnej albo „Komitecie Wspierania Północy" (w nazwie komitetu wyrazy „Litwy Północnej" zostały zastąpione przez jeden wyraz „Północy" – „Šiaurės Šelpimo Komitettas", albowiem ten fakt, że chodzi o północ Litwy, a nie jakiegoś innego kraju i nie północy jako takiej, znaczy nie Bieguna Północnego, rozumie się samo przez się, przeto nie ma potrzeby komplikowania nazwy). Na posiedzeniu więc pozawczorajszym u p. Prezydentowej Komitet Centralny ukonstytuowany został tak: prezeska honorowa – p. Prezydentowa Smetonowa, prezes – Putwiński, wiceprezesi – ksiądz dziekan Mironas i ja, sekretarz Zygmunt Starkus, skarbnik – adwokat Zygmunt Toliušis. Komitet będzie miał w swym łonie trzy komisje, między które zostają rozdzieleni wszyscy jego członkowie. Komisje te są: organizacyjna, propagandy i zbierania ofiar. Jako sekcje komitetu działać będą odpowiednie komitety powiatowe i gminne, z których te, co powstaną w miejscowościach urodzajnych, będą zbierały ofiary, te zaś, co powstaną w miejscowościach nieurodzajnych, będą rozdzielały zapomogi i zasiłki poszkodowanym. Projekt tej organizacji i zarazem zarys planu akcji opracował na posiedzenie inauguracyjne komitetu dyrektor Lapėnas. Ja wraz z Lapėnasem, Žemaitisem i Starkusem przydzielony zostałem do sekcji organizacyjnej, która dziś odbyła pierwsze posiedzenie z udziałem kooptowanych urzędników tych dykasterii, które mają styczność z akcją zapomogową rządową dla miejscowości, dotkniętych nieurodzajem. W szczególności kooptowani zostali: dyrektor Departamentu Rolnictwa w Ministerium Rolnictwa Apolinary Wienażyński, dyrektor Departamentu Samorządowego w Ministerium Spraw Wewnętrznych Jasiukaitis, dyrektor Departamentu Ochrony Społecznej Szostak, prezes Izby Rolniczej Tallat-Kiełpsz i prezes Izby Handlowo-Przemysłowej Dobkiewicz. Do komisji tej przyłączył się też członek Komitetu Centralnego fabrykant Olicki. Komisja ukonstytuowała się, wybierając na prezesa Lapėnasa, na wiceprezesa – Dobkiewicza i na sekretarza – Starkusa. Z pewnymi poprawkami komisja przyjęła projekt statutu komitetu, wybrała dwie podkomisje, jedną – do opracowania projektu organizacji komitetów powiatowych i gminnych i drugą – do opracowania zasad i wzorów rachunkowości. Poza tym przedyskutowała i ustaliła szereg innych szczegółów organizacji.
O godz. szóstej wieczorem w sali posiedzeń Trybunału odbyło się doroczne ogólne zebranie członków Litewskiego Towarzystwa Prawniczego. Na przewodniczącego powołany został Kalnietis. Zebranie wysłuchało sprawozdania zarządu, redakcji „Teisė" i komisji rewizyjnej i wybrało zarząd na rok następny w osobach tych samych co dotąd członków: prof. Kriščiukaitisa, adwokata Toliušisa, prezesa sądu okręgowego Grigaitisa, mnie i prof. Janulaitisa. Dalej były wygłoszone referaty przez prof. Stankiewicza (o Enrico Ferrim) i podprokuratora Kavolisa. Na referatach tych nie byłem, bo musiałem śpieszyć gdzie indziej.

20 stycznia, rok 1929, niedziela

Rano byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Prócz rozpoznawania zwykłych spraw bieżących – różnych podań studenckich o przyjęcie, o przeniesienie itd., była rozpoznawana powtarzająca się co roku sprawa konfliktu między prywat-docentem Feterowskim, wykładającym kurs obowiązkowy arytmetyki politycznej, a jego słuchaczami – studentami sekcji ekonomicznej. Stwierdzone zostało, że źródło tych ciągłych konfliktów tkwi przede wszystkim w zupełnie niewystarczającym przygotowaniu się studentów do studiów tego przedmiotu. Wobec tego, choć są w tym konflikcie pewne niedokładności ze strony także lektora Feterowskiego, który pewnymi odezwaniami się mógł podrażnić studentów i który nadaje colloquiom wagę, której one mieć nie mogą, mianowicie traktuje je jak pewnego rodzaju egzamin, to jednak studenci w tym konflikcie przegrają, bo wydział postanowił wprowadzić egzaminy z matematyki w zakresie kursu gimnazjalnego jako kryterium zapisania się na sekcję ekonomiczną i specjalnie dla ekonomistów podnieść minimum egzaminów przy przejściu z IV semestru na V, aby ich wprząc bardziej do pracy systematycznej.
Podniesiona też została na posiedzeniu dzisiejszym przez dziekana prof. Leonasa kwestia promocji w profesurze wydziału. Wobec projektu reformy uniwersyteckiej, który nie został przez rząd zaniechany i który przewiduje skasowanie instytucji docentów, pozostawiając obecnych docentów poza nawiasem uniwersytetu, niektóre wydziały promowały w semestrze ubiegłym niektórych docentów swoich na profesorów nadzwyczajnych. Wobec tego i nasz dziekan Leonas zwołał w piątek komisję promocyjną wydziału, która się składa z dziekana Leonasa i profesorów zwyczajnych Kriščiukaitisa i Janulaitisa, dla zastanowienia się, czy nie należy zarządzić promocji i u nas. Komisja zakwalifikowała do promocji docenta Albina Rimkę – na profesora nadzwyczajnego i profesora nadzwyczajnego Wacława Biržiškę – na profesora zwyczajnego. Propozycję komisji Leonas wniósł na posiedzenie. Kandydatura Biržiški została jednak na jego prośbę zdjęta, zaś w sprawie wniosku o promocję Rimki wyznaczono komisję dla zbadania szczegółowego jego kwalifikacji – to znaczy jego prac naukowych, dokonanych przez czas docentury. Prof. Mačys na własną rękę wystąpił z wnioskiem promocji docenta Stankiewicza na profesora nadzwyczajnego. Do komisji dla zbadania szczegółowego jego kwalifikacji wyznaczono prof. Mačysa, Kriščiukaitisa i mnie. Mam wrażenie, że Mačys złą oddał Stankiewiczowi usługę, bo Stankiewicz przez czas pobytu na uniwersytecie żadnych prac naukowych nie ogłosił, a jedyna jego książka, ogłoszona w związku z jego działalnością wykładową – podręcznik prawa karnego – był przezeń napisana i ogłoszona przed rozpoczęciem wykładów na uniwersytecie, toteż chyba komisja będzie zmuszona wniosek o jego promocję uchylić, co Stankiewicza musi zaboleć, bo rości on pretensję do promocji i kiedyś nawet, gdy chodziło o promocję kogoś innego, czynił wyrzuty Leonasowi za to, że go pominięto. Dziwni ludzie – chcą awansów w profesurze, a robić i wykazać się pracą naukową nie chcą. Stankiewicz jest tak pochłonięty adwokaturą, że na pracę naukową czasu nie ma. Trudno zaś, by uniwersytet udzielał tytułów naukowych za dobre obrony karne albo li tylko za zręczną wymowę na wykładach. W ogóle kwestia promocji profesorskiej jest dla wielu kwestią bardzo bolącą: jedni, jak Stankiewicz, a może i niektórzy inni, chcieliby awansować nic nie robiąc, inni, jak Šalčius i Morawski, robią bardzo dużo i czują się przeto pokrzywdzeni, ale prace ich są albo kompilacyjnymi i nieoryginalnymi, jak Šalčiusa, albo zupełnie niezdarnymi, choć niezwykle pracowitymi, jak Morawskiego, i nie mogą być przez wydział bez narażenia się na śmieszność traktowana jako tytuł naukowy do profesury.
Šalčius zgłosił dziś nową pracę swoją o teorii kooperacji jako dysertację doktorancką. Ocenę tej pracy zlecono Rimce, Jurgutisowi i Jungferowi.

21 stycznia, rok 1929, poniedziałek
Wczoraj o godz. czwartej po obiedzie w pałacu Prezydenta Rzeczypospolitej odbyło się drugie posiedzenie Komitetu Wspierania Północy. Obecni byli: p. Prezydentowa Smetonowa, panie Šklerisowa i Galdikienė, panowie: ks. Prałat Januszewicz, prezes Izby Handlowo-Przemysłowej Dobkiewicz, dyrektor fabryki Olicki, prof. Zygmunt Žemitis, dyrektor Departamentu Opieki Społecznej Szostak, adwokat Zygmunt Toliušis, dyrektor Lapėnas, redaktor Bružas, dyrektor Zygmunt Starkus i ja. Komitet wysłuchał sprawozdania komisji, przedyskutował wnioski tychże, wybrał komisję rewizyjną, przyjął statut komitetu i polecił swemu sekretarzowi Starkusowi zarejestrować organizacje u naczelnika powiatu, zaakceptował odezwę zasadniczą do społeczeństwa o utworzeniu komitetu, opracowaną przez komisję propagandy i na tym czynności swe zawiesił do następnego posiedzenia, które się odbędzie za tydzień.
Dziś do obiadu byłem zajęty w Radzie Stanu, biorąc udział w stylizowaniu językowym przez Masiulisa mego memoriału o reformie prawa wodnego. Wieczorem miałem wykład na II semestrze i colloquium bieżące.

22 stycznia, rok 1929, wtorek
Posiedzenie Rady Stanu. Rząd zwrócił się do Rady, polecając jej rozpoznanie projektu ustawy o handlu nawozami sztucznymi z uwzględnieniem ustawodawstwa kłajpedzkiego w tej kwestii. Jednocześnie minister rolnictwa przysłał do rozpoznania i uzgodnienia z powyższym projektem ustawy projekt przepisów wykonawczych. Projekt ustawy, którego szczegółowo jeszcze nie przestudiowałem, przewiduje monopol handlu nawozami sztucznymi na rzecz kooperatyw, stowarzyszeń rolniczych i pewnych specjalnych kategorii kupców, normując jednocześnie import i handel tego artykułu rolnictwa w kierunku zwalczania falsyfikatów. Ten projekt ustawy jest nacechowany wybitnie względami ochrony interesów rolnych. Otóż Kłajpeda, która trzyma w ręku ten import i pośrednicząc w dostarczaniu nawozów do handlu na Litwę, uprawia falsyfikację tychże, protestuje przeciwko temu projektowi ustawy: Izba Handlowa kłajpedzka wystosowała memoriał przeciwko projektowi i zaprojektowała kontrprojekt; wszystko to skierowane zostało do Rady Stanu do zaopiniowania. Rada Stanu wyłoniła komisję do wystudiowania tej sprawy w osobach: generała Dowkonta, Papečkysa i mnie.

23 stycznia, rok 1929, środa
Na seminarium prawa konstytucyjnego dzisiejszym miał miejsce ładny referat studenta Leopolda Piotrowskiego na temat: „Prezydent Rzeszy Niemieckiej i Prezydent Rzeczypospolitej we Francji”. Kontrreferat studentki Łucji Dowgirdówny był słabszy od referatu. W ogóle w tym roku kontrreferaty przeważnie szwankują i często nie dorastają nawet poziomu referatu.
Jeszcze słówko ostatnie na dokończenie mojej relacji wrażeń i spostrzeżeń wileńskich w dzienniku. W związku z flirtem, rozpoczętym przez piłsudczyków z Białorusinami w osobie Antoniego Łuckiewicza i wysunięciem hasła programowego autonomii Wileńszczyzny, a raczej Białej Rusi Zachodniej z Wilnem, redaktor „Przeglądu Wileńskiego” Ludwik Abramowicz jest angażowany do objęcia redakcji „Kuriera Wileńskiego”, organu piłsudczyków-demokratów wileńskich, w którym postulat autonomii ma być propagowany. Propozycję taką Ludwik Abramowicz otrzymał od grupy „Kuriera Wileńskiego”, na której czele stoi brat Ludwika, senator Witold Abramowicz, a w czasie mojej bytności w Wilnie konferował z nim o tym minister Staniewicz. Rzecz ta nie jest ostatecznie rozstrzygnięta, bo zresztą i układ z Białorusinami jeszcze nie stanął. Ludwik Abramowicz jeszcze się sam waha. Musiałby

on, oczywiście, zwinąć wydawnictwo „Przeglądu Wileńskiego”, który jest jedyną, bardzo ważną i bardzo umiejętnie świetnym piórem Ludwika prowadzoną placówką prasową idei państwowej wielkolitewskiej w myśli krajowej polskiej. Zaniedbanie takiej placówki stanowiłoby oczywiście stratę poważną, toteż Ludwik Abramowicz waha się. Choć „Przegląd Wileński” z jego ideologią państwową wpływów dużych nie posiada i na ogół jest osamotniony w opinii publicznej, to jednak prasa i myśl polska się z nim liczy, a przez samą egzystencję swoją żłobi on pewne łożysko odpowiedniemu prądowi. Ludwik Abramowicz chciałby w tej kwestii wysłuchać poważnego zdania Litwinów, chciałby się poradzić. Konferował on o tym ze mną, konferował z Michałem Biržišką. Choć sprzyja on postulatowi autonomii jako pewnemu krokowi na drodze państwowości kraju i dlatego gotów jest temu postulatowi służyć, choć go za ostateczny nie uważa bynajmniej i tym się od piłsudczyków różni, jednak redagując ich pismo w imię tego postulatu musiałby się do ich koncepcji, uważającej to za maximum, zastosować i własne, dalej sięgające aspiracje, zataić, a może nawet czasem je – w imię zasady „*le mieux est l’ennemi du bien*”[4] – zwalczać albo pozwalać na ich zwalczanie w redagowanym przezeń piśmie. To by go wobec Litwinów mogło postawić w świetle fałszywym i zaszkodzić jego porozumieniu z nimi, mogącemu się przydać w przyszłości na działanie na dalszą już metę. Kontakt zaś z Litwinami i zaufanie między sobą a nimi ceni on jako atut trwały, użyteczny dla dalszych, choć też nie ostatecznych postulatów, które, acz nie ostateczne, wystarczą już na jego życie. W najostateczniejszych bowiem wnioskach idea koncepcji Ludwika Abramowicza różni się od litewskiej narodowej; Litwini są rzecznikami państwa litewskiego narodowego, któremu też konsekwentnie zakreślają granice powiatów brasławskiego, święciańskiego, wileńskiego, oszmiańskiego, lidzkiego, grodzieńskiego i sejneńskiego, Ludwika zaś Abramowicza ideałem jest stara Litwa historyczna, ogarniająca Litwę narodową i Białoruś – przynajmniej w granicach polsko-sowieckiego Traktatu Ryskiego, a właściwie z poprawkami na rzecz Mińska i dalszych nawet terenów białoruskich na wschód.

24 stycznia, rok 1929, czwartek
Rano – egzaminy. Trzech studentów zdawało: Gruodis (ekonomista VI semestru), Monika Zubrytė (ekonomistka IV semestru) i Samuel Szwarc (prawnik VI semestru). Dwaj ostatni – Zubrytė i Szwarc – zdawali po raz drugi, za pierwszym bowiem razem nie zdali. Obecnie Szwarc i Zubrytėzdali dobrze, Gruodis – celująco.
Od południa przez parę godzin pracowałem z Kriwickim nad sprawdzaniem tłumaczenia Esmeina.
O godz. czwartej w redakcji „Lietuvos Aidas” odbyło się posiedzenie komisji organizacyjnej Komitetu Wspierania Północy. Przewodniczył Lapėnas, obecni byli: dyrektor Departamantu Samorządowego Jasiukaitis, przezes Izby Rolniczej Tallat-Kiełpsz, dyrektor Departamentu Rolnictwa Apolinary Wienażyński, fabrykant Olicki i ja. Žemaitis i Starkus nie przyszli. Omawiane były zasady rachunkowości i wzory ksiąg kasowych i kwitariuszy oraz zasady organizacji komitetów powiatowych i gminnych. Przyjęto cały szereg wniosków organizacyjnych do zgłoszenia na plenum. Element urzędniczy w komisji organizacyjnej, reprezentowany przez dyrektorów departamentów, mających styczność z akcją pomocy miejscowościom poszkodowanym, stara się osłabić wrażenie klęski nieurodzajowej i ostrzega przed zbytnim rozpalaniem alarmizmu, który jeno rozwinie pasożytnictwo i wywoła sztuczne pożądanie zasiłków, osłabiając tempo pracy i energii na miejscu i wnosząc pewną dezorganizację w stosunki społeczne i państwowe. Zapewne urzędnicy skłonni są żywić pewną niechęć do akcji

[4] Lepsze jest wrogiem dobrego (fr.).

społecznej, zakłócającej ich metody biurokratyczne rządzenia i opiekowania się potrzebami społecznymi, ale poniekąd mają oni rację przestrzegania przed przesadą: nieurodzaj jest, epizodycznie jest bieda, ale klęski głodowej, nieszczęścia masowego, jakiejś plagi straszliwej – nie ma. Nasze strony rakiskie należą właśnie do dotkniętych, a przecież jakiejś katastrofy żywiołowej właściwie tam nie ma.
Jadzia już zdrowa i dziś pierwszy raz po chorobie poszła do szkoły.
Nie dokończyłem wczoraj o Ludwiku Abramowiczu. Między nim a Litwinami jest różnica dość głęboka i zasadnicza w koncepcji państwowej litewskiej. Dla Litwinów Pogoń jest znakiem narodowym i chcą oni przeto dać Pogoni państwo narodowe litewskie, dla Ludwika Abramowicza – Pogoń jest znakiem historycznym zespołu ziem litewsko-białoruskich w wielkie państwowości wspólnej. Jeżeli wszakże dziś Ludwik Abramowicz czuje się solidarnym z Litwinami w ich sporze państwowym z Polską o niepodległość i o Wilno i unika ujaskrawiania tego, co go w dalszych konsekwencjach od Litwinów różni (choć tego nie ukrywa wcale), to dlatego, że w ruchu narodowym litewskim i jego wnioskach wybitnie państwowych dostrzega on jeden z mocnych pierwiastków usamodzielnienia kraju – choćby na razie pewnej jego części – jako etapu do dalszego w przyszłości rozwoju i rozszerzenia ram idei państwowej. W obecnym stadium ceni on i wita wszystkie te prądy, które dziś na indywidualności kraju się opierają i z niej budują. Dlatego w Litwie Niepodległej i Litwinach dostrzega on sprzymierzeńców bez względu na różnice wniosków dalszych.

25 stycznia, rok 1929, piątek
Plenum Rady Stanu. Posiedzenie trwało bardzo krótko. Poszczególne prace toczą się na razie w komisjach – wodnej, podatków samorządowych, nawozów sztucznych. Plenum nie ma co robić. Postanowiono zabrać się już po trochę do pracy nad najpilniejszymi nowelami wstępnymi do wielkiej reformy prawa cywilnego. Do pracy nad szeregiem nowel z zakresu prawa handlowego, raczej do zaprojektowania organizacji tej pracy, uwzględniając rozpoczęte już poprzednio w Ministerium Sprawiedliwości i częściowo zredagowane w odnośnych projektach prace – w szczególności w zakresie rejestracji handlowej, ochrony kredytorów, ustawy o czekach i ustawy wekslowej – wyłoniona została komisja w osobach Ciplijewskiego, Kalnietisa i Masiulisa, zaś zawiązek komisji do wystudiowania zasad wstępnych reformy hipoteki został utworzony w osobach Ciplijewskiego i mojej.
Dowiedzieliśmy się od Šilinga, że już zapadła u góry decyzja o powołaniu do Rady Stanu dwóch nowych członków, tym razem bardzo trafnie upatrzonych i ze wszech miar pożądanych – prof. Janulaitisa i Zygmunta Starkusa. Są to rzeczywiście najlepsze kandydatury, jakich pożądać można. Po dwóch nominacjach ostatnich, które uważam za chybione – generała Dowkonta i Papečkysa – zyskalibyśmy dwie siły pierwszorzędne, które by znakomicie powagę Rady Stanu podniosły i posłużyły wydajności jej pracy. Ze Starkusem Šiling już się rozmówił i uzyskał jego zgodę, obecnie zaś ma się zwrócić z propozycją formalną do Janulaitisa.
Wieczorem miałem wykład i colloquium na II semestrze. W liczbie wezwanych dziś na colloquium trafił się unikat – jedyny na uniwersytecie naszym i pierwszy dotąd student staroobrzędowiec Rosjanin („starowier" – ze starowierów krajowych z pow. uciańskiego), niejaki Filimon Archipow. Staroobrzędowiec inteligent – to rzadkość taka sama, jak Cygan inteligent. Ucieszyłem się z tego odkrycia, bo to zresztą zdolny i pełny charakteru lud, w dodatku – zupełnie krajowy.

26 stycznia, rok 1929, sobota

O godz. jedenastej miałem w Radzie Stanu pierwsze posiedzenie „komisji nawozów sztucznych”. Generał Dowkont zachorował i nie przyszedł. Byliśmy więc tylko we dwóch z Papečkysem. Ponieważ jednak dotąd nie mieliśmy całego materiału (wzory odpowiednich ustaw o handlu nawozami sztucznymi w Niemczech, Francji, Danii, Finlandii, Rosji z czasów caratu przed rewolucją), więc odroczyliśmy posiedzenie właściwe do środy dla zapoznania się z materiałem rzeczowym.
O godz. pierwszej w gabinecie prezesa Trybunału Kriščiukaitisa odbyło się posiedzenie zarządu Litewskiego Towarzystwa Prawniczego w pełnym składzie (Kriščiukaitis, Toliušis, Grigaitis, Janulaitis i ja). Podzieliliśmy na rok bieżący funkcje między członkami zarządu tak samo, jak w roku zeszłym. Przyjęliśmy ofertę firmy wydawniczej paryskiej „Recueil Sircy”, żądającej 1500 franków zapłaty za udzielenie nam prawa wydania tłumaczenia litewskiego książki Esmeina „Éléments du Droit Constitutionnel”. Poza tym załatwiliśmy kilka drobniejszych spraw bieżących i omawialiśmy wydanie książki pamiątkowej z okazji jubileuszu 10-lecia sądownictwa. Materiał na tę książkę jest obficie zebrany; składa się on ze sprawozdań sądowych i różnych wspomnień i epizodów oraz przyczynków, napisanych *ad hoc* przez pionierów sądownictwa litewskiego z czasów jego tworzenia i pierwszych 2-3 lat działania. Chodzi teraz o uporządkowanie tego materiału do druku.
Po obiedzie pracowałem ze studentami Sergiuszem Kalistratowem i Jakubowskim nad sprawdzaniem tłumaczenia konstytucji BSSR, później wieczorem odbyłem w mieszkaniu pracę seminaryjną z dwoma studentami – referentem Bronisławem Antanėlisem i kontrreferentem Dawidem Funkiem. Temat referatu był: analogia i różnice między ustrojem państwowym Prus i tzw. ustrojem dyrektorialnym. Referat był wcale dobry, ale kontrreferat Funka był znakomity.
Postaram się jutro lub w dniach najbliższych zreferować w dzienniku moją rozmowę dzisiejszą z prof. Czapińskim.

27 stycznia, rok 1929, niedziela
O godz. czwartej w pałacu Prezydenta Rzeczypospolitej odbyło się pod przewodnictwem pani Prezydentowej posiedzenie plenarne Komitetu Wspierania Północy. Obecni byli: p. Prezydentowa, p. Galdikasowa, p. Šklėrysowa i panowie: Lapėnas, Starkus, Dobkiewicz, prof. Žemaitis, Szostak, Tallat-Kiełpsz, Wienażyński, Bružas, Toliušis, ks. Januszewicz, Olicki, Sołowiejczyk i ja. Omówiono szereg spraw bieżących, dotyczących organizacji, propagandy i zbierania ofiar.
Na obiedzie byłem z Jadzią w restauracji „Metropol”.
Zresztą siedziałem w domu z głową, spowitą w ciepłą chustkę. Od paru tygodni mam dokuczliwy ból newralgiczny w zębach, szczękach i wszystkich kościach twarzy. Surowa zima, chłody, zimne mieszkanie utrzymują i przedłużają ten ból. Nie bardzo się spodziewam jego zupełnego ustania przed latem.

28 stycznia, rok 1929, poniedziałek
Pracowałem dziś w domu do wieczora. Wieczorem dopiero wyszedłem – na wykład do uniwersytetu. Na wykładzie dziś mówiłem o rewolucji i przewrocie. Staram się wykładać forsownie w tym roku, aby jak najwięcej zdążyć wyczerpać program, ale oczywiście nie zdążę, bo nie dalej posunąłem się dotąd, niż się w tym samym czasie byłem posunął lat poprzednich. Jeżeli z jednej strony zyskuję na forsowności, to z drugiej strony tracę na tym, że kurs jest w tym roku nieco obszerniejszy, niż lat poprzednich. Przybyło bowiem kilka rozdziałków nowych i niektóre dawne zostały mniej lub więcej rozszerzone. I to dotyczy nie tylko tego, co dotąd już w wykładach odrobiłem, ale także tego, co mi jeszcze do odrobienia pozostaje. Tylko w colloquiach

w tym roku nieco szybciej postępuję naprzód, mimo że ogólnie ilość studentów się zwiększyła. Za parę tygodni – w połowie lutego – zakończę colloquia I semestru i rozpocznę colloquia semestru II.
Studiuję mozolnie projekt ustawy o wyrobie i handlu nawozami sztucznymi w związku z odpowiednim ustawodawstwem innych krajów i z zastrzeżeniami, zgłoszonymi przez Izbę Handlowo-Przemysłową Kłajpedy. Jest to dla mnie dziedzina dość egzotyczna, w której się nie czuję biegły.

29 stycznia, rok 1929, wtorek
Posiedzenie krótkie Rady Stanu (plenum). Zatwierdzony został ostatecznie opracowany przeze mnie memoriał Rady do rządu w sprawie reformy prawa wodnego łącznie z opracowanymi przez prezesa Šilinga tezami tej reformy oraz referacik Kalnietisa w przedmiocie legalności wydanych przez Ministerium Rolnictwa przepisów o gospodarstwie rybnym w wodach państwowych.
Z ramienia Komitetu Wspierania Północy – stosownie do uchwały ogólnej komitetu i do udzielonego mi w szczególności polecenia – udałem się dziś do ministra sprawiedliwości Aleksandra Żylińskiego, do prezesa Trybunały prof. Kriščiukaitisa, do prokuratora Trybunału Kalvaitisa i do prezesa Sądu Okręgowego w Kownie Grigaitisa – dla uproszenia tych panów do podjęcia każdy w swoim zakresie – inicjatywy dobrowolnego obłożenia się pracowników odpowiednich instytucji pewnym stałym datkiem miesięcznym (w ciągu 6 miesięcy) na rzecz ludności dotkniętych przez nieurodzaj części kraju (przewiduje się ofiara od 1 do 5 proc. pobieranej pensji). Wszyscy ci panowie zgodzili się chętnie podjąć się tej inicjatywy.
Rozpocząłem dziś ze studentami Kazėnasem i Slavinasem pracę nad ostatecznym przygotowaniem do druku tłumaczenia konstytucji Irlandii. Po wydrukowaniu w r. 1927 i 1928 dziesięciu tłumaczeń różnych konstytucji redakcja czasopisma „Teisė”, która je drukowała w dodatku do tego czasopisma, nadal drukować ich już nie życzyła, wobec czego byłem przerwał tę pracę. Teraz się okazało, że Wydział Prawniczy gotów jest podjąć się nakładu ciągu dalszego tego zbiorku tłumaczeń konstytucji. Wznowiłem więc pracę, którą w tym semestrze będę wykonywał z pomocą stałą studenta Kazėnasa, jak w przeszłym roku czyniłem to z pomocą Witolda Mykolaitisa, a pozaprzeszłym – Pawła Spudy. Na ten semestr wyznaczyłem do przygotowania cztery konstytucje następujące: Irlandii, Holandii, Polski (konstytucja z d. 17.III.1921) i Austrii.

30 stycznia, rok 1929, środa
Rano z Papečkysem odbyliśmy w Radzie Stanu posiedzenie komisji nawozów sztucznych. Ponieważ trzeci członek tej komisji – generał Dowkont – jest chory, więc my dwaj z Papečkysem stanowimy całą komisję. We dwoje przejrzeliśmy cały tekst projektu ustawy i uprzytomniliśmy sobie wszystkie kwestie, które mogą powstawać lub budzą u nas te lub inne wątpliwości. Są to kwestie dwojakiej natury: jedna – natury zewnętrznej, dotyczące uzgodnienia tej zamierzonej reformy z odpowiednim ustawodawstwem Kłajpedy albo też znalezienie takich formuł tejże, które dadzą możność jej wykonania pomimo nierozciągnięcia tej ustawy na Kłajpedę; nie jest to zadanie łatwe, bo sprawa produkcji i handlu nawozów sztucznych należy na terytorium Kłajpedy do jej ustawodawstwa autonomicznego: zachowanie zaś w jednej części terytorium państwowego zasad wolnej produkcji i wolnego handlu czyni system ograniczeń i kontroli na pozostałym terytorium z pewnych względów niewykonalnym, o ile te dwie części nie będą oddzielone pewną kontrolą granicy, co by się sprzeciwiało ogólnemu dążeniu Litwy do jak największego zespolenia, nie zaś odgrodzenia Kłajpedy; druga kategoria kwestii jest natury wewnętrznej: chodzi o zasadę przewodnią

unikania wszelkich skrępowań produkcji i handlu oraz wolnej inicjatywy, o ile te ograniczenia nie wypływają ściśle z konieczności obrony przed niebezpieczeństwem falsyfikacji, stanowiącej samo założenie, samą *„raison d'être”*[5] reformy. Będziemy musieli z Papečkysem poświęcić jeszcze jedno posiedzenie ustaleniu samych kwestii, po czym zabierzemy się do roboty nad ich rozstrzyganiem.
Na obiedzie miałem Eugeniusza Falejewa. Przyjechał, wezwany przez swego adwokata (Nargiełowicza) w sprawie Purpiszek, o których oddanie mu z zarządu państwowego czyni starania jako opiekun nad funduszem zaginionego (właściwie już zmarłego na Krymie) brata lub ewentualnie jego spadkobiercy. Bankructwo zeszłoroczne rakiskiego oddziału banku „Ūkininkų Sąjungi”, spowodowane przez defraudację i ucieczkę byłego kierownika tego oddziału Rimšę, bardzo zachwiało materialnie Falejewa. Jest on bankrutem bez wyjścia, o ile tylko nie uda mu się spieniężyć rodzinnych Purpiszek. Stracił już dzierżawę Antonosza i siedzi beznadziejnie w długach wekslowych.
Na seminarium prawa konstytucyjnego dzisiejszym na porządku dziennym był referat studenta Bulavasa pt. „Prezydent Rzeczypospolitej w USA, Czechosłowacji i Litwie”. Kontrreferentem był student Stanisław Żakiewicz, który wygłosił tak świetny kontrreferat, że byłem nim po prostu olśniony. Równy jemu był tylko kontrreferat Tomkusa przed trzema laty i Girsztowta przed dwoma laty. Innych referatów tej miary nie przypominam sobie. Toteż wypadło mi sypnąć pełną garścią komplementy Żakiewiczowi, co też tak gorliwie z wielkim przejęciem i ku ogromnej uciesze całego audytorium uczyniłem, że Żakiewicz aż się rozpływał z rozkoszy. Te moje pochwały, których nie szczędzę, gdy praca studenta jest tego warta, są wielce przez studentów cenione. Stanisław Żakiewicz, który się dziś odznaczył, jest, zdaje się, narzeczonym swej koleżanki, studentki Marii Biržiškówny, córki prof. Michała Biržiški. Biržiškówna i Żakiewicz należą do jednego semestru, oboje bardzo pilnie uczęszczają na wykłady i są zawsze razem jak dwa „inséparables”[6]. Żakiewicz pochodzi z rodziny inteligenckiej – jest, zdaje się, synem weterynarza.

31 stycznia, rok 1929, czwartek
Radio z Warszawy (komunikat prasowy Polskiej Agencji Telegraficznej) doniósł dziś wieczorem ciekawe i osobliwe rzeczy z Litwy, o których my, mieszkańcy stolicy litewskiej, nic nie wiemy, choć się te rzeczy właśnie w stolicy wydarzyć miały. Są to pogłoski o niedoszłym zamachu stanu w Kownie, wymierzonym przeciwko rządowi premiera prof. Voldemarasa. Przywódcą niedoszłego zamachu stanu miał być głośny Plechowicz, a wspólnikiem konspiracji, mającej „uwolnić” Litwę od „dyktatora” Voldemarasa, miał być sam Prezydent Rzeczypospolitej Antoni Smetona. Pierwsza wieść o tym zamachu została przez PATa puszczona w świat pod firmą pogłosek, które się dziś szeroko rozeszły po Wilnie. Podług tych pogłosek, Plechowicz na czele ośmiu oficerów miał rzekomo udać się do Voldemarasa, zgłaszając mu jakieś żądania, wszakże Voldemaras nie tylko że się im oparł, ale jeszcze zdołał zarządzić aresztowanie Plechowicza i jego towarzyszy. „Pogłoski wileńskie” zostały w dalszym ciągu sprecyzowane przez dwa doniesienia, z których pierwsze – datowane z Berlina, drugie – nie pamiętam czy z Gdańska, czy Królewca, czy Rygi. W myśl tych informacji, Plechowicz miał stać na czele spisku wojskowego przeciwko Voldemarasowi; do spisku tego był także wmieszany prezydent Smetona, który o nim wiedział i sprzyjał jemu; Plechowicz działał w porozumieniu ze stronnictwami opozycyjnymi, odbywszy poprzednio konferencje z przywódcami chrześcijańskich demokratów, ludowców i socjaldemokratów (!); spisek miał w d. 8 lutego dokonać zamachu w sposób

[5] Racja bytu (fr.).
[6] Nierozłączni (fr.).

analogiczny do zamachu stanu z d. 17 grudnia 1926; Voldemaras wszakże przez licznych szpiegów swoich został o spisku zawczasu poinformowany i udaremnił go; Plechowicz został usunięty ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego; Voldemaras zwyciężył i prawdopodobnie prezydent Smetona będzie zmuszony dymisjonować; wojsko wszakże jest usposobione do Voldemarasa niechętnie, a Plechowicz nie chce się z usunięciem go ze stanowiska [pogodzić]; spiskowcy zamierzali po dokonaniu zamachu powołać do rządu lidera Chrześcijańskiej Demokracji, byłego ministra Bistrasa albo byłego premiera Gałwanowskiego. Takie są sensacyjne rewelacje PATa o „wypadkach" kowieńskich. Wieści te, które fantazja ubrała w cały system logiczny faktów zmyślonych, są nie tyle wyssane z palca, ile osnute na kanwie dymisji Plechowicza, która jest prawdziwa, i tych komentarzy, jakie opinia lokalna wysnuwa z tej dymisji. Jest to fantastyczne ujaskrawienie tych komentarzy i dorobienie do nich szczegółów dowolnych, odpowiadających zapewne życzeniom niektórych kół za granicą i w szczególności w Polsce.
Rano studenci zdawali dziś u mnie egzaminy. Zgłosiło się do egzaminu czterech. Z nich jedną – byłą studentkę Helenę Masiulisównę – nie przyjąłem do egzaminu, bo nie ma odbytego seminarium, przesłuchała u mnie wykłady w tym czasie, kiedy już seminarium prawa konstytucyjnego funkcjonowało, choć sama należy do semestru, który jeszcze seminarium nie miał. Z trzech pozostałych – były student Šliogeris i student VI czy VIII semestru Witold Mačys – zdali egzamin bardzo dobrze, studentka zaś Estera Blochówna, bardzo miła panienka, uzdolniona artystycznie, która zawsze podczas seminariów moich szkicowała podobizny moje i ma całą kolekcję szkiców podobizn profesorów, zdawała egzamin bardzo słabo i tylko przez wzgląd na jej pilność i na trudność, z jaką się wysławia po litewsku, zdecydowałem się zakwalifikować jej odpowiedź stopniem „dobrze". Męczył mię bardzo ból newralgiczno-zębowy.

1 lutego, rok 1929 , piątek
Ból newralgiczny kości policzkowych i szczęk mam coraz dokuczliwszy; zbiera mi się na wrzód gdzieś między lewą szczęką górną, policzkiem i nosem. Dzień dzisiejszy jeszcze się przemęczę ze względu na wykład, którego nie chcę opuszczać, ale już jutro się położę na parę dni.
Rano miało miejsce krótkie posiedzenie Rady Stanu, na którym my z Papečkysem poinformowaliśmy Radę o zagadnieniach, powstających w związku z projektem ustawy o nawozach sztucznych.
Co do wczorajszych komunikatów radia warszawskiego o rzekomych „wypadkach" kowieńskich, to ludzie, którym to opowiadałem – członkowie Rady Stanu, profesorowie – przeważnie żartują z tego, ale, na przykład, pani Felicja Bortkiewiczowa powiada, że w ogólnych zarysach odpowiada to rzeczywistości. Że coś tam było, że Plechowicz myślał o usunięciu Voldemarasa, że Voldemaras postanowił uwolnić siebie i rząd od krępującej opieki i interwencji kliki spiskowców grudniowych, którzy po pierwszym, przewrocie nie zadowolili się rolą spełnioną, lecz zaciążyli na stałe nad nowym rządem i chcieli wykonywać jego kontrolę – to prawda, jak i wiele innych rzeczy w tych pogłoskach.

2 lutego, rok 1929, sobota
Położyłem się dziś do łóżka, to znaczy – nie wstawałem wcale. Zrobiło mi to bardzo dobrze. Zagrzałem się, wszelki ból w kościach twarzy ustał, dziąsła górne lewe i dołek między lewą kością policzkową, nosem i lewą szczęką górną wypuchły nieco. Czułem jednak szum w głowie i lekki ból lumbagowy w mięśniach krzyża. Poleżę jeszcze przez dzień jutrzejszy.

3 lutego, rok 1929, niedziela
Czułem się już znacznie lepiej. Trochę wstawałem nawet, jakieś ze cztery godziny spędziłem na pracy przy biurku. Wieczorem jednak miałem lekki stan gorączkowy. Było mi gorąco, chciałem się odkrywać, w ustach mi schło, chwilami potniałem, nie mogłem do północy zasnąć. Doszedłem do przekonania, że jest to tzw. grypa, która grasuje obecnie. Na dworze dziś znacznie ocieplało: jest tylko kilka stopni mrozu.

4 lutego, rok 1929, poniedziałek
Po wyleżeniu się dwudniowym czułem się już dziś prawie zupełnie dobrze. Rzeczywiście, cudownym środkiem na zaziębienie się jest łóżko i ciepło mieszkania – ponad wszelkie lekarstwa. Nawet ten wrzód czy fluksja, których formowania się spodziewałem, bo już mi nawet dziąsła były nieco wybrzękły, nie uformował się. Wprawdzie tam jeszcze w okolicy szczęk nie wszystko ma się dobrze i chwilami głuchy bólek przemyka – zwłaszcza przy przejściu z ciepłego powietrza do zimnego, ale to już tylko bagatela. Ubrałem się więc już dziś od samego rana, a że zwłaszcza i temperatura na dworze zelżała i zdecydowałem się wieczorem udać do uniwersytetu na wykład. Zresztą tam i z powrotem jechałem automobilem. Wykład i colloquium udały się dobrze. Przedmiotem wykładu dzisiejszego było pojęcie konstytucji pisanej i prawa konstytucyjnego oraz klasyfikacja prawa publicznego.
Na dziś rano było wyznaczone posiedzenie komisji nawozów sztucznych, które miało się odbyć w lokalu Rady Stanu; z powodu choroby generała Dowkonta komisję tę składamy my dwaj z Papečkysem. Ponieważ rano nie zamierzałem jeszcze wychodzić z domu, więc przez służącą Anielkę posłałem listek do Papečkysa, zapraszającego go do przyjścia do mnie. Przyszedł. Wykonaliśmy naszą pracę, ale jeszcze więcej rozmawialiśmy, a właściwie mówił Papečkys. Nie jest on dla mnie sympatyczny; słyszałem od dawna o jego karierowiczostwie, a giętkość, z jaką przystosował się do skutków przewrotu grudniowego z r. 1926, który jego, jako ministra wojny, dotknął najbardziej bezpośrednio, nie mogła we mnie budzić zaufania do niego. Pomimo że w rozmowie dzisiejszej Papečkys uderzył w ton wielkiej szczerości i spowiadał się z życia swego i przygód, zwłaszcza z okresu pobytu swego w Rosji za czasów rewolucji bolszewickiej, a opowiadając o przewrocie grudniowym z r. 1926, mówił o przeżyciach własnych w tej katastrofie i charakteryzował ten cios osobisty jemu jako jego zabójstwo moralne, zaznaczając ironicznie, że gdy sprawcy przewrotu chwalą się, iż przewrót dokonany został bez krwi przelewu, to zapominają, iż od zabójstwa fizycznego gorsze i cięższe jest moralne, które oto jemu zadane zostało, pomimo to, powiadam, Papečkys przez rozmowę czy spowiedź dzisiejszą nie bardzo się w oczach moich podniósł. Że jest zdolny, że ma dużo sprytu i giętkości umysłu – tego mu nikt nie odmówi, ale za dużo u niego we wszystkim waży jego własna osoba, nie widać za to wcale jakiejś idei, jakiegoś przywiązania silnego i wiary w coś statecznego, nie ma kości pacierzowej przekonań, obowiązku, ukochania. Jest to powój, zakochany w sobie i zapatrzony we własne przeżycia podmiotowe, który przepływa przez życie, opierając się o to lub owo, ale zawsze z myślą li tylko o sobie. Egoista wrażliwy i czuły, natura zdolna i subtelna, ale w swoim „ja" rozmiłowana – i bodaj nic więcej. Ale dużo ciekawego mi Papečkys wyjaśnił w sprawie Plechowicza, o której nurtują teraz w kraju i jeszcze bardziej za granicą pogłoski. Papečkys, acz skompromitowany w wojsku, ma oczywiście w kołach wojskowych stosunki, zna te koła dobrze, skądinąd nie przestaje się interesować koniunkturami politycznymi i stroną zakulisową tych koniunktur, a jest dość inteligentny i sprytny, aby umiał swe spostrzeżenia i wiadomości powiązać. Otóż w jego oświetleniu rzecz się przedstawia tak: są w kołach, rządzących Litwą obecnie, dwa

prądy; jeden z nich szuka zbliżenia z klerem katolickim, docenia jego wagę społeczną i chętnie by wszedł w kontakt z Chrześcijańską Demokracją, by nadać obecnej dyktaturze narodowców cechę dyktatury katolickiej, w której hasło Ojczyzny byłoby związane z hasłem Boga przez pryzmat, oczywiście, Rzymu i katolicyzmu. Do tego prądu katolickiego skłania się sam Smetona. Temu prądowi sprzyjają też starsi oficerowie, w szczególności ci, którzy dokonali zamachu stanu grudniowego w r. 1926, w tej liczbie i Plechowicz. Chcą oni dyktatury mocnej i trwałej, opartej o taki solidny czynnik więzi społecznej, jak klerykalizm w naszym kraju, który jako wróg jest niebezpieczny. Zawadą jest na tej drodze Voldemaras, który reprezentuje prąd antyklerykalny i upiera się na rzecz dyktatury samodzielnej; kruszy on bezwzględnie moc klerykałów, narażając się na ich nienawiść i zemstę; dezorganizuje ich, łamie ich robotę i ich ludzi, a gdyby miało dojść do konieczności koalicyjnej, to woli już koalicję z ludowcami, niż z Chrześcijańską Demokracją.
Interpretacja Papečkysa odpowiada w zupełności temu, co się już od dawna zaobserwować i wyczuć w tym względzie daje.

5 lutego, rok 1929, wtorek
Od Ludwika Abramowicza, któremu napisałem o liście Tadeusza Hołówki do prof. Wincentego Krėvė-Mickiewicza (patrz mój dziennik pod datą 8 stycznia rb.), otrzymałem wczoraj list, datowany z Wilna z d. 30 stycznia, z którego daję tu wyciąg, dotyczący tej kwestii:
„..Przechodzę teraz do kwestii ważniejszej, na którą chcę zwrócić Twą specjalną uwagę. Bardzo mię zastanowiła zakomunikowana przez Ciebie wiadomość o liście Hołówki do Krewe-Mickiewicza. Uważałem, że jest to bardzo znamienne wystąpienie. Dlatego też przedsięwziąłem zaraz odpowiednie kroki, by sprawdzić tę wiadomość. Nie jest ona zupełnie ścisła. Hołówka nie pisał, ale podczas swej bytności w Kownie rozmawiał z prof. Krewe-Mickiewiczem. Poza tym jednak, że potwierdził w zupełności relację Twoją. Fakt ten sprawił niezwykłą sensację w kołach demokratów wileńskich, którzy przestali interesować się zagadnieniem kompromisowego rozstrzygnięcia kwestii wileńskiej na tej podstawie, że przypuszczali, iż Piłsudski postawił na całej sprawie krzyżyk. Póki żyje Piłsudski – nie są oni zdolni do żadnego samodzielnego czynu, nawet do samodzielnej myśli. Wiadomość o nastrojach pojednawczych Piłsudskiego zelektryzowała ich i podnieciła. Ale ja również przywiązuję wielką wagę do tej myśli Piłsudskiego i umyślnie nawet napisałem artykuł o odpowiedniej tendencji. O żadnej intrydze w danym wypadku nie ma mowy. Hołówko wystąpił z inicjatywą, bo po rozmowie z Piłsudskim doszedł do wniosku, że tego sobie marszałek życzy. Było to jednakże pół roku temu. Moim zdaniem, należałoby jednak sprawę rozdmuchać. Przekonałem i demokratów wileńskich, a za ich pośrednictwem i samego Hołówkę oraz Prystora, że najmniej odpowiednim człowiekiem do prowadzenia podobnych negocjacji jest właśnie Hołówko wobec opinii, jaką sobie wyrobił w Kownie. Zrozumieli to, jak również błędne posunięcie Hołówki w stosunku do prezydenta Smetony i Voldemarasa. Niedwuznacznie dają mi o zrozumienia, że powinienem pojechać do Kowna i zbadać grunt na miejscu. Uchyliłem się od tej misji na tej podstawie, że nie mam żadnych danych konkretnych, czy i na jakie ustępstwa gotów jest pójść rząd polski. Mógłbym się podjąć roli pośrednika tylko w tym wypadku, gdybym uważał, że platforma jest odpowiednia. Soją drogą, nie chciałbym, aby sprawa na tym utknęła i mam nadzieję, że przyjdziesz mi z pomocą. Chodziłoby o wysondowanie w Kownie, czy miałyby jakikolwiek sens i byłyby możliwe poufne pertraktacje dwóch mężów zaufania Piłsudskiego i Smetony gdzieś na neutralnym gruncie – w Gdańsku, Rydze itp. Wątpię, aby Smetona zechciał przystać na taką

kombinację bez wiadomości Voldemarasa. Moim zdaniem, mógłby go uprzedzić ze względu lojalności chociażby, a wydelegować swego zaufanego. Na razie chodziłoby o możliwie szybką odpowiedź, czy w zasadzie jest to do pomyślenia. Otóż mógłbyś oddać wielką przysługę, podjąwszy się tego zadania. Faktyczną realizacją zająłby się ktoś inny. Mimo bardzo wątpliwych rezultatów, nie należy lekceważyć żadnej sposobności, by popchnąć sprawę naprzód. Napisz, nie zwlekając, co o tym myślisz, a może przyjdzie Ci do głowy inna kombinacja...".
Mróz dziś znowu się sroży. Wczoraj było 2° R. mrozu, dziś rano już – koło 18° R. Barometr idzie na suszę. Nie wychodziłem dziś z domu.

6 lutego, rok 1929, środa
Mróz coraz wzrasta. Dziś już było przeszło 20 stopni. Nieznośne chłody. Pomimo że się dobrze w tych dniach zaszanowałem i siako tako moją grypę czy też ból newralgiczny w twarzy podleczyłem, jednak całkowicie zdrów nie jestem. W mieszkaniu też moim jest tak zimno, że trudno usiedzieć.
Rano dziś odbyliśmy z Papečkysem posiedzenie komisji nawozów sztucznych z udziałem delegata z Ministerium Rolnictwa, który nas informował o zamierzeniach inicjatorów tego projektu ustawy.
Wieczorem nie poszedłem na seminarium prawa konstytucyjnego do uniwersytetu. Posłałem ogłoszenie odwołujące seminarium.

7 lutego, rok 1929, czwartek
Tak już zimno, że niepodobna wytrzymać. Dzień w dzień po dwadzieścia kilka stopni mrozu – nie tylko Celsjusza, ale i Réaumura. W mieszkaniu u mnie zimno jak w psiarni. Palimy po dwa razy na dzień, ale dom nietynkowany, więc mało to skutkuje. Mróz idzie przez ściany jak przez sito.
Do południa dziś leżałem w łóżku. Leżąc egzaminowałem studentów. Z głową obwiązaną ciepłym szalikiem musiałem sprawiać na nich wrażenie ciężko chorego. Zdawało dziś u mnie egzamin pięciu: jeden – Franciszek Wojnowski – dawno już ukończył studia na uniwersytecie, jeno egzaminy z opóźnieniem składa: jest to mój słuchacz z pierwszego roku mojej profesury, to znaczy z roku akademickiego 1922-1923; drugi, Polak – Piotr Stankowicz – także już w roku ubiegłym ukończył studia i jest sędzią śledczym w powiecie kiejdańskim; trzej inni – Adam Dagys, Kazimierz Kleiva i Jan Wróblewski – są ekonomistami IV semestru. Przepędziłem tylko Adama Dagysa, bo się okazało, że się jednej części kursu nie uczył do egzaminu wcale. Wszyscy inni zdali celująco. Najświetniej zaś zdał Jan Wróblewski, młody chłopak, który ukończył gimnazjum w Rakiszkach, pochodzący z gminy poniemuńskiej, bardzo zdolny, wzorowo pilny i poważny. Zawsze go w roku zeszłym na wykładach widziałem, często też bywał na colloquiach, a co najważniejsze – sam sobie notował wykłady, nie zadawalając się stenograficznymi zapiskami Švelnikasa, z których się ogół studentów gotuje do colloquiów i egzaminów.
Wczoraj bawił w Kownie Sinica, który przyjechał po pieniądze do mnie *à conto* przyszłej roboty nad budową w Bohdaniszkach kuchni. Dowiedziałem się od niego nowinek z Bohdaniszek. W szczególności w rozmowie z nim dojrzał u mnie i skrystalizował się ostatecznie projekt kupienia konia zamiast klaczy ułomnej i kulawej Hani, która do roboty jest niezdatna i którą trzeba już wybrakować. Projekt ten dawno już dojrzewał u mnie, jeno że nie bardzo tu mam czasu na zastanawianie się nad sprawami bohdaniskimi, więc mi te projekty bohdaniskie powoli idą. Konie są teraz w naszych stronach rakiskich z powodu braku poszoru i nieurodzaju zeszłorocznego

niezwykle tanie. Podobno za 400 litów można mieć bardzo dobrego konia. Zaraz w tych dniach wyślę 400 litów i polecę Piotrkowi Skrebysowi, żeby mi konia kupił.
Z domu dziś nie wychodziłem wcale.

8 lutego, rok 1929, piątek
Po otrzymaniu listu Ludwika Abramowicza, który zacytowałem przed paru dniami w dzienniku, postanowiłem sprawdzić, czy istotnie prawdą jest to, co powiada Hołówko, jakoby jego propozycja układów poufnych między emisariuszami Piłsudskiego i Smetony była wyrażona nie w liście do prof. Krėvė-Mickiewicza z grudnia, lecz w rozmowie ustnej z Krėvė-Mickiewiczem latem r. 1928. Do Hołówki nie mam zaufania: jego pertraktacje z grupą Plečkaitisa w duchu knowań na rzecz jakiegoś przewrotu na Litwie, z drugiej strony jego wynurzenia, czynione dziennikarzom litewskim w Kownie w duchu bicia się w piersi i jakiejś nienaturalnej skruchy, cały szereg innych szczegółów niewyraźnych i sprzecznych w jego postępowaniu i enuncjacjach – czynią wrażenie, że jest to krętacz nie lada i człowiek, który się gmatwa niezgrabnie w robieniu polityki na wszystkie strony i w umizgach okolicznościowych, w których można się doszukać wszystkiego, co się komu podobać może, prócz szczerości. Skądinąd sam prof. Krėvė-Mickiewicz opowiadał mi wyraźnie o liście Hołówki, nie zaś o rozmowie. Dlatego też powziąłem podejrzenie, że Hołówko, zaprzeczając listowi, mydłkuje, czyli, po prostu mówiąc – kłamie. Postanowiłem sprawdzić. Udałem się pozawczoraj do uniwersytetu i widziałem się z prof. Krėvė-Mickiewiczem, który mi najkategoryczniej potwierdził fakt listu Hołówki i powtórzył znowu z pamięci całą treść tegoż, począwszy od tego, że Piłsudski, jako człowiek stary, boi się umrzeć w poczuciu krzywdy, wyrządzonej Litwinom, która mu ciąży i którą przeto pragnąłby za życia zgładzić, a kończąc na tym, że ponieważ z Voldemarasem wszelkie rozmowy i pertraktacje są zupełnie beznadziejne i zresztą zupełnie niemożliwe, albowiem wszystko, co się wobec Voldemarasa mówi, staje się natychmiast wiadome Niemcom, przeto byłoby pożądane, jako jedyna ewentualnie droga do polubownego i sprawiedliwego kompromisu, żeby Prezydent Smetona, który ma większe od Voldemarasa zaufanie w Polsce, zechciał sam ująć inicjatywę w swe ręce i wydelegować bezpośrednio kogoś, z kim można byłoby gadać szczerze i poufnie. List ten prof. Krėvė-Mickiewicz otrzymał koło Bożego Narodzenia; list musiał być przez kogoś przywieziony z Polski, bo przyszedł z poczty z marką pocztową litewską. Ponieważ rozmawiałem z prof. Krėvė-Mickiewiczem na uniwersytecie, więc listu Hołówki przy sobie nie miał, ale proponował mi, gdybym tego życzył, list ten pokazać. Nie żądałem tego, bo mu oczywiście wierzę. Prof. Krėvė-Mickiewicz powiada, że o liście tym opowiadał tylko dwom czy trzem osobom, mianowicie mnie, zdaje się, posłowi litewskiemu w Moskwie Baltrušaitisowi i prof. ks. Tamošaitisowi. Temu ostatniemu jako człowiekowi bliskiemu Prezydentowi Smetonie, list Hołówki pokazał i prosił go o poinformowanie o nim Prezydenta Smetony, aby tenże wiedział o tego rodzaju zakulisowej, ale w istocie półurzędowej propozycji z kół najbliższych Marszałkowi Piłsudskiemu.
Skoro zatem Hołówko, przyciśnięty do muru indagacją Ludwika Abramowicza, twierdzi, że tego do Krėvė-Mickiewicza nie pisał, jeno z nim w tej kwestii latem rozmawiał, to chyba kłamie. Latem rozmawiał on w Kownie istotnie z prof. Krėvė-Mickiewiczem, ale w rozmowie tamtej było poruszane co innego. Jeżeli teraz Hołówko się w Polsce wobec Ludwika Abramowicza i, jak to widać z listu Ludwika do mnie, wobec piłsudczyków wileńskich wykręca i przekłada rzecz z listu na rozmowę, to czyni to chyba dlatego, aby w opinii odpowiednich kół polskich, które się tą kwestią zainteresowały, wywołać wrażenie, że w ewentualnych rokowaniach poufnych, o ile by

się one nawiązać miały, inicjatywa szukania kontaktu pochodzi obecnie od Litwinów, którzy sami zawinili przez zwłokę, nie poruszając od lata tej kwestii, podczas gdy Polacy byli zawsze gotowi i czekali spokojnie na kapryśną Litwę. Zresztą, jakie tam są kombinacje Hołówki – Bóg raczy wiedzieć. W każdym jednak razie, taki brak szczerości ze strony inicjatora Hołówki, który od razu zaczyna kręcić i wytwarzać przeciwko Litwinom atmosferę jakiegoś zwlekania i dopiero spóźnionego szukania, nakazuje ostrożność.

9 lutego, rok 1929, sobota
Mrozy dwudziestokilkustopniowe, dochodzące, a nawet przekraczające 30° Celsjusza, zapanowały beznadziejnie. Nic nie wskazuje, żeby się już one miały ku końcowi. Barometr stoi na „suszy" i ma wciąż jeszcze tendencję zwyżkową. Mieszkanie moje jest już tak wystudzone, że najintensywniejsze palenie w piecu już nie jest w stanie podnieść temperaturę pokojową choćby do 10° Réaumura. Pokój Jadzi stał się już zupełnie niemieszkalny. W kuchni, która się trochę ogrzewa podczas gotowania obiadu, na ścianach, dokoła okna i drzwi do sionek wystąpiła szadź, której obszar po trochę się zwiększa. Biedna służąca Anielka, która się w kuchni lokuje, marznie. Ja sypiam na sienniku na kuszetce, którą się na noc przystawia do samego pieca w pokoju jadalnym, który też się coraz bardziej ostudza, tak że praca przy biurku w tym pokoju staje się męcząca, a w nogach ma się takie uczucie, jak żeby to były bryły lodu. Łóżko moje w moim pokoiku sypialnym, jako najcieplejszym, ustąpiłem Jadzi wraz z puchówką. Do szkoły swojej Jadzia już prawie nie uczęszcza, wyjąwszy raz na kilka dni.
Karnawał – w samej gorączce pełnego rozkwitu. Bale po balach, co noc zabawa, po kilka naraz. Za kilka dni już Popielec. Dziś – wielki efektowny bal artystów, bal V pułku, bal stowarzyszenia studentów Polaków. Nie chodzę w tym roku na żadne bale, w ogóle po grypie, po której się jeszcze niezupełnie odchwyciłem, nie wychodzę z domu prawie nigdzie, za wyjątkiem Rady Stanu i uniwersytetu. Z utęsknieniem czekam wiosny.
Przekazałem dziś projekt ustawy o kontroli nawozów sztucznych. Jużeśmy się z Papečkysem w tym zagadnieniu, a przynajmniej jego zasadach zorientowali i teraz każdy z nas próbuje na swój sposób ten projekt przerobić. Następnie obie nasze przeróbki, czyli kontrprojekty zostaną przez komisję, do której na miejsce chorego generała Dowkonta wszedł prezes Rady Šiling, przedyskutowane i dopiero wtedy wezwiemy do obrad rzeczoznawców z Ministerium Rolnictwa, z izb Rolniczej i Handlowo-Przemysłowej i z Ministerium Finansów. Zdawałoby się, że taki projekt ustawy o kontroli nawozów sztucznych jest rzeczą podrzędną i detaliczną, która nic szczególnego pod względem zagadnień nie przedstawia. W istocie, jak się wykazuje, tak nie jest: w kraju rolniczym zagadnienie to wyrasta do poziomów sprawy bardzo ważnej; zahacza ono o cały szereg nie tylko kwestii prawnych, ale też realnych interesów różnych grup społecznych. Potrzeby i względy rolników i rolnictwa, sfer handlowych, kooperatywów, Kraju Kłajpedzkiego – wchodzą w grę i komplikują zagadnienie. Sprawa zahacza o stosunki między kooperatywami, o rywalizację dwóch prądów politycznych w ruchu spółdzielczym, o stanowisko kooperatyw kredytowych, nawet o operacje handlowe i tym bardziej kredytowe banków, o stosunki z zagranicą, o problem granic autonomii Kłajpedy. Ten ostatni problem w szczególności się uwydatnił w zagadnieniu prawno-państwowym interpretacji statutu kłajpedzkiego ze względu na zakres władzy organów autonomicznych i centralnych w regulowaniu ustawowym produkcji. Kwestia ta została podniesiona wczoraj w Radzie Stanu i pozostała otwarta. Wystudiowanie jej i rozwiązanie lojalne nie jest łatwe.

10 lutego, rok 1929, niedziela
Mróz niby cokolwiek, cokolwiek zelżał – o kilka stopni. Ale jest go jeszcze dość – przeszło 20 stopni. Wieczorem przeniosłem się pracować do pokoju sypialnego przy stoliku radiowym, który ustawiłem przy samym piecu. Tam jest najcieplej.
Byłem na posiedzeniu Komitetu Wspierania Północy. Po raz pierwszy w posiedzeniu brał udział prezes faktyczny Komitetu – p. Putwiński, który też przewodniczył osobiście. Obecna była p. Prezydentowa, ks. Dziekan Mironas, ja, p. Galdikasowa, Zygmunt Toliušis, Zygmunt Starkus, prof. Zygmunt Žemaitis, redaktor Bružas, ks. Januszewicz, Szostak i grono dziennikarzy. Posiedzenie odbywało się w lokalu Izby Rolniczej. W szeregu powiatów utworzyły się już komitety lokalne. Utworzył się też komitet miejski w Kownie pod przewodnictwem burmistrza Jana Vileišisa; wobec tego zbieranie ofiar w samym Kownie usunięte zostało ze sfery działania Komitetu Centralnego, którego sekcja zbierania ofiar przestanie funkcjonować. Komitet Centralny będzie jeno jednoczył i kontrolował akcję poszczególnych komitetów powiatowych i miejskich i regulował kierunek ofiar. Niektóre komitety powiatowe (na przykład, wyłkowyski) zgłosiły już ofiary w naturze, takoż kilka firm kowieńskich („Lietūkis”, „Maistas”). Na razie mieliśmy do rozporządzenia 1 wagon żyta, 1 wagon mięsa i 1 wagon soli. Mięso i żyto uchwalono skierować do powiatów szawelskiego i birżańskiego jako najbardziej poszkodowanych. Z opodatkowania się urzędników ofiary również napływać zaczynają. Na razie zebrało się gotówki koło 10 000 litów. Wnet funkcjonować zacznie prezydium Komitetu Centralnego.

11 lutego, rok 1929, poniedziałek
Mróz wysoki – blisko 20-stopniowy – jeszcze trwa.
W Radzie Stanu odbyło się rano posiedzenie komisji kontroli nawozów sztucznych. Rozważyliśmy dziś te kontrprojekty i spróbowaliśmy je uzgodnić, ewentualnie przyjąć tezy jednego z kontrprojektów lub zachować czasowo konteksty obu jako warianty. Na ogół przewagę miał mój kontrprojekt. Są to zresztą prace dopiero przygotowawcze, po których dopiero nastąpi konferencja komisji z rzeczoznawcami. Do Rady Stanu wpływają już coraz nowe projekty ustaw lub zlecenia o opracowanie projektów. Komisja w osobach Kalnietisa, Ciplijewskiego, Masiulisa pracuje nad kilku projektami ustaw z dziedziny prawa handlowego, teraz zaś napływają dwa nowe projekty nowel, jeden – o reformie trybu dochodzenia policyjnego i śledztwa pierwiastkowego (referentem wyznaczony został przez Radę Papečkys) i drugi – donioślejszej wagi – o reformie reformy agrarnej (na referentów wyznaczeni zostaliśmy ja i Kalnietis).
Wieczorem udałem się na wykład na uniwersytecie, pomimo że nikt inny dziś z profesury dziś nie wykładał (z powodu zapustów). Nie chcę tracić czasu. Słuchaczy było wprawdzie niewielu, ale ze 30 się zebrało, w ich liczbie był i mój stenografista tegoroczny student Šlapelis. Odbyłem więc wykład i colloquium normalne. Rozpocząłem rozdział o podziale funkcjonalnym władzy.

12 lutego, rok 1929, wtorek
Mróz jest jeszcze kilkunastostopniowy, ale już z dnia na dzień coraz lżejszy. Dziś po raz pierwszy temperatura do pracy przy biurku w moim mieszkaniu stała się wieczorem znośna. Termometr pokojowy doszedł do 12° Réaumura. Barometr wciąż po trochę spada. Radiowe komunikaty meteorologiczne zapowiadają także ocieplenie powietrza. Oby już dał Bóg, żeby się te srogie mrozy tej zimy nie powtórzyły. Wszak to już i wiosna nie za górami (zresztą, za górami jeszcze, oj, za górami – za Karpatami i Alpami, a może nawet i za morzami jeszcze – w Afryce dopiero – nad Nilem i w Algierze!).

Po obiedzie w pałacu Prezydentury wziąłem udział w pierwszym posiedzeniu prezydium Komitetu Wspierania Północy. Obecni byli tylko: p. Prezydentowa Smetonowa, prezes komitetu Putwiński, sekretarz Starkus i ja. Posiedzenie to odbyło się na zlecenie plenum komitetu, które w niedzielę przekazało prezydium różne sprawy bieżące jako organowi wykonawczemu. Z przebiegu jednak posiedzenia dzisiejszego dochodzę do wniosku, że prezydium do czynności wykonawczych się nie nadaje, bo ma skład przygodny i nie posiada w swoim łonie człowieka, który by mógł, chciał czy musiał oddać się z zapałem i sprężyście tej pracy. W prezydium biorą udział ludzie firmowi z pewnym wybitnym stanowiskiem społecznym i czystym imieniem, którzy skądinąd na tego rodzaju akcji się nie znają, a będąc zajęci czym innym, nie mają ani kwalifikacji, ani możności poświęcenia się energicznego tej czynności. Toteż o wiele będzie dla sprawy korzystniej, gdy się czynności kierowniczo-wykonawczych podejmie komisja organizacyjna pod przewodnictwem Lapėnasa, do której należą przemysłowcy, ekonomiści i urzędnicy Ministerium Rolnictwa i Spraw Wewnętrznych.

13 lutego, rok 1929, środa
Nie podejmuję się funkcji, którą mi chciał zlecić Ludwik Abramowicz – zbadania poufnego, czy wobec listu Tadeusza Hołówki do prof. Krėvė-Mickiewicza Prezydent Smetona byłby skłonny do wyznaczenia męża zaufania, który by nawiązał kontakt z mężem zaufania Marszałka Józefa Piłsudskiego na rzecz rozpoczęcia układów ściśle poufnych w sprawie stosunków polsko-litewskich. Odpisuję do Ludwika Abramowicza w tym duchu. List Hołówki tak ze względu na osobę autora listu (człowiek, który zajmując wysokie stanowisko polityczne urzędowe w Polsce, niedawno prowadził konszachty z emigrantami politycznymi litewskimi na rzecz organizacji przewrotu rządowego w Litwie), jak ze względu na niezręczną i nietaktowną formę propozycji w tym liście (insynuacja przeciwko Voldemarasowi, który jest współpracownikiem Prezydenta Smetony w rządzie litewskim, i pachnące interwencją, zgoła niewłaściwe w wystąpieniach dyplomatycznych, zaznaczanie jakiegoś rozdziału w czynnikach rządzących Litwy i przeciwstawianie Prezydenta Smetony premierowi Voldemarasowi), jak wreszcie ze względu na charakterystyczne obecnie zapieranie się tego listu przez Hołówkę, świadczące co najmniej o braku szczerości z tej strony, list ten, powiadam, nie może stanowić punktu wyjścia jakiejkolwiek bądź akcji z ramienia Prezydenta Smetony. Nie wątpię, że Prezydent Smetona nie uczyniłby żadnego kroku w związku z tego rodzaju „propozycją", a skądinąd i ja bym mu tego proponować nie mógł. Jeżeli więc chodzi o podjęcie jakiejś próby w tym kierunku, to próba ta musi być jak najdalej od listu Hołówki odsunięta, bo list ten może ją jeno kompromitować. Inicjatywa na rzecz takiej próby musiałaby wyjść li tylko ze strony polskiej; forma listu prywatnego dla samego uwydatnienia propozycji mogłaby być przyjęta; mógłby to być list od kogoś bardzo bliskiego Marszałkowi Piłsudskiemu, ale nie skompromitowanego żadną akcją litewską, do kogoś w Kownie – na przykład, do mnie; jednocześnie z tym listem, napisanym, oczywiście, bez żadnych uchybień państwu, narodowi i rządowi litewskiemu, w tonie taktownym, uprzejmym i życzliwym Litwie, stanowiącym, że tak powiem, dokument i szkicującym koncepcję układów poufnych w drodze kontaktu mężów zaufania Smetony i Piłsudskiego, przyjechałby tu ktoś z Wilna czy Warszawy do Kowna, mający zaufanie u Litwinów – najlepiej, na przykład, sam Ludwik Abramowicz – dla ustnego poparcia tej koncepcji i zbadania warunków wykonania. Ten ktoś musiałby mieć pewne, choćby bardzo luźne, cechy emisariusza Piłsudskiego, może nie formalne, ale, że tak powiem, wyczuwalne i dające jego słowom pewien autorytet odpowiedzialności. Z tym by się można wprost do Prezydenta Smetony zwrócić.

14 lutego, rok 1929, czwartek
Nikt dziś do mnie do egzaminu się nie zgłosił. Pracowałem spokojnie w domu. Na obiad zatrzymałem studenta Kriwickiego, z którym przed obiadem sprawdzaliśmy kartki tłumaczenia książki Esmeina, po obiedzie byłem na mieście – w kawiarni i na uniwersytecie.
Przed paru dniami otrzymałem depeszę o śmierci Medarda Kończy, syna p. Franciszka, zmarłego przed paru laty. Medard Kończa umarł w sile wieku, liczył 47 lat. Jak się dziś od młodego Dowgiałły z Siesik dowiedziałem, śmierć Medarda Kończy nastąpiła nagle. W przeddzień śmierci był w Wiłkomierzu u żony, która tam mieszka dla wychowania dzieci, stamtąd wrócił do domu zupełnie zdrowy i w dobrym humorze, miał jakiegoś gościa, potem przyjął interesanta, którego, sam siedząc przy biurku, posadził obok siebie i ofiarował mu papierosa, a w tej samej chwili spadł z krzesła na podłogę i od razu umarł. Pogrzeb jego odbył się pozawczoraj. Cichy to i dobry był człowiek, który nikomu nie wchodził w drogę i wody nie zamącił. Znałem go od dziecka. Biedna ciocia Paulinka Weyssenhoffowa, która po sprzedaży Pokrewnia zamieszkała w rodzinie brata i synowca, którego kochała jak syna własnego, straciła w ciągu tych paru lat obydwóch i pozostała już teraz zupełnie samotna, wśród dwóch wdów, jak ona – młodej bratowej (trzeciej żony śp. Franciszka i starszej nieco synowcowej (wdowy po śp. Medardzie) i dzieci tychże, sama licząca już przeszło 80 lat wieku. Dla niej to jest cios straszliwy w jej głębokiej starości.

15 lutego, rok 1929, piątek
Gdym dziś wieczorem przed godz. siódmą przyszedł na uniwersytet dla wykładu bieżącego na II semestrze, spostrzegłem już w przedsionku ruch niezwykły. Wielkie masy studentów wśród gwizdu, nawoływania się i jakiegoś jakby nucenia, z którego, zdawało się, lada chwila mogła się wyłonić pieśń, powoli spływały ze schodów i częściowo już gęstą falą zapełniały przedsionek, rozlewając się też w salę boczną ku korytarzowi Wydziału Technicznego. Znać było jakieś podniecenie, jakiś pomruk masowy, coś z wiecu czy pochodu, nie mającego nic wspólnego z powszednią spokojną atmosferą pracy akademickiej. Wszyscy byli w paltotach, w czapkach i czapeczkach lub kapeluszach i jakby się wybierali na ulicę. Poczułem, że coś się święci i już zwątpiłem o wykładzie. Nie dałem jednak za wygraną i postanowiłem wyczekać. Gdym się trochę pokręcił po przedsionku, zabrał z witryny moje ogłoszenie na dzień dzisiejszy ze spisem wzywanych na dziś do colloquium, tom spostrzegł, że tłum studencki, wciąż w tymże nastroju, wysypywać już zaczyna na ulicę. Jednocześnie w pokoju profesorskim wyczytałem w gazetach w dziale kroniki notatkę o tym, że z powodu wypadającej dziś (nieprawda – bo to jutro) siódmej rocznicy założenia uniwersytetu dzień dzisiejszy jest „świętem studenckim”, w którym młodzież akademicka wzywa się na godz. szóstą do sali uniwersytetu jako na punkt zborny, skąd młodzież, zorganizowana w pochód, ma się udać na miasto, wobec czego studenci są proszeni o przybycie z latarniami, pochodniami etc. Zrozumiałem więc, o co chodzi, a na moje zapytanie, skierowane do szwajcara, stróżów i przelotnie do kilku studentów znajomych, otrzymałem odpowiedź, że studenci idą ot, tak sobie – dla przejścia się po mieście, może znów tramwaj konny, jak w roku ubiegłym, przewrócić zechcą, bodaj gdzieś mają się udać przed teatr, by zażądać biletów na przedstawienie galowe jutrzejsze w teatrze z okazji rocznicy Niepodległości itp. Nikt zresztą nie umiał wyjaśnić, co dokładnie jest i co się przez studentów projektuje. Niebawem huczący niesforny tłum wylał się na ulicę i gmach opustoszał. Doczekałem się dzwonków na wykład i w ciszy, która zapanowała, udałem się na zwiady do wielkiej sali aktowej, aby zbadać, czy zastanę słuchaczy i czy będę mógł wykładać. Zastałem audytorium moje, choć nieliczne, ale wystarczające dla

wykładu – ogółem koło 40 głów, w tej liczbie dość dużo studentek, a za to bodajże ani jednego Żyda. Rozpocząłem wykład. W jakieś pół godziny po rozpoczęciu wykładu posłyszałem jakiś wzmagający się szum, krzyki, gwizdy – gdzieś niby to z ulicy, niby z przedsionka na dole, poniekąd chwilami gdzieś na schodach, na korytarzach na górze, w czytelni studenckiej obok itd. Hałas to się wzmagał, to uciszał. Nie rozumiałem, co to jest i o co chodzi, chwilami posądzałem, że może to przeciwko mnie jest jakaś demonstracja wymierzona z powodu tego, że w „święto studenckie" odważam się wykładać, choć nikt mi tego „święta" nie zapowiadał i choć było ono prawem kaduka zaimprowizowane. Słuchacze moi na głośniejsze wrzaski na zewnątrz reagowali uśmiechem, ale nikt z zewnątrz do sali mojej nie zaglądał i żadnymi wybrykami bezpośrednimi wykładu nie zakłócał.. Okazało się, że hałasy te nie miały żadnego związku ani z moją osobą, ani z moim wykładem i że tłum studencki na zewnątrz ani myślał przerywać mego wykładu lub do mnie swe demonstracje stosować. Chodziło o zupełnie co innego. Gdy rozległ się dzwonek na przerwę, zebrałem książeczki od tych słuchaczy moich, którzy mi je dali do podpisania i udałem się do profesorium. Schody i przedsionek zastałem zapełnione przez studentów, ale niezbyt szczelnie. Przeciskałem się przez tłum, który zachowywał się wobec mnie poprawnie i uprzejmie, otwierał mi przejście, witał mnie. Ciąg dalszy – jutro.

16 lutego, rok 1929, sobota
Ciąg dalszy wczorajszego. W czasie przerwy między dwiema godzinami wykładu zasięgnąłem języka. Okazało się, że pochód studentów został na ulicy zatrzymany przez policję, że między studentami a policją zaszło jakieś starcie, że policja zaaresztowała kilkudziesięciu studentów, że tłum studencki, złożony z tych, co się nie rozeszli, wrócił do uniwersytetu, oblężonego przez policję, i nie chcę się rozejść, dopóki policja nie uwolni zaaresztowanych kolegów; stąd przedsionek, schody i korytarze uniwersytetu – zapełnione przez młodzież akademicką, a na zewnątrz, na ulicy u wejścia do uniwersytetu – policja. Mówiono też, że młodzież akademicka wciągnęła ze sobą do uniwersytetu jednego z urzędników policyjnych, którego przy tej sposobności poturbowała i trzyma go jako więźnia czy „zakładnika". Była chwila, że się trochę osobiście zaniepokoiłem, bo oto siedząc w czasie przerwy w profesorium słyszałem, jak w przedsionku kilku studentów z tłumu, omawiając możliwość wkroczenia policji do gmachu, zalecało zgaszenie elektryczności, to znaczy przecięcie drutów energii świetlnej: gdyby do tego przyszło – zwłaszcza podczas wykładu – miałbym się z pyszna, nie mogąc się przecisnąć po ciemku przez tłum do mego paltotu w profesorium i dopiero, będąc uwięziony z całym tłumem młodzieży, a może nawet i palto by mi zginęło w tych ciemnościach, bo kto wie, czy poza młodzieżą akademicką nie wkroczyły wraz z nią do uniwersytetu rozmaite elementy obce. Poszedłem jednak na drugą godzinę wykładu, po której jeszcze od byłem colloquium, jak zwykle, i wreszcie o godz. 10 minut 30 zebrałem się do wyjścia. Już wtedy władze uniwersyteckie były na posterunkach, przybył rektor prof. Jodelė, prorektor prof. Czapiński itd. Rektor telefonował do policji, prosząc o uwolnienie aresztowanych, na co mu policja odrzekła, że zostaną zwolnieni dopiero po przesłuchaniu i w związku z wynikami dochodzenia; wobec tego zgromadzeni w gmachu studenci oświadczyli, że w takim razie zanocują w uniwersytecie i nie rozejdą się. Rektor też zabierał się do nocowania, nie odważając się opuścić posterunek w chwili rozmaitych możliwości. Dłużej już nie czekałem i poszedłem do domu. Wychodząc z gmachu uniwersytetu widziałem garstkę policjantów na ulicy.
Dziś byłem na uniwersytecie z okazji uroczystości 16 lutego, która jest nie tylko rocznicą Niepodległości Litwy, ale także rocznicą założenia uniwersytetu i jest

obchodzona corocznie posiedzeniem publicznym w sali uniwersytetu. O tym posiedzeniu, które wypadło w roku bieżącym bardzo skromne i blade, powiem jutro, tu zaś zanotuję na razie to, co się dowiedziałem o wypadkach wczorajszych. Okazało się, że po północy młodzież dala się namówić do rozejścia się, a przeto o godz. pierwszej w nocy i rektor z prorektorem udali się do domów. Na żądanie policji studenci rozchodzili się pojedynczo. W gmachu uniwersytetu prorektor sprawdzał, czy każdy z obecnych jest istotnie studentem i czy nie ma w tłumie ludzi obcych, których, zdaje się, nie ujawniono. Tych, co się rozchodzili po północy, policja, stojąca na ulicy u wyjścia, zatrzymywała i notowała nazwiska. Co do zaaresztowanych, to zostali oni wypuszczeni z wyjątkiem trzech, którzy zostali zatrzymani; są to: 1. student prawnik II semestru Julliusz Lembergas, członek stowarzyszenia „aušrininków”, a więc lewicowiec jaskrawy, chłopiec zdolny, 2. student humanista Blažys, redaktor tygodnika „Studentas” i 3. jakiś student Żyd. Kto to zaimprowizował wczoraj to „święto studentów”, kto dał ogłoszenie do gazet o wiecu na godz. szóstą wczoraj i o zamierzonym pochodzie, dokąd ten pochód zmierzał i co byłby przedsięwziął i zrobił, gdyby policja nie zainterweniowała, jaki był cel i jaka myśl całej tej hecy, czy to był wybryk jakiejś bezprzedmiotowej brawury, czy też prowokacja lub akcja, prowadzona jakąś ręką zakulisową – tego nikt nie wie, nie wyłączając samych studentów – nawet tych, co brali udział w rozpędzonym pochodzie. Różne są domysły na ten temat, ale faktem jest, że jeżeli nawet była jakaś inspiracja zakulisowa, to olbrzymia większość nic nie rozumiała zgoła i szła byle iść.

17 lutego, rok 1929, niedziela
Obiecałem napisać o wczorajszej uroczystości uniwersyteckiej. Niedużo się zresztą da o niej powiedzieć. W ogóle w tym roku święto 16 lutego nie było prawie obchodzone. Dzień był wprawdzie formalnie świąteczny, magazyny, instytucje i urzędy – zamknięte, w teatrze było przedstawienie galowe, ale skądinąd nie było iluminacji ani żadnych pochodów, odczytów, przyjęć itd. Jedenasta rocznica Niepodległości – rzecz zwyczajna, stająca się pewnym szablonem. W roku ubiegłym było 10-lecie, a więc pewna data jubileuszowa, którą obchodzono z wielką uroczystością. Odbiło się to i na uroczystości uniwersyteckiej, która nie mogła, jak w roku zeszłym, zapożyczyć blasku z 10-lecia Niepodległości, własną zaś rocznicę – siódmą, a więc szeregową, święcić w sposób szczególny powodu nie miała. Dziwaczne zajście uliczne między młodzieżą akademicką a policją z dnia poprzedniego, sfinks reformy, wiszącej nad uniwersytetem i nikomu już dokładnie nie wiadomej ani co do terminu, ani co do treści – wszystko to rzucało pewien cień na tę uroczystość akademicką. Odbyła się ona wczoraj w południe. Żadnych gości nie było, nawet ministra oświaty Šakenisa; jeno profesura i młodzież akademicka, ta ostatnia – tym razem bardzo nieliczna; nie było tłumów zwykłych młodzieży, tłoczących się wielką kupą w głębi sali za miejscami siedzącymi. Za wielkim stołem na podniesieniu prezyduje rektor prof. Jodelė we fraku z krzyżem Orderu Giedymina III stopnia u szyi, obok niego prorektor prof. Czapiński (w szarej marynarce (!), jak przystało na „socjalistę”), po obu stronach senat akademicki – dziekani wydziałów (prof. Leonas, prof. Žemaitis, prof. Krėvė-Mickiewicz, prof. Jokubėnas, prof. Lašas, prof. Wasilewski) i sekretarz uniwersytetu prof. Dovydaitis. W głębi za senatem – dwie delegacje honorowe korporacji akademickich ze swymi sztandarami: to „varpasowcy” i narodowcy (Neo-Lithuania). Innych korporacji nie ma. Zwraca szczególną uwagę nieobecność „ateitininków” z ich licznymi korporacjami i sztandarami. Podobno klerykalni „ateitininki” wraz z profesurą Wydziału Teologii obchodzili to święto własnym dworem osobno; w każdym razie ich usunięcie się od uroczystości ogólnoakademickiej było jeżeli nie aktem demonstracji i bojkotu, to

przynajmniej aktem nietaktu. Przemówienie okolicznościowe wygłosił rektor Jodelė bardzo nieskładnie, z właściwą mu nieumiejętnością wysławiania się. Sekretarz udzielił informacji rzeczowych o uniwersytecie za rok ubiegły, potem prof. Jokubėnas z Wydziału Ewangelicko-Teologicznego wygłosił referat „naukowy" na jakiś temat dociekań „duchownych" w zakresie jakiejś mistyki teologiczno-metafizycznej na tle porównania odnośnych prądów europejskich i indyjskich. Referat był rozwlekły, nudny i właściwie bezprzedmiotowy. Nie doczekałem jego końca i wyszedłem. Słyszałem potem, że w zakończeniu uroczystości rektor dotknął wypadków dnia ubiegłego, wzywając młodzież akademicką do rozwagi.

18 lutego, rok 1929, poniedziałek
Na wczorajszym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego wypłynęła znów sprawa lektora Feterowskiego, który na sekcji ekonomicznej wykłada arytmetykę polityczną i asekurację. Jak w roku zeszłym, tak i w tym – powstał konflikt między nim a słuchaczami. Studenci skarżą się, że niepodobna zrozumieć jego wykładów ani też je zanotować i że nie ma podręczników żadnych, że przeto nie mają możności prowadzić tych studiów, zaś Feterowski nie udziela ani żadnej pomocy, ani środków do studiów, wymagania zaś stawia bardzo wielkie; skarżą się też, że Feterowski traktuje ich z góry i lekceważąco, w sposób brutalny i upokarzający; nikomu nie daje zaliczki colloquium, a zdanie egzaminu u niego jest zgoła niemożliwe (ogółem od dwóch czy trzech lat zdało u niego coś bodaj pięciu studentów). Natomiast Feterowski twierdzi, że studenci nie mają przygotowania elementarnego z matematyki i że są zgoła niezdatni do studiów. Komisja, wyłoniona przez radę wydziału, po zbadaniu zatargu doszła do przekonania, że Feterowski stawia studentom żądania istotnie przesadne i niewykonalne i że w stosunku do studentów grzeszy nietaktem, mającym nieraz cechy skandaliczne. Wobec tego na poprzednim posiedzeniu rady wydziału, na którym nie byłem obecny, rada po wysłuchaniu referatu i wniosków komisji doszła do przekonania, że należy doprowadzić do usunięcia Feterowskiego. Polecono Rimce zaproponować mu poufnie podanie się do dymisji. Feterowski odmówił. Wobec tego sprawa wypłynęła znowu. Feterowski dziś był sam obecny na posiedzeniu. Odpierał kategorycznie wszelkie zarzuty, uwydatnione przez dochodzenie dotychczasowe, ale jednocześnie w przemówieniu swoim wyrażał się o naszej młodzieży akademickiej w sposób tak ordynarny, że zaiste przez to samo potwierdził najdrastyczniejsze z czynionych mu zarzutów. Wyłoniono komisję (dziekan Leonas, prof. Jurgutis i docent Rimka), która ma sprawdzić dane dochodzenia z udziałem młodzieży i Feterowskiego. Feterowski jest Niemiec, który nienawidzi i pogardza Litwą. Znam naszą młodzież akademicką, pracuję z nią na colloquiach, w seminarium, na egzaminach – i stwierdzam kategorycznie, że młodzież ta jest zdolna i umiejąca pracować. Chodzi tylko o to, aby profesor sam umiał ją zachęcić i wdrożyć do pracy, zainteresować nauką i pokierować pracą. Owoce tej pracy są bardzo wdzięczne. Dziś po wykładzie rozpocząłem już colloquium II semestru. Colloquium I semestru już skończone: ostatnią grupę do colloquium I semestru przesłuchałem w piątek.

19 lutego, rok 1929, wtorek
Wczoraj i dziś odbyliśmy w Radzie Stanu posiedzenie komisji kontroli nawozów sztucznych z biegłymi, których zaprosiliśmy z ramienia Izby Rolniczej i Izby Handlowo-Przemysłowej. O tych obradach i pewnych innych w związku z tym będących kwestiach wspomnę jutro, bo mi się dziś pisać już nie chce.
Wieczorem w mieszkaniu moim jedna para studentów odbyła seminarium z prawa konstytucyjnego. Referentką była studentka Paulina Wołowiczówna, kontrreferentem – student Leon Rozental. Temat: „Gabinet ministrów w Irlandii, Prusiech i Turcji".

Kontrreferat Rozentala był bardzo treściwy i pełny myśli. Niektórzy studenci wprost świetnie się już orientują w zagadnieniach prawa konstytucyjnego. Student Leon Rozental jest jednym z lepszych i zdolniejszych studentów IV semestru. Kiedyś, na samym początku, gdy był on jeszcze na I semestrze i odbywał pierwsze colloquium u mnie, próbował wykręcać się drwinkami, zastosowując się do mojego czasem tonu żartobliwego i wzbudzać śmiech słuchaczy, alem go skarcił; odtąd Rozental przedziwnie spoważniał i stał się wzorowym i pilnym uczniem moim.

20 lutego, rok 1929, środa
W poniedziałek i wtorek w Radzie Stanu komisja „kontroli nawozów sztucznych" w osobach prezesa Rady Šilinga, Papečkysa i mnie obradowała z udziałem rzeczoznawców, którzy byli zaproszeni z Izby Rolniczej i Izby Handlowo-Przemysłowej. Z ramienia Izby Rolniczej był agronom Kriščiunas, były minister rolnictwa w gabinecie Ślażewicza, z ramienia Izby Handlowo-Przemysłowej – Baltuška, były dyrektor departamentu w Ministerium Finansów. Za kanwę dyskusyjną do obrad były przyjęte: projekt ustawy o kontroli nawozów sztucznych, opracowany przez Ministerium Rolnictwa, działające w kontakcie z Izbą Rolniczą, nadesłany nam przez Gabinet Ministrów, i opracowany prowizorycznie przeze mnie i Papečkysa kontrprojekt z poszczególnymi wariantami redakcji mojej i Papečkysa, względnie – projektu kłajpedzkiego. Na razie delegat Izby Rolniczej Kriščiunas potraktował pracę Rady Stanu w tej kwestii nieco z góry, zaznaczając po prostu, że jedynie dojrzałym i fachowo opracowanym jest projekt ministerialny i dając do zrozumienia, że Rada Stanu na rzeczy tej się nie zna i niepotrzebnie się do niej zabiera ze skalpelem zgoła niefachowych poprawek, które nic dodatniego projektowi nie dają i jeno umarzają sam cel reformy, o który kołom rolniczym chodziło. Widocznie jednak Kriščiunas zupełnie się był nie wczytał w nasz kontrprojekt i dawał jeno wyraz tym nastrojom raczej, niż opinii ministerium, które już w niedzielę wyrażał Šilingowi minister rolnictwa Aleksa. Właściwie koła Ministerium Rolnictwa nie raczą nawet zastanowić się poważnie nad poprawkami naszego kontrprojektu, które z góry traktują jako coś niepoważnego i pretensjonalnego, jak jakiś sąd ślepego o kolorach; skądinąd ich ambicję „fachowców" i projektodawców drażni to, że ktoś tak daleki od rolnictwa, jak prawnicy z Rady Stanu, zamiast się zająć samą redakcją litery projektu ministerialnego, przybierają rolę mentorów i krytyków i odważają się wątpić o doskonałości zasad projektu i coś w nim „naprawiać". Jest w tym przeważnie zazdrość i złość biurokratów, nie lubiących krytyki ich dzieła i przekonanych o swojej mądrości niezgłębionej. Sam minister Aleksa złości się za to na Radę i uważa, że Rada Stanu wykracza z ram swojego fachu; był też bardzo nierad z tego, że Rada zaprosiła rzeczoznawców z Izby Rolniczej i Izby Handlowo-Przemysłowej. Wystarczyło nam jednak wyjaśnić zasady naszego kontrprojektu z motywacją, na której te zasady opieramy i jednocześnie wytknąć dobitnie wady i błędy projektu ministerialnego, aby Kriščiunas zmienił ton i zabrał się do poważnego z nami przestudiowania sprawy. Okazało się też, że nasz kontrprojekt nie tylko jest nie gorszy, ale wprost znacznie lepszy od fachowego ministerialnego, wobec czego też po przedyskutowaniu zwyciężyły przeważnie (z pewnymi poprawkami) nasze, a nie ministerialne tezy konstrukcji projektu. Baltuška dzielnie i fachowo nam sekundował, a i Kriščiunas też rzeczowo i treściwie współpracował.

21 lutego, rok 1929, czwartek
Rano zdawało u mnie egzamin dwóch studentów: Bolesław Paramski, jeden z czynnych działaczy młodzieży obozu ludowców, chłopak zdolny i sympatyczny, żywy i bardzo inteligentny, i Justyn Šerkšnys z Szawel. Obaj zdali celująco. Czy Šerkšnys jest rodem z

Szawel – nie wiem, ale mieszka i ma posadę w Szawlach. W Szawlach jest cała kolonia studentów prawników wyższych semestrów, służących w sądzie lub na posadach, pokrewnych sądownictwu (na przykład, pracujących u adwokatów i komorników sądowych) – Antanaitis, Mielys, Leopold Piotrowski, Šerkšnys, Maria Łowcewiczówna, Helena Butniewiczówna. Ci Szawelczycy mają jakby pewne cechy wspólne, a przynajmniej łączą się w pewnej wspólnej pracy kółkowej: pracują nad samokształceniem, zbierają się dla wygłaszania referatów, przeczytują i przedyskutowują, na przykład, referaty, które opracowują dla mojego seminarium prawa konstytucyjnego, niektórzy z nich biorą udział czynny w społecznym ruchu oświatowym i kulturalnym (na przykład, w towarzystwie „Kultura"). Obecnie Šerkšnys, który dziś zdawał egzamin, gotuje się do wykładania prawa konstytucyjnego na kursach popularnych miejscowego uniwersytetu ludowego imienia Giedymina, biorąc za podstawę moje wykłady stenografowane przez Švelnikasa, z których Šerkšnys opracował dla swoich wykładów popularnych skrót skondensowany. Tak oto moja praca wykładowa, którą doprowadziłem do wysokiego poziomu treści i konstrukcji, promieniuje przez studentów poza obręb uniwersytetu i urabia świadomość przeciętną kół młodej inteligencji i półinteligencji krajowej. Mnie to cieszy.

22 lutego, rok 1929, piątek
Na dzisiejszym posiedzeniu Rady Stanu obecny był po raz pierwszy nowo mianowany członek Rady – Zygmunt Starkus. W jego osobie Rada Stanu zyszcze, zdaje się, jedną z najlepszych sił swoich – pracownika pierwszej klasy. Szkoda wielka, że drugi z upatrzonych do Rady Stanu kandydatów – również siła doskonała, bo człowiek żywy i dzielny, pełny inicjatywy i wyraźnego, zawsze ściśle określonego stanowiska – prof. Augustyn Janulaitis – nie zgodził się na razie wejść do Rady. Janulaitis nie ma przeciwko samej Radzie i przeciwko swemu wstąpieniu do niej żadnych zastrzeżeń zasadniczych, jeno ma względy następujące – jedne jawne, inne ukryte – dla których się ociąga z przyjęciem nominacji. Do względów ukrytych należy to, że się czuje nieco dotknięty przez to, że go nie od razu zamianowano przy samym pierwszym tworzeniu Rady; ma szczególnie o to pretensję do prezesa Rady Šilinga, którego uważa za winowajcę tego pominięcia pierwotnego i może poniekąd do samego Prezydenta Rzeczypospolitej Smetony; dlatego teraz chce się drożyć, gdy go proszą. Drugi wzgląd, którego Janulaitis nie bardzo ukrywa, ale którym, oczywiście, nie operuje urzędowo i formalnie, dotyczy obecnego składu osobistego Rady: szczególnie nie ma on zaufania do Šilinga, którego uważa za niewłaściwego na stanowisku prezesa Rady; poza tym jest niechętny Kalnietisowi, Papečkysa uważa za niedojrzałego (zupełnie słusznie), zaś generała Dowkonta – za balast; zdaniem Janulaitisa, jedyni ludzie w Radzie, którzy są zdolni do pracy twórczej – to Ciplijewski, ja i obecnie Starkus. Wzgląd zaś formalny i urzędowy, dla którego się Janulaitis na razie wymawia, to ten, że nie ma czasu, bo ma rozpoczęte pewne prace naukowo-literackie, dla których przynajmniej do sierpnia nie może się podjąć pracy w Radzie Stanu. Stanowczo więc odmówił przyjęcia nominacji przed sierpniem. Po Šilingu próbowałem ja z nim konferować i zmienić jego decyzję, ale nic nie pomogło. Przed jesienią – odmówił i basta.
W opinii kół lewicowych i w szczególności ludowców, którzy na razie byli do Rady Stanu usposobieni bardzo niechętnie i podejrzliwie, poniekąd nawet wręcz wrogo, posądzając ją o jakąś zamaskowaną parodię Sejmu, służącą do wzmocnienia i popierania dyktatury, zaszła stopniowo zmiana. Dziś już ludowcy stracili to odium pierwotne do tej instytucji. Zorientowali się i przekonali się zresztą, że Rada Stanu tych cech narzędzia dyktatury nie posiada. Stanowisko ich wobec Rady Stanu stało się jeżeli jeszcze nie wręcz życzliwe, to przecie nie wrogie wcale. Jedyni, zdaje się, z ludowców,

którzy od początku traktowali Radę Stanu bez żadnej animozji – to byli Toliušis i Jan Vileišis, burmistrz Kowna, który w styczniu na zjeździe ludowców powołany został na stanowisko prezesa zarządu głównego stronnictwa.

23 lutego, rok 1929, sobota
Projekt regulaminu Rady Stanu, opracowany w jesieni przeze mnie i przyjęty z rozmaitymi przeróbkami przez Radę Stanu, został w listopadzie czy grudniu doręczony przez Šilinga prezesowi ministrów prof. Voldemarasowi do przejrzenia i zaakceptowania. Na razie Šiling wnosił, żeby Rada uchwaliła, że regulamin zyskuje moc obowiązującą jeno w porozumieniu Rady z Gabinetem Ministrów i że w ten sposób może on być zmieniany. Ale na mój wniosek propozycję Šilinga uchylono i przyjęto zasadę, że regulamin jest uchwalany samodzielnie przez samą Radę; uznaliśmy tylko, że pożądane jest porozumienie prywatne z prezesem ministrów jako wyraz kontaktu, nie zaś moment formalny obowiązywania regulaminu, który jest niczym innym, jak zastosowaniem i rozwinięciem wykonawczym ustawy, który Rada sama sobie ustala w zakresie własnych funkcji ustawowych. Ze względu jednak na to „kontaktowe” porozumienie prywatne, formalnie regulaminu nie uchwaliliśmy do czasu zapoznania się z nim Voldemarasa. U Voldemarasa regulamin nasz ugrzązł i dotychczas był w zawieszeniu. Šiling wielokrotnie przypominał o tym Voldemarasowi, ale dotychczas bezskutecznie. Wreszcie Voldemaras wyznaczył Šilingowi audiencję w tej kwestii dziś na godz. szóstą wieczorem, zapraszając jednocześnie i mnie. Z jakiego tytułu ja zostałem wezwany – nie wiem: chyba dlatego, że jestem autorem pierwotnego projektu, na którym osnuty został projekt ostateczny. Byliśmy więc dziś z Šilingiem u Voldemarasa. Voldemaras uczynił kilka zastrzeżeń, co do których będziemy musieli jeszcze podebatować w Radzie, ale ostatecznie zbyt trudnym nie był. Najwięcej wątpliwości podnosił w stosunku o instytucji tzw. biegłych – współpracowników, to znaczy takich osób, które w myśl naszego projektu regulaminu mogą być wzywani jako znawcy wybitni poszczególnych zagadnień w czynnościach Rady – oczywiście, bez udziału w decyzjach samej Rady (mamy już jedno takie zastosowanie: do komisji Rady w przedmiocie projektu zmiany niektórych przepisów ustawy postępowania karnego w stosunku do dochodzenia policyjnego i śledztwa – Rada obok członków Papečkysa i Kalnietisa powołała sędziego Trybunału Brazaitisa). Skądinąd Voldemaras poparł całkowicie pomysł Rady o utworzeniu instytucji tzw. referentów jako wykwalifikowanego personelu pomocniczego w Radzie i sam podniósł myśl nową o nadaniu Radzie czy też jej członkom funkcji dokonywania rewizji w urzędach na zlecenie Gabinetu Ministrów (wskazywaliśmy z Šilingiem, że to mogłoby być uskutecznione tylko drogą ustawy, nie zaś regulaminu Rady, skądinąd zaś mamy wątpliwości co do wykonywania przez Radę kontroli legalności aktów indywidualnych administracji, przeciwko czemu w swoim czasie tak gorliwie kruszył kopie Šiling, ale Voldemaras tego nie dotknął wcale, widocznie nic przeciwko temu nie mając.

24 lutego, rok 1929, niedziela
Znowu posiedzenie Komitetu Centralnego Wspierania Litwy Północnej. W komitecie tym nie czuję się wcale dobrze. Na akcji tej się nie znam i w komitecie czuję się w pozycji, o której się mówi „ni przypiął – nie przyłatał”. Słowem, jest mi w komitecie głupio. Tymczasem należę w komitecie do prezydium – co prawda, bez funkcji określonej i nie mogę się przeto z niego przez opuszczanie posiedzeń stopniowo „wyparować”. Poszczególne czynności wykonawcze zaczynają być nakładane na prezydium, w niedzielę za tydzień ma się odbyć zjazd przedstawicieli komitetów

powiatowych... Nieznośny obowiązek należenia do rzeczy, do której się nie ma żadnego nagabania. Nie cierpię tego.
W sprawie organizacji pomocy dla miejscowości Litwy Północnej, dotkniętych nieurodzajem, kler katolicki wystąpił na własną rękę. Orędzie zbiorowe episkopatu prowincji kościelnej litewskiej, obejmującej całe państwo, zaleca tworzenie we wszystkich parafiach komitetów dla zbierania ofiar, a w miejscowościach poszkodowanych – i udzielania wsparcia. Taka akcja katolicko-parafialna, równoległa do takiejże akcji naszego komitetu społecznego, opartej na komitetach powiatowych i komitetach gminnych ogólnych, wnosi pierwiastek anarchii i jakiejś konkurencji niezdrowej do sprawy ogólnospołecznej i humanitarnej. Ale kler chce mieć wpływy w swoim ręku. Orędzie episkopatu Litwy wywołało zupełnie zrozumiałe zgorszenie w naszym komitecie. Uchwalono skierować do metropolity arcybiskupa Skwireckiego delegację w osobach pani Prezydentowej Smetonowej, Zygmunta Starkusa i Lapėnasa dla omówienia sytuacji i zlania w jedną całość tych dwóch wysiłków. Czy kler uczynił to z rozmysłu czy przez niezorientowanie się – to się okaże, ale trudno przypuścić, by ostrożny i mądry zawsze episkopat katolicki „nie orientował się”.

25 lutego, rok 1929, poniedziałek
Dziś długo pisać nie będę. Wieczorem miałem wykład i colloquium, które mię, jak zawsze, mocno zmęczyły, ale świetnie się powiodły. W wykładach skończyłem już rozdział o podziale funkcjonalnym władzy i doszedłem przeto do rozdziału o rządach bezpośrednich i przedstawicielstwie. W colloquiach kończę już drugą kolejkę tych słuchaczy moich, którzy w colloquium I semestru mieli minus.

26 lutego, rok 1929, wtorek
Piszę teraz motywy do projektu ustawy o kontroli nawozów sztucznych, rozpoznanego przez komisję Rady Stanu. Opracowywanie motywów do wykonanych prac Rady stanowi może najciekawszą, ale też najuciążliwszą pracę.
Dowiedziałem się dziś w Trybunale, do którego zaszedłem, że dwóch adwokatów przysięgłych –Toliušis i Požėla – z udziałem współpracowników z łona kancelarii Trybunału przedsięwzięli wydawnictwo wyroków Trybunału Najwyższego *in extenso*. Do wydawnictwa będą wciągnięte wyroki wyborowe, mające znaczenie zasadnicze. Na razie opracowują się i wybierają wyroki z pierwszych lat kilku działalności Trybunału. Lwią część tego wydawnictwa stanowić będą, oczywiście, wyroki mojej motywacji. Z wyroków, motywowanych przez Janulaitisa, bardzo niedużo wejdzie do wydawnictwa. Janulaitis lenił się motywować obszerniej i głębiej, uważając, że jest to robota bezcelowa, przeznaczona do spoczywania w archiwach. Ja byłem zawsze innego zdania i pracowałem nad wyrokami tak, jak gdyby każdy z nich miał być ogłoszony do wiadomości publicznej. Nie wątpiłem, że potrzeby praktyki sądowej wywołają wcześniej czy później jakąś pracę nad zużytkowaniem tych wyroków. Wiedziałem, że w wyrokach tych składany jest kapitał, tak jak pszczoły gromadzą miód i wosk, z którego później one czy też inny korzyść wyciągnie. Nie myliłem się.

27 lutego, rok 1929, środa
Posiedzenie plenum Rady Stanu. Roboty napływa coraz więcej. W tej chwili są na warsztacie roboty w rozmaitych zresztą stadiach – następujące prace: a. zaopiniowanie projektu ustawy o kontroli nawozów sztucznych; praca ta jest w komisji, złożonej z prezesa Šilinga, Papečkysa i mnie; ma się ona ku końcowi; komisja opracowała kontrprojekt; w tej chwili Papečkys i ja pracujemy nad motywami, któreśmy między sobą podzielili; b. zaopiniowanie projektu ustawy o podatkach i poborach

samorządowych; komisję składają Ciplijewski, Kalnietis i Masiulis; praca została na wniosek rządu na razie zawieszona do czasu ustalenia losów projektu ustawy ogólnej o samorządzie; c. zaprojektowanie trzech nowel ustawowych pilnych z zakresu prawa handlowego jako zapoczątkowanie reformy jednolitego Kodeksu Cywilnego litewskiego; są to nowele: o ochronie praw kredytorów, o bankructwie handlowym i o rejestrze handlowym; komisja, która pracuje systematycznie nad tym, składa się z Ciplijewskiego, Kalnietisa i Masiulisa; projekt pierwszej z tych nowel, zapożyczony z odpowiedniej reformy rosyjskiej z r. 1916, z drobnymi poprawkami i uzupełnieniami, został przez komisję zaakceptowany i ma być czy też już został przesłany do zaopiniowania rozmaitym korporacjom i instytucjom – Wydziałowi Prawniczemu, Trybunałowi Najwyższemu, sądom okręgowym, Radzie Adwokatów, Izbie Handlu i Przemysłu; d. zaprojektowanie jednolitej dla całej Litwy ustawy hipotecznej; wyznaczeni jesteśmy my dwaj z Ciplijewskim do wystudiowania tej kwestii zasadniczej i poważnej na daleką metę; e. zaopiniowanie projektu reformy częściowej ustawy postępowania karnego, mianowicie działu dochodzenia policyjnego i śledztwa pierwiastkowego; projekt ten jest oparty na inicjatywie i pomyśle prezesa Trybunału Kriščiukaitisa i wniesiony został do Gabinetu Ministrów przez ministra sprawiedliwości; komisję składają Papečkys, Kalnietis i zaproszony do współpracownictwa sędzia Trybunału Brazaitis; do projektu tego zgłoszony został kontrprojekt Sądu Wojennego, opracowany przez prezesa tegoż sądu generała Šniukštę i prokuratora Vimera; f. zaopiniowanie o legalności przepisów wykonawczych ministra finansów do konkordatu ze Stolicą Apostolską – w przedmiocie opodatkowania dóbr kościelnych i klasztornych, i zaopiniowania ze stanowiska legalności o skardze misji zakonu jezuitów w przedmiocie ściągania podatków z majątku ziemskiego, administrowanego przez jezuitów; referentem w tej sprawie jestem ja; utknąłem na trudnościach interpretowania kanonów kościelnych, które są zredagowane w języku łacińskim; na moją prośbę Rada Stanu dodała mi do porady wspólnika w osobie Ciplijewskiego; g. projekt ustawy, reformującej reformę agrarną, bardzo ciekawy, charakterystyczny i wagi pierwszorzędnej; na razie projektem wraz z motywami inicjatorów (Ministerium Rolnictwa) został przysłany z Gabinetu Ministrów do Rady dla zapoznania się, z zapowiedzią, że niebawem otrzymamy wniosek o zaopiniowanie; do komisji wyznaczeni są: ja, Kalnietis i Starkus, ale na razie komisja nie funkcjonuje, jeno każdy z nas zapoznaje się z projektem.

28 lutego, rok 1929, czwartek
Cały dzień spędziłem w domu. Do egzaminu stawił się tylko jeden student, przeto egzamin się nie odbył. Z Kriwickim pracowałem nad sprawdzaniem tłumaczenia dzieła Esmeina. Większą część dnia – zwłaszcza całe poobiedzie i wieczór – poświęciłem pracy nad motywami do projektu ustawy o kontroli nawozów sztucznych. W szczególności wypadło mi tu analizować dzisiaj dość skomplikowaną kwestię o tym, czy przepisy tej ustawy, dotyczące ograniczeń produkcji nawozów sztucznych, mogą obowiązywać w okręgu autonomicznym czy nie. Jest to zagadnienie konstytucyjne zakresu kompetencji ustaw autonomicznych Kłajpedy – wcale niełatwe.
Do wczorajszego wyliczenia robót, będących na warsztacie prac Rady Stanu, dodam tu jeszcze następującą – ostatnią: jest to opracowanie projektu ustawy jednolitej o najmie robotników w rolnictwie. Polecenie opracowania tego projektu zostało zakomunikowane Radzie Stanu z Gabinetu Ministrów w sobotę ubiegłą; poleceniu temu nadany został charakter terminowy – do 5 marca. Šiling, ze względu na terminowość, a raczej nagłość tej pracy, nie czekając na posiedzenie plenum, tegoż dnia zaprzągł do niej obecnych w lokalu członków Rady – Ciplijewskiego, Masiulisa, Kalnietisa i

Papečkysa. Praca jest śpieszna, bo chodzi o wydanie tej ustawy przed rozpoczęciem kampanii rolniczej wiosennej, to znaczy przed kwietniem. W tym przedmiocie zachodzi pewna różnica zdań między Ministerium Rolnictwa, które chciałoby jeszcze przedłużyć prowizorium szczególnej ochrony robotników w gospodarstwach dworskich większych ponad 80 hektarów, aczkolwiek w nieco osłabionym faworytyzmie dla robotników, a Gabinetem Ministrów, czy raczej Voldemarasem, który nie chce tego i życzy, aby sprawa robotników rolnych została uregulowana na stałe w ustawie jednolitej zasadniczej, która będzie się stosowała do wszystkich gospodarstw rolnych. Czy komisja Rady Stanu zdoła wykonać tę robotę w tempie tak forsownym i czy to będzie ustawa dobrze przemyślana i ułożona, której nie trzeba będzie niebawem łatać i naprawiać – o tym można wątpić.
Niektórzy członkowie profesury otrzymali w tych dniach z poczty ze Szwajcarii numer okazowy nowego pisemka przeciwrządowego litewskiego, które zaczęło wychodzić w Genewie pod nazwą „Tautos Sargas". Pisemko to nawołuje do zamachu stanu i wyraźnie go zapowiada. Ten nowy „przewrotowy" organik emigrantów, tym razem bodaj chrześcijańsko-demokratycznych, jest, jak się domyślają, redagowany przez Józefa Galvysa-Paršaitisa, który, zrehabilitowany przez chrześcijańskich demokratów, przed kilku laty, za rządów chrześcijańsko-demokratycznych, na jednej z wystaw w Kownie, chcąc dać wyraz swoim uczuciom przeciwko ówczesnej opozycji narodowców, którzy my wytykali jego intryganctwo i sprzedajność w czasie wojny, kupił biust obecnego prezydenta Smetony, zapłacił zań i publicznie w lokalu wystawowym kupiony biust pałką roztrzaskał. System samowładczy rządów obecnych, oparty na stanie wojennym i cenzurze prewencyjnej, wywołuje mnożenie się prasy agitacyjnej przeciwrządowej za granicą. Emigranci socjalno-demokratyczni Plečkaitisa wydają w Wilnie swój „Pirmyn", w Rydze wychodzi pisemko litewskie lokalne w duchu ludowców, wrogie rządom obecnym, jakieś pisemko emigranckie dla propagandy i agitacji przeciwrządowej zaczęło się podobno ukazywać w Tylży, a oto nowe wychodzić zaczyna w Genewie. Wszystkie te pisemka kąsają rząd i nawołują do przewrotów. *C'est un métier* – ale bądź co bądź drobne krople żłobią opinię publiczną. Wszakże temperament litewski, chłodny i zrównoważony, pozbawiony namiętności, pasjonujących ludzi w polityce, nieskory jest do reagowania na te podniety.

1 marca, rok 1929, piątek
Pani Felicja Bortkiewiczowa zaprosiła mię dziś do swego mieszkania i zapoznała z jakąś panią w wieku lat plus minus 40, Francuzką – działaczką społeczną czynną, należącą do znanego związku quasi-masońskiego „Du Droit Humain" i do rozmaitych stowarzyszeń i lig propagandy pokoju powszechnego i wszelkich doskonałości społecznych w tym guście. Pani ta objeżdża teraz szereg krajów Europy Środkowej i Wschodu Europejskiego – była w Czechosłowacji, w Rumunii, w Polsce, w Estonii, Łotwie i Litwie, stąd przez Prusy Wschodnie raz jeszcze do Wilna. Cel tej podróży jest niby informacyjny, niby zmierzający do nawiązania kontaktu z krajami odleglejszymi i zbadania różnych zagadnień, które w nich powstają i różnych kwestii spornych między nimi dla ewentualnego znalezienia podstawy do współżycia; ale kto wie, czy nie jest to emisariuszka jakiejś intrygi lub akcji z góry powziętej, ewentualnie jakaś agentka inspekcji czy wywiadu sił tajemnych. Kręci się tu ona w kołach ludowców, bada, ogląda, miała jakiś referat, coś węszy, szuka znajomości, szuka i notuje różne opinie. W rozmowie z nią w obecności p. Bortkiewiczowej byłem dość ostrożny: naszych istotnych kart braterstwa nie ujawniłem przed nią całkowicie, choć się rozmowa dokoła tego kręciła, i poprzestałem na grzecznym wysłuchaniu oferty pośredniczenia zawsze, gdyby tylko nam chodziło o kontakt czy o stosunki z czynnikami wolnomularskimi

zbliżonymi do nich na Zachodzie. Ze swojej strony ograniczyłem się do głuchego i ogólnikowego nadmienienia o przedwojennym wolnomularstwie w Rosji. Poza tym rozmowa nasza toczyła się na problemie Wilna. Francuzka była ostrożna i sama się nie angażowała na rzecz tezy bądź polskiej, bądź litewskiej, zachowując wszelkie pozory neutralności i chęci zrozumienia sytuacji.
O godz. czwartej w pałacu Prezydentury odbyło się posiedzenie prezydium Komitetu Wspierania Litwy Północnej. Obecni byli: p. Prezydentowa Smetonowa, Putwiński, ksiądz dziekan Mironas, Starkus, ksiądz Januszewicz, Lapėnas i ja. Omówione zostały sprawy bieżące i porządek dzienny mającego się odbyć w niedzielę zjazdu delegatów komitetów państwowych. Dzięki Bogu, że mnie na ten zjazd żadnych funkcji nie zlecono.

2 marca, rok 1929, sobota
Rano odbyło się posiedzenie Rady Stanu. Dokonaliśmy pierwszego czytania części projektu ustawy o najmie robotników rolnych, opracowanego forsownie przez komisję Rady. Dyskusję prowadziliśmy przeważnie my ze Starkusem. Ten projekt ustawy ma być normalny i ogólny, uchylający wszelkie dotychczasowe ustawy sezonowe o ordynariuszach dworskich, które były dla dworów drakońskie, a dla ordynariuszy tworzyły sytuację przywileju i pasożytnictwa. W opracowanym przez komisję projekcie ustawy ogólnej znalazł się jednak przepis, ustalający dla gospodarstw dworskich ponad 80 ha wyjątek od zasady zupełnej wolności umów, a mianowicie – pewne minimum legalne wynagrodzenia i warunków. Pozycji tej, której sprzyja też Ministerium Rolnictwa, chcące zresztą utrzymania jeno prowizorium przejściowego, by uniknąć zbyt rażącego przeskoku od faworytyzmu do zupełnej wolności umów w stosunkach robotniczych dworskich i której wręcz przeciwny jest Gabinet Ministrów z Voldemarasem na czele, bronił w Radzie Stanu zwłaszcza Ciplijewski, natomiast Starkus i Šiling najkategoryczniej zwalczali wszelkie wyróżnianie gospodarstw 80-hektarowych z ogólnej zasady wolności umów. Kalnietis, Masiulis i Papečkys skłaniali się też raczej do tezy Starkusa i Šilinga, generał zaś Dowkont nie bardzo się orientował. Ja, który pierwszy zwróciłem uwagę na ten artykuł i zgłosiłem doń zastrzeżenie, zająłem ostatecznie takie oto stanowisko pośrednie: jeżeli to ma być faworyzacja i pielęgnowanie pasożytnictwa quasi-robotniczego albo gnębienie gospodarstw większych, których użyteczność społeczno-gospodarcza już zaczyna być uznawana przez zaprojektowanie podwyższenia normy własności nietykalnej do 150 ha, to precz z tym przepisem w ustawie zwłaszcza normalnej i stałej! Ale jeżeli to ma być zafiksowanie jeno warunków, stanowiących mniej więcej przeciętną z gry swobodnej konkurencji, to w stosunku do gospodarstw większych zafiksowanie takie jest ze względu na ochronę pracy od konkurencyjnego wyzysku dopuszczalne. Rzecz ostatecznie przesądzona nie została. Komisja będzie jeszcze obradowała nadal, a Rada Stanu będzie jeszcze raz czytała i debatowała projekt.

3 marca, rok 1929, niedziela
O godz. drugiej w sali „Šaulių Sąjungos" odbyło się otwarcie zjazdu delegatów komitetów powiatowych Wspierania Litwy Północnej. Delegaci przybyli z kilkunastu powiatów. Obecna była większość Komitetu Centralnego. Zjazd zagaiła p. Prezydentowa, przewodniczył efektywnie prezes Komitetu Centralnego. U stołu prezydialnego zasiedli także dwaj wiceprezesi – ks. dziekan Mironas i ja – i sekretarz Komitetu Starkus. Za osobnym stolikiem – prasa. Po krótkim sprawozdaniu informacyjnym prezydium Komitetu Centralnego rozpoczęły się relacje delegatów komitetów powiatowych. Debiutowały komitety powiatów dotkniętych nieurodzajem i

domniemanie dotkniętych. Szedł więc powiat suwalski i powiat birżański – prawdziwie dotknięte. Następnie wystąpił delegat powiatu możejkowskiego, a z relacji jego, wbrew jego usiłowaniom, uwydatniło się, że powiat ten wcale dotknięty nie jest i ma warunki normalne, wśród których i przy najlepszym urodzaju znajdą się zawsze jakieś potrzeby. Uśmiano się przy tej relacji. Zarządzono następnie przerwę i fotografię. Miałem dość tego posiedzenia, a że nie miałem na zjeździe żadnej roli, więc czmychnąłem.

4 marca, rok 1929, poniedziałek
Z okazji dnia św. Kazimierza, królewicza i patrona Litwy, dzień był wolny od zajęć urzędowych. Na uniwersytecie przeto wykładu nie miałem, w Radzie Stanu – posiedzenia nie było. Niemniej pracowałem forsownie w domu. Do obiadu jedna po drugiej przychodziły do mnie pary studenckie dla tłumaczenia konstytucji: od godz. 8 rano – Birutė Vileišisówna i Józef Kubilius – tłumaczenie konstytucji francuskiej z roku 1791; od godz. 10 min. 30 – Jan Kazėnas i Helena Masiulisówna – tłumaczenie konstytucji francuskiej z r. 1973; od godz. 12 – tenże Jan Kazėnas i Slavinas – tłumaczenie konstytucji Irlandii z r. 1922. Po obiedzie o godz. 4 przyszedł Ciplijewski, z którym studiowaliśmy prawo kanoniczne, niezbędne do interpretacji konkordatu między Litwą a Stolicą Apostolską; potrzebne to jest do ustalenia legalności pewnych przepisów ministra finansów, wydanych na rzecz wykonania konkordatu. Wieczór spędziłem na pracy w domu.

5 marca, rok 1929, wtorek
Wreszcie mrozy zaczynają się mieć, jak się zdaje, ku końcowi. Od kilku dni zmniejszają się one stopniowo i dziś doszły już do granicy odwilży. Dwa i pół miesiąca ostrych mrozów prawie bez wytchnienia i bez żadnej odwilży – to na nasz klimat aż nadto dosyć na jedną zimę. Podług twierdzeń wieśniaków, mroźna pogodna zima zapowiada gorące, pogodne lato. Po zeszłorocznym, nieznośnym, które było i zimne, i mokre, byłaby to wielka przyjemność.
Mieliśmy dziś posiedzenie Rady Stanu, na którym zakończyliśmy pierwsze czytanie projektu ustawy o najmie robotników rolnych.

6 marca, rok 1929, środa
Gdym szedł dziś po obiedzie przez Laisvės Aleję, zwróciło moją uwagę ogłoszenie, przyklejone do słupa telegraficznego. Kilku ludzi stało u słupa i odczytywało je. Podszedłem i ja; rzuciłem okiem i – nie chciałem wierzyć oczom. Była to klepsydra żałobna. Stało na niej nazwisko Władysława Putwińskiego. Wczytałem się w szczegóły: nie było wątpliwości – prezes Związku Strzelców! Ten sam – Władysław Putwiński – nie jego imiennik. Umarł wczoraj, we wtorek 5 marca. Wiadomość ta poruszyła mię tym bardziej, że w ostatnich czasach uczestniczyliśmy z nim razem w Komitecie Wspierania Litwy Północnej, którego Putwiński był prezesem, i spotykaliśmy się przeto często na posiedzeniach bądź plenarnych komitetu, bądź prezydium. I właśnie dopiero przed kilku dniami, w niedzielę ubiegłą, na dwa dni przed śmiercią, Putwiński, jako prezes komitetu, przewodniczył na zjeździe delegatów komitetów powiatowych. Wprawdzie był on zdrowia słabowitego, wyglądał mizernie i skarżył się na cierpienie nerkowe, to jednak chory doraźnie nie był i nic nie zapowiadało wiszącej nad nim katastrofy. Na zjeździe tym dokonana była fotografia zbiorowa – zapewne ostatnia fotografia Putwińskiego za życia; w grupie uczestników zjazdu – Putwiński i Prezydentowa Smetonowa siedzą w centrum, mając po dwóch stronach wiceprezesów – ks. dziekana Mironasa i mnie. Na uniwersytecie i z gazet dowiedziałem się szczegółów o śmierci Putwińskiego: umarł nagle – widocznie z ataku sercowego. W osobie

Putwińskiego społeczeństwo litewskie traci bądź co bądź osobnika nieprzeciętnego Człowiek ten z urodzenia należał do klasy szlachecko-ziemiańskiej, po kądzieli wywodził się nawet z arystokracji, bo matka jego, żona powstańca z roku 1863, była Platerówną. Putwiński jednak od młodości zdeklarował się jako Litwin, należąc w tym względzie do wyjątków w społeczeństwie ziemiańskim i stworzył rodzinę czysto litewską. Był też, przynajmniej przed wojną, lewicowcem zdecydowanym. Dużo pracował w ruchu litewskim i dla tegoż ruchu, który kochał z całej siły przekonania, był zsyłany i internowany przez władze rosyjskie. Po wojnie i powrocie do kraju założył „Związek Strzelców", w którego kierownictwie brał czynny udział, będąc właśnie prezesem związku w chwili obecnej. Ziemianie go nie lubili za jego litewskość, a jeszcze bardziej za jego pracę strzelecką po wojnie.

7 marca, rok 1929, czwartek
Brałem udział w eksportacji zwłok śp. Władysława Putwińskiego na dworzec kolejowy. Putwiński umarł w nowo wybudowanym domu szwagra swego Antoniego Żmujdzinowicza przy Kalno gatvė, w którym wydzierżawił pokój, mieszkając w zasadzie na wsi. Po śmierci jego przy zwłokach ustawiono straż honorową strzelców („Šaulių Sąjunga"), których ideologiem, założycielem organizacji i prezesem rzeczywistym był zmarły Putwiński. Wczoraj wieczorem po przyjeździe wdowy zdecydowane zostało wywiezienie zwłok na wieś dla pochowania ich w Kielmach w pobliżu majątku Putwińskich. Na prośbę wdowy, która spędzić chciała noc ostatnią przy zwłokach męża sama bez świadków, zdjęto straż honorową strzelców. Rano dziś o godz. ósmej przewieziono zwłoki z mieszkania do lokalu Związku Strzelców, gdzie były one we dnie wystawione na widok publiczny. O godz. jedenastej odbyło się w bazylice uroczyste nabożeństwo, bo zwłoki Putwińskiego, choć był on osobiście wolnomyślny i należał do obozu lewicy, a przed wojną był wybitnie radykalny, dopuszczone zostały przez władze kościelne do pogrzebu katolickiego. O godz. 3.30 miała miejsce eksportacja zwłok z lokalu Związku Strzelców. Kondukt żałobny prowadził ks. Tumas. Z lokalu Związku Strzelców do kościoła garnizonowego (ex-soboru) trumnę nieśli strzelcy na rękach. Została ona wniesiona do kościoła garnizonowego, skąd po krótkich modłach wyniesiono ją i ustawiono na wozie żałobnym. Przed trumną niesiono i wieziono wieńce. W orszaku żałobnym kroczyła prócz rodziny śmietanka inteligencji litewskiej; tu byli i ministrowie, i profesorowie uniwersytetu z rektorem Jodelą, i wyżsi urzędnicy, i adwokaci, i artyści, i księża, i działacze społeczni, i młodzież akademicka. Sporo tu było wojskowych, a strzelcy utrzymywali policję ceremoniału. Śpiewał chór strzelców. Na dworcu kolejowym wniesiono trumnę do wagonu i rozpoczęły się mowy przed aparatem radio. W mowach, jak w ogóle we wszystkich wspomnieniach pośmiertnych, poświęconych pamięci zmarłego, podnoszono jego pochodzenie ziemiańskie i arystokratyczne w związku z jego przywiązaniem do Litwy i zupełnym oddaniem się sprawie narodowej litewskiej.

8 marca, rok 1929, piątek
Posiedzenie plenum Rady Stanu. Drugie czytanie projektu ustawy o najmie robotników rolnych. Obecni wszyscy prócz Starkusa. Projekt uległ licznym modyfikacjom w kierunku zupełnej wolności umowy i zupełnego usunięcia klasyfikacji gospodarstw na mniej niż 80-hektarowe i ponad 80-hektarowe.
Wieczorem wykład na II semestrze i colloquium zwykłe.

9 marca, rok 1929, sobota

Zima wciąż trzyma mocno. Wprawdzie od tygodnia mrozy zelżały, ale odwilży nie ma. Czasem tylko nas krótko na słońcu śnieg taje, ale za to czasem w nocy nad ranem mróz zbliża się do 20° Celsjusza. Przeciętnie w ostatnim tygodniu mróz trzymał się na poziomie od 5 do 10 stopni. Zima jest mocna i stała. Na wsi śniegi są bardzo głębokie. Są zaspy wielkie – było dużo zawiei. Z pewnością w powiecie rakiskim będzie jeszcze sanna na Wielkanoc.
Byłem dziś przez korporację „Fraternitas Juvenum", której filistrem honorowym jestem, zaproszony na uroczystość obchodu trzylecia jej istnienia i zarazem doręczenia barw korporacyjnych rektorowi Jodeli, który także zgodził się przyjąć tytuł filistra honorowego. Trzecim filistrem honorowym „Fraternitas Juvenum" jest głośny artysta opery – sława Litwy – Cyprian Piotrowski, który bawi obecnie za granicą. Uroczystość korporacyjna dzisiejsza składała się z dwóch momentów: z uroczystego „Burschenschaftu", czyli posiedzenia w lokalu korporacji, połączonego z rozmaitymi ceremoniami okolicznościowymi, i następnie bankietu w restauracji „Vilnis". Ograniczyłem się do bytności na pierwszej uroczystości. Korporacja ma już w tym roku lokal własny przy Laisvės Alei za soborem – ten sam, w którym w roku ubiegłym mieściła się szkoła artystyczna robót kobiecych, do której uczęszcza Jadźka. Dwóch korporantów zawiozło nas z rektorem z uniwersytetu do lokalu korporacji. Wchodząc nałożyłem czapeczkę korporacyjną, którą mam jako filister honorowy i wstążeczkę o barwach korporacji; rektor Jodelė tych insygniów jeszcze nie miał. Wkraczając do pokoju, gdzie się korporacja zebrała, zastaliśmy burszów ustawionych w rząd, z grupą seniorów i dostojników korporacji na czele, a wzdłuż ściany – rząd fuksów. Powitaliśmy korporację okrzykiem: „Sveiki komiltonai!", po czym podaliśmy rękę wszystkim seniorom i burszom z kolei. Rozpoczęła się uroczystość. My z rektorem, seniorowie i funkcjonariusze korporacji oraz bursze – zasiedliśmy dokoła stołu, jeno chorążowie ze strażą honorową stali w rogu u sztandaru korporacji i fuksi stali wzdłuż ściany, trzech zaś fuksów spełniali obowiązki posługi osobistej, przydzieleni jeden do osoby przewodniczącego (fuks student-prawnik II semestru Olgierd Andrėkus, chłopiec bardzo sympatyczny i inteligentny, muzyk, ładny jak dziewczyna), drugi – do osoby rektora (student prawnik II semestru Jakutis) i trzeci – do mojej osoby (student prawnik II semestru Eugeniusz Birman). Przewodniczący-senior dokonał ceremonii nałożenia czapeczki i wstążki rektorowi, po czym zagaił posiedzenie i odczytał listę fuksów, awansowanych na burszów (w ich liczbie prawnik II semestru Walerian Balčiunas); skorzystałem i ja z przywileju filistra honorowego i udzieliłem awansu burszowskiego memu lejb-fuksowi Birmanowi, który już po raz drugi spełniał tę funkcję wobec mnie i którego znam dobrze z uniwersytetu jako pilnego słuchacza mego. Nowo kreowani bursze zostali zaprzysiężeni na sztandar, po czym wygłosił przemówienie rektor, bursz Stanisław Laskowski, ja i bursz Józef Milukas. Na tym się program formalny pierwszej uroczystości wyczerpał. Pół godzinki spędziliśmy na rozmowie, oglądaniu fotografii, przyglądaniu się ćwiczeniom fechtunkowym. W liczbie burszów jest szereg moich obecnych i byłych uczni – prawników wyższych semestrów: Stanisław Laskowski, Józef Milukas, Zygmunt Jarbutis, Kimont, Lew Staszkiewicz, Stanisław Narkiewicz, Olgierd Gorawski. Ze studentów zaś II semestru prawa – moich uczni obecnych, są nowo kreowani dziś bursze Walerian Balčiunas i Eugeniusz Birman i fuksi Jakutis, Olgierd Andrėkus i Kompaitis. Od udziału w bankiecie, na który zaproszeni byli także bawiący w Kownie korporanci królewieccy Niemcy, wykręciłem się, choć to nie było łatwe.

10 marca, rok 1929, niedziela

Rano na uniwersytecie – posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, poświęcone formułom likwidacji konfliktu między studentami ekonomistami a lektorem arytmetyki politycznej i asekuracji Feterowskim. Rada przyjęła z pewnymi poprawkami wnioski komisji, wyłonionej do wystudiowania tej sprawy. Przy tej sposobności ujawniło się, że jedynym słuchaczem Feterowskiego, który zdołał nie tylko zdać u niego egzamin, co należy do rzadkości, ale też ułożyć na własną rękę konspektowy podręcznik arytmetyki politycznej, skompilowany z kilku podręczników zagranicznych i zastosowany do wykładów Feterowskiego, jest stary generał Głowacki, głośny „faszysta" litewski, obecnie – student VI semestru prawa. Feterowski wykłada po swojemu, nie stosując się do żadnego ze znanych podręczników, żadnego zaś własnego podręcznika nie wydał, a wykłada tak, że słuchacze nie są w stanie notować. Podręcznik konspektowy Głowackiego jest jedynym przeto źródłem, z którego studenci mogą się do egzaminu przygotowywać. Powstała więc myśl postarania się o wydanie tego podręcznika po przejrzeniu go przez Feterowskiego. Generał Głowacki jest na wydziale prawniczym studentem fenomenalnym. Pracowitością, zdolnością, sprężystością, energią i akuratnością wzorową wprawia on całą profesurę w podziw.
O godz. czwartej po obiedzie w pałacu Prezydentury odbyło się pod przewodnictwem pani Prezydentowej Smetonowej posiedzenie prezydium Komitetu Wspierania Litwy Północnej. Obecni byli: p. Prezydentowa, ja, Starkus. Lapėnas, Toliušis i płatny wykonawca zleceń komitetu. Omówiliśmy sprawy bieżące podziału zebranych pieniędzy i wykonanie uchwał zjazdu z ubiegłej niedzieli. O wyborze zastępcy na miejsce zmarłego prezesa komitetu śp. Władysława Putwińskiego nie było mowy.

11 marca, rok 1929, poniedziałek
Z wykładami mymi na II semestrze późnię się. Kurs wykładów moich, przerabiając go w tym roku, znacznie rozszerzyłem, toteż pomimo że się staram wykładać forsownie – jestem opóźniony. Traktuję obecnie rozdział o rządach bezpośrednich i reprezentacyjnych i dziś mówiłem o instytucjach inicjatywy ludowej, referendum, plebiscytu, veto ludowego. Do Wielkiejnocy pozostają mi już tylko trzy wykłady; to znaczy, że co najmniej zdołam skończyć ten rozdział. Po Wielkiejnocy pozostaną mi już tylko dwa miesiące wykładów, a ileż jeszcze materiału zostaje, aby choć na ustroju sowieckim zakończyć.
Z gazet wieczornych się dowiedziałem, że studenckie Towarzystwo Prawników i Ekonomistów na uniwersytecie naszym na posiedzeniu wczorajszym uchwaliło udzielić dyplomu członka honorowego prof. Leonasowi, mnie i prof. Janulaitisowi. Ten dowód uznania młodzieży akademickiej sprawia mi wielką przyjemność. Wiem, że jest on szczery, bo młodzież wielce ceni moją pracę akademicką.
Na uniwersytecie doręczono mi dziś otrzymany z poczty pakiet, adresowany do mnie z Paryża, i list z poselstwa litewskiego we Francji. Pakiet i list stanowią jedną całość. W liście pierwszy sekretarz poselstwa litewskiego p. Urbšys zwraca się do mnie z poleceniem posła litewskiego w Paryżu – ministra Piotra Klimasa – i komunikuje, że w osobnym pakiecie przesyła mi dokonane staraniem poselstwa tłumaczenie na francuski mojego studium o nowej konstytucji litewskiej z roku 1928 (to znaczy mojej książeczki, wydanej przez redakcję czasopisma prawniczego „Teisė" jako dodatek do nr 14). Jednocześnie p. Urbšys prosi mię o sprawdzenie, czy tłumaczenie nie zawiera błędów i o poinformowanie, czy nie zajdą z mojej strony jakie przeszkody do opublikowania tej pracy (tłumaczenia) w prasie (zapewne naukowej prawniczej) francuskiej. Oczywiście, propozycja ta czyni mi jeno zaszczyt, popularyzując moje nazwisko w świecie uczonych francuskich; będzie to pierwsze pono studium o konstytucji litewskiej w publicystyce naukowej francuskiej. Jest to luka, którą słusznie ruchliwy i energiczny

minister Klimas uzupełnić usiłuje. Prasa litewska nie zareagowała wcale na to moje studium, ale za to doczeka się ono zaszczytu większego.

12 marca, rok 1929, wtorek
Pracowałem w domu. Na miasto nie wychodziłem.

13 marca, rok 1929, środa
W Radzie Stanu miałem dziś z Ciplijewskim i Kalnietisem posiedzenie w sprawie interpretacji konkordatu Litwy ze Stolicą Apostolską i przepisów prawa kanonicznego – dla rozstrzygnięcia kwestii legalności pewnej instrukcji ministra finansów do inspektorów podatkowych w przedmiocie ściągania podatków z dóbr kościelnych, oraz z prezesem Šilingiem i Papečkysem posiedzenie komisji do projektu ustawy o kontroli nawozów sztucznych; ta ostatnia komisja pracę swą już zakończyła i przekazuje ją do zatwierdzenia plenum.
Na godz. jedenastą prezes Rady Šiling i my z Kalnietisem i Strazdasem udaliśmy się do Ministerium Rolnictwa, gdzie w gabinecie ministra Aleksy odbyło się czy miało się odbyć coś w rodzaju narady, w której oprócz ministra i nas brali udział: naczelnik Zarządu Reformy Agrarnej Danilewski, naczelny dyrektor Banku Ziemskiego Radušis i juryskonsult Ministerium Rolnictwa docent Tadeusz Pietkiewicz. Właściwie minister Aleksa był zaprosił Šilinga jako prezesa Rady, zaś Šiling skierował do niego nas – Kalnietisa, Strazdasa i mnie jako tych członków Rady, których Rada była przewidziała do spodziewanej komisji do projektu ustawy, reformującej reformę agrarną. Minister Aleksa chciał nas wprząc do pracy samego projektowania tej ustawy w łonie Ministerium Rolnictwa. Po dyskusji, która między nami się wywiązała co do samego stanowiska i zadania funkcjonalnego Rady wobec takiej czynności, stanęło na tym, że z jednej strony Rada otrzyma z Gabinetu Ministrów zlecenie konkretne, z drugiej zaś – uznaliśmy, że współpracownictwo Rady i jej komisji jest dopuszczalne i w tym wypadku pożądane nie w charakterze juryskonsultury wszakże, ale w charakterze opracowania i ustalenia pewnych kapitalnych prawnych do zamierzonej reformy w związku z powstającymi wielce skomplikowanymi zagadnieniami rekompensacji właścicieli dóbr rozparcelowanych, likwidacji i rozkładu długów hipotecznych itd. Będzie to praca długa i uciążliwa.

14 marca, rok 1929, czwartek
Rano miałem egzaminy. Zgłosiło się do nich pięciu studentów, z których czterech prawników – Piotr Karoblis z VIII semestru i Ajzyk Gdalewicz, Jeszua Lurje i Józef Vembrė z VI semestru – i jeden ekonomista Kazimierz Augustynowicz z IV semestru. Karoblis, Lurje i Vembrė zdali celująco, Gdalewicz – jeno zadowalająco, Augustynowicza zaś przepędziłem. Dosyć lubię te egzaminy, które są dla mnie samego ćwiczeniem.
Ułożyłem sobie mówkę na niedzielne zebranie doroczne studenckiego akademickiego Towarzystwa Prawników i Ekonomistów, na którym obchodzone będzie 5-lecie tego towarzystwa i zarazem ma być udzielony tytuł członka honorowego prof. Leonasowi, prof. Janulaitisowi i mnie. Uczę się teraz tej mówki.
Z domu dziś nie wychodziłem. Na dworze była odwilż, która trwa już drugi dzień. Odwilż jest duża, dochodząca do 10° Celsjusza, ale połączona z pogodą słoneczną i wiatrem; w nocy marznie ostro.

15 marca, rok 1929, piątek

Odbyło się posiedzenie Rady Stanu (plenum) pod przewodnictwem Kalnietisa jako najstarszego wiekiem spomiędzy równych co do starszeństwa nominacji (Ciplijewskiego, mnie i Masiulisa), Šiling bowiem był na audiencji u Prezydenta Smetony i przewodniczyć nie mógł. Plenum rozważało zgłoszoną przez odnośną komisję krytykę rządowego projektu kontroli nawozów sztucznych i kontrprojekt komisji. Kontrprojekt komisji z zastrzeżeniem pewnych poprawek redakcyjnych uznany został przez plenum za znacznie lepszy od rządowego i w zasadzie przyjęty; więcej debat wywołała kwestia zakresu autonomii Kłajpedy w stosunku do normowania produkcji nawozów sztucznych w myśl tego projektu ustawy. Komisja w referacie swoim jeno kwestię podniosła i uwydatniła względy za i przeciw, sama jednak kategorycznego rozwiązania kwestii nie dała. Rada Stanu uznała, że rzecz tak pozostać nie może i że Rada musi mieć jakiś określony pogląd na takie lub inne rozwiązanie tej kwestii. Rzecz została odroczona do wtorku i referentem wyznaczony został Kalnietis.
Oto tekst mojej mówki na niedzielne posiedzenie akademickiego Towarzystwa Prawników i Ekonomistów:
„Išrinkimą manęs mūsų akademinės Teisininkų ir Ekonomistų Draugijos garbės nariu aš laikau iš tikrųjų aukštos garbės titulu, kurį man yra ypatingai malonu iš Jūsų rankų priimti. Kadangi man tai yra malonu, tai aš Jums už tai širdingai dėkoju. Man tai yra malonu ypač todėl, kad Jūs visi esate mano mokiniai ir kad tuo pačiu Jūsų mokslo sąvokose, kurios įėjo i Jūsų sąmonę ir kurios – be abejo – veikia Jūsų jaunas sielas, yra ir mano darbo, mano energijos, mano minčių, sąmonės ir sielos elementų. Aš, taip sakant, gyvas esu Jūsų sielose, aš jas veikiu ir su pasigėrėjimu žiūriu, kaip mano darbo vaisiai bręsta jaunosios Lietuvos teisininkų kartos sąmonėje.
Daugelis Jūsų jau man įrodė, kad mūsų žinių, minčių ir sąvokų grūdai gerai dygsta Jūsų sielose ir kad intelektinis mūsų sėjos derlius gabių Lietuvos vaikų psichikos dirvoje žada būti tikrai gražus. Tiesa iki šiol – Jūs tai mums – man bent – esate įrodę tiktai seminaro darbais ir kvotimais, nes dar paties gyvenimo, dar pačios socialinio bendravimo esmės jaunoji mūsų mokinių karta veikti nepradėjo, tad šiuo atžvilgiu pačioje visuomenėje ji mums dar savo darbo išdavų parodyti negalėjo. Bet tai ateis. Ar mums bus lemta tai pamatyti – mes nežinome, bet šiaip ar taip mes jau tikrai žinome, kad mūsų energija nedingo ir kad ji veiks Lietuvoje Jūsų darbais. Jūs esate mūsų tarpininkai, kurie mus jungia su Lietuvos ateitimi ir mus įterpia į gyvą ir jauną mūsų šalies visuomenę, kai mes patys jau imame sensti. Atlikę mūsų intelektinės ir idėjinės sėjos darbą ir gėrėdamiesi Jumis, kuriuose spindi visa tai, kas pačiuose mumyse buvo ir tebėra brangiausio ir kilniausio – mes su poetu Horacijumi drįstame svajoti:
Non omnis moriar – multaque pars mei
Vitabit...
Štai kodėl man yra ypatingai malonu gauti iš Jūsų šį garbės titulą, kuris rodo, kad Jūs patys branginate mūsų darbą, kurio padariniai ir išdavos bręsta Jūsų sielose ir kuris pratęsia mūsų gyvenimą, įkūnydamas mus į gyvą, jauną, sveiką, nemirštančią su mūsų kūnais mūsų brangiosios šalies visuomenę...”[7]. Dokończenie podam jutro.

---

[7] „Wybranie mnie na członka honorowego naszego akademickiego Towarzystwa Prawników i Ekonomistów uważam za naprawdę zaszczytny tytuł, który jest mi szczególnie przyjemnie przyjąć z Waszych rąk. Sprawia mi to przyjemność, więc serdecznie Wam za to dziękuję. Jest to mi przyjemne zwłaszcza dlatego, że wszyscy jesteście moimi uczniami i że przez to w Waszych pojęciach naukowych, które weszły do waszej świadomości i które niewątpliwie kształtują Wasze młode dusze, jest i moja praca, moja energia, moje myśli, elementy świadomości i duszy. Jestem, że tak powiem, żywy w Waszych duszach, oddziałuję na nie i patrzę z zachwytem, jak owoce mojej pracy dojrzewają w świadomości młodego pokolenia prawników litewskich.
Wielu z Was już mi udowodniło, że ziarna naszej wiedzy, myśli i pojęć ładnie wschodzą w Waszych duszach i że plon intelektualny naszego siewu w glebie psychiki zdolnych dzieci Litwy obiecuje być

16 marca, rok 1929, sobota
Dokończenie mojej mowy na jutro na walne zgromadzenie doroczne studenckiego akademickiego Towarzystwa Prawników i Ekonomistów:
„Šito mano išrinkimo garbė yra man žymiai pakeliama dar tuo, kad man tai tapo suteikta drauge su dviem mano ypatingai gerbiamais profesūros kolegomis – mūsų visų aukštai gerbiamais ir mylimais Ponu Dekanu ir Ponu Profesoriumi Augustinu Janulaičiu: jųjų pirmasis – Ponas Profesorius Petras Leonas skleidė Lietuvoje teisės žinias ir sąvokas dar tais laikais, kai net svajoti apie universitetą Lietuvoje nebuvo galima; jis Lietuvos visuomenėje yra tikras teisės mokytojas, jis yra mūsų visų dekanas ne tiktai Fakulteto Tarybos nutarimu, bet savaime – savo darbu, savo gyliu teisės apaštalavimu Lietuvoje. Profesorius Augustinas Janulaitis savo mokslo srity – teisės istorijoje – yra mokslininkas profesinis, kuris mokslo darbą dirbo ir mokslininko vardą įgijo, nelaukdamas Lietuvos universiteto įkūrimo. Aš tų titulų neturiu ir mokslo darbą konstitucinės teisės srity dirbti pradėjau tiktai Lietuos Universitete. Šešeri mokslininko profesijos metai – tai laikotarpis labai trumpas. Žinoma – studentams, ypač pirmųjų semestrų, kurie dar patys iš viso nieko nežino ir nenusimano, mano mokslinės žinios gali pasirodyti labai plačios ir gilios, bet kai aš pats jas tikrinu, besimokydamas ir susidurdamas su mano mokslo problemomis mano mokslo kabineto tyloje knygų pasaulyje, tai aš įsitikinu, kad dar aš esu profanas, kuriam dar daug ir dar ilgai pačiam mokytis reikia.
Tas manęs pastatymas vienoje su Petru Leonu ir Augustinu Janulaičiu eilėje sudaro man tikrai nepaprastą garbę, bet kartu ir uždeda man sunkią, nors ir garbingą atsakomybę. Aš tą atsakomybę priimu, o už avansu manim pasitikėjimą dėkoju.
Jums gi, jaunieji teisininkai ir ekonomistai, brangieji mūsų mokiniai ir kolegos, aš iš visos tikrai Jus visus ir visą, be išimčių, mūsų šalies visuomenę mylinčios širdies linkiu, kad mūsų akademinė Teisininkų ir Ekonomistų Draugija, kuri šiandien švenčia savo 5 metų sukaktuves, plėstųsi ir žydėtų kaipo institucija, padedanti Jums burtis ir orientuotis laukiančiam Jus darbui. Lietuva tikrai yra reikalinga teisininkų, kurie sugebėtų sutvarkyti jos viešąjį gyvenimą, o Lietuvos ūkis yra reikalingas ekonomistų. Bendromis pajėgomis mes laimėsime mūsų Lietuvai šviesią ateitį!“[8].

---

naprawdę piękny. Co prawda, na razie udowadniacie to nam, a przynajmniej mnie, tylko pracami seminaryjnymi i sprawdzianami, bo samego życia, samej istoty obcowania społecznego młode pokolenie naszych uczniów jeszcze nie zakosztowało, więc pod tym względem nie mogło jeszcze pokazać wyników swej pracy w samym społeczeństwie. Ale to przyjdzie. Czy dane będzie nam to oglądać – nie wiemy, ale tak czy inaczej wiemy już na pewno, że nasza energia nie poszła na marne i będzie służyć Litwie w Waszych pracach. Jesteście naszymi pośrednikami, którzy łączą nas z przyszłością Litwy i umieszczają nas w żywym i młodym społeczeństwie naszego kraju, kiedy my sami już zaczynamy starzeć. Dokonując naszego intelektualnego i ideowego siewu i podziwiając Was, z których promieniuje wszystko to, co było w nas i co jest najdroższe i najszlachetniejsze, wraz z poetą Horacym ośmielamy się marzyć:
Non omnis moriar – multaque pars mei
Vitabit...
Oto dlaczego sprawia mi szczególną przyjemność otrzymany z Waszych rąk ten zaszczytny tytuł, świadczący, że Wy sami doceniacie naszą pracę, której owoce dojrzewają w Waszych duszach i które przedłużają nasze życie, wcielając nas w żywe, młode, zdrowe, nie umierające wraz z naszymi ciałami społeczeństwo naszego ukochanego kraju...”.

[8] „Ten zaszczyt mojego wyboru jest dla mnie jeszcze większy przez to, że dostąpiłem go razem z dwoma szczególnie przeze mnie cenionymi moimi kolegami z profesury – wielce przez wszystkich szanowanymi i kochanymi Panem Dziekanem i Panem Profesorem Augustinasem Janulaitisem; pierwszy z nich – Pan Profesor Petras Leonas upowszechniał w Litwie wiedzę i pojęcia prawne jeszcze w czasach, kiedy nawet marzyć o uniwersytecie w Litwie nie można było; jest on w społeczeństwie litewskim prawdziwym nauczycielem prawa, jest on dziekanem dla nas wszystkich nie tylko na mocy uchwały Rady Wydziału,

Mowy tej już się wyuczyłem dobrze.
Zdobyłem się dziś po wielu, wielu leciech na pójście do kinematografu. Poszedłem z Jadzią. I tak się wynudziłem długim bez końca przedstawieniem, że znów się na wiele lat zarzekłem.

17 marca, rok 1929, niedziela
O godz. trzeciej po południu na sali uniwersytetu odbyło się posiedzenie uroczyste studenckiego Towarzystwa Prawników i Ekonomistów, poświęcone obchodowi pięciolecia tej organizacji. Zebrało się z paręset osób młodzieży, obecnych też było kilku filistrów, byłych studentów, założycieli Towarzystwa. Z członków profesury stawiliśmy się my trzej – dziekan wydziału prof. Leonas, prof. Augustyn Janulaitis i ja, którym Towarzystwo uchwaliło udzielić tytułu członków honorowych, oraz prof. Juodakis i prof. Dowkont. Prezes Towarzystwa – student Krusznowski (ekonomista VI semestru), wiceprezes Bolesław Szyrwiński (prawnik VI semestru) i trzej członkowie zarządu, w których liczbie studentka Paužuolytė z II semestru, zajęli miejsca u stołu prezydialnego i powołali nas wszystkich pięciu z profesury do zajęcia miejsc honorowych w prezydium. Następnie zagajenie wygłosił prezes Krusznowski, który wspomniał też o powołaniu Leonasa, Janulaitisa i mnie na członków honorowych. Dyplomów na piśmie nam nie doręczono. Wiceprezes Szyrwiński wygłosił obszerne sprawozdanie o pięciu leciech ubiegłych działalności Towarzystwa. Dopiero wystąpiłem z moim przemówieniem ja, po mnie Janulaitis. Z kolei szły powitania, wygłaszane przez poszczególne stowarzyszenia akademickie, reprezentowane przez swych delegatów. Wreszcie referat wygłosił prof. Leonas na temat zadań studenta prawnika. Na tym się uroczystość skończyła. Przeciągnęła się ona od godz. 3 do 6, wskutek czego opuściłem posiedzenie plenarne Komitetu Wspierania Litwy Północnej, które się odbyło o czwartej.

18 marca, rok 1929, poniedziałek
Czułem się trochę niezdrów. Właściwie już i wczoraj niedomagałem. Jest to zresztą zwyczajne przeziębienie wiosenne – katar, kaszel, łamanie w kościach, skłonność do gorączki. Pod wieczór czułem się już dużo lepiej. Jadzia chodzi z ogromną fluksją w prawym policzku.

---

ale też sam przez się – poprzez swoją pracę, swoje głębokie apostolstwo prawa w Litwie. Profesor Augustinas Janulaitis w swojej dziedzinie – historii prawa – jest uczonym profesjonalnym, który prowadził pracę naukową i zdobył miano uczonego nie czekając na założenie Uniwersytetu Litewskiego. Ja tych tytułów nie posiadam i pracę naukową w dziedzinie prawa konstytucyjnego rozpocząłem tylko na Uniwersytecie Litewskim. Sześć lat w zawodzie uczonego – to okres bardzo krótki. Oczywiście, studentom, zwłaszcza pierwszych semestrów, którzy jeszcze sami zupełnie niczego nie wiedzą i nie potrafią, moja wiedza naukowa może się wydawać bardzo rozległa i głęboka, ale kiedy sam ją sprawdzam, ucząc się i stykając się z problemami w ciszy świata książek w moim gabinecie naukowym, to się przekonuję, że wciąż jeszcze jestem profanem, który musi jeszcze dużo i długo się uczyć. Umieszczenie mnie w jednym szeregu z Petrasem Leonasem i Augustinasem Janulaitisem nie tylko czyni mi wielki zaszczyt, ale też obarcza wielką, choć i zaszczytna odpowiedzialnością. Przyjmuję tę odpowiedzialność i dziękuję za obdarzenie mnie zaufaniem.
Wam zaś, młodzi prawnicy i ekonomiści, drodzy nasi uczniowie i koledzy, z głębi kochającego Was i całe bez wyjątku społeczeństwo naszego kraju serca życzę, aby nasze akademickie Towarzystwo Prawników i ekonomistów, które dziś obchodzi swoje pięciolecie, rozwijało się i rozkwitało jako instytucja, pomocna Wam w zespoleniu się i orientowaniu w oczekującej Was pracy. Litwa naprawdę potrzebuje prawników, którzy potrafią uporządkować jej życie publiczne, a gospodarka Litwy potrzebuje ekonomistów. Wspólnymi siłami wykujemy dla naszej Litwy świetlaną przyszłość!”.

Rano byłem w Radzie Stanu, gdzieśmy z prezesem Šilingiem i Masiulisem zaprojektowali kilka drobnych poprawek detalicznych do projektu regulaminu Rady stosownie do wskazówek prof. Voldemarasa, o ile te wskazówki trafiły nam do przekonania. Wieczorem miałem wykład na II semestrze i colloquium.

19 marca, rok 1929, wtorek
Rano – posiedzenie plenum Rady Stanu. Dalszy ciąg debaty ustawy o kontroli nawozów sztucznych. Dokonana przez komisję krytyka projektu rządowego (właściwie projektu ułożonego przez Ministerium Rolnictwa), wyrażona w referacie motywowanym komisji, oraz ułożony przez komisję własny kontrprojekt przyjęte zostały przez Radę bez dłuższej dyskusji. Więcej sporów i różnych zdań wywołała kwestia rozciągnięcia tej ustawy na Kłajpedę, zwłaszcza w stosunku do ograniczeń produkcji tych nawozów; rzecz tę polecono komisji studiować nadal aż do zupełnego wyjaśnienia tej kwestii w celu powzięcia przez Radę Stanu kategorycznej uchwały w tej mierze. Przyjęliśmy też kilka poprawek detalicznych do projektu regulaminu Rady, który ma już być wkrótce ogłoszony w „Vyriausybės Žinios”.
Wieczorem byłem dziś w teatrze na operze „Dama pikowa” Czajkowskiego. Było to przedstawienie, ofiarowane bezpłatnie przez artystów opery na rzecz ofiar nieurodzaju w Litwie Północnej na ręce Komitetu Centralnego.

20 marca, rok 1929, środa
Mam dość dużo teraz pracy z odrabianiem prac seminaryjnych studenckich, odbywanych u mnie w mieszkaniu, i tłumaczeń konstytucji oraz książki Esmeina. Te prace zajmują mi co dzień po kilka godzin czasu. Są to prace żmudne, które szczególnie się ku końcowi roku akademickiego nagromadzają. Odciągają one mię bardzo od innych prac moich, na które nie pozostaje mi prawie czasu wolnego.
Wieczorem dziś miałem seminarium prawa konstytucyjnego w audytorium. Referentem był student Michał Kregždė, kontrreferentką – studentka Beniutė-Anna Grigaitisówna. Temat referatu: określenie ustroju konstytucyjnego Litwy podług konstytucji z r. 1928. Referat studenta Kregždė był bardzo ładny. W ogóle nasze studia seminaryjne prawa konstytucyjnego stoją na poziomie bardzo wysokim. Publiczne wygłaszanie tych referatów pod czujną kontrolą moją skłania studentów do bardzo starannego odrabiania pracy; referatów tych nie powstydziłby się profesor, nie mówiąc o przeciętnym prawniku; referaty słabe i złe należą do wyjątków; w początku roku są one zwykle słabsze, ale im dalej, tym ich wartość wzrasta, a trafiają się celujące, które po prostu zaszczyt czynią studentom. Zbieram w nich owoce pracy mojej.

21 marca, rok 1929, czwartek
Niepokoi mię nieco pewien objaw, który stwierdzam u siebie. Jest to rozwijająca się u mnie coraz bardziej senność, która mię w pewnych porach ogarnia i, zdaje się, nie jest w żadnym związku z niewyspaniem. Szczególnie zaznacza się ona koło południa, po obiedzie i wieczorem, ale nieraz i o innej porze. Cokolwiek bym wtedy robił – zaczynam drzemać, a już zgoła nie jestem w stanie słuchać jakichś dłuższych przemówień i odczytów, bo wtedy opędzić się drzemce nie mogę. Senność tę w stopniu jeszcze większym miała Mama, ale tylko w ostatnich latach przed śmiercią. Mam wrażenie, że nie jestem długowiecznym. Nie rokuję sobie długiego życia i kto wie, czy ta rozwijająca się u mnie senność nie jest symptomatem początku końca.

22 marca, rok 1929, piątek

Rada Stanu sił moich zbytnio nie pochłania. Już to muszę przyznać, że prezes Rady Šiling jest bardzo dla mnie względny, koledzy zaś – bardzo wyrozumiali. Co prawda, uchodzę w Radzie Stanu za głowę najwybitniejszą, za mistrza teorii; już co powiedział „profesor" (nazywają mię w Radzie krótko „profesorem", tak jak Dowkonta „generałem") – to uchodzi za rzecz szczególnego autorytetu. Ale autorytet „profesora" nie jest nadużywany. Robotnikami szeregowymi w Radzie, wołami roboczymi, których cały czas – codziennie i od rana do wieczora – bez ceremonii jest na prace Rady Stanu użytkowany, są Masiulis, Ciplijewski, Kalnietis i Papečkys. Ci – orzą bez wytchnienia i są zaabsorbowani bez miłosierdzia. Przez parę tygodni pracowali oni jednym ciągiem rankami i wieczorami bez wytchnienia nad projektem ustawy o najmie robotników rolnych, teraz Šiling zaprzągł ich (bez Papečkysa) do równie forsownej i terminowej pracy nad projektem nowel o ochronie kredytorów, o bankructwie i o rejestrze handlowym. Mnie Šiling oszczędza, respektując moją pracę uniwersytecką, aby mi na nią czas zostawić i nie przeciążać nad miarę; koledzy nie oponują temu i nie krzywią się na ten przywilej, który ich samych kosztuje pracy. Muszę przyznać, że stosunki koleżeńskie w Radzie Stanu są bardzo poprawne; wszyscy są wzajemnie bardzo grzeczni, uprzejmi i towarzyscy; nie ma dąsów i kwasów – harmonia panuje zupełna. Bardzo miłe wrażenie sprawia Kalnietis, przeciwko któremu byłem uprzedzony. Oprócz mnie, oszczędzany jest w Radzie Stanu generał Dowkont i Starkus, ale ci są oszczędzani z innych względów: Dowkont – dlatego, że nie ma dlań pracy właściwej jako dla nie-prawnika, zaś Starkus – dlatego, że na razie zajmuje jeszcze stanowisko dyrektora Banku Litewskiego i przeto nie może się całkowicie Radzie Stanu oddać, ale też za to zrzekł się pobierania pensji w Radzie Stanu, dopóki się z Banku Litewskiego nie wycofa (pozostanie on tam do najbliższego dorocznego walnego zgromadzenia akcjonariuszy).
Minister sprawiedliwości Żyliński wystarał się o ustawę, powiększającą etaty Trybunału o dwa nowe stanowiska: jednego wiceprezesa i jednego sędziego. Wiceprezesem zostanie, zdaje się, sędzia Čepas; jego zaś miejsce sędziego zawakuje, co razem z nowo kreowanym miejscem wytworzy dwa wakansy sędziowskie do obsadzenia. Trybunał upatrzył już dwóch kandydatów na te stanowiska; są to: sędzia okręgowy Buyko i sędzia pokoju w Radziwiliszkach Czesław Milwid, były niegdyś poseł do Dumy Państwowej rosyjskiej w r. 1906 i przed kilku laty sędzia okręgowy w Kownie. Milwid i Buyko są obaj ludźmi kultury polskiej i pochodzenia ziemiańskiego, ze szlachty rodowej rdzennej. Milwida bardzo życzył sobie Prezydent Smetona, Buyko zaś wyrobił sobie tak u prawników, jak w społeczeństwie i rządzie opinię najlepszego cywilisty spośród sędziów okręgowych i istotnie jest bardzo pracowity, poważny, niezmiernie sumienny i skrupulatny w pracy sędziowskiej, zaiste sędzia wzorowy. Milwid jako sędzia jest w gorącej wodzie kąpany – antyteza Buyki, ale jest człowiek rozumny, solidny, cywilizowany zupełnie, człowiek starej kultury.

23 marca, rok 1929, sobota
Byłem na obiedzie u Eugeniuszostwa Römerów. Eugeniuszowi udzielam teraz projektów ustaw, które nadchodzą do Rady Stanu z Ministerium Rolnictwa i Gabinetu Ministrów w sprawie stosunków robotniczych w rolnictwie, reformy agrarnej, odszkodowania za wywłaszczenie itd. Eugeniusz, który jest dziś w Litwie liderem politycznym mniejszości polskiej i zarazem llderem obozu ziemiańsko-polskiego, interesuje się wielce ruchem tych projektów, studiuje je uważnie wraz z gronem swych przyjaciół i współpracowników i doręcza mi swoje i tego grona „uwagi", z których czasem korzystam w Radzie Stanu.

U Eugeniuszostwa na obiedzie spotkałem też Hektora Komorowskiego, który już od lat kilku jest wiernym satelitą Eugeniusza Römera. Co zaś do Kasi – to ta rysuje, maluje i szkicuje, bawi się częstym bywaniem w Kownie, używa towarzystwa męskiego młodzieży akademickiej polskiej, jednocześnie zaś kultywuje przezornie stosunki z obozem sztuki litewskiej i starego, wręcz nacjonalistycznego, kleru literackiego litewskiego, jak prałat Dąbrowski-Jakštas, arcybiskup Karewicz, prałat Maironis-Mačiulis.
Opracowany przez Radę Stanu projekt ustawy o najmie robotników rolnych wywołał pewną opozycję na zjeździe Izby Rolniczej i doznał przeróbek w Gabinecie Ministrów, który jeszcze bardziej zaakcentował przewagę jednostronną interesu pracodawcy nad interes robotnika i usunął z projektu Rady wszelkie zastrzeżenia, poczynione na rzecz ochrony robotnika. Przerobiony projekt ma jeszcze wrócić do Rady Stanu dla zaopiniowania i zaprojektowania przepisów przechodnich. Izba Rolnicza, przejęta dążeniem rozciągnięcia swoich wpływów na Radę Stanu, uchwaliła prosić rząd o mianowanie do Rady Stanu jednego z członków Izby, którego Izba wybierze. Oczywiście, taka kombinacja jest niemożliwa, ale świadczy ona o naiwnym, co prawda, ale charakterystycznym dążeniem Izby Rolniczej do roztoczenia swoich wpływów.

24 marca, rok 1929, niedziela
Nic ciekawego.

25 marca, rok 1929, poniedziałek
Rano udałem się do Sądu Wojennego na rozprawę w sprawie karnej Daniszewskiego i innych, oskarżonych o szpiegostwo na rzecz Polski. Oskarżony jest ten sam Daniszewski, którego, jako przyjaciela Henryka Wołłowicza, poznałem w r. 1924 w Wilnie i Grodnie i który następnie w r. 1926 wrócił do Litwy, tu się z wielką łatwością, dzięki rekomendacjom z Komitetu Litewskiego w Wilnie, zalegalizował i zamieszkał w swoim majątku. Na prośbę matki Daniszewskiego, p. Krupowiczowej, która ma w Kownie sklep dewocjonaliów na Placu Ratuszowym, udałem się do Sądu Wojennego w charakterze świadka obrony. Nie byłem przez sąd wezwany, jeno przez obronę zgłoszony, ale sąd dopuścił mię do świadczenia. *In meritum* nic w tej sprawie nie wiem i świadczyć mogłem tylko o moim wrażeniu co do osoby Daniszewskiego i jego stosunku do Litwy. Rzeczywiście, w r. 1924 wyrażał się on z wielkim i głębokim sentymentem do Litwy i nigdy – ani w r. 1924, ani w 1926 – nie słyszałem od niego nic, co by mogło wskazywać na jego jakąś niechęć do państwa czy narodu litewskiego; w sprawie wileńskiej zdawał się on w zupełności rozumieć i nawet podzielać postulaty litewskie i w ogóle traktował państwowość Litwy, jej wojsko, jej aspiracje narodowe – z szacunkiem i uznaniem. Nie słyszałem od niego nigdy żadnych kpin, żadnej ironii i docinków złośliwych w stosunku do Litwy, tak powszechnych, niestety, w ustach Polaków litewskich. Toteż Daniszewski robił na mnie zawsze wrażenie lojalnego obywatela Litwy, dalekiego od polityki, ale życzliwego państwu. Stwierdziłem to wszystko w moim zeznaniu na sądzie. Wespół z Daniszewskim oskarżonych jest o szpiegostwo kilku mieszkańców pogranicza. Obronę wnoszą adwokaci Stankiewicz, Chodakowski, Ziman i paru innych. Obrońcy twierdzą, że oskarżenie jest sztucznie skonstruowane i są dobrej myśli. Ale jeżeli prawdą jest to, co mi mówiła matka Daniszewskiego o jego zeznaniu własnym, to bądź co bądź pewien brzydki cień obciąża Daniszewskiego: podobno są dowody, że Daniszewski przed przyjazdem do Litwy wziął w Wilnie pieniądze z instytucji, kierującej akcją szpiegowską polską w Litwie, i sam on nie przeczy temu, twierdząc jeno, że chciał on tę instytucję oszukać i nabrać, bo mu pieniądze były potrzebne, żadnej zaś akcji szpiegowskiej tu nie prowadził; zdaje się,

że przyłapany został list, w którym defensywa wileńska powołuje się na te wypłacone Daniszewskiemu pieniądze i wyrzuca mu bezczynność. Zresztą sprawy nie znam dobrze. Przewodniczył rozprawie sędzia pułkownik Engler (Rosjanin), w liczbie sędziów zasiadało dwóch oficerów moich uczniów (studentów prawników), oskarżenie wnosił podprokurator – również mój uczeń, sekretarzem był – mój uczeń. Świadczyłem pod przysięgą. Pozwolono mi złożyć zeznanie pierwszemu i zwolniono mię. Rozprawa dziś zapewne zakończona nie będzie.
Poza tym miałem dziś przed obiadem i po obiedzie aż dwa posiedzenia Rady Stanu, na których zakończone zostało rozpoznanie projektu ustawy o kontroli nawozów sztucznych i zgłoszone przez Gabinet Ministrów poprawki do opracowanego przez Radę Stanu projektu ustawy o najmie robotników rolnych.
Oprócz tego miałem dziś egzaminy studenckie. Ogółem zdawało sześciu studentów, w ich liczbie była p. Andrzejowa Bułatowa, która kiedyś odbywała studia prawnicze w Rosji, ale ich nie ukończyła, obecnie zaś zdaje wszystkie egzaminy u nas na Wydziale Prawniczym na dyplom formalny. Jest to osoba już starsza – w wieku koło 45 lat – Sybiraczka rodowita, która wszakże nauczyła się już po litewsku (zresztą jest już zamężna za adwokatem Bułatem od lat 20). Zdała bardzo dobrze. Studenci Zełman Judelewicz, Kutra (ludowiec, chłopiec zdolny, inteligentny i miły), Witold Staszyński (syn adwokata) i Antoni Ragelis (z wioski Audry pod Rogielami, mój sąsiad) – zdali też celująco, student zaś Witold Użupis – dobrze.

26 marca, rok 1929, wtorek
Spędziłem dzień w domu. Czułem się nie bardzo zdrów i osłabiony dziwną sennością moją. Nie miałem usposobienia do pracy. Z Jadzią chodziłem na miasto za interesami, zwłaszcza za sprawunkami świątecznymi w związku z naszym wyjazdem jutro do Bohdaniszek. W szczególności kupiłem komplet kafli na piec do salonu w moim domu w Bohdaniszkach. Zapłaciłem 594 lity i kazałem kafle wysłać jutro do Rakiszek.

27 marca, rok 1929, środa
Dziś wyjeżdżam z Jadzią na święta Wielkiejnocy do Bohdaniszek. Dzień jednak miałem roboczy, bo w Radzie Stanu tak przed obiadem, jak po obiedzie – aż do samego wyjazdu na stację kolejową – odbywało się posiedzenie plenarne. Sens tego posiedzenia i dokonywanej na nim pracy jest bardzo skomplikowany, ale głupi. Od trzech dni Rada już ślęczy nad tym, poświęciwszy tej robocie dwa dni posiedzeń plenarnych (dwa dni posiedzeń, a nie dwa posiedzenia!) i jeden dzień posiedzeń komisji, do której, dzięki Bogu, nie należę. Praca zaś ta jest następująca: gdy Rada Stanu, spełniając zlecenie Gabinetu Ministrów, opracowała projekt ustawy o najmie robotników rolnych, Gabinet Ministrów – a raczej Voldemaras, który jest premierem nie z imienia tylko, lecz z władzy realnej i który dysponuje całym gabinetem arbitralnie, zarządził cały szereg poprawek do projektu i skierował je znów do Rady z poleceniem niby to zaopiniowania o nich, a właściwie – przeredagowania projektu w myśl tychże. Radzie więc wypada tym razem rola służebna przerabiania własnego projektu w myśl poglądów i wskazówek cudzych. Wprawdzie wypływa to poniekąd z samej natury Rady Stanu jako organu pomocniczego rządu w jego funkcji inicjatywy ustawodawczej, ale bądź co bądź jest nudne i niemiłe. Jest zaś niemiłe tym bardziej, gdy sam rząd w poprawkach zmienia własne dyrektywy pierwotne i, ulegając dezyderatom Izby Rolniczej, która w projekcie Rady dopatrzyła się któż wie jakich grzechów quasi-„bolszewizmu”, usiłuje zapierać się udzielonych dyrektyw i „winę” wobec Izby Rolniczej zrzuca na Radę, aby siebie salwować. Huczek, który projekt Rady wywołał na zjeździe Izby Rolniczej, był spowodowany zgoła jednostronną tendencją tej Izby do uwzględniania li tylko interesu

pracodawcy, bez żadnych ustępstw i kompromisów na rzecz robotników. Rząd temu skwapliwie ulega, a na Radę Stanu spływa odium. Przerabianie projektu staje się w tych warunkach pewnego rodzaju ekspiacją czy Canossą Rady Stanu. Taką cechę nadał temu rząd. W dodatku ta przeróbka nakazana została jako extra śpieszna. Polega ona na dwóch momentach. Jeden z nich stanowi zupełne wyplenienie z projektu wszelkich cech parytetu w traktowaniu pracodawcy i robotnika i uwzględnianie wszędzie li tylko pracodawcy. Drugi moment – to wytworzenie „stanu przejściowego dla gospodarstw ponad 80-hektarowych, ulegających reformie agrarnej, które są nadal traktowane gospodarczo po macoszemu z pewnym, choć nieco osłabionym, tempem pielęgnowania pasożytnictwa ordynariuszów dworskich. Wszystko to razem wzięte nie czyniło miłego wrażenia.
Ale też w ogóle w kołach rządowych zaczęto się na Radę Stanu krzywić. Czyni to od dawna w szczególności minister rolnictwa Aleksa, a ostatnio i sam Voldemaras, który na posiedzeniu gabinetu przy omawianiu preliminarza budżetowego wystąpił z ostrą krytyką Rady Stanu, uzurpującej sobie rzekomo funkcje, które do niej nie należą. Słowem, nasi ministrowie chcieliby mieć w Radzie nie organ deliberujący wytrawnych znawców funkcji państwowych i zarazem prawników, lecz jakieś kolegium konsultantów prawnych, dyscyplinowane i posłuszne rządowi, nie posiadające żadnej zgoła opinii własnej, przeznaczone li tylko doi zleceń rządowych. W istocie w myśl konstytucji i ustawy, Rada jest tylko poniekąd taką, ale ma też pewną wagę własną, ma swój głos i inicjatywę, ma swoją ciągłość organu doradczego w sprawach organizacji praworządnej państwa. Słowem, z łona rządu płynie w tej chwili prąd obniżania autorytetu i znaczenia Rady Stanu.

28 czerwca, rok 1929, czwartek
Rano przyjechaliśmy z Jadzią do Rakiszek. Tym razem wybrałem się do Rakiszek, nie do Abel, dlatego, że się obawiałem, iż grobla w Abelach będzie zalana i nie można będzie dojechać do Bohdaniszek ani wprost, ani na Pokrewnie przez rzekę. Tu, w stronach rakiskich, zastaliśmy jeszcze sannę, aczkolwiek już uciekającą. Spotkał nas Piotruk Skrebys wraz z parobczakiem Maryni Piotrukiem Deksniukiem dwojgiem sanek w pojedynkę, zaprzężonych we dwa konie moje – w Huzara i nowo kupionego Dragona. Pogoda była śliczna – słoneczna i rzeźwa, droga wszakże – nieznośna. Z powodu rozlania rzeczki za Czelkami trzeba było jechać gościńcem na Rakiszeczki, droga zaś gościńcem jest ohydna. Jest ona pełna wybojów, głębokich i krzywych, jakichś skośnych i zygzakowatych, niesłychanie uciążliwych do jazdy. Z jedną małą przygodą – przewróceniem się moich sań do wody pod Wiwieliszkami – dojechaliśmy do Bohdaniszek szczęśliwie.
Dzień spędziłem w moim domku zacisznie. Po obiedzie przejechałem się do Gaju i na folwark Jadzi, gdzie już nawieziono drzewa na budowę jej domu, którego podmurówka ma stanąć tego lata. U mnie też nawieziono drzewa z Gaju, z którego napiłuję cienkich deseczek na oszalowanie domu i trochę desek grubszych. Mam już wapno, cement i pewien zapas cegieł oraz całą kopalnię kamieni ze starej podmurówki Papy pod gumno z r. 1914, kupionej przeze mnie od Maryni za 400 litów wraz z kamieniami w jej ogrodzie – będzie to materiał na podmurówkę i budowę ścian kuchni na lato nadchodzące.

29 marca, rok 1929, piątek
Jadzię odesłałem dziś na święta do jej rodziców do Szadujeiszek. Zostałem w moim dużym domu sam jeden. Na parę godzin poszedłem do „starego domu” do sióstr, poza tym spędziłem przeważną część dnia u siebie. Wieje dziś ostry wiatr północno-

zachodni, ale mroźny taki, że niczym wiatr wschodni! Na słońcu śnieg topniał, zwłaszcza za wiatrem, ale w cieniu marzło porządnie. Mój gabinet rogowy, w którym teraz przesiaduję, wychodzi na wschód i południe, jest słoneczny i ma dwa piece, toteż jest ciepły i miły, może tylko trochę za suchy.
Lato nadchodzące zapowiada mi się materialnie ciężkie, bo wypłat i ciężarów będę miał tyle, że nie rozumiem, jak podołam wszystkiemu. W zakresie mego planu robót nad budową i urządzeniem domu dałbym sobie radę, gdyby nie przybyłą do tego wypłata Maryni za jej cząstkę Gaju, którą mi ona odsprzedała. Roboty i wypłaty w domu przewiduję na rok bieżący następujące: a. podmurówka i budowa ścian zewnętrznych z kamienia na kuchnię; b. wypiłowanie desek i zwłaszcza cienkich deseczek na oszalowanie domu – z drzewa, które w ilości 60 sztuk jodeł zimą z Gaju wyrąbałem; c. oszalowanie domu, zapewne nie całego – tyle, ile deseczek starczy; d. piec kaflowy biały w salonie; e. pobielenie sufitów, ewentualnie pomalowanie ich i ścian w kilku pokojach (malować będzie Stefan Römer) i może rozpoczęcie malowania okien na biało. Oprócz tych robót, muszę jeszcze spłacić dług Pejsachowi Ruchowi w kwocie 2000 litów za towar, nabrany u niego od dwóch lat (żelastwo, cement, blacha). Maryni zaś za jej Gaj muszę spłacić po 80 dolarów (800 litów) za hektar, co wynosi, licząc koło 9 ha, koło 7000 litów. Marynia chciałaby, abym od września do Nowego Roku spłacił z tej sumy 6000 litów na umorzenie różnych jej długów. Będę musiał rozciągnąć tę wypłatę na kredyt. Z nabytego od Maryni skrawka Gaju – koło 5 hektarów darowuję Jadzi, której folwarczek urośnie przez to do 15 ha, ale oczywiście Maryni spłacę ja, a nie Jadzia. W sprzedanym mi przez Marynię Gaju chrust i sporo osiny wycięła już Marynia, ale jest tam jeszcze trochę brzozy i jodły, zresztą – młodniak rosnący.

30 marca, rok 1929, sobota
Przyjeżdżał do mnie przedsiębiorca budowlany, majster Goriunow, który przed dwoma laty wykonał robotę stolarską w moim domu (okna, drzwi, podłogi...). Umówiłem się z nim dzisiaj o oszalowanie domu za 500 litów.
Wieczorem przyjechał z Antonosza Eugeniusz Falejew. Na kolacji był u mnie i u mnie zanocował. Falejew jest znowu na rozdrożu. W przeszłym roku jeden z głównych jego wspólników w założonym przezeń przedsiębiorstwie eksportu owoców i wyrobu wina owocowego w Antonoszu – Rimša z Łasz, który był dyrektorem rakiskiego oddziału Banku Ūkininkų Sąjungos, zabrnął w spekulacje, próbował się ratować podpaleniem składów towarowych banku, a gdy rzecz się wykryła i groziła mu kryminałem – poczynił malwersacje i drapnął z pieniędzmi do Brazylii. Bank rakiski zbankrutował, a cały szereg osób – w ich liczbie i Falejew – narażeni zostali nie tylko na straty, ale i na opłacenie grubych sum, opartych na wekslach, powydawanych Rimšy czy też przez Rimšę z ich żyrami. Falejewa to podkopało. Nie mógł on też wskutek tego zapłacić dzierżawy za Antonosz, Hektor zaś Komorowski, który się Antonoszem z ramienia Römerów antonoskich opiekuje, wydzierżawił Antonosz Alfredowi Charmańskiemu na lat sześć. Falejew sam nie wie, czy się zdoła z Charmańskim ułożyć co do dalszego swego pobytu w Antonoszu, ale już przewiduje konieczność zlikwidowania się w Antonoszu. Ma on jeszcze sąd kompromisowy z Hektorem Komorowskim o likwidację jego dzierżawy antonoskiej (w kompromisie tym mamy brać udział ja i Eugeniusz Römer), skądinąd zaś czyni on starania o odebranie z zarządu państwowego swego majątku Purpiszek, który chce spieniężyć, i nosi się z zamiarem sprowadzenia wtedy z Rosji swojej siostry i bratowej z synami i wyjazdu z nimi do Brazylii na twardy żywot kolonistów w dziewiczych terenach tego kraju zamorskiego.

31 marca, rok 1929, niedziela

Wielkanoc. Znaczną część czasu przed obiadem spędziłem w starym domu u sióstr. Z Michasiem Mieczkowskim i małą Stenią Römerówną zabawialiśmy się tradycyjnym tarzaniem jajek kolorowych. Mała trzyletnia Stenia jest dzieckiem rozkosznym; karna jest, grzeczna, zmyślna i wesoła. Co do Michasia Mieczkowskiego, który już ukończył lat 10, to jest chłopiec dobry, serdeczny i naturalny, ale jest bardzo do nauki niezdolny i w ogóle mało rozwinięty. Zdaje się, że będzie miał mało oleju w głowie i że będzie się kwalifikował do objęcia gospodarki Elwiry w Bohdaniszkach, nie nadając się do innych bardziej skomplikowanych zawodów.
Na obiedzie byłem u Maryni. Święcone – tak u Maryni, jak u Elwiry – jest bardzo niewielkie. W istocie nie ma dla kogo robić święcone. Jedyny gość – Eugeniusz Falejew.
Na dworze mróz przenikliwy z wiatrem. Gdyby nie długi dzień – można by te święta wziąć za Boże Narodzenie.
Mój chrzestny syn –Michał Nemeikšys – wystosował długi list... do Elwiry, w którym usiłuje otwierać moje oczy na różne prawdziwe i urojone winy i wady mojego służącego Piotruka Skrebysa, a zaczepia także Čepasów, silnych swymi wpływami u mnie przez Jadzię. Nemeikšys dał się unieść, zdaje się, zazdrości i pragnieniu znalezienia u mnie zarobku i dla siebie, bo go bardzo potrzebuje, przenosząc się z wioski na swój zaścianek. Niektóre zarzuty przeciwko Piotrukowi, które podnosi Nemeikšys, nie odpowiadają rzeczywistości, na przykład, że Piotruk nie nocował w moim domu nowym, jak mu było kazane, jeno w kuchni, lub że pod sekretem ode mnie trzymał groch w domu i uprzątnął go jeno przed moim przyjazdem, bym się o tym nie dowiedział. O grochu Piotruk mi pisał do Kowna, a więc sekretu z tego nie robił, a uprzątnął go nie po cichu dla ukrycia tego faktu przede mną, lecz właśnie na mój rozkaz listowny. Inne zarzuty są raczej insynuacjami, bo jeno rzucają cień podejrzenia, nie wskazują żadnych faktów konkretnych. Wreszcie trzecie – są prawdziwe (na przykład, że Piotruk późno wstaje, że lubi brać najemnika, że bawi się trochę w udawanie wielkiej figury à la ekonom). Wszystko razem przedstawia akt oskarżenia dość mizerny. Że Piotruk nie jest doskonałością – to pewne, że ma swoje wady i słabostki – to fakt niewątpliwy, ale ostatecznie żadnego faktu jawnej nieuczciwości i okradania list Nemeikšysa nie wskazuje, choć niewątpliwie uczyniłby to skwapliwie, gdyby mógł. W insynuacjach tego elaboratu obfite są wycieczki przeciwko Čepasom. Gdybym ten elaborat Nemeikšysa pokazał Jadzi, Jadzia raz na zawsze znienawidziłaby Nemeikšysa i nie darowałaby mu tego nigdy.

1 kwietnia, rok 1929, poniedziałek
Tak bym pragnął, żeby się prędzej moje budowanie w Bohdaniszkach skończyło, abym mógł lżej odetchnąć i mieć trochę swobodnej gotówki na inne potrzeby – w szczególności móc dokupić ładnych sprzętów, gdzieś pojechać za granicę itd. Teraz wypłata Maryni za Gaj do reszty mię podcina. Sam już nie pojmuję, jak wybrnę w tym roku z wypłat. Aż głowa się kręci – na wszystkie strony płać bez wytchnienia. Oto mały różaniec wypłat na czas najbliższy: Joselowi reszta należności za wapno – 250 litów, Falejewowi reszta należności za kupione od niego dwa łóżka i dwa materace sprężynowe – 200 lt, Piotrukowi pensji – 200 lt, traczowi Stiepance za piłowanie desek wypadnie koło 400 lt, kowalowi za deski sosnowe – koło 200 lt, a jeszcze cegły, a najemnikom, a wózka kamieni, a wózka żwiru, a stolarzowi za meble w Antonoszu, a stolarzowi w Kownie, a Sinica prosi pożyczyć 400 lt, a Marynia chce pierwszej raty za Gaj 500 lt... A do tego Pejsach Ruch, któremu winien jestem 2000 litów za towar od dwóch lat!

2 kwietnia, rok 1929, wtorek
Wykombinowałem dzisiaj, że muszę zaciągnąć na Bohdaniszki pożyczkę w Banku Ziemskim. Da mi to możność wykonania wszystkich zamierzonych na ten rok robót w budowie i urządzeniu domu i wypłacenia Maryni należności za kupioną od niej jej cząstkę Gaju. Bez tego nie dam sobie rady. Już oto teraz jestem osaczony ze wszech stron wypłatami, którym z pensji bieżącej mojej – bez kredytu – nie podołam. Kredyt w Banku Ziemskim jest najtańszy i bardzo wygodny, rozłożony na raty roczne bez pośpiechu i kłopotu. Zresztą kredytu tego nie będę marynował przez lat pięć, jeno opłacę go w ciągu jakichś lat dwóch.
Jadźka dziś wróciła od rodziców.

3 kwietnia, rok 1929, środa
Wyjechałem dziś z Jadzią z Bohdaniszek. Nie nasyciłem się jeszcze Bohdaniszkami, ale trzeba już wracać: obowiązki służby powołują mię do Kowna. Drogę mieliśmy na kolej ohydną. Wprawdzie od Wielkiego Piątku mróz wstrzymał topnienie śniegów i nagą ziemię pokrył grudą, a wielkie jeszcze pozostałości starego śniegu zlodowacił tak, że po najgłębszej warstwie śniegu nie tylko człowiek, ale i koń przechodzi po wierzchu bez zapadania, to jednak droga się przez to nie poprawiła. Jechać sanną niedogodnie, bo w wielu miejscach jest gruda, zaś kołami – nie lepiej, bo na powierzchni śniegu, gdzie jest gładko, tam – zatoczysto, a gdzie śnieg na drodze starymi koleinami lub wybojami – krzywo i wywrócisto. Na Rakiszki jechać odstraszyły mię jamy, wyboje i wądoły, których pełny jest gościniec i które teraz stwardniały, a są krzywe i czynią drogę nieznośną. Wybrałem więc drogę na Abele. Ale jazda na Abele me też swoje zastrzeżenia. Jechać *via* Pokrewnie i Antonosz, choć w Antonoszu można jeszcze jechać przez jezioro – niepodobna, bo w Pokrewniu rzeka rozlała; jechać na Abele na wprost drogą zimową, w pierwszej połowie do Popiel i nawet do jeziora można łąkami sanną wcale dobrze, ale przez jezioro – niebezpiecznie, bo na brzegu abelskim przy miasteczku lód jest podniesiony i przecięty wodą: podobno można wyjechać lodem na brzeg w jakimś innym miejscu, ale trzeba dobrze wiedzieć, którędy; pozostaje droga do Abel gościńcem letnim. Do gościńca aż za Popiele, aż pod samo Zajezierze można by dojechać dobrze sanną łąkami, ale przez groblę i dalej – gruda bez śniegu. Wobec tego wybraliśmy się gościńcem letnim kołami w karkach Elwiry parą moich koni – Huzarem i Dragonem. Trochę za późno, bo już o zmroku, wyruszyliśmy w tę podróż prawdziwą. W Bohdaniszkach udaliśmy się na Gaj, Karwieliszki i przez zaścianek Baltrukėnasa wprost na Apuszynię. Karki – wąskie, siedzenie dość niskie, niewygodne, na śniegu skamieniałym – ślisko, zatoczysto, a jeżeli nie ślisko, to krzywo, tak że znaczną część drogi szliśmy z Piotrukiem pieszo, a Jadzia jedna siedziała na dnie karek; z Apuszyni dobraliśmy się siako tako do Motejek. Za Motejkami porwały się nam żelastwa, wiążące przód karek z tyłem i pogubiły się cząstki tegoż. Stanęliśmy na gościńcu, Piotruk poszedł z latarką szukać straty, nie znalazł, ale przyprowadził zacnego gospodarza Białonóżkę z Motejek, który pożyczył śrubek, drutu i obcęgów i sam własnoręcznie z Piotrukiem naprawił karki, potem nas przeprowadził kawałek niebezpiecznej drogi, wskazując objazdkę i sam się za przewodnika ofiarując (obiecałem mu dać chrustu z Gaju za to), dalej już bez większych przygód, ale bardzo mozolnie posuwaliśmy się do Abel i trafiliśmy, dzięki Bogu, na pociąg w sam raz.

4 kwietnia, rok 1929, czwartek
Po przyjeździe do Kowna pośpieszyłem do Banku Ziemskiego, by się o pożyczce dowiedzieć i otrzymać informacje co do dokumentów, jakie są w tym celu do złożenia niezbędne. Rzecz sama przez się nie jest zbyt skomplikowana, ale uprzedzono mię w

banku, że należy się pośpieszyć, bo zapas gotówki rozporządzalnej jest na razie na wyczerpaniu, wobec czego spodziewane jest rychło zamknięcie wydawania pożyczek, a przynajmniej znaczne ograniczenie tegoż. Podobno nie dłużej, jak tydzień rzecz pójdzie tempem obecnym. Ano, będę kuł żelazo, póki gorące. Ale czy w ciągu tygodnia zdążę zebrać dokumenty – bo to trzeba i z gminy, i od sędziego pokoju, i od sądu okręgowego, i od starszego notariusza, i z Urzędu Asekuracji Państwowej, i z Zarządu Reformy Agrarnej – to mi się wydaje wątpliwe. Mam wszakże nadzieję, że nawet po upływie tygodnia, gdy o pożyczki będzie w zasadzie trudniej, przez stosunki moje uda mi się jednak coś wskórać. Wszakże wtedy suma pożyczki może być znacznie uszczuplona.
Bez tej pożyczki za nic się teraz nie obejdę. Ten rok będzie mi szczególnie trudny ze względu na kupno Gaju od Maryni. Od przyszłego roku zwolnię już tempo budowania się, więc i na spłacanie długu łatwiej mi przyjdzie zbierać pieniądze.
Bank Ziemski jest teraz literalnie oblegany przez tłumy petentów, szukających pożyczki. Płynie to i zalega lokal banku jak powódź.

5 kwietnia, rok 1929, piątek
Zwołałem na dziś w Radzie Stanu posiedzenie komisji, wyłonionej w osobach mnie, Kalnietisa i Ciplijewskiego, do rozpoznania legalności instrukcji ministra finansów inspektorom podatkowym w przedmiocie interpretacji art. XVI konkordatu Litwy ze Stolicą Apostolską (opodatkowanie dóbr kościelnych). Ponieważ posiedzenie komisji ze względu na niestawienie się Ciplijewskiego do skutku nie doszło, więc skorzystałem z wolnego czasu dla zakrzątnięcia się o wygotowanie dokumentów, niezbędnych dla starań o pożyczkę w Banku Ziemskim. Przede wszystkim, udałem się do starszego notariusza (jest nim obecnie Dargis), od którego dostałem na ręce kartki do gminy krewieńskiej, do sędziego pokoju w Rakiszkach i do Sądu Okręgowego w Poniewieżu w sprawie udzielenia przez te urzędy odpowiednich informacji o opłacie podatków za Bohdaniszki i o tym, że nie ma żadnych sporów sądowych o własność mojej schedy bohdaniskiej. Kartki do gminy krewieńskiej i sędziego pokoju wysłałem do Maryni z poleceniem do Nemeikšysa, by się zajął śpiesznie wydostaniem tych informacji i wysłaniem ich do Kowna, kartkę zaś do sądu okręgowego wysłałem z listem do prezesa sądu Danowskiego, prosząc go o pośpiech. Następnie udałem się do Zarządu Reformy Agrarnej, od której mam otrzymać świadectwo, że moje 80 hektarów w Bohdaniszkach stanowią moją normę nietykalną własności, wreszcie – do Państwowego Urzędu Asekuracji (dyrektor – Feterowski), gdzie w ciągu pół godziny załatwiłem całą procedurę zaasekurowania wszystkich zabudowań moich w Bohdaniszkach w sumie 20 000 litów (opłaciłem 126 litów premium asekuracyjnego).
Rzecz się posuwa, ale nim wszystko zbiorę do kupy – tydzień z pewnością upłynie, toteż się bardzo lękam o to, aby tymczasem Bank Ziemski nie zawiesił na czas dłuższy operacji pożyczkowych. Pożyczka ta jest teraz całą moją nadzieją, choć z czasem będzie ona utrapieniem.

6 kwietnia, rok 1929, sobota
Rano z Ciplijewskim i Kalnietisem odbyłem w Radzie Stanu posiedzenie komisji w sprawie legalności zarządzenia ministra finansów, interpretującego niektóre przepisy konkordatu. Motywy i wnioski były już przeze mnie opracowane, chodziło jeno o ich zatwierdzenie przez komisję i o zredagowanie rezolucji odpowiedniej, co też zostało rychło wykonane.

Wieczorem miałem parę studentów, którzy wykonali u mnie pracę seminaryjną, i potem jeszcze trzech studentów (Mowsza Epsztejn, Mendel Małamdowicz i Hirsz Filwiński) do egzaminu.
Przed paru dniami policja dokonała sensacyjnej rewizji i aresztowań w redakcji czasopisma „Socialdemokratas". Znaleziono tam 130 egzemplarzy czasopisma emigranckiego „Pirmyn!", wydawanego w Wilnie przez grupę Plečkaitisa. „Pirmyn!" jest organem bojowym agitacji emigranckiej, usiłującej wywołać rewolucję polityczną czy ewentualnie powstanie, wszakże głównie jest zohydzony tym, że wychodzi w Wilnie za pieniądze, które emigranci otrzymują ze źródeł polskich (jak oni sami twierdzą – PPS-owskich, a jak twierdzi opinia publiczna litewska – rządowych) i że cała ta afera jest rzekomo narzędziem intrygi polskiej, wymierzonej przeciwko niepodległości Litwy. Partia socjaldemokratyczna litewska tu, w Kownie, z której szeregów pochodzi sam Plečkaitis i większość emigrantów, zgrupowanych w Wilnie, urzędowo się nigdy z akcją emigrantów nie zsolidaryzowała, ale też nie potępiła kategorycznie tej akcji i nie wyrzuciła Plečkaitisa i towarzyszy z szeregów partii, jak się tego domagały od niej ugrupowania umiarkowane i prawicowe. Ograniczyła się ona tylko do suspendowania Plečkaitisa i towarzyszy. Decyzję tę partia motywowała tym, że wprawdzie wieści o akcji emigrantów budzą pewne wątpliwości co do dopuszczalności ich metod działania, to jednak partia, będąc pozbawiona możności swobodnego skomunikowania się z emigrantami, wysłuchania ich wyjaśnień i sprawdzenia faktów, nie może ich potępić zaocznie. Jednak partia zawsze i stale trzymała się od akcji „Pirmyn!" na uboczu. I teraz socjalni demokraci powiadają, że znalezienie w redakcji składu ich pisma „Pirmyn!" jest jakąś kombinacją sztuczną, prawdopodobnie prowokacją policji, która musiała sama podrzucić ten pakiet. Policja jednak twierdzi co innego. Po znalezieniu tego pakietu „Pirmyn!" policja zabawiła w redakcji „socialdemokratasów" do wieczora i aresztowała wszystkich, którzy się do redakcji zgłaszali, pomawiając ich o to, że przychodzili po odebranie numeru „Pirmyn!". Z przywódców socjalnych demokratów byli na razie zaaresztowani Stefan Kairys, Bielinis i Galinis. Kairys i Bielinis zostali nazajutrz uwolnieni, ale Galinis i kilkudziesięciu czy kilkunastu innych siedzi dotąd.

7 kwietnia, rok 1929, niedziela
O godz. czwartej po południu odbyło się pod moim przewodnictwem posiedzenie Komitetu Pomocy Litwie Północnej. Po śmierci prezesa Komitetu Władysława Putwińskiego komitet nowego prezesa na jego miejsce nie wybierał i obchodzi się bez niego: prezeską honorową jest pani Prezydentowa, pierwszym wiceprezesem – ksiądz dziekan Mironas, drugim wiceprezesem – ja. Pani Prezydentowa faktycznego kierownictwa obrad nie obejmuje nigdy, a ponieważ ks. Mironasa na początku posiedzenia nie było, więc przewodniczenie *ex officio* spadło na mnie. Sumy, którymi rozporządza nasz komitet, dotąd z miesiąca na miesiąc wzrastały: w styczniu do kasy komitetu wpłynęło dwadzieścia kilka tysięcy litów, w marcu – już przeszło 100 000. Oprócz tego, wpływało zboże i artykuły spożywcze. Wpływy pochodzą ze składek i ofiar, których najpoważniejszą pozycję stanowi opodatkowanie się dobrowolne na ten cel urzędników państwowych (także samorządowych i instytucji prywatnych). W rozdawnictwie tak pieniędzy, jak zboża i produktów między powiaty, dotknięte nieurodzajem, stosowany jest przez komitet schemat mniej więcej taki: Szawle i Birże po 5 punktów, Możejki, Poniewież i Rakiszki – po 2 punkty.

8 kwietnia, rok 1929, poniedziałek

Rano w Radzie Stanu brałem udział w posiedzeniu komisji do rozpoznania projektu ustawy o emigracji. Komisja składa się ze mnie, Zygmunta Starkusa i generała Dowkonta.
Wieczorem na uniwersytecie miałem wykład bieżący i colloquium na II semestrze. Ja jedyny z członków naszego wydziału staję do wykładów poświątecznych w pierwszym dniu rozpoczęcia zajęć akademickich. Inni profesorowie rozpoczynają po świętach wykłady z opóźnieniem. Ale bo też ja nie mam ani jednej godziny do stracenia. Jestem mocno spóźniony. Dziś dopiero omówiłem system rządów prezydialnych w Stanach Zjednoczonych. Zdaje mi się, że jestem bardziej opóźniony w wykładach, niż lat poprzednich. Nie wiem, czy do końca roku akademickiego zdążę doprowadzić wykłady przynajmniej do końca rozdziału o ustroju sowieckim. Zostają mi rozdziały: o twórczości konstytucyjnej Wielkiej Rewolucji Francuskiej, o ewolucji konstytucyjnej angielskiej, parlamentaryzmie klasycznym i francuskim, o ustroju dyrektorialnym w Szwajcarii, o systemie dwuizbowym i nawiązaniu do niego pomysłów reformy konstytucyjnej społecznej, o dwóch ramionach prądu anarchicznego – o syndykalizmie rewolucyjnym i komunizmie, o ustroju sowieckim. Byłbym rad, gdybym to zdołał zakończyć. O dalszych rozdziałach nie śmiem marzyć.

9 kwietnia, rok 1929, wtorek
Posiedzenie plenarne Rady Stanu. Posiedzenie było krótkie, poświęcone przeważnie informacjom o tym, w jakim stanie są roboty komisji poszczególnych. Bardzo powoli się te wszystkie roboty posuwają. Ich szybkiemu ruchowi w szczególności, jak mi się zdaje, przeszkadza zdezorientowanie naszego prezesa Šilinga, który się nie bardzo umie połapać co do metody funkcjonowania Rady Stanu. Na razie Šiling był skłonny przeceniać znaczenie i stanowisko funkcjonalne Rady, dziś – jest odwrotnie. Jakieś niezdrowe prądy zasiały nieufność wzajemną między Radą Stanu a rządem, skądinąd niektórzy ministrowie widzą w Radzie ognisko racjonalizmu i formalizmu, oderwanego od potrzeb konkretnych i szkodzącego jej funkcji, albowiem Rada skłonna jest każdy nadesłany jej do rozpoznania projekt przerabiać po swojemu, niby to wydoskonalając go poprawkami i w istocie wypaczając myśl inicjatorów. Šiling, który czuje, że niezadowolenie i może nawet pewna niechęć do Rady, które się w ministeriach i w gabinecie manifestuje, mogą być użytkowane przeciwko niemu jako prezesowi Rady – rzuca się teraz na wszystkie strony, aby się wylegitymować pracowitością rzetelną i tamto wrażenie zatrzeć. Trzyma się on teraz kurczowo Starkusa, którego stara się do wszystkich robót komisyjnych wciągać, a trzeba przyznać, że Starkus jest istotnie siłą kapitalną w Radzie Stanu, łącząc precyzję prawnika z wielką i głęboką znajomością stosunków administracji.

10 kwietnia, rok 1929, środa
Mój były uczeń na Uniwersytecie Litewskim, Józef Tomkus, który już przed rokiem ukończył słuchanie wykładów, ale jeszcze dyplomu nie otrzymał, złożył mi dziś swoją pracę dyplomową o „faszyzmie". Józef Tomkus należy niewątpliwie do najzdolniejszych uczni, jakich miałem. Jest to zresztą człowiek już zupełnie dojrzały, w wieku lat przeszło 30, człowiek wykształcony, oczytany, z natury inteligentny i umysł żywy, może tylko trochę rozrzucony, niezrównoważony, nacechowany gorączką ambicji, która go w pierwszych leciech niepodległości, gdy wrócił z Rosji z zawieruchy rewolucyjnej, pchała w szeregi różnych stronnictw, w których szukał on ujścia dla swego temperamentu i pragnienia wpływów i działalności. Był on czas jakiś w szeregach ludowców, z których ramienia na którychś wyborach kandydował do Sejmu, znalazł się potem pod sztandarem Chrześcijańskiej Demokracji, był oficerem litewskim,

pełnił funkcje cenzora wojennego, na uniwersytet wstąpił w jesieni r. 1924, był moim uczniem wzorowym, będąc na III i IV semestrze wyróżnił się na moim seminarium prawa konstytucyjnego wspaniałym referatem. Zdał u mnie egzamin celująco. W roku 1926 – po zwycięstwie lewicy na wyborach sejmowych – Tomkus, który w tym czasie dał się przez swój temperament, rozmiłowany w jaskrawościach, unieść hołdom dla faszyzmu, założył był i redagował do spółki z generałem Głowackim organ bojowy opozycji przeciwko rządom ludowców i socjalistów – „Tautos Valia", w którym atakował demokrację i propagował ideę faszyzmu czynnego. Za tę akcję Tomkus i Głowacki doczekali się represji ze strony rządu lewicowego, ale przewrót grudniowy r. 1926, powitany przez nich entuzjastycznie, zdał się im na razie dać satysfakcję. Głowacki po przewrocie tym się uspokoił, oddał się studiom na uniwersytecie i lojalnej służbie państwowej pod znakiem narodowców w armii. Tomkus natomiast usiłował pogłębiać linię faszyzmu i niebawem zaczął atakować rząd, powstały z zamachu stanu, zarzucając mu połowiczność, ugodowość i ustępliwość wobec demokracji. Rząd narodowców zimą r. 1927 osadził go za tę agitację przeciwrządową w obozie koncentracyjnym w Worniach. Tomkusa w okresie Wielkiejnocy przed dwoma laty spotkałem na dworcu kolejowym w Szawlach, gdy po wypuszczeniu go z obozu koncentracyjnego w Worniach wracał do Kowna. Zaproponowałem mu wtedy, by swoje zainteresowanie się publicystyczne i czysto intuicyjne faszyzmem zużytkował do pracy poważniejszej i wystudiował faszyzm naukowo, biorąc go za temat do pracy dyplomowej uniwersyteckiej. Wskazałem mu, że będzie to użyteczne tak dla niego, albowiem da mu możność poznania istoty faszyzmu, który nie jest tylko jakimś czczym kultem gwałtu, pozbawionym wszelkiej ideologii i koncepcji społecznej, ani też jakąś praktyką chuliganerii, jak go tu nas wielu pojmuje, jak dla opinii i nauki litewskiej, w której ten ruch nie jest wystudiowany. Tomkusowi moja propozycja się spodobała. Podjął się on tej pracy dyplomowej. Kilkakrotnie go potem spotykałem na uniwersytecie w ciągu roku akademickiego 1927-1928, a nawet i w ubiegłym semestrze jesiennym bieżącego roku akademickiego, kiedy Tomkus już przestał uczęszczać na uniwersytet. Odpowiadał on zawsze na moje zapytanie, że pracuje i że praca posuwa się naprzód, ale z braku materiałów do studiów nie może iść szybkim tempem.

11 kwietnia, rok 1929, czwartek
Bardzo się ucieszyłem, gdy mi wczoraj Tomkus pracę dyplomową swoją doręczył. Poza innymi względami, chodziło mi o to, aby człowieka żywego i inteligentnego wciągnąć do wystudiowania tego mało poznanego u nas zagadnienia społecznego, jakim jest faszyzm, o którym dużo i często się mówi – przeważnie się potępia i z błotem miesza, rzadziej się entuzjazmuje i za przykład stawia, którego istoty wszakże nikt prawie u nas nie rozumie i zrozumieć nie usiłuje, a jeżeli nawet usiłuje, to ze z góry powziętym uprzedzeniem, nie studiując wcale faszyzmu, jeno zastanawiając się nad tym, co się we własnej głowie pod tą nazwą wyobraziło. Ba, o faszyzmie u nas się nie tylko mówi, ale miewa się o nim nawet odczyty i drukuje popularne broszury; pozwalają sobie na to nawet profesorowie uniwersytetu (prof. Czapiński)! Ciekawa rzecz, że ten sam profesor, który o swojej, na przykład, chemii czy fizyce, która jest jego specjalnością, nie odważa się pisać lub odważa się z największą ostrożnością, po bardzo ścisłym przestudiowaniu i sprawdzeniu twierdzeń swoich – o faszyzmie, którego nie zna i którego nie studiował, a który wcale do jego specjalności nie należy, gotów jest mówić publicznie i pisać w druku z jak największą pewnością siebie, sypiąc twierdzeniami jak grochem. Jest to bardzo charakterystyczne dla dyletanckiego traktowania spraw społecznych. O wystudiowanie faszyzmu przez Tomkusa chodziło mi także dlatego, że w głębi przekonań moich sam do faszyzmu się skłaniam, choć może nie całkowicie, bo go

jeszcze w całej pełni zresztą nie wystudiowałem i mam poważne zastrzeżenia przeciwko nacjonalizmowi, który tkwi w faszyzmie i oddzielić się od niego nie da, to w każdym razie faszyzm ma moje uznanie dla zasady ustroju korporacyjnego, któremu on w organizacji państwowej miejsca udziela i który jest czynnikiem o wiele bardziej prawdziwym i wydajnym, niż atomistyczna i antyspołeczna koncepcja demokracji. Do hołdowania pierwiastkowi korporacyjnemu w budowie państwowej doszedłem drogą moich studiów zupełnie samodzielnych, bez żadnego wpływu faszyzmu, który nie był moim mistrzem nigdy, ale z którym zupełnie niespodzianie zacząłem się spotykać we wnioskach. Dotąd nie wprowadziłem faszyzmu do wykładów moich i dopiero w roku przyszłym zamierzam to uczynić. Ale jako profesor – muszę traktować ruch ten i jego doktrynę rzeczowo i krytycznie i nie mogę brać na siebie funkcji apostoła faszyzmu (zresztą, nie akceptuję go w całku i witam w nim nie ewangelię, jeno jeden z objawów koncepcji korporacyjnej). Tomkus zaś jest faszystą z przekonania i chciałby być jego apostołem. Niechże więc go pozna i niech oceni i ukocha w nim to, co jest istotnego. Myślałem już, że trudność zadania odstraszyła Tomkusa, bom się jego pracy doczekać nie mógł. Co roku po kilku studentów – moich byłych uczni – zgłasza się do mnie i niby to się zabiera do prac y dyplomowej w zakresie mojego przedmiotu (prawa konstytucyjnego i nauki o państwie). Ale potem odpadają prawie wszyscy i owczym pędem, idąc po linii najmniejszego oporu, piszą pracę dyplomową w zakresie prawa cywilnego, wykonywając właściwie kompilację zdawkową z tez praktyki kasacyjnej byłego senatu rosyjskiego. Ogółem w ciągu 6-7 lat mojej profesury tylko czterech studentów zgłosiło mi swoją pracę dyplomową, z nich zaś dwie prace były istotnie celujące (studium Suginta o konstytucyjności ustaw i studium Wołosionka o prawach mniejszości narodowych). Teraz wiem o trzech pracach dyplomowych, które się opracowują dla mnie: jedną z nich jest ta praca Tomkusa o faszyzmie, drugą – praca Dominika Kriwickiego o rządach demokratycznych bezpośrednich, trzecią – praca Lejby-Oszera Wołowickiego o mniejszościach narodowych. Po wszystkich trzech obiecuję sobie dużo. Praca Tomkusa zawiera koło 100 stron formatu arkuszowego, pisanych na maszynie. Ta praca, jak mię Tomkus objaśnił, stanowić będzie jeden z rozdziałów dysertacji doktorskiej, którą Tomkus opracować zamierza na temat faszyzmu. Rad będę, że się do tego przyczyniłem.

12 kwietnia, rok 1929, piątek
Dramat wstrząsający i ponury, który się rozegrał w jesieni w Birsztanach – znalezienie zwłok zaduszonej sznurem Ustjanowskiej-Daniłowiczówny, długoletniej kochanki prałata Olszewskiego, z którym miała ona kilkoro dzieci, posądzenie prałata o dokonanie tego morderstwa – dobiega końca. Prasa i opinia publiczna – z wyjątkiem klerykalnej, zaalarmowana wieścią o posądzeniu prałata i poszlakami jaskrawymi jego winy, domagała się śledztwa energicznego i ostrego, gorszyła się kneblowaniem jej ust przez cenzurę wojenną, pomawiała rząd i władzę prokuratorską o tajenie prawdy i tchórzenie przed potęgą kleru; wszakże w istocie śledztwo prowadzone było przez cały czas bardzo skrupulatnie i starannie; prowadził je sędzia śledczy do spraw szczególnej wagi Zasztowt. I oto zebrano taki materiał dowodowy przeciwko prałatowi Olszewskiemu, wobec którego wszelka wątpliwość upada. Olszewski został przeto postawiony w stan oskarżenia i przed paru tygodniami osadzony w więzieniu. Dziś Trybunał rozważał skargę Olszewskiego i oddalił ją. Prezes Kriščiukaitis i sędzia Trybunału Brazaitis, który był referentem w tej sprawie, opowiadali mi szczegóły śledztwa. Rzecz jest straszna, ale pełna grozy i zarazem dramatyczności w całym wieloletnim stosunku tych dwojga ludzi, których rozdzieliła wreszcie śmierć zabójcza. Olszewski, prałat, jakiś typ z Odrodzenia włoskiego, w którym temperament, potworna

zbrodnia, chciwość i zarazem energiczna niezmordowana akcja społeczna łączyły się i splatały w jedno, stoczył się wreszcie na schyłku swojej kariery w bagnisko kryminału, które go czyni kolegą słynnego sprzed wojny mnicha Macocha z Częstochowy.

13 kwietnia, rok 1929, sobota
Już przeszło tydzień czekam na zebranie dokumentów, niezbędnych dla zaciągnięcia pożyczki w Banku Ziemskim. Z sądu okręgowego z Poniewieża dokument u starszego notariusza już jest, z gminy krewieńskiej dokument Marynia mi na ręce przysłała, ale nie ma jeszcze dokumentu od sędziego pokoju w Rakiszkach, mimo że sędzia obiecał Maryni wysłać go tegoż dnia, gdy go o to prosiła. Wobec tego nie mogę jeszcze otrzymać od starszego notariusza świadectwa na zastaw ziemi. Aby jednak nie tracić czasu (bo wiem, że w Banku Ziemskim zapas gotówki jest na wyczerpaniu), udałem się dziś do banku dla zapewnienia się o pożyczce. Szedłem do jednego z dyrektorów banku – p. Grigonisa, który jest moim byłym uczniem z uniwersytetu, zawsze bardzo uprzejmym i uczynnym. Na schodach wszakże spotkałem samego p. Radušisa, naczelnego kierownika Banku Ziemskiego, któremu w paru słowach moją prośbę wyraziłem i w zasadzie, choć wspomniał na razie, że bank gotówkę swą wyczerpał, zgodę jego otrzymałem. Grigaitis więc już tylko spisał mi prośbę, pełną rubryk ankietowych i jak tylko przedstawię świadectwo od starszego notariusza – pożyczkę prawdopodobnie otrzymam. Proszę o 11000 litów na lat pięć.
Tłumaczenie francuskie mojej broszury o konstytucji litewskiej z r. 1928, wydanej przez redakcję „Teisė", które mi przysłało do przejrzenia poselstwo litewskie w Paryżu, zamierzające opublikować je w prasie prawniczej paryskiej, sprawdza i koryguje mi teraz sekretarz Rady Stanu Novakas, który mi się sam bardzo uprzejmie ofiarował wykonać tę robotę. Zaraz robota ta będzie gotowa i wtedy odeślę ją do Paryża, udzielając oczywiście aprobaty na publikację, która mi jeno zaszczyt przyniesie. Co prawda, nie uważam się wcale za gorszego uczonego-publicystę (konstytucjonalistę) od publicystów nawet francuskich, ale cóż z tego, kiedy pracując w nauce litewskiej, mającej bardzo ograniczoną sferę działania ze względu na język, przez to samo w międzynarodowym świecie nauki jestem nieznany zupełnie, a przeto taka oto publikacja drobna francuska otwiera mi śluzę na szerokie wody nauki powszechnej, dając imieniu memu jakiś nikły ślad w tym wielkim potoku twórczości naukowej powszechnej.
Przed obiadem odbyło się dziś w gabinecie prof. Krisčiukaitisa w Trybunale posiedzenie Litewskiego Towarzystwa Prawniczego (zarządu w osobach Kriščiukaitisa, mnie, Janulaitisa, Grigaitisa i Toliušisa). Wobec upływu terminu ogłoszonego w roku zeszłym przez zarząd towarzystwa konkursu na prace z zakresu nauki prawa, stwierdzono, że prac konkursowych nadeszło cztery – każda na inny ze zgłoszonych tematów. Jedna z nich – na temat „Podział władz i parlamentaryzm" (napisana, jak się zdaje, przez Penkaitisa-syna) – odpadła dla względów formalnych (jest za krótka w stosunku do warunków konkursowych). Z trzech pozostałych jedna jest napisana na temat: „Historia Kodeksu Napoleona w Litwie i gdzie indziej"; domyślamy się, że autorem jest Janulaitis; jury dla oszacowania tej pracy wyznaczone zostało w osobach mnie, Ciplijewskiego i Jonynasa; druga – o hipotece (autora się nie domyślamy) – jury konkursowe: Ciplijewski, Leonas, starszy notariusz Dargis; trzeciej ani tematu, ani składu jury nie pamiętam.

14 kwietnia, rok 1929, niedziela
Byłem rano na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego, po którym udałem się z Jadzią autobusem do Poniemunia – na spacer i dla rzucenia okiem na Niemen. Pogoda była śliczna, wielkie słońce świeciło. Woda na Niemnie w tym roku nie nazbyt wysoka,

mimo że zima była bardzo śnieżna. Wiosna jest opóźniona i bardzo stopniowa. Pierwsze wody, podnosząc poziom rzeki, już spłynęły pod lodem, przerwane przez powtórne mrozy świąteczne. Teraz wody przybywa niedużo, a lód topnieje powoli. Są wprawdzie zatory lokalne, ale niestraszne. Obawy powodzi nie ma. Gdyśmy z Jadzią stanęli w Poniemuniu, Niemen w dół od mostu poniemuńskiego był czysty, ale za to z góry aż do samego mostu przykryty był prawie całkowicie jednolitym polem lodowym, popękanym gdzieniegdzie lub przerywanym przez grzywy zatorów. Woda pod lodem widocznie przybywała. I oto gdyśmy tak stali na m oście, patrząc w rzekę, lody zaczęły się z góry ruszać, rosnąć i oto Niemen ruszył na całej przestrzeni widomej. Pola i płyty lodowe kruszyły się, pękały, ruszały, łamały i pędziły pod most, krajane przez filary tegoż. Wyglądało, jak gdyby łożysko Niemna było gościńcem, po którym w dzikim szale pędzą tabuny jakichś bestii w nieładzie. Widowisko było zaiste imponujące.

15 kwietnia, rok 1929, poniedziałek
Miałem dziś, zapewne przez grzeczność p. Sawickiego, dyrektora teatru, zaproszenie i bilet bezpłatny do I rzędu parteru w teatrze na przedstawienie szkolne zespołu kończących uczni Szkoły Dramatycznej. Było to tych uczni przedstawienie popisowe, ale nie publiczne, jeno wykonane wobec elity znawców. Publiczność stanowili artyści, literaci, krytycy teatralni, miłośnicy teatru, trochę takich ludzi znanych i wysoko usytuowanych, jak ja, lub generał Nagiewicz, generał Dowkont, wreszcie krewni i znajomi osobiści występujących na scenie młodych adeptów sztuki. Na ten debiut popisowy młodych aktorów wybrane były dwie sztuki klasyczne francuskie, jedna – Molière'a „Tartuffe", druga, współczesna – scena z „Romantyków" Edmunda Rostanda. Początek przedstawienia – o godz. piątej po południu. Gra młodych uczni Szkoły Dramatycznej była bardzo staranna i wcale niezła, choć nierówna; trochę jeno dykcja szwankuje. Zabawiłem w teatrze na dwóch aktach „Tartuffe'a" i wyszedłem, bo się musiałem na uniwersytet śpieszyć na godz. siódmą.
Na początku wykładu miałem dziś małe „*divertissement*", zabawne tak dla mnie, jak szczególnie dla słuchaczy, którzy lubią każdą okazję do śmiechu. Mianowicie prof. Končius z Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego prosił mię o pozwolenie jednemu z jego uczni, piszącego pracę dyplomową o akustyce, dokonania prób gwizdania na sali, w której wykładam, dla obliczenia sekund trwania dźwięku (echa), gdy sala jest zapełniona słuchaczami. Zgodziłem się chętnie. Student dokonał swoich doświadczeń, ale nie wiem, czy zdołał obliczyć trwałość dźwięku, bo każde gwizdnięcie roztopiło się w śmiechu moich słuchaczy, który zagłuszał zamieranie gwizdu.
Dziś miało Kowno dzień niezwykły – „pogrzeb" tramwaju konnego – słynnej przedpotopowej „konki", która zostaje wreszcie zlikwidowana. Wagony „konki" po raz ostatni paradowały po mieście, demonstrując ten archaiczny, dziś już w Europie muzealny środek lokomocji. Nie byłem na tej uroczystości, jeno słyszałem o niej od widzów, których tłumy przyglądały się widowisku. O godz. czwartej czy piątej po południu wszystkie wagonetki „konki" wyruszyły z remizy i długim sznurem, pełne publiczności, powędrowały na dworzec kolejowy i z powrotem, a potem jeszcze aż do Ratusza. Do Ratusza w jednym z wagonów czy w paru jechała cała Rada Miejska z burmistrzem Janem Vileišisem i jego żoną, na jednej z platform jechała orkiestra, grając marsza żałobnego i inne melodie smutne (platforma załamała się w drodze i orkiestra iść potem musiała pieszo), w jednej z wagonetek (tej samej, którą w roku ubiegłym studenci przewrócili na Laisvės Alei) jechali studenci... Tłumy publiczności, przez które się przeciskał pochód pożegnalny „konki", i takież tłumy z balkonów i okien domów po drodze żegnały starą umierającą „konkę" okrzykami, chustkami, rękami, śmiechem... Wreszcie z Placu Ratuszowego jeden z wagonów (wagonetkę studencką) zaciągnięto do

Muzeum Miejskiego. „Konka” kowieńska, która istniała od roku 1892 – umarła. Szkoda jej. Nie był to środek lokomocji szybki i modernistyczny, ale użyteczny. Była zawsze pełna po brzegi i można było do niej napychać bagażu, ile się zmieści. Starzy, zwłaszcza kobiety, którzy nie znosili autobusów, z przyjemnością jeździli „konką”, a ileż dobrodziejstwa wyświadczyła ona studentom, wiozącym koszyki i kuferki z dworca kolejowego, pełne studenckich rupieci i produktów z domu, których inaczej przewieźć by nie mogli, nie mając pieniędzy. Pożałują oni nieraz, że starej „konki” nie ma. A przecież oni byli właśnie największymi jej wrogami, domagającymi się jej śmierci.

16 kwietnia, rok 1929, wtorek
Spotkał mię zawód w Banku Ziemskim. Ze świadectwem zastawowym od starszego notariusza, pełny dobrej myśli, udałem się rano do banku dla otrzymania wreszcie decyzji w sprawie pożyczki na Bohdaniszki. Udałem się do gabinetu dyrektora Grigonisa, mego byłego ucznia, za którego pośrednictwem „formalności” bankowe załatwiam. Niestety – „formalności” te okazały się bardziej istotne, niż się zdawały. Grigonis, któremu poprzednio mówiłem, że naczelny kierownik Banku – p. Radušis – wyraził mi zgodę na udzielenie tej pożyczki, poszedł z papierami mymi do dyrekcji (do gabinetu dyrektora Blinasa, który, zdaje się, jest w sprawach pożyczek czynnikiem decydującym, mówiąc mi, że oto może właśnie zarząd będzie w komplecie i może przeto zaraz udzielenie mi pożyczki uchwali. Zaczekałem. Po chwili Grigonis wrócił i poprosił mię o wstąpienie do gabinetu Blinasa. Ten, w obecności drugiego pana, którego nie znam, zaczął od zapytania, czym mi może służyć. Zdziwiony odrzekłem, że oto zgłosiłem prośbę o udzielenie mi pożyczki. Blinas na to krótko i węzłowato mi odparł, że bank w tej chwili pieniędzy do dyspozycji nie posiada. Motyw taki jest oczywiście najradykalniejszy. Dodał, że bank zmuszony jest odmawiać nawet prośbom na mniejsze, niż moja, sumy (prosiłem o 11000 litów), nawet gdy pochodzą one z miejscowości, które są dotknięte nieurodzajem zeszłorocznym. Wspomniałem, że p. Radušis udzielił mi odpowiedzi przychylnej, na co Blinas odrzekł, że w takim razie mogę się do p. Radušisa udać – może on o jakichś środkach na to wie, bo zarząd środków tych nie posiada. Gdybym był się zwrócił w lutym – to byłoby dobrze, bo wtedy pieniądze były i pożyczki były udzielane wszystkim bez żadnych trudności, ale teraz pieniędzy nie ma. Cóż robić – poszedłem do Radušisa. Radušis zdawał się być trochę zakłopotany i nierad, spróbował na razie odesłać mię do znów do dyrekcji, ale wreszcie zaproponował mi obcięcie pożyczki do 6000 litów i sam poszedł do Blinasa. Po pewnym czasie wrócił i powiedział, że pożyczka będzie wydana, ale tylko w kwocie 5000 lt. Cóż było robić? Przyjąłem i podziękowałem, choć to mniej niż połowa tego, co chciałem i na co liczyłem. Pieniądze otrzymam jutro. Po zastanowieniu jednak – nie byłem tym wynikiem zmartwiony. Mniej wezmę teraz, ale i dług będzie mniejszy, przeto łatwiej będzie spłacić. Przeklinałbym potem tę pożyczkę. Jakoś dam sobie radę ze spłatą Maryni. Te 5000 w każdym razie mię nieco na razie wesprze. Nie ma tego zła, co by na dobre nie wyszło. Gotów jestem cieszyć się z tego obcięcia pożyczki.

17 kwietnia, rok 1929, środa
Otrzymałem wreszcie z Banku Ziemskiego nieszczęsne 5000 litów. Z nich 3000 zapłacę Maryni na konto Gaju, którego skrawek od niej odkupuję, 1000 zapłacę Pejsachowi Ruchowi na rzecz długu za towar na dom, którego zaległość wynosi przeszło 2000 litów, a ostatni – piąty – tysiąc czy raczej 800 litów, które mi po potrąceniu z góry procentu wypłacono, rozejdzie się na różne pilne drobiazgi (300 litów Falejewowi za meble, 200 – do Bohdaniszek za wapno, koło 200 – za centryfugę, 70 – Zosi Römerowej i oto wnet pustka). A jeszcze zostanie mi długu za Gaj Maryni 4200 litów

do uiszczenia w tym roku. Oj, ciężki to będzie rok. Bo i dom niemało będzie kosztować: ze 2000 – Sinicy na podmurówkę i ściany kuchni, 500 litów – oszalowanie domu, kilkaset – piłowanie desek, a trzeba jeszcze cegły trochę i innych kosztów. No, ale za to dług w Banku Ziemskim będzie niewielki.

18 kwietnia, rok 1929, czwartek
Siedmiu studentów zdawało u mnie dziś egzaminy. Z ich liczby troje – malutka jak miniaturowe caceczko, ale zdolniutka, żywa i inteligentna Żydóweczka Rachela Szejnówna, pracująca w sądzie okręgowym jako kandydatka do posad sądowych, sędzia pokoju w Hrynkiszkach Marcin Klibas i młodziutki, zdolny i przystojny chłopak Mieczysław Kozłowski – zdali celująco, trzech – Maks Kasel, Gawriej Bobrowski i Dominik Gudowicz – zdali dobrze, siódmego zaś – Zundla Streichmana – przepędziłem, bo nic nie umiał.

19 kwietnia, rok 1929, piątek
Odwiedził mię Eugeniusz Römer, który świeżo po świętach Wielkiejnocy był w Wilnie i Warszawie. W szczególności opowiadał mi o wrażeniu, które wywarła w Polsce głośna ze względu na swą formę elukubracja Marszałka Piłsudskiego jako artykuł jego. Ten głośny artykuł nie tylko w Polsce zwrócił na siebie uwagę powszechną i wywołał liczne komentarze; wywołał on sensację wszędzie za granicą, nie wyłączając Kowna, gdzie stał się jedną z najbardziej omawianych nowinek dnia. Artykuł napisany osobiście przez Józefa Piłsudskiego – Pierwszego Marszałka Polski – to nie byle co: ukazał się on jednocześnie coś pono w 17 dziennikach różnych miast Polski, w szczególności w Wilnie – w „Słowie" i „Kurierze Wileńskim". W artykule tym Marszałek daje folgę swojej niechęci do Sejmu, który mu już dokuczył i którego ma dość. Bo jakże to! Przez przewrót zbrojny i krwawy w maju r. 1926 Marszałek obalił oparte na konstytucji polskiej rządy sejmowe, podeptał konstytucyjne zasady sejmowładztwa, odgarnął precz od władzy Narodową Demokrację i Witosowego „Piasta", postawił na stanowisku Prezydenta Rzeczypospolitej oddanego sobie Ignacego Mościckiego, utworzył Gabinet Ministrów własnego kierunku; na porządku dziennym postawiona została sprawa rewizji konstytucji, mająca zastąpić przebrzydłe sejmowładztwo przez władzę rządu; ale chciało się Marszałkowi uniknąć dróg dyktatury formalnej, którymi poszły inne państwa, wyzwalające się od sejmowładztwa, demokracji reprezentacyjnej i fikcji ludowładczych (Włochy, Hiszpania, Litwa, SHS itd.), i za punkt ambicji postawił sobie Marszałek dokonanie reformy konstytucyjnej drogą formalną w samej konstytucji przewidzianą; w tym celu należało mieć Sejm posłuszny, który czynić będzie uchwały pod batutą rządową Marszałka tak, jak orkiestra gra z nut pod laseczką dyrygenta. Po usunięciu starego Sejmu zarządzono wybory nowego, dla których zmobilizowano sklecone z prawicy i lewicy wszystkie wierne czynniki piłsudczyków pod nazwą „Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem". Aliści zwycięstwo Bloku Bezpartyjnego nie było zupełne. Nie tylko Narodowa Demokracja i zbliżone do niej grupy, ale też „Wyzwolenie" i stara PPS, nie mówiąc już o licznym zastępie mniejszości narodowych (Ukraińcy, Białorusini, Niemcy i Żydzi), nie myśleli się wyrzekać samodzielnego rozumowania i w posłuszeństwie topić myśl własną, abdykując z woli i koncepcji własnej na rzecz woli i koncepcji Marszałka. Zaczęła się zwyczajna paplanina i wałkowanie kunktatorskie, tak wstrętne Marszałkowi. Reforma konstytucji – ani rusz. Sejm nie chciał iść po linii marszałkowskiego „Bloku Bezpartyjnego", mającej w nowym ustroju konstytucyjnym wykastrować Sejm. Marszałek zaś nie chciał oktrojować nowej konstytucji logiką przewrotu i dyktatury, bez zachowania pozorów. Na skutek tego przewlekała się i doczekała rocznicy trzyletniej dziwaczna sytuacja

konstytucyjna, którą my tu, w Litwie mieliśmy także od grudnia 1926 zwłaszcza do kwietnia 1927, a nawet poniekąd do maja 1928: pozornie istniejąca nie uchylona konstytucja stara i równolegle do niej istniejące ustosunkowanie czynników rządzących rządu i Sejmu, wręcz przeciwne jej zasadom – wręcz antykonstytucyjne, faktycznie bez żadnego prowizorium prawnego, oparte na prawie kaduka i na logice ścisłej przewrotu z maja r.1926.

20 kwietnia, rok 1929, sobota
Nie wychodziłem dziś z domu, bo się czuję przeziębiony. Mam katar ogromny i łamanie w kościach. Brzydka pogoda, chłody, późna wiosna, która dotąd wcale do wiosny nie jest podobna, powodują przeziębienie i prolongują dolegliwości zimowe. Na wsi ta późna wiosna z powtarzającymi się raz po raz mrozami na gołą ziemię niedobrze działa na oziminy, a szczególnie zwłaszcza w miejscowościach, dotkniętych zeszłorocznym nieurodzajem – ciężka jest ze względu na brak poszoru dla inwentarza żywego. Zewsząd słychać, że niezwykłe mrozy zimy ubiegłej, które – rzecz niesłychana! – dochodziły w naszym kraju do 40° Celsjusza, bardzo dotkliwie dały się we znaki ogrodom owocowym. Miejscami całe sady wskroś powymarzały. Szczególnie wymarzły gruszki, śliwki, trześnie, jabłonie letnie. Ciekaw jestem, jak to się okaże na moim młodym sadzie w Bohdaniszkach.
Wieczorem przychodziła do mnie p. Felicja Bortkiewiczowa, prosząc o poparcie w Radzie Wydziału Prawniczego kandydatury Franciszka Dailidė na lektora arytmetyki politycznej na miejsce Feterowskiego. Nic nie wiedziałem o tej kandydaturze. Nie obiecałem p. Bortkiewiczowej pomocy w tej sprawie. Franciszek Dailidė, którego zresztą osobiście znam bardzo mało, jest mi antypatyczny. Nie mam żadnego zaufania do niego. Ani jako człowiek przekonań, ani jako człowiek elementarnie uczciwy nie jest on u mnie notowany. Mam wrażenie, że to szelma i karierowicz. Mam pewne dane po temu.
Nie będę dziś kończył tego, com pisać zaczął wczoraj o Polsce i Marszałku Piłsudskim. Odłożę to na inny raz.

21 kwietnia, rok 1929, niedziela
Dziś także czułem się niedobrze. Katar jest w całej pełni, przeziębienie ani myśli ustawać. Zimny czas, mrozik przenikliwy na dworze, chwilami formalna huraganowa zawieja nie sprzyjają wyzdrowieniu. Toteż i dziś nie wychodziłem z domu wcale.
Jeszcze o Polsce, Marszałku Piłsudskim i jego artykule sławetnym. Impreza Marszałka się nie udała. Chodziło mu bardzo o zademonstrowanie światu, że Polska Piłsudskiego jest inną niż kraje dyktatury pospolitej i że sam popularny Marszałek o bajecznej przeszłości socjalistyczno-bojówkowo-legionowej, który potrafi dokonać przewrotu nie gorzej od lada Mussoliniego, Prima de Rivery, Voldemarasa lub innego Aleksandra serbskiego, jest przecie inny od tych swoich pobratymców-dyktatorów, bo oto on, Marszałek, który w maju r. 1926 zmiótł całą korupcję rządów oportunistycznych w Polsce, nie rządzi metodami gwałtu i nie wyzyskuje sytuacji: Polska, szczęśliwa ze swego wyzwolenia i oczyszczenia, sama chętnie podąża za Marszałkiem i samorzutnie, bez forsowania, drogami konstytucyjnym i swą niedawną konstytucję reformuje na rzecz rządu silnego. Reforma konstytucyjna nie będzie tam przez zwycięskiego dyktatora zadekretowana, ale przez wierny i wdzięczny mu lud wykonana. Tymczasem na praktyce – ani rusz. Sejm nie tylko że nie poszedł za Blokiem Bezpartyjnym i nie przyjął reform marszałkowskich, ale jeszcze zaczął frondować. Lewica – „Wyzwolenie" i PPS – po pewnych wahaniach stanęły w wyraźnej opozycji. Sejm „odchwycił" się i zażądał własnego głosu w sprawach reformy konstytucyjnej i w ogóle państwowych.

Stąd wściekłość Marszałka. Sejm odważył się nawet wytoczyć oskarżenie formalne piłsudczykowi – ministrowi finansów Czechowiczowi. Gabinet premiera prof. Bartla, piłsudczyka o pokroju umiarkowanym – ustąpił. Marszałek zdecydował się na wytoczenie ciężkiej artylerii argumentów łajania i pogróżek. Na miejscu gabinetu Bartla utworzony został gabinet Świtalskiego o zabarwieniu radykalnym antysejmowym i o składzie tzw. „pułkownikowskim”, nacechowanym zupełnym lekceważeniem i pogardą dla Sejmu. Sam Świtalski, Prystor, Matuszewski, Marszałek Piłsudski i paru innych w tym gabinecie reprezentują usposobienie skrajnie antysejmowe i zdecydowane na rzecz rządów bezpośrednich, nie bawiących się w żadne ceremonie. Artykuł zaś Marszałka, wydrukowany naraz w kilkunastu pismach, nie ma sobie równego w kronice wystąpień mężów stanu. W artykule tym kilkadziesiąt razy użyty jest wyraz „wyfajdać się”, „zafajdany” itd. w zastosowaniu do Sejmu, jego frakcji i członków. Jakiś sadyzm w doborze słów z literatury komórkowej – oto forma artykułu Pierwszego Marszałka Polski. O namiętności Piłsudskiego używania wyrażeń dobitnych o pokroju niecenzuralnym było wiadomo od dłuższego czasu. „Pocałuj mię dupę!”, „Mam go (cię, was, ich...) w dupie”, „Do dupy” – to są zwroty pospolite w mowie Marszałka. Wszakże przeniesienie tych wyrazów do artykułu publicznego – to nawet na Marszałka Piłsudskiego za dużo. Jest to lekceważenie nie tylko znienawidzonego Sejmu, ale także publiczności. Ba, cóż to Marszałka obchodzi! Artykuł zawiera pewne spostrzeżenia trafne, pewne oświadczenia i myśli silne, ale forma i styl – komórkowe. Marszałek grzmi.

22 kwietnia, rok 1929, poniedziałek
Rano ze Starkusem i generałem Dowkontem przejrzeliśmy raz jeszcze projekt ustawy o emigracji i poczyniliśmy w nim poprawki stosownie do wniosków z dyskusji na plenum piątkowym Rady Stanu.
Wieczorem miałem wykład i colloquium bieżące na II semestrze. W wykładach moich traktuję obecnie dzieje konstytucyjne Anglii; w szczególności wykład dzisiejszy poświęcony był wytwarzaniu się klasycznego parlamentaryzmu angielskiego w okresie od czasów Wilhelma III do czasów królowej Wiktorii. Śpieszę się bardzo, bo chciałbym w tym roku ogarnąć w wykładach moich do końca semestru nie mniej niż lat poprzednich, zaś program mój znacznie się w tym roku rozrósł. Innych lat o tej porze już byłem dzieje konstytucji angielskiej wyczerpał. Chciałbym co najmniej zakończyć ustrojem sowieckim, a nie jestem pewny, czy zdołam to do połowy czerwca uczynić. Na przyszły rok zmienię nieco metodę. Rozpocznę wykłady na I semestrze nie od samego początku kursu, jeno od określenia pojęcia państwa i władzy, naukę o społeczeństwie i jego stosunku do państwa, socjalizm i nacjonalizm – opuszczę. Zaoszczędzę przez to co najmniej dwa miesiące czasu, a co stracę z początku, to nadrobię na końcu i po raz pierwszy zdążę może omówić ostatnie rozdziały kursu o systemach wyborczych i publicznych prawach podmiotowych.
Na colloquium dzisiejsze wezwana została pierwsza seria tych studentów, którzy na colloquium I semestru otrzymali dwa krzyżyki, to znaczy najlepszych uczni. Jest to przeważnie materiał przedni, kwiat semestru – uczniowie najzdolniejsi, najbardziej rozwinięci i inteligentni. Toteż colloquium dzisiejsze płynęło bardzo ładnie i dało mi prawdziwą przyjemność. Nie wszystkich, którzy dziś do colloquium stawali, pamiętałem z nazwisk, ale wielu poznawałem z widzenia jako słuchaczy pilnych, których przywykłem widzieć zawsze na wykładach. Był tam Aron Ulman, Franciszek Bartininkas, Franciszek Boreišis, Walerjan Balčiunas z „Fraternitas Juvenum”, Kazimierz Piotrowski i inni, a wśród czterech studentek – niezmiernie miła, pilna i

zdolna, pełna wdzięku, mimo że wcale nie piękna – Łucja Bielkiewiczówna, jedna z najsympatyczniejszych słuchaczek moich tegorocznych.
Instytucje uniwersyteckie rozpoczęły emigrację do nowego gmachu byłej drukarni państwowej, udzielonego uniwersytetowi. Gmach ten będzie odtąd się nazywał: „Didieji Universiteto Rūmai" (Wielki Gmach Uniwersytetu"). My – Wydział Prawniczy – zostajemy na miejscu. Z naszego gmachu przenosi się do nowego rektorat, kancelaria uniwersytetu i buchalteria. Przenosi się też cały dotychczasowy gmach III, w szczególności – najcięższa artyleria – biblioteka, także Wydziały Humanistyczny i Teologiczny. Przenosi się też tam szereg zakładów Wydziału Przyrodniczego, w szczególności Iwanowski ze swoim gabinetem zoologicznym i stacją doświadczalną. Dawny gabinet rektora w naszym gmachu – mój miły lokal zeszłoroczny – będzie odtąd „profesorium".

23 kwietnia, rok 1929, wtorek
Na dzisiejszym posiedzeniu plenarnym Rady Stanu ze względu na nieobecność prezesa Šilinga przewodniczył Kalnietis jako najstarszy wiekiem spośród najstarszych datą nominacji. Taki porządek rangi między członkami Rady ustanawia nam regulamin. Na porządku dziennym był projekt reformy częściowej ustawy postępowania karnego, dotyczącej tropienia przestępstw, dochodzenia policyjnego i śledztwa pierwiastkowego. Projekt tej reformy, rozszerzający sferę kompetencji policji i ingerencji prokuratury w tych czynnościach procesu karnego, zainicjowany przez prezesa Trybunału prof. Kriščiukaitisa, który jest jego autorem i zaaprobowany przez ministra sprawiedliwości, został przez Gabinet Ministrów skierowany do Rady Stanu, której komisja w osobach Kalnietisa i Papečkysa i kooptowanego sędziego Brazaitisa z Trybunału rozpoznała projekt i nieco go zmodyfikowała. Dyskusja nad projektem na plenum była żywa, bośmy się wszyscy – z wyjątkiem generała Dowkonta – czuli w dziedzinie swojej najistotniejszej specjalności.
W kwestii reformy uniwersyteckiej, która ubiegłego lata i jesieni sprawiła taki huczek na uniwersytecie i w kołach rządowych, od dłuższego czasu zastój jest zupełny, jak gdyby myśl o tej reformie została zupełnie zapomniana. Już rok akademicki, a wraz z nim rektorat prof. Jodeli dobiega kresu, a o reformie, która miała być za tego rektoratu w tym roku akademickim dokonana, nie słychać nic. Ale oto urzędowy organ stronnictwa rządzącego – dziennik „Lietuvos Aidas" – rozpoczął nowe harce podjazdowe przeciwko uniwersytetowi. Czy nie będą to tylko jaskółki, mające zwiastować rychłe wskrzeszenie postulatu reformy? Przed kilku dniami „Lietuvos Aidas" zaczepił Wydział Medyczny i dał mu pieprzu. A oto w numerze wczorajszym zaatakowany został nasz Wydział Prawniczy w artykule wstępnym redakcyjnym, bezpośrednio Wydziałowi Prawniczemu poświęconym. Artykuł zarzuca w czambuł całej profesurze Wydziału Prawniczego bierność, zupełną jałowość w sferze twórczości naukowej, lekceważenie obowiązków profesury przez zaangażowanie się do rozmaitych prac zarobkowych i zawodowych ubocznych, nieudolność, zaniedbanie elementarnych i podstawowych zagadnień prawnych litewskich, w których nauka mogłaby dużo pomóc państwu, jak zagadnienie Wilna, stanowisko prawno-państwowe Kłajpedy, sprawa kodyfikacji i ujednostajnienia ustaw itd. Słowem – artykuł podnosi same grzechy śmiertelne profesury Wydziału Prawniczego. Że wielu z naszej profesury grzeszy nie tyle nieudolnością, ile zupełnym zaniedbaniem twórczości naukowej, traktując zawód profesorski zdawkowo jako tylko rzemiosło wykładania, udzielające dźwięcznego tytułu – to prawda. Wymienić można takich, jak Tumėnas, Stankiewicz, Kazimierz Szołkowski, prof. Kriščiukaitis, którzy przez cały czas profesury nic zgoła w druku nie ogłosili, albo takich, jak Mačys, którzy całą mądrość zawarli w opracowaniu

podręcznika. Ale artykuł nie robi żadnych różnic i potępia profesurę w czambuł. A czy nie przeczy temu niezmordowana praca naukowo-literacka Janulaitisa lub moje monografie?! I czy ci profesorowie, którzy pracują, piszą i publikują, znajdują w społeczeństwie – poza studentami – jakiekolwiek uznanie, poparcie, choćby tylko czytelników i reagowanie prasy na ich dzieła? Czy ten sam „Aidas" lub inne organa poważniejsze krytyki naukowej udzielają na szpaltach swoich sprawozdania i recenzji krytycznych lub nawet informacyjnych tym pracom – czy oceniają i wiedzą coś o monografiach lub choćby takich właśnie aktualnych studiach, jak moje studium ostatnie o reformie konstytucyjnej z r. 1928? Nic zgoła. Takie społeczeństwo i taka prasa nie mają prawa czynić tych zarzutów, albowiem panie lekarzu – sam się wpierw ulecz!.. Takie artykuły kąsające i niesprawiedliwe przeciwko profesurze, umieszczone w prasie rządowej – to nie naprawa Rzeczypospolitej, ale jej demoralizowanie i lekkomyślne deptanie autorytetu.

24 kwietnia, rok 1929, środa
O dzisiejszym seminarium prawa konstytucyjnego chcę napisać w dzienniku, ale nie dziś. Czuję się bowiem zmęczony.

25 kwietnia, rok 1929, czwartek
Egzaminy bieżące. Zdawały aż trzy naraz studentki (Ramutė-Anna Grigaitisówna-Grigaliunasówna i Janina Kroniewska z IV semestru i Katarzyna Norwidówna z VI semestru) i student Józef Borowski z VIII semestru. Zgłosił się był także student Antoni Rėklys z VIII semestru, ale gdym stwierdził, że zaliczony on jest u mnie do V, to znaczy najgorszej kategorii uczni, przeraził się i nie zaryzykował zdawać. W ogóle egzamin wypadł niefortunnie: p. Ramutię Grigaitisównę, która w zakresie biletu odpowiedziała znakomicie, ale konstytucji litewskiej z r. 1928 nie nauczyła się, przepędziłem wielce skonfundowaną (żądam do egzaminów znajomości tej lub innej konstytucji, które wchodziły w zakres pracy seminaryjnej odpowiedniego studenta); panny Norwidówna i Kroniewska zdały jeno dobrze, choć się liczyły u mnie dobrymi uczennicami, Józef Borowski zaś, zaliczony do I kategorii uczni – jeno zadowalająco. Na wczorajszym seminarium prawa konstytucyjnego wygłoszony był przez studenta Jasiukiewicza referat na temat: „Instytucja rozwiązania Sejmu w Rzeszy Niemieckiej, w Litwie (podług konstytucji z r. 1928) i w Estonii". Kontrreferentem był student Andrzej Keturakis. W kontrreferacie swoim, zabarwionym jaskrawą tendencją polityczną i pełnym pozy demagogicznej, student Keturakis, pokrywając frazeologią polityczną i żarliwością „demokracji" zdawkowej ubóstwo analizy dogmatycznej instytucji konstytucyjnych, wystąpił z apoteozą parlamentaryzmu francuskiego i tych jego tendencji charakterystycznych, które ja ujmuję określeniem „sejmokracji", z wycieczkami przeciwko krytyce mojej tego wypaczenia parlamentaryzmu oraz z czysto wiecowym potraktowaniem nowej konstytucji litewskiej jako dzieła reakcji, zgoła podejrzanego co do horoskopów ewolucji politycznej państwa. Był to jeden z rzadkich w mojej praktyce profesorskiej wypadków zużytkowania przez studenta seminarium dla celów polemiki politycznej. Oczywiście, że przy tej okazji popełnił mnóstwo grubych błędów, które uszłyby w artykule publicystycznym pisma lewicowego, ale nie licują z zadaniami i atmosferą seminarium prawa konstytucyjnego w uczelni akademickiej. Zdążyłem jeno w kilku słowach zareagować na tezy kontrreferatu, rezerwując konkluzje moje do następnego razu.

26 kwietnia, rok 1929, piątek

Zaprosił mię do siebie na żydowski obiad świąteczny (wielkanocny) Diskin. Od wielu lat – od czasu, gdyśmy z nim współpracowali w „Lietuvos Rytų” Komisji, której on był sekretarzem, czuje on do mnie jakąś szczególną sympatię i uznanie i zawsze mi swe uczucia manifestuje; w ubiegłym roku byłem na jego weselu; świeżo zaś, gdy był on aresztowany podczas rewizji w redakcji czasopisma „Socialdemokratas”, pomagałem żonie jego czynić starania, a raczej zebrać informacje o szansach jego uwolnienia – stąd przeto nowa okazja do serdeczności. Na obiedzie, prócz obojga Diskinów, byłem ja i socjaldemokrata Bielinis. Obiad był narodowy żydowski; składał się ze szczupaka faszerowanego po żydowsku z sosem słodkawym, zaprawionym cebulą i szafranem, z chrzanem do tego, z bulionu z wielkimi pulchnymi gałami z mąki i tłuszczu oraz żółtka – rodzaju knedli, z charakterystycznego „cimes”, na który się złożyły kawałek kury, kawałek rostbefu „z kwiatkiem” i cielęciny, z ogórkami solonymi i oryginalną przyprawą, złożoną ze śliwek i kartofli, gotowanych w cukrze, potem już były żele („*gelée*”), owoce świeże, marmeladki, jakieś ciastka domowe słodkie i herbata, a do obiadu zamiast chleba wyłącznie maca – pospolita sucha i wypiekana na żółtkach, z trunków zaś koniak, wino rodzynkowe domowe i doskonały miód pejsachowy żydowski. Po obiadku tym pośpieszyłem jednak na uniwersytet i miałem wykład na II semestrze oraz odbyłem colloquium zwyczajne.

27 kwietnia, rok 1929, sobota
Czas mamy wciąż brzydki. Nie wiadomo, kiedyż to się skończy i kiedy doczekamy się wreszcie wiosny. No i klimat! Wciąż zimno, deszcze przeplatają się śnieżycą, roślinności – ani śladu. A toć już maj zaraz.
Z domu prawie że nie wychodziłem. Tylko pod wieczór towarzyszyłem Jadzi do magazynu po pewne zakupy do firanek, które ona robi dla domu mojego w Bohdaniszkach itd. Skądinąd siedziałem w mieszkaniu i wykonywałem pracę dla Rady Stanu. Mianowicie w związku z pewnym zapytaniem ministra finansów Tubelisa, skierowanym do Rady Stanu w sprawie interpretacji pewnej sytuacji prawnej (przedawnienie w stosunku do podatku spadkowego), powstała w Radzie Stanu wątpliwość, czy takie udzielanie konsultacji prawnych ministrom należy do kompetencji Rady i może być uznawane za jej funkcję ustawową. Zwłaszcza Ciplijewski i ja wyraziliśmy w Radzie wątpliwość w tym względzie. Rada na wniosek prezesa Šilinga zleciła mnie opracowanie ewentualnych motywów do odpowiedzi ministrowi. Zacząłem to robić, atoli w toku pracy nad tymi motywami doszedłem do wniosku wręcz przeciwnego, niż mi się pierwotnie samemu zdawało i mianowicie umotywowałem kompetencję Rady do tego rodzaju konsultacji. Z pracy tej wyłonił się traktacik o naturze funkcji Rady Stanu, który będzie na plenum rozpoznany.

28 kwietnia, rok 1929, niedziela
Na dzisiejszym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego na uniwersytecie uchwaliliśmy zlecić prywat-docentowi Janowi Mašiotasowi wykładanie arytmetyki politycznej na sekcji ekonomicznej – zamiast Feterowskiego, który się usunął. Poza tym, uchwaliliśmy podnieść skalę wymagań w postępach naukowych studentów. Przede wszystkim, wprowadzony będzie egzamin z matematyki w zakresie kursu gimnazjalnego dla tych studentów, którzy przy przejściu z II semestru na III wybierają dla studiów sekcję ekonomiczną, o ile tylko upłynęły trzy lata więcej od czasu otrzymania przez nich matury. Następnie podniesione zostało minimum egzaminów. Obecnie bez względu na sekcję wymagane było minimum jednego egzaminu przy przejściu z II semestru na III i minimum jeszcze dwóch egzaminów przy przejściu z IV na V. Obecnie przy przejściu z II na III będzie minimum dwóch egzaminów, w których

liczbie musi być koniecznie: dla prawników – encyklopedia prawa i dla ekonomistów – ekonomia polityczna; przy przejściu z IV na V – minimum trzech jeszcze, przy przejściu z VI na VII – minimum jeszcze jednego dla prawników (musowo – prawo cywilne albo prawo karne), a dla ekonomistów – minimum dwóch czy nawet trzech.

29 kwietnia, rok 1929, poniedziałek
Wykład i colloquium. Colloquia są teraz miłe i ciekawe, bo wzywani są do nich studenci najlepszej kategorii, którzy colloquium I semestru odbyli celująco. Raz po raz na colloquium bieżącym, gdy wywołuję nazwisko studenta, wstaje i podchodzi do stołu mego student lub studentka, którego twarz jest mi dobrze znana, bo ją widuję na każdym wykładzie i widywałem zawsze na colloquiach; wiem wtedy, że mam przed sobą ucznia wiernego, chłopca, z którym się nieraz porozumiewałem wzrokiem, gdym pytał innych lub gdym coś na wykładzie wyjaśniał; często nie wiedziałem nazwiska jego, ale był mi on pomimo to dobrym i serdecznym znajomym i przyjacielem pracy wspólnej. Zetknąć się z takim słuchaczem na colloquium, ujrzeć go przed sobą po wywołaniu jakiegoś nazwiska, mieć z nim dyskurs i wysłuchać jego inteligentnej, dobrze uzasadnionej i przygotowanej odpowiedzi – to przyjemność wielka. Taki oficer Dainius, taka panna Dżonsonówna z Szadowa, o której dawniej ze brzmienia jej nazwiska sądziłem, że jest Amerykanką, urodzoną z emigrantki Litwinki i ojca Jankesa, a która się okazała Litwinką w kraju urodzoną i zgoła nie rozumiejącą po angielsku – oto był kwiat colloquium dzisiejszego.

30 kwietnia, rok 1929, wtorek
Na dzisiejszym plenum Rady Stanu rozpoznawany był projekt reformy częściowej ustawy postępowania karnego, dotyczącej dochodzenia policyjnego i śledztwa pierwiastkowego. Projekt ten, który znaczną część czynności śledczych przenosi z sędziego śledczego na policję, organem zaś umorzenia śledztwa (o ile nikt nie został postawiony formalnie w stan oskarżenia) czyni prokuraturę zamiast, jak było dotychczas, sądu, rezerwując jeno na rzecz pokrzywdzonego odwołanie się od decyzji prokuratora do Trybunału Najwyższego, zainicjowany był przez prezesa Trybunału Kriščiukaitisa w byłej Radzie Ministerium Sprawiedliwości i z tego ministerium przekazany Gabinetowi Ministrów, który go przesłał Radzie Stanu do zaopiniowania. Komisja Rady Stanu, złożona z Papečkysa, Kalnietisa i kooptowanego sędziego Trybunału Brazaitisa, rozpoznała projekt i poczyniła w nim pewne poprawki, a plenum Rady Stanu w pierwszym czytaniu jeszcze to i owo zmodyfikowało. Dziś było drugie czytanie projektu, na które zaproszeni byli jako rzeczoznawcy inicjator projektu, prezes Trybunału Najwyższego prof. Kriščiukaitis i prokurator Trybunału Kalvaitis.
W Trybunale znowu powstał pewien kryzys, analogiczny do kryzysu w roku 1923, wywołanego wtedy nominacją Kalnietisa wbrew uchwale Trybunału. Kryzys ów polegał wtedy na tym, że gdy przez Trybunał odrzucona została kandydatura Kalnietisa, którą proponował i popierał minister Karoblis, i uchwalona została kandydatura Ciplijewskiego, na wniosek ministra Karoblisa mianowany został przez Prezydenta Rzeczypospolitej właśnie Kalnietis; wtedy my z Janulaitisem zaoponowaliśmy przeciwko takiemu lekceważeniu opinii Trybunału i zagroziliśmy dymisją na wypadek objęcia stanowiska przez Kalnietisa; kryzys został wtedy zażegnany przez samego Kalnietisa, który w tych warunkach cofnął się i z nominacji do Trybunału nie skorzystał. Otóż teraz rzecz się ma analogicznie. Reforma etatów Trybunału stworzyła nowe stanowisko wiceprezesa i jednego nowego sędziego. Wiceprezesem mianowany został najstarszy obecnie z daty nominacji sędzia Trybunału Čepas, a tą drogą okazały się wakujące dwa stanowiska sędziego Trybunału: jedno – nowe i jedno – Čepasa.

Trybunał, rozważając kandydatury, na jedno z tych stanowisk uchwalił kandydaturę Czesława Milwida, ziemianina, byłego posła do I Dumy w Rosji w roku 1906, który już wtedy, jako młody ziemianin i szlachcic, określał się jako Litwin, co było w tych czasach nowością wśród szlachty ziemiańskiej; Czesław Milwid, człowiek kultury polskiej, określiwszy się już wtedy jako Litwin, nie stał się jednak przez to polakożercą lub polonofobem i zachował umiarkowanie; dziś jest on Litwinem, prawicowcem, najbardziej zbliżonym – pod względem przekonań społecznych – do narodowców rządzących, ale różniący się od nich tym, że nie jest nacjonalistą zajadłym; Czesław Milwid był przed kilku laty sędzią w Sądzie Okręgowym w Kownie, ale się potem z sądu tego wycofał i po jakimś czasie zajął stanowisko sędziego pokoju w Radziwiliszkach, łącząc ten zawód z zawodem ziemiańskim w majątku swoim, położonym w pobliżu Radziwiliszek (syn sędziego Czesława Milwida, Jan Milwid, jest obecnie studentem naszego uniwersytetu, słuchaczem II semestru prawa). Kandydatura Milwida do Trybunału była bardzo popierana przez samego Prezydenta Rzeczypospolitej Smetonę, toteż po uchwaleniu tej kandydatury przez Trybunał Milwid został zaraz mianowany (jeszcze stanowiska nie objął). Prezes Trybunału Kriščiukaitis był za kandydaturą Milwida w szczególności z tego względu, że Milwid, który jest w gorącej wodzie kąpany – ruchliwy i prędki – jest bardzo szybki w pracy; co prawda, czasem ta szybkość migawkowa, z którą Milwid proces sądzenia odbywa, staje się powodem pomyłek i przeoczeń rażących, ale pośpiech jest u niego rzeczywiście niezwykły. Motywy jego wyroków są krótkie i lakoniczne, za krótkie nawet, zwłaszcza na wyroki kasacyjne w Trybunale; są one pisane „na kolanie" – na poczekaniu, toteż zaległości u Milwida nie ma w praktyce sędziowskiej nigdy; prezes Trybunału bardzo to ceni.

1 maja, rok 1929, środa
Ciąg dalszy o kandydaturach trybunalskich.
Obsadzenie więc jednego wakansu w Trybunale poszło gładko. Sędzia Czesław Milwid był pożądany dla rządu i pożądany dla Trybunału. Został przeto wybrany i mianowany. Gorzej rzecz stanęła w przedmiocie drugiego wakansu. Chodziło o kandydaturę także cywilisty. Kandydatury wypłynęły dwie: sędziego Buyki z Kowna i sędziego Frąckiewicza z Szawel. Buyko jest niewątpliwie cywilistą doskonałym, kwalifikacji sędziego Frąckiewicza nie znam. Buyko był przez prezesa Trybunału zapytany o zgodę i zgodził się, ale potem jakoś zachorował ciężko akurat w czasie, kiedy Trybunał głosował nad kandydaturą. Trybunałowi było wiadome, że kandydatura Buyki jest równie, jak kandydatura Milwida, mile przez rząd, od którego zależy nominacja, widziana; wszakże przeciwko Buyce były w Trybunale pewne uprzedzenia; zdaje się, że nie bardzo sprzyja Buyce sędzia Piotrowski, którego usłużności chrześcijańsko-demokratycznej Buyko nie znosił i z nim był trochę na bakier (mimo że Buyko jest człowiekiem niezmiernie cichym, grzecznym i spokojnym); zdaje się też, że Piotrowski, który poza wszystkim innym, hołduje – przynajmniej teraz, odkąd jest w Litwie – ciemnemu nacjonalizmowi o zakroju zwłaszcza polonofobskim, węszył w Buyce, który się z tym nie chował i który kształcił córki w gimnazjum polskim, Polaka i z tego też tytułu mu nie ufał czy też miał niechęć do niego, a wzgląd ten mógł zaważyć łatwo i na Čepasa stosunku do kandydatury Buyki, bo Čepas też do nacjonalizmu ma nagabanie wielkie (nacjonalizmu Čepasa i Piotrowskiego nie należy utożsamiać z tym kierunkiem różniczkowym, który stanowi w Litwie obóz narodowców; ani Čepas, ani Piotrowski do obozu narodowców nie należą wcale; Piotrowski trzyma zawsze z chrześcijańskimi demokratami, Čepas jest sympatykiem demokracji). Zapewne więc względy polskości Buyki odegrały pewną rolę przy wyborze kandydatury; co zaś do prezesa Kriščiukaitisa,

to ten za Buyką nie bardzo obstawał, bo nasłuchał się o marudztwie Buyki, który, będąc bardzo gruntowny, nie jest w pracy zbyt prędki, a prezes się tego bardzo lęka i pragnie takiego doboru sędziów w Trybunale, który by się przede wszystkim zalecał szybkim i forsownym tempem pracy, choćby z pewną szkodą dla treści. Dość że w głosowaniu w Trybunale kandydatura sędziego Frąckiewicza zwyciężyła kandydaturę Buyki, co poszło tym łatwiej, że Buyko właśnie zachorował. Ale w kołach rządowych o ile Milwid ma poparcie Prezydenta Smetony, o tyle Buyko ma poparcie potężnego Voldemarasa, który Buykę zna i ceni szczególnie, uważając go za najznakomitszą siłę sędziowską (podobno Voldemaras zna się z Buyką z Rosji, gdzie się z nim zetknął, będąc w Jekaterynburgu czy w Permiu docentem, podczas gdy Buyko był tam sędzią miejskim, i tam się oni zbliżyli). Słowem – Voldemaras jest kategorycznie zdecydowany na rzecz kandydatury Buyki do Trybunału i nie chce go poświęcić dla trybunalskiego kandydata Frąckiewicza. Sytuacja zagmatwała się: rząd chce Buyki, Trybunał zalecił Frąckiewicza. Minister Żyliński nie wie, co robić, bo przedstawienie Frąckiewicza Prezydentowi do nominacji grozi Żylińskiemu niełaską potężnego premiera Voldemarasa, zaś przedstawienie Buyki – powtórzyłoby sytuację sprzed kilku laty za rządów Karoblisa w sprawie nominacji Kalnietisa; wytworzyłoby to konflikt z Trybunałem. Na razie więc to miejsce wakuje, ale wyjścia nie widać. Znając Buykę, przypuszczam, że ten konflikt o jego osobę nie jest mu wcale miły i że rola członka Trybunału, narzuconego Trybunałowi przez rząd, nie może mu się uśmiechać. Z pewnością wolałby on pozostać w sądzie okręgowym, niż się pchać w tych warunkach protekcją Voldemarasa do Trybunału. Gdyby pomimo to został mianowany, to chyba zdecydowałby się, jak niegdyś Kalnietis, zrezygnować z nominacji, o ile Trybunał swej decyzji nie zmieni. Dzień 1 maja upłynął względnie spokojnie. Rząd skasował świętowanie tego dnia i zarządził normalną pracę w instytucjach i sklepach, jak w dzień powszedni, mimo że ustawa o świętach dzień ten za świąteczny uznaje i że żadnej zmiany w ustawie drogą ustawodawczą nie zarządzono. Wszelkie manifestacje zostały zakazane. Mimo to o południu pewne garstki młodzieży komunistycznej usiłowały zorganizować na Laisvės Alei pochód demonstracyjny majowy ze sztandarami czerwonymi. Doszło nawet do strzelaniny, zarządzono aresztowania. Z rozporządzenia władz zamknięte całkowicie zostało stronnictwo socjalno-demokratyczne, ale to bez związku z dniem 1 maja.

2 maja, rok 1929, czwartek

Egzaminy bieżące. Zdawało czterech studentów – z VIII semestru Antoni Rėklys i z IV semestru ekonomiści Józef Laurinaitis i Kazimierz Augustynowicz i prawniczka Baniutė-Anna Grigaitisówna-Grigaliunasówna (dwoje ostatnich zdawało po raz drugi, bo za pierwszym razem byli przepędzeni). Wszyscy zdali celująco. Było przyszło jeszcze dwóch innych, ale się przestraszyli i uciekli sami.
Dodam coś jeszcze w sprawie kandydatur trybunalskich. Zdaje się, że zostało znalezione wyjście kompromisowe, które uchyli konflikt w ten sposób, że obaj kandydaci – rządowy i trybunalski – Buyko i Frąckiewicz – wejdą do Trybunału. Tą drogą stanie się zadość tak życzeniom Voldemarasa, jak uchwale Trybunału. Wspominał mi dziś o tym ostrożnie, jako o pogłosce, prezes Sądu Okręgowego w Kownie Grigaitis. Jest to kombinacja bardzo prawdopodobna. Ażeby obaj – Buyko i Frąckiewicz – weszli do Trybunału, trzeba, żeby były dwa miejsca wolne, a ponieważ miejsce jest teraz wolne tylko jedno, więc trzeba, aby drugie miejsce ktoś z aktualnych członków Trybunału ustąpił. Ten ktoś, który ma być kozłem ofiarnym zażegnania konfliktu, ma być sędzia Piotrowski. Piotrowski jest przez narodowców, będących dziś

u władzy, źle widziany, a przez Voldemarasa szczególnie znienawidzony. Gdy Voldemaras był jeszcze w opozycji – za rządów Chrześcijańskiej Demokracji i później ludowców – występował on wielokrotnie z ostrymi napaściami przeciwko Piotrowskiemu, będącemu wówczas prezesem Sądu Okręgowego w Kownie, a gdy Ślażewicz, będąc ministrem sprawiedliwości, postarał się o usunięcie Piotrowskiego ze stanowiska prezesa sądu okręgowego i przeniesienie go na sędziego Trybunału, Voldemaras pisał, że taki osobnik, jak Piotrowski, jest w ogóle zakałą sądownictwa, w którym dla takiego miejsca być nie może. Piotrowski bowiem nie tylko że był zawsze wierny Chrześcijańskiej Demokracji, ale się jej gorliwie wysługiwał, gdy ona była u władzy i w ogóle robił, co ona chciała i starał się o pognębienie jej wrogów. Przez czas długi był jednocześnie sędzią i juryskonsultem Ministerium Rolnictwa. Na tym ostatnim stanowisku wysługiwał się ministrowi Krupowiczowi i nie tyle przestrzegał prawa, ile naciągał prawo do zachcianek ministra; zyskał smutną sławę w tym względzie. Zabiegał też gorliwie wpływami swymi u sędziów, aby przeforsować skazanie Voldemarasa, gdy mu władze ówczesne wytaczały różne oskarżenia. Wreszcie autorytetem swoim przyczynił się do głośnego wyjaśnienia ordynacji wyborczej, zainscenizowanej przez Chrześcijańską Demokrację dla obalenia listy kandydatów narodowców w okręgu mariampolskim, zadając przez to cios bolesny narodowcom na wyborach. To są tylko epizody, które go uczyniły znienawidzonym dla narodowców, ale skądinąd podobnych epizodów w działalności Piotrowskiego było mnóstwo. Nie można zaprzeczyć, że Piotrowski jest prawnikiem, zwłaszcza procesualistą biegłym, ale to go nie czyni sędzią dobrym, skoro nie posiada on poczucia praworządności i niezawisłości sędziowskiej. Po przewrocie przez dwa przeszło lata nie poruszono Piotrowskiego, który się ukrył cichutko w Trybunale. Dopiero teraz, gdy powstał kłopot z kandydaturami Buyki i Frąckiewicza, przypomniano sobie Piotrowskiego i pomyślano, że byłaby to właśnie okazja do pozbycia się go, ułatwiająca zarazem kompromisowe rozstrzygnięcie kwestii Buyki-Frąckiewicza. Otóż miano zaproponować Piotrowskiemu podanie się do dymisji. Podobno Piotrowski ma już emeryturę wysłużoną, ewentualnie będzie mógł się postarać o jakąś juryskonsulturę. Osobiście uważam, że się dobrze stanie, gdy Piotrowski ustąpi z Trybunału. Jest to człowiek o kulturze nie tyle sędziego, ile starego rosyjskiego biurokraty carskiego. Dość nam tego rodzaju typów; niech już wymierają i ustępują miejsca ludziom nowym i niezależnym. Tak Milwid, jak Buyko – to są sędziowie pełną gębą; Frąckiewicza z Szawel – nie znam.

3 maja, rok 1929, piątek

Od paru dni ociepláło, padają deszcze, była burza. Wiosna się już robi, ale bardzo spóźniona i jeszcze bardzo mało zaakcentowana: nie tylko liści na drzewach, ale nawet trawy świeżej nie widać; ciepło jest jeszcze tylko względne, jest to raczej tylko mniejszy chłód, niż był dotąd.

Mieliśmy dziś posiedzenie plenum Rady Stanu, poświęcone zagadnieniu regulaminowemu kompetencji czy raczej funkcji Rady. Chodziło o to, czy Rada Stanu może i czy powinna udzielać ministrom, gdy się ci o to do niej zwracają, formalnych wyjaśnień ustaw bez związku z tym lub innym konkretnym aktem administracyjnym. O takie właśnie ogólne wyjaśnienie prawne zwrócił się do Rady minister finansów Tubelis. Ustawa o Radzie Stanu odpowiedzi bezpośredniej na to nie udziela i takiej czynności Radzie nie zleca. Zachodzi więc wątpliwość, czy Rada może się tej czynności podejmować. Ja, który byłem referentem w tej kwestii i miałem ułożyć odpowiedź na piśmie ministrowi, uzasadniającą niemożność takiej czynności, w toku redagowania tej odpowiedzi, analizując funkcje ustawowe Rady, doszedłem wszakże do wniosku, że czynność taka wypływa logicznie z natury innych zadań Rady i ułożyłem

przeto referat na rzecz dopuszczalności takiej konsultacji prawnej. Zdania się w Radzie podzieliły, ale jeszcze decyzję odroczono. Kalnietis i Ciplijewski przemawiali przeciwko dopuszczalności konsultacji, Šiling i Starkus – za, Papečkys był dość niewyraźny, ja się też wahałem, Masiulis i generał Dowkont i nie wypowiadali się *in meritum*.
W sprawie kandydatury trybunalskiej sędziów Buyki i Frąckiewicza oraz ewentualnej dymisji Piotrowskiego – słyszałem dzisiaj, że sam Buyko domaga się nominacji; podobno zwracał się on do ministra Żylińskiego ze skargą, że skoro z ramienia Trybunału zapytywano go urzędowo, czy zgodzi się na wybór i on się zgodził, to wybór następnie innego kandydata jest pewnego rodzaju ubliżeniem dla niego, Buyki; Buyko podobno wyraził wprost posądzenie, że go odrzucono dlatego, że jest Polakiem i spytał, jak należy to rozumieć i czy ma on stąd wyciągnąć konsekwencje, że jest w tym charakterze w sądownictwie niepożądany i brakowny. Konflikt przeto polega nie tylko na tym, że kandydatury Buyki życzy sobie sam Voldemaras, ale że i sam Buyko się obraził. Zresztą, jeżeli chodzi o polskość, to i konkurent Buyki sędzia Frąckiewicz jest teki samym, jak Buyko, Polakiem krajowym, który do czasu powrotu do kraju po wojnie nie umiał wcale po litewsku. Sędzia Frąckiewicz, jak się dowiaduję, jest szwagrem nowo mianowanego sędziego Trybunału Milwida. Właściwie wszyscy trzej – mianowani, kandydujący i konkurujący do Trybunału sędziowie – Czeslaw Milwid, Buyko i Frąckiewicz – należą do tej kategorii ludności krajowej, która się nazywa Polakami bez względu na to, czy oni sami siebie określają jako Litwinów (jak Milwid), czy jako „tutejszych”, czy Polaków (jak Buyko); wszyscy trzej są pochodzenia szlacheckiego i należą do społeczeństwa ziemiańskiego. W związku z tym faktem Nargiełowicz, z którym dziś w tej kwestii rozmawiałem, wskazuje na to, że gdyby istotnie okazało się prawdą, że wywierana jest przez rząd presja na sędziego Piotrowskiego w kierunku skłonienia go do dymisji dla zrobienia miejsca Buyce czy Frąckiewiczowi, to fakt mianowania naraz trzech sędziów Trybunału z kół polsko-szlachecko-ziemiańskich – Milwida, Frąckiewicza i Buyki – łącznie z usunięciem Piotrowskiego sprawi w pewnych kołach nacjonalistycznych litewskich wrażenie bardzo ujemne i rozdrażnienie, którego należy unikać ze względu na sam autorytet Trybunału; w tym względzie nastroje nacjonalistyczne, niechętne polskości (choćby nawet najzupełniej krajowej), podadzą rękę nastrojom demagogicznym, niechętnym szlachetczyźnie i ziemiaństwu, którymi „grzeszą” ci nowi sędziowie. Ludzie tych nastrojów będą głosili, że Trybunał, a przezeń kierownictwo całego sądownictwa Litwy oddane zostało w ręce polskie, szlacheckie i ziemiańskie, co prowadzi do wyplenienia elementu ludowego i rdzennie litewskiego. Jak dalece zakorzenione są w umysłach inteligentów litewskich uprzedzenia w tym względzie – to Nargiełowicz zacytował mi fakt, że ludzie tak postępowi i, zdawałoby się, światli, jak adwokaci Sugint i Skipitis, uważają zupełnie szczerze za pewnego rodzaju dyshonor i dyskwalifikację, jeżeli dany osobnik osobiście w latach dzieciństwa świń nie pasał i *expressis verbis* to wypowiadają publicznie. Sprawa więc kandydatur trybunalskich zahacza o względy skomplikowańsze, niżby się zdawało.

4 maja, rok 1929, sobota
Przed paru dniami bawiła dwa dni w Kownie Elizka Komorowska z Zitką. Na obiady Elizka i Zitka przychodziły do mnie. Elizka przyjeżdżała dla poznania swojej domniemanej przyszłej synowej, narzeczonej Hektora. Hektor bowiem, nieco już podtatusiały, liczący 37 lat wieku, a więc już dostukujący do punktu najformalniejszego starokawalerstwa – do czterdziestki. pozujący w stosunku do kobiet na sceptyka i zblazowanego cynika – zakochał się. Poprzednio, przed kilku laty, podkochiwał się on i

ewentualnie stawał o pannę Mielżyńską, bogatą dziedziczkę ziemiańską ze Żmudzi, ale choć Elizka bardzo sobie tej partii życzyła, rzecz się wtedy jakoś na czymś załamała i upadła. Od jakiegoś czasu jednak słychać było, że Hektorowi wpadła w oko ładna panienka, urzędniczka Polskiego Banku Drobnego Kredytu w Kownie, panna Holstein. Ona to właśnie jest tą obecną narzeczoną Hektora, której poznanie było celem przyjazdu Elizki i Zitki. Panna jest niezamożna, utrzymująca siebie i matkę z pracy, młoda, bardzo przystojna, blondynka pełna wdzięku i wyrazu, o bardzo ładnej i proporcjonalnej budowie ciała i pięknych drobnych kończynach. Jest maturzystką, ma uzdolnienia artystyczne, śpiewa i gra, w roku zeszłym występowała na scenie amatorskiej w operetce polskiej w Kownie. Ani z urodzenia, ani z majątku, ani ze stanowiska i stosunków towarzyskich nie należy oczywiście do arystokracji, toteż nie o takiej partii marzyła Elizka dla swego faworyta Hektora, dla swego „Tula", który był jej dumą i oczkiem w głowie. Ale skoro się już Elizka z tym oswoiła i ostatecznie z faktem przez Hektora zadecydowanym pogodziła, to już „*elle fait bonne mine au mauvais jeu*" i z przejęciem w tej roli występuje. Podkreśla, że rodzina Holsteinów jest szlachecka i ma ogonek szlachecki „von" („von Holstein") oraz herb. Osobiście panna się Elizce i Zitce podobała, jako bardzo miła, dobrze ułożona i łatwa; Elizka podnosi, że panna Holstein lubi wieś i robótki kobiece i że nie będąc przyzwyczajona do zbytków, łatwo się zastosuje do umiarkowania kowaliskiego i będzie rada z dostatku względnego, jaki daje wieś i majątek; ma być też bardzo przywiązana do Hektora i wdzięczna mu za wybór.
Narzeczonej Hektora – panny Holstein – osobiście nie znam, jeno z widzenia, ale coś mi się zdaje, że jest kokietką i że podtatusiały mąż i atmosfera kowaliska nie bardzo będą pasowały do jej usposobienia. Nazajutrz – po wyjeździe Elizki – byłem wieczorem w teatrze (we czwartek) na premierze opery „Gioconda". Siedziałem w II rzędzie parteru. Trzebaż trafu, że obok mnie siedziała właśnie panna Holstein, której się mogłem dobrze przyjrzeć. Była w teatrze w towarzystwie jakiegoś Niemca, którego znam z widzenia, ale nie wiem, kto jest taki, flirtowała z nim, była ubrana czy raczej rozebrana w stroju bardzo balowym i dekoltowanym głęboko z przodu i na plecach, bez rękawów. Ładnie jej z tym było, ale niepoważnie, jak na narzeczoną syna hrabiny Elizy Komorowskiej. Hrabina byłaby zgorszona, gdyby ją tak ujrzała. Ano, zobaczymy. Pozory mogą mylić. Daj Boże co najlepszego. W każdym razie Hektor mieć będzie żonę piękną.
Panna Holstein jest pół-Polką i pół-Niemką. Stosunki towarzyskie ma w Kownie prawie wyłącznie niemieckie.

5 maja, rok 1929, niedziela
W tych dniach miałem list od Maryni, która mi donosi o ciężkim wypadku, jaki spotkał jej zięcia Konstantego Meyera, męża Ewy. Konstanty Meyer, Wilnianin rodem, jest oficerem w wojsku polskim. W roku 1918, po ukończeniu w Wilnie gimnazjum, wstąpił on jednocześnie z Ewą, która także w tym roku była ukończyła gimnazjum w Wilnie, na uniwersytet w Warszawie, jedyny dostępny uniwersytet za czasów okupacji niemieckiej. W jesieni r. 1918 cała młodzież akademicka męska Uniwersytetu Warszawskiego uchwaliła wstąpić do wojska, by bronić zagrożonej niepodległości Polski, a uniwersytet, solidaryzując się z uchwałą młodzieży, zawiesił swe czynności, aby nie dać ułatwienia tym, którzy się od wykonania uchwały uchylą. Wtedy i Konstanty Meyer jako student wstąpił na ochotnika do wojska, Ewa zaś, która jeszcze była panną, przyjechała do mnie do Łomży. Po zakończeniu przez Polskę wojny w roku 1920-1921 i po demobilizacji Konstanty Meyer nie zdemobilizował się; służba w wojsku rozleniwiła go, zresztą zawsze był dość tępy do nauki i z natury mało

inteligentny; nie zechciał już wrócić do uniwersytetu, zresztą już się z Ewą ożenił, środków nie miał i wolał pozostać na stałe w wojsku jako oficer kadrowy; choć pensja oficerska jest nieduża, ale przecież jest. Na tej pensyjce Konstanty z żoną klepią biedę, oglądając się wciąż na subsydia od Maryni i podjudzając ją do sprzedaży Bohdaniszek, aby dla nich coś kapnęło albo aby Marynia coś dla nich kupiła w Polsce. Konstanty Meyer konsystował ze swym pułkiem w różnych okolicach Polski, obecnie zaś ot paru lat stoi bodajże w Starym Targu czy tam gdzieś indziej w tamtych stronach, w każdym razie w okolicy Zakopanego – w Tatrach czy na Podgórzu Tatrzańskim. W zimie miewa on ze swym oddziałem żołnierzy ćwiczenia narciarskie (na ski). I oto teraz pewnego dnia wracał on ze swymi żołnierzami z gór z ostatniego już w tym roku ćwiczenia na nartach. Pędząc z góry, podobno trzykrotnie wyższej od Góry Zamkowej w Wilnie, poczuł nagle, że mu się śnieg spod nóg usuwa i spadł w jakąś kotlinę, a spadając roztrzaskał sobie o skały jedno kolano, drugą zaś nogę ma też uszkodzoną. Odwieziono go do szpitala do Krakowa. Zachodzi obawa, że mu będą nogę amputowali. Czy druga noga jest złamana – nie wiadomo. Straszny to wypadek i nieszczęście dla Konstantego i Ewy. Marynia jest bardzo stroskana.

6 maja, rok 1929, poniedziałek
Dziś już prawdziwy wreszcie dzień majowy. Rozkosznie ciepło, słonecznie. Trawka szybko kiełkuje, krzewy zaczynają zielenieć. Chciałoby się na wieś, ale nie można. Ślicznie mi w tym roku idą colloquia ze studentami tej grupy, która w I semestrze uzyskała na colloquium dwa plusy. Nie przypominam, żebym w którym roku miał tak znakomite odpowiedzi na colloquiach. Tegoroczny semestr II jest mocny, ma wielu chłopców zdolnych i pilnych. Pojętność, zręczność w orientowaniu się w zagadnieniach prawno-konstytucyjnych, znaczny odsetek odpowiedzi celujących na colloquiach świadczą dodatnio o kwalifikacjach umysłowych młodzieży litewskiej, zważywszy zwłaszcza, że obecnie już większość stanowią chłopcy młodziutcy, którzy tu przyszli wprost z ławy gimnazjalnej i którzy z urodzenia pochodzą przeważnie z ludu pracującego, z rodzin niewykształconych, książek własnych w języku własnym prawie że nie mają i poza tym nie mają wprawy, jak studenci na przykład francuscy, w notowaniu samodzielnym wykładów. Prawda, że wykłady moje są przez jednego z nich stenografowane, ale podobno tegoroczne zapiski stenograficzne studenta Šlapelisa są o wiele słabsze od pozaprzeszłorocznych – Švelnikasa. Wszakże znaczną ilość odpowiedzi cechuje nie tylko to, że się studenci nauczyli, ale także to, że doskonale rozumieją i orientują się.
Wczoraj w nocy w Sądzie z Okręgowym Kowieńskim zakończyła się rozprawa sądowa w sprawie Józefa Stawskiego (męża Maryni Rosenówny) i jego syna Justysia. Józef Stawski był oskarżony o wymaganie łapówek i różne nadużycia służbowe na stanowisku inspektora generalnego wód państwowych i rybołówstwa w Ministerium Rolnictwa, Justyś zaś – o sfałszowanie do spółki z ojcem jakichś podpisów na wekslach czy rachunkach, służących do pokrycia nadużyć. Sprawa nabrała rozgłosu, toczyła się przez cztery dni (od czwartku do niedzieli włącznie); świadków było wezwanych 140, obradom przewodniczył prezes sądu Grigaitis, bronili Stawskich adwokaci Stankiewicz i Oleksa. Józef Stawski był bardzo przygnębiony, ale bronił się ze wszystkich sił. I obronił się: został uniewinniony. Radość jego i Justysia była bez granic.
Wieczorem późno – wracając z colloquium do domu – słyszałem od studenta Liepinaitisa, który mi towarzyszył, że koło godz. 9 wieczorem na Laisvės Alei pod ogrodem miejskim czy to w ogrodzie miejskim przed teatrem zabity został wystrzałem z rewolweru jakiś oficer, podobno z oddziału awiacji i raniony w nogę syn Prezydenta

Rzeczypospolitej. Sprawca czy też sprawcy zamachu podobno uciekli. Co to takiego jest – dowiemy się jutro.

7 maja, rok 1929, wtorek
A więc to był wczoraj zamach terrorystyczny na prezesa ministrów Augustyna Voldemarasa, gdy tenże o godzinie pół do dziewiątej wieczorem udawał się w towarzystwie żony, jej małego wychowanka-siostrzeńca, 10-letniego chłopaka, rodem Francuza (bo Francuzką jest p. Voldemarasowa) i dwóch adiutantów swoich jako ministra wojny, oficerów porucznika awiacji Franciszka Gudynasa i kapitana Wirbickiego, do teatru na koncert Głazunowa. Voldemaras z tą asystą podjechał automobilem po Laisvės Alei do ogrodu miejskiego, tu wysiadł i przez ogród szedł pieszo do gmachu teatru. Adiutanci szli jeden z przodu, drugi – z tyłu, Voldemaras zaś z żoną i wychowankiem szedł w środku. O pięć kroków nie dochodząc do teatru – nagle trzech młodych ludzi dało z tyłu kilka strzałów z rewolweru w Voldemarasa i jego asystę. Ogółem złoczyńcy wystrzelili pono siedem razy. Jeden z adiutantów – porucznik Gudynas (student prawa ostatniego semestru) – zabity został kulą w głowę (kula przeszyła czaszkę na wylot i wyszła przez czoło), drugi – Wirbicki – został raniony w płuco i ramię, mały wychowanek p. Voldemarasowej otrzymał aż trzy strzały, z których dwa mniejszej wagi w nogę i jeden, niebezpieczny w brzuch (kiszki kilkakrotnie przebite), zaś p. Voldemarasowa raniona nie została, choć jedna kula zahaczyła jej ubranie, przebiła nawet bieliznę i otarła się o ciało w okolicy lewego boku. Jeden Voldemaras, właściwy cel zamachu, został nietknięty. Zbóje mieli zapewne podzielone role: dwaj widocznie strzelali do adiutantów, aby uprzedzić opór i obronę, ewentualnie – pościg, trzeci – musiał mieć na oku Voldemarasa i chybił. Strzały w ogrodzie wywołały poruszenie i panikę wśród publiczności, śpieszącej do teatru lub przechadzającej się w śliczny pogodny wieczór po ogrodzie, toteż publiczność rzuciła się do wyjścia z ogrodu na Laisvės Aleję, a z popłochu skorzystali też w niej terroryści, którzy, porzucając swoje ofiary, zmieszali się z publicznością i znikli. Nim się policja uruchomiła i zaczęła kontrolować resztki uciekającej publiczności, złoczyńcy już się zdołali ukryć. Nie złapano ani jednego. Przygodnie też, jednym ze strzałów, raniona została w nogę (wszakże bez uszkodzenia kości) przechodząca w pobliżu panna Juodakisówna, córka profesora. Rannych opatrzono na poczekaniu w teatrze i odwieziono do szpitala, dokąd też, zdaje się, udali się oboje pp. Voldemarasowie. W toku szczegółowego zbadania miejsca przestępstwa policja znalazła na drodze od wjazdu tylnego do ogrodu od ulicy Kiejstuta dwie bomby czy raczej granaty ręczne, położone na ziemi. Ponieważ tą krótszą i nieformalną drogą przejeżdża zawsze Prezydent, który tego dnia także miał być w teatrze, więc powstało przypuszczenie, że bomby były przeznaczone dla Prezydenta. Możliwe jest wszakże, że złoczyńcy te bomby (granaty) położyli tam na zapas jako rezerwę do obrony na wypadek, gdyby im uciekać wypadło tamtędy i gdyby ich ścigano. Granaty te nie wybuchają same przez się bez zapału, który albo drogą lontu, albo drogą jakiegoś mechanizmu wewnętrznego się zapala, to znaczy, że granat ten bez udziału ręki ludzkiej nie jest niebezpieczny, a więc nie mogły być one tam położone dla automatycznego wybuchu w razie najechania na nie automobilu Prezydenta. Policja jest cała poruszona. W nocy i dziś we dnie dokonano mnóstwa aresztowań, wyznaczone jest premium za wykrycie sprawców zamachu lub udzielenie wskazówek użytecznych do wykrycia, wszystkie drogi w Kownie we wszystkich kierunkach są bacznie śledzone, wszystkie środki lokomocji – strzeżone i kontrolowane. Stwierdzono, że konstrukcja i zawartość granatów odpowiada tym sześciu bombom, które niedawno ujęto w Szawlach w automobilu, wiezione przez czterech ludzi.

8 maja, rok 1929, środa

Zamach pozawczorajszy na Voldemarasa wywarł w Kownie duże wrażenie. Na ogół opinia publiczna kół inteligenckich w Kownie, skłonna do opozycji obecnemu rządowi i ustrojowi, ulegająca wpływom bądź Chrześcijańskiej Demokracji, bądź ludowców, aczkolwiek zamachu nie pochwala, jednak zbytniego oburzenia nie wyraża i chętnie się zapuszcza w refleksje na temat naturalności terroru w odpowiedzi na dyktaturę i z pewnym przekąsem zdaje się mówić narodowcom: „Oto macie – czegoście się doczekali i coście sami swymi metodami rządzenia wywołali!”. Natomiast oburzenie i wściekłość panuje u narodowców i w kołach oficerskich; tam nie znać żadnego zastanowienia nad własną akcją rządową, żadnej wątpliwości co do tego, czy nie należałoby poddać rewizji metody rządzenia, natomiast czuć odruch pragnienia zemsty i pogłębienia kursu represji. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że sprawcami zamachu są tzw. „plečkaitininkai”, to znaczy organizacja emigrantów politycznych litewskich, ześrodkowana w Wileńszczyźnie i wydająca w Wilnie pismo „Pirmyn!”, której przywódcami byli, względnie są byli posłowie do Sejmu z frakcji esdeckiej Plečkaitis, Popławski, student Ancewicz i inni. „Plečkaitininkai” zorganizowali się i występowali pod hasłem powstania zbrojnego w Litwie, które chcieliby wywołać i do którego nawet przez czas jakiś gotowali kadry ochotników, ześrodkowane i ćwiczone w Lidzie. Powstania zbrojnego nie wywołali i szansów chyba na jego wywołanie nie mają, ale agitację w kraju rozwinęli w ostatnich czasach dość znaczną, propagandę wywrotową prowadzą dość energiczną i śmiałą, emisariuszów sieć dość gęstą w kraju nasadzili i stając się coraz ruchliwsi, przechodzą do aktów terroru. Agenci „plečkaitininków” są coraz liczniej schwytywani, procesy sądowe przeciwko nim się mnożą, akcja zaś ich nie słabnie, lecz się rozwija. Żeby miała ona szeroką podstawę masową w kraju i zdołała rozwinąć jakiś ruch ludowy, to się powiedzieć nie da, ale ich robota spiskowa postępuje i szerzy się. Są oni tutaj – zwłaszcza przez rząd, ale w znacznym stopniu i przez opinię publiczną – pomawiani o zaprzedanie się polityce polskiej i Piłsudskiemu, którego intrygi narzędziem się rzekomo stali, toteż i w tym podjętym przez nich terrorze węszy się tu i suponuje, ewentualnie insynuuje ukrytą rękę polską. Jest to czynnik, który niewątpliwie tę akcję wywrotową kompromituje i czyni ją tutaj niepopularną i „*odieuse*” nawet dla tych, którzy są względem rządu usposobieni niechętnie lub wrogo. Wczoraj – nazajutrz po zamachu – odbyła się w Kownie o godz. czwartej wielka manifestacja uliczna protestu przeciwko terrorowi. Punkt zborny tej manifestacji był wyznaczony pod soborem, gdzie były wygłoszone mowy filorządowe i uchwalone jednogłośnie rezolucje „na pohybel wrogom” i „na sławę rządowi”. Demonstranci udali się z placu soboru pod mieszkanie premiera Voldemarasa, Voldemaras sam też wyszedł do manifestującego tłumu i przemawiał. Ale ta manifestacja była w znacznym stopniu sztuczna i zainscenizowana; jej uczestnicy składali się w dużym stopniu z urzędników, którzy przez gorliwość służbową szli tam, by się swej zwierzchności przypodobać. Bezpośrednio i szczerze oburzeni zamachem i całkowicie oddani rządowi w tej sprawie są tylko wojskowi, no i narodowcy. Na manifestacji odgrażano się w mowach nie tylko emigrantom zagranicznym, ale też socjalnym demokratom krajowym jako ich sympatykom i głoszono bojkot socjalnych demokratów.

Sam Voldemaras jest dość poruszony, ale panuje nad sobą. Widziałem go wczoraj, bom był u niego z Šilingiem w delegacji od Rady Stanu dla wyrażenia mu uczuć Rady. Voldemaras opowiadał o wypadku, o rannych, o perspektywach ujęcia zbrodniarzy. Gdyśmy z Šilingiem przychodzili, spotkaliśmy właśnie wychodzącą od niego delegację wyższych oficerów, a gdyśmy wychodzili – spotkaliśmy przychodzącego Prezydenta Smetonę.

9 maja, rok 1929, czwartek
Dzień dzisiejszy poświęcony był 25-letniej rocznicy odzyskania prasy litewskiej w r. 1904. Przed 25 laty, w czasie wojny japońskiej, w przededniu rewolucji, cofnięty został przez władze państwowe w carskiej Rosji dziki zakaz używania czcionek łacińskich w druku litewskim, wydany w r. 1865 przez generał-gubernatora wileńskiego Kaufmana bezpośrednio po powstaniu. Cofnięcie tego zakazu, który usiłował narzucić Litwinom czcionki rosyjskie i zmierzał pośrednio do stopienia Litwinów w „kulturze" rosyjskiej i prawosławiu, było wielkim zwycięstwem narodu litewskiego, który nie tylko że w osobie swojego ludu odrzucił narzucone mu czcionki rosyjskie i wytrwał w konsekwentnym ich bojkocie przez lat 40, ale jeszcze przez swą młodą narastającą inteligencję ludową, raczej – pod jej przewodem, dokonał w tym czasie swego odrodzenia i stworzył sobie piśmiennictwo nielegalne, zogniskowane za kordonem w Prusach i stamtąd przemycane do kraju, które dało narodowi organizację i samowiedzę dla dalszego dążenia do emancypacji aż do niepodległości państwowej kraju. Data więc roku 1904 jest wielką datę triumfu litewskiego. Dla uczczenia tej rocznicy utworzył się komitet, złożony z literatów i dziennikarzy z bibliografem, kierownikiem biblioteki uniwersyteckiej prof. Wacławem Biržišką na czele i działający w kontakcie ze Związkiem Dziennikarzy, którego prezesem jest dr Purycki. Przed dwoma dniami 25-lecie odzyskania prasy obchodził uroczyście uniwersytet (na posiedzeniu publicznym wygłoszone były przez prof. Wacława Biržiškę i Tumasa odpowiednie odczyty), dzisiaj zaś był obchód urzędowy, powszechny. Na obchód ten złożyła się uroczystość przemówień i pozdrowień publicznych weteranom walki o prasę w Teatrze między godz. czwartą a siódmą i następnie uroczystość publiczna w Muzeum Wojennym. Była jeszcze kolacja dziennikarska potem. W uroczystościach tych osobiście udziału nie brałem, jak również nie brałem udziału w eksportacji zwłok ofiary terroru śp. porucznika Franciszka Gudynasa o godz. drugiej po południu. Eksportacja ta była niezwykle uroczysta i tłumna. Zwłoki eksportowano do Wejwierów – miejsca rodzinnego Gudynasa, gdzie je pochowano.
Na ręce prezesa komitetu odzyskania prasy – prof. Wacława Biržiški – złożyłem na piśmie pozdrowienie weteranom walki o prasę, którzy w osobach dr Jana Šliupasa, dr Kazimierza Griniusa, ks. Tumasa i całego szeregu innych owego okresu działaczy zajmowali w uroczystości miejsca honorowe. W pozdrowieniu moim podkreśliłem ten moment ich historycznego czynu, który nie tylko bojkot czcionek rosyjskich zwycięsko utrzymał, ale natchnął lud i naród miłością i pragnieniem wolności.
Rano dziś podług ustalonego w tym roku zwyczaju odbywały się u mnie egzaminy. Zdawało ogółem czterech studentów: Jerzy Kundrotas, Aleksander Laikunas, Ignacy Kozłowski i Mateusz Skučas. Laikunas nie jest moim uczniem, bo kurs prawa konstytucyjnego ma przesłuchany w Rosji, u mnie więc zdaje tylko na dyplom. Czterech zdawało i cztery różne wyznaczyłem stopnie: Laikunasowi – bardzo dobrze, Kundrotasowi – dobrze, Kozłowskiemu – zadowalająco i Skučasowi – niezadowalniająco, to znaczy, że Skučas nie zdał i był bardzo tym obżałowany.

10 maja, rok 1929, piątek
Policja i władze sądowe natrafiły na ślad sprawców zamachu na Voldemarasa i jednego z nich mają już w ręku. Jest to wprawdzie tylko domniemanie, ale bądź co bądź ma ono podstawy mocne. Już od rana krążyły o tym pogłoski po mieście, zresztą w rozmaitych wersjach. Jedni mówili, że władze otrzymały wiadomość o ukrywaniu się tych terrorystów w pewnych lasach, zarządziły obławę i jednego zdołały osaczyć, ale on odebrał sobie życie. Inni mówili, że ujęty terrorysta jest tylko ranny. Stwierdzono, że na

miejsce ujęcia terrorystów wyjechał osobiście dyrektor Departamentu Policji (Piliečių Apsaugos Departamentas) Stankiewicz. Wieczorem spotkałem na uniwersytecie prezesa Trybunału prof. Kriščiukaitisa, który ma oczywiście w tym względzie informacje najściślejsze z pierwszego źródła – od prokuratora Kalvaitisa, który kieruje dochodzeniem i śledztwem. Kriščiukaitis mi opowiedział, jak się rzeczy mają. Istotnie, ujęty został ciężko ranny od wybuchu granatu czy bomby niejaki Vosylius, student Wydziału Technicznego na uniwersytecie, krewny adwokata Andrzeja Bułata, należący, jak się zdaje, do związku tak zwanych „aušrininków", to znaczy do organizacji tzw. ludowców rewolucyjnych („kairieji liaudininkai"), organizacji niezbyt silnej i dużych wpływów w masach nie posiadającej, ale w kołach młodzieży inteligenckiej dość rozgałęzionej i zajmującej pośrednie stanowisko ideologiczne między z jednej strony ludowcami i socjalnymi demokratami i z drugiej – komunistami. Jest to ten sam odłam radykalny dawnego stronnictwa „ludowców – socjalistów demokratów" („liaudininkai – socialistai-demokratai"), który w latach 1917-1918 na emigracji litewskiej w Rosji pod wpływem rewolucji rosyjskiej zajął stanowisko wyraźnie socjalistyczne i jaskrawie rewolucyjne, odpowiadające stanowisku ideowemu i programowemu „eserów" (SR – socjaliści-rewolucjoniści) rosyjskich. Wtedy większość ludowców skłoniła się do tego stanowiska i jeno mniejszość, złożona z kilku osób z Michałem Ślażewiczem i p. Felicją Bortkiewiczową na czele, chłodniejsza, umiarkowańsza i wierna tradycjom tzw. demokratów, z których się rozwinęli ludowcy, dokonała secesji ze stronnictwa i wytworzyła grupę prawych ludowców, która po ich powrocie do kraju rozwinęła się w obecne stronnictwo właściwe ludowców; po powrocie do kraju, w innej atmosferze i innych warunkach, większość tych, co tam w Rosji należeli do radykalnego skrzydła większościowego (na przykład Sugint), przeszła na łono stronnictwa umiarkowanych, a samo skrzydło radykalne, niezalegalizowane, stopniało do małej grupki konspiracyjnej, której wodzem był były poseł do Dumy z ramienia ludowców Januszewicz i do której grawitowali tacy luźni sympatycy legalni, jak adwokat Andrzej Bułat. Najsilniejszą podstawą organizacyjną tego nielegalnego stronnictwa lewych (rewolucyjnych) ludowców jest organizacja młodzieży „aušrininkai". Czy i jaki ewentualnie jest kontakt tej grupy ideologicznej z emigrantami litewskimi w Wileńszczyźnie („plečkaitininkai"), których większość, zwłaszcza przywódców, pochodzi z szeregów Socjalnej Demokracji – tego nie wiem. Wszakże śród emigrantów w ich organizacji jest jeden z wybitnych „aušrininków" – Ancewicz.
Otóż student technik Vosylius – podobno „aušrininkas", siostrzeniec Andrzeja Bułata – w parę dni po zamachu kowieńskim na Voldemarasa gdzieś w lasach zgłosił się do leśnika rządowego okaleczony, z krwawiącymi rękami i piersią, prosząc o udzielenie mu pomocy w opatrzeniu ran i nakarmienie. O pochodzeniu tych ran i o swoim pobycie w lesie nic wyraźnego powiedzieć nie chciał czy nie mógł. Leśnik powziął podejrzenie i zawiadomił policję, która przybyła na miejsce i Vosyliusa ujęła. Vosylius odmawia zeznań, ale są wszelkie powody do przypuszczenia, że należy on do spiskowców zamachu. Uczyniono mu operację, odcięto okaleczone palce i teraz wraca on do zdrowia.

11 maja, rok m1929, sobota
Dziś już słyszałem inną wersję o przynależności ujętego studenta Vosyliusa. Należał on podobno nie do „aušrininków", jeno do „žiežirbininków", stanowiących organizację młodzieży socjalno-demokratyczną. Wspólnicy Vosyliusa nie są ujęci, ale policja jest na ich tropie. Za domniemanych wspólników policja uważa czterech czy pięciu studentów techników, kolegów Vosyliusa, którzy należeli do tej samej, co on, organizacji i mieszkali z nim na Szańcach. Wszyscy oni – razem z Vosyliusem – przed

zamachem wymeldowali się jednocześnie. W Kownie ani w tych miejscowościach, z których oni pochodzą, policja ich nie znalazła i obecnie poszukuje ich, domyślając w nich wspólników Vosyliusa. Zarządzona została ekspedycja policyjno-wojskowa w lasy koszedarskie dla wytropienia ich i ujęcia; w tych lasach bowiem skaleczył się i został ujęty Vosylius, który prawdopodobnie po zamachu przemykał się tamtędy w kierunku linii demarkacyjnej polskiej. Choć Vosylius do udziału w zamachu się nie przyznał i w ogóle odmawia wszelkich zeznań, to jednak władze sądzą, że jest on na pewno jednym z winowajców, albowiem granat (nie wiem, czy znaleziony przy nim, względnie przez niego porzucony, czy też cząstki granatu, którym się skaleczył) Vosyliusa jest pono tej samej konstrukcji, co granaty, znalezione na miejscu zamachu pod teatrem; charakterystyczne jest także, że Vosylius, odmawiając zeznań, wyraził się w ten sposób: „Wszystko jedno czeka mię śmierć i nic gorszego nad śmierć nie będzie, do zyskania nic nie mam, więc nic mówić nie będę".
Dla uniwersytetu nie jest to pomyślne, że sprawcami zamachu są studenci. Przyczyni się to do wzmocnienia kampanii kół rządowych przeciwko uniwersytetowi i jego autonomii jako instytucji, w której gnieździ się zbrodnia spisków terrorystycznych. Tym gorzej będzie, jeżeli się okaże, że Vosylius i towarzysze należeli do jakiegoś lewicowego zrzeszenia akademickiego, korzystającego z wolności działania i obradowania pod osłoną samorządu uniwersyteckiego. Trudno się spodziewać, żeby rząd, który się opiera na stanie wojennym i nie dopuszcza samorzutności społecznej w polityce, tolerował autonomię środowiska, w którym gnieżdżą się i dojrzewają ogniska fermentu politycznego, agitacji przeciwrządowej i wreszcie spisków. Przed paru dniami do jednego z gmachów uniwersyteckich przybył sędzia śledczy, prowadzący w sprawie tej śledztwo i udał się do wychodków studenckich, w których znalazł wiszącą na ścianie proklamację 1-majową z pogróżkami Voldemarasowi. Takie fakty kompromitują uniwersytet i będą podsycały ofensywę kół rządowych przeciwko niemu.
Ciekawa rzecz, czy spisek terrorystyczny Vosyliusa i towarzyszy był samorzutny, czy też organizowany w kontakcie i porozumieniu z organizacją wileńską emigrantów grupy Plečkaitisa-Popławskiego.

12 maja, rok 1929, niedziela
Nic ciekawego do zanotowania nie mam.
Zanotuję chyba to, że na dzisiejszym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego podniesiono znów kwestię wykładów prawa, obowiązującego w Kłajpedzie, czyli, właściwie mówiąc, jak na stosunki obecne – prawa niemieckiego. Chodzi o prawo cywilne, karne i proces. Będzie to wykład nieobowiązujący, przeznaczony dla tych prawników, którzy się gotują do kariery sądowniczej w dzielnicy autonomicznej Kłajpedy. Chodzi o to, że bez tego władze autonomiczne kłajpedzkie, opierając się na przepisach ustaw o organizacji sądownictwa, nie dopuszczają formalnie do posad sądowych tych dyplomowanych prawników, którzy ukończyli nasz uniwersytet, albowiem ustawy te wymagają przesłuchania specjalnie prawa niemieckiego, na tej więc zasadzie dopuszczają one obecnie do tych posad li tylko prawników, którzy ukończyli studia na uniwersytecie w Niemczech. Na lektora prawa kłajpedzkiego postanowiono zaprosić kogokolwiek z doświadczonych sądowników kłajpedzkich. Wymieniano kandydatury sędziego Trybunału Hassego i prezesa Sądu Okręgowego w Kłajpedzie Rifarta. Ostatecznie kandydatura nie została ustalona. Polecono dziekanowi wydziału zbadanie tego, kto by się tych wykładów mógł podjąć.

13 maja, rok 1929, poniedziałek

Uniwersytetowi naszemu sprawa studenta Vosyliusa może wielce zaszkodzić. Reforma uniwersytetu, zapowiadana od dawna, nie jest skomponowana w duchu dla uniwersytetu przyjaznym. Co prawda, rząd nosi się z tą reformą już od dwóch lat i dotąd nie posunęła się ona ani na jotę naprzód. Kampania przeciwko uniwersytetowi, fermentująca w kołach rządowych, zarysowała się zaraz po przewrocie grudniowym r. 1926, gdy jeszcze wspólnikami rządu narodowców byli chrześcijańscy demokraci i gdy ministrem oświaty był jeszcze lider Chrześcijańskiej Demokracji p. Bistras. Co prawda, wtedy było się to rozpoczęło nie tyle od jakichś „reform", ile od szykan, obcinających dowolnie kredyty uniwersytetu – w szczególności co do honorariów profesury. Wbrew brzmieniu kategorycznemu ustawy i wbrew przepisom uchwalonego przez Sejm budżetu, minister Bistras zarządził wypłacanie profesurze po 60 litów zamiast 80 za godzinę tygodniową wykładu miesięcznie. Rychło zaczęto przebąkiwać o „reformie", w szczególności o przekształceniu niektórych wydziałów, nawet o zupełnej niektórych wydziałów i sekcji likwidacji. Było to jeszcze za rektoratu Michała Biržiški. Zdawało się, że sprawa reformy uniwersyteckiej spadnie całym ciężarem na mój rektorat. Było to tym więcej prawdopodobne, że z ustąpieniem Chrześcijańskiej Demokracji z rządu u steru pozostali sami narodowcy; w tej nowej konstrukcji rządu potęga premiera Voldemarasa wzrosła, a on to był właśnie głównym i może nawet jedynym inspiratorem reformy. Voldemaras z dawnych czasów miał jakieś głębokie żale do uniwersytetu, który został zorganizowany nie podług jego pomysłów i z pominięciem go w samej robocie organizacyjnej. Wyrażał on zawsze frondę na uniwersytecie w stosunku tak do swego wydziału, jak do samego uniwersytetu i do gremium profesury. O profesurze i o organizacji uniwersytetu wypowiadał się ustnie i na piśmie z przekąsem, lekceważeniem lub złośliwą krytyką, a profesura odpowiadała mu niechęcią i nieliczeniem się z nim. Razu pewnego nawet, będąc redaktorem organu prasowego Wydziału Humanistycznego, dał do jednego z zeszytów tegoż wstęp, napisany po łacinie, w którym po prostu zjeździł wszystkie prace profesorów, drukowane w tym zeszycie, wykazując nienaukowe traktowanie zagadnień i dyletanctwo tychże prac; za taką co najmniej nielojalność ze strony redaktora oraz za publiczne przez to kompromitowanie swych kolegów i samego uniwersytetu wytoczona mu została sprawa dyscyplinarna, która właściwie dotąd nie jest zakończona, bo ją senat zawiesił na czas, gdy Voldemaras stanął na czele rządu. Voldemaras, który jest uparty i mściwy, nie zapomniał swoich żalów do uniwersytetu i swoich odrębnych poglądów na kwestię organizacji uniwersytetu. Cała rzecz jednak polega na tym, że Voldemaras, będąc bardzo zajęty w rządzie, a to tym bardziej, że większość ministrów, którymi się otoczył, jest bierna i że przeto za wszystkich musi myśleć i projektować on sam, nie ma czasu sam zająć się czynnie tą reformą uniwersytecką, minister zaś oświaty Šakenis, którego Voldemaras inspiruje, zgoła się w sprawie tej reformy nie orientuje i nie wie, jak się do niej zabrać. Przez cały więc czas mojego rektoratu rzecz się wlokła. Żyliśmy niby pod znakiem reformy, ale ta reforma drzemała, od czasu do czasu jeno się budząc – i wtedy się nagle robił ruch, gawędy i znowu wszystko zapadało w drzemkę.

14 maja, rok 1929, wtorek
Dziś wyprawiłem Jadzię na kilka dni do Bohdaniszek. Zabawi ona tam Zielone Świątki i za tydzień wróci. Jest to zarazem dla niej rozrywka zdrowa i ekspedycja gospodarcza wiosenna na dopatrzenie ogrodów i całego ruchu pracy w gospodareczce mojej. Z Jadzią wyjechała też służąca Anielka, która pozostanie już w Bohdaniszkach na całe lato do pomocy Marii (tutaj najęliśmy czasowo inną służącą). Jadzia z Anielką wyjechały obładowane rzeczami do Bohdaniszek; powiozły kilka wazonów z kwiatami, stary bohdaniski stół składany mahoniowy, który tu odnowiłem, nasiona do ogrodów

warzywnych, różne sprzęty gospodarskie, wreszcie – psa Albusia, syna Murzy i Nory, którego tu w jesieni szczenięciem przywieźliśmy, a który wyrósł na bardzo pięknego i zmyślnego psa, ulubieńca szczególnie Anielki. Albuś jest własnością Jadzi i w Bohdaniszkach będzie zalokowany na gospodareczcze własnej Jadzi na Eybuczupiu. Wysyłam Jadzię do Bohdaniszek jako moje oko – z mnóstwem poleceń. Z Abel zabierze ona jutro do Bohdaniszek dwa transporty drzewek owocowych – z Rygi od Szocha i z Poniewieża od Stawskiego, których posadzenia dopilnuje, z Antonosza od stolarza częściowo zabierze do Bohdaniszek, częściowo tu wyśle kilka sztuk mebli, wykonanych na mój obstalunek, obejrzy moje drzewka rosnące, inwentarz, kupi prosięta, przywiezie mi rachunki Piotruka i wykaz desek napiłowanych na oszalowanie domu itd., itd. Czas jest tak śliczny, że aż zazdroszczę Jadzi tej wycieczki. Niestety – ja na cały tydzień wyjechać nie mogę, a wyjazd na same Zielone Świątki jest kosztowny, a zwłaszcza dla mnie trudny przez to, że musiałbym dokonać mnóstwa wypłat zaległych, bo by mię wierzyciele, robotnicy i dostawcy opadli, a pieniędzy na razie nie mam, bom się wyczerpał świeżo na opłacenie komornego, które płacę za cały rok z góry, nie mówiąc o niezliczonych innych wypłatach, dokonanych od Wielkiejnocy. Ale cóż by to była za rozkosz spędzić teraz w maju kilka dni w Bohdaniszkach. Kiedy i jak długo będę miał w tym roku wakacje – nic jeszcze nie wiem; kwestia ta w Radzie Stanu jeszcze nie została ustalona. Odprowadziłem Jadzię osobiście na pociąg, a sam jutro w myślach będę jej towarzyszył do Bohdaniszek.
Dziś rano mieliśmy w Radzie Stanu pierwsze posiedzenie sekcji administracyjnej. Sekcja ta została wyłoniona przez Radę do rozpoznawania wszelkich spraw legalności aktów administracyjnych i konsultacji prawnych. Do sekcji wybrani zostali: Ciplijewski, Kalnietis, Papečkys i ja, z urzędu zaś przewodniczy jej prezes. Posiedzenia sekcji do rozstrzygania spraw konkretnych są wzorowane na organizacji sądowej; tworzą się w komplecie trzech członków sekcji, którzy czynią uchwały w imieniu sekcji. Zaś uchwały sekcji są czynione w imieniu samej Rady Stanu; każda sprawa rozpoznana przez sekcję, może być przeniesiona do plenum Rady z rozporządzenia prezesa lub na żądanie każdego członka Rady. Dziś obradowaliśmy w sekcji w osobach Kalnietisa, Papečkysa i mnie. Rozpoznaliśmy trzy konsultacje. O konsultacje zwraca się do nas wyłącznie minister finansów Tubelis.

15 maja, rok 1929, środa
Słyszałem dzisiaj, że oprócz studenta Vosyliusa złapany został jeszcze jeden domniemany wspólnik zamachu terrorystycznego na Voldemarasa – student Povilčius, kolega Vosyliusa, również technik i również członek organizacji studenckiej „aušrininków" (rewolucyjnych czy lewych ludowców czyli eserów). Podobno Povilčius ujęty został w okolicznościach bardzo podobnych do ujęcia Vosyliusa: też miał przy sobie granaty czy bomby, skaleczył się z nimi przez nieostrożność w lesie i okaleczony sam wyszedł z lasu. Opowiadał o tym prof. Wiktor Biržiška w profesorium jako o fakcie zupełnie pewnym i wiadomym. W gazetach wszakże żadnej wzmianki o Povilčiusie nie znalazłem. Podobno pozostali uczestnicy zdążyli już umknąć, to znaczy przemycili się na stronę polską do Wileńszczyzny. Studenta Povilčiusa pamiętam z roku pozaprzeszłego, gdym był prorektorem i w tym charakterze miałem ciągle do czynienia z organizacjami studenckimi, szczególnie zaś w okresie wyborów dorocznych do sejmiku akademickiego. Povilčius i Mateusz Krygeris – to byli dwaj liderzy „aušrininków". Rektor Jodelė, z którym dziś także rozmawiałem, mówił mi, że nazwiska innych domniemanych wspólników Vosyliusa i Povilčiusa są także wiadome władzom i że rektorowi je wymieniano: są to wszystko studenci i „aušrininki", podobno prawnicy (z wyjątkiem dwóch techników ujętych). W liczbie tych wspólników rektor

zacytował mi Wincentego Mėšliusa, innych nazwisk nie pamiętał. Wincenty Mėšlius – student prawnik VI semestru, chłopiec bardzo inteligentny, zdolny i sympatyczny, umysł żywy i bystry, natura energiczna i bogata. Już to w ogóle trzeba przyznać, że wśród „aušrininków" wielu było chłopców bardzo uzdolnionych i wybitnych. Nie znam ich wszystkich i nie wiem dokładnie, którzy z moich uczni należeli lub należą do tej organizacji, ale których znałem i o których wiem, że należeli – byli to przeważnie młodzieńcy nie tylko wybitni, nadzwyczajnie zdolni, rozwinięci i znakomicie przeważnie – przynajmniej w moim przedmiocie – celujący, ale też niezmiernie sympatyczni, z wyjątkiem jednego, młodego Bułata (synowca adwokata Andrzeja Bułata), który robił na mnie wrażenie ciężkiego i tępego. Co prawda ci, których znałem, to byli liderzy, a więc kwiat organizacji. Ale był to też kwiat nie tylko organizacji, lecz i w ogóle studenterii. Byli to ideowcy, chłopcy gorący, wielkich zdolności i bogatej natury, śliczni chłopcy, tacy, jakiego bym właśnie syna dla siebie życzył, gdybym go jeszcze życzyć mógł. Byli to: Karosas, wydalony z uniwersytetu za rządów rektora Avižonisa w ofierze ówczesnym rządom Chrześcijańskiej Demokracji, był to później Mateusz czy Maciej Krygeris, który w roku zeszłym, zdaje się, już ukończył uniwersytet, był to następnie Wincenty Mėšlius, obecny domniemany wspólnik zamachu na Voldemarasa, którego nie ujęto i który może już umknął za granicę, była to dalej studentka Michalina Novikaitė, sympatyczna, dobroduszna, duża dziewczyna, otwarta i szczera, bardzo naturalna i miła, żywa i zdolna, która w roku zeszłym była sądzona przez Sąd Wojenny i skazana na kilka lat ciężkiego więzienia za agitację rewolucyjną i należenia do stronnictwa wywrotowego, jest to wreszcie student obecnego II semestru Juliusz Lemberg, chłopiec również zdolny i miły, który był aresztowany przygodnie wraz z innymi tegorocznej dziwacznej i beztreściwej quasi-manifestacji ulicznej w d. 15 lutego (ten to już na pewno w zamachu udziału osobiście nie brał, bo tego wieczora widziałem go na wykładzie moim, po którym brał udział w colloquium u mnie). Że obecnie po zamachu i w związku ze sprawą Vosyliusa-Povilčiusa organizacja akademicka „aušrininków", jako kapitalnie skompromitowana, zostanie zlikwidowana – to pewne, ale też bardzo prawdopodobne, że ciężkie represje dotkną wszystkich, którzy należeli do niej. Jak mi mówił rektor Jodelė, już policja zażądała od władz uniwersytetu urzędowo listę członków tej organizacji i rektor tę listę członków policji doręczył. Z pewnością wszyscy zostaną aresztowani i dobrze będzie, jeżeli się rzecz skończy tylko na internowaniu i innych środkach zarządzeń represyjno-administracyjnych, bo mogą być oni wciągnięci w sprawę o zamach albo też pociągnięci do odpowiedzialności za należenie do organizacji rewolucyjnej i terrorystycznej. Wprawdzie ich organizacja uniwersytecka była zupełnie legalna i zarejestrowana w uniwersytecie, a jej statut legalny nic wspólnego z terrorem i rewolucją nie miał, ale czynniki oskarżenia mogą się doszukiwać w ich akcji dążeń istotnych ukrytych.

16 maja, rok 1929, czwartek

Dziś miałem siedmiu studentów do egzaminu – maksymalną ilość, jaką naraz do egzaminu dopuszczam. Wszyscy zdali. Dwie studentki – obie VIII semestru – Felicja Šomkówna i Nina Aleksiejewówna (Rosjanka) – i student IV semestru Franciszek Martišius – zdali dobrze, student Mikołaj Brazowski, który już ukończył uniwersytet, i studenci IV semestru Leon Rozental, Edmund Korzon i Romuald Jakštas – zdali bardzo dobrze. Szczególnie celująco zdał Jakštas. Studentki Aleksiejewówna i Šomkówna, pilne i staranne w pracy, dobrze mi znane z czasów, gdy słuchały moich wykładów i pracowały u mnie w seminarium, pomimo całej staranności nie zdobyły się na celujące odpowiedzi. W ogóle poziom przeciętny inteligencji studentek jest znacznie niższy, niż

studentów, a nawet te, które umieją kurs, przeważnie tak się tropią na egzaminie, że zupełnie tracą głowę i głupieją.
W „Lietuvos Aidas” był dziś na podstawie wyników dotychczasowych dochodzenia i śledztwa podany komunikat urzędowy o przebiegu zamachu na prof. Voldemarasa z d. 6 maja. W komunikacie tym wskazani są trzej uczestnicy zamachu: Vosylius, Andrzej Bułat, synowiec adwokata, i Marcin Gudelis. Bułat i Gudelis są prawnikami, Bułat – VIII i Gudelis – VI semestru. Gudelisa nie przypominam sobie, ale z moich rejestrów stwierdzam, że zaliczony był u mnie do osłów – do V, to znaczy najniższej kategorii uczniów. Studenta Andrzeja Bułata znałem dobrze, ale mi się nie podobał: był zawsze sztywny, miał wyraz zacięty i zarozumiały, charakter – ponury. Mėšlius i Povilčius nie są cytowani w liczbie uczestników tego zamachu, ale podobno, jak głosi fama, władze skonstatowały, że należeli oni wespół z Vosyliusem, Gudelisem i Bułatem do bojówki terrorystycznej. Ujęci są tylko Vosylius i podobno Povilčius, zaś Bułata, Mėšliusa i Gudelisa nie ujęto: są wzmianki z pism niemieckich, że już się oni przedostali na terytorium Wileńszczyzny, gdzie z pewnością wejdą oni w kontakt z emigrantami. Student Andrzej Bułat już od dwóch lat pracował u adwokata docenta Stankiewicza jako jego sekretarz płatny. Ze słów rektora Jodeli wiem, że minister Šakenis bardzo wziął do serca ten fakt, że sprawcami zamachu są studenci i że terror zagnieździł się w łonie stowarzyszenia akademickiego, które swobodnie prosperowało na uniwersytecie. Oczywiście, da to publicystom rządowym, a może i samemu rządowi asumpt do atakowania uniwersytetu i jego autonomii, pod której osłoną wyrasta wśród młodzieży akademickiej zbrodnia. Šakenis podobno ostro wymawiał rektorowi takie „porządki” na uniwersytecie i był bardzo poruszony i zły. W szczególności Šakenis oburzał się na to, że w młodzieży akademickiej brak jest uczucia patriotyzmu i że uniwersytet nie jest w stanie tego uczucia do serc młodzieży, przejętej ideałami i namiętnościami partyjnymi, zaszczepić. Podobno wyraził nawet taką myśl, że należałoby się uniwersytetowi postarać o instruktorów patriotyzmu. Nie chcę podnosić tego pomysłu, który pachnie zaiste jakąś dziwaczną chińszczyzną, żeby można tymi metodami patriotyzm, zwłaszcza u młodzieży akademickiej, nasadzać! Młodzież kierunku „aušrininków” przychodzi do nas – do uniwersytetu – już z pewnymi pojęciami, które sobie wyrobiła w organizacjach kółkowych gimnazjalnych. Proszęż wpływać na jej poglądy i uczucia przez propagandę „instruktorów” urzędowych i płatnych! Młodzież jest bardziej zarozumiała i dogmatyczna, niż ktokolwiek bądź inny. Nie da się ona nigdy przerabiać ideowo przez zwierzchność. Kto tak myśli – jest zgoła naiwny i nie zna młodzieży. Zresztą, zdaje mi się, że zarzut braku patriotyzmu nie da się do „aušrininków” zastosować. Są oni na swój sposób patriotyczni, kochają swój kraj i lud i wierzą weń. Jeno w ich pojęciu dobro Litwy jest zbieżne z rewolucją społeczną. „Aušrininki” – to nie komuniści internacjonalni, to nie „komsomolcy” bolszewiccy. W ich przekonaniu, wrogami Litwy, a wcale nie patriotami, są „narodowcy”, których uważają za pasibrzuchów i pachołków burżuazji i wszelkiego obskurantyzmu i wstecznictwa oraz ciemiężycielami ludu. „Aušrininki” są właśnie *sui generis* patriotami – są oni nie rewolucjonistami proletariatu i masowego ruchu, lecz romantykami rewolucji ludowej, rycerzami spisków, powstania, terroru.

17 maja, rok 1929, piątek
W Radzie Stanu na posiedzeniu plenarnym rozpoczęliśmy dziś pierwsze czytanie projektu ustawy o rejestrze handlowym, opracowanego przez komisję, złożoną z prezesa Šilinga (ten najmniej wnosi właściwej pracy twórczej), Ciplijewskiego, Masiulisa, Kalnietisa i Starkusa (w komisji tej przeto nie bierzemy udziału tylko my trzej: Papečkys, generał Dowkont i ja). Jest to projekt ustawy poważny, jedna z

kapitalnych prac Rady Stanu, jeżeli tylko rząd ją zaakceptuje. Komisja poświęciła tej pracy bardzo dużo energii i zdaje się, że opracowała projekt umiejętnie i ładnie. Komisja ta pracuje nad trzema projektami naraz, mającymi związek ścisły; są to projekty: o rejestrze handlowym, o ochronie wierzycieli i o bankructwie handlowym. Minister finansów Tubelis jest bardzo przychylnie do tej pracy usposobiony, z niecierpliwością czeka tych projektów i ma je gorąco poprzeć u rządu, ale to jeszcze nam pewności nie daje, że praca zostanie zaakceptowana i zrealizuje się w odpowiednich ustawach. Trzeba się bowiem w obecnym rządzie nade wszystko liczyć z Voldemarasem, a ten coś się na tę pracę krzywi i przebąkuje o niej z pewnym przekąsem jako o rzekomej ingerencji Rady w sferę Ministerium Finansów. W ogóle Rada Stanu nie doznaje od rządu poparcia i to niewątpliwie znacznie utrudnia jej funkcjonowanie. Jest coś nawet jak żeby głucha niechęć do niej u rządu, która się wyczuwać daje, szczególnie u prezesa ministrów Voldemarasa.
Gazety dzisiejsze nic zgoła w sprawie zamachu na Voldemarasa nie przyniosły. Nic nowego też w tej kwestii nie słyszałem. W każdym razie, studenci członkowie stowarzyszenia „aušrininków" dotąd nie są masowo aresztowani, bo dzisiaj jednego z nich – Juliusza Lemberga – widziałem na moim wykładzie. Dodam tu jeszcze ze słów rektora, że to nie proklamację pierwszomajową z pogróżkami dla Voldemarasa sędzia śledczy znalazł i zabrał w wychodkach studenckich na uniwersytecie, jeno odpowiednie napisy na ścianie. W jednym z tych napisów wzywano do święcenia 1 maja i jednocześnie zapowiadano rychły koniec Voldemarasowi; w innym napisie były wypisane jakieś brudy nieprzyzwoite na panią Prezydentową; jaki był trzeci napis – nie pamiętam. Sędzia śledczy wypiłował odpowiednie kawałki desek z tymi napisami i zabrał je. Rektor gniewał się na „ukio vedėjasa" Ruczyńskiego za to, że nie zauważył tych napisów i nie kazał je zetrzeć albo zasmarować, ale Ruczyński twierdzi, że te napisy nie mogły się datować od 1 maja, bo 3 maja Ruczyński sam oglądał wychodki studenckie i wtedy napisów tych jeszcze nie było. Stąd podejrzenie u rektora i innych, że to mogła być prowokacja dla skompromitowania uniwersytetu.
Są i takie poglądy, które nawet sam zamach uważają za prowokację dla sztucznego skompromitowania przeciwników rządu. W pewnych zaś kołach nurtują uparcie podejrzenia, że zamach ten jest dziełem nie rewolucjonistów, lecz rywali Voldemarasa, i w szczególności dziełem Plechowicza i innych, usuniętych z armii za opór Voldemarasowi lub za usiłowanie wyrwania mu z rąk władzy. Józef-Albin Herbaczewski jest o tym święcie przekonany. Aresztowanie Vosyliusa, gawędy o „aušrininkach" – to rzekomo tylko inscenizacja dla odwrócenia uwagi od właściwych sprawców i uniknięcia skandalu. „Aušrininków" w to wciągnięto tylko tak sobie, żeby mieć kozła ofiarnego. Wersja ta powołuje się na to, że Vosylius wcale się nie przyznał do udziału w zamachu i żadnych zeznań nie składał, a władze właściwie nie złożyły żadnego dowodu realnego o winie „aušrininków".

18 maja, rok 1929, sobota
„Lietuvos Žinios" podają, że student Povilčius, który został ujęty jako domniemany wspólnik zamachu, zdołał udowodnić swoje alibi i zupełnie się oczyścić z zarzutów, wobec czego ma on być wkrótce wypuszczony na wolność. Studenci Bułat i Gudelis jako wspólnicy Vosyliusa są poszukiwani energicznie; „Lietuvos Aidas" dziś podaje, że się jeszcze ukrywają w lasach trockich po stronie litewskiej i że na stronę polską dotąd przejść nie zdołali. O Mėšliusie ani słowa. Po całym kraju rozesłane zostały przez policję fotografie Bułata i Gudelisa wraz ze szczegółami, dotyczącymi ich osób, w celu ułatwienia ich ujęcia. Gabinet Ministrów zajął się opracowaniem projektu specjalnej ustawy o „plečkaitininkach" (zdaje się, że pod tę nazwę, która dziś już pono – nawet dla

emigrantów – nie jest ścisła, podciągane są wszystkie i wszelakie kółka spiskowe, terrorystyczne i powstańcze, które wszystkie – dla większego skompromitowania ich i zohydzenia – nawiązywane są do organizacji emigrantów w Wilnie, założonej i kierowanej ongi przez Plečkaitisa; zdaje się, że dziś sam Plečkaitis został już przez emigrantów usunięty i że na ich czele stoi obecnie Popławski; jednak tu u nas imię Plečkaitisa przyrosło do emigrantów wileńskich, a ze względu na kontakty, jakie Plečkaitis i jego organizacja emigrancka miał z kołami rządowymi polskimi przez Tadeusza Hołówkę, a pono i z samym Piłsudskim i przez liczne poszlaki, wskazujące na to, że władze polskie czy też sam Piłsudski chcieli użyć tych emigrantów do wywołania powstania w Litwie i w tym celu udzielali im wsparcia i zasiłku pieniężnego oraz jakiś czas dopuścili w Lidzie formowanie oddziałów ochotniczych zbrojnych litewskich przez emigrantów i udzielali tym oddziałom amunicji, wiktu i instruktorów – ze względu więc na to wszystko miano „plečkaitininków” stało się u nas synonimem zdrajców i pachołków płatnych Piłsudskiego dla inwazji polskiej na Litwę; rząd chętnie tę opinię o emigrantach utrzymuje i rozszerza, aby tym bardziej tych wrogów swoich zohydzić; jest mu to na rękę; na rękę mu jest także wszystkich innych wrogów swoich, rewolucjonistów i spiskowców utożsamiać z emigrantami „plečkaitininkami”, aby na nich ohydę przekupstwa polskiego ściągnąć; tą drogą i „aušrininki”, którzy się chwycili terroru, są z góry i w czambuł do „plečkaitininków” zaliczani, choć jeszcze nie jest zbadane, czy ich akcja ma związek organizacyjny z akcją „plečkaitininków” właściwych).
Charakterystyczne jest, że ci młodzi terroryści „aušrininki” rekrutują się prawie wyłącznie z młodzieży, pochodzącej z kół zamożnych gospodarzy rolnych w Suwalszczyźnie. Nie jest to element proletariacki, element klasy wydziedziczonych. Rewolucjoniści z kół społecznych uboższych – z masy ludowej – gromadzą się przeważnie w szeregach komunistycznych, ściśle kosmopolitycznych, łączących Litwinów z Żydami, Polakami, Rosjanami, ale terroru nie uznających. W szeregach „aušrininków” rewolucyjno-terrorystycznych są wyłącznie Litwini, synowie najzamożniejszych włościan.
Wieczorem dziś wyznaczony był wielki bal dziennikarzy z mowami, koncertem, atrakcjami. Całe Kowno będzie na tym balu sensacyjnym. Ja wszakże nie poszedłem. Zafundowałem sobie za to teatr (komedię z francuskiego „Pierwszy dzwonek”). Zabawiłem się dobrze.

19 maja, rok 1929, niedziela
I dzień Zielonych Świątek. O ile poprzednio było pięknie i ciepło, zupełnie jak latem (trwało to przez dni 10), o tyle od wczoraj ochłodło i temperatura trzyma się na poziomie kilku stopni ponad zerem.
Niespodzianie, gdym jeszcze leżał rano w łóżku, wpadła Jadźka, która przyśpieszyła o swa dni powrót z Bohdaniszek i przyjechała, gdym się jej wcale nie spodziewał. Aż do południa rozpytywałem ją o Bohdaniszkach, a ona mi opowiadała, co tam zastała, co się tam robi, jak dojechała, co zarządziła itd. Miałem wielką przyjemność, bo było mi tak, jak żebym sam był w Bohdaniszkach, a skądinąd miałem moją biedaczkę Jadziunię przy sobie, słabiutką i mizerną, ale serdeczną, oddaną mi i drogą nade wszystko, jedyną moją, jaką mam.
Po obiedzie byłem u Ignacego Jonynasa i u sędziego Čepasa, którego odwiedziłem jako dawnego kolegę i zarazem powinszowałem mu awansu na stanowisko wiceprezesa Trybunału. O nowych nominacjach trybunalskich z Čepasem nie rozmawiałem, bo być może jest to dla niego temat niezbyt przyjemny, gdyż ostatecznie, wbrew uchwale Trybunału, drugim nominatem poza sędzią Milwidem stał się jednak sędzia Buyko,

którego kandydaturę Trybunał był odrzucił. Sądzę, że przeciwko Buyce głosował też Čepas, który ma żyłkę nacjonalistyczną i jest pod wpływem sędziego Piotrowskiego, inicjatorem zaś odrzucenia kandydatury Buyki był właśnie Piotrowski, który wystawił przeciw niemu argument nacjonalistyczny ten, że córki Buyki... uczą się w gimnazjum polskim. Piotrowski zapomniał widocznie, że przed zdobyciem niepodległości przez Litwę jego własne córki nie tylko że się kształciły w szkołach rosyjskich, ale były Rosjankami prawosławnymi i mówiły po rosyjsku (teraz są naturalnie katoliczki i Litwinki). O ustąpieniu z Trybunału sędziego Piotrowskiego, o czym mówiono niedawno, teraz jakoś nie słychać. Skład więc Trybunału jest obecnie następujący: prezes prof. Antoni Kriščiukaitis, wiceprezes Mateusz Čepas. Prezes stanął na czele wydziału karnego, wiceprezes – cywilnego. W wydziale karnym są sędziowie: Staszkiewicz, Brazaitis i Rimša. W wydziale cywilnym – sędziowie: Piotrowski, Adamowicz, Milwid i Buyko. W wydziale kłajpedzkim wreszcie są dwaj stali sędziowie kłajpedczycy: Plümicke, który przewodniczy w wydziale, i Hesse, trzecim zaś bierze udział w posiedzeniach wydziału sędzia Staszkiewicz.

20 maja, rok 1929, poniedziałek
Czy ujawnienie gniazda terroru rewolucyjnego w łonie stowarzyszenia akademickiego „aušrininków”, które funkcjonuje legalnie na uniwersytecie, nie zaszkodzi uniwersytetowi i nie posłuży bodźcem do przyśpieszenia reformy uniwersyteckiej w kierunku głębszego podporządkowania go władzom centralnym – to zobaczymy. Autonomia akademicka uniwersytetu jest niewątpliwie rzeczą bardzo dodatnią dla rozwoju wyższej uczelni, ale trudno się daje pogodzić z takim systemem rządów państwowych, który się opiera na stanie wojennym i tłumieniu samorzutności społecznej. Niewątpliwie nienormalnym jest stan taki, kiedy w całym państwie i w mieście panuje stan wojenny, rządzi arbitralnie komendant wojenny, nie udzielane są pozwolenia na żadne zebrania publiczne i wiece dla celów dyskusji politycznej, nie wolno się zbierać nie tylko grupom rewolucyjnym, ale nawet opozycji tak umiarkowanej, jak ludowcy i chrześcijańscy demokraci, całe społeczeństwo ma usta zakneblowane, prasa poddana cenzurze, opinia publiczna skazana na posługiwanie się pogłoskami, plotkami i komunikowanymi sobie szeptem prywatnie nowinkami, a jednocześnie w samym ośrodku tej atmosfery swobodnie prosperuje oaza – uniwersytet, który w swej autonomii ma wszelkie środki do swobodnego bytowania społecznego, nie tylko dla profesury, ale też dla młodzieży akademickiej, stanowiącej najbardziej zapalny w społeczeństwie element, najbardziej podatny na hasła rewolucyjne. Na przykład, przed dwoma laty – w semestrze wiosennym r. 1927, gdym był prorektorem – było to już po przewrocie grudniowym r. 1926, kiedy już stan wojenny działał w całej pełni, kiedy odbywały się wyroki i egzekucje na komunistów – na uniwersytecie naszym stowarzyszenie młodzieży, ukrywające się pod niewinną na pozór firmą „Związku Marksistów”, o którym wszystkim było wiadomo, że to są komuniści patentowani, zbierało się i funkcjonowało legalnie bez żadnych przeszkód: co tydzień zarząd tego stowarzyszenia prosił o udzielenie mu lokalu na zebranie; nie żądał nigdy sali, nie prosił o zebranie publiczne, zadowalał się skromnym audytorium dla zebrania stowarzyszonych w sprawach bieżących organizacji; oczywiście, pozwolenie otrzymywał, bo nie było powodu do odmowy, a autonomia akademicka nakazywała równe traktowanie wszystkich stowarzyszeń zarejestrowanych. Ponieważ na zebraniach zamkniętych stowarzyszeń legalnych nikt ze zwierzchności uniwersyteckiej nie bywał, bo odpowiedzialnym za nie jest sam zarząd stowarzyszenia, a nikt też nie kontroluje, czy ci, co wchodzą do gmachu uniwersytetu i udają się na zebrania stowarzyszeń, są studentami czy nie, więc te zebrania niedzielne „Związku Marksistów” stawały się

faktycznie zebraniami „komsomolców” w oazie akademickiej. Komunistyczny „Związek Marksistów” w następnym roku funkcjonować przestał, bo kilku jego liderów internowano w Worniach, ci zaś, co ocaleli, uznali, że jednak nawet autonomia akademicka nie gwarantuje im bezpieczeństwa, bo choć komendant nie ma władzy nad autonomicznym uniwersytetem i policja wstępu jawnego na posiedzenia w gmachu uniwersytetu nie ma, to jednak władze przez szpiclów i prowokatorów są poinformowane i korzystając ze stanu wojennego mogą stosować represje bez rozprawy formalnej i bez uzasadnienia przyczyn. Ale oto „aušrininki” korzystali z autonomicznej oazy akademickiej do końca – aż się w terror rewolucyjny wdali. Raz w przeszłym roku za mego rektoratu Ministerium Oświaty ostrzegło władze uniwersytetu o tym, że na pewnym zebraniu „aušrininków” (podług informacji Ministerium Spraw Wewnętrznych) w toku debat jeden z członków stowarzyszenia – Andrzej Bułat (ten sam, który obecnie jest domniemanym współsprawcą zamachu na Voldemarasa) wygłosił mowę rewolucyjną, nawołującą do powstania zbrojnego, była nawet cytowana treść przemówienia. Władze uniwersyteckie (prorektor ówczesny) zrobiły dochodzenie, zbadały zarząd i członków stowarzyszenia, którzy naturalnie zaprzeczyli tej informacji i na tym się rzecz skończyła. Aż oto od mów rewolucyjnych „aušrininki” przeszli do bomb i granatów.

21 maja, rok 1929, wtorek
Rano mieliśmy posiedzenie plenarne Rady Stanu, na którym debatowaliśmy w dalszym ciągu w pierwszym czytaniu projekt komisyjny ustawy o rejestrze handlowym. Po obiedzie o godz. trzeciej prezes Rady Šiling ze mną udał się do prezesa ministrów Voldemarasa, który mu na tę godzinę wyznaczył audiencję. Šiling zawsze lubi wziąć kogoś ze sobą, idąc na audiencję rządową. Najczęściej używa do tego mnie. Na audiencji u Voldemarasa omówione i ustalone zostało pięć kwestii. Omawianie to i ustalanie, gdy chodzi o współpracę czy porozumienie się z Voldemarasem, odbywa się w charakterystyczny dla Voldemarasa sposób: interlokutor Voldemarasa może co najwyżej sformułować samą kwestię i na tym musi poprzestać, bo gdy Voldemaras zabiera głos – to jego przemówienie nie jest argumentacją dyskusyjną, jeno dekretem, który arbitralnie i kategorycznie od razu rozwiązuje całą kwestię; apelacji nie ma, przekonywanie Voldemarasa byłoby daremne, rzecz jest skończona, sprawa ubita, czyli, jak mówi przysłowie szlacheckie na Białej Rusi: dwie dziurki w nosie – i skończyło się. Pierwszą była kwestia kredytów na wydawnictwa własne Rady Stanu i na zakup książek i wydawnictw, niezbędnych dla prac Rady. Co do własnego wydawnictwa Rady – Voldemaras obiecał na nie kredyty. Co do zakupu książek, to tworzenie biblioteki Rady uważa za zbędne, albowiem aprobuje pogląd bibliotekarza uniwersyteckiego prof. Wacława Biržiški, że zamiast tworzyć wiele poszczególnych księgozbiorów w rozmaitych urzędach i instytucjach należy zlać wszystkie łącznie z uniwersyteckim w jeden powszechny Centralny Księgozbiór Publiczny, dla którego z czasem wybudować należy gmach osobny. Natomiast Voldemaras uznaje potrzebę nabywania przez Radę książek nie tylko podręcznych (przeważnie akty ustawodawstwa), ale też tzw. roboczych czy użytkowych, do robienia w nich w toku wykonywania prac jakiejś pracy – notatek, wycinków itd. Nabywanie takich książek będzie Radzie umożliwione. Druga kwestia: referenci Rady. Referenci – to ewentualny personel pomocniczy w Radzie. Ustawa tego personelu nie przewiduje, jeno sama Rada zaprojektowała utworzenie takiego personelu. Rząd już raz wniosek Rady o referentach odrzucił; w szczególności przeciwny temu jest sam Voldemaras, Šiling znów dziś kwestię referentów podniósł. Voldemaras nie wdawał się w zasadnicze zwalczanie potrzeby tworzenia referentów, jeno zaznaczył krótko, że ta kwestia, jako wymagająca dodatkowych kredytów,

mogłaby być rozpoznawana dopiero w jesieni, kiedy się ustalą wyniki urodzaju, od których zależeć będzie stan skarbu państwa; wszystkie zagadnienia kredytów dodatkowych decydują się w jesieni. Właściwie był to tylko sposób ubicia kwestii, bo oczywiste jest, że kwestia referentów jest kwestią zasadniczą stałych etatów służbowych Rady, nie zaś kwestią jednorazowych kredytów dodatkowych, mogących zależeć od urodzaju. Šiling nie nalegał. Trzecia kwestia – regulamin Rady. Dotąd nie mogliśmy się doczekać jego ogłoszenia w „Vyriausybės Žinios", mimo żeśmy go już przejrzeli i poniekąd skorygowali podług wskazówek Voldemarasa i że to jego ogłoszenie było nam przyrzeczone. Voldemaras oświadczył, że regulamin może być drukowany w „Vyriausybės Žinios" jako tymczasowy, bo właściwie jest on próbnym; upoważnił Šilingfa oddać go wprost do druku w tym organie przez ręce sekretarza Gabinetu Ministrów Mašiolaitisa. Regulamin ten będzie drukowany za podpisem li tylko prezesa Rady – bez sankcji formalnej rządu.

22 maja, rok 1929, środa
Czwarta kwestia, którąśmy wczoraj z Šilingiem u Voldemarasa omówili, to kwestia kontaktu między rządem a Radą Stanu. Jest to kwestia, której był raz dotknął sam Voldemaras. Brak tego kontaktu daje się nam wyczuwać; jest on szczególnie ujemny, gdy chodzi o opracowanie przez Radę Stanu projektu ustawy z polecenia Gabinetu Ministrów; gdy Rada Stanu nie wie, o co właściwie rządowi chodzi i jakie są jego motywy, dla których życzy on sobie danego projektu, to opracowanie jest bardzo trudne i pomimo najlepsze chęci Rady – zaczynają się tarcia między projektem Rady a intencją rządu. Ustawa o Radzie Stanu uwzględnia ten konflikt i zastrzega, że w posiedzeniach Rady, na których jest rozpoznawany projekt ustawy, nadesłany Radzie przez rząd albo opracowywany z polecenia rządowego nowy projekt, biorą udział bądź sami zainteresowani ministrowie bądź upoważnione przez nich osoby. Ale dotąd to się nie praktykuje wcale. O tym, żeby sami ministrowie przychodzili na posiedzenia Rady, w naszych warunkach niepodobna marzyć. Ministrowie u nas czują się zbyt wielkimi panami, aby się zechcieli „zniżać" do bywania w Radzie. Co zaś do upoważnionych osób, to mogłoby się zrealizować i rozwinąć, gdyby powstała instytucja tzw. „komisarzy rządu"; przygodnie delegowani urzędnicy korzyści tu nie dadzą. Ale komisarzy rządu u boku Rady Stanu nie ma i tymczasem ich tworzenie nie jest zamierzone. Voldemaras zaproponował inną metodę kontaktu: mianowicie, aby prezes Rady stanu, ewentualnie z udziałem tych członków Rady, którzy mają być wyznaczeni do referowania danego przedmiotu w Radzie, był obecny na posiedzeniach Gabinetu Ministrów i mógł się orientować, ewentualnie orientować Radę. Wniosek ten poparliśmy z Šilingiem. Wreszcie piąta kwestia, omówiona na audiencji u Voldemarasa – wakacje członków Rady Stanu. Voldemaras okazał się bardzo szerokim w tym względzie. Przyznał on bez zastrzeżeń i *motu proprio*, że członkom Rady należą się wakacje nie mniej, niż po dwa miesiące. Zdaniem Voldemarasa, Rada sama określi sposób odbycia wakacji i jeżeli Rada zechce sobie wyznaczyć wakacje *in corpore*, zawieszając na ten czas swoje czynności, to wakacje te mogą się rozpocząć nie wcześniej, niż 15-20 lipca i trwać mogą do 15 września; jeżeli wszakże Rada będzie czynna stale, a jej członkowie będą korzystać z wakacji po kolei na zmianę, zostawiając zawsze czynne kworum większości, to wakacje trwać mogą dłużej, ogarniając cały okres letni od 1 czerwca do 1 października, co mogłoby dać każdemu po 2 ½ miesiąca urlopu. Voldemaras wolał drugą kombinację, ale zdaje się, że Šiling, a bodaj i większość Rady będzie wolała pierwszy: wakacje *in corpore* z zawieszeniem czynności na czas wakacyjny. Wobec tego wypadnie mi zapewne korzystać z wakacji dopiero od połowy lipca.

23 maja, rok 1929, czwartek
Mały charakterystyczny szczególik, o którym się dowiedziałem od studenta VIII semestru Kriwickiego: student Andrzej Bułat (Bulota), domniemany wspólnik zamachu terrorystycznego na Voldemarasa w d. 6 maja, obecnie ukrywający się i poszukiwany wraz z towarzyszem swoim studentem Marcinem Gudelisem w lasach nad granicą polską, nazajutrz po zamachu brał udział w manifestacji publicznej, która była zarządzona dla wyrażenia protestu przeciwko terrorowi i współczucia dla Voldemarasa. Sam Kriwicki, który jest kolegą Bułata, widział go w tłumie manifestantów, który się zbierał na placu przed soborem. Podobno Bułat znikł z Kowna dopiero wtedy, gdy został aresztowany student Vosylius.
Dziś sześciu studentów zdawało u mnie egzamin. W ich liczbie była studentka IV semestru Maria Biržiškówna, córka prof. Michała Biržiški, i jej wierny towarzysz i satelita oraz, jak słychać, urzędowy już narzeczony – student tegoż semestru Stanisław Żakiewicz, syn weterynarza. Oboje – Biržiškówna i Żakiewicz – zdali egzamin celująco, bo zresztą oboje są pilni i rozwinięci. Biržiškówna ma wdzięk swoisty, który ją bardzo ozdabia, ma też w oczach chłód i sztywność stali, które nadają jej wyrazu pewnej twardości i siły czy przynajmniej uporu. Wymową nie grzeszy, jak większość studentek i choć ma wiedzę gruntowną, gdy staje do egzaminu, to jednak sama zademonstrować swych wiadomości należycie nie umie i jest raczej podobna do kopalni, z której sam egzaminator przez szereg pytań wyciągnąć musi ukryty w głowie plon nauki.

24 maja, rok 1929, piątek
Z gazet dowiedzieliśmy się dzisiaj, że pozawczoraj odbył się już sąd (sąd polowy) nad studentem Aleksandrem Vosyliusem, oskarżonym o udział w zamachu terrorystycznym na Voldemarasa. Jak podają dziś gazety, Vosylius przyznał się na sądzie do winy i potwierdził współudział studentów Andrzeja Bułata i Marcina Gudelisa, którzy ujęci nie zostali. Sąd skazał Vosyliusa na rozstrzelanie i dziś w nocy nad ranem, koło godz. 2 ½, Vosylius został stracony. Choć Vosylius krwią i życiem zapłacił za krew i życie zamordowanego adiutanta Gudinasa i musiał się spodziewać tego losu, wiedząc, na co idzie, gdy stawał do terroru, to jednak stracenie go wywołało wrażenie przykre. Opozycji rewolucyjnej przybywa męczennik, którego krew będzie podnietą dla innych fanatyków rewolucji. Może władze innego wyjścia po prostu nie miały, a sfery oficerskie, od których dzisiejsi rządzący są zależni, nie pozwoliłyby im zapewne zabawić się we wspaniałomyślnych i humanitarnych chrześcijan, darowujących wrogom winy i nie karzących śmiercią za śmierć... A jednak ten wyrok i to stracenie terrorysty – to nowa oliwa krwi przelanej, którą się syci płomień niezgody krajowej – zarzewie pożaru. Jak terror wywołuje wyroki śmierci i egzekucje odwetowe, tak egzekucje podniecają terror. Smutna prawda.
Mieliśmy dziś posiedzenie plenum Rady Stanu. W szczególności omówiliśmy kwestię wakacji Rady. Uznano zasadę wakacji *in gremio*. Rada Stanu będzie próżnowała od 12 lipca do 10 września. Nieprędko więc jeszcze wyjadę z Kowna.
Wieczorem z Ciplijewskim i Ignacym Jonynasem odbyliśmy posiedzenie jury konkursowego z ramienia Litewskiego Towarzystwa Prawniczego do oszacowania pracy na temat: „Kodeks Napoleona i jego dzieje w Litwie i innych krajach". Wiemy dobrze, że autorem jest Janulaitis. Zakwalifikowaliśmy pracę do premium.

25 maja, rok 1929, sobota

Józef-Albin Herbaczewski napisał i wydał nową książkę pod tytułem „Dievo šypsena” („Uśmiech Boga”). Książka dotyczy tzw. problemów kultury w najszerszym znaczeniu, tzw. zagadnień wiecznych – Boga, religii, kosmosu, celów człowieka itd., inaczej mówiąc – dotyczy filozofii i teozofii. Ja osobiście lubię pióro Herbaczewskiego i znajduję w jego pismach książkowych i dziennikarskich bardzo dużo zawsze treści i bardzo dużo myśli głębokich, których prawdziwość jest olśniewająca. Prawda, że te perły myśli olśniewające są zawsze u Herbaczewskiego pomieszane z najdziwaczniejszymi paradoksami, które, acz błyskotliwe i w formie jaskrawej podane, są próżne jak bańki mydlane. Ale dla tych pereł niepospolitych wybaczam mu chętnie te bańki, które zresztą mają tę wartość, że się uśmiać dają. Jak mi mówił Šiling, którego sąd nie jest zresztą miarodajny, bo Šiling łatwo się egzaltuje i zapala ogniem słomianym – ten najnowszy utwór Herbaczewskiego ma być „*chef-d'œuvre'm*” w literaturze litewskiej, równym dziełom klasyków polskich, jak „Nieboska komedia” Krasińskiego itp., słowem – utworem miary europejskiej, zgoła niepospolitym. Ale, niestety, cenzura wtrąca swoje trzy grosze w to wydawnictwo; założyła ona swoje „ale”, które może cały nakład wniwecz obrócić; mianowicie, dopatrzyła się ona w książce Herbaczewskiego bluźnierstwa przeciwko Bogu i nie chce udzielić aprobaty. Herbaczewski odwołał się do Voldemarasa, który właśnie studiował tę książkę, gdyśmy przed kilku dniami zaszli do niego z Šilingiem. Ale i Voldemaras wyrażał wątpliwości, wskazując na to, że pewne ustępy książki kolidują z przepisami Kodeksu Karnego o bluźnierstwie. Jaki więc będzie los książki – nie wiadomo. Wprawdzie część nakładu ocaleje i książka dla literatury nie zginie. Stanie się jeno rzadkością, ale się nie spopularyzuje na razie, a dla Herbaczewskiego będzie to cios materialny ciężki. Moim zdaniem, cenzura wojenna, która jest ustanowiona ze względów bezpieczeństwa państwowego, nie powinna się wdawać w rozpoznawanie takich cech utworów drukowanych, które mogą zawierać takie lub inne wykroczenia karne ogólne (jak bluźnierstwo), ale nic wspólnego z rewolucją czy jakimś niebezpieczeństwem dla państwa, rządu czy ustroju konstytucyjnego nie mają. Pilnować wykroczeń przeciwko Kodeksowi Karnemu ma nie cenzura wojenna, lecz prokuratura. Herbaczewski zaś twierdzi, że żadnego zgoła śladu bluźnierstwa w książce jego nie ma.

26 maja, rok 1929, niedziela

Na dzisiejszym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego, które ma być już ostatnie w bieżącym roku akademickim, uchwaliliśmy pewną reformę: zainicjować na Wydziale Prawniczym przejście od wykładów wieczornych do rannych, na razie od roku przyszłego – tylko na I i II semestrze. Na innych wydziałach wykłady odbywają się w godzinach rannych, ale na prawniczym – od początku istnienia uniwersytetu – wieczorami. Wykłady wieczorne na Wydziale Prawniczym były wprowadzone dlatego, że większość studentów prawników, która – szczególnie w pierwszych leciech – rekrutowała się w dużej ilości z ludzi już nieco starszych, których studia były zwichnięte przez wojnę, którzy nieraz zajmowali wysokie stanowiska służbowe, miała posady na służbie rządowej, względnie w wojsku (oficerowie), względnie w instytucjach prywatnych i przeto na uniwersytet mogła poświęcać tylko wieczory. Tak było dotąd. Co prawda i teraz na wyższych semestrach sporo jest jeszcze tej kategorii studentów, a skądinąd i nowi studenci z młodszej generacji przeważnie gdzieś coś robią i zajmują jakieś posadki (młodzież bowiem akademicka litewska rekrutuje się prawie wyłącznie bezpośrednio z ludu i własnych środków na kształcenie się i utrzymanie w mieście z domu od rodziców nie otrzymuje albo otrzymuje za mało), ale już na młodszych semestrach z roku na rok coraz większy jest odsetek (jest to już dziś z pewnością znaczna większość) młodzieży zielonej, która dostaje się na ławy

uniwersyteckie wprost ze stołków gimnazjalnych z różnych miasteczek prowincji, gdzie gimnazjów ponarastało jak grzybów po deszczu i która jeszcze do żadnych posad dorwać się nie zdołała, bo o posady już jest coraz trudniej. Wobec tego na niższych semestrach można już zacząć wykłady ranne zamiast wieczornych; jeżeli komuś ranne będą niedogodne, to innym niedogodne są wieczorne, a rano umysł jest świeższy i tak do wykładania, jak do słuchania wykładu podatniejszy, a zresztą wtedy i tryb studiów oraz pracy bibliotecznej studenta jest normalniejszy i zdrowszy. Reformę więc uchwaliliśmy rozpocząć od I semestru od roku przyszłego. To znaczy, że w roku przyszłym będę miał wykłady w godzinach rannych i tylko seminarium na III semestrze w wieczornych.
Pierwszy student VIII semestru, który już ukończył wszystkie egzaminy i pracę dyplomową i któremu uchwaliliśmy dziś wydanie dyplomu (choć się jeszcze formalnie semestr nie skończył), jest Leon Šiaudvytis. Posiadł on rekord szybkości w ukończeniu uniwersytetu.
Jakiekolwiek są nasze uchwały uniwersyteckie – w gruncie rzeczy nie mamy pewności, czy się one zrealizują i czy nam wypadnie je stosować do życia. Bo oto obiegają pogłoski i domysły, że jeżeli tylko Prezydent Smetona wyjedzie za granicę (a zdaje się, że lekarze go do tego skłaniają), to Voldemaras, który z urzędu go zastępować będzie i zyszcze przez to władzę ustawodawczą, zamknie uniwersytet obecny i ogłosi statut nowego uniwersytetu, podług którego zreformowany uniwersytet będzie tworzony na nowo od początku, od a, b, c. Cały więc personel profesury będzie rekrutowany *da capo*, obecny zaś – sam przez się będzie usunięty. Podobno Voldemaras pragnąłby tego, jeno Smetona na to się nie zgadza. Ujawnienie faktu, że w łonie młodzieży akademickiej zagnieździł się terroryzm polityczny, dostarczy Voldemarasowi nowego argumentu do pogromu istniejącego uniwersytetu.

27 maja, rok 1929, poniedziałek
Wczoraj wieczorem, gdym był ze studentem Kriwickim zajęty sprawdzaniem tłumaczenia książki Esmaina, wpadła do mnie w towarzystwie jakiegoś nieznajomego mi mężczyzny zaaferowana p. Felicja Bortkiewiczowa. Oświadczyła, że dziś wywieziono z więzienia cywilnego do kazamatów VI fortu, w których są trzymani więźniowie wojenni, kilkunastu aresztowanych studentów „aušrininików” i podobno paru „žaizdrininków” (organizacje socjalno-demokratyczne studentów). Wywiezienie to daje dużo do myślenia. Zachodzi obawa, że studenci ci przekazani będą sądowi polowemu, w którym, jak wiadomo, rozprawa jest tajna i bez dopuszczenia obrony, a sędziowie – zwyczajni oficerowie nie-prawnicy, którzy wiedzą i rozumieją jedno: że się od ich sądu czeka wyroku bezwzględnego. Sądowi polowemu nieduże trzeba, żeby skazać oskarżonego na śmierć. Wyrok i egzekucja odbywają się po cichu i następują szybko. W ciągu dwóch dni wszystko może być skończone, a nie zaalarmowane z góry społeczeństwo może się za parę dni z ogłoszeń urzędowych *post factum*, jak to było z Vosyliusem, dowiedzieć, że „sąd” się odbył i skazani zostali straceni, a wtedy już za późno będzie na zabiegi. Podobno rodziny i przyjaciele tych studentów, ludzi im bliscy i w ogóle koła wolnościowe są bardzo zaniepokojeni i poruszeni. Być może sytuacja tak groźna nie jest, jak się p. Bortkiewiczowej, która jest w ogóle alarmistką, zdaje. Ale ostatecznie wszystko jest możliwe. Ci studenci wspólnikami czynnymi zamachu na Voldemarasa nie byli; zdaje się, że winą ich główną jest to, że należeli do tej organizacji, z której pochodzą zamachowcy i że są powody do przypuszczenia, że sama ta organizacja stanowiła środowisko, w którym idee i pomysły terroru kiełkowały i dojrzewać mogły, a p. Bortkiewiczowa nadmienia, że studentom tym inkryminowane jest to, że o gotującym się zamachu wiedzieli i że nie donieśli o nim i nie

przeciwdziałali jemu, a właściwie domyślać się też należy, że mu w gruncie rzeczy sprzyjali. A zresztą, ponieważ wszystko jest trzymane w tajemnicy, niepodobna wiedzieć, co się tym studentom zarzuca i jakie są przeciwko nim poszlaki. Najistotniejsze jest to, że stanowią oni naturalne kadry organizacyjne, z których się terroryści rekrutują; rząd się, oczywiście, tego ruchu i tych ludzi boi, toteż, mając garść ich w ręku, może wpaść na różne pomysły, a oficerowie, których wpływy u rządu są duże, są rozwścieczeni na wszystko i wszystkich, co ma z terrorem związek i gotowi by posiekać każdego, kto ma na sobie terrorysty lub sympatyka terroru piętno. W liczbie tych studentów, przewiezionych do VI fortu, jest Povilčius i Mėšlius. Dziwna rzecz, że spośród członków organizacji akademickiej „aušrininków" zwolnieni zostali zupełnie i nawet aresztowani nie są dwie studentki (wśród przewiezionych do fortu żadnej studentki nie ma) i student Lemberg z II semestru prawa. Zastanawia mię szczególnie zwolnienie Lemberga.

28 maja, rok 1929, wtorek
Nie wymieniłem wczoraj w dzienniku celu, w jakim przyszła do mnie p. Felicja Bortkiewiczowa w sprawie owych kilkunastu studentów „aušrininków", przewiezionych z więzienia do kazamatów VI fortu. Otóż p. Bortkiewiczowa przyniosła mi do podpisu prośbę zbiorową do prezesa ministrów Voldemarasa, rodzaj petycji, wzywającej w imię zasad humanizmu do nieoddawania tych studentów pod sąd polowy. Prośba ta na razie była podpisana przez dwie osoby – przez samą p. Bortkiewiczową i przez prof. Leonasa. Podpisania tej prośby zbiorowej odmówiłem, bo nie zawierała ona żadnego potępienia terroru, co było, moim zdaniem, konieczne w takiej prośbie, adresowanej do zwierzchnika rządu, przeciw którego osobie był właśnie wymierzony ostatni zamach, poza tym, były w niej zwroty niewłaściwe w piśmie urzędowym wobec sądu polowego, a wreszcie sam charakter zbiorowy tego podania, niezupełnie właściwie zredagowanego, czynił dla mnie jako członka Rady Stanu podpisanie tego aktu dość niestosownym. Skądinąd sprawie samej współczułem i nie chciałem nic dla niej nie zrobić, zasłaniając się względami formalnymi. Znalazłem wszakże inny sposób przyczynienia się mego do tej sprawy. Zaproponowałem p. Bortkiewiczowej, a gdy ona to zaaprobowała, napisałem w jej obecności na moim bilecie wizytowym listek osobisty do Voldemarasa, upraszając go o nieprzekazywanie sprawy sądowi polowemu. Wskazałem, że w społeczeństwie obiegają pogłoski niepokojące w tym względzie i że o ile ci studenci nie są winni udziału w zamachu, a całą ich winą jest to, że należeli do organizacji, z której łona wyszli terroryści, to oddanie ich za to pod sąd polowy zadrasnęłoby i moje jako byłego rektora, a sądzę, że i innych także członków zarządu uniwersytetu, sumienie, albowiem, jeżeli ta organizacja miała zły wpływ na młodzież i wykolejała swych adeptów, wprowadzając ich na tory fałszywe, to była w tym wina także władz uniwersyteckich, które tę organizację tolerowały i nie wykonywały wobec niej żadnego dozoru; że przeto jako były rektor i jako człowiek bliski młodzieży akademickiej proszę go gorąco o to. Bilet dałem do przeczytania p. Bortkiewiczowej, a następnie włożyłem do koperty, zaadresowanej do Voldemarasa, zamknąłem i wręczyłem p. Bortkiewiczowej, by wysłała zaraz pocztą.

29 maja, rok 1929, środa
Dzięki Bogu – ani wczoraj, ani dziś nie było żadnych wieści o sądzie polowym nad studentami „aušrininkami". Może w ogóle nic z tych pogłosek nie będzie. Strach ma wielkie oczy, a cóż dopiero strach przed sądem polowym – strach rodzin aresztowanych, ich przyjaciół i ludzi, bliskich im ideowo. Terror czerwony rewolucjonistów i terror biały rządu – oba są równie przerażające.

W sobotę i dzisiaj miały miejsce posiedzenia zarządu Litewskiego Towarzystwa Prawniczego w osobach prezesa Kriščiukaitisa, Toliušisa, Janulaitisa, Grigaitisa i mnie dla ustalenia wyników konkursu. Z trzech prac, nadesłanych na konkurs, każda dotyczyła innego tematu: jedna była napisana na temat „Macierzyństwo i jego ochrona prawna", druga „Kodeks Napoleona i jego dzieje" i trzecia – o hipotece. Pierwszą jury konkursowe odrzuciło; praca ta, napisana na temat o macierzyństwie, traktuje o emancypacji prawnej kobiety. Ponieważ praca ta, jako odrzucona, polega zwrotowi, więc nie otwieraliśmy koperty i nie wiemy, kto jest jej autorem. Praca o Kodeksie Napoleona, zakwalifikowana przez jury (w tym jury ja też udział brałem) do całkowitego premium (w kwocie 1500 litów), okazała się napisana, jak to wszyscy dawno byli zgadli, przez Janulaitisa; Janulaitis ma tak charakterystyczny „telegraficzny" styl i sposób traktowania przedmiotu, że każdy, kto go zna z jednej pracy, poznaje jego pióro niezawodnie. Trzecia praca – o hipotece –została przez jury (prof. Leonas, Ciplijewski i starszy rejent Dargis) zakwalifikowana do premium tylko w sumie 1000 litów (zamiast 1500). Nie wiem, dlaczego nie przyznano całego premium, bo członek jury Ciplijewski mówił mi, że praca ta jest znakomita. Domyślano się, że autorem tej pracy jest albo adwokat Bułat, albo adwokat Fridsztejn. Atoli otwarcie koperty sprawiło niespodziankę. Okazało się, że autorem jest młody Olgierd Penkaitis, chłopak niewątpliwie zdolny i rozwinięty, były student naszego uniwersytetu, ukończył studia prawnicze na uniwersytecie przed trzema laty i jest pomocnikiem adwokata, ale ma pociąg do nauki i nie przestaje studiować prywatnie, czyta dużo, sprowadza książki naukowe z Niemiec i pisze. Mówił mi o tym jego ojciec. I oto teraz spod pióra jego wyszła monografia o hipotece, premiowana na konkursie. Ślicznie. Przybywa nowa siła do nauki prawa w kraju. Muszę poradzić Penkaitisowi ojcu, aby skłonił syna do doktoryzowania się i może objęcia docentury prywatnej.
Wieczorem dziś miałem ostatnią godzinę seminarium prawa konstytucyjnego na IV semestrze. Wygłosiłem do słuchaczy serdeczną mowę pożegnalną. Na zakończenie zaleciłem im nie zaniedbywać nauki prawa publicznego, która szczególnie u nas ma duże znaczenie, bo organizacja prawna naszego współżycia społeczno-państwowego jest kulawa i wymaga poważnej naprawy, która stać się powinna zadaniem dzisiejszego pokolenia młodego.

30 maja, rok 1929, czwartek
Miałem rano egzaminy studenckie (w liczbie trzech zdających był młody Franciszek Sidzikowski, brat posła litewskiego w Berlinie) i dwie prace seminaryjne dwóch par studenckich (para – referent i kontrreferent). Tych prac seminaryjnych teraz w ciągu dwóch tygodni będę miał nawał, bo ogółem zostało mi ich koło 30, które muszę zakończyć do 15 czerwca. Prace te odbywają się u mnie w domu podług rozkładu, który ogłosiłem.
Wieczorem byłem z Jadźką na kolacji w restauracji „Metropol", czyli Hotelu Litewskiego. Byłem w dobrym, nieco podnieconym humorze i moja biedna mała Jadźka, słabiutka i wierna, złote serduszko, która ma tak mało rozrywek, zabawiła się dobrze i przypomniała sobie mnie z czasów naszych pierwszych lat stosunku.

31 maja, rok 1929, piątek
Miałem rację i dobry węch, odmawiając p. Felicji Bortkiewiczowej podpisania tego podania czy memoriału do prezesa ministrów w sprawie sądu polowego na studentów „aušrininków", która mi ona do podpisu przyniosła. Ze swej strony swoje zrobiłem, do Voldemarasa kartkę osobistą w tej samej sprawie skierowałem, ale podania zbiorowego nie podpisałem. Wyczułem dobrze, że to podanie zbiorowe ma na celu nie tyle akcję

ratunkową względem „aušrininków", ile pewnego rodzaju akt zbiorowy polityczny. I nie omyliłem się. Podanie to, po zebraniu pod nim podpisów ludowców i różnych osób z lewicy i bezpartyjnych, których nabrano na uczucia humanitarne (między innymi, podpisał je Janulaitis, który sam tego teraz żałuje, i ks. Tumas), zebrano następnie podpisy chrześcijańskich demokratów. Powstał z tego akt solidarności chadecko-ludowcowej, ozdobiony aprobatą i autorytetem różnych wybitnych osób bezpartyjnych, mający stanowić manifestację odruchu społecznego przeciwko terrorowi rządowemu. Dla zaakcentowania charakteru braterstwa opozycji skierowano z tym podaniem do Voldemarasa delegację dwóch mężów zaufania dwóch stronnictw – prof. Stanisława Szołkowskiego z ramienia chadeków i dr Staugaitisa z ramienia ludowców – ludzi zresztą z obydwu obozów najczystszych, których się używa do wystąpień honorowych, ale oczywiście tylko nie do brudów politycznych, gdy się już te stronnictwa do władzy dorywają: na posadach ministerialnych nie ujrzymy nigdy czy to w rządach chadeckich, czy ludowcowych ani Stanisława Szołkowskiego, ani dr Staugaitisa, ale w takich delegacjach – z pewnością. Nie o to jednak chodzi. Najcharakterystyczniejsze i najważniejsze to, że pośpieszono poinformować o tym memoriale zagranicę i oto już dziś w „Berliner Tageblatt" ukazał się z tej okazji artykuł o Litwie pod tytułem „Schreckenregim" czy „Schreckensistem" (nr „Berliner Tageblattu" został przez cenzurę litewską niedopuszczony na Litwę). O to głównie i właśnie inscenizatorom memoriału – zwłaszcza chrześcijańskim demokratom – chodziło. Chodziło o manifestację polityczną, o dyskredytowanie rządu za granicą, o cios, a nie o co innego. Co tam Bistrasowi i innym do „aušrininków"! Sami by oni równie dobrze potrafili ich cisnąć i smagać sądem polowym, który zresztą nie miał miejsca. Dla tych panów polityków – to tylko dobry pretekst kompromitowania przeciwnika. Nie pochwalam wcale pewnych wyskoków dyktatorskich Voldemarasa i wielu błędów, jakie czyni, tłumiąc wszelką inicjatywę społeczną, opierając się na rządach ściśle osobistych i zbaczając w bagno krwawego terroru. Ależ tylko na miłość Boga nie chrześcijańskim demokratom grać rolę baranków, odwołujących się do prawa, sprawiedliwości, metod konstytucyjnych! I głupi są ludowcy, którzy chadekom w tej akcji rękę podają. Bo któż, jak nie chadecy brali najczynniejszy udział w przewrocie, kto, jak nie oni, najmniej się liczyli za rządów swoich z prawem, kto, jak nie oni, wnieśli do Litwy demoralizację widzimisię, karierowiczostwa itd.! Spodziewali się oni wykiwać narodowców i dopóki się tego spodziewali, dopóty dobry im był przewrót i nieliczenie się z żadną praworządnością, dopóty ten sam p. Bistras, będący po przewrocie ministrem oświaty, mógł bez ceremonii nakazywać, na przykład, ówczesnemu rektorowi prof. Michałowi Biržišce wykonywać projekt ustawodawczy (*sic*!) Gabinetu Ministrów, przeciwny ustawie obowiązującej i budżetowi uchwalonemu – i wtedy wszystko to było dobre i uczciwe. Ale gdy się nie udało wykiwać narodowców z rządu i zająć ich miejsce i gdy natomiast narodowcy chadeków wykiwali – wtedy już gwałtu! O, rety – bezprawie itd.! Obłuda chrześcijańskich demokratów napawa mię wstrętem, którego wyrazić nie umiem. Z tym podłym gatunkiem polityków nic do czynienia mieć nie chcę. To jest nasienie jaszczurcze, najgorsze. Ludowcy są ślepi, gdy się ich dziś trzymają. Z każdym – tylko nie z nimi. Panów Bistrasów los „aušrininków" tyleż obchodzi, co śnieg przeszłoroczny.

1 czerwca, rok 1929, sobota
Jutro wybory uniwersyteckie rektora, prorektora i sekretarza na rok akademicki 1929-1930, do ostatnich zaś dni nikt nie wiedział o kandydaturach. Właściwie, stosownie do ustalonej tradycji, interesuje wszystkich li tylko kandydatura prorektora, bo na rektora jest zawsze obierany prorektor dotychczasowy, a więc wybór prorektora właściwie

przesądza o tym, kto będzie wybrany za rok rektorem. Stanowisko zaś sekretarza jest podrzędne, do tej przeto kandydatury wielkiej wagi się nie przywiązuje. Wszystkim wiadomo, że na rektora głosować się będzie na Czapińskiego, który jest prorektorem obecnie, skądinąd prorektor ma być wybrany z Wydziału Teologii-Filozofii, sekretarz – z Wydziału Medycyny. Ale kogo wypatrzył Wydział Teologiczny na kandydata, bo to zwykle kandydata wskazuje poufnie ten wydział, któremu odpowiednia godność przypada – nie wiadomo. Poprzedni rektor z Wydziału Teologii – ksiądz profesor Franciszek Bučys – nie należy już do profesury. Zdawałoby się, że naturalnym następcą Bučysa powinien by być ks. prof. Česnys, obecny dziekan Wydziału Teologicznego; jego kandydatura byłaby niewątpliwie mile widziana przez całą profesurę, bo jest to człowiek gładki, pełen taktu, światły. Ale słychać było już od roku przeszłego, że teolodzy chcą wystawić kandydata nie spośród profesury duchownej z sekcji teologicznej, lecz spośród profesury świeckiej z sekcji filozoficznej wydziału, może dlatego, by zaznaczyć równorzędność obydwóch stanów swojej profesury i uniknąć zarzutu wyłączności klerykalnej, a najprawdopodobniej dlatego, że rząd jest skłonny do skasowania tej sekcji filozoficznej, na której utrzymaniu teologom bardzo zależy, bo to jest w jej ręku duży atut wpływów na młodzież świecką; toteż wybór na rektora członka tej właśnie zagrożonej sekcji podniósłby jej autorytet i szachowało moralnie zamiary rządu. Konkretnie więc mówiono od dawna o upatrzonej przez teologów kandydaturze prof. Stanisława Szołkowskiego, skądinąd bardzo szanowanego przez wszystkich i popularnego tak w społeczeństwie, jak na uniwersytecie. Wszakże sam prof. Szołkowski, gdy go nagabywano o to, zawsze się wymawiał. Słychać było, że wyboru nie życzy sobie. Toteż od pewnego czasu przebąkiwano o kandydaturze prof. Dovydaitisa; pogłoska ta była przyjmowana przez profesurę innych wydziałów dość niechętnie, ale nie liczono na ogół, aby istotnie tę niepopularną kandydaturę wystawiono. Aż oto dowiaduję się dziś, że Wydział Teologiczny rzeczywiście tę kandydaturę prof. Dovydaitisa na prorektora (to znaczy, w przyszłości na rektora) formalnie wystawił i już o tym na posiedzeniu senatu akademickiego do urzędowej wiadomości dziekanów wydziałów podał. Wszyscy, z którymi rozmawiałem dziś o tym (profesorowie Wiktor Biržiška, Žemaitis, Janulaitis, Kriščiukaitis), są kandydaturą Dovydaitisa zgorszeni. Nie może być kandydata mniej popularnego i mniej właściwego, niż Dovydaitis. Jest to cham, bez wychowania, bez taktu, niegrzeczny gbur, abnegat, zarozumiały; do tego głowa ciasna, fanatyk klerykalizmu. Poza tym wszystkim, wystawienie jego kandydatury i ewentualny jego wybór w chwili obecnej stanowiłby akt prowokacji rządu, bo na skutek jakiejś mowy Dovydaitisa na jakimś zebraniu chrześcijańsko-demokratycznym, zwróconej bardzo ostro przeciwko rządowi, powstał konflikt między rządem a Dovydaitisem. Ale teolodzy, którzy, oczywiście, hołdują gremialnie Chrześcijańskiej Demokracji, niewątpliwie umyślnie szukają prowokacji, aby zaostrzyć konflikt rządu z uniwersytetem i w ogóle wszędzie stwarzać jak najwięcej trudności i przeszkód rządowi, by jak najprędzej i choćby jak najboleśniej dojrzał wrzód rozkładu rządów obecnych, po którym spodziewają się dojścia Chrześcijańskiej Demokracji do władzy. Kandydatura Dovydaitisa – to kandydatura na złość. Dla Chrześcijańskiej Demokracji, która jest klerykalizmem wojującym, wszystko jest środkiem politycznym. Nie wahają się oni wciągać polityki do uniwersytetu, nie wahają się używać go do swojej gry i narażać na niebezpieczeństwo przygodnych losów tejże, słowem – grają *va banque*! Gdybyż to kosztem tego ryzyka i tej gry były jakieś szanse zwycięstwa postępu, słońca, wolności! Nie – to ryzyko na rzecz obskurantyzmu klerykalnego, ofiara na rzecz reakcji. Pełne komplikacji zapowiadają się wybory jutrzejsze, bo skądinąd Czapiński odmówił kandydowania na stanowisko rektora.

2 czerwca, rok 1929, niedziela

Habemus Papam! Mamy Magnificencję Rektora, prorektora i sekretarza na rok akademicki 1929-1930. Wybory przeszły najzupełniej gładko i wynik ich jest najzupełniej zadowalający. Wszystkie przewidywania wczorajsze, które usposabiały profesurę pesymistycznie i dawały powód do przypuszczenia, że wybory dzisiejsze będą uciążliwe, długie, może nawet burzliwe i pełne niespodzianek – upadły. Okazały się też niezupełnie dokładne moje posądzenia o prowokacyjnych zamiarach teologów i o stawianiu przez nich kandydatury prorektorskiej Dovydaitisa „na złość”. Jeszcze przed posiedzeniem rady uniwersyteckiej dowiedziałem się od prałata Maironisa o genezie kandydatury Dovydaitisa. Rzecz ta przedstawiała się tak. Ponieważ podług regulaminu Wydziału Teologicznego i podług kanonów dziekanem tego wydziału musi być koniecznie ksiądz, w żadnym zaś razie nie może nim być profesor świecki, więc Wydział Teologiczny sądził, że należy się satysfakcja profesorom świeckim sekcji filozoficznej wydziału, polegająca na udzieleniu należnego wydziałowi rektoratu jednemu z nich. Z tego względu i zważywszy, że już raz rektorem z ramienia wydziału był ksiądz (Bučys), rada wydziału uchwaliła wystawić tym razem kandydaturę wydziałową na prorektora, to znaczy przez to samo – na rektora – spośród profesorów świeckich sekcji filozoficznej. Kandydatem urzędowym obrany został popularny i ogólnie szanowany, acz młody, pełny zasług społecznych, moralnych i naukowych prof. Stanisław Szołkowski. Jako drugi, ewentualny czy zapasowy – był prof. Dovydaitis: ponieważ wszyscy inni członkowie świeccy wydziału są docentami, więc nikogo innego na zastępcę Szołkowskiego wydział nie miał. A ponieważ Szołkowski zrzekł się kategorycznie, powołując się na słabe zdrowie, więc kandydatura Dovydaitisa wypłynęła na czoło, że tak powiem, sama przez się – bez żadnej intencji, a zwłaszcza jakiejś szczególnej intencji wydziału. Wieść o kandydaturze Dovydaitisa budziła niechęć powszechną u profesorów wszystkich wydziałów, którzy się zaczęli na posiedzenie rady uniwersyteckiej schodzić. Wszyscy zgodnie zaznaczali, że jest to kandydatura więcej niż niewłaściwa i że na takiego kandydata głosować nie życzą. Natomiast wszyscy zgadzali się na to, że kandydatura czy to prof. St. Szołkowskiego, czy księdza prof. Česnysa byłaby zupełnie odpowiednią i popularną. Ze wszech stron zwracano na to uwagę profesorów teologów, którzy zaraz sami zmiarkowali, że palnęli głupstwo z kandydaturą zapasową Dovydaitisa; toteż przed samym otwarciem posiedzenia rady teolodzy pobiegli do jednego z audytoriów naradzić się nad sytuacją; domyślono się od razu, że teolodzy pójdą na ustępstwo i że wobec stanowczej odmowy Szołkowskiego wypłynie kandydatura Česnysa. Tak się też stało. Teolodzy, po powrocie z narady, zakomunikowali poufnie dziekanom wydziałów, że a. ich kandydat urzędowy prof. Szołkowski odmawia przyjęcia i b. kandydatura zapasowa prof. Dovydaitisa jest przez wydział cofnięta. To oświadczenie zostało przez wszystkich zrozumiane w ten sposób, że kandydatem jest Česnys. Imię Česnysa jako kandydata rozbiegło się z ust do ust. Co zaś do kandydata na rektora, to wszystkim było wyraźnie, że w myśl ciągłego zwyczaju naszego należy głosować na dotychczasowego prorektora prof. Wincentego Czapińskiego. Choć sam Czapiński zapowiadał wszystkim, że wyboru swego nie życzy, jednak liczono na to, że gdy będzie wybrany znaczną większością, to nie zechce komplikować sytuacji i wybór przyjmie. Jego ewentualnych konkurentów z Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, którzy sami bardzo marzą o rektoracie – prof. Žemaitisa i prof. Juodakisa – nie bardzo chciano, a w każdym razie Czapińskiego preferowano.

Wszystko też poszło jak z nut. Na 97 głosujących prof. Czapiński otrzymał od razu 75 głosów i na zapytanie rektora Juodeli, czy przyjmuje wybór na rektora, odrzekł: „Jeżeli rada uważa, że jeszcze nie jestem za stary, to przyjmuję”. Odpowiedziano mu

oklaskami. Na prorektora wybrany został 66 głosami ks. prof. Česnys, który wybór przyjął. Na sekretarza wybrany został prof. Raudonikis (z Wydziału Medycyny). Wybory trwały mniej niż godzinę.

3 czerwca, rok 1929, poniedziałek
Wczoraj przed posiedzeniem rady uniwersyteckiej byłem na uroczystości inauguracji nowej korporacji studentek nacjonalistek „Filiae Lithuaniae" w gmachu korporacji studentów narodowców „Neo-Lituania". W dniu tym dokonane zostało w kościele poświęcenie sztandaru korporacji „Filiae Lituaniae", potem o drugiej odbył się akt uroczysty, na którym byłem właśnie, wieczorem był bal. Ta nowa korporacja żeńska wydzieliła się z „Neo-Lithuanii" jako ideowo zupełnie z nią solidarna i różniąca się tylko tym, że jest żeńska. Poszedłem, ponieważ byłem zaproszony osobiście. Przygotowałem się nawet do wygłoszenia mowy powitalnej, którą ułożyłem i której się nauczyłem, ale się z jej wygłoszeniem na uroczystości ociągałem i ostatecznie, wahając się ciągle, do głosu się nie zapisałem i nie wygłosiłem wcale. Wielka sala posiedzeń „Neo-Lithuanii" pełna była po brzegi. Wśród gości był Prezydent Rzeczypospolitej z panią Prezydentową, spotkany uroczyście okrzykami i hymnem narodowym, był minister rolnictwa Aleksa, rektor Jodelė, wybitni narodowcy, garść profesorów, działaczy społecznych, przedstawicieli różnych pokrewnych organizacji i mnóstwo młodzieży. Za stołem prezydialnym – grono filisterek i zarząd „Filiae Lithuaniae", w głębi sztandar poświęcony, trzymany przez „chorążynę" w asystencji dwóch „rycerek" warty honorowej, z drugiej strony – kilka sztandarów innych organizacji. Młode adeptki „Filiae Lithuaniae" – w barwach korporacyjnych, w pięknych strojach narodowych. Akt uroczysty składał się z przemówień jednej z filisterek oraz prezeski korporacji, po czym wygłaszano pozdrowienia: na pierwszym miejscu wygłosił mowę Prezydent Smetona, po nim – rektor Jodelė i długi łańcuch innych – osobiście i w imieniu różnych związków, organizacji, stowarzyszeń akademickich i korporacji. Żałowałem wielce, żem mojej mowy zaniechał – była ładna, jak mi się zdaje. Ale cóż z tego – nikogo nie reprezentowałem, prócz samego siebie – to znaczy własne imię i własny tegoż autorytet.
Pozawczoraj komendant wojenny w Mariampolu wydał rozkaz, którego mocą adwokat Andrzej Bułat z żoną – p. Aleksandrą Bułatową i, zdaje się, z siostrzenicą i wychowanką swoją Adelą Vosyliusówną, siostrą straconego za udział w zamachu na Voldemarasa Aleksandra Vosyliusa, pomocnicą Bułata, jako praktykantką adwokacką, która ukończyła przed dwoma laty Wydział Prawniczy na uniwersytecie naszym, skazany został na zesłanie do Worń na Żmudzi i internowanie w obozie koncentracyjnym na cały czas trwania stanu wojennego. Nie pozwolono Bułatowi nawet na zlikwidowanie spraw swoich klientów, nie dano mu żadnego odroczenia, żadnego terminu dla uregulowania swej teki adwokackiej. Rozkaz nakazano wykonać bezwzględnie w ciągu 24 godzin. Oczywiście, zarządzenie to, które nie mogło być powzięte bez wiedzy i woli centrum, pozostaje w związku z tym faktem, że w zamachu na Voldemarasa brali udział jego siostrzeniec Vosylius i synowiec student Bułat i że sam adwokat Bułat i jego żona hołdują tym samym ideałom społecznym kierunku rewolucyjno-ludowego, w których łonie zrodziły się prądy terrorystyczne. Oczywiście, sfery rządzące doszły do przekonania, że moralnie odpowiedzialny jest Bułat i że to jego wpływy kierowały tych młodzieńców do czynów terroru. Ten akt represji administracyjnej na znanego adwokata i działacza publicznego jest smutnym kwiatem panującego reżimu białego terroru rządowego. Nie są to objawy zdrowia kraju! Niestety!

4 czerwca, rok 1929, wtorek
Dziś nic nie piszę.

5 czerwca, rok 1929, środa
Nic ciekawego do pisania nie mam. Koniec roku akademickiego – jest to mój okres intensywnej pracy seminaryjnej, kiedy się dokańczają zaległości referatów i kontrreferatów studenckich, nie odbytych w ciągu roku w audytorium. Co dzień mam ich teraz po kilka w domu.
Poza tym na szerokim świecie wypadków krajowych – nic szczególnego. Pogrążony jestem w pracy bieżącej i na nic innego czasu nie mam.
W Radzie Stanu – nic szczególnego. Jakoś dla mnie – poza posiedzeniami plenarnymi – roboty nie ma. Będę się zabawiał pisaniem komentarza do regulaminu Rady.

6 czerwca, rok 1929, czwartek
Rano miałem egzaminy studenckie. Zdawało trzech: Beniamin i Chaim Fridmanowie i Stanisław Daukša. Dwaj ostatni zdali celująco, pierwszy – dobrze.

7 czerwca, rok 1929, piątek
Zdaje się, że ja jedyny wykładam jeszcze na uniwersytecie, a przynajmniej w naszym Wydziale Prawniczym. Wszyscy inni profesorowie już zakończyli wykłady i już tylko egzaminują albo korzystają z ferii letnich. Urzędowo jednak ferie rozpoczynają się od 15 czerwca, teraz zaś jest czas egzaminowy. Nie przerwałem dotąd wykładów, albowiem po ostatniej w tym roku przeróbce moich zapisek wykładowych kurs mój prawa konstytucyjnego znacznie się rozszerzył, a przeto, choć w ciągu roku nie opuściłem ani jednego wykładu, nie zdążyłem dotrzeć w wykładach do tego miejsca, do którego zwykle innych lat dochodziłem. Zwykle zdążałem rozejrzeć cały ustrój sowiecki i wkroczyć w rozdział o wyborach politycznych i różnych ordynacjach wyborczych. W tym roku dotarłem zaledwie do ustroju sowieckiego. Toteż drogą mi jest każda godzina wykładowa. Ale za to co do colloquiów, to w tym roku zakończę wszystkie łącznie z wykładami. Słuchaczy mam już teraz, co prawda, bardzo niewielu. Na wykład zgromadza się co najwyżej 20 do 30 słuchaczy – tylko sam kwiat najwierniejszych słuchaczy moich oraz ci, którym jest tego dnia wyznaczone colloquium albo którzy jeszcze drugiego colloquium nie odbyli i którzy czekają wezwania. Olbrzymia większość semestru ma już oba colloquia odbyte, wszystkie moje podpisy w książeczkach – uregulowane, wielu zaś już się rozjechało na wakacje albo się do egzaminów gotuje i czasu na uczęszczanie na wykłady nie ma. Ale ponieważ wykłady moje są stenografowane przez studenta Šlapelisa, który akuratnie przychodzi i stenografuje, więc liczba słuchaczy zbyt wielkiego znaczenia nie ma. Wykładam dla stenogramu.
Zresztą już kończę. Na poniedziałek ogłosiłem dziś ostatnią listę wezwanych do colloquium i jednocześnie będzie to już (w poniedziałek) ostatni mój wykład w tym semestrze.
Teraz mam na ostatku sporo studentek do colloquium. W ogóle słuchaczki mam w semestrze tegorocznym miłe, a wśród nich sporo jest pilnych i zdolnych, niektóre zaś wcale ciekawe dziewczyny. Dziś właśnie odbyła colloquium jedyna mężatka w moim tegorocznym semestrze wykładowym – pani sędzina Franciszka Pikčilingowa, żona sędziego okręgowego z Kowna, znana i wybitna działaczka z organizacji katolickiej pań („Moterų Katalikių Draugija”). Jest to osoba w wieku lat koło 32-35, która wstąpiła na uniwersytet nie dla dyplomu i kariery, lecz dla wiedzy, wykształcenia i poloru czy też zaszczytu – feministka gorąca, osoba niewątpliwie zdolna i pełna temperamentu

społecznego. Jest bardzo pilna, lubi moje wykłady i stale bywa na nich, a jej czarne wyraziste i dziwnie świdrujące oczka jak dwa rozżarzone i ciekawe węgle widzę zawsze utkwione we mnie w czasie wykładu. Inną jest Rachela Szapirówna, która też dziś do colloquium stawała: rzadki typ Żydówki blondynki, szczupła, sucha, trochę ironiczna i śmieszka, wyrazista i zaczepna w ruchu i minie, niezbyt pilna, ale na ogół sprytna. Bardzo ładna, pełna kolorów i kolorytu, świeżutka, ruchliwa i wesoła jak żywe srebro, zdolna, choć wcale, zdaje się, nie pilna, jest inna znów Żydówka – Maša Zivaitė, najmłodsza z całego semestru. Inny zupełnie typ przedstawia doskonała uczennica, Łucja Balkiewiczówna, skupiona, poważna, głęboka i ścisła, którą zwykle widuję w pierwszym rzędzie krzeseł. Jeszcze inną jest sucha, o twarzy angielsko-niemieckiej, blondynka rudawa, z grymasem uśmiechu, bardzo pilna i miła panna Elżbieta Dżonsonówna (Jonsonówna), którą brałem za Amerykankę z pomieszania matki Litwinki i ojca yankee, ale która się okazała rodowitą Litwinką spod Poniewieża, jeno z rodziny pochodzenia angielskiego. Jest szereg innych nie mniej ciekawych, dla których tu jeno miejsca nie starczy, jak Maria Kriščiukaitisówna (muzyczka, córka prof. Kriščiukaitisa), Tamara Gembicka (typ kaukaski, bardzo pilna słuchaczka, ale biedaczka nie ma szczęścia czy zdolności, bo colloquia jej się bardzo nie udają), Maria Gelčiūtė (mała, krępa, wyrazista), Irena Gareniūtė (maszynistka w Radzie Stanu, bardzo zdolna, wymowna i rezolutna, ale też bardzo ładna), Anna-Janina Mašiotasówna (córka profesora, zawsze dobrze przygotowana, staranna, ambitna), Ksawera Paužuolytė (przystojna, rozwinięta, działaczka akademicka, należąca do zarządu studenckiego Towarzystwa Prawników i Ekonomistów). Wymieniłem tylko najwybitniejsze i najciekawsze.

8 czerwca, rok 1929, sobota

Zdaje się, że prasa zagraniczna i opinia publiczna w Europie bardzo gwałtownie atakują Litwę i bardzo dosadnie się o jej rządach wyrażają jako dyktatorskich, krwawych i opartych na terrorze. Zdaje się, że z okazji wyroków sądu polowego na Vosyliusa i na czterech przyłapanych z bombami w Szawlach, którzy wszyscy pięciu rozstrzelani zostali, jak również ze względu na areszty „aušrininków”, których los nie jest jeszcze ustalony, i na internowanie adwokata Bułata z żoną – za granicą uchwalane są rezolucje protestów i urządzane wiece dla piętnowania trybu rządów litewskich. Mamy ostrą cenzurę wojenną, więc gazety o tym nie piszą, ale z pewnych zastrzeżeń i odezwań się „Lietuvos Aidasu” można się tego domyślać. Z pewnością emigranci litewscy nie zasypiają gruszek w popiele i rozwijają energiczną kampanię przeciwko rządowi Litwy. Krążą pogłoski, że nieprawdą jest, jakoby Vosylius się przyznał do winy na sądzie polowym. Ponieważ rozprawa w sądzie polowym jest niejawna, a Vosylius już nie żyje, więc nikt nie wie, jak było w istocie.

9 czerwca, rok 1929, niedziela

Mamy zwykłe o tej porze roku chłody. Noce szczególnie są bardzo zimne. Może to i dobrze, że w tym roku będę miał wakacje późniejsze, bo choć stracę porę wiosenną, która jest przyjemna śpiewem ptaków, aromatem lasów liściastych, bogactwem życia roślinnego w kwiatach, to jednak później ciepła będzie więcej. Uprzykrzyły mi się te coroczne chłody.

Mam drugą w tym roku pracę dyplomową studencką, napisaną z zakresu prawa konstytucyjnego. Pierwsza praca była Tomkusa – „Faszyzm”, którą oszacowałem na „bardzo dobrze”, teraz pracę dyplomową doręczył mi zdolny i bardzo rozwinięty student VIII semestru, jeden z najwybitniejszych na semestrze – Lejb-Oszer Wołowicki. Tematem pracy Wołowickiego jest „Problem praw mniejszości narodowych w prawie

konstytucyjnym". Praca jest znakomita. Prace dyplomowe są u mnie przez studentów pisywane rzadko, ale za to, gdy się trafi, to jest celująca.

10 czerwca, rok 1929, poniedziałek
Miałem dziś ostatni wykład na II semestrze. Po wykładzie – ostatnie colloquium. Na wykładzie miałem nie więcej nad 12 słuchaczy; wakacje bardzo już się czuć dają, a i egzaminy u prof. Leonasa właśnie się dziś rozpoczęły, toteż moi słuchacze ostatecznie mię opuścili. Encyklopedia u prof. Leonasa – to najpierwszy egzamin prawników. Dziwne, że narodowcy rządzący, którzy bynajmniej nadmiaru sympatyków nie posiadają, raz po raz depczą i kopią któregoś z filarów własnych. Czyni to „Lietuvos Aidas", który podobno jest inspirowany osobiście przez Voldemarasa. Czasem zresztą robi to nie „L. Aidas", lecz wprost sam Voldemaras, który nie zna miary w traktowaniu ludzi „*en canaille*". Nie mówię już o odstręczeniu chrześcijańskich demokratów i federantów („Darbo Federacija"), których wtrącono do opozycji. Ale iluż Voldemaras kopnął i bezwzględnie potraktował najbliższych przyjaciół i najwierniejszych podpór obecnych rządów: Merkys, Dowkont, Skorupski, Plechowicz! Ten ostatni zresztą został „pocieszony": udzielono mu emerytury dożywotniej po 1000 litów miesięcznie. Aż oto teraz w felietonie „Lietuvos Aidas" schłostał wielkiego generała Nagiewicza. Schłostał szkaradnie i bez ceremonii. A oto świeżo na posiedzeniu Gabinetu Ministrów przy omawianiu projektu noweli procesu karnego w obecności przedstawicieli Rady Stanu i rzeczoznawców (prezes Trybunału Kriščiukaitis, prokurator Sądu Wojennego Wimer) – Voldemaras w sposób zgoła obraźliwy potraktował Kriščiukaitisa i ministra sprawiedliwości Aleksandra Żylińskiego. Zdumiewające.

11 czerwca, rok 1929, wtorek
Czas ogórkowy u mnie – nie bardzo mam o czym pisać. Znalazłoby się, oczywiście, ale zaczynać *ab ovo*, wykładać, tłumaczyć – nie chce się.
Są pogłoski, że ten leśnik, do którego był się zwrócił w maju o pomoc skaleczony wybuchem granatu sprawca zamachu na prof. Voldemarasa – student Aleksander Vosylius – i który wydał Vosyliusa w ręce policji – na śmierć, został przez niewiadomych ludzi – widocznie mścicieli, zapewne terrorystów z obozu emigrantów wileńskich – zamordowany (podobno – powieszony czy uduszony). W gazetach potwierdzenia tej wiadomości nie ma.

12 czerwca, rok 1929, środa
Od dawna niejako unosi się w powietrzu sprawa reformowania reformy agrarnej. W tym względzie zachodziły pewne tarcia między Ministerium Rolnictwa a Gabinetem Ministrów, ściślej – między ministrem Aleksą a prezesem ministrów Voldemarasem. Poza tym, Aleksa nie mógł sobie dać rady ze sformułowaniem prawnym swoich zamierzeń reformowania reformy. Chciał on użyć Rady Stanu do tego, ale nie chcąc wypuścić inicjatywy i kierunku z rąk swoich, chciał, aby Rada Stanu wydelegowała mu kilku ludzi spośród siebie, którzy by wespół z podwładnymi Aleksie urzędnikami, w łonie – że tak powiem – Ministerium Rolnictwa – opracowali projekt po myśli ministra. Raz nawet odbyło się w tym względzie zebrańko u ministra Aleksy w gabinecie jego, na którym obecni byli naczelnik reformy agrarnej, dyrektor Banku Ziemskiego Radušis, juryskonsult Banku Ziemskiego Tadeusz Pietkiewicz i z Rady Stanu prezes Šiling i członkowie komisji, wyznaczonej przez Radę z góry do mającego być jej przekazanym projektu tej ustawy – ja, Starkus i Kalnietis. My wszakże – Rada – nie zgodziliśmy się na taką formę współpracownictwa: Rada Stanu nie jest i nie może być jakimś rezerwuarem specjalistów, wypożyczającym ich do różnych komisji ministerialnych;

jest ona instytucją kolegialną, która pracuje sama zbiorowo w pewnych razach na własną inicjatywę, w innych – na zlecenie rządu. Otrzymaliśmy w różnych czasach cały szereg projektów w różnych redakcjach i wyjaśnień do zamierzonej reformy, które nam przysyłano do poinformowania w przewidywaniu zlecenia pracy, ale samego zlecenia w tym względzie nie mieliśmy. Aleksa gniewał się, że Rada nie chce pracować w sposób przez niego pojmowany, zaś prezes Rady Šiling odwoływał się w tej mierze do Prezydenta Rzeczypospolitej. Wreszcie sam Prezydent ujął inicjatywę w swe ręce. Postanowił urządzić u siebie konferencję, złożoną z prezesa ministrów, ministra rolnictwa i przedstawicieli Rady Stanu – dla omówienia formy współpracownictwa Rady Stanu z rządem w reformowaniu reformy agrarnej. Konferencję tę wyznaczył wreszcie na dziś. Z ramienia Rady Stanu udaliśmy się na nią Šiling, Starkus i ja. Był też Voldemaras i Aleksa. Prezydent Smetona zagaił i brał osobiście udział w debatach. Zresztą o formie współpracownictwa Rady Stanu z rządem jako o takiej nie debatowano, jeno ustalono zasadę reformy, której kapitalnym elementem jest podniesienie normy nietykalnej własności do 150 ha; debatowano też, czy ma to być ustawa ogarniająca całą gamę poprawek detalicznych do reformy agrarnej, jak chciał Aleksa, czy też tylko krótka i lapidarna ustawa o zmianie normy z 80 na 150 ha, jak chciał Voldemaras. Stanęło naturalnie na życzeniu Voldemarasa, ale zadośćuczyniono i Aleksie przez to, że równolegle do krótkiej ustawy o reformie zasadniczej ma być opracowana ustawa detaliczna o szeregu drobnych poprawek. Zadanie ma wykonać Rada Stanu, stosując się do zasady ustalonej i – w kwestii poprawek detalicznych – do życzeń ministra rolnictwa. Zasada, którą u nas w komisji popierał Kalnietis – o tym, że podniesienie normy do 150 ha miałoby dotyczyć tylko tych, którzy ogółem mieli nie więcej, niż 200 ha – została odrzucona.

13 czerwca, rok 1929, czwartek
Dzień św. Antoniego. Imieniny Prezydenta Rzeczypospolitej Antoniego Smetony. W Radzie Stanu prezes Šiling już wczoraj podniósł kwestię udania się całej Rady *in corpore* do Prezydenta w dniu jego imienin dla złożenia mu powinszowania. Zaoponował temu Starkus, wskazując, że będzie to manifestacja niewłaściwa, zakrawająca na służalczość, albowiem imieniny są uroczystością prywatną rodzinną, nie zaś państwową; co najwyżej – może składać powinszowanie prezes Rady, ale nie ma potrzeby, by szli wszyscy członkowie *in corpore*. Uchwalone więc zostało nie iść, ale kancelaria Prezydentury nas ubiegła, zawiadamiając, że Radzie Stanu *in corpore* zarezerwowany jest kwadrans przyjęcia. Wypadło więc udać się wszystkim. Prezydent przyjął nas bardzo uprzejmie, prosił usiąść, pogawędził.
Wszyscy, kto dziś składał Prezydentowi życzenia, byli zaproszeni na godz. piątą po obiedzie na *five-o-clock* w Prezydenturze. Korzystając ze ślicznej pogody słonecznej – *five-o-clock* odbył się w ogródku wewnętrznym Prezydentury. Osób zebrało się z paręset. Był korpus dyplomatyczny, bardzo liczni oficerowie, trochę profesury, wyżsi urzędnicy, w ich liczbie szczególnie obficie było reprezentowane Ministerium Spraw Wewnętrznych, prezesi izb Rolniczej i Handlowo-Przemysłowej, burmistrz Jan Vileišis (jedyny z lewicy partyjnej), kilku ministrów (nie wszyscy), przedstawiciele uniwersytetu – rektor Jodelė, przyszły prorektor ks. prof. Česnys i dziekan Wydziału Przyrody i Matematyki prof. Žemaitis, z duchowieństwa (poza ks. prof. Česnysem) był tylko ks. prałat i profesor Šaulys i generalny kapelan wojskowy ks. Mironas... Wielu gości przyszło z żonami i córkami. Byli też działacze z obozu narodowców, wreszcie spora garstka młodzieży akademickiej w charakterze przedstawicieli stowarzyszeń narodowców i korporacji akademickich bezpartyjnych. Blok chrześcijańsko-demokratyczny, ludowcy, nie mówiąc już oczywiście o socjalnych demokratach –

świecili nieobecnością. Nie widać też było nikogo z sądownictwa, nie licząc Sądu Wojennego: prezes Trybunału prof. Kriščiukaitis był wyjechał, prokuratora Trybunału Kalvaitisa i prezesa sądu okręgowego Grigaitisa nie było, nawet minister sprawiedliwości Żyliński był, zdaje się, nieobecny: jedyny był narodowiec podprokurator Kavolis, a z adwokatury jeno paru pomocników, grawitujących ku narodowcom, jak Bataitis.
W niedużym ogródku w głębi za pałacem Prezydentury ustawione były w cieniu drzew i na słońcu stoły, zastawione bardzo mocnym, ale doskonałym krupnikiem, kanapkami, ciastami, owocami i cukierkami. Towarzystwo posegregowało się i zasiadło za stoły, lokaje roznosili kawę i herbatę. Siedziałem z rektorem i w gronie kilku starszych panów, ale niebawem przysiedli się do nas studenci. Bawiono się nieźle. Prezydent obszedł wszystkie stoły, przy każdym usiadł, rozmawiał, był bardzo uprzejmy. Potem rektora i mnie studenci odwołali do stolików studenckich, gdzie rej wodzili korporanci. Czynili oni owację Prezydentowi i rektorowi, trochę się podchmielili, Prezydenta podrzucali do góry, potem rektora, wreszcie podrzucali w fotelu panią Prezydentową. Ale taki powstał u akademików harmider i tak się zaczęli panoszyć, a sam rektor, mocno ucięty, zaczął tak się sadzić na mowy i nadrabiając krzykiem w braku krasomówstwa, tak się unosić, że go musiano grzecznie upomnieć, by się umitygował. Nastrój stał się wesoły... Psuły harmonię jeno nadludzkie wysiłki kilku lizusów, jak student Čiburas – prezes „Neo-Lithuanii", by się kręcić w pobliżu Prezydenta, zaglądać mu w oczy, zgadywać myśli, pochlebiać i wysadzać się na sztuczną gorliwość psiego służalstwa. Koło godz. siódmej zaczęto się rozchodzić. Wyniosłem się i ja.

14 czerwca, rok 1929, piątek
W czasie dzisiejszego posiedzenia plenum Rady Stanu otrzymaliśmy właśnie pismo prezesa ministrów Voldemarasa z poleceniem, w myśl środowej narady u Prezydenta, opracowania: a. krótkiej ustawy zasadniczej, stanowiącej właściwą reformę zasadniczą reformy agrarnej i b. ustawy dodatkowej, zawierającej szereg poprawek i uzupełnień detalicznych do poszczególnych przepisów reformy, których pożąda minister rolnictwa Aleksa. Ustawa zasadnicza ma być krótka i śpiesznie opracowana, aby mogła być ogłoszona przed wakacjami. Pismo Voldemarasa formułuje cztery tezy tej ustawy zasadniczej: 1. nietykalna norma własności wynosi 150 ha przeciętnie i może być ze względu na warunki gospodarcze w wypadkach indywidualnych podnoszona (ale nie obniżana) za zezwoleniem ministra rolnictwa; 2. norma ta będzie stosowana tylko do tych majątków, które dotąd nie zostały rozparcelowane; 3. norma nietykalna 80 ha, pozostawiona właścicielom w rozparcelowanych większych majątkach, zostaje dla nich utrzymana, kompensata zaś za wytworzoną w ten sposób różnicę będzie ustalona przez ustawę o odszkodowaniu za ziemię wywłaszczoną; 4. w majątkach, w których po ich rozparcelowaniu i przekazaniu właścicielowi 80 ha na własność, udzielono właścicielowi tzw. kulturalną dzierżawę na większą przestrzeń ziemi, norma własności uzupełnia się z ziemi dzierżawionej do 150 ha, reszta zaś ziemi, pozostającej w kulturalnej dzierżawie, tworzyć będzie dzierżawę wieczystą.
Z tych czterech tez tylko ostatnia jest nowa: o wieczystej dzierżawie kulturalnej nie było u Prezydenta mowy; nadmieniano tylko, ale bez kategorycznego nacisku, o ewentualnym przejściu tej ziemi na własność dzierżawców obecnych, ale ostatecznie tę kwestię pozostawiono otwartą. Teraz Voldemaras ją sformułował w tezie dzierżawy wieczystej.
Od wtorku nasza komisja reformy agrarnej w osobach Starkusa, Kalvaitisa i mnie rozpoczyna pracę nad tą ustawą. Plenum upoważniło komisję do projektowania kilku równoległych wariantów.

15 czerwca, rok 1929, sobota
Bardzo pracowity dzień studencki u mnie. Ponieważ we czwartek nie miałem czasu, więc egzaminy bieżące w tym tygodniu przeniosłem z czwartku na dziś. O godz. 8 rano stawiło się aż ośmiu studentów do egzaminu. Ponieważ norma maximum do egzaminu na jeden dzień ustanowiona jest u mnie w liczbie siedmiu studentów, więc jednego odprawiłem, z pozostałych zaś – czterem pierwszym wyznaczyłem egzamin zaraz, a trzem ostatnim – o godz. 8 ½ wieczorem. Rano zdawali: Piotr Bierżański, Notel Zimzon i Teofil Dreling z IV semestru i Stefania Girdwoynianka, przystojna i zdolna studentka VI semestru, niedawno zaślubiona ze studentem Liubinasem, kolegą swoim z tegoż, co ona semestru, przystojnym oficerem, który też zdawał dziś egzamin w trójce wieczornej. Bierżański zdał dobrze, Zimzon, Dreling i Girdwoynianka – celująco. Po załatwieniu paru drobnych interesów na mieście i po obiedzie – miałem z dwiema parami studentów z IV semestru dwie prace seminaryjne do odbycia, co mi zajęło przeszło trzy godziny czasu, potem znowu ze studentem Dominikiem Kriwickim sprawdzałem tłumaczenie książki Esmeina, a wreszcie o 8 ½ godzinie wieczorem przyszli trzej studenci do odroczonego egzaminu: student Liubinas – mąż Girdwoynianki, panna Helena Masiulisówna, która już ukończyła studia, i student Bronisław Baleniunas. Liubinas, który należał u mnie do słabych uczni, zdał – może pod wpływem swojej zdolnej żony – celująco, Masiulisówna, dziewczyna zdolności i inteligencji wybitnych, zdała jeno dobrze, a Baleniunasa, bardzo miłego i pilnego chłopca, musiałem przepędzić. Zdaje się, że to przemęczenie nerwowe całego dnia, spędzonego w oczekiwaniu egzaminu, tak oddziałało na Masiulisównę i Baleniunasa, że stracili zdolność kombinowania i nie byli w stanie orientować się w najprostszych zagadnieniach.
Po pracy dyplomowej Tomkusa o faszyzmie – dwaj inni studenci wręczyli mi swoje prace dyplomowe do ocenienia. Jest to praca kończącego uniwersytet studenta Lejby-Oszera Wołowickiego pod tytułem „Prawa mniejszości narodowych w świetle prawa konstytucyjnego” i praca Dominika Kriwickiego pod tytułem „Demokracja i opinia publiczna”. Obaj autorzy należą do celujących umysłów wśród naszej młodzieży akademickiej i obie prace są znakomite.

16 czerwca, rok 1929, niedziela
Przed kilku dniami powziąłem projekt choć króciutkiego przewietrzenia się w czerwcu – mianowicie pojechania z Jadzią na jeden dzień do Połągi. Po okresie 10 dni zwykłych u nas w czerwcu chłodów – znów wróciły od kilku dni upały, czyniące pobyt w mieście nieznośnym. Kurz, spiekota, lenistwo, robić się nic nie chce, człowiek się rozprzęga, praca roczna na uniwersytecie skończona, wyjść na miasto – za gorąco, siedzieć w domu – nudno. A już i zmęczenie po całorocznej pracy daje się we znaki – trzeba wypocząć, rozerwać się... Ponieważ na wakacje wyjeżdżam dopiero w lipcu, postanowiłem choć tą wycieczką się w czerwcu przewietrzyć. Jadzia dawno chciała poznać Połągę, o której w Kownie się dużo słyszy jak o cudach. W lipcu nie chciałem z nią tam jeździć, aby się nie ośmieszać (stary dziad z młodą dziewczyną) wobec mnóstwa znajomych, bawiących tam na kąpielach, bo do modnej u Litwinów Połągi w lipcu-sierpniu zjeżdża „całe Kowno” – pobyt w Połądze należy do litewskiego „dobrego tonu”. Jest to wtedy nie tyle Połąga, ile rój kowieński. Nie cierpię takiego rautowego spędzania wakacji, ale inni – a już zwłaszcza panie kowieńskie – lubią to towarzystwo, bo mają okazję strojenia się, pokazywania siebie i obserwowania przyjaciółek, młodsze zaś – okazję półnagiego flirtu na plaży. Już to trzeba przyznać, że Kowno i towarzystwo kowieńskie szybko się emancypuje od patriarchalnych form stosunków w świecie

włościańskim, z którego ono bardzo świeżo się wywodzi i w szalonym tempie śpieszy dopędzić najbardziej w wyuzdaniu i zepsuciu obyczajów „postępowe” społeczeństwa czy „towarzystwa”. Mówię to zwłaszcza o młodym Kownie litewskim, obok którego istnieje nadłamane towarzystwo kowieńskie polskie i odrębne towarzystwo żydowskie (są jeszcze towarzystwa niemieckie i rosyjskie). Towarzystwo litewskie jest dzisiaj tu w stolicy dominujące; ono wodzi rej, ono nadaje ton miastu. Ono się tu nade wszystko rozrasta, zdobywa placówki, dzieli honory, robi modę i swoim gustom daje najjaskrawiej szerzyć. Z pewnością nie brak w nim ludzi pracy, obowiązku i ofiarności – zwłaszcza w obozie męskim, ale jest i akcji kobiecych dzielnych sporo. Wszakże snobizm jak mól przegryza obyczaje i zaraża masę społeczeństwa. Starsze i średniego wieku panie z towarzystwa litewskiego są w bardzo dużej proporcji z pochodzenia Polki lub Rosjanki, które – szczególnie pierwsze – usiłują gorliwie polskość swoją w pozorach litewskich ukryć. Najmłodsze panie są już czysto litewskie, choć i wśród nich nie brak szlachcianeczek z dworków, starających się dziś gorliwie przystosować do litewskości. Młode Litwinki wszakże, acz mogłyby, zdawałoby się, być poważniejsze i surowsze w obyczajach ojczystych, tworząc nową inteligencką narodową rodzinę litewską, dają się jednak unosić prądowi i naśladują wzory swych poprzedniczek. Stroje, flirt, zabawa, czasem schadzki i uciechy zakazane, gorączka użycia, łakomstwo na słodycze życia i miłostek – są bardzo rozwielmożnione.
Ale dość mi tej cenzury obyczajów, w których ja sam żadnego udziału nie biorę. Do Połągi – to do Połągi. Wyjechaliśmy z Jadzią z Kowna o godz. 8 wieczorem – jedynym pociągiem, idącym na Kretyngę (stacja kolejowa do Połągi) i Kłajpedę. Jechaliśmy w wagonie sypialnym III klasy. W przedziałce naszej jechał z nami bardzo miły towarzysz podróży, łatwy do rozmowy i bardzo inteligentny, Litwin kłajpedzki. Był to, jak się później okazało, gdy mi się przedstawił, - p. Herman Dugnus, zajmujący stanowisko „najwyższego inspektora krajowego” (nie wiem, co to za funkcja) – w organizacji autonomicznej Kłajpedy. Pan Dugnus wracał z Kowna ze zjazdu narodowców litewskich, w którym jako narodowiec z Kłajpedy brał udział. Rzadko się spotyka tak inteligentnego towarzysza podróży, jak ten pan. Toteż z prawdziwą przyjemnością spędziłem z nim kilka godzin na gawędce, nim żeśmy się do snu zabrali. Pan Dugnus był tym ciekawszy dla mnie, że wyrażał wyznanie narodowej wiary Litwinów nie z centrum, lecz z Kłajpedy. Innym razem streszczę w dzienniku poglądy tego pana.

17 czerwca, rok 1929, poniedziałek
Koło ósmej rano przyjechaliśmy do Kretyngi. Najęliśmy automobil po 5 litów od osoby i w 20 minut byliśmy już w Połądze. Już od razu na samy wstępie do Połągi Jadzia, która z wielkim przerażeniem odbyła tę podróż z Kretyngi automobilem, doznała zawodu. W jej marzeniach Połąga, o której tyle się w Kownie nasłuchała, miała być jakimś cudem z Szecherezady, zaś przy wjeździe do tego, co się Połągą nazywa, ujrzała liche miasteczko, nędzniejsze pono od Rakiszek. Zajechaliśmy na śniadanie do kurhauzu Tyszkiewiczowskiego – czystego, białego, zupełnie jeszcze o tej porze pustego. Nocować nie mieliśmy w Połądze wcale, a z rzeczy mieliśmy ze sobą tylko maluśką miniaturową walizeczkę ręczną moją, którą ze sobą cały czas nosiliśmy. Po śniadaniu udaliśmy się na plażę. Droga na plażę prowadzi przez dzielnicę zabudowaną willami. Pusta jest jeszcze Połga, wille się odświeżają, wietrzą, czekają na przybycie gości, którzy tu tłumnie dopiero w lipcu zjadą. Tymczasem tylko trochę jest Żydów, gdzieniegdzie już się zainstalowały panie, ale to bagatela wobec „całego Kowna”, które niebawem tu spłynie. Dzielnica will także nie zaimponowała Jadzi, która już widziała ładne osady kąpielowe Mierzei Kurońskiej – Sandkrug, Juodkrantis, Nidę, z którymi w porównanie i podług mego smaku Połąga iść nie może. Dotarliśmy do morza, które jest

tuż. Od pięciu lat, kiedy tu przyjeżdżałem na jeden dzień ze Stefanem Römerem, pewna różnica w urządzeniu nad morzem jest: jest chodnik z desek dla dojścia dogodnego do plaży przez piaski lotne, jest budynek z kajutami do rozbierania się, jest wyznaczone miejsce właściwe dla kąpieli, są ławeczki do siedzenia na plaży, natomiast nie ma starego pomostu zgniłego w głąb morza, widać z boku jakiś wał czy nasyp zbudowany w morzu – zapewne przystań rybacką, do której nie podchodziliśmy. Nie kąpaliśmy się, jeno pochodziliśmy po plaży, trochęśmy poleżeli na suchym piasku – słońca nie mieliśmy. Plaża też nie zachwyciła Jadzi, a mnie – tym bardziej: od plaży w Juodkrantisie i tym bardziej w Nidzie jest ona mniej dziką i przeto morze – mniej piękne, a od plaży w Sandkrugu – mniej rozległa i nie posiada tak pięknych wałów, oddzielających ją od lądu. Następnie weszliśmy do lasu sosnowego i na Górę Biruty: to jest w Połądze ładne. Piękny też jest dwór Tyszkiewiczowski w Połądze, pałac, park. Tym była Jadzia olśniona Z parku udaliśmy się do kurhauzu na obiad. Od samego przyjazdu do Połągi byliśmy z Jadzią powzięli projekt wycieczki automobilem po obiedzie do Kłajpedy na zakończenie naszego dnia. Niestety, okazało się, że autobus odszedł, automobilu żadnego nie było. Chciałem już dać za wygraną, ale Jadzia zatęskniła bardzo do Kłajpedy, a Połągi, która ją rozczarowała, miała już dość. Usiedliśmy w ogrodzie kurhauzowym, oddani myślom swoim. Myślałem o losach tej Połągi, dziś modnej w świecie litewskim, stającej się ulubionym narodowym kurortem morskim Litwy, małą filią letnią stołecznego Kowna; przed wojną była Połąga dość modna w Polsce jako jedyne wybrzeże „morza polskiego”, jak wtedy w Warszawie to wybrzeże żmudzkie pojmowano i nazywano, nie odróżniając albo nie chcąc separować Żmudzi i Litwy od Polski, a nie marząc jeszcze o odzyskaniu dla Polski Pomorza, Kaszubów i Helu; zjeżdżało wtedy do Połągi mnóstwo gości z Warszawy i innych miast polskich i mała żmudzka Połąga roiła się od Polski, której przyświecał dwór polski Tyszkiewiczów. A jechało się wtedy do Połągi końmi aż z Libawy – cała podróż! Coś czy nie 10 albo 12 mil. Kolei żelaznej *via* Kretynga nie było, wybudowali ją dopiero Niemcy podczas okupacji. I dziś jeszcze mowa polska jest wśród ludności Połągi znana i nawet dość upowszechniona, mimo że obecny charakter litewski Połągi jest tu co roku zagęszczany i ma monopol bezwzględny, a zresztą pasuje zupełnie do jej tła rdzennego, które jest żmudzkie.
Wszakże, gdyśmy tak siedzieli w ogrodzie na sjeście poobiedniej, Jadzia, która obserwowała ruch automobilów na szosie, spostrzegła, że jeden automobil, który przyszedł od strony Kłajpedy, nie zawrócił nazad, a więc musi gdzieś być w miasteczku i może da się do Kłajpedy nająć. Spragniona widoku Kłajpedy, namówiła mię zbadać sytuację. Jakoż znaleźliśmy automobil, który za 15 litów powiózł nas do Kłajpedy. Śliczna szosa czyni tę wycieczkę nader miłą. W Kłajpedzie mieliśmy jeszcze kilka godzin do używania. Chodziliśmy po mieście, napiliśmy się doskonałej kawki kłajpedzkiej, przejechaliśmy się stateczkiem po zalewie do Sandkrug. Koło dziewiątej wieczorem odjechaliśmy z Kłajpedy pociągiem do Kowna. Oto i po naszej wycieczce.

18 czerwca, rok 1929, wtorek
Rano byliśmy już z Jadzią w Kownie z powrotem. Na tym się skończył nasz krótki antrakt w pracy czerwcowej. Znów siedzieć będę aż do 12 lipca w Kownie jak na pustyni, stęskniony oazy letniej w Bohdaniszkach.
Chcę tu jeszcze wrócić do osoby p. Hermana Dugnusa – Litwina narodowca z Kłajpedy, którego poznałem przed dwoma dniami w wagonie i z którym bardzo mile czas na pogawędce spędziłem. Dziwi mię, że o p. Dugnusie nigdy dotąd nie słyszałem, albowiem ze względu na swą inteligencję, wykształcenie i kulturę zasługuje on na szczególne wyróżnienie i stanowi niewątpliwie typ człowieka wybitny. Pan Dugnus ma

w ideach swoich coś z pojęć Vydunasa. Rozmiłowany jest w analizie przeplatania się ras i tworzenia się oraz ustosunkowania wzajemnego kultur i typów psychicznych. Zna doskonale i rozumie problemy Prus Wschodnich, Polski, Litwy, które rozważa przez pryzmat procesów kulturalno-psychicznych podświadomych, iszczących się w pewnym, że się tak wyrażę, promieniowaniu jakby duszy zbiorowej czy cywilizacji typu psychicznego masowego w tym lub innym środowisku historycznym. Zwraca on uwagę na wybitną i szczególną rolę pierwiastka litewskiego czy też ajstowego (terminologia śp. prof. Bugi) z jednej strony w ludności Prus, z drugiej – w Polsce (przykład najjaskrawszy Marszałka Piłsudskiego, który ze ścisłością i realizmem żmudzkim sprzęga luźne żywioły warcholskie natury słowiańskiej w Polsce, opanowując anarchię i rozpylenie indywidualistyczne), podczas gdy samo jądro litewskie jest znacznie rozwodnione przez naleciałości słowiańskie. Ale co mię uderzyło szczególnie w tym narodowcu litewskim z Kłajpedy – to nie tylko szczególna i oczywiście chwalebna tolerancja względem Niemców w Kraju Kłajpedzkim i w ogóle Litwie pruskiej, ale znacznie więcej nad to: głębokie uznanie i miłość dla pierwiastka niemieckiego w kulturze kraju i w samymże mieszanym typie psychicznym Litwinów pruskich, szacunek i wdzięczność szczera dla Niemców i chęć takiego zespołu z Litwą, który z jednej strony ocali typ litewsko-pruski od rozpłynięcia się w niemczyźnie, z drugiej wszakże – da możność zachowania tych wartości, które typ litewski nabył tam w kontakcie z niemieckim, słowem – miłość głęboka do swojszczyzny litewsko-pruskiej – litewsko-niemieckiej. Ani cienia tej neofickiej nienawiści, jaką na przykład żywią do Niemców Łotysze albo Litwini nasi do Polaków. W Dugnusie, tym narodowcu i patriocie litewskim z Kłajpedy, wyczułem pokrewieństwo uczuć do moich w tym sensie, że dla mnie równie drogi jest ten rozdzierany dziś i, niestety, ginący typ pogodzenia pierwiastka litewskiego z polskim, typ Mickiewiczowski, który ma swoją wartość szczególną, a który, choć żywy podświadomie w większości Litwinów i Polaków litewskich, jest przez jednych i drugich zatruwany nienawiścią na rzecz wyłączności bądź litewskiej, bądź polskiej. Ja, Herbaczewski, jeszcze kilku – i to koniec tym, którzy kulturę tego typu pielęgnować pragną. Reszta – odrzucają bądź litewskość, bądź polskość z lekkim sercem precz. A jednak droga Litwinom do Wilna prowadziłaby najprościej poprzez ten typ. Bez uwzględnienia go – trudno do Wilna żywego dotrzeć.

19 czerwca, rok 1929, środa
W Radzie Stanu nasza komisja reformy agrarnej w osobach Kalnietisa, Starkusa i mnie co dzień się zbiera i szybko się z pierwszej części zadania swego wywiązuje. Za największego specjalistę tej dziedziny uchodzi u nas Starkus, który przez czas jakiś stał na czele Zarządu Reformy Agrarnej i ustąpił z niej wraz z Tonkunasem, nie mogąc się zgodzić na jej interpretację przez Krupowicza. Dziś wszyscy trzej ułożyliśmy każdy na własną rękę projekt redakcji ustawy, mającej być wykładnią zasad, sformułowanych w piśmie Voldemarasa do Rady Stanu. Po odczytaniu tych trzech projektów poleciliśmy Starkusowi ułożyć z nich na jutro projekt jednolity i ostateczny, ewentualnie – z wariantami. Starkus ma wziąć za kanwę mój projekt.
Słychać, że nowy sędzia Trybunału Czesław Milwid budzi w Trybunale powszechny podziw rekordową szybkością motywowania wyroków. Wszystkie wyroki, należące do jego referatu, są przezeń tego samego dnia motywowane. Milwid, który przed kilku laty był sędzią okręgowym w Kownie, już wtedy był zasłynął niezwykłą szybkością pracy. Teraz w Trybunale pobił podobno swój własny rekord.
Dowiedziałem się dziś o śmierci byłego sędziego okręgowego Budreckiego, z którym kolegowałem w Kownie w latach 1920 i 1921. Budrecki, który miał za sobą długą

karierę sądowniczą w Rosji, wysłużył w tym roku emeryturę i przed kilku miesiącami był się podał do dymisji i zapisał do adwokatury. Powiadają, że sam sobie odebrał życie: podobno nożem poderżnął sobie gardło i oprócz tego rozpruł sobie brzuch. Znaleziono go nieżywego. Co go u schyłku życia skłoniło do takiego czynu desperackiego – nie wiadomo. Co prawda, Budrecki był zawsze narwany i nieznośny. Syn powstańca z Litwy z r. 1863, urodzony na Syberii, dokąd ojciec jego był zesłany, pochodzący z rodziny szlachecko-ziemiańskiej i polskiej, Budrecki spędził większą część życia na służbie sądowej w Rosji, ożenił się wszakże ze szlachcianką z Kiejdańszczyzny. Na starość zapałał patriotyzmem litewskim, którym się tu popisywał po powrocie do kraju, choć po litewsku mówił kiepsko. Ale patriotyzm jego był patriotyzmem nieszczerym świeżo nawróconego neofity, nie znającego miary w gorliwości, patriotyzmem, wzorowanym na patriotyzmie urzędowym Rosjan czernosecińców z czasów carskich. Ze szczególną gorliwością i nienawiścią deptał i tępił wszystko, co polskie, szpiegował i węszył „intrygę polską”, donosił i denuncjował, nie mógł znieść słowa wymówionego po polsku i wyprawiał sceny gorszące tym, w których domach używany był język polski. Jako prawnik i sędzia – był marny, człowiek – też niewiele warty. Z kolegami miewał zatargi, w sądzeniu spraw powodował się uprzedzeniami, ustaw nie znał, nie czytał i nie studiował nic. Był to typ atawistyczny szlachcica-sejmikowicza i pieczeniarza warchoła z wieku XVII-XVIII. Na nic mu się nie zdały ekscesy krzykactwa „patriotycznego”: nie oceniono go nigdzie, raczej wszędzie się poznano na jego nicości, toteż jak zasiadł w sądzie, tak nie ruszył się z miejsca i nie awansował do końca. A był ambitny, pragnął się przeforsować choć na wiceprezesa, przed paru laty odważył się sam zgłosić swoją kandydaturę do Trybunału – wszystko na nic. Niech mu choć ziemia lekka będzie!

20 czerwca, rok 1929, czwartek
Czterech studentów stawało dziś u mnie do egzaminu. Wszyscy czterej z IV semestru, jeden – ekonomista i trzech – prawników. W ogóle w tym roku zdaje u mnie egzaminy niezwykle duży odsetek studentów IV semestru, to znaczy tych, którzy dopiero co zakończyli studia u mnie. Dawniej takich zwykle stawało do egzaminu niewielu: większość odkładała egzamin u mnie na czas dalszy i zdawała w ciągu dwóch lat ostatnich albo nawet po zupełnym ukończeniu studiów uniwersyteckich. W tym roku zwyczaj ten się zmienił. Przyczyniły się do tego zapewne stenogramy moich wykładów i mój program detaliczny, które – łącznie z dwiema moimi książkami, „Reprezentacją i mandatem” i „Sądem administracyjnym”, zbiorem tłumaczeń konstytucji rozmaitych państw i wreszcie moją broszurą ostatnią o reformie konstytucyjnej litewskiej z r. 1928 – ułatwiają znakomicie studentom przygotowanie się do egzaminu; skądinąd zaś dojrzewa wśród młodzieży akademickiej zrozumienie tego, że egzamin powinien być ile możności zbliżony do poprzedzających go studiów danego przedmiotu jako ich bezpośrednie uwieńczenie i że dlatego nie należy go po zakończeniu studiów na dalszą metę odraczać, jeno w ciepłą jeszcze praktykę studiów, w bezpośrednią atmosferę wykładów, colloquiów i prac seminaryjnych, dopóki ta atmosfera nie ostygła i nie wyparowała, spowić. Muszę przyznać, że studenci na ogół stają do egzaminu u mnie bardzo dobrze przygotowani, bardzo starannie i sumiennie zorientowani w problemach nauki o państwie i prawa konstytucyjnego. Program mój jest bardzo obszerny, jeden z najobszerniejszych na Wydziale Prawniczym, toteż przygotowanie się do egzaminu wymaga dużo czasu i wysiłku, ale też studenci tego czasu i wysiłku nie skąpią, bo nauka ta ich zaciekawia i stanowi, podług ich własnej opinii, jedną z najciekawszych na Wydziale Prawniczym; nie chwaląc się zaś – muszę sam sobie przyznać, że w pracy

profesorskiej mam talent zainteresowania moich uczniów przedmiotem wykładanym przeze mnie.
Ze zdających dzisiaj jeden – ekonomista Baltrimas, chłopak bardzo pilny i pracowity, staranny, ale niezdolny, trochę kaleka (bez ręki), zdawał słabo, ale za jego wyjątkową pilność udzieliłem mu stopnia „dobrze”. Trzej inni – prawnicy, wszyscy trzej Żydzi – Mowsza Jofe, Abram-Chackiel Land i Izaak Fridland (kancelista Trybunału Najwyższego) – zdali celująco.

21 czerwca, rok 1929, piątek
Dziś w teatrze miejskim nastąpiło otwarcie uroczyste VI Kongresu tzw. Jedności Litewsko-Łotewskiej („Lietuvių-Latvių Vienybės Kongresas”). Kongresy, które się stały tradycyjne, urządza corocznie latem „Towarzystwo Jedności Litewsko-Łotewskiej” („Lietuvių-Latvių Vienybės Draugija”), które ma dwa zarządy, jeden – w Kownie, na którego czele stoi tradycyjnie stary prof. Volteris, i drugi – w Rydze. Kongresy te odbywają się raz w Łotwie i drugi raz – w Litwie i tak kolejno (IV odbył się przed dwoma laty w Kłajpedzie, V w roku ubiegłym – w Rydze, obecny VI – w Kownie). Kongresy te wyrobiły sobie pewien rozgłos przez to, że na nich podnoszona bywa sprawa Wilna i uchwalane są rezolucje w duchu roszczeń litewskich, co się, oczywiście, nie podoba Polsce, która nawet z tego powodu miewała pewne pretensje do Łotwy, i co oczywiście stawia władze państwowe łotewskie w pewną pozycję niewyraźną wobec tych kongresów, które skądinąd musiałyby być przez rządy obu krajów – choćby ze względu kurtuazji wzajemnej – witane i patronowane.
Ja osobiście, choć narodowo Litwinem nie jestem, czując się jednak Litwinem państwowym (politycznie) i będąc wielkim przyjacielem Łotyszów, dla których mam uznanie szczególne i sympatię (poza innymi względami, żywy jest dla mnie wzgląd na pamięć mojej śp. Aninki) oraz sprzyjając idei zespołu państwowego Litwy i Łotwy, w roku zeszłym, pod wpływem wrażeń z wizyty profesorów łotewskich w Kownie za rektoratu mego, wpisałem się na członka Towarzystwa Jedności Litewsko-Łotewskiej. Nie poszedłem dziś wprawdzie na otwarcie kongresu, a nie poszedłem dlatego, że przed miesiącem byłem przez zarząd towarzystwa proszony o wygłoszenie odczytu na kongresie, a nie decydując się podjąć tego, wymówiłem się prawdopodobnym wyjazdem w tym czasie na wakacje – toteż nie chciałem dziś manifestować na otwarciu mojej obecności. Może pójdę jutro na obiad kongresowy. Sam nie poszedłem, ale przesłałem na ręce prezydium kongresu pozdrowienie na piśmie tej treści:
„*Negalėdamas asmeniškai dalyvauti Lietuvių-Latvių Vienybės Kongreso atidarymo iškilmėse, aš tegaliu tik raštu pasveikinti kongreso dalyvius ir palinkėti geriausiojo šio darbo pasisekimo. Idėja, kuriai atstovauja kongresas, yra civilizacijos, taikos ir mūsų šalių Latvijos ir Lietuvos – grožio ir pražydėjimo idėja. Šioje Europos daly t. vad. aistiškų tautų veiksnys, įsigyvenęs tarp Germanų, Slavių ir Suomių žemių, buvęs galingas, vėliau atėjūnų ir kaimynų prislėgtas, iš dalies savo teritorijos pakraščiuose svetimųjų bangose sutirpęs, bet kartu jųjų psichinį tipą savo elementais veikiąs, sudaro charakteringą šios srities gaivalą, kuris – organizuotas ir savo kultūrą išplėtęs – įneš į tautų bendravimą savo tipo kultūrines brangenybes, kartu išsaugojęs ir savo gyvybę bei savo gyvąją kūrybinę energiją. Tautų likimas yra panašus į likimą viso, kas yra gyva pasaulyje: bejėgios ir kitų valdomos bei naudojamos – tautos duoda savo medžiagos, savo gyvojo kūno, skonį tiems, kurie jųjų medžiaga maitinasi, bet už tai jos pačios žūsta, organizuotos gi – jos pačios valdosi ir kuria, nuolat didindamos savo kultūrinę energiją, lyg kad versmė, iš kurios nuolat išsiveržia ir teka tam tikrojo kultūrinio ir psichinio sąstato srovė, vaisinanti žmonijos civilizacijos dirvas. Tiesioginiai aistiško veiksnio įpėdiniai – latviai ir lietuviai – senoji nusistovėjusi šios Europos srities dvasios*

aristokratija, pergyvenę milžinišką savo sielos renesanso procesą ir atvadavę savo šalių politinę nepriklausomybę – savo civilizaciniams tikslams siekti kitų rasių tautų ir žmonijos bendravimo tarpe – yra reikalingi tikslaus organizuoto bendradarbiavimo. Jųjų vienybės kongresai, kurie tam bendradarbiavimui kelią ruošia ir tvarko, tai aukštos garbės ir svarbaus vaidmens institucija, kurios reikšmę įvertinti ir kurią pagerbti mes turime visi, kas myli Tėvynę, kas brangina mūsų šalių praeities likimą ir kas iš viso gerbia žmonijos socialinį bendravimą"[9].

22 czerwca, rok 1929, sobota

Na posiedzeniach Kongresu Litewsko-Łotewskiego nie byłem. Wygłoszone były na tym kongresie referaty ze strony litewskiej przez profesorów Pakštasa, Michała Biržiškę, Janulaitisa, przez młodego ekonomistę Giedymina Gałwanowskiego, który już ukończył uniwersytet, ze strony łotewskiej przez Ritensa... Wśród innych rezolucji kongres, wierny idei swojej, uchwalił rezolucję na rzecz zwrotu Wilna Litwie i odzyskania przez Litwę jej granic etnograficznych.

Wieczorem natomiast poszedłem na bankiet litewsko-łotewski w Klubie Litewskim, urządzony przez zarząd Towarzystwa Jedności Litewsko-Łotewskiej. W bankiecie brało udział przeszło 100 osób. Spodziewałem się, że wśród gości łotewskich spotkam kogokolwiek z profesorów, którzy w roku zeszłym przyjeżdżali do nas z Rygi. Okazuje się wszakże, że żaden z nich nie przyjechał. Nie przyjechał nawet wierny przyjaciel Litwinów – prof. Plakis. Podobno przyjazdowi ich przeszkodził mający wkrótce nastąpić przyjazd króla szwedzkiego do Rygi. Ogółem gości Łotyszów z pokolenia starszego przyjechało kilkunastu, ale z nimi przyjechała też paczka młodzieży akademickiej łotewskiej płci obojga. Toteż na bankiecie – studentów i studentek, tak Łotyszy, jak Litwinów, było sporo. Studentki Łotewki były w strojach narodowych, zupełnie różnych od naszych, podobnych nieco niby do tunik greckich, do jakichś szalów czy chust białych wyszywanych, w które były one spowite. Nasze studentki były też w strojach litewskich. Na obiedzie wynudziłem się porządnie. Wlókł się on od godz. dziesiątej do przeszło pierwszej po północy. Siedziałem obok Antoniego Żmujdzinowicza, który był zajęty sąsiadką – studentką Dewejkówną, sam zaś z drugiej strony żadnego sąsiada nie miałem. Przewodniczył prezes honorowy towarzystwa prof. Volter, człowiek nudny i głupi, nie umiejący nie tylko przemawiać, ale nawet jakiegoś

[9] „Nie mogąc osobiście wziąć udziału w uroczystości otwarcia Kongresu Jedności Litewsko-Łotewskiej, mogę tylko pisemnie pozdrowić uczestników kongresu i życzyć mu owocnej pracy. Idea, która przyświeca kongresowi – to idea piękna i rozkwitu cywilizacji, pokoju i naszych krajów – Łotwy i Litwy. W tej części Europy czynnik ludów należących do Ajstów, zamieszkujących ziemie germańskie, słowiańskie i fińskie, w swoim czasie potężny, później przez przybyszy i sąsiadów przytłumiony, po części na obrzeżach swego terytorium roztapiający się w obcych falach, jednocześnie jednak wywierając wpływ na ich typ psychiczny elementami swojego typu, stanowi charakterystyczny żywioł tego regionu, który – zorganizowany i poszerzający swoją kulturę – wniesie do obcowania narodów wartości kulturalne własnego typu, zachowując jednocześnie swoją żywotność i swoją żywą energię twórczą. Losy narodów podobne są do losów wszystkiego, co jest na świecie żywe: narody bezsilne, rządzone i wykorzystywane przez inne, oddają swoją substancję, swoje żywe ciało i smak tym, którzy się tą substancją żywią, same zaś przez to giną, zorganizowane zaś – same się rządzą i tworzą, stale powiększając swoją energię kulturalną, tak jak źródło, z którego wytryska i płynie rzeka o specyficznym składzie kulturalnym i psychicznym, użyźniająca glebę cywilizacji ludzkiej. Bezpośredni spadkobiercy czynnika Ajstów – Łotysze i Litwini – stanowią starą i ukształtowaną arystokrację ducha tej części Europy, przeżywszy potężny proces renesansu swej duszy i odzyskawszy niezależność polityczną swoich krajów, dla osiągnięcia swoich celów cywilizacyjnych w obcowaniu z narodami innych ras i całą ludzkością potrzebują precyzyjnie zorganizowanej współpracy. Ich kongresy jedności, które torują i wygładzają drogę do tej współpracy, to instytucja wielce szacowna i ważna, której wartość doceniać i ją czcić powinien każdy, kto kocha Ojczyznę, komu drogie są minione dzieje naszych krajów i kto w ogóle szanuje obcowanie społeczne ludzkości".

jednego zdania logicznie związać; mówił jednak i błaznował się trochę, co jednak wcale go nie detonowało. Przemawiali dr Jan Šliupas, generał Nagiewicz, oficer Lanckoroński, dr Zaunius, Żmujdzinowicz, generał Bulota, kilku Łotyszów. Po uczcie młodzież rozpoczęła tańce, pito kawę. Ja uciekłem. Z profesury naszej było na bankiecie kilku, ale nikt nie przemawiał, bo też nie było nikogo z profesury łotewskiej.

23 czerwca, rok 1929, niedziela
Czerwiec – okres zjazdów i kongresów, kiedy już jest lato, a jeszcze się ludzie na wakacje nie rozjechali. Po Kongresie Jedności Litewsko-Łotewskiej – zjazd Związku Strzelców („Šaulių Sąjunga"), a w przyszłą niedzielę – kongres „Kultury".
Związek Strzelców obchodzi swoje dziesięciolecie. Z tej okazji na wielki zjazd „šaulysów" sprowadzone zostały delegacje grup „šaulysów" prowincjonalnych – ogółem w zjeździe bierze udział koło 10 000 „šaulysów". Delegacje rozmieszczone zostały w koszarach, w pawilonach placu wystawowego, w kilku gmachach w mieście. Przejazd i utrzymanie – bezpłatne. Delegacje przybyły ze sztandarami. Wczoraj ćwiczyły się one i przygotowywały do uroczystej parady dzisiejszej. Część urzędowa i publiczna programu zjazdu strzelców składa się z parady (defilady) dzisiejszej, z uroczystości złożenia wieńca u pomnika poległym w walkach o niepodległość w ogródku Muzeum Wojennego dziś wieczorem, potem – odegranie wielkiego na tę okoliczność skomponowanego przez poetę Ludwika Girę misterium, obrazującego poetycznie dzieje narodowe Litwy, w dąbrowie („Ąžuolynas") kowieńskiej na Górze Witolda, wreszcie o północy – palenie ogni świętojańskich, jutro zaś po południu – dwie ostatnie pozycje programu – ćwiczenia sportowe strzelców i święto pieśni „šaulysów". Na wszystkie te uroczystości mam kartę wstępu. Rano byłem na paradzie, wieczorem zaś na widowisko sceniczne nie poszedłem, bo się zadżdżyło. Parada udała się bardzo dobrze. Ładne było widowisko i imponujące. Miałem kartę wstępu honorową, toteż byłem w altance, przeznaczonej dla Prezydenta, rządu, korpusu dyplomatycznego i innych wysokich gości. Parada odbywała się, jak zwykle, na wielkim placu ćwiczeń, zwanym Placem Piotra Vileišisa. Zaczęło się od nabożeństwa, odprawionego na placu przed ołtarzem polowym przez kanonika Tumasa w asystencji kleryków i pod dźwięki orkiestry połączonej „šaulysów"; ołtarz otaczali wielkim półkolem chorążowie delegacji „šaulysów" ze sztandarami oddziałów. Po nabożeństwie ks. Tumas wygłosił długie kazanie patriotyczne, rozgłaszane przez głośniki radiowe wśród oddziałów „šaulysów", uszykowanych wielką linią w polu. Następnie Prezydent Rzeczypospolitej Antoni Smetona wyszedł na plac w asystencji adiutantów i prezesa Związku Strzelców Antoniego Żmujdzinowicza, któremu się to stanowisko dostało po śmierci Władysława Putwińskiego, i przyjął raport od naczelnika wojennego „šaulysów" – oficera Kalmantasa (Kalmantowicza), po czym Prezydent w powozie, zaprzężonym w dwa konie, objechał oddziały strzeleckie; przed każdym oddziałem powóz stawał, Prezydent, stojąc, pozdrawiał strzelców krzykiem „Sveiki, šauliai!", na co mu oddział wołał: „Sveikas, Tamista!". Gdy Prezydent wrócił o altanki, rozpoczęła się defilada wszystkich 10 000 „šaulysów", podzielonych na oddziały lokalne, pod dźwięki orkiestry, grającej nieustannie marsze. Szeregi strzelców są wiekiem i wzrostem mieszane: od podrostków i dzieci do starców szpakowatych, siwych, brodatych. Każdy oddział był prowadzony przez oficera i był poprzedzony przez grupę chorążych z odpowiednimi sztandarami. Strzelcy maszerowali w nogę nieźle, ale w niektórych szeregach znać było, że to nie wojsko regularne: były niewyrównane różnice indywidualne postawy, kroku itd. Za oddziałami męskimi kroczył cały pochód oddziałów żeńskich – frontowe w mundurach szarych „strzelczyń" („šaulės") ze swoimi wodzirejkami, salutującymi po wojskowemu, dalej w barwnych kostiumach

narodowych, w staniczkach, spódniczkach i fartuszkach charakterystycznych; szły ładnie, krokiem elastycznym, niektóre – prawie tanecznym.

24 czerwca, rok 1929, poniedziałek
Jak wczoraj wieczorem na misterium Ludwika Giry i na ognie świętojańskie, tak dziś na ćwiczenia sportowe i na popisy śpiewackie „šaulysów” nie wybrałem się, bo się trochę leniłem, a trochę mię odstraszał deszcz, który przedtem padał i zapowiadał się padać dłużej. Ostatecznie pozostałem w domu i tylko radio sobie nastawiłem, przez które słuchałem pieśni „šaulysów” siedząc w domu. Jest jedna pieśń, która w ostatnich leciech bardzo weszła w modę i jest na wszystkich koncertach pieśni śpiewana. Jest to pieśń patriotyczna „Ei, pasauli! – mes be Vilniaus nenurimsim – ne!” („Ej, świecie! - my się bez Wilna nie uspokoimy – nie!”). Oczywiście i dziś była ona przez „šaulysów” śpiewana. Tą pieśnią zakończony był popis. Nie podoba mi się ta pieśń. Choć w jej tonach muzycznych jest wyraz buntu, ale słowa jej nie trafiają mi do przekonania wcale. Bynajmniej nie dlatego, abym był przeciwny odzyskaniu Wilna przez Litwę. Ale odzyskać można tylko albo siłą – odebraniem, albo takim działaniem, które w samym Wilnie wytworzy wolę do połączenia się z Litwą. I jedna, i druga droga wymaga czynu odpowiedzialnego. Pierwsza byłaby łatwiejsza i prostsza, gdyby Litwa siłę posiadała; dziś ona jej przeciwko Polsce nie posiada i w stosunku do tej drogi liczyć może li tylko na takie czy inne w nieokreślonej przyszłości komplikacje i koniunktury rewolucyjne lub międzynarodowo-polityczne, które w pewnym momencie zachwieją dzisiejszy układ sił między Polską i Litwą i osłabią Polskę w Wileńszczyźnie tak że siły Litwy, wzmocnione rozmaitymi czynnikami okolicznościowymi miejsca i czasu, wystarczą do odebrania i utrzymania Wilna. O odebraniu Wilna czasem się mówi i śpiewa – zwłaszcza dla ludu, ale nie jest to, oczywiście, postulat na dziś jako aktualny do wykonania. Pozostaje druga droga – dłuższa, odpowiedzialniejsza, wymagająca więcej inicjatywy, taktu, mądrości, ale kto wie, czy nie najwłaściwsza, jeżeli się istotnie w odzyskanie Wilna się wierzy, a nie posługuje się tym hasłem jako frazesem agitacyjnym. Bo przecie ostatecznie Litwa mieć będzie Wilno żywe i ludzkie, a nie mury Wilna jeno. Chcąc więc je pozyskać i mieć na stałe – musi osiągnąć to, aby Wilno, raczej Wileńszczyzna tego też chciała. Ale ta pieśń nie idzie ani jedną, ani drugą drogą. Na mnie robi ona wrażenie przykre, bo jest tylko skargą i okrzykiem buntu wobec świata – a to jest bronią i argumentem słabych. Taka pieśń – to coś podobnego do kaprysu dziecka: i cóż to za argument dla świata, cóż to za osobliwość dla mocarzy, że mała Litwa czegoś chce i nie uspokoi się, póki tego czegoś nie będzie miała? Czy się świat potężny tej pogróżki nieuspokojenia się i kwilenia przestraszy? Czy Wilno Litwie „odda”, odbierając je od Polski, która je mocno trzyma? Naiwna myśl kapryśnego dziecka! Argumentem „chcę i otóż nie uspokoję się” – Litwa Wilna z pewnością nie otrzyma. Świat jej na to odpowie po prostu: a mnie cóż do tego? Skoro tak chcesz, to przecież odbierz, jeżeli możesz! Gdyby Litwa odebrać mogła, a jeno „świat” jej w tym przeszkadzał, to taki okrzyk światu byłby zrozumiały. Ale nie świat, lecz Polska trzyma Wilno i nie dopuszcza doń Litwy. Wołanie takie do świata jest niepoważne i ma coś w sobie ze skargi żebraka. To mi się w tej pieśni nie podoba. Nie ma w niej mocy i dumy.

25 czerwca, rok 1928, wtorek
Choć nie byłem przedwczoraj na przedstawieniu misterium Ludwika Giry, odegranym w dąbrowie na Górze Witolda pod Kownem, to jednak opowiadali mi o nim ci, co na przedstawieniu byli, a że ten rodzaj sztuki tak co do formy, jak co do nastroju i idei znam, bom już parokrotnie w Kownie na przedstawieniach takich misteriów bywał, więc mam zupełnie ścisłe wyobrażenie o odegranym obecnie misterium i odważę się

streścić parę momentów charakterystycznych misterium i powiedzieć, co myślę o problemach, poruszonych przez Girę i niewątpliwie bardzo ciekawych i nie tylko historycznie aktualnych ze stanowiska losów Litwy.
Przede wszystkim, należy stwierdzić dużą zasługę Giry w śmiałym jego czynie twórczym zainicjowania tego wielce ciekawego i oryginalnego typu sztuki scenicznej stosowanej. Gira jest twórcą tego rodzaju sztuki w Litwie, rodzaju bardzo rzadkiego i prawie nie praktykowanego, którego wzorem jest tradycyjne misterium „pasji" Chrystusa w sławnych przedstawieniach w Oberammergau (zdaje się, że się nie mylę co do nazwy tej miejscowości w Bawarii). Różnica jest ta, że Ludwik Gira używa do swoich misteriów litewskich nie dramatu religijnego, lecz dramatu narodowego, któremu nadaje określone zabarwienie historiograficzne i dramatyzuje najczęściej nie jakiś pewien epizod z dziejów Litwy, lecz całą ciągłość logiczną tych dziejów. Takim też jest właśnie to najnowsze misterium jego.
Misterium przenosi widza w świat czy raczej w zaświaty duchów, w których („*dausose*") przebywają umarli Litwini. Są wśród nich jednostki realne, historyczne i postacie symboliczne. Duchy Litwinów, skupione w chwili powstawania państwa litewskiego w r. 1919, przeżywają swoje wrażenia czynów i faktów z doby ich życia i działania, które się splatają w łańcuch dziejów dramatu narodowego Litwy. U stołu siedzą starzy książęta Litwy – od Mindowga do Witolda – i zdają sprawę z dokonanych przez nich na rzecz Litwy czynów. Mindowg, a za nim inni, kwestionowani przez swych poprzedników, powiadają, co zdziałali na rzecz powiększenia sławy i wielkości Litwy; każdy z nich ma coś swego w zasługach, każdy do wielkości Litwy się przyczynił i przekazał ją następcy itd. Tylko Witold stwierdza, że pomimo całą wielkość dzieła swego – nie mógł Litwy, a przeto i łańcucha sprawy przekazać nikomu, albowiem los chciał, aby on był... ostatni. Na nim się więc linia wielkości Litwy urywa i jakby zapada w nicość. Między Witoldem, który zamyka starą ciągłość przeszłości litewskiej a nowym świtaniem odrodzenia końca wieku XIX, gdy się rodzi prasa litewska w Prusiech i wielki ruch przemytnictwa tajemnego druków („knygnešiai"), z których ma się w szybkim tempie wyłonić proces odżycia i wreszcie niepodległość Litwy – długi martwy łańcuch wieków upadku, wieków niewoli i martwego snu, kiedy wszelki czyn ustaje. W tej wielkiej próżni depresji, naznaczonej jednym tylko faktem abdykacji – aktem Unii Lubelskiej – zaznacza się samotnie jedna tylko wielka postać, w której odżywa idea stara wielkości i mocy Litwy. To postać Janusza Radziwiłła z Kiejdan.

26 czerwca, rok 1928, środa
W wielkiej próżni schyłku i letargu narodowego Litwy, próżni, która dzieli szczyt potęgi litewskiej za wielkiego epigona Mindowgów i Giedyminów – Witolda – od odrodzenia, zapoczątkowanego w ostatniej części wieku XIX, a którą ja bym nazwał próżnią wyczerpania po niezwykłym wysileniu państwowym i po zamianie religii narodowej na chrześcijańską, w tej wielkiej próżni, w której Litwa państwowa i narodowa zanika, stapiając się w państwowości polskiej i z wyjątkiem najniższych stopni ludu pańszczyźnianego – w narodowości i kulturze polskiej – poeta Ludwik Gira ukazuje nam w swym misterium jedną jedyną postać – postać Janusza Radziwiłła w dobie wojen szwedzkich. Janusz – rycerz litewski, ostatni, w którym się, jak sądzi poeta, budzi usypiająca idea państwowa Litwy, spadkobierca idei wielkich książąt litewskich, z krwi bohaterów dawnych – marzy o oderwaniu Litwy od Polski i oparciu jej o Bałtyk i Skandynawię (Szwecję). Janusz trąbi i zwołuje bohaterów, wzywa Litwę do czynu. Bohaterowie nie znajdują się, rycerze wolności Litwy nie powstają – na zew Janusza kraj odpowiada milczeniem... Wytężając słuch, trąbiąc jeszcze – Janusz słyszy

wreszcie w odpowiedzi cichy głos śpiewanej piosenki litewskiej. Janusz się niecierpliwi; nie tego chciał i czekał: wołał o czyn męski, a tu mu odpowiada... piosenka, która dla niego nie ma wartości; zniechęcony – Janusz się widzi samotny i przeto bezwładny – piosenką wolności nie wywalczy i państwa nie stworzy; ale Witold, raczej poeta Ludwik Gira przez usta ducha Witolda, czyni mu uwagę: „Ale ta piosenka jest przecie – litewska!". Dla Janusza nie ma ona znaczenia ani wartości, bo Janusz jej nie rozumie, bo Janusz jest już tylko na poły Litwinem, bo Janusz jest już sam rozdwojony między kulturą polską a państwowością litewską: Janusz narodowych wartości (czynników) litewskich już nie rozumie i nie czuje, bo już przez pokoleń ewolucję się od nich oddalił i sam ich w sobie nie ma; pozostała w nim już tylko tradycja państwowości – czucie organizacji politycznej, ale bez podstawy narodowej; jest on tylko państwowcem litewskim, epigonem epigonów, samotnym, którego zew jest przeto jałowy; Janusz nic już zdziałać nie może. Idea państwowa musi być znowu nawiązana do narodowej – oto teza misterium Ludwika Giry: Janusz kwalifikacji do tego nie posiada i dlatego musi zejść ze sceny bezpłodnie. I jest on ostatni. Na nim – w myśl pojęć poety – gałąź arystokracji i szlachty litewskiej usycha dla Litwy: staje się ona nie tylko obcą Litwie, ale wrogą; już nawet idea nie tylko narodowa, ale też państwowa w tym uschłym szczepie litewskim po Januszu Radziwille się nie odzywa i nie odradza więcej. Odrodzenie wyrasta po stuleciach nie ze szczepu Janusza, lecz z tej cichej piosenki litewskiej, którą niegdyś zlekceważył Janusz, ale którą rzekomo Witold czuł i pojmował jeszcze. I z tej piosenki narodowej, z tych środowisk ludu, w których się ona zachowała jako wyraz żywej istoty narodowej wyjść miało i wyszło odrodzenie, które przez szereg dramatycznych stadiów ewolucji, odtworzonych w misterium, dotarło do państwa litewskiego, wskrzeszając zgasłe dzieło Mindowgów, Giedyminów i Witoldów.

27 czerwca, rok 1928, czwartek
Šiling, który był na przedstawieniu misterium Ludwika Giry, zachwycony jest ścisłością jego czucia historycznego. Z tego, co Šiling opowiada o epizodach tego misterium z przebiegu ostatnich stadiów masowych procesu odrodzenia, można wnosić istotnie, że Gira głęboko się wczuł i zmysłem swoim wwiązał w psychikę masową tego procesu. Ale to dotyczy procesu, który prawie cały przebiegał w obliczu naszego pokolenia. Co do przeszłości dziejowej i interpretacji czynnika szlacheckiego Litwy, to, zdaniem moim, są w misterium Giry błędy i nieścisłości obok głębokich skądinąd i trafnych spostrzeżeń. Głębokie jest niewątpliwie spostrzeżenie Giry o rozdwojeniu Litwy historycznej na państwową i narodową, jego symbol w rogu rycerskim Janusza Radziwiłła i piosence litewskiej. Ale myli się Gira, sądząc Janusza ostatnim i samotnym w idei państwowej litewskiej. Połowiczny typ szlachecko-litewski z jego ideą państwową nie zanikł w osobie Janusza Radziwiłła. Wegetuje on w różnych postaciach dotąd, jest on poniekąd i we mnie, jest w innym nieco układzie w licznych osobnikach naszej szlachty ziemiańskiej, da się on i u Józefa Piłsudskiego w pewnych jego załamaniach w postaci już wszakże spaczonej stwierdzić. Idea państwowa historyczna Litwy – spadek Witoldowy – nie wygasła w szczepie pierworodnym Litwy, który, acz schnący, zielenieje tu i ówdzie. Skądinąd myli się Gira w ocenie dzieła książąt litewskich jako rzekomo łączącego ideę państwową z narodową. Mnie się zdaje, że właśnie już książęta litewscy (takim bodaj był sam Wielki Witold) odseparowali zasadę państwową litewską od narodowej czy szczepowej i byli pionierami tego rozdwojenia, które tak dramatycznie Gira uwydatnił w osobie Janusza Radziwiłła. Nadzielanie dzieła wielkich książąt litewskich tą psychiką, łączącą państwowość z narodowością, która jest właściwa ideologii współczesnej, bardzo żywej w odrodzonej Litwie narodowej,

właściwie – niedostrzeganie w nim pierwiastków rozkładu, polegającego na odrywaniu państwowości od narodowego czy etnicznego podłoża społecznego, skądinąd zaś zupełne niedocenianie szlachty litewskiej, uznanej przez odrodzonych Litwinów za gałąź uschłą – to są błędy stałe ideologii litewskiej współczesnej. W szlachcie litewskiej pewne pierwiastki cenne i bardzo charakterystyczne się zachowały dotąd i byłoby wielkim sukcesem Litwy, gdyby zdołała ona te pierwiastki wcielić do budującego się gmachu państwowości litewskiej; o tych wybitnych cechach państwowotwórczych szlachty litewskiej – dziedziczki dzieła wielkich książąt, którego ona była wspólniczką – świadczy w szczególności rola, jaką ludzie tego szczepu wykonują w budownictwie państwowym Polski: są oni u szczytu nawy państwowej i dzięki swym przymiotom zdobywają kierownictwo. Odbierzcie państwu polskiemu Józefów Piłsudskich i całą plejadę Litwinów na wyższych kierowniczych stanowiskach politycznych, administracyjnych, wojskowych i innych – to jakże szkaradnie zubożycie państwo polskie. Ileż by ten szczep ze swymi przymiotami państwowymi dać mógł Litwie! Zapewne – problem odwrócenia go od Polski do Litwy i wwiązanie go jeżeli nie w narodowość, to choć w państwo litewskie nie jest łatwy, szczególnie gdy tak, jak dziś, stanęła sprawa wileńska, ale Litwini nawet nie myślą o tym i myśleć nie chcą.

28 czerwca, rok 1928, piątek
Lato. Wędrowne ptaki ściągają do wiejskich gniazd rodzinnych: z Bohdaniszek miałem wiadomość, że wróciły już na lato z Wilna dzieci Elwiry – Hela i Andrzej, a z Pragi czeskiej wczoraj przyjechał do Kowna Stefan Römer, który przenocował u mnie, zabawił dzień i dziś wieczorem do Bohdaniszek wyjechał. Zdaje się, że do Pragi Stefan już wracać nie zamierza. Powiada, że studia na Akademii Ukraińskiej Sztuk Pięknych w Pradze już ukończył, a akademii rządowej czeskiej, do której, jak powiada, był tej zimy przyjęty, kończyć nie będzie. Oczywiście, u niego nigdy nie wiadomo, co jest w jego twierdzeniach prawdą i kłamstwem, ale dość na tym, że się wrócić nie wybiera. Co do najbliższej przyszłości, to jeszcze projektów nie ustalił. Mówi to o zamieszkaniu w jesieni w Kownie i otwarciu atelier modnego malarstwa na tkaninach do strojów damskich, to o wyjeździe do Sofii w Bułgarii dla objęcia stanowiska pomocnika dekoratora w teatrze bułgarskim. Wszystko to jeszcze na wodzie pisane. Stefan wiezie ze sobą swoje prace z Pragi, latem zajmie się malowaniem dekoracyjnym ścian i sufitów w paru pokojach mojego domu bohdaniskiego. Przyjechał naturalnie bez grosza, ledwo się z Czech wyrwał, goniąc ostatkami. Nawet wizy powrotnej litewskiej na swoje „*sauf-conduit*” nie miał za co zapłacić i przyjechał bez niej, ale go w Wierzbołowie jednak wpuszczono, bo po sprawdzeniu przez telefon w Ministerium Spraw Wewnętrznych okazało się, że wreszcie tej zimy obywatelstwo litewskie zostało mu przyznane.
Ach, i ja bym strasznie już do Bohdaniszek pojechać pragnął. Mam jeszcze Kowna na dwa tygodnie, ale co więcej – boję się, aby nas w Radzie Stanu nie zatrzymano dłużej. Kończymy teraz opracowanie projektu głównego zmiany reformy agrarnej i projekt ten – zapewne w połowie przyszłego tygodnia – do Gabinetu Ministrów już prześlemy, ale kto wie, czy Gabinet Ministrów nie zwróci go nam jeszcze dla jakichś poprawek lub przeredagowania i nie daj Boże, by się z tego jakaś zwłoka wywiązała.
Jadzię do Bohdaniszek wysyłam o dziesięć dni przede mną – we środę przyszłą. Tymczasem jest ona w tym tygodniu jak w ukropie skąpana. Wprawdzie egzaminów w swej szkole artystyczno-rzemieślniczej nie zdaje, bo zdecydowała się wrócić jeszcze w jesieni do tej szkoły i nadal się w niej uczyć do Bożego Narodzenia, ale bierze udział w wystawie robót uczennic szkoły. Wystawa ta ma być otwarta jutro, a tymczasem Jadzia musiała w ciągu tych paru tygodni wykończyć malowidło na skórze i wyszywanie

firanki na tę wystawę. Kilka ostatnich dni męczy się i pracuje jak szalona, aby zdążyć. Nocami sypia zaledwie po parę godzin, ślęczy bez ustanku nad robotą lub biega z jednego końca Kowna na drugi do szkoły; zmizerniała jeszcze bardziej, jeżeli to możliwe i goni ostatkami sił i nerwów, które wysila do ostatecznych granic. Jest ona jak w gorączce. Odpowiada to zupełnie jej gorącej i szczerej naturze, która nie umie się zadowolić połowicznością i do czego się bierze – to robi z prawdziwie litewskim temperamentem upartej wytrwałości i gorączki zupełnego oddania się, ale na jej zdrowie to nie jest dobre.

29 czerwca, rok 1928, sobota
Na jutrzejszy Kongres „Kultury" ułożyłem pozdrowienie, które chcę jutro na otwarciu kongresu ustnie wypowiedzieć. Chcę to uczynić dla dobitniejszego zaznaczenia mego wspólnictwa ideowego z kierunkami wolnomyślnymi lewicy, które może – ze względu na moje stanowisko w Radzie Stanu – posądzają mię o dezercję do obozu reakcji społecznej. Oto tekst mojego zamierzonego przemówienia:
„Aukštai Gerbiamosios Ponios! Aukštai Gerbiamieji Ponai!
Man rodos, kad tarp įvairių suvažiavimų ir kongresų, kurie yra įprasta daryti vasaros metu, šis kongresas – Kultūros Kongresas – turi mums Lietuvoje ypatingos reikšmės. Kultūros Kongresų tradicija jau yra pas mus nusistovėjusi. Einant tąja tradicija, tie kongresai jau yra įgiję tam tikrąjį idėjinį vardą ir turi vardą visuomenėje. Bet, žinoma, ne pačioje tų kongresų tradicijoje glūdi jųjų reikšmė ir svarba. Ypatingai svarbus yra gyvas visuomeniškas kultūros darbas, kurio planavimui tie kongresai yra skiriami. Šalies kultūrinimui svarbi yra ne tiktai kultūrinė kūryba, ne tiktai pats kūrybinis procesas, kuris yra labiau individualus, negu masinis, nors, žinoma, ir individuali kūryba yra tampriai surišta su visu socialiniu bendravimu, su pastarojo formomis, palinkimais ir siekimais, bet be to svarbus yra kultūros skleidimas plačiuose visuomenės sluoksniuose, jos elementų tirpimas žmonių sąmonėje ir socialinių junginių įpročiuose bei veikime. Tas darbas nėra ir negali būti grynai individualus. Jis yra reikalingas kultūrininkų jėgų subūrimo, jųjų planingo ir tikslaus suorganizavimo, jųjų veikimo suderinimo ir išplėtimo pačios visuomenės tarpe, sudarant greta vieningo centro visą plejadą iniciatyvinių visų sričių būrelių, pagaliau tas darbas yra reikalingas tam tikrojo kultūrinės asimiliacijos proceso, kuris, be abejo, tegali būti tik masinis. Visa tai yra Kultūros Sąjungos organizuojama, o Lietuvos Kultūros Kongresų tikrinama, jųjų debatais tvarkoma ir juose iškeltomis mintimis gaivinama ir gilinama.
Tai yra darbas, kuris yra reikalingas tiek visuomenė, tiek valstybė, nes civilizuotos žmonijos tarpe tiktai kultūringos jėgos sugeba tvarkytis ir laimi įvairias kovas, kurias joms tenka vesti besiekiant savo socialinius tikslus ir tiktai kultūringame socialiniame tarpe aiškėja žmonių sąmonėje jųjų grupiniai reikalai, jųjų istorinės evoliucijos, jųjų socialinių tikslų tikroji esmė ir kyla politikos, t.y. – tikslių priemonių tvarkytis, veikti, o reikalui esant ir kovai vesti pasirinkimo ir taikymo menas, auga įvairių socialinio solidarumo kategorijų sąvoka ir gimsta laisvės troškimas, autonominio savarankiško valdymosi reikalas ir bręsta pasiryžimas ne tiktai veikti, bet ir susitvarkyti.
Barbarai temoka siekti artimiausius tikslus, jie supranta ir junta tiktai apčiuopiamus reikalus; pavyzdžiui – kad pasinaudotų skaniais medžio vaisiais, jie bus linkę nukirsti patį medį, negalvodami apie tai, kad nukirtę medį – jie ateity iš jo visiškai vaisių neteks. Ir jie yra kultūringųjų nugalimi, išnaudojami ir už tai jųjų pačių vergiško darbo vaisių likučiais maitinami. Jie laisvės ir autonominio valdymosi nėra priaugę. Kultūrinkimės ir mes būsime laisvi ir galingi, būsime susitvarkę savo ūky, savo šeimose, savo draugijose, savo profesiniuose, tautiniuose ir kituose socialiniuose junginiuose, pagaliau – savo valstybėje, nes nuo to ir pareina kiekvieno tų junginių ir viso socialinio bendravimo

santvarka. Formalinė teisinė santvarka iš tikrųjų turi būti ne dekretuojama iš viršaus ir ne iš gražių pavyzdžių nurašoma, bet socialinių visuomenės jėgų santykiavimu sudaroma ir organizuotų kultūringų jėgų išsaugojama...“[10].

30 czerwca, rok1928, niedziela
„...Dar XIX amžiuje Lassal buvo pajuokęs naivu rašytų konstitucijos lapu tikėjimą tų, kurie, kaip jis sako, mano, kad užtenka ant kriaušės medžio pakabinti kortelę su parašu, kad tai esąs figų medis, ir susirinkti visiems kaimynams ir geriems žmonėms prisiekti, kad tai iš tikrųjų esąs figų medis; o kriaušė vis dėlto figų medžiu nevirs, nors tai ir bus kortelėje parašyta bei priesaika garantuota. Surašykite tobuliausią – pavyzdžiui Anglijos nerašytąją konstitucinę teisę ir apdovanokite jąja laukinių ar barbarų tautelę; nieko iš to jūsų darbo neišeis. Sukūlturinkite socialines jėgas, suorganizuokite jas ir turėsite pretorių materialinę ir formalinę visuomenės santvarką, juo tobulesnę ir pastovesnę – juo kultūringesnės ir tuo pačiu sąmoningesnės bei stipresnės bus tos jėgos. Jaunosios atgimusios Lietuvos istorija šiuo atžvilgiu yra ypatingai reikšminga; kas gi, jei ne slaptoji XIX amžiaus pabaigos spauda ir knygnešiai, sudarė tą socialinę mūsų šaly aplinkumą, kurioje galėjo išaugti Lietuvos valstybės nepriklausomybė?! Organizuoti idėjiniai kultūrininkai laimėjo vieną įdomiausių istorinių bylų, kurios laimėjimas nenusimanantiems atrodo tiesiog stebuklu arba atsitiktiniu paradoksu, tačiau mums tai yra tikrenybė – logiška ir aiški. Be XIX amžiaus spaudos ir knygnešių

[10] „Wielce Szanowne Panie! Wielce Szanowni Panowie!
Wydaje mi się, że wśród różnych zjazdów i kongresów, które zwykło się zwoływać w okresie letnim, ten kongres – Kongres Kultury – ma dla nas na Litwie znaczenie szczególne. Tradycja kongresów kultury już się u nas ukształtowała. Postępując w myśl tej tradycji, kongresy te nabyły już pewien tytuł ideowy i mają swoje imię w społeczeństwie. Oczywista jednak, że nie w samej tradycji kongresów tkwi ich znaczenie i waga. Szczególnie ważna jest żywa społeczna praca kulturalna, której planowaniu te kongresy służą.
Dla wzrostu kultury w kraju ważna jest nie tylko praca kulturalna, nie tylko sam proces twórczy, który jest bardziej indywidualny, niż masowy, choć wiadomo, że i twórczość indywidualna jest ściśle związana z całym procesem komunikacji społecznej, z jej formami, trendami i celami, ważne poza tym jest szerzenie kultury w szerokich warstwach społecznych, wdrażanie jej elementów do świadomości ludzi oraz do nawyków i czynności związków społecznych. Ta praca nie jest i nie może być czysto indywidualna. Konieczne jest w niej zespolenie wysiłków ludzi kultury, ich planowe i dokładne organizowanie, zgranie i poszerzenie czynników kulturalnych w samym społeczeństwie, tworząc obok jednolitego centrum całą plejadę inicjatywnych kółek w różnych dziedzinach, wreszcie praca ta potrzebuje określonego procesu asymilacji kulturalnej, który, niewątpliwie, może być tylko masowy. Wszystko to Związek Kultury organizuje, a Litewskie Kongresy Kultury sprawdzają, porządkują w trakcie debat, ożywiają i pogłębiają myślami, jakie w tych debatach się rodzą.
Jest to praca, której potrzebuje tak społeczeństwo, jak państwo, ponieważ w ucywilizowanej ludzkości tylko siły kulturalne potrafią zaistnieć i wygrywają różne bitwy, jakie muszą toczyć realizując swoje cele społeczne i tylko w kulturalnym środowisku społecznym w świadomości ludzi kształtuje się pojęcie o ich sprawach grupowych, o rzeczywistej istocie ich ewolucji historycznej, ich dążeń społecznych i dojrzewa sztuka wyboru i stosowania polityki, czyli precyzyjnych środków do rządzenia się, działania, a w razie potrzeby i walki, nabiera znaczenia pojęcie różnych kategorii solidarności społecznej i rodzi się pragnienie wolności, autonomicznego i samodzielnego rządzenia się, dojrzewa determinacja nie tylko do działania, ale i określonego porządku.
Barbarzyńcy są w stanie realizować tylko najbliższe cele, rozumieją oni i czują tylko rzeczy namacalne; na przykład, chcąc spożyć smaczne owoce z drzewa, gotowi będą ściąć całe drzewo, nie myśląc o tym, że ścinając drzewo pozbawiają się owoców na przyszłość. Ulegają oni ludom kulturalnym, są przez nie wykorzystywani, żywią się resztkami owoców swojej własnej niewolniczej pracy. Nabywając kulturę, będziemy wolni i silni, będziemy mieli porządek w swojej gospodarce, swoich rodzinach, swoich towarzystwach, w swoich związkach zawodowych, narodowych i innych zrzeszeniach społecznych, wreszcie – w swoim państwie, ponieważ właśnie stąd wynika stan ustroju każdego z tych zrzeszeń i całego obcowania społecznego. Formalny ustrój prawny w rzeczywistości powinien być nie dekretowany z góry i nie kopiowany z dobrych przykładów, ale tworzony w dialogu socjalnych sił społecznych i zachowywany przez zorganizowane siły kulturalne...”.

kampanijos joks pasaulinis karas ir jokia Rusijos revoliucija nebūtų Lietuvos Respublikos pagimdę. Net ir Lietuvos savanorių, partizanų ir kareivių jėgos nebūtų nieko pasiekusios, jei Lietuvos tautinė visuomenė nebūtų anųjų kultūrininkų organizuotu darbu sutvarkyta ir psichiniu jos subrendimu laisvei ir autonomijai paruošta, nes tada ir tų savanorių iš viso nebūtų buvę, ir visuomenėje nebūtų buvę jėgų, trokštančių viso veikimo ir tvarkymosi. Pagaliau Lietuvos 1918 ir 1919 m. savanorių jėgos pačios savaime prieš įvairias organizuotas stiprias svetimas jėgas būtų visiškai menkutės, jei jos nebūtų palaikytos ir padidintos tuo energijos potencijos kapitalu, kuris buvo mūsų šalies visuomenėje kultūrininkų darbu sudarytas.
Tad mokykimės iš to mūsų netolimos praeities pavyzdžio. Ir drįskime dirbti. Ateities laimėtojais bus kultūrininkai. Kultūros gi darbas yra reikalingas laisvos ir drąsios minties, kad ir nesudarančios naujos tikybės laisvamanių sektos, nesudarančios naujos greta esamųjų bažnyčių koplytėlės, nekuriančios naujų savųjų tabu, bet ir laisvos nuo esamųjų priverstinių tabu.
Eidamas šitomis mintimis aš sveikinu mūsų Kultūros Kongresą ir dėkoju už suteiktą man pakvietimu garbę dalyvauti jame“[11].
Taka była moja przygotowana na Kongres Kultury mowa, której się wyuczyłem. Ale stało się z tą mową to samo, co mi się już raz trafiło z mową na otwarcie korporacji „Filiae Lithuaniae“. Oto mowy tej nie wygłosiłem wcale. Różnica tylko ta, że na otwarciu „Filiae Lithuaniae“ mowy nie wygłosiłem przez kunktatorstwo, a tu na dzisiejszym Kongresie Kultury nie wygłosiłem jej rozmyślnie, bo nie znalazłem dla niej właściwego momentu. Pozdrowienia bowiem dla zjazdu zostały w porządku dziennym przesunięte z pierwszego miejsca na ostatnie, a tymczasem sam kongres był dość ubogi, wobec tego na wielkie pompatyczne pozdrowienie nie było w zakończeniu kongresu okazji.

---

[11] „...Jeszcze w XIX wieku Lassal wyśmiewał naiwną wiarę w pisaną kartę konstytucji tych, którzy, jak mówił, uważają, iż wystarczy na gruszy powiesić tabliczkę z napisem, że jest to figowiec i zebrać się wszystkim sąsiadom i dobrym ludziom dla złożenia przysięgi, że jest to naprawdę figowiec; a mimo to grusza z tego powodu nie zmieni się w figowiec, choć to będzie napisane na tabliczce i zagwarantowane przysięgą. Spiszcie najbardziej doskonałe, choćby angielskie niepisane prawo konstytucyjne, i obdarzcie nim lud dziki czy barbarzyński – nic z tego nie będzie. Uczyńcie siły społeczne kulturalnymi, zorganizujcie je i będziecie mieli pod względem materialnym i formalnym pretoriański ustrój społeczny, tym doskonalszy i trwalszy, im bardziej kulturalne, a przez to bardziej świadome i potężniejsze będą te siły. Historia młodej odrodzonej Litwy jest pod tym względem szczególnie znacząca; któż, jak nie tajna prasa z końca XIX wieku i nosiciele książek, wytworzył to środowisko społeczne w naszym kraju, w którym mogła wyrosnąć niepodległość państwa litewskiego?! Zorganizowani i ideowi działacze kulturalni wygrali jedną z najciekawszych spraw historycznych, która to wygrana dla niezorientowanych zakrawa niemal na cud lub przypadkowy paradoks, dla nas jest to jednak rzeczywistość – logiczna i jasna. Bez XIX-wiecznej prasy i kampanii nosicieli książek żadna wojna światowa i żadna rewolucja rosyjska nie zrodziłyby Republiki Litewskiej. Nawet siły litewskich ochotników, partyzantów i żołnierzy nie dopięłyby niczego, gdyby społeczeństwo narodowe Litwy nie było dzięki zorganizowanej pracy działaczy kulturalnych urobione i przygotowane pod względem psychicznym do wolności i autonomii, bo wtedy tych ochotników w ogóle by nie było, a w społeczeństwie nie byłoby sił gotowych do działania i przemian. Wreszcie siły ochotników litewskich w 1918 i 1919 roku same wobec różnych zorganizowanych i potężnych sił obcych byłyby zupełnie szczupłe, gdyby nie zostały poparte i powiększone przez ten kapitał potencji energii, zgromadzony w społeczeństwie naszego kraju dzięki pracy działaczy kulturalnych.
Uczmy się więc ma tych przykładach z naszej nieodległej przeszłości. I miejmy odwagę pracować. Zwycięzcami w przyszłości będą ludzie kultury. W pracy zaś kulturalnej potrzebna jest myśl wolna i śmiała, nie tworząca sekty wolnomyślicieli, nie budująca nowej kapliczki obok istniejących kościołów, nie wprowadzająca swoich nowych tabu, ale też wolna od tabu obecnie istniejących.
Z takimi myślami pozdrawiam nasz Kongres Kultury i dziękuję za zaszczyt zaproszenia do udziału w nim”.

1 lipca, rok 1929, poniedziałek
Choć mowa, którą miałem przygotowaną na Kongres „Kultury", była, zdaje się, niezła, to jednak wygłosić jej nie mogłem dla przyczyn następujących: mowa moja była pozdrowieniem kongresu; pozdrowienia, jak przyjęto, wygłaszane są na początku posiedzeń kongresowych jako element uroczystości otwarcia; i w tym wypadku była ona do porządku dziennego wpisana, jako punkt 3: punkt 1 – zagajenie, punkt 2 – wybór prezydium kongresu, punkt 3 – pozdrowienia; zagaił prof. Lašas jako prezes Rady „Kultury", następnie wybrano prezydium, złożone z trzech przewodniczących, których wszystkich trzech zaproponowali organizatorzy: przewodniczącymi byli prof. Augustaitis, prof. Jonynas i Didžiulis, sekretarzami – dwaj studenci; następnie wszakże porządek dzienny dalszy zmieniono: ponieważ Janulaitis, który miał wygłosić referat, śpieszył się, bo tegoż dnia wyjeżdżał, przeto zabrano się do referatów, pozdrowienia zaś przesunięto na plan dalszy. Referaty, raczej tematy do referatów, przewidziane były dwa; jeden temat – „Problem samodzielności kultury narodowej litewskiej"; do tego tematu przewidziani byli trzej referenci – prof. Janulaitis, prof. Purėnas i prof. Žemaitis. Drugi temat był: „Powszechny przymus szkolny"; referenci przewidziani – Geniušas i prof. Kazimierz Ślażewicz. Wszakże z tych pięciu referentów trzej – Purėnas, Žemaitis i Ślażewicz – nie stawili się. Był tylko Janulaitis, który się śpieszył bardzo, i Geniušas. Žemaitis przysłał swój referat na piśmie. Kongres odbywał się w sali towarzystwa „Varpas" – dosyć ciasnej; dawniej co roku kongresy „Kultūry" odbywały się w sali uniwersyteckiej, większej i dogodniejszej; w tym roku władze państwowe, udzielając pozwolenia na kongres, zastrzegły warunek, żeby kongres odbył się tylko nie na uniwersytecie; co było przyczyną tego zastrzeżenia – nie wiadomo; ludzie z „Kultury" (prof. Lašas) domyślają się, że zakaz urządzenia kongresu w lokalu uniwersytetu był odpowiedzią na odmowę senatu akademickiego na urządzanie na uniwersytecie odczytów o wyszkoleniu wojskowym dla studentów przez pewną organizację oświatową oficerską. Może zresztą były także inne przyczyny zakazu: „Kultura" jest w niełasce jako organizacja lewicowa; czynniki rządowe mogły nie życzyć sobie ułatwiania jej wpływów na młodzież akademicką, w której łonie ujawniły się świeżo dążenia i nawet akty terrorystyczne; w każdym razie, władze mogły nie chcieć, by „Kultura" choćby przez lokal dla kongresu swego miała kontakt z uniwersytetem. Publiczności na kongres nabrało się przeszło 100 osób; znaczną, bodaj przeważającą ilość stanowili studenci albo młodzież, która niedawno studia akademickie ukończyła. Żydów nie było wcale – sami Litwini. Dzień był gorący, na sali, dość niskiej i pełnej ludzi, było duszno. Referat Janulaitisa był dość pobieżny i ogólnikowy. Referat Žemaitisa był z początku odczytywany, ale, jako jeszcze bardziej pobieżny i dyletancki, znudził słuchaczy, a gdy ujrzano całe pliki jego dalszego ciągu, zaproponowano przekazać go Radzie „Kultūry" do rozpoznania i zaniechać czytania *in extenso*. Organizatorowie kongresu powinni byli spreparować referat zawczasu, wyciągnąć zeń tezy i jeno tezy ogłosić, jak to się zwykle na kongresach robi. Otwarto dyskusję na temat referatów Janulaitisa i Žemaitisa. Z barwną i pełną paradoksów i wycieczek politycznych przeciwko dyktatorom i dyktaturom, a bardzo ciekawą i oryginalną miejscami mową wystąpił, jak zwykle, Józef Albin Herbaczewski, chaotyczny i genialny po swojemu, ale rozrzucony i nieścisły; potem zabierał głos Bielinis. Rzecz zboczyła na kwestię improwizacji, co to właściwie jest kultura. Więcej nikt nie przemawiał; dyskusji planowej nie było. Zarządzono przerwę – potem drugi referat. Pozdrowienia zepchnięto na sam koniec. Tok kongresu był blady, mizerny, moja mowa w zakończeniu tego kongresu byłaby zanadto polityczna. Dałem więc za wygraną i wyszedłem przed końcem. Kongres „Kultury" imponujący wcale nie był. Mówić w

pozdrowieniu o znaczeniu kultury, gdy na kongresie dysputowano dopiero o tym, co to jest kultura, byłoby dość dziwaczne.

2 lipca, rok 1929, wtorek
Przed paru dniami zakończona została w Sądzie Okręgowym w Kownie głośna sprawa Kalinowskiego, Józefa Landsberga i innych, czyli tzw. sprawa Banku Litewskiego, w której kilku urzędników tego banku było oskarżonych o defraudację paruset tysięcy litów, podjętych z kasy bankowej za sfałszowanymi czekami z ruchomych sum rachunku bieżącego pewnego towarzystwa fikcyjnego. Sprawa zyskała wielki rozgłos zarówno ze względu na emisyjny Bank Litewski, w którym ta afera miała miejsce, jak ze względu na niezwykle długi przebieg rozpraw sądowych – rozprawy trwały koło trzech tygodni (19 dni) – zdaje się, że jest to najdłuższy proces karny, jaki się w Litwie odbywał; podobno tę długość rozprawy zawdzięcza się nieudolnemu przewodniczeniu sędziego Vazbysa, wreszcie sprawa nabrała rozgłosu ze względu na osobę oskarżonego Landsberga. Całe „clou” sensacyjne sprawy polegało na kwestii, czy Landsberg jest winien, czy nie. Landsberg, członek rodziny, która się w młodym narodowym ruchu litewskim zaznaczyła wybitną gorliwością patriotyczną, człowiek w społeczeństwie litewskim znany jeszcze przed wojną, były sędzia wojenny w pierwszych latach niepodległości, wyróżniający się na tym stanowisku wielkim okrucieństwem wyroków, potem buchalter główny w Banku Litewskim z pensją kilku tysięcy litów miesięcznie (przed rokiem wybudował sobie ładny dom przy ulicy Podgórnej), był przez oskarżonego Kalinowskiego oskarżony o wspólnictwo w tej defraudacji. Dowodów wyraźnych przeciwko Landsbergowi nie było, jeno była obmowa Kalinowskiego, parę drobnych szczegółików niewyraźnych, ten fakt, że przez jego ręce, jako buchaltera głównego, przeszły czeki fałszywe, wreszcie ta okoliczność, że był związany poufnym stosunkiem z kilku kobietami, które utrzymywał lub którym pomagał i pomiędzy którymi była też w pewnej niewyraźnej pozycji żona oskarżonego Kalinowskiego. Sąd uniewinnił Landsberga, ale proces odsłonił stosunki faworytyzmu w banku, związane z flircikami Landsberga i nawet samego kierownika naczelnego banku prof. Jurgutisa z urzędniczkami bankowymi.
W interview, udzielonym przedstawicielom prasy przez premiera prof. Voldemarasa, jest charakterystyczna wzmianka o tym, że profesura uniwersytetu jest uprzedzona o tym, iż z początkiem roku akademickiego wprowadzony zostanie w życie nowy statut uniwersytecki. Nieśmiertelna sprawa reformy uniwersyteckiej znowu się wysuwa na czoło. Tym razem, jeżeli sądzić można z artykułów, drukowanych w „Lietuvos Aidas”, zamierzona jest reforma radykalniejsza, niż była zamierzona przed rokiem; chodziłoby mianowicie o zupełną likwidację formalną dotychczasowego uniwersytetu i tworzenie formalnie nowego. Tyle razy jednak straszono uniwersytet tą zapowiadaną reformą, że teraz nie wiadomo, czy należy zapowiedziom obecnym wierzyć, czy nie.

3 lipca, rok 1929, środa
Dziś wysłałem Jadźkę do Bohdaniszek. Dawno bym ją wysłał, gdyby nie jej szkoła. I dla jej własnego zdrowia, i dla mojej gospodarki w Bohdaniszkach byłoby o wiele lepiej, żeby moja dzielna Jadzia od wiosny tam siedziała. I sama ona tęskniła do Bohdaniszek i rwała się tam nieraz, ale przywiązanie do szkoły i właściwa Jadźce gorączka i przejęcie się każdą akcją, w której sama czynny udział bierze, przeważyły. W jej szkole właśnie pod koniec roku szkolnego wykonywane są najciekawsze i największe roboty, poza tym jest wystawa doroczna prac uczennic, której w zeszłym roku Jadźka nie widziała, wreszcie – egzaminy, które sama też zdawać miała, mając ukończyć szkołę. Ale ostatecznie nie zdecydowała się na rozstanie się ze swoją szkołą

ukochaną i do egzaminów nie stanęła: będzie się w niej uczyć jeszcze jedno półrocze. Za to cała się w ostatnich czasach – ciałem i duszą – oddała robotom, wykańczanym na wystawę i ostatnie parę tygodni ślęczała nad swymi robotami (rysunki i malowidła na skórze do oprawy albumów i ilustracji, firanki wyszywane itd.) – od świtu do nocy. Rzeczywiście, wykonała roboty bardzo ładne. Na wystawie dyżurowała stale i bawiła się wystawą jak dziecko, podczas gdy jej koleżanki zdawały egzaminy. Wystawa miała miejsce od soboty do dziś wieczora. Zwiedziłem oczywiście i ja tę wystawę i muszę przyznać, że była bardzo ładna i obfita. Dziś przed samym zamknięciem wystawy odbył się akt uroczysty szkolny w obecności delegatów Ministerium Oświaty i licznych gości – zwłaszcza spośród uczni Szkoły Sztuk Pięknych. Były mowy, było ogłoszenie wyników egzaminów i pożegnanie kończących panien. Ja na tym akcie nie byłem, ale Jadźka pobiegła i dopiero stamtąd wprost na kolej podążyła, cała poruszona i przejęta uroczystością, opowiadająca o niej, bawiąca się wrażeniami swymi. Wsadziłem ją do wagonu i pożegnałem. Zazdroszczę Jadźce wyjazdu. Sam co najmniej do piątku przyszłego pozostać w Kownie muszę i jeszcze, daj Boże, aby nie wypadło siedzieć dłużej.

4 lipca, rok 1929, czwartek
A to biednej Jadźce w Bohdaniszkach wypadł strach! Ona, co tak się dziko piorunów lęka – zwłaszcza w Bohdaniszkach – na sam swój przyjazd miała tam od razu pierwszego dnia burzę. Z pewnością bowiem ta burza, która dziś wieczorem się rozszalała, nie była tylko lokalną w Kownie; musiała ona i tam szaleć. Wyobrażam sobie strach Jadźki.
Przyjeżdżał dziś do Kowna Eugeniusz Falejew, wezwany przeze mnie. Spadł na niego biednego nieoczekiwany a straszny cios majątkowy, który mógł go po prostu zabić. Zdawało się, że w sprawie odzyskania swoich dziedzicznych Purpiszek stanął on na dobrej i mocnej drodze. Jego majątek Purpiszki był po wojnie wzięty w zarząd państwowy, jak wszystkie majątki niewiadomych lub nieobecnych w kraju właścicieli. Falejew po powrocie z Rosji nie bardzo się śpieszył ze staraniami o odebranie tego majątku, który skądinąd był obciążony kilkuletnią dzierżawą. Zajął się on w Antonoszu organizacją spółki owocarskiej, eksportem owoców i wyrobem wina owocowego. Nie nazbyt świetnie szedł mu interes, ale jakoś mu tam szedł. Głównym wspólnikiem jego był Rimša z Rakiszek. Szereg defraudacji i oszustw Rimšy, zakończonych jego ucieczką do Brazylii, spadły ciężarem na Falejewa, który musiał spłacać weksle, wydane Rimšy lub Bankowi Ukininkų Sajungos w Rakiszkach, którego dyrektorem był Rimša. Falejew , siedzący bez grosza, został zachwiany. Stracił też dzierżawę Antonosza. Wtedy dopiero pomyślał o ratowaniu się Purpiszkami. Udało mu się nieźle i choć formalnie Purpiszki są własnością nie jego, lecz brata, który umarł i zostawił w Rosji rodzinę, jednak Falejewowi, mianowanemu opiekunem majątku zaginionego brata, po wielu staraniach udało się tyle, że mu z zarządu państwowego Purpiszki zwrócono. Postanowił je sprzedać i ewentualnie, po spłaceniu długów, z pozostałymi pieniędzmi, sprowadziwszy z Rosji synów brata, wyjechać z nimi do Brazylii lub Argentyny. Ewentualnie chciał jeszcze wpierw te pieniądze w obrót nieco puścić, aby wyspekulować ich pomnożenie. Co do Purpiszek, chodziło już tylko o podjęcie paru tysięcy litów z rachunków administracji Purpiszek przez organy państwowe i o uzyskanie od władz tytułu własności. Tymczasem już zaprzedał częściowo Purpiszki, pobrał zaliczki, poniekąd nawet cenę. Aż oto nagle, gdy jego adwokat Nargiełowicz zajął się podjęciem pieniędzy z Ministerium Rolnictwa, wykryto tam na zasadzie aktów dawnych na Purpiszki, że majątek ten został przez ojca Falejewa kupiony niegdyś na warunkach ulgowych – bez płacenia podatków – to znaczy kupiony na cele rusyfikacji.

Takie majątki w myśl ustaw, związanych z reformą agrarną ulegają całkowicie konfiskacie. Zatelegrafowałem do Falejewa, wzywając go. Przyjechał i gdy się dowiedział – był strasznie przygnębiony. Strata Purpiszek nie tylko że sproletaryzowałaby go z kretesem, ale też pozbawiła wszelkiej podstawy materialnej, a – co gorsza – zmusiłaby go do zwrotu pobranych pieniędzy. Na szczęście Nargiełowicz zdołał rzecz o tyle uratować, że mu przyrzeczono nie wszczynać kwestii Purpiszek. Ale Falejewa, choć się cieszył takim zapewnieniem, rzecz ta nie ratuje. Jeszcze pozostawiona mu jest możność sprzedaży, ale żeby sprzedać, trzeba mieć tytuł własności, a tego mu rząd nie da, mogąc co najwyżej tolerować stan faktyczny. To znaczy, Falejew może siedzieć na zwróconym folwarku – gospodarzyć, rządzić, byle tylko cicho, byle nie dochodziła do władz kwestia jego tytułów własności, bo wtedy zarząd reformy agrarnej będzie zmuszony wywlec sprawę nabycia ulgowego i zarządzić konfiskatę majątku. Falejew za parę dni wrócić do Kowna, ma iść do Prezydenta Smetony, ma szukać dróg wpływów, ewentualnie szukać z adwokatami sposobów zalegalizowania sprzedaży. Ale już przynajmniej groźba konfiskaty na razie zawieszona. Biedny człowiek.

5 lipca, rok 1929, piątek
Gdym dziś po posiedzeniu w Radzie Stanu o godz. pierwszej po południu siedział w kawiarni Perkowskiego, nagle ujrzałem wchodzącego kochanego dr Adolfa Narkiewicza z Wilna ze swym pasierbem (synem jego żony z jej pierwszego małżeństwa) – Sławkiem (Sławek – imię). Ucieszyliśmy się obaj. Narkiewicz dziś z Wilna przez Jewje przyjechał, udając się do swego folwarku rodzinnego na Żmudź w okolicach Švekšny w powiecie taurogoskim, gdzie już od Wielkiejnocy spędza wakacje jego żona z synkiem. Takiego kochanego gościa, jak Adolf Narkiewicz, nie mogłem puścić samopas. Tyle gościnności doświadczając od niego w Wilnie – muszę mu się w Kownie odpłacić. Toteż porzuciłem wszelką pracę i towarzyszyłem mu aż do jego wyjazdu wieczornego pociągiem kłajpedzkim. Wziąłem automobil i utartą drogą obwoziłem go z pasierbem po mieście i okolicy. Pokazałem mu domek Mickiewicza, gmachy uniwersytetu, nowo powstałe dzielnice w okolicach Placu Wystawowego, Plac im. Piotra Vileišisa, dzielnicę przy Aukštaičių, Kaukių i Žemaičių ulicach, potem szosą wiłkomierską zjechaliśmy do Starego Miasta, obejrzeliśmy Plac Ratuszowy, przejechaliśmy za Niemen, za Aleksotę do budującego się gmachu uniwersyteckiego, skąd oglądaliśmy widoki Kowna, Niemna i Wilii, potem szosą forteczną ponad parowami o ślicznych widokach, mimo fabryki konserw „Maistas" do dworu Fredy. Tam odprawiliśmy samochód i udaliśmy się pieszo do kolonii na Fredzie, gdzie pokazałem Narkiewiczowi mój placyk ziemi, a stamtąd już zeszliśmy nad Niemen, przeszliśmy przez most kolejowy do dworca, pojechaliśmy jeszcze do Konrada na podwieczorek i wreszcie na kolej. Wsadziłem jeszcze Narkiewicza do wagonu i dopiero wtedy pożegnałem.
Napiszę teraz o losach mojego siedzenia w Kownie i o pracach śpiesznych Rady Stanu, od których zależą nasze wakacje. Śpiesznym szczególnie był projekt reformy agrarnej, omówiony na konferencji przedstawicieli Rady Stanu (Šiling, Starkus i ja) z przedstawicielami rządu (Voldemaras i Aleksa) u Prezydenta Rzeczypospolitej, o czym w swoim czasie pisałem. Na konferencji tej ustalone zostały tezy zasadnicze zreformowania normy własności nietykalnej i ustalono, że chodzić ma o trzy projekty: jeden zasadniczy – o normie, drugi, dotyczący całego szeregu poprawek detalicznych do działającej ustawy o reformie agrarnej, i trzeci – o odszkodowaniu byłych właścicieli. Z tych trzech projektów tylko pierwszy uznany został urzędowo za extra śpieszny, mający być gotowy koniecznie przed wakacjami, aby jeszcze w lipcu mógł

być ogłoszony. Co do drugiego – detalicznego, stanowiącego prawdziwą kazuistykę, śpieszność urzędowo ustalona nie została; Voldemaras nawet w ogóle tego projektu poprawek detalicznych nie popiera, uważając, że się można byłoby zadowolić jedną krótką ustawą zasadniczą, która by ustaliła jeno kilka przepisów kapitalnych nowych, pozostawiając wszelkie inne zmiany detaliczne interpretacji. Ale na tym osobnym projekcie poprawek nastaje minister Aleksa, któremu chodzi także o pośpiech. Wreszcie trzeci projekt – o odszkodowaniu – domyślnie się odracza na dalsze przyszłe czasy.

6 lipca, rok 1929, sobota
Prezes ministrów prof. Voldemaras, przesyłając na piśmie Radzie Stanu – nazajutrz po konferencji u Prezydenta Rzeczypospolitej – zlecenie opracowania odpowiednich dwóch projektów ustaw, dotyczących reformy agrarnej, powołał się na debaty owej konferencji i w stosunku do pierwszego projektu sformułował następujące cztery postulaty, które powinny znaleźć wyraz w projekcie: a. norma nietykalnej własności ± 150 ha ziemi z zastrzeżeniem, że cyfra ta może być za zezwoleniem ministra rolnictwa w poszczególnych wypadkach przekraczana ze względów na racjonalną gospodarkę na tej normie; b. norma ta ma być stosowana tylko do tych majątków, które nie są jeszcze rozparcelowane; c. właścicielom, którzy zachowują jeno dawną normę 80 ha, będzie się należała kompensata, którą ustali osobna ustawa o odszkodowaniu za wywłaszczenie; d. tam, gdzie wywłaszczona z mocy Ustawy o Reformie Agrarnej ziemia została wydzierżawiona byłemu właścicielowi na rzecz prowadzenia tzw. gospodarki kulturalnej, tam reszta ziemi wydzierżawionej po uzupełnieniu normy własności do 150 ha przechodzi na rzecz byłego właściciela na prawie dzierżawy wieczystej. Co do drugiego projektu – projektu poprawek detalicznych, którego Voldemaras sam nie popiera, acz na który nastaje minister Aleksa – pismo Voldemarasa zaleca Radzie Stanu porozumieć się z ministrem Aleksą co do tempa i treści tychże poprawek.
Po otrzymaniu tego zlecenia nasza komisja reformy agrarnej w osobach Starkusa, Kalnietisa i mnie zabrała się do pracy przede wszystkim nad projektem pierwszym. Wszakże nie bacząc na wyniki konferencji u Prezydenta i na wyraźne zlecenie Voldemarasa, komisja postanowiła opracować dwa równoległe teksty projektu: jeden – oparty na przesłankach rządowych i drugi – własny. Zasady tego drugiego projektu były jeszcze przed konferencją u Prezydenta podniesione w Radzie Stanu przez Kalnietisa, a przez głównego u nas znawcę reformy agrarnej Starkusa z wielkim uznaniem przyjęte i rozwijane. I choć na konferencji u Prezydenta zasady te były omówione (ja sam je wtedy zreferowałem) i przez członków rządu kategorycznie odrzucone, to przecież teraz Kalnietis i Starkus wrócili znów do nich, a ja temu nie oponowałem. Kontrprojekt Rady Stanu wychodzi z założenia, że nie ma potrzeby zmieniać samą zasadę normy 80-hektarowej, skoro można prawie ten sam skutek osiągnąć inną drogą, a za to uniknąć zobowiązania się do kompensaty, która się może okazać ponad siły płatnicze państwa. Mianowicie teraz – w myśl działającej Ustawy o Reformie Agrarnej – ci właściciele ziemscy, którzy w dniu ogłoszenia Ustawy o reformie agrarnej mieli ogółem ziemi nie więcej, niż 200 ha, mają prawo za pozwoleniem Zarządu Reformy Agrarnej sprzedać z wolnej ręki nadwyżkę formalnie wywłaszczoną swojej ziemi ponad 80 ha, ale tylko do 150 ha (to znaczy ogółem 70 ha), a jeżeli tego nie uczynią albo pozwolenia nie otrzymają i jeżeli przeto państwo od nich tę nadwyżkę odbierze, to musi im za tę różnicę między 80 a 150 ha (to znaczy za 70 ha) zapłacić cenę rynkową. Otóż w myśl kontrprojektu Rady, ci właściciele będą mogli te 70 ha zatrzymać sobie na własność ponad normę 80 ha. Nie będzie to żadne łamanie zasad dotychczasowych reformy lub wprowadzenie czegoś nowego, co by wymagało kompensaty dla innych; podstawą tu jest stan istniejący prawa i po prostu państwu nie opłacało się brać tę ziemię po cenie

rynkowej, więc jej nie bierze, pozostawiając ją w ręku byłego właściciela, którego skądinąd nie ma racji zmuszać koniecznie do sprzedawania tej nadwyżki. Prawda, że to jest oparte na pewnego rodzaju przywileju drobniejszych właścicieli, ale ten przywilej nie tą ustawą jest tworzony – jest on przez dawną ustawę przyjęty, jest faktem, a nie postulatem.

7 lipca, rok 1929, niedziela
Kontrprojekt Rady Stanu w sprawie reformy agrarnej nie ustanawia więc normy nietykalnej, która w ogóle dla wszystkich pozostaje dawna – 80-hektarowa, jeno tym właścicielom do 200-hektarowym, dla których ustawa zasadnicza o reformie agrarnej ustanowiła przywilej ceny rynkowej odszkodowania za 70 hektarów, wywłaszczonych ponad normę, udziela prawa zrealizowania tego przywileju w postaci zachowania tych 70 ha na własność, co jest tylko ekwiwalentem ceny rynkowej i co oczywiście nie stwarza żadnego nowego prawa do kompensaty dla wszystkich, którzy w ogóle tego przywileju nie mają. Uwzględnia kontrprojekt Rady także tych byłych właścicieli ziemskich, którym rząd wydzierżawił wywłaszczoną od nich ziemię lub część tejże na rzecz tzw. gospodarki kulturalnej. W tym wypadku chodzi już przeważnie o byłą wielką własność obszarniczą. Otóż tym byłym właścicielom kontrprojekt Rady przyznaje także na własność z dzierżawionej przez nich od rządu ich byłej ziemi 70 ha ponad normę 80 ha; to znaczy, że i oni uzyskują ogółem 150 ha własności, ale nie z tytułu normy ogólnej, która się nie podnosi bynajmniej, jeno z tytułu kultury ich gospodarstwa i potrzeb (zwłaszcza kredytowych) gospodarstwa kulturalnego na większej przestrzeni dzierżawionej. I stąd przeto nie wypływa dla innych byłych właścicieli żadnego prawa do kompensaty, albowiem chodzi tu o tytuł szczególny, który do nich w ogóle nie ma zastosowania. W ten sposób kontrprojekt Rady unika zobowiązania kompensaty dla tych, którzy z dyspozycji tego projektu nie korzystają. Co zaś do projektu, opartego na zasadach, wskazanych przez rząd, to na razie komisja Rady w układaniu tego projektu nieco się odchyliła od ścisłości tych zasad, usiłując z jednej strony zatuszować nieco tezę normy 150-hektarowej jako właśnie normy ogólnej, a z drugiej – modyfikując wskazaną przez rząd dzierżawę wieczystą gruntów, wydzierżawionych byłym ich właścicielom na gospodarstwo kulturalne. Komisja Rady Stanu zważywszy, że niewłaściwym jest tworzenie nowej formy dzierżawy wieczystej wtedy, kiedy się właśnie likwidują wszystkie stare formy przeżytkowe czynszu i dzierżawy wieczystych i kiedy się uwydatnia tendencja do wytworzenia czystego typu własności stosunkach nieruchomości, zaprojektowała w tym względzie dwa nowe ewentualne warianty zamiast tej zasady rządowej: albo wariant własności czystej na całej przestrzeni dzierżawy kulturalnej pod warunkiem, że dzierżawcy obecni do chwili upłynięcia terminu dzierżawy kulturalnej istotnie się tą kulturą wykażą, albo wariant drugi, który przewiduje dziedziczność i odnawialność dzierżawy kulturalnej na warunkach wprawdzie zmiennych, ale nie uciążliwych dla dzierżawy, z zastrzeżeniem utrzymania kultury przez dzierżawcę. Gdy projekty komisji wpłynęły na plenum Rady – plenum zaakceptowało kontrprojekt jako swój i jako zalecany przez Radę rządowi, dążąc do przekonania rządu o konieczności przyjęcia właśnie kontrprojektu. Wobec tego, ześrodkowując całą swą uwagę i argumentację na kontrprojekcie – Rada (plenum) postanowiła nie wdawać się wcale w korygowanie jakimiś wariantami projektu głównego, opierając go ściśle na postulatach rządowych bez żadnych poprawek. Gdy jednak praca została w Radzie zakończona i na posiedzenie zaproszony został minister rolnictwa Aleksa, który przyszedł w asystencji naczelnika reformy agrarnej Danilewskiego, to się okazało, że o przyjęciu przez rząd kontrprojektu Rady ani mowy być nie może i że chodzi li tylko o projekt, oparty na zasadach rządowych.

8 lipca, rok 1929, poniedziałek
Jeszcze jedną tezę prawną wpisała Rada Stanu do opracowywanego przez nią projektu, dotyczącego reformy agrarnej. Tezę tę ustaliła ona tak w projekcie głównym, opartym na zasadach rządowych, jak w kontrprojekcie własnym. Jest to teza o tym, że przepisy projektu stosowane są bądź do byłego właściciela, bądź do nabywcy jego praw. To znaczy, że uzupełniające 70 ha własności otrzymać ma ten, kto nabył od byłego właściciela jego prawa. Ze stanowiska logiki prawnej teza taka może być kwestionowana. Bo jakież to prawa mógł po wyjściu ustawy o reformie agrarnej nabyć od byłego właściciela ktoś trzeci? Albo prawo własności w zakresie normy 80-hektarowej, albo prawo do odszkodowania za pozostałą wywłaszczoną ziemię. Innych praw były właściciel z mocy ustawy o reformie agrarnej nie miał, przeto ich i przelać nie mógł. Oczywiście, że i pod względem ekonomicznym transakcja przelewu praw nie zawierała w sobie nic innego, jak te dwa prawa, to znaczy, że w przelewie uwzględniana i szacowana była materialnie tylko wartość realna tych dóbr, które się z tymi prawami łączyły; w stosunku do normy własności – to jest zupełnie jasne: kto kupował normę, wiedząc, że wynosi ona 80 ha, ten liczył realnie na te 80 ha i płacił cenę tychże; jeżeli dziś do tych 80 ha dokłada się jeszcze 70 ha, to nabywca normy nie ma i nie może mieć do tego dodatku żadnych roszczeń, bo kupował on normę konkretną, a nie losową, i cenę za normę konkretną płacił. Ale może tytuł jego wypływa z praw byłego właściciela do odszkodowania za ziemię wywłaszczoną, o ile on te prawa kupił? Lecz przecież i to odszkodowanie miało wyraz konkretny; gdyby jeszcze to odszkodowanie było odpowiednikiem wartości dobra wywłaszczonego, to można byłoby twierdzić, że odszkodowanie za wywłaszczonych 70 ha i zwrot tych 70 ha są ekwiwalentem, a więc jedno pokrywa drugie; ale w istocie to odszkodowanie, oparte na przepisach ustawy o reformie agrarnej, nie ma żadnego stosunku realnego wartościowego do wywłaszczonego majątku; jest ono tylko symbolem funkcyjnym „odszkodowania”, będąc śmiesznie małe. Tą drogą udzielanie teraz tych dodatkowych 70 ha nabywcy praw – jest darowizną na jego rzecz, jest jakimś wzbogacaniem go bez żadnego realnego tytułu. Jest to dawanie mu tego, czego on bynajmniej nie nabył, za co się z byłym właścicielem nie rozrachował, na co zgoła nie liczył i co dlań po prostu z nieba spada. Ale w Radzie Stanu opinia pod tym względem przeważała inna, oparta na mocnej chęci nadania tych 70 ha właśnie samemu nabywcy praw, lecz nie byłemu właścicielowi. Logikę prawa i względy sprawiedliwości zwyciężył wzgląd zwłaszcza narodowy: olbrzymia większość nabywców – to są Litwini, zaś większość byłych właścicieli – Polacy itd. Ten argument jest dla członków Rady przekonywający. Skoro się już ziemię udziela, skoro się zakłada nowy powiększony 150-hektarowy typ gospodarstwa, to niechże skorzystają z tego Litwini.

9 lipca, rok 1929, wtorek
Wszakże łącząc uzupełnienie normy nietykalnej własności (dodawane 70 ha) nie z prawem własności sprzed reformy agrarnej, lecz z prawami do odszkodowania, wypływającymi z reformy agrarnej, Rada Stanu postarała się o uzgodnienie tego nowego przepisu z gospodarczym założeniem projektu powiększenia normy. Mianowicie przyjmując za punkt wyjścia, że podstawą powiększenia normy jest przeświadczenie o tym, że w warunkach gospodarczych agrarnych Litwy pożądane jest utworzenie typu gospodarstwa większego ponad 80 ha, mianowicie 150-hektarowego, Rada Stanu do ułożonego przez siebie tak projektu rządowego, jak kontrprojektu własnego – wpisała zastrzeżenie, że dodatkowe 70 ha tylko w takim razie są udzielane, gdy prawa do odszkodowania, stanowiące tytuł dla tych 70 ha, i prawo własności na

pierwotną normę 80 ha są połączone w jednym ręku: jeżeli przeto były właściciel zbył swoje prawa do normy 80 ha, pozostawiając sobie prawo do odszkodowania, albo – odwrotnie – zbył to prawo do odszkodowania, zachowując sobie normę, w takim razie ani on, ani nabywca nie otrzymują 70 ha, jeno w myśl projektu (nie kontrprojektu) podmiot praw do odszkodowania nabywa prawa do przewidzianej w tym projekcie kompensaty.
Tak się w ogólnych zarysach przedstawia elaborat Rady Stanu, który jeszcze do Gabinetu Ministrów skierowany nie został, bo się jeszcze oszlifowuje pod względem językowym i technicznym w komisji redakcyjnej. Komentarz motywów do tego elaboratu pisze Starkus. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że kontrprojekt Rady będzie przez Gabinet Ministrów odrzucony i że przyjęty będzie projekt, oparty na zasadach rządowych, z zastosowaniem może jakichś poprawek. Charakterystyczne było w debatach Rady usiłowanie dostosowania przepisów projektu do wyciągnięcia zeń maximum, ile można, korzyści na rzecz nowych właścicieli-ziemian Litwinów, zachowując minimum na rzecz dawnych właścicieli-ziemian, należących do społeczeństwa przeważnie szlachecko-polskiego, uważanego przez inteligencję narodową litewską za czynnik wrogi Litwie. Szczególnie jaskrawym jest pod tym względem prezes Rady Stanu Šiling, a z członków Rady – Kalnietis. Šiling ma po prostu manię węszenia wszędzie intrygi polskiej i insynuowania na każdym kroku niebezpieczeństwa polskiego. Z typowym dla nacjonalistów trybem argumentowania usiłuje on wszelką myśl, wszelką analizę utopić w jednym powszechnym straszaku i w jednym huź-ha! szczuciu na ukrytych wrogów społeczeństwa i państwa, w warunkach litewskich – na Żydów i Polaków.

10 lipca, rok 1929, środa
Drugi projekt, dotyczący reformy agrarnej, który był także Radzie Stanu zlecony, polega na szeregu drobnych poprawek detalicznych o znaczeniu przeważnie bardzo kazuistycznym. Można rzec, że każdy artykuł tego projektu, stanowiący odrębną poprawkę, przewiduje jakiś poszczególny wypadek indywidualny, mający na względzie pewną konkretną osobę, którą się dla tych czy innych powodów chce wyratować od zastosowania przepisów reformy agrarnej. Jest to więc projekt ustawy *sui generis* dyspensacyjnej, ustawy łask indywidualnych, skierowanych wprost *ad personam*, aczkolwiek zredagowanej bezimiennie w wyrażeniach ogólnych, mających niby na względzie pewne okoliczności rodzajowe; ale te okoliczności rodzajowe są tak dobrane, żeby w każdej poprawce mieścił się tylko ten wypadek indywidualny, o który w istocie chodzi i który się tylko ze względów przyzwoitości i ogólnie przyjętej techniki redagowania ustaw jako norm ogólnych nie wymienia. Gdy się ten projekt odcyfrowuje, to się ma wrażenie, że się tu powtarza znany kawał z praktyk ustawodawczych amerykańskich: ponieważ w stanach amerykańskich, gdzie działa mażorytarny uninominalny system wyborczy, faworyzujący interesy lokalne w ustawodawstwie, rozwinął się bardzo – dzięki pewnym zwyczajom polityczno-parlamentarnym – faworytyzm ustawowy, wyrażający się w dążeniu do świadczenia przez ustawy różnych dogodności i łask osobom lub miejscowościom poszczególnym, więc w walce z tym prądem niektóre konstytucje stanów wprost zabraniają ustaw, mających na względzie wypadki indywidualne; i oto cóż się tam robi dla obejścia tego zakazu konstytucyjnego? Oto na przykład, chce się udzielić jakiegoś specjalnego faworu miastu A; ale konstytucja zabrania to czynić; więc się wpierw wydaje ustawę o klasyfikacji miast na kategorie i układa jedną z kategorii, na przykład II, tak, że jej cechom odpowiada tylko to jedno miasto A; a już następnie wydaje się ustawę „dla miast kategorii II”, w której się do nich stosuje to, co się chciało zastosować specjalnie do miasta A: i wilk syty, i

koza cała – i miasto A ufaworyzowane, i konstytucji stało się zadość; jak Żyd, co jedzie w szabas bryczką, trzymając nogi w miednicy z wodą: przepisy religijne pozwalają mu w szabas podróżować tylko po wodzie!
Słowem, ten projekt ustawy jest kazuistyczną mozaiką poszczególnych indywidualnych wyjątków od zastosowania norm ogólnych reformy agrarnej do pewnych konkretnych osób: za każdym jej artykułem ukrywa się ten lub inny osobnik; jeden artykuł jest tylko dla Wasilnikowa, drugi – dla spadkobierców generała Czajkowskiego, trzeci – dla byłego peowiaka Korfa, czwarty – dla prezesa Sądu Wojennego Šiukšty, piąty – dla poety Binkisa, szósty – dla księdza dziekana Jarulaitisa itd. Toteż jest nadzieja, że może da się pozyskać w Ministerium Rolnictwa takiż akt łaski w postaci artykułu i dla biednego Falejewa, który tutaj siedzi i czyni zabiegi.

11 lipca, rok 1929, czwartek
Dawnośmy w Radzie Stanu uchwalili, że ostatnie posiedzenie plenarne przed wakacjami letnimi urządzimy 12 lipca, to znaczy jutro, a pierwsze po wakacjach – 10 września, to znaczy, że faktycznie mieć będziemy wakacji dwa miesiące – od 13 lipca do 9 września. Choć ciężko było wytrzymać cały czerwiec i aż do połowy lipca w mieście, to jednak cóż było na to poradzić! Zwłaszcza, że właśnie na ostatek nasłano nam śpieszną terminową robotę zaprojektowania ustaw, przekształcających reformę agrarną. Byliśmy jednak pełni otuchy, że pracę tę do 12 lipca skończymy. Jakież wszakże było nasze rozczarowanie, gdy w ubiegłym tygodniu otrzymaliśmy jeszcze jeden projekt ustawy do roboty – znów śpieszny, znów terminowy i na domiar złego – bardzo nieprzyjemny. Jest to projekt ustawy o samorządzie lokalnym, ale tylko samorządzie gmin i powiatów, nie tykając samorządu większych miast. Co prawda, projekt nam przysłano już zredagowany, a więc właściwie było to zlecenie nie opracowania nowego projektu, lecz zaopiniowania o nadesłanym. Tak właściwie należało rozumieć zadanie Rady, gdy jej projekt gotowy przysłano, bo tak też ustawa i statut (regulamin) określają w takim wypadku funkcję Rady Stanu. Właściwie gdyby nie śpieszność tej roboty w związku z nadchodzącymi wakacjami, zadanie takie nie byłoby trudne, szczególnie w stosunku do tego projektu. Gdyśmy go bowiem przejrzeli – mogliśmy jeno ręce rozłożyć: czyż to się nazywa „samorząd"? Słyszeliśmy o tym projekcie samorządu dawno, opinia publiczna od dawna usposobiona z pewnym uprzedzeniem do zamierzeń obecnego rządu reformowania samorządu lokalnego. Z góry nietrudno było przewidzieć, że ludzie tego kierunku społeczno-politycznego, jak Voldemaras i panowie narodowcy, reformując samorząd, pójdą po linii wyborów cenzusowych, uszczuplenia zakresu właściwości samorządów i pogłębienia ingerencji władzy centralnej w czynności samorządu. Wszyscy się tego domyślali i spodziewali. Myśmy się wpierw w Radzie Stanu cieszyli, że nas ten „miły" projekcik o tendencjach wyraźnie politycznych ominie. W ostatnich czasach zrozumieliśmy, że cieszyliśmy się przedwcześnie. Ale swoją drogą nie mogliśmy posądzać, że projekt będzie aż tak karykaturalny, jak się okazał. Właściwie to, co nam nadesłano, to nie samorządu, lecz zarządu lokalnego projekt. Od razu artykuł I projektu rekomendował jego istotę prawdziwą. Artykuł ten usiłował określić pojęcie samorządu lokalnego, organizowanego przez ten projekt; podług tego określenia, samorządem jest urządzanie pewnych spraw lokalnych z udziałem ludzi miejscowych. Oczywiście, że takie określenie nic wspólnego z pojęciem samorządu nie ma. Samorządem bowiem jest udzielenie przez władzę państwową związkom gminnym lokalnym pewnej mocy samodzielnego, przez własne tych związków organy, urządzania pewnych spraw lokalnych w granicach ustawy. Toteż organy samorządu muszą mieć moc decyzji samodzielnej; zakres tej mocy – zakres zwłaszcza kompetencji samorządu – może być

węższy lub szerszy, ale w każdym razie musi być jakiś zakres samodzielności, gdyż bez niego nie będzie to „samo-rząd".

12 lipca, rok 1929, piątek
Projekt rządowy o „samorządzie", nadesłany do Rady Stanu, to w istocie skandal. Dla opozycji, która jeszcze szczegółów projektu nie zna, ale z góry się domyśla dążeń tej „reformy" – będzie to dopiero żer! W tekście projektu, który otrzymaliśmy z Gabinetu Ministrów w Radzie, samorządu nie było ani cienia. Nie tylko samo określenie pojęcia samorządu, podane w art. 1 projektu, o którym już wspomniałem wczoraj, jest w istocie rzeczy kategorycznym samorządu zaprzeczeniem, ale i dalsza kapitalna dyspozycja projektu, dotycząca kontroli rządowej nad działalnością organów „samorządu", w zupełnej harmonii z powyższym określeniem tępi wszelką możliwość samorządu w organizowanym przez projekt zarządzie lokalnym. Mianowicie, kontrola ta (dozór), którą wykonywa naczelnik powiatu i minister spraw wewnętrznych, ogarnia tak legalność, jak celowość wszelkich uchwał i aktów organów gminnych i powiatowych, to znaczy, że wszystko, co one robią i pod wszelkim względem ulega tej kontroli bez żadnych zastrzeżeń i może być uchylane i przerabiane. To znaczy, że organy te nie posiadają żadnej zgoła sfery samodzielnego stanowienia i żadnej zgoła mocy decyzji, a wszystko, cokolwiek one robią, zależy od tego, czy się spodoba administracji centralnej; moc i władza organów „samorządu" jest więc tylko projektodawczą.
Inne dyspozycje projektu, gdyby nie miał on tej wadliwości kapitalnej, tępiącej w założeniu samą istotę samorządu, nie są najgorsze, a niektóre są nawet w założeniu swoim zupełnie dodatnie i wolnościowe, które można by powitać z uznaniem. Co do tej nieograniczonej kontroli administracyjnej – to jej skandaliczna powszechność, nie pozostawiająca żadnego śladu samorządu, jest w projekcie pogłębiona jeszcze przez to, że została ona zupełnie uwolniona od sankcji sądowo-administracyjnej, której ulegała w dotychczasowej konstrukcji samorządu lokalnego (ta sankcja był jednym z nielicznych zastosowań wyjątkowych funkcji sądu administracyjnego w Litwie, przekazanej sądom okręgowym i Trybunałowi Najwyższemu, w obecnej zaś reformie znika ona, co wprawdzie jest logiczne wobec zupełnej negacji w ogóle sądu administracyjnego w Litwie, ale ze stanowiska praworządności jest przecie ujemne).
Ta zasadnicza wadliwość projektu rządowego tak jest jaskrawa, że oczywiście od razu i pierwsza rzuca się w oczy, a skądinąd czyni ona bezużytecznym wszystko to, co ewentualnie może być dodatniego w innych dyspozycjach reformy. Toteż samo przez się rozumie, że każdy z nas w Radzie Stanu – po przejrzeniu projektu – zwrócił uwagę przede wszystkim na ten najjaskrawszy i zasadniczy moment – całkowite przekreślenie samorządu. I gdyśmy w zeszłym tygodniu na plenum Rady zaczęli rozważać projekt, tośmy wszyscy od razu przyszli do jednego wniosku: że zgłoszony projekt ustawy o samorządzie gminnym przeczy samej istocie pojęcia samorządu i jest sprzeczny z konstytucją, która w trzech artykułach bardzo treściwie i krótko, ale zupełnie poprawnie zasady samorządu lokalnego ustala. Uchwaliliśmy przeto wystosować o tym do rządu naszą opinię. Zredagowanie tej motywowanej opinii zostało zlecone mnie. Jeden tylko prezes Rady Šiling – jedyny z nas wszystkich – usiłował nas od tego zamiaru odwieść i doradzał zwrócenie się do Prezydenta Rzeczypospolitej z prośbą zwołania znów takiej narady członków jeszcze Gabinetu z delegacją Rady dla zgodnego wspólnego ustalenia zasad projektu, jak to już było raz w sprawie reformy agrarnej uczyniono. Ale i Šiling nie odważał się jeszcze wtedy stawać wyraźnie w obronie tez projektu, mimo że krytykę tychże usiłował nieco zbagatelizować, jako rzekomo grzeszącą nieco skłonnością do talmudyzmu.

13 lipca, rok 1929, sobota

A jednak pomimo wszelkie przeszkody, piętrząca się wobec Rady Stanu, wyjazdu na wakacje nie odkładam. Wyjeżdżam jeszcze dziś, choć za tydzień będę zmuszony wpaść jeszcze do Kowna dla udziału w finalnym posiedzeniu Rady, które zamknie jej przedwakacyjną pracę nad terminowymi projektami o reformie agrarnej i o samorządzie gminnym i powiatowym. W sprawie projektu o samorządzie, który nam w ubiegłym tygodniu skomplikował zakończenie pracy przedwakacyjnej, rzeczy poszły tak. Prezes Rady Šiling, który, jako prezes nominowany, poczuwa się do roli męża zaufania rządu w Radzie i przeto dba o to, aby się nie ujawniły jakieś, choćby poufne lub maskowane, antagonizmy między rządem a Radą, nie sprzyjał pierwotnej uchwale, polecającej zwrócenie uwagi rządowi na niezgodność jego projektu tak z konstytucją, jak z samą istotą samorządu. Šiling bał się, że tą drogą Rada zabawi się jeno w opozycję i zamiast sojuszniczki i współpracownicy rządu stanie się w tym wypadku jego antagonistką ku wielkiej uciesze wszystkich „wrogów wewnętrznych”. Rozumiał dobrze, że się tajemnica protestu Rady przeciwko rządowemu projektowi ustawi wyda i że przeto pośrednio Rada stanie się narzędziem kompromitowania rządu. Jako prezes Rady, odpowiedzialny za nią wobec rządu, Šiling pośpieszył tę rzecz jakoś odrobić, jakoś zawczasu zmienić. Pobiegł więc do Prezydenta Rzeczypospolitej, który jest najpewniejszą Šilinga ucieczką, poskarżył mu się i odwołał znów do jego roli pośredniczej i pojednawczej. Znowu więc, jak przed kilku tygodniami w sprawie reformy agrarnej, wyznaczona została u Prezydenta Smetony konferencja, na której obecni być mieli z jednej strony Prezydent, prezes ministrów Voldemaras i minister spraw wewnętrznych Musteikis, z drugiej – delegacja Rady, którą Rada, jak wówczas, wyłoniła w osobach *ex officio* Šilinga i z wyboru – Zygmunta Starkusa i mnie. Konferencja ta odbyła się właśnie pozawczoraj pod wieczór z tym jeno odchyleniem od programu, że zamiast ministra Musteikisa, który wyjechał, obecny był minister Aleksa. Wynik tej konferencji jest jednak wcale niezadowalający. Ostatecznie, jak zawsze, ostatnie słowo należało do Voldemarasa, którego w tym razie popierał energicznie Aleksa. Wprawdzie w niektórych przepisach poszczególnych Voldemaras zgodził się na poprawki Rady, w szczególności uwzględnił kilka (bodajże trzy) poprawek merytorycznie zasadniczych, to jednak rzecz najkapitalniejsza – samo stanowisko konstytucyjne samorządu – pozostała bez zmiany istotnej, a przecie o to nam głównie i przede wszystkim chodziło. Te trzy poprawki merytoryczne, które Voldemaras przyjął, są następujące: a. uległa zmianie interpretacja pojęcia „organy samorządu działają na zasadzie prawa publicznego”; pierwotnie Voldemaras nadawał temu znaczenie, że przez to samo organy samorządu są wwiązane w ścisłą i zupełną hierarchię władzy państwowej; wyjaśniliśmy – i Voldemaras się z tym zgodził – że to oznacza tylko to, że samorząd jest wyposażony przez państwo we władzę (imperium), która w pewnym zakresie może mu być przekazana do decyzji i rozrządzania samodzielnego w granicach ustaw, nie czyniąc koniecznie organów samorządu agenturami hierarchicznymi władzy centralnej; b. przyznana została jednostkom samorządowym osobowość prawna majątkowa, której na razie Voldemaras chciał przeczyć, sądząc, że to uczyni te jednostki stowarzyszeniami cywilnymi; c. rozszerzone zostały prawa wyborcze do samorządu w myśl wniosków Rady, mianowicie rozciągnięte właściwie do granic powszechności głosowania, jeno powszechności nie osobników, lecz rodzin (oprócz cenzusu nieruchomości, służby etatowej publicznej, wykształcenia wyższego i w naszej poprawce specjalnego rzemieślniczego i gospodarczego oraz zawodu czy służby prywatnej, połączonych z odpowiednim opodatkowaniem – prawa publiczne w samorządzie rozciągnięte zostały na wszystkich ojców – albo z braku tychże – matki rodzin, co rozciąga te prawa i na rzemieślników i robotników, nie płacących podatku

bezpośredniego, wykluczonych w projekcie rządowym pierwotnym, zachowując dla wszystkich kategorii cenzusów cenzus dodatkowy rocznego zamieszkania w obrębie włości.

14 lipca, rok 1929, niedziela
Rano przyjechałem pociągiem do Abel. Wiozę ze sobą naszą tymczasową służącą kowieńską Helę, najętą na lato w Kownie zamiast Anielki, która od Zielonych Świątek bawi w Bohdaniszkach. Specjalną moją dotychczasową gospodynię bohdaniską – Marię Žemaitisową – uwalniam ze służby, biorąc na jej miejsce inną, Anielka zaś wróci do nas do Kowna od jesieni, a Hela będzie od jesieni po powrocie do Kowna uwolniona.
W Abelach spotkały mię konie i na spotkanie przyjechała Jadzia. Moja fabryka domowa w Bohdaniszkach – w ruchu: Sinica kończy podmurówkę pod kuchnię, wewnątrz domu Kazimierz Jankowski bieli sufity, Stefan zaś Römer z udziałem Kazimierza będzie malował ściany w salonie i gabinecie. Ja zalokowany jestem tymczasem w przyszłym pokoju herbowym.
Urodzaje mam w Bohdaniszkach ładne, ogrody warzywne prezentują się pięknie, jest nadzieja, że będzie pewien dochodzik z pomidorów. Niezwykle sroga zima tegoroczna, która uszkodziła mnóstwo sadów owocowych i w szczególności prawie zupełnie wytępiła śliwki, gruszki i wiśnie oraz wiele letnich delikatniejszych gatunków jabłoni, w moim młodym sadzie wyrządziła bardzo niedużo szkód; na ogół wymarzło mi jeno kilka liczonych drzewek. Z innych sadzonych przeze mnie drzewek – wszystkie nowo zasadzone w jesieni i te, które już dawniej były przeżyły – żyją. Ze starych – tylko piękne wierzby za sadzawką przy domu wyglądają nędznie – podeschły od mrozu, ale może się jeszcze odchwycą. Koniczyna i siano u mnie już skoszone, ale jeszcze nie zwiezione.
Cały dzień miałem interesantów, którzy na wszystkie strony upominali mi się pieniędzy z tytułu różnych należności. Nie mogłem się nacieszyć Bohdaniszkami i Jadźką. Poza tym, przyjeżdżali i długo siedzieli u mnie goście – Piotr Rosen, Eugeniusz Falejew, Alfred Chermański i Jan Masiulis (z Gudziszek).
Wracam jeszcze do spraw kowieńskich Rady Stanu. Na konferencji czwartkowej u Prezydenta Smetony choć w poszczególnych rzeczach rząd dał się przekonać w kierunku Rady Stanu, jednak w kwestii zasadniczej – najgłówniejszej – przekonać się nie dał. To znaczy – stoi on mocno i bez zastrzeżeń na tym, że kontrola samorządu przez władzę centralną musi być zupełna bez żadnych zastrzeżeń, co oczywiście kasuje wszelki cień samorządu. Wprawdzie redakcję art. 1, w którym było podane określenie samorządu, Voldemaras zmienić się zgodził, a nawet zgodził się na to, aby w przepisie o kontroli samorządu wykreślone zostały wyrazy „ pod względem ich legalności, jak celowości", ale nie zgodził się tę kontrolę ograniczyć wyraźnie sferą legalności i dyscypliny pełnienia obowiązków. Wobec tego odpowiedni ustęp o kontroli będzie kładł nacisk nie na to, jaką ma być ta kontrola, lecz na to, kto ma kontrolę wykonywać, wyrażając się głucho „kontrola" czy „dozór" („priežiūra"). Jaką ma być ta kontrola i co ma ogarniać – tego nowa redakcja przepisu nie ustala wcale, ale rząd wyraźnie powiada, że on ją pojmuje w całym zakresie, włącznie z celowością. My się na to w Radzie nie zgadzamy i uważamy, że w myśl samej konstytucji nie może to być nieograniczona kontrola celowości. Nieokreślona formuła kontroli zostawia wrota otwarte obydwom interpretacjom, ale ponieważ akcja kontrolująca rządu nie będzie ulegała sankcji sądów, więc oczywiście rząd będzie mógł stosować do tej kontroli interpretację taką, jaka mu się spodoba. Będąc zaś panem interpretacji, od razu z góry oświadcza, że rozumie kontrolę zupełną – bez ograniczeń, a przeto ogarniającą całkowicie sferę celowości.

W wyniku więc konferencji w tej najważniejszej kwestii nie ustalono nic nowego. To, co było w projekcie skandaliczne, sprzeczne z konstytucją i z istotą samorządu, to merytorycznie pozostało. Wskóraliśmy tylko tyle, że to zostało zamaskowane i że w formule kontroli zakres celowości nie będzie wymieniony, ale też nie będzie żaden inny właściwy zakres wskazany. Ale cóż po tej formule, skoro treść w nią rząd wkłada tę samą, z góry o tym oświadczając i rezerwując wyłącznie sobie arbitralną moc interpretowania ustawy.

15 lipca, rok 1929, poniedziałek
Stefan Römer porobił śliczne projekty wzorów do malowideł ściennych w moim domu. Wybrałem z nich trzy – do salonu, do gabinetu i do gościnnego pokoju rogowego na górze. Dziś już Kazimierz Jankowski zaczął podług wskazówek Stefana malować tło do jego malowideł w salonie. W robotach polowych postępuje u mnie zwózka koniczyny i siana. Na ogół poszoru będę miał znacznie więcej, niż w roku ubiegłym. Będę w stanie utrzymać trzecią krowę przez zimę. Nie mogę jeszcze używać pełnego kiejfu w Bohdaniszkach, bo tymczasem jestem na wylocie – muszę we czwartek jechać jeszcze na dwa dni do Kowna – i mam robotę terminową przed wyjazdem. Nasza bowiem Rada Stanu nie zdążyła zakończyć swych robót w terminie 12 lipca, który sobie pierwotnie zakreśliła dla rozpoczęcia wakacji. W piątek 12 lipca na posiedzeniu plenum rozdzielono pozostałą robotę tak, że komisja redakcyjna ma w ciągu tygodnia opracować redakcję ostateczną obu projektów o reformie agrarnej i projektu o samorządzie, ja zaś mam polecone w tymże terminie ułożyć memorialik o projekcie samorządu (na piątkowym posiedzeniu plenum prezes Šiling usiłował już nas przekonać, że kontrola celowości działań samorządu, której życzy sobie rząd, jest rzekomo zupełnie właściwa i nie przeciwna ani konstytucji, ani istocie samorządu, ale przekonać nie zdołał i głosował za tym sam jeden przeciwko wszystkim). Następne zaś i już ostatnie posiedzenie plenum Rady wyznaczone zostało na piątek przyszły i ewentualnie sobotę. Mając tydzień czasu wyjechałem więc do Bohdaniszek, ale na piątek muszę znowu być w Kownie. I do piątku muszę terminowo tę robotę nad motywami projektu o samorządzie, względnie krytykę tego projektu opracować. Czuję się więc jeszcze spętany. Dopiero w przyszłym tygodniu rozpocznę prawdziwe wakacje bez troski i bez terminowej pracy.

16 lipca, rok 1929, wtorek
Nieznośny komentarz do projektu ustawy o samorządzie przykuwa mię do biurka i nie daje mi możności rozwinąć swobodnego używania wsi. Pojutrze muszę tę pracę zakończyć i wyjechać do Kowna na ostatnie przedwakacyjne posiedzenie Rady Stanu. Wtedy będę już prawdziwie wolny i na niedzielę wrócę do Bohdaniszek w towarzystwie państwa Herbaczewskich, których zaprosiłem na wakacje. I już wtedy do 10 września będę miał wakacje prawdziwe.
Stefan Römer rozpoczął dziś pracę nad malowidłami ściennymi w salonie moim. Początek zapowiada się ładnie. Dom mój może się sławił będzie artyzmem tych dekoracji ściennych, wykonanych ręką artysty.
Kazimierza Jankowski bieli w dalszym ciągu sufity i ściany i gruntuje podłogi.
Z Sinicą umówiłem się o wybranie i przywiezienie jego koniem do murującej się kuchni podmurówki dużej, którą na dole postawił pod niedoszłe gumno w roku 1914 Papa, a którą mi Marynia (bo podmurówka stoi na jej ziemi) sprzedała za 400 litów. Mam za tę robotę zapłacić Sinicy 500 litów.
Piotr z udziałem moich kobiet woził dziś koniczynę i siano. Poszoru będę miał w tym roku znacznie więcej, niż w zeszłym.

Murza, z którym dziś z Jadzią poszliśmy do jej zaścianeczka w Eibuczupisie, rzucił się tam na świnię i pokąsał ją, bodaj nogę jej złamał. Murza potrafi na świniach dokonać gorszych rzeczy: tej zimy, będąc z Norą zamknięty w tzw. dzienniku (dziedzińcu oborowym), należącym do Elwiry, zagryzł na śmierć i zjadł żywcem pół wieprza Elwiry.

17 lipca, rok 1929, środa
Nic szczególnego.

18 lipca, rok 1929, czwartek
Musiałem kończyć forsownie moją notatkę wyjaśniającą do projektu ustawy o samorządzie lokalnym, obstalowaną przez Radę stanu na jutro. Ukończyłem dziś popołudniu to pisanie, które mi sporo czasu zajęło i nudne było na wsi. Dziś na noc wyjeżdżam na dwa dni do Kowna na zakończenie posiedzeń Rady Stanu. Miałem jechać autobusem, idącym z Rakiszek, co wypada krócej i taniej, niż koleją, ale Jadzia mię uprosiła jechać tym razem pociągiem. Wyjechałem wieczorem na Abele. Za dwa dni wrócę do Bohdaniszek, przywożąc ze sobą na wakacje Herbaczewskiego. Senność, której doświadczam już od paru lat, rozwija się, jak mi się zdaje, coraz więcej. Niepokoi mię trochę ten objaw, bo pamiętam, jak się ta senność rozwijała i potęgowała coraz bardziej u śp. Mamy, aż doszła pod koniec Jej życia – na kilka tygodni przed śmiercią – do nieustającej prawie śpiączki, czyniącej Mamę na wpół przytomną i oczywiście zupełnie niezdatną do jakiejś pracy, a nawet do myślenia systematycznego. Ta sama jest u mnie otyłość, co u Mamy, ta sama skłonność do senności. Ale u Mamy rozwinęło się to w późniejszym wieku, niż u mnie. Mam wrażenie, że jestem niedługowieczny.

19 lipca, rok 1929, piątek
Rano przyjechałem do Kowna. Zajechałem wprost do Rady Stanu i w niej rzeczy złożyłem. O godz. dziesiątej rano odbyło się posiedzenie plenum Rady. Wszyscy byli obecni. Dowiedziałem się, że wczoraj na posiedzeniu Rady Ministrów z udziałem delegacji Rady Stanu (prezes Šiling, Starkus i Kalnietis) – Gabinet Ministrów przyjął poprawiony przez Radę projekt ustawy o samorządzie gminnym i powiatowym. Wszakże w interpretacji kontroli samorządu rząd zajmuje stanowisko zasadniczo sprzeczne ze stanowiskiem Rady Stanu, rozciągając tę kontrolę na „celowość" aktów samorządowych. Jeden przepis projektu, który pośrednio popierał interpretację Rady – zatwierdzenie przez rząd pewnych uchwał organów samorządu, uwydatniające *a contrario* zupełną samodzielność tych uchwał tam, gdzie zatwierdzenia nie ma, został w Gabinecie Ministrów wykreślony, a zwrócił na to uwagę rządu sam prezes Rady Stanu Šiling, działający w tym wypadku przeciwko opinii Rady, a zgodnie ze swym *votum separatum*, uznającym całkowitą kontrolę aktów samorządu ze stanowiska celowości bez żadnych zastrzeżeń. Rząd sam nie był zwrócił uwagi na ten przepis, potwierdzający *a contrario* interpretację Rady, odrzucającą kontrolę celowości w ogóle, ale Šiling wskazał, że przecież skoro rząd pojmuje nieograniczoną kontrolę celowości we wszystkich wypadkach, to byłoby nielogiczne żądać zatwierdzenia w poszczególnych. Członkowie Rady są trochę zgorszeni tą ultragorliwością prezesa Šilinga przeciwko Radzie. Druga rzecz w tym względzie (względem projektu o samorządzie) – to ta, że komisja redakcyjna Rady pozwoliła sobie na własną rękę zmienić dwie bardzo zasadnicze poprawki, przyjęte do tekstu projektu przez Radę: jedna dotyczy rozszerzenia praw wyborczych w samorządzie na wszystkich ojców rodzin, druga – ważnej poprawki terminologicznej, mianowicie zamiany terminy „seniūnija" na termin

„bendruomenė” (istotna rodzima nazwa gminy – *commune*, *Gemeinde* – w języku litewskim). Na moją interwencję Rada postanowiła restaurować obie te poprawki, prosząc extra rząd o ich uwzględnienie i przyjęcie. Na posiedzeniu plenarnym poobiednim odczytany został i przyjęty z uznaniem bez żadnych zmian opracowany przeze mnie memorialik motywów interpretacyjnych Rady Stanu do projektu ustawy o samorządzie. Tylko co do kontroli celowości aktów samorządu prezes Šiling zgłosił swoje *votum separatum*. Dowiedzieliśmy się też, że prezes ministrów Voldemaras zainteresował się kontrprojektem Rady Stanu w sprawie reformy agrarnej. Toteż zaświtała nadzieja, że ten kontrprojekt, który, jak się zdawało, żadnych szans nie ma, może być w ostatniej chwili przyjęty przeciwko projektowi rządowemu, forsowanemu bezwzględnie zwłaszcza przez ministra rolnictwa Aleksę. Co do mnie – wątpię w to. W każdym jednak razie, Voldemaras zaproponował, aby tak ze względu na projekt o samorządzie, „tak ładnie”, podług słów Voldemarasa, opracowany przez Radę Stanu w uzgodnieniu jej poprawek z życzeniami rządu (w istocie tak wcale nie jest i komentarz motywów Rady w kwestii zasadniczej jest właśnie najzupełniej rozbieżny z koncepcją i intencją rządu), jak ze względu na kontrprojekt Rady o reformie agrarnej, aby Šiling jutro pojechał z Voldemarasem razem do Szawel, gdzie ma się on na pewnej uroczystości spotkać z Prezydentem Smetoną, aby rząd i Rada, które współpracowały w tych dwóch projektach, wspólnie czy łącznie przedstawiły te projekty Prezydentowi do zatwierdzenia. W drodze do Szawel Šiling ma wyłuszczyć Voldemarasowi kontrprojekt Rady o reformie agrarnej i przedstawić mu opracowane przez Starkusa motywy do tego kontrprojektu, a zarazem wyłuszczy Voldemarasowi odrestaurowane na moje dziś żądanie poprawki Rady do projektu o samorządzie (w sprawie rozszerzenia praw wyborczych na ojców rodzin i w sprawie terminu „bendruomenė” zamiast „seniūnija”.

20 lipca, rok 1929, sobota
Upał – straszliwy. Nieznośnie w mieście. Właściwie do roboty nic już dziś nie miałem, ale musiałem czekać do wieczora. Dzień mi upłynął na załatwianiu sprawunków, rozmowach ze znajomymi itd. Doczekałem się wreszcie wieczora i spotkałem z Herbaczewskimi na dworcu kolejowym. Wyjechaliśmy razem do moich „dóbr” na wakacje.

21 lipca, rok 1929, niedziela
Przyjechaliśmy z Herbaczewskimi do Abel. Spotkały nas na stacji kolejowej konie moje, zaprzężone do powoziku, pożyczonego przez Marynię, w którym wszyscy troje wespół z furmanem – moim Pietriukiem – zmieściliśmy się bardzo wygodnie. Jechaliśmy pięknym gościńcem abelsko-komajskim; po drodze udzielałem Herbaczewskim wyjaśnień o okolicy, przez którą przejeżdżaliśmy i o terenie oraz pokazywałem im piękne widoki, ukazujące się w przejeździe. Widok ten, łączący mnóstwo bogatych szczegółów dekoracyjnych – wzgórz, dolin głębokich, wąwozów, lasków, jezior itd. z wielkimi przestrzeniami i perspektywami dali zachwycił oboje Herbaczewskich. Wreszcie w samych Bohdaniszkach z mojego domu ten widok charakterystyczny doszedł szczytu wspaniałości. Herbaczewscy stwierdzili pokrewieństwo zasadnicze tego widoku z widokiem podgórskim za Krakowem w kierunku ku Tatrom.
W Bohdaniszkach natrafiliśmy na dalszy ciąg upałów. Oprowadzałem Herbaczewskich po dworze bohdaniskim, pod wieczór zaprowadziłem ich do starego domu i zaprezentowałem siostrom, skądinąd karmiliśmy ich z Jadzią dostatnio i smacznie i poiliśmy kawą doskonałą, herbatą i mlekiem, dotrzymywałem im placu w sjestach na balkonie u góry w mebelkach plecionych. Herbaczewscy – szczególnie on – nie

ujawniali wielkiej skłonności do wychodzenia we dnie z domu. Ich pokój jest bardzo ładnie przez Jadzię urządzony, zresztą cała góra domu jest im do dyspozycji udzielona. Tylko wieczorem odbyliśmy spacer dłuższy przez Gaj do Karwieliszek. Jakoś do wnętrza lasu Herbaczewski nagabania nie ma. Nabieram przekonania, że Herbaczewscy zbyt krępującymi gośćmi letnikami nie będą.

22 lipca, rok 1929, poniedziałek
Upał znowu. Chce się już trochę deszczu na odświeżenie. Herbaczewscy większą część dnia spędzają w swoim pokoju na górze. Wykąpałem się dziś po raz pierwszy. Woda w naszym stawie kąpielowym ciepła, przepłynąłem staw w obu kierunkach, dałem kilkakrotnie nurka, orzeźwiłem się i było po kąpieli. Wieczorem z Herbaczewskimi i Jadzią przeszedłem się na mogiłki bohdaniskie., skąd wróciliśmy przez Karwieliszki.

23 lipca, rok 1929, wtorek
Choć dzień upłynął pogodnie, jednak skłonność do deszczu i nawet burzy dawała się odczuć. Herbaczewscy już się zapoznali z obydwoma domami moich sióstr w starym domu i chętnie się tam udają. Herbaczewski zajął szczególnie uwagę dzieci swoimi pojęciami o zjawach pośmiertnych, czyli o „duchach”, nękających ludzi, a także swymi kombinacjami astrologicznymi. Dzieci są zwłaszcza ciekawe wszelkich zjawisk tego rodzaju, poglądy zaś Herbaczewskiego upraszczają one do zwykłych praktyk cudackich i czarnoksięskich, prowokując Herbaczewskiego wszystkimi gdzieś kiedyś słyszanymi albo zgoła komponowanymi opowieściami o „strachach” i temu podobnych zjawiskach w Gaju i w starym domu. Szczególnie Gaj stal się takim rezerwuarem fantastycznych bajań, którymi się Herbaczewski przejmuje. Herbaczewski tam rej wodzi, rezonuje, wymachuje rękami, sypie paradoksami i w gruncie rzeczy ośmiesza się, ale się też bawi sam i bawi innych.

24 lipca, rok 1929, środa
Szczerze mówiąc, Herbaczewski dość się błaźni. Stał się on sensacją zwłaszcza dla dzieci, które się bawią jego opowiadaniami o strachach, upiorach i istotach bezcielesnych, podjudzają go, prowokują, kłamią i nabierają. W tej fazie swojej Herbaczewski jest o wiele mniej ciekawy, niż gdy wkracza na teren zagadnień historycznych, społecznych i politycznych. Tam jest w pewnych błyskach myśli genialny, niezrównanie głęboki i ścisły, czasem wspaniały i królewski, czasem znów naiwny, ale nawet wtedy, gdy jest naiwny, jest ciekawy w paradoksach błyskotliwych, którymi sypie jak z rękawa. Z dziećmi, a zresztą i zgoła w otoczeniu bohdaniskim – w tę sferę wkraczać nie może, bo tu umysły w zakresie tych problematów nie pracują, a więc Herbaczewski audytorium nie posiada. Właściwie i w sferze świata duchów, w sferze metempsychozy i astrologii poglądy jego są oryginalne i bardzo ciekawe, ale że audytorium składa się z dzieci, które zagadnień tych głębiej nie ujmują i które zwracają uwagę tylko na fabułę tajemniczych faktów, albo z panien, które rzecz traktują frywolnie i sensacyjnie, więcej się przejmując temperamentem dekoracyjnym człowieka samego, niż tokiem myśli jego, przeto całe te gawędy zbaczają na manowce płytkich epizodów, nie przerastających miary sensacji garderobianych. Właśnie do Bohdaniszek przyjechały dziś dwie panienki – Anulka Stawska i Zosieńka Wasilewska. Herbaczewski, który w gruncie rzeczy jest bardzo wrażliwy na płeć piękną, choć się do flirtu nie przyznaje, od samego rana orientował się w kierunku na stary dom, aby się kręcić dokoła tych dziewczynek.
Po obiedzie pojechaliśmy z Herbaczewskim i Jadzią do Antonosza. Chodziło mi tam o obstalowanie mebli u stolarza Paurysa i o parę drobnych interesików gospodarskich.

Herbaczewskiego wziąłem dla pokazania mu pięknego dworu antonoskiego. Istotnie Herbaczewski zabawił się tam dobrze, a z Falejewym roztoczył bardzo ciekawą rozmową na temat emigracji rosyjskiej i w ogóle inteligencji rosyjskiej. Na noc wróciliśmy do Bohdaniszek.

25 lipca, rok 1929, czwartek
Znowu dzień spędzony podobnie do innych. Od paru dni temperatura nieco zelżała – upały ustały i jest umiarkowane ciepło. Z Herbaczewskimi i Jadzią odbyłem wieczorem między podwieczorkiem a kolacją spacer do Kumsz i z powrotem. W miarę bliższego poznania bardzo dużo zyskuje p. Herbaczewska. Jest bardzo delikatna, dobrze wychowana, cicha i pełna taktu, zawsze równa i pogodna. Jest też wcale niegłupia, ma swój sąd o rzeczach i – co mię zdziwiło – sąd samodzielny. Nie jest bynajmniej tylko echem sądów męża, jak mi się to zdawało dawniej. On – to fantasta, pełny energii i temperamentu, ale też despota, który swoją niepohamowaną indywidualność narzuca otoczeniu, sam tego może nawet nie czując. Mam wrażenie, że Herbaczewski na dłuższą metę będzie się trochę nudził w Bohdaniszkach. Nie jest to człowiek, stworzony do monotonnego życia. Potrzebuje on ruchu, kawiarni, dysput, gazety. Chyba że się zabierze do pracy literackiej nad czymkolwiek – to wtedy się zapala do pracy. Już teraz Herbaczewski ciągle przebąkuje o jazdach; chciałby co dzień gdzieś jechać, coś nowego oglądać, poznawać, przeżywać wrażenia. Na dłuższy czas taki gość staję się na wsi męczący. Zupełnie co innego ona: słodka, zamiłowana we wsi, subtelna, czująca, najzupełniej wystarczająca sobie.

26 lipca, rok 1929, piątek
Jakem pisał w dzienniku, Hektor Komorowski ma się żenić. Partia to nie jest ze stanowiska hrabiowskiego świetna, bo panna, choć ma w nazwisku artykulik szlachecki „von" („von Holstein"), a niektórzy tytułują nawet „baronówną Holstein", nie należy wcale do klasy ziemiańskiej, jest uboga materialnie i utrzymuje się z własnego zarobku jako skromna urzędniczka w Polskim Banku Drobnego Kredytu w Kownie. Słowem, progi mieszkanka panny nie są wcale wysokie. Ale i ze stanowiska ludzkiego partia ta nie zapowiada się zbyt dodatnio: Hektor bowiem jest na granicy starokawalerstwa, liczy 37 lat, ona zaś jest młoda, jest rozbawiona, wielka flirciarka, przywykła do samodzielności i życia towarzyskiego miejskiego, pełnego urozmaiceń i zabaw. Czy panienka ta zdoła się przystosować do poważnego i cichego życia ziemiańskiego w Kowaliszkach w towarzystwie starzejącego męża, brata mężowskiego i bratowej (Julkowie) i teściowej surowych obyczajów z dwoma siostrami mężowskimi – to jest pytanie, na które trudno dać odpowiedź pewną. I kto wie jeszcze, czy się to małżeństwo nie rozchwieje i czy nie byłoby najlepiej, aby się rozchwiało.
Ale tymczasem piętrzą się nowe przeszkody. Są to upiory dawnych miłostek Hektora. Jedną z takich miłostek jest p. Sabina Girkowiczówna, panna już niemłoda, mająca dobrych przeszło 30 lat wieku, może nawet czterdziestki bliska. Panna Sabina Girkowiczówna – siostra rodzona p. Zofii Girkowiczówny, która w latach 1921-1922 była nauczycielką dzieci Elwiry, córka adwokata prywatnego, dziewczyna dość wykształcona, maturzystka – była w latach 1923-1925 buchalterką w Kowaliszkach. Na tym stanowisku zakochała się w Hektorze, a że na bezrybiu i rak ryba, więc Hektor był się tą miłostką w Kowaliszkach bawił. Łudził pannę Sabinę obietnicą małżeństwa i ostatecznie zawrócił dziewczynie głowę. Czy miłostka ta była uwieńczona romansem spełnionym – nie wiem. Żeby było dziecko – nie słyszałem. Znając Hektora, jego poglądy, bardzo dalekie od wszelkiego romantyzmu, idealizmu itp., jego traktowanie kobiet i kochanek, dziwnym mi się wydaje, że mógł on pannie Sabinie obiecywać

małżeństwo, ale ona to twierdzi kategorycznie, a pozory są często łudzące i mylne: któż by, na przykład, znający Hektora, spodziewał po nim, że zechce się żenić z ładną i ponętną dziewczynką, która jest... urzędniczką w banku!!! Jeżeli jednak jest to możliwe, to dlaczegóż niemożliwa byłaby obietnica małżeństwa z panną Sabiną, obietnica może nieszczera, może dana dla pozyskania jakiejś pieszczoty doraźnej od tej, która na bezrybiu była chwilowo także rybą i mogła chwilowo obudzić żądzę panicza – hrabiego Hektora! Jakkolwiek się tam rzeczy miały, dzieje pobytu panny Sabiny w Kowaliszkach były nacechowane jej miłostką z Hektorem. Elizka wiedziała, że p. Sabina się w Hektorze kocha – był to sekret poliszynela, ale żeby się Hektor był zaangażował – tego Elizka ani na chwilę nie przypuszczała. Kochanie się p. Sabiny w Hektorze Elizka traktowała jako rzecz śmieszną i nie omieszkała trzymać p. Sabinę na stopie towarzysko niższej, upokarzając ją nieraz boleśnie i dając jej na każdym kroku poczuć różnicę stopnia społecznego, który ją dzieli od domu hrabiowskiego jej pracodawców. Panna Sabina dla miłości Hektora cierpiała upokorzenie, wierzyła, że zwycięży miłością i że się sforsuje bramy zamku hrabiowskiego i była w pracy oddana Kowaliszkom, życzliwa, ofiarna. Elizka miała w niej pracownicę sumienną i gorliwą. Gdy się tak te stosunki zadawniły, a warunki decydujące kowaliskie uczyniły stanowisko p. Sabiny zbędnym i rzecz doszła do jej odprawy, nastąpiła rozmowa decydująca między Elizką i p. Sabiną. Panna Sabina nie chciała rezygnować z tego, co uważała za swoje prawo nabyte do osoby Hektora. Gdy wyraziła ona Elizce całą swoją myśl i całe uzasadnienie swoich roszczeń – Elizka wpadła we wściekłość, kazała wyrzucić jej rzeczy i wypędziła ją z domu.

27 lipca, rok 1929, sobota
Jeszcze o pannie Sabinie Girkowiczównie i Hektorze Komorowskim. Panna Sabina, po wyrzuceniu jej z Kowaliszek przez Elizkę Komorowską, nie myślała bynajmniej rezygnować ze swych roszczeń do Hektora. Siadła na razie w Rakiszkach, gdzie postarała się o posadę prywatną w Žemės Ukio Draugii. Potem otrzymała posadę w centrali Kooperacji Mleczarskiej „Pienocentras" w Kownie, gdzie jest obecnie. I oto teraz, gdy się dowiedziała o zamiarach matrymonialnych Hektora, postanowiła nie dopuścić do ich spełnienia i upomnieć się o prawa swoje. Asumpt szczególny do swej ofensywy obecnej panna Sabina bierze z tego, że Hektor żenić się chce z panną, która żadnych tytułów szczególnych wielkopańskich nie posiada i którą panna Sabina uważa za równą sobie. Jeżeli Elizka ją usuwała z drogi jako nieodpowiednią na stanowisko hrabiny Hektorowej Komorowskiej, jako zawalidrogę do świetnego małżeństwa, które się rzekomo należy Hektorowi, jeżeli jej prawa i roszczenia były negowane jako mezalians, to teraz, gdy Hektor właśnie do mezaliansu się gotuje, wszystkie argumenty poprzednie, które przeciwko niej były podnoszone – upadają. I oto p. Sabina zaczyna działać. Pisze list do Elizki, w którym wypomina jej dzieje swego wyrzucenia z Kowaliszek i żąda sprawiedliwości. Na list ten odpowiedzi nie odbiera, zdaje się, że Elizka jej listów wcale nie czyta. Wtedy chce ogłosić protest w „Dniu Kowieńskim". Redakcja tego dziennika, licząc się z Hektorem, którego nie chce obrażać, bo Hektor ma stosunki u szczytów społeczeństwa polskiego w kraju i sam się wśród tych szczytów wpływowych kręci, nie chce umieszczać tego „protestu" i radzi pannie skierować sprawę na tory honorowe. Wtedy p. Sabina proponuje Hektorowi „sąd honorowy", którego wszakże Hektor nie przyjmuje. Wtedy zwraca się ona ze swymi rewelacjami wprost do swej konkurentki – narzeczonej Hektora, panny Holstein. Panna Holstein wysłuchała żalów panny Sabiny, obiecała rozejrzeć sytuację, ale zerwać zaręczyn z Hektorem nie obiecała. Wtedy p. Sabina napisała do mnie. List jej otrzymałem

pozawczoraj. Załączyła do niego odpis swego listu do Elizki. W liście spowiada mi się ze wszystkiego i prosi o wpłynięcie na Elizkę w kierunku spełnienia jej żądań. Oczywiście, żadnych praw do uczucia czyjegoś, prawa do miłości – nikt mieć nie może, jak nie może też być prawa na małżeństwo z daną osobą. Ba, nawet solenne przyrzeczenie zawarcia małżeństwa nie stanowi kontraktu, który obowiązuje do spełnienia przyrzeczenia. Taka umowa o małżeństwie jest nawet kwalifikowana przez ustawy współczesne za niemoralną i przez to samo skutku mieć nie może, wyjąwszy skutek wynagrodzenia szkód i strat, o ile takie przyrzeczenie było środkiem do nadużycia zaufania i oszukania kogoś, który miał stąd stratę. Toteż wszystkie zabiegi p. Sabiny są same przez się jałowe i skutku prawnego mieć nie mogą. Ale mogą one wywołać skandal i jako takie – mogą bardzo realnie zaszkodzić małżeństwu Hektora. Panna Sabina widocznie nie cofnie się przed żadnym środkiem i drogą, zwróci się do władz kościelnych, będzie usiłowała wywołać skandal w prasie, będzie szukać satysfakcji swej „krzywdy" wszędzie. Dla Hektora to nauka – niech nie lekceważy zbytnio uczuć i honoru kobiety, bo to się mścić może.
Panna Sabina w liście swoim rozumuje tak: pani hrabina (Elizka) wyrzuciła ją z domu i nazwała „oberwańcem", bo p. Sabina niewysokiego rodu i bez majątku, żyje z pracy własnej, a przez gorliwe oddanie się sprawom kowaliskim, poświęcając im interes materialny własny, zaniedbała się w rzeczach i garderobie. Aliści i panna Holstein nie jest lepsza od niej ze stanowiska majątku i rodu; panna Sabina jest z urodzenia szlachcianką, córką adwokata, ma wykształcenie gimnazjalne (jest maturzystką), była nauczycielką domową i przez dwa lata była nauczycielką w gimnazjum polskim w Poniewieżu, pensji dziś pobiera w „Pienocentras" akurat tyle, ile panna Holstein w banku i koszul ma już zapewne tyleż, co tamta. Jeżeli więc Holsteinówna może być hrabiną Hektorową Komorowską, to równie dobrze może nią być Sabina Girkowiczówna, której Hektor małżeństwo przyrzekał.

28 lipca, rok 1929, niedziela
Wczoraj i dziś mieliśmy gości. Przyjeżdżała Elizka Komorowska z Zitką, które zabawiły od wczoraj wieczora do dziś do obiadu i zwyczajem przez Elizką nie wiadomo dlaczego uświęconym siedziały (nocowały, zasiadały do stołu i przesiadywały) specjalnie i wyłącznie u Maryni (nie u Elwiry i nie u mnie), licząc to wizytowanie Maryni za wizytowanie również mnie i Elwiry. Wczoraj przyjechał też z Antonosza Eugeniusz Falejew, aby jechać dziś z nami do Gaczan. Skądinąd od kilku już dni bawi u Elwiry Anulka Stawska, przedmiot adoracji Herbaczewskiego. Dziś po obiedzie całym dworem wszystkie trzy grupy bohdaniskie (Elwiry, Maryni i moja) wybrały się do Gaczan. Te trzy grupy składają się obecnie z osób następujących: grupa Maryni – ona sama, to znaczy Marynia Römerowa, jej syn Stefan z żoną Marysią Römerową i ich córeczką trzyletnią Stenią, Eugeniusz Falejew i były uczeń Stefana z gimnazjum polskiego w Poniewieżu – Bodzio Chmielewski, spędzający tu od lat kilku wakacje. Grupa Elwiry: ona sama, jej dzieci – Helcia, Andrzej i Michaś i Anulka Stawska. Grupa moja: ja, Jadzia i Herbaczewscy. Z Bohdaniszek nie wybrali się do Gaczan tylko Bodzio i Jadzia, jako nie zakwalifikowani do tzw. „towarzystwa" w rozumieniu społeczności ziemiańskiej. Reszta – wszyscy pojechali. Elwira i Marynia ruszyły karami, wioząc każda swoją gromadę z tą jeno poprawką, że w gromadzie Elwiry siedzieli też Herbaczewski i Stefan Römer. Ja więc wiozłem tylko p. Herbaczewską. To przepełnienie kar Elwiry tłumaczy się tym, że w karach tych jechała Anulka Stawska, która się staje przedmiotem adoracji Herbaczewskiego, jakimś mistycznym naczyniem kultu szczególnego, w pospolitej zaś istocie rzeczy – Anulka Stawska zawróciła staremu, przeszło 60-letniemu profesorowi w głowie: Herbaczewski zakochał się w

niej jak sztubak. Herbaczewski o Anulce tylko marzy, do Anulki tylko ciągnie jak słonecznik. Ale i Herbaczewski potrafił zaimponować Anulce i podbić jej serce, przede wszystkim zaś – jej ambicję. Herbaczewski, człowiek stary, z imieniem, ciekawy, budzący uwagę powszechną, profesor uniwersytetu, człowiek, który zdołał tu przykuć do siebie zainteresowanie ogólne, a przynajmniej całej młodzieży bohdaniskiej, i nagle tego profesora bożyszcze – ona, Anulka! Dla młodej dziewczyny, zakochanej, jak zwykle, przede wszystkim w sobie samej, to jest rozkosz nad rozkosze! Czuć się uwielbianą przez człowieka, który jest wielbiony przez innych, być wybranką wybranego, wznosić się na piedestały i w strefy coraz wyższe i lżejsze, widzieć się podziwianą, o – co za rozkosz dla kobiety w ogóle, a dla młodej dziewczynki w szczególności.
W Gaczanach Herbaczewski uciekał od mężczyzn – od Rosena, od Falejewa, od dr Rapackiego – i w ogóle od dorosłych – do dzieci, na których czele była Anulka Stawska z Helcią Mieczkowską. Oprócz Anulki Stawskiej, którą po prostu adoruje, Herbaczewski przysiada się i do dwóch innych młodych dziewcząteк – do Zosi Wasilewskiej i do małej Marysieńki Stawskiej. Za to chłopcom w młodszym wieku, mogącym mu być konkurentami, Herbaczewski jest niechętny i w każdym z nich jakąś wadę wytyka. W szczególności ostro jest przezeń skrytykowany Andrzej Mieczkowski. Za to Stefan Römer, czując wpływy Herbaczewskiego w tym środowisku towarzyskim i bojąc się jego krytyki niechętnej, przylepił się do niego i prawi mu komplementy, by go mieć po swojej stronie. W ogóle przyjazd Herbaczewskiego wywołał zawieruchę w stosunkach tego towarzystwa młodzieży bohdanisko-gaczańskiej. Graliśmy w Gaczanach trochę w gry towarzyskie, w których i Herbaczewscy, i ja wespół z młodzieżą, i cała dzieciarnią udział braliśmy, na kolacji zaś Herbaczewski, usprawiedliwiając swoje przysiadanie się do Anulki i, oczywiście, usiłując zatrzeć wrażenie flirtu (Herbaczewski ma to za obrazę, gdy go się o flirt posądza, choć jest mistrzem flirtu i koneserem natury kobiecej), zaczął się rozwodzić nad przyczynami, dla których w towarzystwie wybiera on kobiety i mianowicie kobiety młode jako ciekawsze nad inne osoby. To dlatego, że we współczesnej kobiecie młodszego pokolenia wyczuwa ducha inicjatywy i protestu, ducha buntu i wolności, podczas gdy pokolenie męskie jest jakieś drzemiące i jałowe, pozbawione woli i samodzielności, bierne i martwe. Wywiązała się z tego dyskusja, w której się szczególnie Herbaczewski z Falejewem się pokłócili.

29 lipca, rok 1929, poniedziałek
Dziwactwa Herbaczewskiego potęgują się. Admiracja Anulki Stawskiej przeplata się wizjami tajemniczymi „duchów”, które po nocy odtwarzają sceny dawno przeżytych dramatów i straszą ludzi żyjących. Gdyśmy wrócili wczoraj z Gaczan, Herbaczewski, który jechał w karach Elwiry wraz z jej dziećmi (Anulki nie było – została na noc w Gaczanach i dziś dopiero do Bohdaniszek przyjedzie), był przerażony i znerwowany prawie do łez. Drżał na całym ciele, gestykulował, wymachiwał rękami, wykrzykiwał „ojej! ojej!” i nic akuratnie nie był w stanie opowiedzieć. Dopiero dziś rano zaczął porządkować swoje twierdzenie. Chodzi o to, że kary Elwiry szły z Gaczan za powozikiem, w którym jechałem ja z panią Herbaczewską. Dojeżdżając do dużej góry spadzistej góry na gościńcu pod Gaczanami i spuszczając się z niej, słyszeliśmy z p. Herbaczewską jakieś głosy i piski za nami, aleśmy sądzili, że to się tak młodzież weseli w karach Elwiry. I pojechaliśmy dalej – nie oglądając się. Tymczasem okazuje się, że przed tą górą kary Elwiry wpadły do rowu i przewróciły się, przytłaczając trochę małego Michasia Mieczkowskiego. To był pierwszy wypadek. Herbaczewski uważa ten wypadek za niemal cudowny; twierdzi, że gdyby się kary nie przewróciły, to

poleciałyby one w całym pędzie z góry, powodując, oczywiście, katastrofę. Ale nie na tym się zasadza „clou” przygody, która do łez poruszyła Herbaczewskiego. Tym „clou” były duchy, które wyprawiały jakieś „obrządki” w pobliżu dworu Dogile. Podług relacji Herbaczewskiego, rzecz się miała tak: w pobliżu drogi w chacie odbywała się dziwna wieczorynka; chata była oświetlona jaskrawie, ludzie się w niej ruszali i nawet tańczyli, ale ani muzyki, ani żadnych dźwięków lub głosów nie było słychać. W pobliżu chaty przy drodze szła postać kobieca bardzo wysoka w bieli, opodal zaś stało dwóch czarnych „drabów”, wyglądających, jak „potwory”, wpatrzonych w tę kobietę i śledzących jej ruchy. Gdy kary Elwiry się zrównały z kobietą – furman Ignat Zybolis uderzył biczem kobietę: i oto kobieta ta wnet zmalała do rozmiarów jakiejś karłowatej figurki, a po przejechaniu kar z kobiety tej pozostał jeno na ziemi ślad płaski, jakby ręcznik, rzucony na ziemię. Herbaczewski jest przekonany, że nie było ani wieczorynki, ani chaty, ani dziewczyny, ani czarnych w nią wpatrzonych potworów. Wszystko było tylko zjawą duchów ludzi dawno umarłych, którzy zajęli ten skrawek ziemi i odtwarzają na nim jakiś epizod, który miał kiedyś w ich życiu miejsce. Pani Herbaczewska, która zresztą nic z tej sceny nie obserwowała, gorliwie sekunduje mężowi: twierdzi, że przejeżdżając mimo tej chaty, spostrzegła istotnie jej niezwykłe oświetlenie – jakby światłem elektrycznym; widziała też pary tańczące we wnętrzu, ale bez muzyki, śpiewu i głosów. Ta wieczorynka wiejska w oświetleniu *a giorno* i w ciszy zupełnej – zastanowiła ją, jak powiada, a była tak niezwykła, że i nasz woźnica Pietruk odwrócił się, by spojrzeć. Stąd oboje Herbaczewscy doszli do wniosku, że była to nie prawdziwa zabawa wiejska, jeno wieczorynka duchów; domniemanie to potwierdza się jeszcze przez to, że Elwira powiedziała (żartem!), że we dnie chaty w tym miejscu nie ma. Naturalnie, że wszyscy, co jechali w karach Elwiry, potwierdzali wobec Herbaczewskiego jego fantastyczne spostrzeżenia, ale w istocie, jak powiadają, wszystko było bardzo naturalne. Szła dziewczyna, dwóch chłopców na uboczu ją obserwowało, była chata zwyczajnie oświetlona i najpospolitsza pod księżycem wieczorynka – „wakaruszka” litewska, Ignat zaciął konie, zamachnąwszy biczem lekko w stronę dziewczyny, która na skutek tego ruchu trochę się pochyliła. Oto była cała „przygoda”, która w pojęciu Herbaczewskich urosła do rozmiarów jakichś mistycznych bachanalii duchów.

30 lipca, rok 1929, wtorek
Piękna Anula Stawska – słońce Herbaczewskiego – wyjechała. Na ranny pociąg pojechała do Abel, gdzie się spotkała z matką – Marysią Stawską – i pojechały obie do Polski. Herbaczewski jakoś postatecczniał od razu. Spaceruje dziś naokoło Bohdaniszek i przez wspaniałą lunetę polową, której udzielił czasowo do mojej dyspozycji naczelnik punktu pogranicznego policji kolejowej w Abelach, studiuje piękne widoki i okolice lokalne, rozciągające się tu w polu widoku miejscami na 30-40 kilometrów. Przeważnie jednak, nawet dziś bez Anuli, Herbaczewski grawituje do towarzystwa młodzieży, złożonego ze Stefanostwa Römerów i dzieci Mieczkowskich, do których przybyli jeszcze Justyś Stawski i Konrad Wasilewski.
Jeździłem dziś z Jadzią do Rakiszek jednym konikiem po sprawunki – głównie po kredę i farbę do bielenia sufitów i malowania okien, drzwi i podłogi.
Stefan Römer z pomocnikiem w osobie Bodzia wykończył mi malowidła ścienne w saloniku i maluje w gabinecie. Malowidła są bardzo ładne – szczególnie w gabinecie. Będą one stanowiły wielkie upiększenie mego domu.

31 lipca, rok 1929,środa

Z części Gaju, która w naszym dziale rodzinnym w Bohdaniszkach w r. 1921 wypadła w ilości ± 9 ha na schedę Maryni Römerowej, a którą ja w tym roku odkupuję od Maryni za 7200 litów, wydzieliłem dziś cząstkę – koło 4-5 ha lasu z ziemią; cząstkę tę przydzielam do Jadzi folwarczku Eybučiupis, który akurat z południa do Gaju przylega. Ten kawałek Gaju oddaję Jadzi na własność; folwarczek jej urośnie przeto do 15 ha. Jadzieńka moja bardzo się z tego przyrostu i samego Gaju cieszy. Właśnie dziś rano wytknąłem w naturze przyszłą linię graniczną w Gaju między własnością moją i Jadzi. Niech Pan Bóg da Jadzi zdrowie i sił do cieszenia się i korzystania z tego przyrostu własności.
Na wieczór się zachmurzyło i kropić zaczął kapuśniaczek.
Jesteśmy w samym przededniu żniw. Gdzieniegdzie, po pagórkach, już się nawet snopki skoszonego żyta ukazały, ale to jeszcze dopiero u tych, którym braknie na chleb. Żyta są już wszędzie białe i są już w tym ostatnim stadium dojrzewania, kiedy ziarno się wypełnia i twardnieje. Lada dzień rozpoczną się żniwa masowe.

1 sierpnia, rok 1929, czwartek
Roboty w moim domu dość forsownie posuwają się naprzód. Sinica zakończył podmurówkę, ustawił odrzwia, układa już pierwszy rząd kamieni na ścianę. Kazimierz rozpoczął dziś malowanie okien i drzwi (na biało) i podłogi (na czerwono) w saloniku, którego ściany są już przez Stefana Römera pomalowane. Salonik więc będzie pierwszym całkowicie wykończonym pokojem w moim domu. A jest to właśnie pokój, do którego nic mebli nie mam. Za nim pójdzie gabinet, następnie pokój na górze, w którym się dziś Herbaczewscy lokują. Był też dziś szklarz z Abel, który mi wstawiał szyby kolorowe do górnych fragmentów okien w ganeczku przy jadalnym. Szkła kolorowego trochę mi zabrakło. Trzeba będzie jeszcze z Kowna uzupełniająco sprowadzić.

2 sierpnia, rok 1929, piątek
Odwiedził mię dziś w Bohdaniszkach mój stary przyjaciel i kolega z czasów paryskich – Józef Petrulis z Audry, człowiek, który w swoim czasie wywarł na mnie wpływ może i najbardziej decydujący. Rok 1904, znajomość z Petrulisem, stowarzyszenie „Lithuania" w Paryżu – to były czynniki, które ukształciły mój stosunek do Litwy i do Polski i określiły przeto całą linię mojego życia i mojej działalności w kraju i poza nim. Petrulis, który jest nauczycielem historii w gimnazjum w Rakiszkach, w roku szkolnym ubiegłym nie pracował w gimnazjum wcale i przemieszkał na wsi w Audrze na 18 ha gospodarki własnej.
Petrulis przyjechał do mnie nie tylko dla odwiedzenia mię, ale też dla pomówienia w pewnej sprawie społecznej lokalnej. Założył on tu przed paru laty towarzystwo kulturalno-oświatowe Rakiszczan pod nazwą „Aušra", które ma na celu zespalać rozproszone siły inteligenckie ludzi urodzonych w powiecie rakiskim pod hasłem studiów nad tą dzielnicą Litwy, jej szczególnego umiłowania, pracy nad jej kulturą i rozwojem itd. Jest to usiłowanie wytworzenia prądu analogicznego do tzw. regionalizmu francuskiego i polskiego. Sztuczne w tej konstrukcji jest tylko to, że się opiera ona na jednostce terytorialnej ściśle administracyjnej, nie stanowiącej – poza organizacją samorządu – żadnej całości logicznej. Regionalizm ten powinien by być nie powiatowy, lecz jakiś dzielnicowy, na przykład, u nas powinien on ogarniać nie tyle powiat rakiski, ile jezioroski, wschodniorakiski (gmina Abele – Krewny – Jużynty – Komaje) i bodaj uciański. No ale to są początki, które może będą wymagały poprawek. Petrulisowi chodzi o wciągnięcie do tego towarzystwa takich Rakiszczan, jak ja i szereg innych, którzy pochodzą z powiatu rakiskiego i zajmują wysokie stanowisko w

państwie, w nauce, w sztuce, w społeczeństwie itd. Okazją do tego jest utworzenie z łona tego stowarzyszenia komitetu dla obchodu w d. 1 września 10-letniej rocznicy powiatu rakiskiego. Zgodziłem się chętnie wziąć udział w tym komitecie i w uroczystości obchodu.
Petrulis pozostał takim samym kochanym idealistą, jakim był zawsze. Ani względy kariery, ani względy popularności i mody, ani żadne inne rzeczy nie zdołały go wypaczyć. I gdy dziś w młodym państwie litewskim szaleje nacjonalizm centralistyczny i huraganowy, on – wolnościowiec głęboki – wierzy niezłomnie w federalizm i przez swą akcję regionalistyczną toruje rozmyślnie drogę do federalizacji Litwy. Ten ideał federalistyczny, do którego mi się on przyznał – to najlepsze świadectwo wysokiej wartości Józefa Petrulisa w społecznym ruchu krajowym.

3 sierpnia, rok 1929, sobota
Herbaczewski bardzo dużo zyskuje, gdy nie ma atrakcji panieńskiej, która go przykuwa do siebie. Odkąd Anulka Stawska wyjechała – jest on naturalniejszy i milszy. Jest wtedy całkowicie sobą – oryginalny w swoich pomysłach i spostrzeżeniach, dziwaczny i paradoksalny w wierze w duchy, w astrologii i w całym obcowaniu fantazyjnym ze światem własnej wyobraźni, ciekawy wszystkiego i naiwny w swoich wybrykach i w poznawaniu wszystkiego, co dokoła spostrzega. Staje się znów miłym, beztroskim, pogodnym.
Ale swoją drogą Herbaczewski ma już dość wsi. Pani Herbaczewska rada by jeszcze dłużej na wsi posiedzieć, ale on tęskni już do miasta, do kawiarni, do zmienności kalejdoskopicznej ruchu miejskiego i mas ludzkich. Oświadczył już, że za tydzień w sobotę wyjeżdża do Kowna. Choć kawę ma u mnie doskonalą i podawaną dwa razy na dzień – na śniadanie i podwieczorek, o wiele lepszą od najlepszej w kawiarniach kowieńskich, ale potrzebny mu jest nie tyle smak kawy, ile lokal i atmosfera kawiarni. Ja się cieszę, że Herbaczewscy skracają swój pobyt, bo choć miło mi z nimi i choć są względnie wystarczający sobie, to przecież gość w domu jest zawsze nieco krępujący i poza tym w takiej gospodareczce karłowatej, jak moja, wyżywienie dwóch osób na stopie utrzymania inteligenckiego jest rzeczą kosztowną i uciążliwą.

4 sierpnia, rok 1929, niedziela
Jeden z najpiękniejszych, prześliczny dzień: pogoda bez skazy, słońce, pomimo to jednak upału prawdziwego nie ma, bo gdzieś het w podłożu jest chłodek elementarny. Kąpałem się i leżałem nad stawem w słońcu, zamierzając rozpocząć kurację opalania słonecznego. Jeżeli pogoda będzie sprzyjała nadal – będę się systematycznie kąpielom słonecznym oddawał. W ogóle próżnuję w tych wakacjach. Roboty nie wykonywam większej żadnej. Nawet do porządkowania i segregowania archiwum się nie zabrałem. Bo zresztą pokoje nie są jeszcze ustalone, meble też wędrują z jednego do drugiego w miarę, jak się pokoje bielą, malują itd.

5 sierpnia, rok 1929, poniedziałek
Rozpocząłem moje żniwa. Petruk Skrebys kosi żyto, Pupelisowa – wiąże. Żyto, jak mur; słoma – wysoka i mocna, prawdziwa kulowa, kłos – bujny, ziarno – duże i ciężkie.

6 sierpnia, rok 1929, wtorek
Herbaczewscy już nas z Jadzią trochę zmęczyli. Gospodareczka moja, która w stadium obecnym obejmuje zaledwie kilka hektarów, jest uboga, toteż trzeba dobrze sobie głowy łamać i suszyć, aby wymyślić co dzień, czym nakarmić gości. Poza tym, dom jest cały w remoncie, roztrzęsiony jak na popasie, przez okna leje się żar słoneczny,

wewnątrz – muchy, rzeczy gdzieś porozkładane doraźnie, nigdzie ładu, symetrii, stateczności. Herbaczewskim w głowie tylko wyjazdy, wycieczki, sąsiedztwo ziemiańskie. Chciałoby się domu, ładu, ciszy wiejskiej, pewnej pracy skupionej. Wyobrażałem sobie nieco inaczej zachowanie się Herbaczewskiego na wsi. Sądziłem, że będzie się interesował ludem, folklorem, że czas zapełni gwarem jakiejś akcji wśród ludu. On wszakże – typowy Cygan kawiarniany – lubi się rozkoszować w snobizmie, używać wygód, dobrego jedzenia, wypitki okazyjnej, obcować z ziemianami, a głównie się do młodych dziewczątek pańskich zalecać, imponując im błyskotkami salonowej astrologii i swoją oryginalną osobą zasłaniając wszystko, cokolwiek mogłoby być przedmiotem uwagi, tak aby wszystkich promienie w swojej osobie ześrodkować. Rad już jestem, że Herbaczewscy wkrótce wyjeżdżają. Mieli wyjechać w sobotę, ale jeszcze Piotr Rosen ich na niedzielę na piknik zaprosił.
Trzy pokoje będę miał już, zdaje się, całkowicie tego lata wykończone: salonik, gabinet i pokój Jadzi. W saloniku, do którego zresztą właśnie mebli nie posiadam, pozostaje już tylko po raz ostatni podłogę pomalować. W pokoju Jadzi ściany podług jej gustu zostały jednolicie na różowo pomalowane i jeno u góry Stefan Römer ma dać wąski szlaczek kwadracików szachownicy na czarno. Okna, drzwi i podłoga zostaną w tych dniach pomalowane. W gabinecie są już prawie ukończone piękne malowidła dekoracyjne Stefana, wyobrażające stylizację irysów. Tło tylko u spodu – niżej malowideł – nie bardzo udane. Jest ono barwy czekoladowej, wcale nie ładnej i jakąś pospolitość szarą pokojowi nadające. Stefan ma to jeszcze poprawić.
Wieczorem przyjeżdżali dziś Zygmuntostwo Rutkowscy z Kowaliszek z dwiema siostrami Zygmunta – starymi pannami Manią i Basią.

7 sierpnia, rok 1929, środa
Wybrałem się z Herbaczewskimi do Kowaliszek. W przeszłym tygodniu mówiła Elizka, że właśnie na teraz zapowiedzieli się do Kowaliszek Eugeniuszostwo Römerowie ze starszymi dziećmi. Elizka, będąc w Bohdaniszkach, zaprosiła i Herbaczewskich, mogłem więc wziąć ich ze sobą śmiało. Zresztą Herbaczewski jest tak ożywiony, ruchliwy, pełny pomysłowości w swoich kombinacjach aktualnych, skądinąd sypiący paradoksami, chwalący się, sugestionujący siebie i innych, że w każdym towarzystwie jest on pożądany. Na pewno nie znudzi nikogo, natomiast zabawi wszystkich do syta. On sam sądzi, że ci, co go słuchają, przyjmują jego twierdzenia jako objawienie prawdy i że go mają za proroka. W istocie słuchacze często się śmieją z niego samego i słuchają go nie jak ewangelii, lecz jak ciekawej bajki albo ucieszmego aktora. W każdym razie, bawią się dobrze, więc mu są radzi.
Do Kowaliszek przyjechaliśmy o zmroku. Okazało się, że Eugeniusz Römer do Kowaliszek nie przyjechał. Przyjechała tylko Zosia Eugeniuszowa Römerowa z synem Redziem i dwiema starszymi córkami – Zosieńką i Gienią. Redzio jest już prawie kawalerem, Zosienia – prawie panną. Znacznie młodsza 13-letnia Gienia jest olbrzymką, wyższą od swojej starszej siostry, która sama przez się jest wysoka. W kogo wdał się Redzio – trudno dociec. Nie przypomina mi on z rodziny nikogo. Ma rysy ostre, może poniekąd drapieżne. Zosienia – ładna, pogodna, jasna, o ciemnych oczach; przypomina swoje ciotki, siostry ojca – Izydorówny Römerówny z czasów ich młodości, szczególnie Zosię Virionową. Gienia poszła wybitnie w ojca. Ma ona w sobie typ Przeciszewskich i całego domu antonoskiego Römerów po Białłozorach; miła jest i swojska. Ale Römerów zastaliśmy już na samym wyjezdnym. W godzinę po naszym przyjeździe, po kolacji – Zosia z dziećmi odjechała na kolej. Herbaczewski jednak zdążył wysypać Römerównom i Redziowi cały worek swych wiadomości astrologicznych.

8 sierpnia, rok 1929, czwartek
Z Herbaczewskimi w Kowaliszkach. Od samego rana tak duszno i tropikalnie gorąco jak w Brazylii, że na dworze wprost niepodobna wytrzymać. Próbowaliśmy wyjść na przechadzkę – bądź do ogrodu, bądź w pole do traktora, który właśnie był zaprzęgnięty do pługa i działał, ale rychło całe towarzystwo, rozbiwszy się na grupki, z których każda gdzieś coś poszczególnego oglądać miała, znalazło się znów – pod wpływem nieprzepartej ucieczki od spiekoty – w domu. Ponieważ Herbaczewski dowcipnie i ciekawie zabawiał towarzystwo, zręcznie kalkulując dla każdego prognozy astrologiczne jego charakteru, skłonności, dat szczęśliwych i nieszczęśliwych itd., czas upływał prędko i zabawnie. Gorąco było takie, że termometr Réaumura wskazywał na słońcu 45 stopni (Celsjusza więc – coś z 57!), a w cieniu – przeszło 30. Człowiek był cały oblany potem i siedzący w mokrej bieliźnie jak gdyby z łaźni się dopiero wyrwał. Herbaczewskim Kowaliszki bardzo się spodobały i nawet zaimponowały. Ładnie zadrzewiony i zewnętrznie utrzymany dwór, wszelkie pozory szerokości i dostatku, które Elizka utrzymuje umiejętnie, pokrywając nimi często i gęsto dokuczający niedostatek, pokoje przepełnione meblami, których obfitość w Kowaliszkach jest wielka (są tam meble dawne kowaliskie, znaczna ilość wyborowych bohdaniskich, otrzymanych przez Elizkę w dziale lub skupionych od sióstr, meble Weyssenhoffów z przedwojennego Tarnowa i Römerów z przedwojennego Antonosza), kulturalna atmosfera umysłowa, która w Kowaliszkach istotnie się tradycyjnie od czasów Zygmunta uwydatnia – wszystko to czyni tam wrażenie dworu pańskiego w stylu co najmniej przedwojennym. W Kowaliszkach – zwłaszcza, gdy chodzi o Elizkę, Zitkę, Julka – rzeczywiście czuć, że tu się książki czytają i że tu się usiłuje od cywilizacji zbytnio nie pozostawać w tyle. Co prawda, te wspaniałości pańskie Kowaliszek opłacane są wydatkami ponad stan, a pod pozorami blichtru dostrzec się dla wtajemniczonych daje nieraz nędza, ale ostatecznie pozory robią swoje, blichtr ma swój efekt, a przypowieść o „pańskich ostatkach" da się jeszcze dobrze do Kowaliszek zastosować. W okolicy naszej są stare dwory ziemiańskie dwóch rodzajów: jedne należą do grupy tych, co wyraźnie zrezygnowały i w swym poziomie kulturalnym uwsteczniły się; w stanie swoich mebli, w urządzeniu mieszkania, w całym trybie życia uległy one regresowi czy degradacji; inne – nadrabiają miną, usiłują się utrzymać na przedwojennej stopie. Poniekąd i obcowanie towarzyskie rozdzieliło te dwie grupy dworów: na przykład, w naszych stronach Bohdaniszki moich sióstr, Użukrewnie Pawła Koziełły, nawet Gaczany Rosenów – należą do poziomu degradacji, są poniekąd szczątkowe, a z nimi się łączy taki, na przykład, Antonosz opustoszały z suterenami Falejewa itp. Do drugiej grupy należą Kowaliszki Komorowskich, Poniemuniek Bichniewicza, Koźliszki Rutkowskich, które się orientują i równają na Rakiszki Przeździeckich. Herbaczewscy ofiar, którymi się te pozory utrzymuje i blichtr osiąga, nie widzą, spostrzegają jeno samą zewnętrzność, która im imponuje i wydaje się całą rzeczywistością.
Przed wyjazdem z Kowaliszek musieliśmy przeczekać burzę i ulewę, do której stęskniona jest od dawna cała natura, usychająca z upałów i braku deszczu. Wyjechaliśmy z Kowaliszek o piątej. Jechałem do Rakiszek w przypuszczeniu, że odbędzie się tam może posiedzenie komitetu obchodu 10-lecia powiatu rakiskiego, do którego mię Petrulis zaprosił i mówił, że zapewne dziś się posiedzenie odbędzie. W Rakiszkach jednak nie zastałem żadnego zawiadomienia wyraźnego o dniu i miejscu posiedzenia komitetu, więc sobie nie zadawałem fatygi szukania i po załatwieniu sprawunków powiozłem Herbaczewskich wprost do Bohdaniszek.

9 sierpnia, rok 1929, piątek
Na dziś byliśmy z Herbaczewskim proszeni przez Falejewa na majówkę do Antonosza. To znaczy – z Bohdaniszek byliśmy zaproszeni: Herbaczewscy, ja, z domu Mieczkowskich – Elwira z dziećmi Helcią, Andrzejem i Michasiem i z domu Maryni – tylko Stefan Römer, bo sama Marynia wraz z Marysią Stefanową wyjechały dziś raniutko na parę tygodni do Polski. Na tę majówkę czy piknik Falejew zaprosił też cały dom Koziełłów z Użukrewnia i Rosenów z Gaczan wraz z bawiącymi w Gaczanach dziewczynkami – Zosią Wasilewską i Marysieńką Stawską. Piknik miał być zbiorowy w tym znaczeniu, że każda przyjeżdżająca rodzina miała przywieźć ze sobą prowizję, Falejew zaś brał na siebie trunki (wódkę i własnego wyrobu wino owocowe). Herbaczewski od samego rana bardzo się o tę jazdę na piknik antonoski dopytywał. Bibka, którą przewidywał i do której jest zawsze skory i smaczna przekąska wraz z rejwachem towarzyskim – bardzo go nęciły. Rad by on już od rana tam pojechał. Zaproszenie formalne mieliśmy dopiero na godz. 3-4 po południu, to znaczy po obiedzie w domu. Już od południa Herbaczewski naglił do pośpiechu i gorszył się, że się wybieramy tak marudnie. Ku wielkiemu jego oburzeniu wybraliśmy się wreszcie o godz. piątej do wyjazdu. Jechaliśmy końmi wyłącznie Elwiry; główna część towarzystwa – Elwira, Herbaczewscy, ja i Helcia Mieczkowska – w dużych karach, powożonych przez Elwiry gospodarza Ignota Zybolisa, młodzież zaś męska – Stefan Römer i Andrzej oraz Michaś Mieczkowscy – za nami linijką jednokonną. Jechaliśmy nie wprost do Antonosza naokoło jeziora, lecz do wioski Kupry, położonej nad jeziorem na wprost Antonosza, skąd się łódką na brzeg antonoski przejeżdża. Od samego rana duszno było, parno i gorąco – zbierało się na burzę i deszcz i właśnie, gdyśmy się już do przeprawy przez jezioro zbliżali, burza zaczęła huczeć. Przewoźnikiem w łódce z Kuprów do Antonosza jest chłop niezupełnie przytomny, który nieraz łaja i wygraża tym, których przewozi. Zwykle tylko mruczy te połajanki pod nosem, ale zdarza się czasem, że wpada w gniew i że nagle na środku jeziora przestaje wiosłować, odmawia dalszych usług albo nawet wprost proponuje podróżnym skoczyć do wody. Miły przewoźnik! Konie zostawiliśmy w Kuprach, a sami wraz z przywiezioną przez na prowizją przeprawiliśmy się łódką w dwóch partiach na brzeg antonoski, gdzie nas oczekiwał Falejew. Nasz sympatyczny przewoźnik wpatrywał się w nas uważnie wiosłując, gryzł papierosa i mruczał coś niezrozumiale, w czym można było jeno rozróżnić jeden powtarzający się często i wcale dla nas nie pochlebny epitet „gyvatės". Po przyjechaniu na brzeg antonoski dowiedzieliśmy się od Falejewa, że ani Koziełłowie, ani Rosenowie nie przyjechali. Byliśmy więc jedni na pikniku. Zmrok już zapadał, deszcz lać zaczynał, burza się rozrastała. O majówce w parku nie mogło być mowy. Zgromadziliśmy się w suterenach pałacu antonoskiego u Falejewa. Oprócz nas byli tylko domowi: Falejew, jego gospodyni pani Zaleska i dwoje dzieci tejże – jej syn i jej córeczka dorastająca panna Dyzia. Zresztą, czas nam miło zeszedł. Wypiło się, nahałasowało, nadyskutowało, a jak kto – i naśpiewało, i natańczyło.

10 sierpnia, rok 1929, sobota
Herbaczewski był tak podrażniony wczoraj tym, że Koziełłowie i Rosenowie nie przyjechali na piknik do Antonosza, a zwłaszcza obrażony za to na Rosena, który obiecywał przyjechać i obietnicy nie dopełnił, że oświadczył od razu, iż w niedzielę do Rosena nie pojedzie, a wobec tego wraca do Kowna dziś. W ogóle Piotr Rosen od pierwszego wejrzenia nie podobał się Herbaczewskiemu, który – trzeba to przyznać – ma zmysł wyczuwania ludzi. Wyczuł też on w Rosenie egoizm, skąpstwo i fałsz. Wprawdzie za ostatniej bytności Rosena w Bohdaniszkach Herbaczewski się z nim rozgadał i dał się nieco pochlebstwu usidlić, chętnie akceptując jego zaproszenie na

niedzielę, ale zawód sprawiony wczoraj przez Rosena dotknął go jak obraza osobista. Herbaczewski wytłumaczył sobie nieprzyjazd Rosena jego „ambicją męską", bojącą się konkurencji Herbaczewskiego i zaćmienia jego, Rosena, wobec żony (p. Rosenowej) i nabrał niesmaku do gościny w tych warunkach w Gaczanach. Straszliwy „atak duchów", którego Herbaczewski „doświadczył" w powrocie z Antonosza nocy ubiegłej, o którym jeszcze napiszę, utwierdził jego chęć przyśpieszenia powrotu do Kowna. Wysilenie energii na odparcie tego „ataku duchów" było u Herbaczewskiego tak wielkie, że czuł się on dziś po nim zupełnie wyczerpany i rozbity, spragniony już tylko powrotu. I chociaż deszczyk mżył wieczorem – Herbaczewski nie cofnął decyzji i przed wieczorem odjechał z żoną tak, aby za dnia stanąć w Abelach na stacji, unikając ponownej jazdy nocnej, aby się znów z „duchami" nie zetknąć.
Wczorajszy więc piknik antonoski był ostatnią rozrywką towarzyską tej trzytygodniowej wizyty Herbaczewskich u mnie. Chociaż srodze zawiedziony nieprzybyciem Koziełłów i Rosenów, Herbaczewski był jednak rozmowny i ożywiony. Przekąska i wódka uśmiechały mu się bardzo i pocieszały w zawodzie doznanym. W wódce sekundowała mu wiernie p. Herbaczewska, która się ostatecznie mocno strąbiła i potem tańczyła w pałacu na górze z młodzieżą, zataczając się i chwiejąc na nogach. Piątka, która stanęła do apelu do wódki, składała się z Herbaczewskiego, Herbaczewskiej, Eugeniusza Falejewa, Stefana Römera i mnie. Piliśmy dzielnie wśród toastów, okrzyków, doskonałych przekąsek, przyprawionych przez smakosza Falejewa, i rozmowy serdecznej. Herbaczewski był w swoim sosie. Prawił każdemu morały, przestrzegał, zalecał wierne dopełnienie przeznaczenia, które każdy ma w tym życiu założone w jego charakterze, pochodzeniu, stanowisku społecznym itd., wróżył, szacował wartość naszą i naszych wspólnych w tych stronach znajomych. W szczególności Falejewowi zapowiadał na rok 1932 małżeństwo. Do mnie Herbaczewski ma dawną pretensję i żal o to, że lekceważę świat „duchów", nie wierzę w strachy i nie doceniam przestróg świata zagrobowego. Zapowiedział mi wreszcie, że rychło duch mojego Ojca zacznie mię napastować; mój Ojciec, z którym się porozumieć nie umiałem nigdy, zażąda ode mnie dwóch rzeczy: kontynuowania rodu – pozostawienia po sobie syna prawowitego – i obserwowania tradycji rodowej, to znaczy uzgodnienia mojej działalności osobistej z postulatami tejże tradycji. Co do samego „ducha" Papy jako pewnej istoty osobowej, żyjącą poza śmiercią fizyczną Papy, to oczywiście nic w tej materii twierdzić nie jestem w stanie, bo nic o istnieniu takich „duchów" osobowych nie wiem. Jeżeli one istnieją – to „duch" Papy może mię nawiedzać, może napastować, może co chce i co jest w stanie robić. W tym względzie niczemu przeczyć nie mogę, choć sam w takie bytowanie „duchów" pośmiertnych nie wierzę. Wszakże co do owych pretensji i żądań Papy, to śmiem kategorycznie twierdzić, że Herbaczewski jest w błędzie. Wprawdzie za życia Papy i aż do samej niemal Jego śmierci nie mogliśmy się nigdy z Papą porozumieć i – kochając się – byliśmy sobie może nie obcy, lecz przeciwni – w ciągłej walce, w ciągłym rozdźwięku tragicznym, reprezentujący dwa odrębne światy, dwie sprzeczne idee, to jednak Herbaczewski się myli: po pierwsze – dlaczegoż by właśnie idea czy linia Papy, a nie moja była w harmonii logicznej z tradycją dziejową rodu naszego. Twierdzę, że nie ja, lecz Papa był w błędzie i że nie ja się od tej tradycji odchyliłem, lecz właśnie Papa, który pewne wykrzywienie linii ewolucyjnej funkcjonalnej naszego ziemiaństwa krajowego wykrzywiał dalej, oddalając się od kraju i społeczeństwa krajowego do Polski przeżytkowej, a miłość Litwy przesadzając na miłość Bohdaniszek własnych, ja zaś byłem tym, który wyprostował spaczoną linię, nawiązał ją do rozwoju kraju w nowych warunkach społecznych dziejowych i uzgodnił tradycję rodu z ewolucją kraju. Nie renegatem rodowym byłem i jestem, lecz konsekwentnym rodu i kraju pojednawcą i tradycjonalistą. Z Papą dopiero

przed samą jego śmiercią porozumiałem się, a po śmierci Papy pojednałem się z jego ideą zupełnie na gruncie nie jego, lecz mojej linii obywatelskiej. Dziś żadnego konfliktu między ideą Papy a moją, między tradycją naszego rodu a tradycją mojej pracy i mojego czynu życiowego – nie ma. Nie kto inny z Römerów, jak właśnie ja stanąłem na stanowisku mocnym tradycji obywatelskiej i jednego mi tylko brakuje – to syna i spadkobiercy czynu mojego. Na uzupełnienie tego braku dotkliwego szans istotnie nie ma, choć fizycznie nie jest to jeszcze niemożliwe. W tym względzie jednak Papa mię nie upominał nigdy i czuł ze mną solidarnie.

11 sierpnia, rok 1929, niedziela
Wczoraj więc Herbaczewscy wyjechali. Wprawdzie mili byli i czas spędzony tu przez nich upłynął przyjemnie i nieraz wielce zabawnie, to jednak bądź co bądź wypoczywamy po nich z Jadzią. Gość, choćby najpoufalszy, krępuje, a tak miło i słodko jest się czasem na wsi poddać biegowi naturalnemu czasu – bez żadnej systematyczności, bez godzin określonych, dając się unosić fali dnia pięknego jak łódka puszczona swobodnie luzem na wielką wodę. I cały dom teraz ze wszystkimi pokojami, będącymi tak lub inaczej w robocie, jest teraz w dyspozycji naszej dowolnej. Można na każde zajęcie, na każdą czynność przenosić się do innego pokoju lub na inny balkon, kosztując kolejno smaku każdego i doświadczając subtelnej indywidualności miejsc i zakątków tego tworzącego się siedliska. Wszystko jeszcze prowizoryczne, wszystko nieostateczne w tym domu. Meble są jeszcze tu lub tam jakby na egzaminach, pokoje mogą jeszcze otrzymywać i zmieniać przeznaczenie, dom jest nie tylko w tworzeniu, ale jest też w próbie i doświadczeniu, wszakże bez krystalizacji ostatecznej.
Po obiedzie dziś miałem jeszcze niespodziewany posmak Herbaczewskich, ale miły: oto przyjechali niespodziewanie do mnie aż dwukrotni goście, liczący odwiedzić nie tylko mnie osobiście, lecz także Herbaczewskich. Oto jednym powozem przyjechali Hektor Komorowski i hr. Jan Przeździecki z Rakiszek, a w chwilę potem – nic o przyjeździe tamtych nie wiedząc – Julkowie Komorowscy – Julek i Madzia. I jedni, i drudzy wybrali się *exprompttu* – na krótką wycieczkę – Julkowie i Hektor w odpowiedzi na wizytę Herbaczewskich w Kowaliszkach, Przeździecki – też *à conto* Herbaczewskiego tak ze względu na ciekawego i oryginalnego człowieka, jak ze względu na to, że Herbaczewski przed kilku laty, bawiąc w Rakiszkach, był u Przeździeckiego w pałacu, nie zastawszy co prawda jego samego, jeno hr. Przeździecką. Przyjąłem gości w moim domu, dałem kawy; oglądali dom, malowidła Stefana, widoki, otoczenie, perspektywy urządzeń przyszłych. Żałowali, że Herbaczewskich już nie zastali, ale na ogół – czas mi zeszedł nieźle. Przeździecki był szczerze zachwycony domem, mostem, obfitością kombinacji i pomysłów w tej budowie twórczej. No już co do widoku – to każdy, kto w domu moim staje, nie może wyjść z podziwu. Widok to wprost królewski – jeden z najwspanialszych w Litwie. Co poza widokiem imponowało Przeździeckiemu szczególnie – to przepojenie domu powietrzem i światłem, jego prześwietlenie niezrównane. Pokazywałem też moim gościom szkice do malowideł ściennych Stefana, portrety śp. Papy, wykonane przez Stefana Römera i przez Helę Römerówną Czarną, kopie pastelowe portretów Stefana-Dominika Römera i Racheli de Raësówny Michałowej Römerowej w młodym wieku, wykonane dla mnie przez Stasia Römera (brat Eugeniusza). Miła to była wizyta.
Innym razem napiszę o piątkowym nocnym „ataku duchów” w drodze z Antonosza, który tak przeraził Herbaczewskiego.

12 sierpnia, rok 1929, poniedziałek

A więc o ataku „duchów” na Herbaczewskiego w nocy z piątku 9 na sobotę 10 sierpnia w drodze powrotnej z Antonosza do Bohdaniszek. Herbaczewski wracał w nocy niechętnie. Jazda z Gaczan w nocy przed paru tygodniami, w której miał pierwsze przywidzenie „duchów”, usposobiła go do jazd nocnych nieufnie. Próbował się opierać powrotowi nocnemu, proponował zaczekać do godz. drugiej, kiedy wydnieje. Aleśmy wszyscy woleli wracać i zresztą gospodarz Falejew nie zatrzymywał. Wyruszyliśmy. Przeprawa przez jezioro poszła dobrze. Zamiast starego przewoźnika wariata przewoziła nas jego córka. Obawy więc zajść nie było. Przedstawienie „duchowe” zaczęło się w Kuprach. Herbaczewski dostrzegł przewoźnika wariata stojącego w oknie otwartym chaty swojej i miotającego, zdaniem Herbaczewskiego, jakieś przekleństwa potworne na nas. Czy się tak tylko Herbaczewskiemu wydało, bo stary przewoźnik wiecznie coś mruczy, czego nikt zrozumieć nie może, czy też istotnie były to miotane przekleństwa lub zaklęcie, dość że Herbaczewski, uprzedzając konsekwencje przekleństwa, podążył w kierunku wariata, żegnając go w powietrzu wielkim znakiem krzyża. Widząc tę zbliżającą się niezwykłego wyglądu postać Herbaczewskiego, żegnającą i kroczącą ku oknu, wariat zaczął pluć „tfu, tfu, tfu!” i uciekł do drugiego okna. Być może, że właśnie wariat wziął Herbaczewskiego za ducha. Gdy się wariat ukazał w drugim oknie – Herbaczewski zawołał na niego „Susivaldyk!”, po czym wariat znikł. Herbaczewski uważał to za wielki triumf. Ale się na tym nie skończyło, a jak Herbaczewski później tłumaczył sobie dalsze zajście, to właśnie owe przekleństwa czy zaklęcia wariata (opętanego) miały sprowadzić te gwałtowne ataki „duchów”, jakie nas czekały w przejeździe z wioski Kuprów do Bohdaniszek.
Po wyjeździe z Kuprów, zaraz w pierwszym laseczku Herbaczewski naraz rzucił się, wołając: „Kas čia? Kas? Kas!... Czy widzicie? O, o tam tam!.. Laukan! Laukan!”. W ogóle całą drogę do nas mówił, jak zwykle, po polsku, do duchów – po litewsku. A jechaliśmy tak: w wielkich karach parą koni powoził Ignot Zybolis, obok niego na koźle siedziała Hela Mieczkowska, w głębi w słomie siedziały Elwira i pani Herbaczewska i siedział też Michaś Mieczkowski, na siedzeniu – Herbaczewski i ja. Za nami zaś szła bryczeczka jednokonna, w której jechali Stefan Römer i Andrzej Mieczkowski. Ten pierwszy „duch” – była to rzekomo jakaś postać (jak mówił Michaś, „z brodą – jakby Żyd, jakby Moskal”, która na krzyk Herbaczewskiego skierowała się szybko do lasu, a coś mu świeciło – Herbaczewski powiedział, że widmo szło jak „elegancik” i że miało z tyłu na sobie lampkę „elektryczną”. Ja tej postaci nie widziałem, ale inni twierdzili, że widzieli i każdy inaczej szczegóły zaobserwował. W toku ogólnego poruszenia i obserwacji usłyszałem tylko pewien dźwięk od strony widma, niby jak „hjjjak!”, wcale nie widmowo wypowiedziane. Herbaczewski, poruszony, wołał: „Panowie! Odwagi! Niczego się nie bójcie! Trzymajcie się wszyscy za ręce! Ja was wszystkich obronię!”. Dalszy ciąg streszczę jutro.

13 sierpnia, rok 1929, wtorek
W dalszym ciągu o „ataku duchów” na Herbaczewskiego w drodze od jeziora antonoskiego do Bohdaniszek sprzed tygodnia. „Duchy” nie poprzestały na tej pierwszej zjawie „elegancika” z latarką elektryczną na plecach. Aż do wyjazdu z lasków na otwarte pole dworu pokrewieńskiego – raz po raz zjawiska się powtarzały. Herbaczewski zrywał się z siedzenia, stawał w karach, trzymając lewą rękę w dłoni żony i przytrzymywany za poły marynarki przeze mnie, żegnał powietrze w kierunku ukazujących się zjawisk: „Vardan Dievo Tėvo ir Sunaus ir Dvasios Šventos – šalyn! Laukan! Išnyk! Aš tau įsakau – lauk!”, to znów kreślił dokoła w powietrzu na cztery strony świata wielkie kręgi, mające oznaczać przestrzeń poświęconą dokoła pokojów, niedostępną dla duchów i wołał do ducha, zakazując mu zbliżania się na odległość 50

kroków. Następnie zaś odwracał się do nas lub do jadących za nami Stefana Römera i Andrzeja Mieczkowskiego i wołał: „Panowie – odwagi! Panowie – na miłość Boską – spokój! Niczego się nie bójcie: ja czuwam! Panowie, tylko nie poddawajcie się desperacji!”. Co prawda, nikt z nas nie był skłonny do desperacji, przeciwnie – wszyscy byli skłonni do śmiechu, bo śmieszył przede wszystkim sam Herbaczewski. Gdyby ktoś widział ze strony to widowisko z postacią natchnioną Herbaczewskiego, egzorcyzmującego zaklęciami duchy i nakazującego nam spokój i dyscyplinę dla przetrwania kryzysu, ten by się dopiero mógł uśmiać albo przerazić. Groteskowe to były pozy i groteskowa cała walka z duchami. Wszystkie „duchy” ukazywały się wciąż zjawą dostrzegalną lub głosem (jakieś pomruki, chrapanie, bełkotanie, beczenie koźle, gwizd) – zawsze z tyłu, w pobliżu bryczki Stefana i Andrzeja. „Duchy” przybierały jakieś kształty nietoperzowe, powiewały jakby skrzydłami, wznosiły piramidalnie ku górze ramiona, to znów przypadały do ziemi i rozpraszały się albo uciekały w pole. Pani Herbaczewska, siedząca na dnie kar, uspokajała męża, wzywała go do zachowania równowagi i spokoju, ale sama też żegnała wciąż zjawy i szeptała zaklęcia po polsku, wołając na duchy: „Precz!”. Na otwartym polu jakiś czas było się uciszyło, ale niebawem orgia „ataków” rozpętała się znowu. Herbaczewski już prawie całą drogę bez przerwy stał, żegnał, kreślił koła w powietrzu, wołał bądź do nas, bądź na duchy, klął, ciskał się. Przejeżdżając w Pokrewniu rzekę „duchy” wpadały do niej z takim dźwiękiem jak kamienie w wodę – i dalej znów i znów, i znów to samo. Myśmy siedzieli cicho, tylko mały Michaś Mieczkowski też wciąż stawał, by obserwować, a Ignat Zybolis odwracał się i patrzał nie tyle na „duchy”, ile na Herbaczewskiego i śmiał się, i cieszył widowiskiem zaiste niezwykłym. W końcu Ignat ze śmiechu serdecznego aż ryczeć począł, co Herbaczewski kładł na karb jego zdenerwowania i wołał do Heli, by Ignata dozierała i uspokajała, bo inaczej, doprowadzony do nieprzytomności, zatnie on konie, które polecą *„en carrière”*, porzucając bryczkę Stefana i Andrzeja, ci zaś ostatni, pozostawieni bez dozoru i obrony Herbaczewskiego, zemdleją i mogą pomrzeć we władzy „duchów”. Raz „duchy” tak gwizdać zaczęły, że choć gwizd był z tyłu, zdawać się zaczynało, że jest na przedzie, a Ignat twierdził, że „duch” wskoczył na jednego z koni i jechał czas jakiś konno, czemu Herbaczewski święcie uwierzył. Parę razy, gdy się uciszało i Herbaczewski siadał, „duch” wskakiwał z tyłu aż na nasze kary i przykucnięty tu – ciągał Herbaczewskiego za poły, a wtedy ten się zrywał i znów, i znów się zaczynały egzorcyzmy i cała heca. Od Busiszek jechaliśmy do Bohdaniszek przez Gaj karwieliszki. Tu koło Maleini (Ginduryszek) i przez cały Gaj aż do dworu szedł uparcie i konsekwentnie za wozami naszymi w pewnym oddaleniu „duch” w kształcie mężczyzny, nie znikając wcale i wywołując jak największe przerażenie Herbaczewskiego. Na bryczce Stefana i Andrzeja był niepokój największy, bo tam się właśnie akcja „duchów” najwięcej skupiała. Dolatywały nas stamtąd jęki, raz po raz to Stefan o Andrzeju, to Andrzej o Stefanie nas powiadamiał, że Andrzej (względnie Stefan) mdleje, że leży na dnie bryczki itd., a Herbaczewski o nich najbardziej się lękał.

14 sierpnia, rok 1929, środa
Na całych dwóch stronach dziennika wyłożyłem przebieg i poszczególne epizody tej tragikomicznej i groteskowej szopki, którą Herbaczewski był nazwał „atakiem duchów”. Otóż inscenizatorami całego tego „ataku” samymi aktorami tegoż, robiącymi „duchów” – byli Stefan Römer i Andrzej Mieczkowski. Oni to, otuleni w płachty, wyskakiwali to jeden, to drugi z bryczki, wymachując rękoma pod płachtą – naśladowali ruchy olbrzymiego, skrzydlatego nietoperza, to znów przypadali do ziemi, podbiegali do kar, w których jechał Herbaczewski lub uciekali w pole do zbóż na jego zaklęcia, podnosząc ręce do góry – stawali się podobni do obelisku, a pochylając się i

rozkładając ręce – do poczwary strasznej. Robili to przez całą drogę. Zawsze jeden z nich zostawał w bryczce, drugi zaś robił tymczasem „ducha”. Na razie robili oni to ostrożniej i bali się szczególnie, aby Herbaczewski nie zobaczył ich wyskakujących z bryczki i nie poznał ich, ale potem, gdy spostrzegli, że Herbaczewski niczego się nie domyśla, robili wszystko zupełnie otwarcie. Wszyscy jadący – my, furman Ignat, mały Michaś – widzieli ich manewry i wiedzieli, co sądzić o tych domniemanych „duchach”, jeden Herbaczewski i jego żona nie domyślali się niczego i w naiwnej wierze brali całą komedię za rzeczywisty atak duchów. Herbaczewski był bardzo znerwowany i wyczerpany wielkim napięciem energii na parowanie „ataku”. Powiada, że tak konsekwentnego i zaciekłego ataku od dawna nie doświadczył: dopiero pierwsze lata jego pobytu w Krakowie (przed laty przeszło 20) były nacechowane taką drapieżnością „duchów”. Wiedza tajemna Herbaczewskiego, jego sławetny „okultyzm”, zasadzający się na mistycznym obcowaniu ze światem tajemnic spoza materii, był nie tyle demonstrowany, ile kompromitowany w tę noc osobliwą. Mistyfikacja, szopka, na której się poznali i dzieci, i furman, była dla mistrza okultyzmu orgią i doświadczeniem tajemnic, w których walczył on z siłami zjawisk pozamaterialnych jak Don Kiszot z wiatrakami. Co dla dzieci było śmieszną farsą, to dla mistrza było dramatem. Największą zaś dla wszystkich uczestników szopki farsą było nie samo udawanie „duchów”, ale ta groteskowa powaga, z jaką mistrz reagował na szopkę i błaźnił swoją wiedzę tajemną. Nazajutrz Herbaczewski ze wszystkimi we dworze, a więc i ze służbą, z robotnikami, z majstrami mymi, komentował wypadki nocne, budząc ich wszystkich podziw dla naiwności profesora. Wywnioskował on nazajutrz, że duchy te były nie duchami ludzi, lecz duchami-chochlikami nizin i błot, duchami elementów, różnymi wodnikami, upostaciowanymi laskami, bagienkami etc. Miały to być duchy dokuczliwe, ale niestraszne, drażniące, ale nie szukające szkodzenia, niezłośliwe.

15 sierpnia, rok 1929, czwartek
Elwira Mieczkowska i Piotr Rosen namówili mię wybrać się do Gaczan z tym, żeby stamtąd końmi Rosena złożyć krótką wizytę p. Masiulisowi (agronomowi) do Gudziszek. Choć to wobec Bohdaniszek jest sąsiad dalszy, ale człowiek bardzo zacny, szanowny, człowiek niewątpliwie wybitny i dodatni w społeczeństwie narodowym litewskim. Był on ludowcem, z ramienia ludowców był posłem na Sejm Ustawodawczy, ale się z ludowcami poróżnił na zagadnieniu reformy agrarnej i wystąpił w Sejmie ze znaną ostrą mową przeciwko tendencjom radykalnym tej reformy, wycofał się z Sejmu i usunął się od życia politycznego, oddając się natomiast pracy społecznej w związku kooperatyw i w organizowaniu rolników (Žemės Ūkio Draugija, Pieno-Centras itd.). Obecnie, nie zrywając ze swymi stanowiskami dozorczymi w ruchu kooperacji, w ruchu zawodowym rolniczym i w Banku Litewskim, Masiulis osiada na własnym majątku Gudziszkach, który kiedyś – za lat moich dziecinnych – należał do p. Ludwika Salmonowicza. Ponieważ Masiulis w lipcu był u mnie w Bohdaniszkach z wizytą, więc należała mu się rewizyta ode mnie.
Jadźkę wysłałem do Rakiszek do kościoła, a sam rano zabrałem się do kar Elwiry, która całą furą z dziećmi, Stefanem Römerem i mną wyruszyła do Gaczan. Z Gaczan po wczesnym obiedzie udaliśmy się w trzech powozach do Gudziszek: w jednym jechałem ja z Eugeniuszem Falejewem i Aniem Mieczkowskim, w drugim – Piotr Rosen ze Stefanem Römerem i w trzecim – młodzież dziecinna, to znaczy Hela Mieczkowska, Zosia Wasilewska, Maryśka Stawska, Michaś Mieczkowski i Antoś Rosen. W Gudziszkach byłem po raz pierwszy. Niebrzydka i dość gęsto zadrzewiona rezydencja, okolica najbliższa – płaska, choć w pobliżu są wzgórza, niziny i widoki ładne i charakterystyczne, dom mieszkalny, stawiany za Salmonowicza, zupełnie tego samego

układu, co był w Ikaźni mojego szwagra Witolda Römera – jeden z kilku typowych układów w niewielkich dworach ziemiańskich XIX wieku: jedną połowę domu w długość zajmują dwa duże przeciwległe od przedpokoju pokoje: na prawo – jadalny i na lewo – salon, a druga połowa w długość zajęta jest przez szereg drobnych pokoików sypialnych, dziecinnych, gabinetu, kredensu lub kuchni z wejściem do każdego z salonu lub jadalnego (podobny typ układu domu był w Norwidyszkach u Tomaszewskiego, w Słobódce pod Krakinowem u Zawiszów i w wielu innych domach staroświeckich i niewielkich, budowanych po dworkach w w. XIX – to samo było w Bielczu Pruszanowskich w Mińszczyźnie, nie uwzględniając późniejszej przybudówki). U Masiulisa oprócz nas zebrało się grono jego sąsiadów i krewnych – Litwinów folwarkowych zamożniejszych, których sporo jest w okolicy komajskiej (Šutasowie, Indriunasowie itd.) Wizyta, która miała być krótka, przewlekła się, bośmy się aż do zmroku na herbatę i przekąskę czekali, bez czego niepodobna było wyjechać z gościny na wsi podług zwyczajów litewskich, tak że dopiero w nocy wyjechaliśmy do Gaczan, a znów nim z Gaczan dotarliśmy do Bohdaniszek – było już po godz. 1 w nocy.
W Gudziszkach obserwowaliśmy niespodzianie lot ceppelina, który nie wiadomo skąd i dokąd przeleciał o zachodzie słońca w kierunku na Jużynty – na wschód.

16 sierpnia, rok 1929, piątek
Parę obrazków myśliwskich, acz myśliwym nie jestem. Mój Gaj jest pełny zwierzyny, zwłaszcza ptasiej; ze zwierząt czworonożnych posiada tylko zające, wiewiórki i tchórze, co najwyżej jeszcze może lisy. Ale za to ptactwo się w nim roi. Z większych i ciekawszych ptaków, stanowiących zwierzynę myśliwską, posiada cietrzewie, gołębie i kaczki. Kaczki się tu nie tylko przelotnie pokazują, ale się gnieżdżą, wysiadają i wyhodowują młode stadka – w sieci błotek i stawków torfowych między wejściem do Gaju a Monticulem. W tym miejscu jest cały labirynt błotek i wód stojących, otoczonych gęstym młodniakiem i zaroślami, rozciągniętych pasmem żył torfowych z wysepkami porosłymi olchą i najrozmaitszymi krzewami i drzewkami. Na wodach rosną tu rozmaite zielska i trzciny, kwitną nenufary i lilie wodne, powierzchnia wody zasnuwa się nieraz zielenią płatków miniaturowych, jakichś wodorośli pływających, jakby pleśnią bagien, o której się mówi, że „staw kwitnie", a ta tkanina zielona powierzchni wody przecięta jest zawsze w różnych kierunkach liniami pływania kaczego. Nietrudno tu w początku lata natrafić na pływające stadka dzikich kaczek, umykających przed wzrokiem człowieka w głąb zarośli i zielsk nadbrzeżnych. I oto w tych dniach idąc do Gaju rowami od stawu kąpielowego – natrafiłem na scenę taką. Podchodząc – usłyszałem głośne równomierne kwakanie starej kaczki, ale urywane i wciąż jednostajne. Wkrótce, podchodząc bliżej – ujrzałem na wodzie błotka kaczkę, która się rytmicznie poruszała na miejscu, raz na prawo, to znów na lewo, i wydawała ten głos krzyku jednostajnego, czegoś widocznie niespokojna. Musiała mię spostrzec, ale nie zmieniła swej taktyki. Innych kaczek nie było widać. Postałem i postąpiłem kilka kroków naprzód; i oto nagle spoza zarośli odsłonił mi się widok nowy: na jednej z wysepek, porosłych olszakiem, na suchym cypelku wysepki nad wodą na wprost owej kaczki stał na ziemi duży, powiedziałbym ogromny jasnoszary ptak, który mi się w pierwszej chwili wydał do sowy posobny, ale musiał chyba być jastrząb, bo to był pełny dzień słoneczny; ptak ten stał pierzasty i nastroszony. Nie mógł owej kaczki pochwycić, bo by oczywiście wnet dała nurka w wodę, skądinąd zaś młodzież kacza, ostrzegana przez matkę, siedziała ukryta w gęstwinie zarośli nadbrzeżnych, nieuchwytna dla jastrzębia, ale też nie próbująca ucieczki w locie, bo by w locie jastrząb kaczki pochwycił. Na czym by się skończył ten epizod myśliwski jastrzębia, paraliżowany przebiegłością obrony kaczej, nie wiem. Aliści ptak drapieżny, ujrzawszy naprzeciwko

moją postać i czując nowego wroga już nie kaczkom tylko, lecz i sobie, uznał za właściwe zerwać się natychmiast do lotu i cicho bez szumu odleciał ponad las. Wtedy stara kaczka wnet umilkła, a do niej zaczęły od brzegów napływać inne kaczki, zapewne dzieci, i zrobił się nagle na wodzie ruch; ale kaczki ujrzały tu mnie i nie bojąc się już lotu, bo jastrząb odleciał, araz wszystkie poderwały się z wody i w ilości koło 7-8 sztuk pofrunęły z lasu nad pole i znikły. Był to obrazek z życia kaczek dzikich w naturze.
Dziś poszliśmy z Jadzią do Gaju na spacer z Murzą. Jadzia zaproponowała – z Murzą na kaczki. Podeszliśmy do błotka od wnętrza Gaju i puściliśmy Murzę. Momentalnie – o kilka kroków w bok przez zarośla – Murza na coś się rzucił i zaczął tarmosić, a wnet też, gdy Jadzia doń skoczyła, rzucił się ze swą zdobyczą przez kanalik bagnisty na wyspę. Jadzia za nim. Okazało się, że miał w pysku młodą kaczkę, którą przydybał uciekającą, bo jeszcze nie miała piór dojrzałych na skrzydłach i nie umiała latać. Niechętnie oddał Murza Jadzi swą zdobycz, pokąsaną całą i już nieżywą. Mieliśmy smaczny kąsek na improwizowaną kolację.

17 sierpnia, rok 1929, sobota
Sądząc z artykułów w „Lietuvos Aidas”, który sobie na czas wakacji zaprenumerowałem i który zresztą bardzo nieregularnie odbieram, bo się wciąż zatraca we dworze (zapewne ktoś czyta), reforma uniwersytecka wypłynęła znów na porządek dzienny i ma być tym razem krótko a dobitnie zarządzona. O ile wnosić można z enuncjacji w tej gazecie, która jest przecie gazetą stronnictwa rządzącego, inspirowaną z samych szczytów rządu, zamierzone jest nie reformowanie istniejącego uniwersytetu, lecz w myśl dawnych receptów prof. doc. Avižonisa – zupełne zamknięcie istniejącego Uniwersytetu Litewskiego i jednocześnie otwarcie zupełnie nowego Uniwersytetu im. Witolda Wielkiego. Oczywiście, nie będzie się mogło obyć bez nawiązania pewnej ciągłości między jednym a drugim uniwersytetem – tak w stosunku do studentów, jak do personelu profesury, urządzeń akademickich i naukowych itd., ale formalnie będzie tworzona rzecz nowa, co reformatorom ułatwi nieliczenie się z tym, co się im nie podoba.
Podobno władze uniwersyteckie otrzymały już od rządu uprzedzenie, że personelowi istniejącego uniwersytetu pensja będzie wypłacona po raz ostatni na 1 września, po czym personel ten będzie zwolniony. Rektor Jodelė zwołał telegraficznie posiedzenie senatu, ale co zostało uchwalone i jak się rzecz rozwija – nie wiem. Bardzo możliwe, że reforma uniwersytecka jest już dziś faktem dokonanym, bo były pogłoski i domniemania, że w d. 15 sierpnia, który był w tym roku obchodzony jako święto narodowe, miały być ogłoszone jakieś nowe większego znaczenia akty ustawodawcze, w tej liczbie, jak się domyślano, i reforma uniwersytecka także. Przekonam się o tym w tych dniach, bo będę musiał pojechać do Kowna po pensję moją.
O siebie nie niepokoję się zbytnio. Wydaje mi się nieprawdopodobne, abym został od profesury usunięty dla braku stopnia naukowego, którego zresztą u nas nikt ze starszych prawników nie posiada. Moją pracą wykładową, seminaryjną i naukowo-literacką na uniwersytecie zdobyłem, zdaje się, takie imię, którego brak na Wydziale Prawniczym stanowiłby lukę dotkliwą. Toteż wydaje mi się niemożliwym, bym się znalazł w liczbie „wykiwanych” z profesury. I oczywiście nie chciałbym tego, bo profesurę moją kocham i dbam o nią.

18 sierpnia, rok 1929, niedziela
Już to pogoda służy mi na tegorocznych wakacjach znakomicie. Sucho jest nadzwyczajnie, ciepło i przeważnie słonecznie. Ale szczególnie – sucho. Przez cały

czas mojego pobytu w Bohdaniszkach – w ciągu przeszło miesiąca – było dżdżyste, ale i to deszcz nie padał bez ustanku przez dzień cały.
Wakacje te miłe są pod wszelkimi względami, bo i w fabryce mojego domu jest rozmaitość i postęp. Nic jeszcze w domu całkowicie wykończone nie jest, toteż mogę, a poniekąd i muszę wędrować po domu z pokoju do pokoju, a przez to wypróbowuję mój dom. Co prawda – jak na lato upalne – jest on trochę zanadto przesłoneczniony, ale miły jest przez to, bardzo pogodny, suchy i ujaskrawiający nieco nasze północne lato. Kąpię się, biorę wanny słoneczne, fotografuję co dzień. Kuchnia, którą mi Sinica muruje z kamienia, coraz podrasta. Wkrótce dom będzie oszalowany, a część jego pomalowana wewnątrz. Z Polepia od Kościałkowskich mam propozycję nabycia parkietu i pieców kaflowych. Propozycja ta jest dziś trochę spóźniona, ale jeszcze bym jeden piec (na kominek w pokoju herbowym) kupił, a i parkiet wziąłbym do paru pokoi. Z umeblowaniem domu rzecz tylko idzie marudnie.
Noc dziś zapadła gorąca – spać będę na balkonie górnym.

19 sierpnia, rok 1929, poniedziałek
Na gwałt dziś zwożono żyto. W Bohdaniszkach we dworze we wszystkich trzech gospodarkach (Elwiry, Maryni i mojej), po wioskach, zaściankach – wszędzie szła zwózka. Choć deszczyk parokrotnie pokropił, a raz nawet, choć krótko, dobrze polał, nie przerywano wózki.
Raz po raz przeciągały burze, ale jakoś okrążały Bohdaniszki, nie skupiając się tutaj. Powietrze było ciepłe, pod wieczór wykąpałem się rozkosznie.
Próżnuję tym razem w Bohdaniszkach. Miałbym robót aż zanadto, ale nie chcę się do nich zmuszać. Niech sobie będą wakacje. W jesieni zabiorę się do pracy nad książką, nad całkowitym kursem prawa konstytucyjnego – kapitalnym owocem profesury mojej.

20 sierpnia, rok 1929, wtorek
Dziś wieczorem wyjeżdżam do Kowna po pieniądze. Jadę dla zrealizowania czeku na pensję miesięczną Rady Stanu w kwocie 1880 litów. Suma ta istotnie jak kropla w morzu moich wypłat z tytułu fabryki domu.
Oprócz samej budowy i urządzania domu, których działalność wyraża się w tej chwili w pozycjach następujących: a. murowanie ścian kuchni, b. odkupienie i sprowadzenie uzupełniające paru tysięcy sztuk cegły na obicie wewnętrzne tego muru, c. oszalowanie domu mieszkalnego i d. roboty malarskie w domu, są jeszcze inne prace i wydatki bieżące, związane z urządzeniem mojej siedziby w Bohdaniszkach, w szczególności zaś obecnie: a. kopanie dołów na zasadzenie dalszych kilkudziesięciu jabłonek w nowym sadzie moim (zasadzenie to będzie wykonane, jak zwykle, w jesieni) i dołów pod drzewka dekoracyjne w różnych miejscach mojej siedziby dworskiej, b. obstalunki mebli do domu (obstalowałem nieco u stolarza Paurysa w Antonoszu, teraz mam obstalować u stolarza Barzdy pod Tarnowem w gminie jużynckiej) i c. uprząż wyjazdowa, którą mi robi rymarz-tapicer Melchiorek Czapliński (syn starego Czaplińskiego z Rakiszek) i sanie, które przez Rosena kupiłem, wykonane przez majstra rzemieślnika pod Sołokiem.
Wieczorem wyjechałem na kolej, odprowadzony przez Jadźkę.
Po raz pierwszy jechałem w mojej nowej wygodnej linijce, przyprawionej na parę koni do dyszla i z koziołkami dla furmana, którą za 750 litów kupiłem od młynarza z Pokrewnia Skevalasa.

21 sierpnia, rok 1929, środa

Rano stanąłem w Kownie. Podjąłem w Banku Litewskim należne mi z tytułu pensji miesięcznej w Radzie Stanu pieniądze, załatwiłem szereg sprawunków do Bohdaniszek i właściwie byłem gotów do powrotu, to znaczy, że dziś wieczorem mogłem już wyjeżdżać nazad. Zastanawiałem się nad tą ewentualnością, bo choć konie do Abel obstalowałem w Bohdaniszkach dopiero na pojutrze, to jednak nie bardzo miałem co robić w Kownie i nawet cyrku, do którego chciałem pójść wieczorem i dla którego właściwie miałem zamiar zostać na tę noc w Kownie, już nie zastałem – wyjechał już z Kowna, skądinąd zaś nie mam w Kownie mieszkania, bo moje się remontuje. Ale atrakcja miasta, ruchu, ładu w organizacji i w żywej gęstwinie ludzi, kawiarni etc. po dłuższym, acz miłym pobycie na wsi, przeważyła: zostałem do jutra i nająłem sobie na nocleg numer w hotelu Kiejstuta.
Żadne nowiny ani zmiany, które niektórzy zapowiadali na 15 sierpnia, nie nastąpiły. Wszystko jest bez ruchu, po dawnemu. Voldemaras rządzi jak rządził. Nie mam pojęcia, dlaczego nie została dotąd ogłoszona ani ustawa o samorządzie gminnym, ani ustawa o zmianie reformy agrarnej. Oba te projekty ustaw były w lipcu opracowywane bardzo forsownie w kontakcie Rady Stanu z rządem i miały być natychmiast ogłoszone. Dla ich śpieszności opóźnione zostały wakacje Rady Stanu, ostatecznie teksty projektów zostały zupełnie wygotowane, w pewnych różnicach dane były warianty do wyboru ustawodawcy, cała rzecz zdawała się skończona – i dotąd nic. Co tam zaszło, jakie nowe zakwestionowania wstrzymały sprawę – nie wiem.
Nic też nowego w sprawie reformy uniwersyteckiej. Nowy statut nie został ogłoszony i jak powiadają osoby dobrze poinformowane, w każdym razie już do nowego roku kalendarzowego nie będzie ogłoszony. To znaczy, że w nowym roku akademickim reformy w ogóle nie będzie, bo początek roku kalendarzowego, wypadający na sam środek akademickiego, do takiej reformy się zgoła nie nadaje. Z tychże kompetentnych źródeł powiadają, że reformie tej znów się oparł Prezydent Smetona, który odmówił podpisania nowego statutu uniwersyteckiego. Sama przez się ta reforma, gdyby nawet w całości przeszła, nie byłaby może tak zła i straszna, jak się to niektórym zdaje, a w pewnych szczegółach byłaby nawet dodatnia, o ile tylko zachowane by były poprawki, uzgadniające z nią zasadę autonomii uniwersytetu. Ale gorszą stokroć od tej corocznie, począwszy od rektoratu Michała Biržiški (potem za rektoratu mego i rektoratu Jodeli), chronicznie zapowiadanej i nigdy nie wykonywanej reformy jest kampania przeciwko uniwersytetowi, którą pod hasłami tej reformy periodycznie wznawia dziennik „Lietuvos Aidas”. Kampania ta dyskredytuje uniwersytet i czyni go podmiotem ataków, mieszających z błotem całą instytucję tej najwyższej uczelni litewskiej. Któż tam odróżni, co jest w tych atakach słuszne i sprawiedliwe, od tego, co jest fałszywe i pozorne. Szeroka opinia, masy, zagranica – w subtelności się wdawać nie będą i konkludują jedno: co wart uniwersytet, który we własnym kraju taką ma opinię, wyrażaną przez najpoczytniejszy dziennik stronnictwa rządzącego. Nie znam przykładów, żeby coś podobnego przeciwko swoim uniwersytetom pisali Łotysze lub Estończycy, co wypisuje u nas p. Gustainis. Wystarczy co chcąc napisać przeciwko uniwersytetowi, aby Gustainisa aprobatę do druku uzyskać. To traktowanie uniwersytetu jest wprost skandaliczne, a zarzuty są nieraz po prostu śmiesznie głupie i nacechowane *mala fide*.

22 sierpnia, rok 1929, czwartek
Cały ranek do obiadu strawiłem na obrabianiu ze Stefanem Bucewiczem głupich jego interesów – ratowania się od długów, z którego w ogóle nic, zdaje się, nie wyjdzie. Ale jak Bucewicz się przyczepi i weźmie w obroty, to niełatwo się odczepić i wyjść z jego obrotów.

Poza tym do wieczora się przewałęsałem.
Jakie są naiwne i charakterystyczne dla nieuctwa Gustainisa argumenty, którymi on operuje przeciwko uniwersytetowi, usiłując zdyskredytować jego powagę naukową, to dowodzą, na przykład, następujące jego zarzuty: a. uniwersytet posiada aż dwóch profesorów na katedrze historii i oto gdy nadszedł jubileusz W. X. Witolda Wielkiego, okazało się, że ani jeden z tych dwóch profesorów nic o Witoldzie nie napisał; b. mała Litwa ma w spadku po zaborach aż cztery kodeksy cywilne – Kodeks Napoleona (w Suwalszczyźnie), X tom Zbioru Praw Rosyjskich (przeważna część Litwy niepodległej). Zbiór Praw Nadbałtyckich (Połąga z okolicą) i wreszcie niemiecki BGB („Bürgerliche Gesatz-Buch" – w Kłajpedzie), żaden zaś z profesorów Wydziału Prawniczego nie zaprojektował kodeksu, jednoczącego prawo cywilne Litwy, choć wszyscy profesorowie wiedzą niewątpliwie, jak dużo kraj cierpi na tej rozbieżności prawa w kilku rozbieżnych kodeksach. Oto są „argumenty". Stąd wnioski: uniwersytet jest pod względem twórczości naukowej jałowy, profesura nic nie robi i nie spełnia swego zadania, nauka uniwersytetu nie reaguje na potrzeby kraju itd. Dlaczego profesorowie historii albo uczeni historycy, których Litwa ma ogółem aż dwóch (!), mają skupić swe studia koniecznie i właśnie na epoce Witolda i dlaczego ich mniemanie w zakresie tej właśnie epoki ma być miarą wydajności ich twórczości albo gdzie i kiedy profesorowie prawa jako tacy, to znaczy jako fachowcy nauki akademickiej, mieli za zadanie projektowanie nowych ustaw lub kodyfikację – to jest tajemnicą p. Gustainisa. Że nasi profesorowie historycy (Jonynas i Jan Yčas) w ogóle nic dotąd nie wydali (nie specjalnie o Witoldzie) – to co innego: nie to im Gustainis zarzuca. Wszak zarzucał on niegdyś i profesorom prawa, że nic nie publikują, choć to nie odpowiada rzeczywistości.
Choć słabe albo nieścisłe są argumenty Gustainisa, jednak opinia publiczna, zwłaszcza nasza, mało krytyczna, nie zgłębia ich wartości, a zagranica też na bawienie się w analizę tej argumentacji nie ma czasu ani atłasu i konstatuje tylko fakt nagi wniosków, czynionych przez publicystykę krajową o zupełnej rzekomo nieudolności uniwersytetu. Choćby przez to kampania Gustainisa („Lietuvos Aidasu") przeciwko uniwersytetowi była niepoważna, to przecież szkodzi ona opinii uniwersytetu. Nie znam kraju, w którym by to tak robiono jak u nas, w którym by jedyny uniwersytet państwowy był systematycznie kompromitowany nie przez jakichś wrogów państwa, lecz przez stronnictwo rządzące i jego organ prasowy. To jest niesłychane!
Wieczorem wyjechałem z Kowna koleją żelazną na Abele.

23 sierpnia, rok 1929, piątek
W pociągu wyspałem się doskonale. Jazda w wagonie III klasy sypialnym jest znakomita. Urządzenie tych wagonów III klasy sypialnych, nie należących do „Companie Internationale des Wagons-Lits" i eksploatowanych na własną rękę przez państwo litewskie, jest bardzo proste. Są to wagony dawnego typu rosyjskiego, które mają nad zwykłymi ławami do siedzenia drugie, górne ławy do leżenia, które będąc spuszczone przylegają do ściany służącej siedzącym za oparcie dla pleców, mogą być jednak podnoszone na zawiasach do poziomu horyzontalnego nad ławą dolną i utrwalane podpórkami w tej pozycji, a wtedy stanowią płaszczyznę do leżenia. W wagonie takim każda ława – tak dolna, jak górna, jest zanumerowana i jednocześnie z biletem kupuje się na dany przejazd miejsce numerowane, to znaczy ma się do dyspozycji całą ławę. W wagonie takim jest posługacz, zwany „przewodnikiem"; odbiera on od podróżnych bilety: plackarty, za które wydaje im kwitki, aby kontrola kolejowa nie niepokoiła i nie budziła jadących żądaniem okazania biletu. Przewodnik też wydaje każdemu podróżnemu materacyk z trawy morskiej i takąż poduszeczkę –

bielizny pościelowej się nie daje. Za mały naddatek napiwku – o ile tylko wagon sypialny nie jest przepełniony – przewodnik dodaje chętnie drugi materacyk i wtedy jest zupełnie miękko. Taka jazda kosztuje nieco drożej, niż III klasą, ale taniej, niż II, za to jest dogodniej niż II, bo ma się miejsce do snu gwarantowane. Te wagony III klasy sypialne kursują na wszystkich liniach krajowych na przestrzeni między stacjami krańcowymi (Kowno-Abele, Wierzbołów-Kłajpeda itd.) Ale teraz ruch autobusowy tak z roku na rok wzrasta, że już sięga z Kowna do wszystkich niemal miast i miasteczek, a że jest tańszy i przeważnie skraca drogę, a więc jest znacznie prędszy (na przykład, z Rakiszek do Kowna autobusem jedzie się 6-7 godzin za 15 litów, podczas gdy koleją – calutką noc, 10 godzin i za najmniej 20 litów), więc autobusy robią w ruchu pasażerskim poważną konkurencję kolejom żelaznym i zwłaszcza latem, a już zwłaszcza w stosunku publiczności żydowskiej, która jest najruchliwsza; pociągi do miejsc położonych na bocznych liniach kolejowych, do których się torem kolejowym dojeżdża nie prostą linią, są przeważająco puste. Autobusy czynią u nas prawdziwy przewrót w komunikacji osobowej. W szczególności na naszej linii z Kowna do Rakiszek i Abel *via* Radziwiliszki, jak się teraz, z zamknięciem komunikacji na Wilno, jeździ, to zamieranie komunikacji kolejowej jest jaskrawe. W wagonie sypialnym III klasy jechałem sam jeden. Wolę to, niż jechać w natłoku i smrodzie śpiących podróżnych, ale taki stan rzeczy grozi likwidacją tych dogodnych wagonów sypialnych, nie opłacających się – przynajmniej na lato.
W Abelach rano spotkała mię Jadzia w linijce Dragonem. W Bohdaniszkach – wszystko w porządku.

24 sierpnia, rok 1929, sobota
Jeszcze dwa tygodnie w Bohdaniszkach i już po wszystkim. Wakacje będą skończone. Wyssały mi one porządnie kieszeń, a niezależnie od tego wyjadę jeszcze z zaległościami. Będę nawet musiał dopożyczyć w Rakiszkach u notariusza na niektóre wypłaty tutaj i na wyjazd do Kowna. Sinica zostanie nie całkowicie spłacony, Pejsachowi Ruchowi nic przez lato z długu zaległego (przeszło 1000 lt) nie spłaciłem, meble są i będą obstalowane i nie zapłacone itd., itd. Główny plon urządzenia się mego w Bohdaniszkach przez to lato wyraża się w pozycjach następujących: ściany murowane kuchni (bez dachu) staną, dom będzie oszalowany, linijka, piękna i wygodna jako powozik, została nabyta, sanie jednokonne także, uprząż wyjazdową porządną na dwa konie i lejce będę miał własne, a jesienią mój sad znów się powiększy o 20-30 drzewek owocowych nowych, przybędzie też kilka drzewek dekoracyjnych, jak zawsze, w domu zaś znaczna część sufitów – pobielona, ściany w trzech pokojach – pomalowane, a na górze i w korytarzu – pobielone, podłogi w korytarzu i trzech pokojach – pomalowane, a na górze zagruntowane.

25 sierpnia, rok 1929, niedziela
Zaczął się sezon pomidorów. Żółcieć i czerwienieć zaczynają one na krzakach, a wtedy – zerwane – dojrzewają szybko w suchym miejscu na słońcu. Toteż u Maryni i u mnie (Elwira w tym roku co do pomidorów w rachubę nie idzie, a zdaje się – nawet wcale ich nie ma) okna i stoły pokrywają się dojrzewającymi pomidorami, które potem przed poniedziałkiem i piątkiem pakują się i wysyłają na targ do Rakiszek. Jest to jeden z nielicznych artykułów rolnictwa (ogrodnictwa), który u nas daje gotówkę i opłaca się nieźle. W każdym razie, z pomidorów każdy z nas może wybrać po kilkaset litów na rynku.

26 sierpnia, rok 1929, poniedziałek

Jadzia wyjechała na parę dni do domu rodziców swoich. Akurat na czas jej wyjazdu zachorowałem. Może by nawet nie wyjechała, gdyby wiedziała, że się źle czuję, ale wyjechała bardzo wcześnie, gdym jeszcze leżał. Mam żołądek zupełnie zepsuty i czuję łamanie w kościach ze stanem gorączkowym i jakąś kamienną nieprzezwyciężoną sennością. Mało też wychodziłem z domu – tylko do pi-pi, ale za to do pi-pi biegałem co chwila, zwłaszcza rano. Cały dzień mi upłynął jak w czadzie jakimś.

27 sierpnia, rok 1929, wtorek
Po rycynie, którą wczoraj wypiłem i po dobrym wyspaniu się – wróciłem do zdrowia. Zachowuję jeszcze dietę, ale na ogół czuję się już dobrze. Zwłaszcza czuję się lekki, czego zawsze po rycynie doświadczam. Wszelkie objawy senności, do których mam coraz wyraźniejszą skłonność, ustały od razu.
Otrzymałem list od Herbaczewskiego, w którym dziękuje mi on serdecznie za gościnę i wyjaśnia powody, dla których przyśpieszył on swój powrót do Kowna. Wszystko się u niego zawsze streszcza do działania „duchów", czyli tajemniczych sił natury. Ani się domyśla, że te duchy, które go tu tyle trapiły, to była najpospolitsza mistyfikacja Stefana Römera i Andrzeja Mieczkowskiego. Podług teorii Herbaczewskiego, ludzie na wsi, sami tego nie wiedząc, żyją w otoczeniu „duchów" i są przez nie rządzeni jak media. Wszakże te „duchy" są dla nich niewidzialne i dopiero obecność Herbaczewskiego zmuszała je do uwidocznienia się. I otóż Herbaczewski bał się, że ludzie tutaj, stwierdzając, iż „duchy", których nigdy nie widywali, zaczęły się ukazywać, odkąd Herbaczewski przyjechał, przyjmą go za czarownika, który im umyślnie duchy nasyła. Słowem – bał się on wybuchu jakiegoś rozdrażnienia przeciwko niemu. Ale swoją drogą z „duchów", które go tu napastowały, jest rad: miał rozmaitość, poczynił spostrzeżenia i doświadczenia. Jest wciąż pod wrażeniem pobytu w Bohdaniszkach.

28 sierpnia, rok 1929, środa
Co za różnica między moją siedzibą bohdaniską a siedzibą starego dworu – moich sióstr! Słusznie twierdził Herbaczewski, że mój elegancki most betonowy koło domu mego, przerzucony nad drogą, jest swego rodzaju „mostem westchnień", dzielącym dwa światy – dwoje Bohdaniszek – tych starych, które upadają i giną jako przeszłości szczątek i tych nowych, które dopiero powstają. U mnie – wszystko jest w stanie tworzenia się: jest przestrzeń, widoki wspaniale otwarte, którym równie pięknych trudno znaleźć, ale które są „dzikie" czy surowe, w dal pędzące, naturalne, nie ujęte w żadne ramy i perspektywy. Dokoła domu mego, z wyjątkiem starego zadrzewienia jako tła, które stanowiło kiedyś granicę starej siedziby dworskiej i z wyjątkiem jeszcze pięknego szeregu jesionów i klonów wzdłuż tej ściany domu, co przylega do drogi, skopanej w górze – wszystko jest jeszcze polem, na którym coś się dopiero rysować zaczyna: młode drzewka tu i ówdzie nie większe nad krzewy, sad owocowy młodziutki, który się z roku na rok coraz szerzej rozciąga i tylko na górze u domu nieustająca od lat czterech fabryka – dom, most, drwalnia, kuchnia powstająca z kamieni. Bohdaniszki moje toną w słońcu, w widokach, w snach o jutrze; tylko kontury ciężkie starego gumna, panującego nad domem, klony wspaniałe w pobliżu dawnej kuźni, parę widoczków w głąb starego dworu łączą moje Bohdaniszki ze starymi. Tymczasem jakże inaczej jest w starym dworze! Dwór tam zalesiony, ujęty w ramy licznych kęp drzew, oderwany od wspaniałego widoku na zewnątrz, tonący w widoczkach sztucznych urządzenia i stylizacji dworu przez kilka pokoleń. Byłem w ogródku kwiatowym Marysi Stefanowej, urządzonym w sadzie Maryni Römerowej w dół od lodowni, między rzędem starych lip odwiecznych a szczątkiem altanki lipowej w sadzie,

oszpeconej przez obcięcie tych lip. Co za różnica charakterystyczna i typowa tego ogródka w starym dworze Maryni ze wszystkimi urządzeniami u mnie. Tam sad, w którym się ten ogródek umieścił, to ocean gałęzi i liści jabłoni, to jakieś morze drzew owocowych, które się wszystkie splotły w jedno ogromne cielsko zieleni i założyły własne królestwo odrębne poza wszelką przestrzenią ogólnodworską. Taki sad – to świat w świecie. W nim zapomnieć można o Bohdaniszkach. U mnie – dotąd jest jedność, dotąd jest całość jedynego. Nic szczególnego nie zapanowało dotąd nad całością i jednością ścisłą moich Bohdaniszek.

29 sierpnia, rok 1929, czwartek
W nocy wróciła z Polski Marynia Römerowa z synową Marysią Stefanową Römerową. Było to małe trzytygodniowe „przewietrzenie się", a korzystając z okazji, nadarzonej przez ogólnokrajową wystawę polską w Poznaniu, miały one sposobność jeździć po całej Polsce za pół darmo, biorąc bilet okrężny. Zwiedziły one też wszystkie wybitniejsze ośrodki Polski. Były w Poznaniu na szeroko w Polsce reklamowanej wystawie, w Warszawie, Krakowie, Zakopanem, oprócz tego Marysia Stefanowa ze swą kuzynką p. Narbuttówną, która z nimi jeździła, były gdzieś na wsi w Poznańskiem u swego stryja i zwiedziły Śląsk Górny polski – jego stolicę obecną Katowice, które się po wojnie niezwykle szybko rozrastają, ale zachowują dominujący charakter niemiecki, bardzo niechętny wszystkiemu, co polskie, Będzin, kopalnie i huty, wreszcie zajrzały do Częstochowy. Do Wilna zajechały tylko na powrót na króciutko. Wrażeń oczywiście miały mnóstwo, wycieczkę miały piękną. Ale w naszych warunkach antagonizmu polsko-litewskiego te rzeczy mają zawsze jakiś koloryt specjalny. Niech ktoś – Polak czy Litwin – zwiedza jakąś Finlandię, Szwecję itd., to będzie widział, co jest i ostatecznie wrażenia Polaka nie będą się różniły od wrażeń Litwina ze względu na narodowość. Inaczej jest, gdy chodzi o Polskę. Obie pokłócone strony są tak zacietrzewione, że każda z nich widzi w Polsce i w Litwie wcale nie to, co jest, jeno to, czego sobie życzy i w co z góry wierzy. Dla Litwina podróż taka dostarczy materiału do złośliwych uwag i obniżania wartości wszystkiego, co jest w Polsce. Dla przeciętnego Polaka litewskiego – przeciwnie: w Polsce dostrzeże doskonałość, raj, a już przynajmniej perspektywy i nadzieje na wiek złoty szczęścia, a entuzjazm jego będzie podniecał jego wzgardę dla rodzinnej Litwy, która mu się w tym jego usposobieniu wyda czymś zgoła najpodlejszym. W takim właśnie usposobieniu zachwytu i entuzjazmu dla Polski, połączonych z najgłębszą wzgardą dla Litwy, wróciła „Polka z parafii żejmieńskiej" Marysia Stefanowa Römerowa. Jej nastrój dałby się wyrazić w rozkoszy plwania na Litwę – oto bodaj najwyraźniejszy owoc jej wrażeń podróżniczych. Marynia, dojrzalsza, a może i więcej połowiczna w swej polskości litewskiej, widzi i rozróżnia i tam, i tu tak światła, jak cienie.

30 sierpnia, rok 1929, piątek
W „Dniu Kowieńskim" ukazał się artykuł sprawozdawczy ze słów Herbaczewskiego o ukazywaniu się „duchów" w Litwie. Jest to rodzaj wywiadu z Herbaczewskim. Herbaczewski opowiada o najświeższych doświadczeniach z „duchami", jakie miał w czasie pobytu u mnie. W szczególności rozwodzi się nad akcją „duchów" w pamiętną noc naszej jazdy z Antonosza do Bohdaniszek. Powiada, że duchy ukazywały mu się zawsze, ale że nigdy nie doświadczył takiego systematycznego masowego napadu duchów, jak tym razem tutaj. I opisuje, jak wyglądały te duchy, co robiły, jakie płatały psikusy itd. Podług Herbaczewskiego, duchy te są bezrękie, czaszki mają łyse, nogi – patyczkowate. Duchy te są natrętne i dokuczliwe; biegają dokoła, uwijają się, wydają dziwaczne dźwięki, wabią w pole, chwytają nawet podróżnych za poły, na wezwanie

„Lauk!" („Precz!") zapadają w ziemię, lecz wnet „wyłaniają się" znowu, gwiżdżą i chichoczą pod wozami. W opisie Herbaczewskiego duchy te są na poły żywiołami natury, na poły zaś – duszami ludzi pomordowanych i samobójców (szczególnie Smolskiego i towarzyszy bolszewickich, pomordowanych w roku 1919 w Pokrewniu przez pułkownika – obecnie generała – Głowackiego. Słowem, opisana jest nasza jazda z Antonosza do Bohdaniszek tak, jak się ona w umyśle Herbaczewskiego uwydatniła, zaś wszystkie wnioski o „duchach" opierają się na „spostrzeżeniach", poczynionych nad... komedią „duchów", improwizowaną przez Stefana Römera i Andrzeja Mieczkowskiego. Herbaczewski analizuje poważnie te „spostrzeżenia" i „zjawiska", podaje przyczyny, dla których Litwa jest klasycznym krajem panowania „duchów" i zapowiada, że rychło nastanie czas, kiedy pewna okolica powiatu rakiskiego, jezioroskiego i... szawelskiego będą omijane nocami z daleka albo i wyludnione jako zapanowane zupełnie przez „duchy". Herbaczewski nie przytacza nazwisk osób, z którymi jechał w ową noc „napadu duchów", wskazując jeno, że w liczbie tych osób była jedna powszechnie znana w kraju (to ja!), ale za to cytuje miejscowości: Bohdaniszki, Antonosz, Pokrewnie... Artykuł ten może dać rozgłos nieoczekiwany i fałszywy pustej igraszce nocnej w drodze.

31 sierpnia, rok 1929, sobota
Falejew mówi, że już fama o „duchach", które straszyły Herbaczewskiego, dotarła czy to przez „Dzień Kowieński", czy inną drogą – do Abel i zaczyna istotnie budzić sensację. Falejewa już kilka osób zapytywało w tej materii, między innymi ksiądz w Abelach; nawet ktoś szykował czy szykuje wycieczkę do Pokrewnia dla doświadczenia „duchów". Żeby się tylko nie zajęto zbytnio roztrząsaniem i sprawdzaniem tych „wypadków", którym sam Herbaczewski usiłuje nadać rozgłos!
Śliczną mamy wczesną jesień – zupełne jeszcze lato. Żyto dziś siać zacząłem na rok przyszły. Owies i jęczmień już skoszone i nawet częściowo zwiezione. Żyjemy teraz w gorączce... pomidorów, które zaczynają dojrzewać, toteż są zrywane, trzymane na oknach w słońcu, pakowane i wysyłane na targ do Rakiszek. Prym trzyma Marynia. Zliczyłem dziś ogólną ilość drzewek owocowych (tylko jabłonki i gruszki) w moim sadzie: 128 drzewek. Co roku dosadzam nadal.
Wieczorem do starego dworu moich sióstr przyjechał z Krewien p. Lysander z młodą żoną, z którą niedawno się ożenił, a wraz z nimi przyjechał bawiący u nich na wakacjach profesor Friese z Rygi, romanista wykładający prawo rzymskie na Uniwersytecie Łotewskim. O tym, że prof. Friese z Rygi bawi w Krewnach i wybiera się mnie jako kolegę profesora i prawnika odwiedzić, wiedziałem od p. Flora, którego, jadąc do Kowna, w Abelach spotkałem. Prof. Friese jest Niemcem, wykładał w Rydze wpierw po rosyjsku, obecnie – po niemiecku. Ze mną rozmawiał po rosyjsku. Zabawił u mnie jakąś godzinkę czy więcej. Jest to człowiek starszy, w wieku od 50 do 60 lat. Miły jest, dobrze ułożony i ma umysł bystry, jak na uczonego przystało. Wpadliśmy głównie na tematy prawa konstytucyjnego i w szczególności na temat rozmaitych kierunków i odcieni parlamentaryzmu, ewolucji najnowszej prawa konstytucyjnego i wreszcie przemian konstytucyjnych, zaszłych w Litwie pod wpływem przewrotów z r. 1926 i 1927. Ponieważ poruszaliśmy się w rozmowie naszej w sferze mnie właściwej, więc miałem szerokie pole do mówienia, a w panu Friesem miałem słuchacza, doskonale w lot chwytającego myśl moją. Następnie mówiliśmy o Baloghu, o uniwersytecie i o profesurze w Rydze, wśród której mam stosunki z czasów wizyty zeszłorocznej rektora Zilego i towarzyszy w Kownie. Słowem, mile czas spędziłem i rad byłem wizycie prof. Friesego.

1 września, rok 1929, niedziela
Dziś w Rakiszkach jakieś uroczystości. Jest tam jakieś święto „šaulysów”, poza tym – obchód 10-lecia powiatu rakiskiego, wystawa lokalna rolnicza... Miałem jechać do Rakiszek na to święto. Przed miesiącem nakłaniał mię do tego Józef Petrulis, namawiając mię jednocześnie do wpisania się do Związku Rakiszczan i zapraszając do udziału w komitecie tej uroczystości 1 września. Petrulis miał mię poinformować listownie o dniu posiedzenia komitetu. Ale żadnego listu potem nie otrzymałem ani też od nikogo żadnego zaproszenia do udziału w uroczystości. Wobec tego nie pojechałem dziś do Rakiszek. Wprawdzie dziś przywieziono mi list Petrulisa, ale już po czasie, a gdyby nawet nie było po czasie, to bym na ten list nie pojechał. Widzę bowiem z tego listu, że Petrulis do organizatorów obecnej uroczystości nie należy i że coś się tam „pokiełbasiło” w kierownictwie uroczystości, tak że ostatecznie niepodobna zrozumieć, kto to urządza i co się urządza: czy to obchód 10-lecia powiatu, czy jakieś święto „šaulysów”, czy jeszcze coś innego.

2 września, rok 1929, poniedziałek
Wieczorem dziś rozszalała się burza dzika, która jak żeby zebrała w siebie całą niezwykłą suszę i upał lata ubiegłego, by wystrzelić je hukiem grzmotów, ogniami i trzaskiem piorunów i zalać morzem strumieni deszczowych. Jeszcze z wieczora – przed samym zmrokiem – z daleka na horyzoncie zachodnim zaczęło błyskać, z zachodu podniosła się ogromna sino-czarna chmura, w której ukryło się słońce i grzmot daleki zawarczał po niebie jednym nieprzerwanym ciągiem głuchych łoskotów. Niebawem wraz z chmurą burza, znaczona błyskawicami, nie tylko się podniosła ponad nas, ale też zwłaszcza się rozlała z zachodu dwiema drogami po dalekich krańcach horyzontu – na północ i południe. W tej postaci, nie lokalizując się nigdzie, ogarniając stopniowo powszechność nieba, zamiatając flankami krańce horyzontu na północy i południu, burza przewaliła się z zachodu na wschód i w jakieś 2-3 godziny po ukazaniu się na zachodzie znikła na wschodzie, ku któremu się z północy i południa ściągnęła ku końcowi tak, jak się wpierw z zachodu na północ i południe rozlała. Przez czas swego pochodu szalała burza niezwykła. Był jeden ciągły grzmot, łączący się w moim domu z trzaskaniem blachy na dachu, przerywany jeno gwałtem piorunów, zalewany potokiem świateł od błyskawic, rdzy i iskier elektrycznych, potokiem deszczu podkreślany. Jadzia, która się burzy boi panicznie, schroniła się na kanapę do pokoju herbowego, gdzie ja siedziałem. Tam przesiedziała skulona, zasłaniając się kapą, aby błyskawic nie widzieć. Raz po raz ukazywał się to tu, to tam na horyzoncie jaskrawy znak pożaru: czasem jakiś het gdzieś budynek płonął ogniem jasnym i równym jak świeca, czasem zaś pożar daleki zaznaczał się jeno łuną na niebie. O godz. 10 wieczorem burza była skończona. Naliczyliśmy po tej burzy kilkanaście pożarów w różnych stronach horyzontu. Straszna była noc.

3 września, rok 1929, wtorek
Wybrałem się dziś do stolarza Jana Barzdy, który mieszka we wsi Vilaišiai nad jeziorem Rosze („Rašiai”) w gminie dusiackiej powiatu jezioroskiego. Jezioro „Rašiai”, które przepływa rzeka Święta, jest to samo, nad którym na wysokim wzgórzu stoi dwór Tarnów (litewska „Tarnava”), własność przed wojną i rezydencja Walunia Weyssenhoffa. Walunio, choć siedział po uszy w długach i gospodarzył kiepsko, miał manię wielkopańską i – zwłaszcza po ożenku z p. Ledóchowską, bogatą dziedziczką z Wołynia – starał się urządzić sobie w Tarnowie rezydencję o pozorach magnackich. Zakładał, rozszerzał i upiększał park, wycinał w nim perspektywy widoków prześlicznych i rozległych na jezioro, dolinę rzeki Świętej i dalekie wzgórza i lasy,

zremontował pałac, umeblował go ślicznymi meblami. Meble wykonywał mu właśnie stolarz Barzda. Przypomniał mi go teraz Piotr Rosen. Mam wprawdzie doskonałego stolarza w osobie Paurysa w Antonoszu, ale Paurys robi bardzo marudnie, a ja mam sporo mebli do obstalowania dla umeblowania mego domu. Paurys jest zdolny i fachowy rzemieślnik, ale pijak, który robi najwyżej 2-3 dni w tygodniu. I teraz mam u Paurysa obstalowany bufet, głęboki fotel obity skórą i stół jadalny. Barzdzie zaś postanowiłem dać obstalunek na garnitur salonowy (kanapka, dwa fotele, trzy krzesła i stół – wszystko w stylu Ludwika XVI) i biurko gabinetowe.
Wybrałem się do Barzdy z Jadzią. Wyjechaliśmy o dziewiątej rano parą koni w mojej nowej linijce z Piotrem za furmana. Wziąłem ze sobą dwa albumy niemieckie mebli i wykonane przez Stefana Römera wzory mebli salonowych. Przejażdżka była bardzo miła. Jechaliśmy gościńcem jużynckim na Czywile, stamtąd zawróciliśmy na gościniec dusiacki na Starańce, Sołohubiszki (Zalubiškis), Minkuny. Z Minkun zawróciliśmy na Tarnów, położony stamtąd o niespełna 2 kilometry. Wjeżdża się już tam w morze bagien, które na wielkiej przestrzeni od Łan i Annopola po Starańce i Skuinę tworzą grząską nizinę rzeki Audry, w jej biegu dolnym ku jej ujściu do jeziora Sarty zlewają się z olbrzymią niziną takichże bagien, stanowiących górny bieg rzeki Świętej, rozgałęziających się miejscami szeroko, przeciętych jeziorami, pokrytych zaroślami... Drogi i gościńce muszą się też często posługiwać groblami albo też wiją się zboczami wzgórz, których pasma w różnych kierunkach się tu ciągną między żyłami wód lub bagien, potworzonych z byłych jezior olbrzymich. Stanowi to olbrzymi system niegdyś wodny, pokrywający gminę krewieńską, dusiacką, częściowo jużyncką i częściowo abelską, który tworzy krajobraz niezmiernie malowniczy, podgórski, z widokami niesłychanie dalekimi, spadający stopniowo od Abel przez Krewny, Dusiaty ku Jużyntom. To kraj źródeł rzeki Świętej.
Wiedziałem, że stolarz Barzda mieszka w jednej z wiosek nad jeziorem tarnowskim Rosze, ale jak się ta wioska nazywa i z której strony jeziora leży – tego nie wiedziałem. Mogłem się o tym dowiedzieć w Minkunach na gościńcu przed zboczeniem na Tarnów, bo to zboczenie mogło się okazać zgoła zbyteczne – jakoż i okazało się takim, ale miałem specjalnie ochotę zajrzeć przy sposobności do Tarnowa, który znałem z czasów jego złotych, to znaczy za Walunia Weyssenhoffa, gdy park, pałace i umeblowanie były w całej wspaniałości. Co prawda, już i wtedy pod blichtrem złotym pozorów wspaniałych świeciło ubóstwo, bo dobra Walunia były zadłużone po uszy i bokami robiły pod ciężarem wspaniałości zachcianek pańskich, a jeno sukurs Ledóchowskich z Wołynia raz po raz ratował „jasnego pana" od ruiny. Ale na zewnątrz dla gości wszystko było bogate i przepyszne. Dziś Walunia z dóbr ziemskich wyrzuciła na nędzę bruku miejskiego wojna i reforma agrarna, ale gdyby tych katastrof nie było, też bez nich Walunio nie utrzymałby się zapewne na majątkach swoich. Dokończę jutro.

4 września, rok 1929, środa
To był typ w galerii naszych ziemian z sąsiedztwa bohdaniskiego przed wojną – ten Walunio (spieszczenie od „Waldemar" = Włodzimierz) Weyssenhoff, dziedzic Jużynt i Tarnowa! Poświęcę mu tutaj tych kilka wierszy w dzienniku. Zdaje się, że oba te majątki, a właściwie dobra jużynckie do których Tarnów („Tarnava") należał kiedyś, jako folwark jużyncki, dostały się rodzinie Weyssenhoffów po kądzieli – mianowicie z rąk Rudominów-Dusiackich, przez, jeżeli się nie mylę, matkę Michała Weyssenhoffa (babkę Walunia), Rudominównę z domu. Jak Krewny z Bohdaniszkami na północnym zachodzie, jak bodaj Antuzów na wschodzie, tak dobra jużynckie na południu – należały niegdyś do olbrzymiego kompleksu magnackich dóbr dusiackich, dziedzictwa Rudominów i następnie się przeważnie w drodze posagów po kądzieli lub przez działy

familijne i przelewy własności z biegiem czasów od kompleksu macierzystego oderwały i z połaci tegoż potworzyły jednostki dóbr samodzielne, które się dalej zwykłą rzeczy koleją dzieliły i rozdrabniały coraz bardziej. Otóż dobra jużynckie należały do Weyssenhoffów, których inna gałąź odrębną drogą nabyła od Pomarnackich odległy od Jużynt o dobre 3 mile majątek Pokrewnie między Bohdaniszkami a Antonoszem. Ojciec Walunia, Michał Weyssenhoff, żonaty z rdzenną Polką z Korony hrabianką Wandą Lubieńską, umarł młodo, osierocając troje nieletnich dzieci i młodą wdowę. Po śmierci Michała Weyssenhoffa ujawnił się fatalny stan jego interesów, który groził ruiną zupełną. Rada krewnych i sąsiadów, zbadawszy stan zadłużenia i aktywa majątków, doszła do przekonania o konieczności sprzedaży dóbr, ale wdowa pani Wanda Weyssenhoffowa ani słyszeć o tym nie chciała i postanowiła uratować fundusz dla dzieci – Józia, Amelki i Walunia Weyssenhoffów. Dzielna niewiasta, osoba wielkiej zacności i wielkiego serca, głęboko religijna, a nawet aż do dewocji pobożna, zdolna do poświęceń i ofiary, wyrzekła się zbytku, a nawet wygód wszelkich, ograniczyła się do więcej niż skromnej egzystencji, poświęcając się li tylko wychowaniu dzieci i obracając dochody z majątków na spłatę długów. Na wsi prowadziła tryb życia ekonomski, jeżdżąc prostą kolasą, ograniczywszy stosunki z sąsiedztwem, unikając wszelkich zabaw i stosunków towarzyskich, mogących pociągać za sobą wydatki. Dla kształcenia dzieci zimę spędzała w mieście, ale żyła w mieście tak ubogo i takie miała nędzne mieszkanie, że krewni z jej rodziny wstydzili się tej ubogiej wdowy z dziećmi i zerwali z nią stosunki, co ona odczuła bardzo gorzko i wdzięczność zachowała do sąsiadów ziemian Litwinów, którzy ją otaczali szacunkiem, podczas gdy Koroniarze z najbliższej jej rodziny nie chcieli się do niej przyznawać. I pani Wanda dopięła celu. Dzieci wychowała, dobra ziemskie mężowskie jako spadek dziecinny uratowała i siako tako oczyściła. Pani Wanda długo jeszcze żyła potem. Znałem ją w latach późniejszych dobrze; była otoczona szacunkiem i uznaniem powszechnym, zasłużona i sędziwa, używająca dobrobytu po trudach ciężkiego żywota. Umarła kilka lat przed Wielką Wojną. Starszy syn, Józef, człowiek wybitnej kultury, artysta, utalentowany powieściopisarz, jeden z najgłośniejszych pisarzy polskich w dobie przed wojną, zrzekł się ojcowizny na brata, zamieszkał w Warszawie, ożenił się z Żydówką, córką milionera Blochówną, z którą miał dwoje czy troje dzieci; żonę maltretował za pochodzenie żydowskie, zgrywał się w karty, w czasie koronacji Mikołaja II, grając z jednym z wielkich xiążąt rodziny carskiej, przegrał wespół z innym Polakiem taką jakąś szaloną sumę, że wielki xiążę miał się wyrazić, że takie przegrane Polaków równają się czwartemu rozbiorowi Polski. Po tej wielkiej przegranej teść Józefa Weyssenhoffa Bloch, który dotąd pokrywał wszystkie przegrane i długi zięcia, odebrał mu córkę z dziećmi i wyznaczył mu podobno jakąś rentę. Majątek ziemski własny w Polsce – niejakie Samoklęski (*nomen omen*) – Józef Weyssenhoff stracił szybko. Był więc bankrutem majątkowym i bankrutem w rodzinie, ale dzięki świetnemu talentowi pisarskiemu i zaletom towarzyskim utrzymywał się na powierzchni i żył dobrze. Żyje on dotychczas, ale jest już bardzo stary i oczywiście ma się już ku schyłkowi. Zamiłowany myśliwy, rozkochany w widokach i typach litewskich, które wszakże traktował zawsze przez pryzmat fantazji kawalerskiej i pańskiej i nieco po sportowemu, jak się traktuje piękną klacz wierzchową lub pięknego psa myśliwskiego – napisał on parę powieści („Unia", „Soból i panna"), poświęconych bądź problemowi Litwy w ogóle, bądź wspomnieniom Litwy, jej natury i ludzi.
Córka pani Wandy i śp. Michała wyszła za mąż za p. Sołtana. Z tego małżeństwa, które było na ogół szczęśliwe, urodziła się, między innymi, Hania Sołtanówna, która później (po wojnie) wyszła za mąż za Antoniego Römera z Janopola w Łotwie (w Latgaliji), syna Kazimierza: Hania Römerowa ma duży talent malarski i stała się słynną artystką.

Dzieła swoje wystawia w Polsce i Rosji, częściowo zaś w Paryżu i mieszka, gdzie się też dokształca artystycznie.
Oto kartka dziennika ma się ku końcowi, a o Waluniu, o którym chciałem powiedzieć, jeszcze ani słowa nie powiedziałem. Uczynię to jutro.

5 września, rok 1929, czwartek
Jeszcze o Waluniu Weyssenhoffie z Tarnowa. Pan Józef i p. Sołtanowa porzucili gniazdo rodzinne i poszli stwarzać życie gdzie indziej, on zaś – Walunio – pozostał na dobrach ziemskich rodzinnych, w Litwie. Walunio jest nawet agronom z fachu, ale do fachu tego zamiłowania i żyłki bynajmniej nie ma. Zajmowało go nie tyle gospodarstwo rolne i ekonomiczne dóbr uporządkowanie, ile próżność własna i chęć błyszczenia wielkopańskiego. Walunio, skądinąd uczciwy, prawy i dobrego serca, był jednak opętany manią tytułów i wielkości arystokratycznej, poza tym pasjonat wściekły, skąpy w drobiazgach, dewot, wychuchany i wymuskany jak laleczka. O jego pracach nad założeniami i upiększaniem parku, nad budową pałacu i umeblowaniem tegoż – jużem pisał. To go kosztowało słono. Długi rosły i zalewały majątek, grożąc ustawicznie katastrofą. A pan „baron” bawił się tymczasem w wielkiego pana. Ożenił się z hrabianką Ledóchowską; ożenek ten z panną, której rodzice mieli kilka tysięcy dziesięcin ziemi pszennej na Wołyniu, ratował nieco sytuację, bo w chwilach krytycznych teść dopomagał, ale skądinąd powiększał kosztowność pańskości, na którą się wysadzać trzeba było. W szczególności Walunio Weyssenhoff kazał się służbie nazywać nie po prostu „panem”, lecz – wzorem polskim – „jaśnie panem”. Takie tytułowanie nie jest u nas przyjęte, toteż choć służba tego nakazanego tytułu nauczyła, lud dokoła przyjął ten artykuł „jaśnie” za jakiś rodzaj dodatkowego nazwiska i zaczął Walunia nazywać potocznie nie „jaśnie pan”, lecz ”pan Jasny”, co w języku litewskim, w którym brzmienie „Jasny” nie ma żadnego znaczenia, zostało zmodyfikowane na „ponas Josnas”, żonę zaś Walunia nazywano potocznie „ponia Josnienė” („pani Jasnowa”). Choć już przed wojną Walunio był bankrut, jednak przez sukurs teściów trzymał się jakoś na powierzchni. Po wojnie nastąpiła ruina. Waluniostwo z dziećmi, którzy czas wojny spędzili w Rosji na emigracji, zamieszkali w Wilnie i z Wilna Walunio, pokonawszy różne trudności, dostał się wreszcie koło roku 1922-1923 do Litwy niepodległej. Tu zastał naturalnie reformę agrarną, która go wywłaszczała ze wszystkich dóbr ziemskich, udzielając jeno prawa do otrzymania na własność 80 ha normy nietykalnej w byłych majątkach jego. Dobra jużynckie i tarnowskie z powodu nieobecności byłego właściciela były już przejęte przez państwo. W Tarnowie była zainstalowana jakaś ochronka. Walunio wybrał swoje 80 ha normy nietykalnej w majątku Jużyntach, który ma ziemię lepszą i jest przeto cenniejszy. O tym, żeby Walunio mógł osiąść i gospodarzyć na tych 80 ha, skoro nie umiał dać sobie rady przed wojną na całości, nie mogło być mowy. Na gospodarstwo 80-hektarowe Walunio był za wielki pan: jemu potrzebne są do życia na wsi latyfundia, pałace, parki. Konieczność przystosowania się do nowych trudnych warunków powojennych gospodarczych, nagięcia się do lojalizmu państwowego w „jakiejś” „chłopskiej” Republice Litewskiej, znoszenia władzy litewskiej i urzędników, których się jako Litwinów, a więc chłopów, traktować przywykło „*en canaille*”[12] („jako motłoch”) – wszystko to było ponad siły i energię Walunia; teścia do pomocy już nie było, bo dobra wołyńskie teściów same przepadły pod bolszewikami; wreszcie zostawać na 80 ha było niebezpiecznie, bo kto wie, jak by się ułożyły stosunki w sprawie długów przedwojennych, które właściwie przed Wojną *al pari*[13] w stosunku do wartości dóbr. Toteż *summa summarum* Walunio

[12] *En canaille* (fr.) – jak motłoch.
[13] *Al pari* (wł) – na równi.

spieniężył resztę swoich mebli, które w okolicy jeszcze spolować zdołał i sprzedał niejakiemu Baukisowi swoją normę 80 ha w Jużyntach, a sam wrócił do żony w Wilnie. Ale choć za sprzedaną normę wziął pono 80 000 litów (co prawda, na wypłatę ratami),- któż wie, jakoś tak się urządził, że i te pieniądze gdzieś mu się porozchodziły i powsiąkały w różne potrzeby, a sam został z żoną i rodziną na bruku wileńskim goły – w ciężkiej nędzy. Żona coś zarabia jakimiś przepisywaniami, on się modli, biegając po kościołach, poza tym oboje szukają jakiegoś miejsca, o co nie jest łatwo i oboje się kłócą i biją, jak to zawsze między nimi bywało, bo oboje są pasjonaci. Ale nieszczęście zawsze w parze chodzi: do straty majątku dołączyła się jeszcze choroba umysłowa najstarszego syna Walunia – Michasia, który jako furiat zamknięty został w domu wariatów.
Jadąc więc pozawczoraj do stolarza Barzdy, zajechałem do Tarnowa, by spojrzeć na dzieło snów i tęsknot wielkopańskich Walunia. Tarnów, a raczej jego „centrum", po zlikwidowaniu w nim przytułku, sprzedany został przez państwo z wolnej ręki w trzecie ręce; nabywcą jest niejaki Vėbra, zamożny Litwin z parafii jużynckiej, który podobno już sprzedaje majątek dalej. Wielkiego zniszczenia na Tarnowie nie znać. Tylko na pałacu miejscami tynk odpadł, tylko kilka drzewek dzikich samorzutnie wyrosło przed pałacem, psując szyk kunsztownie układanej dekoracji zarośli, tylko na słupach bramy wjazdowej cegła z wierzchu już się w gruzy sypie, tylko wszystko jest bardziej brudne, niż było za czasów blichtru Walunia... Zresztą tych „tylko" znalazłoby się zapewne więcej, gdybym zaczął dwór szczegółowo oglądać. Okazałoby się niezawodnie, że „tylko" park zdziczał, „tylko" dróżki żadne nie gracowane, „tylko" pałac pustką świeci, ogołocony z mebli, a może już gdzieś bez remontu i zacieka, może „tylko" posadzek nie ma itd., itd.

6 września, rok 1929, piątek
Dalszy ciąg jazdy wtorkowej z Jadzią do stolarza Barzdy. W Tarnowie powiedziano nam, że stolarz Barzda mieszka we wsi Wiłajszach z drugiej strony jeziora, a ponieważ jezioro jest przecięte rzeką Świętą, która do niego wpada i zeń wypływa, więc jechać do Wiłajszów trzeba przez most w Szutach (Kłobuciszkach) na gościńcu dusiackim. Pojechaliśmy więc nazad na Minkuny, stamtąd na Szuty, za mostem zaś z gościńca wprost na prawo w dolinę przy samej rzece. Tu jechaliśmy po gruncie bagnistym jakąś straszną dróżką polną, w jednym miejscu natrafiliśmy na głęboki bród, w którym woda o mało co nie nabierała się do linijki, dalej przejechaliśmy przez całą starą wieś, która po rozkolonizowaniu na zaścianki jest podobna do pustej ramy bez obrazu, potem przez jakieś karkołomne wzgórze – do kolonii stolarza Jana Barzdy. Barzdę zastaliśmy. Rad był stary serdecznie z klienta, który doń z tak daleka przybywa umyślnie; taka bowiem wizyta jest miarą wartości rzemieślnika, raczej jego sławy. Po długich gawędach obstalowałem u Barzdy dwie rzeczy: a. biurko gabinetowe dębowe, złożone z blatu o trzech szufladach i z dwóch szafeczek bocznych, służących za podstawę dla blatu, i b. garnitur mebli salonowych w stylu Ludwika XVI brzozowych jasnych politurowanych, złożonych z kanapki, dwóch fotelików, trzech krzeseł i stołu owalnego; siedzenia i oparcia na tych mebelkach będą obijane z jedwabiu o barwach delikatnych – różowych i niebieskich. Cala robota biurka i mebli salonowych z drzewa Barzdy wraz z obiciem (ale materiał na obicie mój) wynosić będzie 1500 litów. Słona to cena! Barzda każe sobie dobrze płacić za firmę. Ale ma to być stolarz pierwszorzędny. Liczę przynajmniej, że będę miał prawdziwie ładnie wykonane mebelki.
Po daniu Barzdzie obstalunku wróciliśmy z Jadźką do Bohdaniszek, wstępując jeno po drodze w Minkunach na popas i herbatkę do rodziców mego Piotra Skrebysa, którzy

tam dzierżawią gospodarkę. Przyjemna była wycieczka. W takiej wycieczce dużo się obserwuje i poznaje okolicę i całokształt budowy gruntu na wielkim obszarze.

7 września, rok 1929, sobota
Przed paru dniami byłem u Piotra Rosena na polowaniu na borsuki. Borsuk należy dziś u nas wprawdzie nie do najrzadszej i najcenniejszej, ale bądź co bądź do najgrubszej zwierzyny. Wilków, z wyjątkiem przybłędów, nie mamy, niedźwiedź, dzik, ryś, bóbr – są już zgoła nieznane, zaginęły z pewnością co najmniej od stulecia, o sarnach i łosiach słyszy się raz na lat dziesiątek, wydra należy do wielkich osobliwości, lis jest coraz rzadszy. Cóż zostaje? Oto borsuk, tchórz, wiewiórka, zając pospolity, kuna (bardzo rzadka), łasica (rzadka), gronostaj (bardzo rzadki). Rosen dał mi znać, że zostało stwierdzone, iż w jego lesie zagnieździły się borsuki. Zaproponował więc, abyśmy się wybrali z wieczora w noc księżycową, gdy borsuk z nory na żer wychodzi, albo o świcie, gdy borsuk do nory wraca. Wybrałem to drugie, bo zresztą nocy księżycowej do wyjazdu już mi nie pozostało. Pojechaliśmy więc we środę do Gaczan na noc – Stefan Römer i ja. Zanocowaliśmy i we czwartek nad ranem, o godz. drugiej po północy, w noc ciemną wstaliśmy i poszliśmy z Piotrem i jego parobkiem Janem Żarżejem (Žeržiojus), wnukiem rodzonym starego sługi bohdaniskiego z moich lat dziecinnych, Augusta Żarżeja, do lasu. Szliśmy przez las z latarką zapaloną aż na miejsce. W okolicy nor borsuczych, o których aktualnym zamieszkaniu świadczą świeże ślady kopania i ścieżki, świeżo w piasku wydeptane, rozstawiliśmy się i każdemu z nas Piotr dał do ręki fuzję myśliwską. Ja osobiście nie jestem myśliwy i nie lubię mordowania nieszczęsnych Bogu ducha winnych zwierząt. Ale zobaczyć borsuka na tle natury w stanie dzikim – chciałem. Staliśmy na stanowiskach przeszło godzinę, nie paląc, starając się jak najmniej ruszać, by szelestu nie robić, wstrzymując dech głośniejszy i kaszel. Staliśmy, aż wydniało zupełnie i słońce wzeszło. Borsuk do nory nie wbiegł. Stefan twierdzi, że widział borsuka, jak się zza krzaków ukazał, węszył i cofnął się; nie strzelił doń, bo się spodziewał, że się ukaże jeszcze. My z Piotrem w polu naszej obserwacji nie widzieliśmy nic. Gdy dzień się zrobił, a borsuk nie wrócił, Rosen posłał Żarżeja do dworu po psa gończego Śpiewaka, licząc, że tenże wpadnie na trop borsuka i goniąc go zmusi do ucieczki do nory. Śpiewak latał po lesie trochę krzyczał, ale prawdziwego gonu nie rozwinął, a borsuk nie wrócił. Być może, że nad ranem ukrył się do nory przez jakiś otwór boczny, nie postrzeżony przez nas. Mieliśmy więc emocję myśliwską, ale – prócz Stefana – borsukaśmy nie widzieli.

8 września, rok 1929, niedziela
Upływają moje wakacje. Jutro na noc wyjeżdżam do Kowna. Zresztą sama natura zdaje się sprzysięgać z imperatywami mojego stanowiska służbowego, by kres moim wakacjom wyznaczyć: miałem lato w tegorocznych wakacjach wyjątkowo miłe – pogodne, ciepłe, suche, słodkie; wieś rzeczywiście użyczyła mi na czas tych wakacji całego uroku swojego; a oto teraz – właśnie na samym schyłku wakacji – pogoda wymówiła dalszych usług i zawróciła na jesień – wietrzną, mokrą, zimną i przykrą: dzień dziś był prawdziwie listopadowy. W taki czas nie szkoda wyjeżdżać ze wsi.
Plon moich wakacji w urządzaniu się moim w Bohdaniszkach jest następujący: w domu moim częściowo pomalowane podłogi, okna i drzwi, a w trzech pokojach ostatecznie pomalowane ściany; dom już się szaluje z zewnątrz – ściana południowa już prawie całkowicie oszalowana – wygląda bardzo ładnie; murowane ściany zewnętrzne oficyny już stoją więcej niż w połowie i rychło będą ukończone; sprawiłem uprząż wyjazdową na parę koni, nabyłem ładną wygodną linijkę parokonną i nowiutkie ładne sanie jednokonne; obstalowałem szereg mebli kapitalnych – u Paurysa w Antonoszu bufet,

fotel głęboki skórzany i stół jadalny, u Barzdy – biurko gabinetowe i garnitur mebli salonowych.
Ściany oficyny mojej murują się z zewnątrz z kamienia i z wewnątrz – z cegły, zostawiając między kamieniem a cegłą luft próżny. Kamienie do tego muru użyłem częściowo z resztek podmurówki byłego gumienka, sprzedanego przez Papę na rozbiórkę w r. 1919, głównie zaś z wybudowanej przez Papę w roku 1914 kapitalnej podmurówki pod projektowane gumno pod górą przy drodze pokrewieńskiej (busiskiej); podmurówkę tę sprzedała mi na rozbiórkę Marynia za 400 litów. Co zaś do cegły na ten mur, to mam ją z Abel ze dworu z rozbiórki starej ładnej altanki murowanej, która stała we dworze na prawo od wjazdu na początku parku. Cegła to duża, mocna, staroświecka. Herbaczewski, który tak wierzy w „duchy” przywiązane do rzeczy, z którymi za życia łączyły ich jakieś cierpienia lub rozkosze, byłby się gorszył, gdyby znał dzieje tej altanki. W altance tej za czasów pańszczyzny Pietkiewicz, ostatni dziedzic Abel z tego rodu, kat dla swoich poddanych, odprawiał egzekucje chłosty poddanych, którzy się przewinili i zamykał ich tam na noc, a będąc zabobonny – kazał ziemię dokoła altanki wysypywać świeżym piaskiem i sam wstawał raniutko i szedł patrzeć, czy nie znajdzie na piasku śladów diabła. Jaką przypisywał rolę diabłu i dlaczego posądzał go o konszachty z uwięzionymi, skazanymi na chłostę – nie wiem, ale takie były jego praktyki w tej altance, z której cegły dziś przeszły na mur mojej oficyny. Herbaczewski byłby stąd wnioskował, że w oficynie mojej będą się reprodukowały sceny z tych praktyk ponurych pańszczyzny.
Dziś Maryni Römerowej imieniny. Na kolacji ja i Elwira Mieczkowska z Michasiem (Helcia i Andrzej już odjechali pozawczoraj do szkół do Wilna) byliśmy u niej. Z gości przyjezdnych był tylko Piotr Rosen z synkiem Antosiem i Eugeniusz Falejew.

9 września, rok 1929, poniedziałek
Wyjeżdżamy z Jadzią do Kowna. Wyjeżdżam tak wyssany z gotówki, że ledwo-ledwo mi wystarczy na dojechanie z Jadzią, służącą Anielką i dużym bagażem. A już do Kowna dojadę bez grosza, choć to dopiero będzie dziesiąty dzień miesiąca i do najbliższej pensji miesięcznej (w końcu miesiąca) – daleko. Trzeba będzie żyć awansem. Nie tylko że wydałem w Bohdaniszkach całą pensję za miesiące letnie wraz z niewielką rezerwą dawnych oszczędności, jaką jeszcze przywiozłem, ale jeszcze wziąłem od Maryni 500 litów z dzierżawy i też wydałem. Wszystko pochłonęły koszta budowy i urządzania się i jeszcze wyjeżdżam obarczony bagażem długów i należności zaległych. Całą zimę będę musiał się z tym długami borykać.
Bohdaniszki moje zostawiam na opiece kochanego starego Kazimierza Jankowskiego. Co do koni i gospodarki męskiej – to mam mego wcale niezłego sługę Piotra Skrebysa, ale z gospodarką babską – ptactwem, świniami, krowami i ogrodami – jest gorzej. Służąca Bronia, córka starego Piotra Bulavasa, którą w sierpniu nająłem zamiast Marii Żemaitisowej, którą odprawiłem, jest na samodzielną gospodynię zupełnie niezdatna: to tylko dziewka podręczna – popychadło. Nie zna się na niczym i jest mało staranna, potrzebuje dozoru, kierownictwa i napędzania. Na próżno szukałem na wszystkie strony gospodyni. Mam jeszcze jedną na widoku, ale dopiero za parę tygodni, a tymczasem trzeba mieć kogoś zaraz. I oto sam Kazimierz ofiarował mi się z pomocą. Będzie on spał w moim domu i jadł u mnie i będzie dopilnowywał roboty Broni, kierował nią i sam, gdzie trzeba, pomagał robić – aż do późnej jesieni i w każdym razie do czasu znalezienia gospodyni. Pensji określonej nie będzie pobierał, ale oczywiście będę musiał mu coś pomiarkować za tę usługę. Przyrzekłem mu już drzewa budulcowego z Gaju zimą i 10 drzewek owocowych do posadzenia w jesieni.

Dzień upłynął mi na robieniu rachunków z Sinicą i z Piotrukiem Skrebysem, składaniu rzeczy, porządkowaniu w domu. O zmroku wyjechaliśmy na kolej do Abel. Zimno i brzydko na wsi.

10 września, rok 1929, wtorek
Przyjechałem do Kowna. I znowu zacznie się nowa kampania pracy całorocznej tak na uniwersytecie, jak w Radzie Stanu. W tym sezonie mam wreszcie rozpocząć moją pracę kapitalną, ogarniającą całość nauki prawa konstytucyjnego, wykładanej przeze mnie na uniwersytecie jako plon całkowity mojej siedmioletniej pracy w tym zakresie. Mam ją nie tylko rozpocząć, ale też napisać część pierwszą tego studium kapitalnego. Z pewnym wzruszeniem zabieram się do tej pracy jak do wykonania pewnego aktu religijnego – pewnego dzieła mistycznego, streszczającego jedną z wartości mego życia. Szczęść mi, Boże i błogosław tej mojej pracy!
Byłem na pierwszym powakacyjnym posiedzeniu Rady Stanu. Obecni byli – prócz generała Dowkonta, który się udał w pewnej misji służbowej do Brazylii – wszyscy członkowie Rady: prezes Šiling i członkowie Kalnietis, Ciplijewski, ja, Masiulis, Papečkys i Starkus. Posiedzenie było krótkie. Šiling zreferował stan spraw i losy naszych prac wykonanych, po czym ustaliliśmy, jakie są prace zaległe i jakie komisje w toku. Wnet się praca w tych komisjach rozpocznie.

11 września, rok 1929, środa
Siedzę bez pieniędzy, bom się wyszastał na Bohdaniszki. Po przyjeździe do Kowna i sprowadzeniu rzeczy z bagażu pozostało mi wczoraj w kieszeni kilkadziesiąt centów! Musiałem więc wziąć z Rady Stanu awansu 200 litów, żeby dotrwać do końca miesiąca, to znaczy do nowej pensji. Toteż cichutko i skromnie będę siedział w Kownie, nigdzie nie bywając i unikając wszelkich rozrywek, aby uciułać na liczne zaległości wydatków i wypłat. Chodzę tylko do Rady Stanu i będę chodził do uniwersytetu, w domu zaś pracuję. Wobec tego nie widuję też prawie nikogo i niewiele więcej wiem, niż to, co z gazet wyczytuję. Sensację teraz mają gazety litewskie z aresztowania Plečkaitisa przez władze niemieckie na terytorium Prus Wschodnich, gdzie został on z kilku towarzyszami ujęty z całym bagażem broni, amunicji, bomb i granatów ręcznych. Sprawa ta jest bardzo niejasna i coś się w niej węszy nienaturalnego.
W Radzie Stanu mieliśmy dziś w osobach Kalnietisa, Ciplijewskiego, Masiulisa i mnie posiedzenie komisji do projektu organizacji sądownictwa. Komisja się ukonstytuowała, wybierając mnie na swego prezesa i rozważała rozpoczęcie pracy. Nad projektem organizacji sądownictwa pracowała w swoim czasie rada Ministerium Sprawiedliwości, do której należeli za czasów ministra Tumėnasa Bielackin, Szołkowski i Stankiewicz oraz z urzędu minister, jako przewodniczący, sekretarz generalny ministerium Brazaitis, jakiś czas – Bolcewicz, prezes Trybunału Kriščiukaitis, prokurator Trybunału Kalvaitis i prezes sądu okręgowego Piotrowski, później zamiast Bolcewicza, Piotrowskiego, Bielackina, Stankiewicza i Szołkowskiego – Papečkys, Grigaitis, Tumėnas. Rada ta opracowała dwa warianty projektu organizacji sądownictwa. Teraz zadaniem naszej komisji będzie jeszcze na razie nie opracowanie projektu, lecz podniesienie wobec rządu kwestii konieczności reformy organicznej sądownictwa i w tym celu ułożenia zasad, na których, zdaniem Rady Stanu, reforma ta ma być oparta. Dla przygotowania się do tej pracy zlecone został Kalnietisowi wystudiowanie sądownictwa niemieckiego i kłajpedzkiego, mnie – sądownictwa francuskiego, polskiego i czeskosłowackiego. Masiulisowi – sądownictwa łotewskiego, estońskiego i fińskiego.

12 września, rok 1929, czwartek

Dziś rano wezwał mię śpiesznie do Rady Stanu prezes Šiling i zakomunikował, że Prezydent Rzeczypospolitej Smetona, któremu Gabinet Ministrów przesłał przyjęty przez gabinet projekt nowego statutu uniwersyteckiego, chciałby w tej kwestii pokonferować poufnie ze mną jako członkiem Rady Stanu i znawcą spraw uniwersyteckich – byłym rektorem. W sprawie tej Prezydent konferował już nieraz w roku zeszłym z przedstawicielami władz uniwersyteckich i delegacjami specjalnymi uniwersytetu, ale zależałoby mu jeszcze na zdaniu moim. Prezydent przeto prosi, abyśmy z prezesem Rady Stanu Šilingiem, po wystudiowaniu przyjętego przez Gabinet Ministrów tekstu projektu, przyszli do niego jutro o godz. w pół do dziewiątej wieczorem dla pomówienia w tej kwestii. Zgodziłem się. Šiling doręczył mi otrzymany poufnie od ministra oświaty egzemplarz przyjętego przez Gabinet Ministrów projektu. Wystudiowałem go dziś wieczorem. Mam wrażenie, że projekt ten jest nieco lepszy od tego, który był w roku zeszłym koło Bożego Narodzenia nadesłany do uniwersytetu, mianowicie mniej gwałci autonomię naukową uniwersytetu. Bądź co bądź, są w nim jeszcze braki znaczne, z których najwybitniejsze są te: a. wprowadzony jest system zatwierdzania uchwał organów uniwersyteckich przez ministra oświaty w bardzo wielu przedmiotach, dotyczących czysto naukowej działalności uniwersytetu, b. brak jest zupełny wszelkich przepisów przechodnich od starego statutu do nowego, a przez to samo – wobec zupełnego negowania docentury w nowym statucie i wobec nadania uniwersytetowi charakteru nie reformowanej starej uczelni, lecz uczelni zupełnie nowej; w związku z nowymi przepisami o profesurze los całego personelu uniwersyteckiego jest zupełnie nieokreślony i zależny... chyba od widzimisię, ale nie wiadomo zgoła – czyjego. Poczyniłem sobie szczegółowe notatki do krytyki poszczególnych przepisów projektu.

13 września, rok 1929, piątek
Wczoraj pod wieczór wystąpił u mnie ból newralgiczny prawej strony górnej czaszki. Ból ten zaczyna się od górnej szczęki, w której jest najdokuczliwszy i kończy się na głowie właściwej – na sklepieniu czaszki, zawsze tylko w prawej stronie. Koncentruje się on zwłaszcza w przedniej części czaszki, ogarniając całą długość szczęki z zaakcentowaniem ku przodowi, nos, kości policzkowe, czoło z jamą oka i samym okiem. Newralgia ta powtarza mi się zwykle kilka razy do roku i – wraz z lumbago – stanowi jedną z uciążliwszych i przykrzejszych form przeziębienia. Szczególnie mi się to powtarza na wiosnę, zwłaszcza późną wiosną i na wczesnej jesieni. Jesienna newralgia jest jakby zapłatą za nadużycia letnie – za ochładzanie się na ciągach, za nogi przemoczone po deszczu itd. Dawnej te bóle newralgiczne kończyły mi się zwykle wybrzęknięciem dziąseł jak we fluksji i rodzajem wrzodu, który w głębi dziąseł u szczęki się formował, narywał i wydzielał ciecz cuchnącą, sprawiając jednak ulgę w bólu i tym likwidując całą newralgię. Teraz – przynajmniej tak było wiosny ubiegłej – to brzęknięcie i narywanie nie dochodzi do skutku: wprawdzie jakby się zaczyna, ale nie dojrzewa i newralgia trwa dalej. Dawniej też aspiryna znakomicie rozpędzała newralgię, dziś jakoś nie skutkuje. Robi się coś w rodzaju newralgii chronicznej. Spróbuję jeszcze jutro rycyny; na lumbago rycyna jest wyborna.
Nie wychodziłem we dnie z domu, ale wieczorem musiałem być z Šilingiem u Prezydenta Rzeczypospolitej Smetony. Okazało się jednak, że sprawa naprawy projektu statutu uniwersyteckiego weszła na inne tory i że przeto nasza konferencja z Prezydentem jest zbyteczna. Chodzi o to, że w sprawie reformy uniwersyteckiej między Prezydentem Smetoną a prezesem ministrów prof. Voldemarasem jest pewna różnica może nie tyle zdań, ile metod. Inicjatorem tej reformy, która się od dwóch lat gotuje i wciąż do skutku dojść nie może, jest Voldemaras, który skłonny jest traktować ją *in*

meritu dość radykalnie i – wobec niechęci profesury – narzucić ją bezwzględnie. Smetona w zasadzie też sprzyja tej reformie, aczkolwiek łagodzi niektóre jej tezy i w szczególności uwzględnia reklamacje teologów i Stolicy Apostolskiej przeciwko radykalnemu łamaniu dotychczasowego ustroju Wydziału Teologiczno-Filozoficznego, jest zdecydowanym rzecznikiem zachowania istniejącego embrionu Wydziału Ewangelicko-Teologicznego, który Voldemaras chciałby skasować i pragnie, ile możności, uzgodnić reformę z zachowaniem samorządu uniwersyteckiego, który Voldemaras jest skłonny łamać bezwzględnie. Z tymi zastrzeżeniami Prezydent Smetona sprzyja reformie, której celem byłoby: a. podniesienie poziomu naukowego profesury, do której w pierwszych leciech tworzenia uniwersytetu i wobec braku ludzi i doświadczenia zdołało się dostać dużo ludzi bez kwalifikacji naukowych albo takich, którzy są w nauce dyletantami i impotentami, b. wzmocnienie rektoratu i dyscypliny akademickiej, w szczególności zaś zapewnienie rządowi skuteczniejszej kontroli uniwersytetu. Ale Prezydent Smetona różni się z Voldemarasem nie tylko co do niniejszego radykalizmu tez reformy, lecz także i to zwłaszcza, co do pokojowego wykonania reformy, ile możności – w porozumieniu z uniwersytetem, a już przynajmniej bez skandalu, bez gwałcenia, bez gorszącej walki między profesurą a rządem. Profesura dotąd szła na jakie bądź kompromisy reformy opornie, podniecana przez niechętnych kierunkowi reformy teologów i takich wpływowych wodzirejów, jak obecny rektor Czapiński, dziekan nasz Leonas, prof. Stanisław Szołkowski, dziekan Krėvė-Mickiewicz. Ludzie ci, zasadniczo wrodzy obecnemu rządowi, są z góry usposobieni wrogo i nieprzejednanie do wszystkiego, co z łona tego rządu wychodzi. Toteż za ich i teologów działaniem profesura zajmowała dotąd stanowisko nieprzejednane, a sam rząd się do tego przyczyniał, komponując projekty reformy na kopiowaniu starych statutów uniwersyteckich z czasów najskrajniejszej reakcji za panowania cara Aleksandra III.

14 września, rok 1929, sobota
Losy reformy uniwersyteckiej, jak się okazuje, w ostatnich czasach szły następującymi torami. Prezes ministrów Voldemaras, zniecierpliwiony oporem uniwersytetu i odmową wszelkiego dyskutowania reformy i nowego statutu jako godzących w samorząd akademicki, zniecierpliwiony skądinąd zwłoką w tej sprawie, sam poczynił pewne drobne poprawki w projekcie statutu i zdecydowany przeforsować reformę, stanowiącą jedno z jego dzieł umiłowanych, zarządził w „Lietuvos Aidasie" nową inspirowaną przezeń kampanię przeciwko uniwersytetowi i na rzecz reformy, projekt zaś statutu sam zawrócił do Prezydenta Smetony do Kłajpedy do zatwierdzenia. Prezydent jednak ze względu na swe zastrzeżenia odmówił podpisania statutu i z jednej strony zainicjował próbę jeszcze raz porozumienia się bezpośredniego rządu z czynnikami uniwersyteckimi, z drugiej, nie wiedząc, czy to porozumienie da się nawiązać, zdecydował spróbować przekazać tę sprawę Radzie Stanu w trybie art. 9 Ustawy o Radzie Stanu, pozwalającego Prezydentowi odwołać się do opinii Rady Stanu w stosunku do projektu ustawy, już przyjętego przez Gabinet Ministrów lub przez Sejm (byłby to pierwszy wypadek zastosowania art. 9 Ustawy o Radzie Stanu). Przed przekazaniem formalnym sprawy Radzie Stanu chciał jeszcze wpierw omówić tę rzecz poufnie ze mną i Šilingiem i dlatego nas właśnie na wczoraj wezwał. Tymczasem wszakże okazało się, że konferencja bezpośrednia prezesa Voldemarasa z senatem akademickim, która odbyła się u Voldemarasa pozawczoraj, zdołała doprowadzić prawie do porozumienia, a w każdym razie wprowadziła wreszcie rzecz na tory

obustronnego usiłowania *bona fide*[14] znalezienia i przyjęcia kompromisu. Prezydent więc będzie czekał plonu tych usiłowań kompromisowych.
Nie wychodziłem z domu wcale, a nawet z rana długo leżałem. Dzięki Bogu, po obiedzie szczęka i kość policzkowa mocno mi wybrzękła i ból newralgiczny nieznośny, który mię męczył, ustał.

15 września, rok 1929, niedziela
Rano byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Jak zwykle w początku roku akademickiego, posiedzenie wypełnione zostało przeważnie sprawami przyjęcia nowych studentów. Napływ studentów do uniwersytetu w roku bieżącym znacznie się zmniejszył. W roku akademickim ubiegłym na Wydział Prawniczy na semestr I przyjętych było coś koło 500 studentów, w roku bieżącym dotąd – niespełna 200. Oczywiście, uzbiera się jeszcze więcej, bo termin przyjmowania zapada jutro, a zresztą nie wszystkie podania są już rozpoznane, ale w każdym razie do liczby zeszłorocznej będzie daleko. Nie jest to tylko zmniejszenie liczby lokalne, w stosunku do jednego wydziału. Zmniejszenie to stosuje się ogółem do całego uniwersytetu. Stwierdzam tylko fakt – nie tłumaczę go na razie.
Na posiedzeniu rady wydziału zgłosiłem dziś wniosek o udzieleniu Dominikowi Kriwickiemu stypendium na wyjazd za granicę dla pogłębienia studiów nad prawem publicznym w celu przygotowania się do kariery naukowej (do profesury). Wydział rozporządza jednym takim stypendium, które lat ubiegłych było zajęte przez Tamošaitisa. Dominik Kriwicki świeżo ukończył Wydział Prawniczy; ukończył go ślicznie i zwrócił na siebie powszechną uwagę; w szczególności pracował on pod moim kierunkiem i upodobał szczególnie prawo publiczne. Był moim współpracownikiem w redagowaniu pracy zbiorowej nad tłumaczeniem Esmaina i mnie zgłosił swoją pracę dyplomową na temat „Demokracja i opinia publiczna". Sam w roku zeszłym zaproponowałem Kriwickiemu wystawienie kandydatury na to stypendium. Ale na wiosnę i świeżo teraz zgłosił się do mnie drugi student z tą samą prośbą poparcia jego kandydatury na takież stypendium – student Lejb-Oszer Wołowicki, który też pisał u mnie pracę dyplomową i należy niewątpliwie do zdolniejszych chłopców. Kandydaturę Wołowickiego zgłosiłem także rekomendując ją na wypadek, gdyby analogiczne stypendium wakowało na innym wydziale lub gdyby wydział mógł mieć wpływ na stypendia Ministerium Oświaty. Kandydatura Kriwickiego została przez radę wydziału przyjęta z uznaniem i uchwalona, ale kandydaturę Wołowickiego odrzucono. Zraził on do siebie sam wszystkich profesorów, łażąc do każdego i schlebiając w celu zjednania poparcia.

16 września, rok 1929, poniedziałek
Ponieważ wczoraj była niedziela, więc akt immatrykulacji na uniwersytecie, który tradycyjnie i nawet regulaminowo odbywa się corocznie w dniu 15 września, przeniesiony w tym roku został na dziś, to znaczy na dzień 16 września. Odbył się on dziś o godz. 12 w południe w sali uniwersyteckiej, jak zawsze, w gmachu starym, bo udzielony uniwersytetowi w roku akademickim ubiegłym wspaniały gmach byłej drukarni państwowej sali aktowej nie posiada. Już przed rozpoczęciem uroczystości sala, schody, korytarze, otaczające salę pełne były młodzieży akademickiej. Na uroczystość przyjechał Prezydent Rzeczypospolitej Antoni Smetona i minister oświaty Šakenis. Gdy już i profesura zajęła miejsca w pierwszych rzędach krzeseł naprzeciwko stołu prezydialnego, na salę w otoczeniu dwóch rektorów – ustępującego, prof. Jodeli i nowego, prof. Czapińskiego – wkroczył Prezydent z ministrem. Dokoła ich zajęli u

[14] *Bona fide* (łac.) – w dobrej wierze.

stołu prezydialnego miejsce członkowie senatu – prorektor ks. prof. Česnys, sekretarz prof. Raudonikis i dziekani wydziałów – ks. prof. Kuraitis, prof. Krėvė-Mickiewicz, prof. Leonas, prof. Žemaitis, prof. Lašas i prof. Wasilewski. Uroczystość się rozpoczęła przez odśpiewanie hymnu narodowego. Dokoła stołu prezydialnego ustawiło się koło dziesięciu delegacji różnych korporacji akademickich ze sztandarami i wartą honorową w barwach i szarfach, a niektóre i z rapierami (zdaje się, że po raz pierwszy wziął udział w uroczystości akademickiej sztandar korporacji żydowskiej). Z mową wystąpił, w myśl tradycji, ustępujący rektor Jodelė. Mówił o zadaniach młodzieży akademickiej, o jej stanowisku wobec kraju, którego mogłoby jej pozazdrościć nasze pokolenie, gdy przed laty 30-40 do studiów akademickich dochodziło, dotknął ubiegłego roku akademickiego, podniósł życzliwość rządu wobec uniwersytetu – zwłaszcza fakt przekazania uniwersytetowi gmachu byłej drukarni państwowej, wspomniał o zamierzonej reformie uniwersyteckiej, wreszcie wyraził kilka słów uznania dla swego następcy prof. Czapińskiego, w którego też ręce złożył władzę uniwersytetu. Nastąpił huk oklasków, po czym rektor Czapiński – bez żadnej mowy – rozpoczął swój popisowy rektorski wykład publiczny na temat: „O energii wolnej i uwięzionej”. Po tym wykładzie, który trwał przeszło godzinę, rektor Czapiński przemówił do młodzieży, która została świeżo przyjęta na uniwersytet, po czym odbył się właściwy akt immatrykulacji, który ograniczył się do odczytania przez dziekanów spisów przyjętych do poszczególnych wydziałów studentów. Ceremonii osobistego uściskania ręki rektorskiej przez nowych akademików w tym roku, jak i w zeszłym, już nie było. Na tym się uroczystość publiczna się skończyła. Na ostatku odbyło się króciutkie niepubliczne posiedzenie rady akademickiej uniwersytetu.

17 września, rok 1929, wtorek

Otrzymałem dziś list od córki – pierwszy list taki długi od niej. Zaiste: jak trwoga – to do Boga; czego nie może dokazać miłość dziecka do ojca – to może zdziałać potrzeba pieniędzy. Na miłość Celinki nie liczę; skąd może się znaleźć w niej to uczucie do ojca, którego prawie że nie zna i o którym prawie nic nie wie albo może wie tak, jak ją inspirowano! Znalazł się argument silniejszy od uczucia, argument brzęczący, argument złoty i spod palców mojej 19-letniej córeczki wypłynął list obszerny i nie zdawkowy. Może sztuczny, może nawet obłudny, jeżeli był pisany z nakazu Reginy lub panny Courtôt, ale w każdym razie nie zdawkowy, w każdym razie żywy.

Celinka mię zawiadamia, że na wiosnę egzaminu na maturę nie zdała. „Ścięła się” na egzaminie historii, zostaje rok jeszcze w klasie VIII w gimnazjum w Grodnie. Smuci się z tego powodu, skarży się ogólnie na słabe zdrowie, stwierdza, że jest niezdolna, donosi, że będzie potrzebowała licznych korepetycji. Zwraca się więc do mnie o pomoc pieniężną na te korepetycje, bez których rady sobie nie da, a których matka opłacić nie jest w stanie. Powiada, że interesy matki są bardzo ciężkie, że aż żal patrzeć, jak matka w kłopotach materialnych się zamęcza, i zaznacza, że list ten pisze do mnie i o pomoc tę mię prosi na własną rękę – bez wiedzy matki!

Mam wrażenie (nie wiem, czy się mylę), że ta prośba Celinki jest ukartowana przez samą Reginę. Ale mniejsza o to! Wolę formalnie i urzędowo mieć do czynienia z córką i z nią odtąd bezpośrednio mój stosunek układać. Choć sam ze względu na moje budowanie się i urządzanie bohdaniskie siedzę po uszy w kłopotach pieniężnych, to jednak córce tej pomocy odmówić nie mogę. Użyję do tego na razie pieniędzy pochodzących z dochodów z kamienicy spadkowej w Wilnie. Reginie w tym roku zasiłku już nie posyłam, bo sposób, w jaki mię zimą potraktowała w Grodnie, zlikwidował te zasiłki i właściwie cały nasz stosunek. A że Reginie ciężko, bo się nie umie materialnie urządzać i zapewne jest wyzyskiwana przez Francuzkę, o tym

słyszałem, ale też ma za swoje! Zapewne strwoni swoją Łunnę, jak strwoniła już historyczną kamienicę rodzinną w Wilnie.

18 września, rok 1929, środa
Nic szczególnie ciekawego dziś do zanotowania nie mam.

19 września, rok 1929, czwartek
Jakem, zdaje się, wspomniał na wiosnę, rada naszego wydziału postanowiła rozpocząć w bieżącym roku akademickim wykłady na I i II semestrach w godzinach rannych. Dotąd na wszystkich wydziałach semestru prawniczego wykłady odbywały się wieczorami. Było to spowodowane nie tylko przez to, że wielu spośród naszych profesorów mają we dnie czas zajęty na inne zajęcia zawodowe (sędziowie, adwokaci, urzędnicy), ale też dlatego, że bardzo wielu studentów prawników zarobkowało na różnych posadach i – zwłaszcza w pierwszych leciech istnienia uniwersytetu – bardzo wielu urzędników państwowych i nieraz ludzi starszych, mających fach i stanowisko, wstępowało na uniwersytet na Wydział Prawniczy dla zdobycia wiedzy i dyplomu i mogła słuchać wykładów tylko w godzinach wieczornych. Ale stopniowo ten element już się przerzedził i z roku na rok I semestr coraz bardziej się rekrutuje z zielonej młodzieży, która dopiero co na wiosnę ukończyła gimnazjum; spośród tej młodzieży większość żadnych posad nie ma, a zresztą dziś już i znaleźć posadę jakąś studentowi początkującemu jest bardzo trudno. Dlatego powstała myśl przenieść wykłady z godzin wieczornych na ranne, co jest niewątpliwie normalniejsze i zdrowsze. Zastosowano to na razie tylko do studentów I (po nowym roku – II) semestru. Moje godziny wykładowe wyznaczone zostały na I semestrze w poniedziałek i czwartek od godz. 10 do 12. Dziś odbył się mój wykład pierwszy na I semestrze. Słuchaczy – znacznie mniej niż innych lat: sala, w której wykładam, niezupełnie pełna (innych lat nie mieszczono się na pierwszym wykładzie). Nie zdołałem się jeszcze przyjrzeć nowemu audytorium mojemu. Studentek jest mało, sądząc z obecności ich na wykładzie.

20 września, rok 1929, piątek
Przed paru dniami ukazała się w prasie ulotka Elty o tym, że u Prezydenta Rzeczypospolitej Smetony odbyła się długa narada Gabinetu Ministrów w sprawie „reorganizacji gabinetu”. Niektórzy wysnuwali stąd pewne wnioski, ale na ogół zbyt wielkiej wagi do informacji tej nie przywiązywano; dominowało przekonanie, że chodzi tylko o zmiany detaliczne na niektórych stanowiskach ministerialnych i że jednak gabinet Voldemarasa się utrzyma. Teraz, gdy nie ma Sejmu i nie ma jawności w sprawach rządu, wszystko jest oparte na sprężynach zakulisowych, które działają gdzieś w tajnikach, trudno dostępnych nawet dla osób wysoko usytuowanych.
I nagle dziś z tych tajników zakulisowych wypadła jak bomba – sensacja. Ogłoszono urzędowo, że Gabinet Ministrów Voldemarasa, który – acz z pewnymi zmianami detalicznymi personelu ministrów – utrzymywał się od dnia pierwszego przewrotu, to znaczy od 17 grudnia 1926, podał się do dymisji i że dymisja została przez Prezydenta Rzeczypospolitej przyjęta, zaś na następcę prof. Voldemarasa upatrzony jest dotychczasowy minister finansów, szwagier prezydenta Smetony – Tubelis, który niedawno był ciężko chory i na razie bawi na kuracji w Czechosłowacji czy też Niemczech.
Wiadomość ta została rano w dodatkach nadzwyczajnych opublikowana i lotem strzały rozbiegła się po mieście. Gazety, które wyszły po południu, żadnych ponadto szczegółów kryzysu rządowego nie podają. Za to pogłoski tym usilniej kursują. Całe miasto tylko o tym wypadku mówi. Komentarzy i domniemań, także rozmaitych

przewidywań co do składu osobistego przyszłego gabinetu i co do losów Voldemarasa – mnóstwo. O ile z rozmów prywatnych wnosić można, wszyscy, nie wyłączając sympatyków obecnego ustroju, cieszą się z ustąpienia Voldemarasa i jakoś lżej oddychają. Nikt właściwie nie wierzył, że Voldemaras zgodzi się na rezygnację dobrowolną z władzy, którą kocha nade wszystko.
Jakie są przyczyny kryzysu – trudno dociec. Przeważają pogłoski, że płynie to z jakichś źródeł polityki zagranicznej, z interwencji jakichś czynników zewnętrznych.

21 września, rok 1929, sobota
Co było przyczyną dymisji Voldemarasa – trudno dociec. Domniemania są najsprzeczniejsze, ale wtajemniczeni milczą. Prawda kryje się gdzieś w głębokich arkanach intryg i gry różnych interesów w łonie narodowców, raczej ściślejszej kliki takich macherów wpływowych polityki obecnej, jak ksiądz Mironas, prof. Tamošaitis, dyrektor „Lietikisu" i „Maistasu" Lapėnas, pani prezydentowa Smetonowa itd. W tajnikach gabinetów, w rozmowach i dyskusjach poufnych kilku ludzi stojących u szczytu, może nawet poniekąd w tajemnicach buduaru i zielonego stolika preferansowego pani prezydentowej, gdzie się wyrabiają i z których płyną fluidy wpływów nieuchwytnych – tam zapewne tkwi sekret tego kryzysu. Źle się wczoraj wyraziłem, mówiąc, że wszyscy się z tej dymisji cieszą. Tak nie jest. Po pierwsze, nie cieszą się Żydzi, u których Voldemaras miał duże uznanie. Po drugie, nie cieszą się zwłaszcza młodzi oficerowie, wśród których jest bardzo mocny prąd bezwzględnego zaufania do Voldemarasa. Wreszcie nie cieszy się wielu poszczególnych ludzi, zastanawiających się głębiej nad sytuacją i przejętych troską publiczną o dobro kraju. Bądź co bądź – trzeba to przyznać – Voldemaras był przede wszystkim mężem stanu, był państwowcem, który dobro i interes państwa stawiał energicznie ponad spekulacje geszeftu prywatnego. W kołach narodowców te elementy, które chciałyby skorzystać z sytuacji i upiec u ogniska władzy partyjnej interesy własne, nierade były z Voldemarasa: on im w tym przeszkadzał. Zapewne nie tylko te elementy, ale były i one. Dla innych był on zawalidrogą ich wpływom i ambicji osobistej lub kombinacjom kompromisu i oportunizmu. Na jakim punkcie te elementy wrogie Voldemarasowi wymacały rozdźwięk między nim a Prezydentem Smetoną i uderzając w ten punkt słaby, sprowokowały kryzys i skłoniły Prezydenta do jęcia się inicjatywy własnej z tytułu władzy osobistej – tego nie wiemy. Upatrzony kandydat na premiera Tubelis ma przyjechać z Czechosłowacji 25 września.
Dziś o godz. czwartej po południu byłem u pani prezydentowej na posiedzeniu prezydium Komitetu Pomocy Litwie Północnej. Akcja ta się likwiduje. Nieurodzaj zeszłoroczny został zastąpiony przez dobry urodzaj tegoroczny. Plon nowego urodzaju jest zebrany, akcja pomocy zakończona. Ale w dyspozycji komitetu pozostało 300 000 litów niezużytkowanych. Są różne zaprojektowania co do zużytkowania tej sumy. Omawialiśmy je dzisiaj, ale jeszcześmy wniosków nie ustalili. Decyzja należeć będzie do ogólnego zebrania likwidacyjnego plenum komitetu.

22 września, rok 1929, niedziela
Żyjemy wciąż pod znakiem kryzysu rządu. Pogłoski i plotki pracują nie tylko nad dotarciem do źródeł i przyczyn kryzysu, ale też nad domniemaną konstrukcją personalną przyszłego gabinetu, choć w tym względzie, dopóki nie przyjedzie i nie obejmie prezesury rządu Tubelis, wszelkie kombinacje – nawet tych, co je realnie układają, a nie tylko tych, co się domyślają i plotkują – są z natury rzeczy prowizoryczne. Jednak spośród uporczywych twierdzeń i pogłosek zanotuję następujące. Przypuszczają, że na stanowisku pozostanie minister rolnictwa Aleksa. Co

do teki spraw wewnętrznych, to żadna wersja nie zapowiada pozostania Musteikisa, o którym wszakże powiadają, że ma szanse objęcia teki wojny. Co do teki oświaty – to mówią o profesorze księdzu Izydorze Tamošaitisie z Wydziału Humanistyki, który za mojego rektoratu był sekretarzem uniwersytetu; prof. Tamošaitis, człowiek mnie osobiście sympatyczny, wykształcony i rozumny, samodzielny, acz nieco zacietrzewiony w sympatiach partyjnych i osobistych i skłonny do entuzjazmowania się, a przeto do hołdowania pierwiastkowi personalnemu w polityce, dość bezwzględny dla przeciwników, człowiek z kliki prezydentowej i prałata Mironasa, autorytet narodowców, w których szeregach trwał zawsze wiernie „w dobrym i złym losie", - jest jeszcze u narodowców człowiekiem przyszłości, który dotąd był zachowany w rezerwie i jeszcze nie był „zagrany". Wymieniają też dyrektora „Maistasu" i „Lietukisu" Lapėnasa na stanowisko ministra finansów, choć to parweniusz świeżej daty w polityce i człowiek bez wykształcenia, ale zresztą niewątpliwie sprytny i obrotny; Lapėnas pojechał na spotkanie Tubelisa dla poinformowania go o sytuacji, jest więc pewnego rodzaju kombinatorem w przesileniu obecnym. Na stanowisko ministra spraw wewnętrznych zapowiadają dość kategorycznie niejakiego Arawicza czy coś w tym rodzaju, obecnego naczelnika powiatu w Olicie, zupełnie dotąd nieznanego u szczytów wielkiej polityki, ale na ogół chwalonego nawet w kołach lewicowych. Parę razy słyszałem nawet wymieniane nazwisko moje na obsadę teki ministra sprawiedliwości jako sympatyka bezpartyjnego. Na stanowisko ministra wojny wymieniają, prócz Musteikisa, także Kubiliunasa i Variakojisa (tego ostatniego także na stanowisko ministra komunikacji, które on obecnie zajmuje). Na stanowisko ministra spraw zagranicznych słyszałem wymienione nazwisko nawet... dr Puryckiego; powiadają, że on sam się o to stara. Mówią też o Toliušisie na stanowisko ministra sprawiedliwości i w ogóle o gotowości kombinatorów nowego rządu do nawiązania współpracy z ludowcami, wszakże na warunkach przyjęcia przez ludowców hegemonii narodowców i pogodzenia się ze *status quo* konstytucyjnym. Osobiście co do Toliušisa, który stoi na prawym skrzydle ludowców, to udział jego byłby zupełnie możliwy, ale nie wiem, czy za tę cenę zerwałby on ze stronnictwem ludowym, z którym wprawdzie niezupełnie się zgadza. Co zaś wszakże do samego stronnictwa ludowców, to skrzydło lewicowe (Ślażewicz, dr Grinius, Sugint) jest w stronnictwie silniejsze od prawego i nigdy do ugody z narodowcami, stojącymi na stanowisku przewrotu 1926 i 1927 r., nie dopuści.

23 września, rok 1929, poniedziałek
Miałem drugi wykład na I semestrze. Obydwa udały się dobrze, drugi – jeszcze lepiej od pierwszego. W tych dwóch wykładach (ogółem cztery godziny) streściłem całą początkową część mojego kursu, w szczególności rozdział o elementach państwa i rozdział o stosunku państwa do społeczeństwa; natomiast całkowicie opuściłem przegląd i krytykę rozmaitych doktryn o państwie. Zazwyczaj innych lat ta część wstępna kursu zajmowała mi czas do końca listopada; to znaczy, że wygrałem dobre dwa miesiące czasu, toteż ku końcowi II semestru zdołam zapewne dopędzić moje wykłady do ostatnich rozdziałów kursu, a może i do końca, czego nigdy dotąd, zaczynając obszernie i szczegółowo od początku, dokazać nie zdołałem.
Rano depesze doniosły, że upatrzony na prezesa ministrów Tubelis, śpiesznie wezwany z sanatorium w Czechosłowacji, gdzie się leczył, przyjechał już wczoraj do Kowna i zgodził się przyjąć poleconą mu misję utworzenia nowego gabinetu. Będziemy czekali. Coraz bardziej – ale zawsze tylko z kół prawicowych – słyszę pogłoski o zamierzonym zaproponowaniu teki ministra sprawiedliwości – mnie. Jednak z kół miarodajnych nie otrzymałem nie tylko propozycji formalnej, ale nawet żadnego napomknienia, mogącego mieć na celu wysondowanie terenu moich usposobień w tym względzie.

Sądzę przeto, że za tą pogłoską nie kryje się żadna kombinacja poważna. Być może przy omawianiu ewentualnych kandydatur w kołach urzędowych była poruszana i moja osoba, ale na tym się zapewne wszystko skończyło. Gdybym otrzymał propozycję, to sam nie wiem, czy bym poszedł, a poza tym wątpię, aby moje warunki, gdybym się już decydował, zostały przez Tubelisa przyjęte. Choć teka sprawiedliwości jest sama przez się apolityczną, to jednak udział w Gabinecie Ministrów wiąże politycznie każdego ministra, a to mię wcale nie zachęca tak dla obecnej sytuacji wewnętrznej, która jest jeszcze prowizoryczną i opartą wciąż o faktyczną dyktaturę rządu, a posługuje się takimi metodami akcji, jak terror biały, jak również dla polityki zewnętrznej, w której dominuje fetysz sprawy Wilna i szeroko rozlana jest jak żółć nienawiść do Polski, której nie podzielam i która mi jest z natury rzeczy szczególnie przykra. Ale gdybym nawet przezwyciężył te wstręty, to postawiłbym kategoryczny warunek mojego udziału – wprowadzenie sądownictwa administracyjnego i przebudowę sądownictwa zwyczajnego z wprowadzeniem sądów przysięgłych w sprawach karnych i zwłaszcza ustaleniem kategorycznym sądownictwa kasacyjnego, całkowitego i zupełnie wyodrębnionego od trybu apelacyjnego. Ta reforma – szczególnie sądownictwo administracyjne – byłaby zapewne w tej formie kategorycznej nie do przyjęcia dla obecnego kursu rządowego.
Słyszałem o dwóch kombinacjach nowych kandydatur do Rady Stanu. Jedna kandydatura dotyczy dr Jerzego Šaulysa, który ostatnio zajmował stanowisko posła litewskiego przy Watykanie i formalnie dotąd ze stanowiska tego nie został zwolniony, aczkolwiek został obecnie odwołany do Kowna i pracuje w Ministerium Spraw Zagranicznych. Zdaje się, że stanowisko posła osobnego w Watykanie będzie zlikwidowane i połączone ze stanowiskiem posła w Kwirynale, co obecnie, po likwidacji historycznego konfliktu Watykanu z Kwirynałem, jest zupełnie możliwe. Otóż czy to dlatego, czy też dla jakichś przyczyn co do osoby dr Šaulysa – Šaulys ma być zwolniony ze stanowiska posła. I, jak mi on w tych dniach sam mówił, Voldemaras proponował mu nominację na członka Rady Stanu i w dłuższej rozmowie namawiał do przyjęcia tego stanowiska. Šaulys jednak, nie będąc prawnikiem, nie decyduje się na to. Druga ewentualna kandydatura do Rady Stanu – to obecnego prezesa Sądu Okręgowego w Kownie, Grigaitisa. Jeżeli Šaulys jest kandydatem wątpliwych zalet jako nie prawnik, to Grigaitis, choć jest formalnie prawnikiem, jest kandydatem zupełnie trefnym (nie trafnym, lecz właśnie trefnym).

24 września, rok 1929, wtorek
Rano ukazały się na mieście depesze, w których podany już był skład nowego rządu, utworzonego przez Tubelisa. Właściwie gabinet nie uległ zmianie. Zmieniła się tylko osoba premiera. Ministrowie: rolnictwa – Aleksa, spraw wewnętrznych – Musteikis, oświaty – Šakenis, sprawiedliwości – Aleksander Żyliński – pozostali na stanowiskach. Voldemaras zajmował ostatnio w swoim gabinecie dwie teki: spraw zagranicznych i wojny, Tubelis zaś – tekę finansów i objął „czasowo” jedną z tek Voldemarasa – spraw zagranicznych. Druga pozostała po Voldemarasie teka – wojny – oddana została Variakojisowi, który piastował dotąd tekę komunikacji. Wolną więc się okazała ta ostatnia teka, na którą mianowany został inżynier Witold Vileišis, syn zmarłego Piotra Vileišisa. Minister Witold Vileišis – *persona grata* w obozie narodowców – jest w gabinecie Tubelisa jedynym nowym ministrem. To zachowanie całego personelu byłego gabinetu Voldemarasa prawie bez zmiany jeszcze jaskrawiej podkreśla istotę przesilenia rządowego: okazuje się, że całe przesilenie polegało na osobie Voldemarasa. Jest to kropka na i dla wszelkich domysłów: przesilenie sprowadza się do konfliktu, który się

uwydatnił między premierem Voldemarasem a Prezydentem Smetoną. Zwyciężył Smetona – upadł Voldemaras. Taką jest rzeczywistość dzisiaj.

25 września, rok 1929, środa
Dziś rozpocząłem pracę na III semestrze. Jest to seminarium prawa konstytucyjnego. Na razie jednak, na początku roku akademickiego, zanim studenci przygotują pierwsze referaty, kontynuuję wykłady zwyczajne. Po wykładzie rozdawałem tematy prac seminaryjnych i wyznaczyłem szereg studentów do pracy nad tłumaczeniami konstytucji.
Pisałem wczoraj o kandydaturach do Rady Stanu. Jedną z nich, jakem wspominał, była kandydatura dr Jerzego Šaulysa, którego Voldemaras przed swym upadkiem chciał do Rady Stanu właściwie „zdeponować" jako niepotrzebnego mu. Drugi podobny kandydat do „zdeponowania" jest, jak powiadają, obecny prezes Sądu Okręgowego w Kownie Grigaitis. Powiadają, że Grigaitis, który został na to stanowisko przez ludowców (przez Ślażewicza) mianowany i który jest przez narodowców nielubiany, jest przez ministra Żylińskiego tolerowany do czasu, zanim Żyliński ministruje; wszakże posadę prezesa Sądu Okręgowego w Kownie Żyliński rezerwuje dla siebie; zatem gdy Żyliński będzie ustępował ze stanowiska ministra sprawiedliwości, Grigaitis ma być usunięty w celu opróżnienia miejsca dla Żylińskiego: ôte-toi que je m'y mette![15]. Formą, w jakiej ma być dokonane usunięcie Grigaitisa, byłaby nominacja go do Rady Stanu. Ponieważ sądzono, że w dopiero co zakończonym przesileniu gabinetowym Żyliński zostanie z tworzącego się nowego gabinetu wyeliminowany, więc spodziewano się rychłej nominacji Grigaitisa do Rady Stanu. Wszakże, jak wiadomo, Żyliński w nowym gabinecie Tubelisa pozostał. Ale charakterystyczna rzecz, że Rada Stanu, która, jak się z początku zdawać mogło, będzie rezerwuarem gwiazd, talentów i ewentualnych kandydatów na przyszłych ministrów, zaczyna być traktowana jako miejsce deponowania gratów (pardon – ludzi), którzy się stali niepotrzebni i których nie wiedzieć gdzie podziać i staje się coraz bardziej archiwum byłych ministrów i gwiazd gasnących albo zgasłych. Swoją drogą, Grigaitis żadnych kwalifikacji do Rady Stanu nie ma.

26 września, rok 1929, czwartek
Upadek Voldemarasa uwydatnił fakt rzeczywistego istnienia rządów osobistych Prezydenta Respubliki, co jest zresztą zupełnie zgodne z duchem i literą konstytucji z r. 1928. W myśl tej zasady, ministrowie są ministrami Jego Ekscelencji Prezydenta, który jest ich panem i zwierzchnikiem. Prezes Gabinetu Ministrów, czyli premier, nie oddziela kategorycznie ministrów jako swoich współpracowników od Prezydenta, skądinąd zaś nie dysponuje on czynami Prezydenta, którego decyzje zależą ostatecznie od jego woli osobistej – choćby wręcz przeciwnej życzeniom i żądaniom premiera. Jest to najistotniejszy skutek tej dyspozycji konstytucji, która udziela Prezydentowi mocy udzielania dymisji gabinetowi wolą własną – nawet bez kontrasygnacji.
Z tego stanowiska upadek Voldemarasa jest bardzo charakterystyczny i stanowi ciekawy precedens konstytucyjny, świadczący o żywotności stworzonego przez nową konstytucję ustroju władzy.
Voldemaras – na skutek pewnego konfliktu między nim a ministrami – był zażądał od Prezydenta usunięcia pono trzech ministrów. Prezydent nie tylko że nie zaakceptował wniosku Voldemarasa, co zmusiłoby tych ministrów do podania się do dymisji, ale wyraźnie stanął po ich stronie przeciwko premierowi, zmuszając jego do ustąpienia. Voldemaras, nie czując na razie oparcia dla skutecznego przeciwstawienia się

[15] *Ôte-toi que je m'y mette!* (fr.) – zwolnij miejsce dla mnie.

Prezydentowi, dymisjonował. Czy nie zacznie on tego oparcia szukać teraz, aby spróbować odzyskać władzę – to się pokaże. Voldemaras kocha władzę – to fakt. Jednocześnie incydent ten skruszył dotychczasowy duumwirat „Smetona – Voldemaras", który trwał od czasów, gdy narodowcy byli jeszcze w opozycji.

27 września, rok 1929, piątek
Widziałem się dziś z Eugeniuszem Römerem. Przy tej sposobności chciałem się poinformować, jak by się on zapatrywał na ewentualne przyjęcie przeze mnie teki ministra sprawiedliwości, gdyby mi ją kiedy zaproponowano. Chociaż bowiem tym razem „honor" ten mię ominął i pogłoski w kołach prawniczych o mej kandydaturze do tej teki spaliły na panewce, bo mi jej wcale nie zaproponowano, a nawet zapewne w kołach miarodajnych nie zastanawiano się poważnie nad tym, albowiem kryzys polegał li tylko na osobie Voldemarasa, lecz nie innych ministrów i w tej liczbie nie ministra sprawiedliwości Aleksandra Żylińskiego, ale mogą zajść kiedykolwiek takie okoliczności, że kwestia ta powstanie realnie i konkretnie i że jakaś grupa, bądź prawicy, bądź lewicy, która dojdzie do władzy i jakiś przyszły wariat-premier, który będzie sobie dobierał współpracowników do gabinetu, ofiaruje mi tę tekę. Nie ma dymu bez ognia – powiada przysłowie, a choć dym pogłosek, plotek i domniemań powstaje nieraz z rozdmuchiwania bardzo małej iskierki, to jednak i tu ten ogień, choćby w postaci iskierki, jest przynajmniej prawdopodobny, jeżeli nie zupełnie pewny. Już w roku 1926 latem, gdy się tworzył koalicyjny rząd lewicowy, moja kandydatura jako bezpartyjnego była przez uczestników tej koalicji – socjalnych demokratów – wysuwana. Obecnie czyniły to pogłoski, opierające się jednak niewątpliwie na pewnych czy to gawędach, czy „usposobieniu" narodowców w stosunku do mojej osoby. Otóż gdyby to nastąpiło – co bym robił? Wiem dobrze, jakie bym ewentualnie postawił zastrzeżenia i warunki, od których kategorycznego przyjęcia przez premiera uzależniłbym ewentualne moje wstąpienie do gabinetu: kamieniem węgielnym tych warunków byłoby sądownictwo administracyjne; jest to tak pewne, jak amen w pacierzu. Ale ważniejszym bodaj byłby dla mnie wzgląd inny – wzgląd na stosunek polityki litewskiej do Polski, na tę nienawiść do Polski i Polaków, która się wżarła w tradycje polityki litewskiej i jeżeli nawet nie dla wszystkich jest ona namiętnością, to jest ona dla wszystkich przynajmniej szablonem czy fetyszem, od którego odstąpić stało się dziś dla wszystkich grup politycznych litewskich z wyjątkiem zdezorganizowanych esdeków – niepodobieństwem. Dla mnie natromiast – kochającego Litwę, ale kochającego także, choć nieco inaczej, Polskę – to właśnie jest najtrudniejsze i najcięższe; jest to dla mnie szkopuł najistotniejszy w ewentualnym akcesie osobistym czynnym do polityki litewskiej. Otóż chodziło mi o to, jak by się na to zapatrywał Eugeniusz Römer, który stoi dziś w kraju niewątpliwie na samym czele lokalnej polityki polskiej, zresztą bardzo dokładnie uzgodnionej z państwową polityką polską. Eugeniusz Römer, acz z pewnego ukrycia, nie afiszując się tym publicznie wobec Litwinów, a nawet wobec mas litewsko-polskich, jest *spiritus movens* w akcji Polaków litewskich, której nadaje kierunek i którą organizuje starannie. Otóż, co dla mnie było dość niespodziewane, Eugeniusz Römer, który ze mną jest zupełnie szczery, oświadczył się na rzecz przyjęcia przeze mnie teki ministra sprawiedliwości, gdyby mi ona była ofiarowana w warunkach podobnych do obecnych. Sam przez się – powiada Eugeniusz – resort Ministerium Sprawiedliwości jest apolityczny; gdyby w czasie mojego ministrowania sprawa stosunku do Polski stanęła jakoś szczególnie ostro, miałbym zawsze możność podania się do dymisji; zaś dodatnim byłby, zdaniem Eugeniusza, sam precedens dopuszczenia do rządu Polaka, który się polskości nie zapiera i dodatnią byłaby możność oddziaływania łagodzącego na te zaognione stosunki – przynajmniej w

sytuacji wewnętrznej, a może także w polityce zagranicznej? Od innych jednak słyszałem wszakże inne, wręcz sprzeczne z powyższym zdania.

28 września, rok 1929, sobota
Pożegnanie ustępującego rektora Jodeli kolacją w Klubie Litewskim. Profesury zebrało się sporo, aczkolwiek trochę mniej niż zazwyczaj. Oczywiście w komplecie był senat akademicki, z byłych rektorów był tylko Šimkus i ja (Michał Biržiška wyjechał z ramienia uniwersytetu na jubileusz Uniwersytetu Łotewskiego, ks. Bučysa w Kownie nie ma, dr Avižonis z zasady nie uczęszcza na uczty pożegnalne, zwłaszcza z alkoholem); świecili nieobecnością zwłaszcza medycy i nie wiem dlaczego narodowcy – jak Tamošaitis, Tumas. Ja chciałem się zalokować na szarym wesołym kąciku, w towarzystwie Herbaczewskiego, Janulaitisa, Kiejstuta Šliupasa, Weryhy-Darewskiego, ale „*noblesse oblige*" – jako dla byłego rektora wyznaczono mi miejsce honorowe w rzędzie czołowym, gdzie usiadłem między teologami – byłym sekretarzem uniwersytetu Dovydaitisem i nowym dziekanem Wydziału Teologicznego ks. prof. Kuraitisem. Ku końcowi kolacji posypały się, jak zwykle, mowy. W pięknej, jak zazwyczaj, mowie otworzył przemówienia pożegnalne aktualny Magnificencja Rektor prof. Wincenty Czapiński. Analizował pojęcia wodza czy przywódcy, skłaniał się do tego, by ideał funkcji wodza upatrywać w płynięciu z prądem, podnosił zalety taktu, rozwagi, wytrwałości czysto litewskiej prof. Jodeli, zaznaczył z uznaniem jego patriotyzm i pracę dla kraju od lat wielu, jego dawne wysiłki i prace nad stworzeniem przemysłu i w szczególności produkcji cementu przed wojną, streścił główne szczegóły jego życiorysu, wreszcie uwydatnił jego zasługi na stanowisku rektora w trudnym roku, kiedy prowadzone były ataki systematyczne na uniwersytet, jego autonomię, które prof. Jodelė umiał spokojnie odparowywać i spokojem swym oraz taktem oszczędzić uniwersytetowi niejeden z ciosów lub rozproszyć chmury, gromadzące się w atmosferze akademickiej, a wreszcie uzyskać zdołał dla uniwersytetu gmach wspaniały byłej drukarni państwowej, co stanowić będzie trwały i znakomity tytuł zasługi jego rektoratu. W chwili, gdy zagrzmiały okrzyki po mowie Magnificencji Czapińskiego – zaszedł mały incydent: Herbaczewski, nieco podchmielony na szarym końcu – wieczysty „*enfant terrible*" wszelkiej społeczności – wołać zaczął: „Valio Lietuvos moterys!"[16] i inne w tym duchu wykrzykniki. Był to nietakt, którym się zaczęto gorszyć, bo miało się wrażenie, że Herbaczewski robi sobie kpiny z solenizanta i insynuuje, że rządy Jodeli były babskie, to znaczy miękkie i niedołężne. Aliści sam Herbaczewski rozproszył niebawem to niemiłe wrażenie; poprosił o głos i nie stosując się do etykiety, która daje pierwszeństwo dziekanom po rektorze, pchnął pierwszą mówkę, którą nawiązał do nazwy popularnej uniwersytetu „Alma Mater", albowiem jak matka rodzi dzieci, tak uniwersytet rodzi inteligencję krajową; w uniwersytecie przeto tkwi natura kobieca; brutal mężczyzna może czasem maltretować i bić kobietę i matkę, ale jej te akty gwałtu nie są w stanie obrazić ani jej obowiązków naturalnych wyrzec i ostatecznie trwałością i ciągłością funkcji swojej kobieta i matka zwycięży wybryki przemocy męskiej i przetrwa zawsze ta sama, pełna miłości i rodząca dzieci; a robiąc dalej aluzję do Voldemarasa i jego ataków na uniwersytet – Herbaczewski zaznaczył, ze oto nasz uniwersytet za rektoratu Jodeli dostał szereg policzków od brutala mężczyzny, a przecież przetrwał brutala i jest, i rodzi inteligencję, i nic z natury swej i czci nie stracił. Przemawiali dalej prorektor Česnys, dziekani wydziałów, Zygmunt Gurewicz w imieniu pracowników kancelarii i buchalterii akademickiej, prof. Mašiotas. Ładnie przemówił Gurewicz, który zlustrował cały łańcuch byłych rektorów i u każdego znalazł swoisty rys dodatni, kształcący kulturę i tryb działania tych pracowników

[16] Niech żyją litewskie kobiety! (lit.).

kancelarii akademickiej. Podniósł więc entuzjazm młodzieńczy inicjatywy rektora Czapińskiego, takt rektora Bučysa, skrupulatność rektora Avižonisa, humanizm rektora Michała Biržiški, znajomość stosunków i zmysł lojalności mój, powagę zastanowienia rektora Jodeli. Był jeszcze incydent w końcu kolacji. Rektor Czapiński zabrał głos dla zaprotestowania twierdzeniu Herbaczewskiego o jakichś policzkach, wymierzonych uniwersytetowi i stwierdził, że uniwersytet spoliczkowany nie był, co znów wywołało replikę i tłumaczenie się Herbaczewskiego. Sam były rektor Jodelė zabrał głos na końcu, dziękował wszystkim mówcom i za moim zeszłorocznym przykładem, na który się powołał, przyznał, że z żalem opuszcza rektorat, który dlań tak ciężkim, jak tego się bał, nie był i który zostawia mu wspomnienia nader miłe.

29 września, rok 1929, niedziela
Św. Michał. Imieniny moje. Mimo spóźnionej pory jesiennej, jest jeszcze tak ciepło, że we dnie chodzę dotąd po mieście bez palta i w panamie na głowie. W nocy jest dość chłodno, bywają przymrozki, ale we dnie jest pogodnie i miło. Osobiście przychodzili mi winszować imienin Eugeniusz Römer z Hektorem Komorowskim, delegacja Stowarzyszenia Studentów Prawników i Ekonomistów, którego jestem członkiem honorowym, delegacja korporacji akademickiej „Fraternitas Juvenum", której jestem filistrem honorowym, mój adorator Żyd Diskin z butelką wina w darze, oprócz tego był Žemaitis, który mię nie zastał i zostawił bilet wizytowy. Depeszami ozdobnymi winszowali mi imienin: pp. Józefostwo Stawscy z Poniewieża, Jan Galiński i studentka Helena Budrewiczówna. Oprócz tego, nadesłali pocztą powinszowania na biletach wizytowych: pp. Rosenowie z Gaczan i członek Rady Stanu Papečkys. Oprócz tego, w listach wyrazili życzenia Marynia Römerowa, Stefan Römer, no i moja córka Celinka listem z Grodna; ba, prawda – jeszcze także Ewa Meyerowa. Eugeniusz Römer i Hektor Komorowski zabawili u mnie na pogawędce dłużej; przyjąłem ich kawą. Hektor zaprosił mię na swoje wesele, które ma się odbyć w nadchodzący czwartek. Ślub odbędzie się w kościele karmelitów w Kownie; obrzędu ślubnego dokona ksiądz dziekan prałat Łabanowski, proboszcz rakiski, który przyjedzie do Kowna w tym celu. Następnie odbędzie się śniadanie w gabinecie „Trijų Kunigaikščių" w Klubie Litewskim i tegoż dnia wieczorem państwo młodzi udadzą się pociągiem wieczornym do Kowaliszek. Ogółem ma być na ślubie 15 osób zaproszonych. Będzie Elizka, będą Julkowie, będą Zitka i Litka, będzie Przeździecki, Eugeniusz Römer, ja, któryś z młodych Komorowskich, Zygmunt Kossakowski... Strój – frak. Jako najbliższemu krewnemu Hektora w linii matki jego, wypadnie mi wygłosić mówkę do państwa młodych.

30 września, rok 1929, poniedziałek
Rektor Czapiński zaprosił dziś do siebie mnie i naszego dziekana prof. Leonasa i oświadczył, że senat akademicki (na tym posiedzeniu senatu nasz dziekan Leonas był nieobecny) uchwalił zwrócić się do Prezydenta Rzeczypospolitej z petycją o udzielenie łaski całemu szeregowi (trzydziestu kilku) studentów, którzy w związku z terrorem rządowym Voldemarasa zostali od dnia 6 maja (daty zamachu na Voldemarasa) pod różnymi błahymi pozorami akcji rzekomo rewolucyjnej aresztowani, sądzeni przez sąd polowy i skazani na rozmaite kary, począwszy od kary śmierci, zamienionej na ciężkie więzienie bezterminowe i kończąc więzieniem terminowym. Większość tych studentów, a może i wszyscy skazani zostali bez żadnej winy jakiegoś czynu. Jedyną ich winą były ich przekonania radykalne mniej lub więcej zaakcentowane albo należenie do pewnych organizacji akademickich o zabarwieniu socjalistycznym, szczególnie zaś do „aušrininków" Właściwie padli oni ofiarą systemu terroru, który

omackiem wyłapywał i „karał” wszystkich, mogących domniemanie być podejrzanymi o sprzyjanie zamachowi na Voldemarasa. Był to masowy terror biały w odpowiedzi na indywidualny terror czerwony. Teraz – po upadku Voldemarasa – jest nadzieja, że się da los tych młodzieńców złagodzić. Rektor rozmawiał w tej kwestii z Prezydentem i z prezesem ministrów Tubelisem i wyniósł wrażenie, że nadzieja na ułaskawienie jest. Senat uchwalił prosić Leonasa i mnie o ułożenie projektu takiej petycji. Ja mam napisać jej projekt i dać Leonasowi do przejrzenia, a następnie przyjmie go senat.

1 października, rok 1929, wtorek
Wczoraj przyjechał na dwa dni do Kowna Stefan Römer i zamieszkał, jak zwykle, u mnie. Stefan zaniechał na tę zimę zamierzonej jazdy do Paryża na dalsze studia artystyczne i spędzi zimę w Bohdaniszkach. Na tę decyzję jego wpłynął z jednej strony wzgląd na zdrowie, które mu szwankuje, poniekąd też obawa przed niewygodami i niedostatkiem w Paryżu w związku z dość miernymi perspektywami środków materialnych i nieumiejętnością Stefana urządzenia się praktycznego w życiu, z drugiej zaś strony i nade wszystko – spotkanie się w Poniewieżu z malarzem Justynem Wienażyńskim. Justyn Wienażyński (notabene syn chrzestny św. pamięci Mamy mojej) jest jednym z najzdolniejszych malarzy litewskich, ale leniwy i pijak, a bodaj i kokainista. Po awanturach zeszłorocznych w Kowieńskiej Szkole Sztuk Pięknych („Meno mokykla”), w których bruździł on wraz z uczniami przeciwko władzom tej szkoły, został on z niej z liczby profesorów usunięty i teraz siedzi z rodziną w majątku ojcowskim pod Abelami, bo w Kownie nie ma się z czego utrzymać. Ze Stefanem spotkał się w Poniewieżu u Stawskich, rozgadał się, oglądał niektóre utwory jego, chwalił jego talent i zaproponował Stefanowi urządzenie na wiosnę wspólnie wystawy jego, Wienażyńskiego, i Stefana. Stefanowi to pochlebia i daje bodźca do pracy energicznej twórczej przez zimę w Bohdaniszkach. Przyjechał więc tu po zakupy farb i innych przyborów do pracy artystycznej. Był też dziś u lekarza – dr Ławrynowicza, dał się sfotografować promieniami Roentgena. Podobno źle jest ze zdrowiem jego, doktor znalazł rozszerzenie płuc, dychawicę, zabronił palić, zagroził nawet, że może pożyć zaledwie parę lat, jeżeli nie będzie zwracał uwagi na swój stan.
Korzystając z obecności Stefana, zaprosiłem dziś Herbaczewskich na obiad (przy obiedzie wypiłem z Józefem-Albinem Herbaczewskim bruderszafta na „ty”). Herbaczewski wciąż przejęty jest cały „duchami” w Bohdaniszkach i okolicy oraz upadkiem Voldemarasa w Kownie. Voldemarasa tak nienawidzi, że aż się pieni mówiąc o nim. Wyobraził sobie – nie wiadomo skąd – że ja jestem zwolennikiem Voldemarasa i że potępiam Smetonę w sprawie upadku Voldemarasa, a jest taki, że gdy sobie coś wyobrazi – to nic go nie przekona, że tak nie jest. Wywnioskował to z tego, że nie mieszam w czambuł Voldemarasa z błotem, jak to inni czynią. Kłócił się już raz ze mną, napadał na mnie i łajał u Perkowskiego, potem w dniu pożegnania byłego rektora Jodeli przepraszał mię, płakał i całował, ale ostatecznie przekonania swego nie zmienił. I rozgłasza wszędzie, że ja należę rzekomo do obozu rzeczników Voldemarasa.
Co do Voldemarasa – to wczoraj w wywiadzie, udzielonym współpracownikowi „Lietuvos Žinios”, poczynił on wynurzenia skandaliczne, mające wszelkie cechy jawnego wypowiedzenia „wojny” nowemu rządowi i rzucenia mu rękawicy wyzwania do walki. O tym wywiadzie powiem jutro.

2 października, rok 1929, środa
O rzuceniu przez prof. Voldemarasa rękawicy rządowi i o wyraźnym postawieniu się w opozycji, dającym dużo do myślenia co do sposobów i środków, jakimi niedawny dyktator chciałby odzyskać straconą władzę, omówię innym razem. Dziś zacytuję w

dzienniku *in extenso* moją mowę, którą ułożyłem na jutro na ślub mego najstarszego siostrzeńca (urodzonego w roku 1892, a więc liczącego dziś 37 lat) – Hektora Komorowskiego. Oto jest treść dosłowna tej mojej mowy jutrzejszej:
„Kochani Młodzi!
Szanowni i Kochani Państwo!
W imieniu rodziny Hektora w linii Matki jego, jako najbliższy mu krwią w tej linii, pozwalam sobie zabrać glos i wyrazić uczucia, jakich sam doświadczam i jakie niewątpliwie żywią i żywić będą inni członkowie naszej rodziny wobec tego nowego związku małżeńskiego, w który wchodzi jeden z naszych członków i braci – oto tutaj Hektor. Hektor nie jest młodzieniaszkiem, względem którego byłyby dopuszczalne wszelkie domniemania, nadzieje i perspektywy na przyszłość, co to będzie za człowiek. Nie jest on *tabula rasa*, na której wszystko dopiero, zależnie od okoliczności, wypisane być może. Hektor jest już mężem, który ma imię w rodzinie, więcej nawet – ma on już je w społeczeństwie. Dotychczasowymi czynami swoimi, powagą, taktem, głębią refleksji, stanowiącymi cechy zasadnicze jego osobowości umysłowej, w połączeniu z pięknymi zasadami miłości dla kraju i jego społeczeństwa, wierności dla narodu i jego kultury, humanizmu w stosunkach z ludźmi, które to zasady przyjął z wychowania w tradycji rodzinnej, płynącej zarówno z domu Komorowskich, jak z domu Römerów, wreszcie wysokimi zaletami wrażliwego w gruncie serca i prawego charakteru – Hektor daje zupełną rękojmię zarówno swojej ukochanej młodej małżonce, jak nam, rodzinie, że to, co on wiąże, to, co on zakłada i buduje, a czego my tu dziś świadkami jesteśmy – a przecie jest to w życiu ludzkim związek pono najtrudniejszy, ale zarazem najpiękniejszy i najważniejszy – będzie mocne, będzie trwale, będzie poczciwe. Błogosławieństwo dziadów i pradziadów, błogosławieństwa czystego imienia ojców i matek naszej rodziny, którzy w rodzinie, w społeczeństwie, w kraju nie splamili się żadną niesławą i przekazali nam w dziedzictwie tradycję zasług i obowiązku obywatelskiego, niech się przez usta moje zleje na waszą, Oleńko i Hektorze, rodzinę, którą oto dzisiaj w obecności naszej zakładacie. A nade wszystko, choć to już wychodzi za ramy rodziny Römerów, którą ja tu wraz z Eugeniuszem przedstawiam, dodam – bo przemilczeć imienia tego tutaj nie mogę, bo musi ono być tu dzisiaj obecne jako rzecz wielka i święta a najbliższa – niech błogosławieństwo Ojca twojego, Hektorze, a szwagra mojego Zygmunta będzie z wami. Mieć Ojca tej miary i tych zalet osobistych rodzinnych i społecznych, co Zygmunt, powoływać się na pochodzenie od takiego umysłu i serca – to los, Hektorze, który cię bogatym i odpowiedzialnym czyni. Z tym imieniem wielkim spojone jest ściśle imię Matki twojej, a siostry mojej, którą masz przy sobie i która wam świeci i świecić będzie cudnym blaskiem stopionym własnym i Zygmunta.
A teraz cóż tobie, Oleńko, powiem w imieniu rodziny Hektora?! Dziś Cię zaledwie poznałem, ale już to, że Hektor Cię pokochał i wybrał, świadczy nam o tobie, a twoja piękność i młodość, twoja subtelność dziewiczego wdzięku, która cię oplata jak powój dokoła męża mocnego, jak Hektor, daje nam urok, który podziwiamy i który witamy w rodzinie radośnie, otwierając wam obojgu szeroko ramiona nasze i serca, wołając: niech żyją i niech Bóg da im szczęście!!!”.

3 października, rok 1929, czwartek
Dzień ślubu Hektora Komorowskiego. Między godz. 11 a 12 na plebanii kościoła parafialnego karmelitów zaczęli się gromadzić goście orszaku ślubnego. Gdym przyjechał, zastałem ledwie parę osób, ale w ich liczbie najgłówniejsze, bo oboje państwo młodych. Hektor – we fraku, szczuplejszy i zgrabniejszy niż zwykle, panna młoda – panna Aleksandra Holsteinówna, w spieszczeniu – Ola albo, jak ją w

Kowaliszkach przezwano, Oleńka – w białej sukni ślubnej z welonem i bukietem białych róż w ręku. Dotąd znałem Olę tylko z widzenia i nawet nie byłem pewny, czy się nie mylę i czy to istotnie ta sama jest narzeczoną Hektora. Dziś się przekonałem, że ta sama. Jest istotnie ładna, niezmiernie proporcjonalna w kształtach i przez to zgrabna, ma dużo kobiecości i robi wrażenie zmysłowej, łatwa jest bardzo i milutka. Powiadają o niej, że jest bardzo wielka flirciarka i z różnych stron ostrzegają Hektora przed tym małżeństwem; ale on kocha i żeni się. Wielu źle wróży temu małżeństwu: on – podtatusiały, dość ciężki, zaczynający starzeć, ona – lekka, ruchliwa, młodziutka, wrażliwa, zaprawiona do flirtu; czy wdroży się do życia na wsi, czy zharmonizuje się z surowymi obyczajami i poglądami teściowej Elizki i bratowej Madzi Julkowej, z powagą rozumnej Zitki i skromnym ułożeniem Litki? Czy nie znudzi się w Kowaliszkach i z nudów nie zacznie się burzyć, rwać do miasta, marzyć o głupstwach i szukać wrażeń? Że jest bardzo wrażliwa – to widać, ale jest też pogodna i milutka jak młoda koteczka. Ładnie gra i śpiewa. Ano, zobaczymy, jakie będą losy małżeństwa tego. W każdym razie, Ola – ładny i ciekawy okaz kobiety, czyniący bardzo miłe wrażenie i budzący od razu sympatię. Z rodziny panny młodej na ślubie była tylko jej matka – osoba niestara jeszcze, lat czterdziestu z górą – drobna, szczupła, wdowa po właścicielu kantoru ekspedycyjnego w Wierzbołowie (Kibortach) przed wojną, tytuł, którym się ona szczyci i którego Elizka się wstydzi. Na plebanii spisana została do ksiąg metryka ślubu, którą podpisali w księgach jako świadkowie Eugeniusz Römer, ja, hrabia Jan Przeździecki i może (nie wiem) Julek Komorowski. Na plebanii przed dwunastą zgromadzili się wreszcie wszyscy i udali się do kościoła. Do orszaku ślubnego i gości weselnych należeli prócz państwa młodych, p. Holsteinowej, mnie i księdza prałata Łabanowskiego (proboszcza rakiskiego i dziekana dekanatu abelskiego), który udzielał ślubu, następujące osoby: matka Hektora Elizka Komorowska, jego siostry Zitka i Litka Komorowskie, jego brat Julek z żoną Madzią, Eugeniusz Römer, hr. Jan Przeździecki z żoną – hrabiną Hermencją księżniczką Sapieżanką z domu, p. Bichniewicz z Poniemuńka i wychowanek kowaliski Jan Zeman. Wszyscy, prócz Bichniewicza i Zemana, byli we frakach, ja – z gwiazdą i krzyżem Orderu Gedymina II stopnia. Ksiądz prałat przemówił krótko do państwa młodych, udzielił im ślubu, odprawił mszę cichą. Ołtarz był dobrze oświetlony, kobierzec rozesłany – bogaty, organy grały *Veni Creator*, za kratkami zgromadziła się spora garstka znajomych i przyjaciół panny młodej, nie należących do orszaku, zwłaszcza panien. Po nabożeństwie składano powinszowania młodym, po czym wszyscy należący do orszaku udali się automobilami do Klubu Litewskiego, państwo zaś młodzi – do fotografa. W Klubie Litewskim w gabinecie „Trijų Kunigaikščių" stół był nakryty do śniadania. Wpierw jednak czekano na przyjazd państwa młodych. Gdy przyjechali, Elizka powitała ich chlebem i solą, wszyscy – szampanem. Składano życzenia, po czym usadowiono się do śniadania, które było obfite i przyjemne i zajęło przeszło dwie godziny. Siedziałem przy stole między Madzią i Litką – prawie *vis-à-vis* panny młodej. Jedną długość stołu od rogu do rogu zajmowali: Julek Komorowski, hr. Jan Przeździecki, p. Holsteinowa, panna młoda, pan młody, Elizka Komorowska i ksiądz prałat; naprzeciwko siedzieli, licząc w tym samym kierunku: Litka Komorowska, ja, Madzia Komorowska, Eugeniusz Römer, hr. Hermencja Przeździecka, p. Bichniewicz; zaś na dwóch przeciwległych krańcach stołu siedzieli: na jednym końcu Zitka Komorowska, na drugim – Jan Zeman. Wina były nalewane wyśmienite, do każdego dania stosowne; śniadanie – urozmaicone i w miłym nastroju. Gdy nalano szampana i podano deser, stanąłem i z wielką swadą, ze szczerym przejęciem wygłosiłem moją mowę, która wywołała niespodziewany dla mnie efekt: wszyscy byli nią zachwyceni i przejęci, winszowali mi i dziwili się talentu; Hektor był wzruszony, Elizka była bliska

płaczu; dziękowała mi potem i twierdziła, że mowa moja nadała blasku całej uroczystości. Przeździecki i Eugeniusz, składając Elizce życzenia, mówili, że się piszą na każde słowo moje i że każde zdanie mojej mowy było jakby z ich serca i uczuć wyrwane. Po mnie wzniósł jeszcze parę toastów i przemówił nieśmiało Julek. Po śniadaniu była czarna kawa, po czym się rozjechano.

4 października, rok 1929, piątek
Przed kilku dniami „Lietuvos Žinios" ogłosiły wywiad swego współpracownika Kardelisa u prof. Voldemarasa. Rewelacje, które w tym wywiadzie poczynił Voldemaras, rzucają światło swoiste na jego upadek i na jego stosunek obecny do rządu. Okazało się, że Voldemaras nie zrezygnował i nie rezygnuje dobrowolnie z władzy. Kryzys, spowodowany przez jego ustąpienie, określa on jako kryzys nie rządu, lecz samego państwa i dodaje, że nikt inny nie zdoła kontynuować jego polityki, którą widocznie uważa za jedyną zbawienną dla Litwy. Kto zna Voldemarasa, ten wie i rozumie, z jaką pewnością siebie on to twierdzi i z jakim dogmatycznym, nie dopuszczającym żadnych wahań lub wątpliwości przekonaniem uważa on swoje czyny, swoje zdolności, swoje poglądy, wiedzę i metody za doskonałe i niedoścignione. Pod względem niewzruszonej pewności siebie z prof. Voldemarasem mógłbym z ludzi, których znałem, porównać jednego tylko Władysława Studnickiego w Polsce, w którego żyłach zresztą płynie krew także wcale nie polska, jeno krew Inflantczyka łatgalskiego, bardzo pokrewna naszej. Mieszaniec Niemców z Dzukami litewskimi – Voldemaras – jest bardzo podobny do potomka Kawalerów Mieczowych, skrzyżowanego z krwią słowiańską i łatgalską Gizberta-Studnickiego. Ale żądzą władzy, mściwością i zdolnościami działania Voldemaras jeszcze prześciga swego krewniaka psychicznego i rasowego Władysława Gizbert-Studnickiego, który zresztą ma wszystkie cechy te same, jeno rozwodnione nieco nałogiem pisania. Zresztą ci dwaj ludzie są zdumiewająco do siebie podobni.
Najciekawsze w wywiadzie Voldemarasa i zarazem najdrastyczniejsze są jego rewelacje o intrygach, od dawna i uporczywie rzekomo prowadzonych przeciw niemu przez grono naczelne zakulisowych wodzów narodowców, których nie wymienia, lecz nazywa „szeszkomem" („szeszkomas" od słowa „šešių komitetas" – termin pochodzący z czasów rządów chrześcijańsko-demokratycznych, w których całą władzę ze wszystkimi organami tejże trzymał w ręku faktycznie nieurzędowy komitet sześciu zakulisowych potentatów tego obozu, w ich liczbie ks. Michał Krupowicz, ks. Šmulkštys, ks. Vailokaitis i kilku innych; kogo ma na myśli Voldemaras, mówiąc o „szeszkomie" narodowców, nie wiadomo z tekstu wywiadu, ale można suponować, że należą tu ks. Mironas, ksiądz prof. Tamošaitis, Lapėnas, pani Prezydentowa, może ktoś jeszcze, choć już Voldemaras swojego czasu zdołał „zdemaskować" i od wpływu i „intryg" odsadzić takich ludzi, mogących być do „szeszkomów" zaliczanymi, jak Merkys, generał Plechowicz, jenerał Dowkont – zresztą o tym w wywiadzie nie mówi). Powiada on, że „szeszkom" narodowy dawno kopał dołki pod nim, zwłaszcza gdy Voldemaras wyjeżdżał do Genewy i oto ostatnim razem musiał nawet z tego powodu przyśpieszyć powrót, bo intrygi stawały się niebezpieczne. Tu w Kownie był on przez tych nieubłaganych wrogów swoich systematycznie i najściślej aż do drobiazgów śledzony i szpiegowany.

5 października, rok 1929, sobota
Co jeszcze jest ciekawe i znaczące w wywiadzie Voldemarasa w „Lietuvos Žinios" – to, że zaznacza on kategorycznie, że nie on sam dobrowolnie ustąpił z urzędu, jeno został usunięty i prostuje twierdzenie swego następcy premiera Tubelisa, o rzekomym jego,

Voldemarasa, postanowieniu niebrania udziału w polityce (Tubelis to był powiedział w swoim *exposé* przedstawicielom prasy). Voldemaras temu zaprzecza i powiada, że zdecydowany jest właśnie brać w życiu politycznym wewnętrznym udział jak najbardziej czynny. Wszystko to razem aż nazbyt jaskrawo wskazuje, że Voldemaras staje w opozycji do rządu i zdecydowany jest szukać dróg powrotu do władzy. Jakie to będą drogi – to się wkrótce pokaże. Natomiast zupełnie naiwny, jeżeli nie obliczony na grubą nieświadomość jest zarzut, który Voldemaras czyni Tubelisowi o rzekomym wciąganiu Prezydenta Smetony w grę walk politycznych; Voldemaras powołuje się na to, że w prawie konstytucyjnym współczesnym u ludów cywilizowanych panuje zasada niewciągania nieodpowiedzialnego szefa państwa do polityki i przenoszenia wszelkich decyzji na osobę monarchy lub prezydenta. Że tak jest w ustroju parlamentarnym – to niewątpliwe, ale przecie cechą nowej konstytucji litewskiej z r. 1928, którą sam Voldemaras układał, jest właśnie dążenie do zorganizowania władzy osobistej Prezydenta Rzeczypospolitej, górującej nad władzą ministrów i Sejmu. Jaki siew – taki plon. „*Tu l'as voulu, George Dandin!*”[17].

6 października, rok 1929, niedziela
Znowu nie czuję się dobrze. Tym razem nowa mię trapi dolegliwość – wrzód, który się uformował na siodełku lewej stopy. Narwał on i pękł, ale się znów zasklepia, co mi się nie podoba. Żeby nie męczyć nogi, nie wychodziłem dziś z domu wcale i nie wkładałem obuwia.
Na dworze jest ciepło, słonecznie i miło. Pogodę mamy taką jak w maju. Po 15 i 20 stopni ciepła. Zupełne lato.

7 października, rok 1929, poniedziałek
Słychać, że w związku z opozycją Voldemarasa i burzeniem się, a może i skłonnością do spiskowania jego zwolenników, stanowiących odłam najbardziej bezwzględny narodowców, hołdujący idei dyktatury, poczynione są przez rząd środki ostrożności. W szczególności słychać o dokonywanych aresztowaniach i rewizjach lub o usuwaniu na prowincję zbyt gorących „voldemarasowców” z kół wojskowych. Między innymi, słychać o rewizji szczegółowej, dokonanej u artystki dramatycznej Teatru Państwowego Kurmytė, która uchodzi za kochankę Voldemarasa. O samym Voldemarasie na razie jakoś mało słychać. Siedzi on w swym pięknym mieszkaniu ministerialnym w gmachu Banku Litewskiego i prawie się z niego nie wychyla. Od czasu wywiadu w „Lietuvos Žinios” nie odzywa się, choć już „Lietuvos Aidas” występował przeciwko niemu.
Co do zdrowia (wrzodu na stopie lewej), to czuję się już dziś lepiej. W ogóle zdrowie mi tu w Kownie na jesieni lepiej dopisuje, niż tego roku latem. Nie wspominałem o tym latem w dzienniku, ale byłem zaniepokojony poważnie o stan zdrowia mego. Doświadczałem brzęknięcia nóg dochodzącego wyżej kostek, trudności chodzenia, jak żebym brzemię ciężkie dźwigał, a nade wszystko, co mię niepokoiło szczególnie, niesłychanej senności, jakiej nigdy w życiu nie miałem. Czy to pisząc, czy czytając, czy rozmawiając – zasypiałem. Senność ta czyniła mię nieraz na wpół przytomnym. Obecnie senności tej już nie doświadczam. Pamiętam straszną senność Mamy w ostatnich czasach przed jej śmiercią; nie było to u mnie w tym stopniu, ale się miało ku temu.

8 października, rok 1929, wtorek
Widziałem dziś Voldemarasa. Spotkałem go wychodząc z Rady Stanu, w przedpokoju Gabinetu Ministrów, którego lokal mieści się na parterze tego samego pałacyku przy ul.

---
[17] *Tu l'as voulu, George Dandin!* (fr.) – Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało.

Donelaitisa, którego piętro zajmuje Rada Stanu. Voldemaras wychodził właśnie z gabinetu prezesa ministrów, odprowadzany za drzwi przez swego następcę – premiera Tubelisa. Zobaczywszy mię, Voldemaras postąpił dwa kroki ku mnie i nie patrząc wcale na mnie, w milczeniu wyciągnął mi rękę. Uścisnąłem jego rękę, podałem rękę Tubelisowi, zachowując również milczenie, wziąłem z wieszadła mój kapelusz i wyszedłem. Za mną wyszedł zaraz Voldemaras. Ponieważ szedłem wzdłuż Muzeum Wojennego, w kierunku mieszkania Voldemarasa (Banku Litewskiego), więc słyszałem jego kroki za sobą, ale jakby kroki dwóch ludzi. Nie chcąc okazywać ciekawości, mogącej być przykrą dla zdegradowanego ex-dyktatora, nie odwracałem się, jeno zwolniłem kroku. Niebawem też Voldemaras mię minął, nic nie mówiąc i nie odwracając się do mnie. Szedł w palcie niedbale rozpiętym, paląc papierosa. Towarzyszył mu jakiś gimnazista starszy czy student (po czapeczce nie poznałem), idący obok niego, ale cokolwiek – o pół kroku – pozostający w tyle. Towarzyszył mu zapewne dla jego bezpieczeństwa osobistego zamiast adiutantów, którzy mu dawniej towarzyszyli. Ale czy to był asystent ochotnik z ramienia jego zwolenników, przezeń samego dobrany, czy też dodany mu do asysty urzędowo i mający w takim razie zapewne zadanie podwójne – ochronę jego bezpieczeństwa osobistego i zarazem szpiegowanie go ścisłe, jak o tym powiadają, nie wiem. Doszli obaj do drzwi mieszkania Voldemarasa w Banku Litewskim i tam Voldemaras u drzwi stanął, a towarzysz jego prędko zadzwonił. Więcej nie widziałem.
Od kilku dni toczy się w sądzie okręgowym przy drzwiach zamkniętych sensacyjny proces przeciwko prałatowi Olszewskiemu, oskarżonemu o zamordowanie w Birsztanach swej byłej kochanki Ustianowskiej.

9 października, rok 1929, środa
Dzisiejsza – dziewiąta – rocznica zajęcia Wilna przez wojska polskie, działające pod pozornym płaszczykiem „buntu” Żeligowskiego, upłynęła zwykłym trybem. Domy były udekorowane chorągwiami narodowymi, do połowy spuszczonymi i przepasanymi krepą na znak żałoby. Na ulicach odbywała się zbiórka na akcję odzyskania Wilna. Zresztą wszystkie urzędy i instytucje państwowe funkcjonowały normalnie. O godz. piątej w ogródku Muzeum Wojennego odbyła się uroczystość publiczna żałoby narodowej, na której przemawiał Prezydent Rzeczypospolitej Smetona, prezes ministrów Tubelis i zapewne inni. Nie byłem na tej uroczystości i nie słyszałem tych mów, ale z pewnością musiały być w duchu szablonu, który się od lat dziewięciu powtarza. Wieczorem w różnych lokalach publicznych wygłoszone były odczyty na temat Wilna. Na uniwersytecie odczyt wygłosił prof. Žemaitis. Nie zaniechałem jednak dla tego wykładu na III semestrze. W Muzeum Wojennym nad wieżą-dzwonnicą wznosił się do góry utworzony z lampek elektrycznych, iluminowanych wieczorem, wielki płomienisty miecz – symbol wyzwania Polsce!
Zaczynam coraz bardziej dochodzić do przekonania, że Litwa popełnia wielki błąd historyczny, podnosząc do takich prawie niesłychanych w historii poziomów sprawę odzyskania Wilna. Nie przeczę, że w uporze tego żądania, w niezłomności tego postulatu wileńskiego i całej polityki litewskiej skierowanej do tego celu jest pewna imponująca wielkość, hart i tężyzna charakteru, tak właściwa naturze litewskiej i w gruncie piękna. Ale czy to rozumne i czy uzasadnione historycznie? Litwa tak się wytężyła do Wilna, jak gdyby miało to być nie państwo litewskie, jeno państwo wileńskie. Pozyskanie i wcielenie do Litwy Wilna wraz z terenem wschodnich kresów etnicznych litewskich, na których pograniczu Wilno się mieści, samo w sobie jest słuszne i nic ujemnego nie ma, ale robienie z Wilna jakiegoś fetyszu, jakiejś konieczności najwyższej, jakiejś istoty samej państwa litewskiego – jest niebezpieczne.

Wilno w swej postaci nie miasta szeregowego, lecz stolicy, ośrodka i samego jądra państwa – jest niebezpieczne. Wilno jako stolica wiąże Litwę od razu z Białorusią, bo Wilno stołeczne jest stołecznym nie dla samej Litwy etnograficznej, jeno dla ogromnego obszaru terenów litewsko-białoruskich W. X. Litewskiego. Tęsknota do Wilna stołecznego to odrodzenie idei wielkopaństwowej – wielkoxiążęcej litewskiej. Ale w tej formacji Litwa etniczna znów by się, jak niegdyś, rozlała na Białoruś, w którą wsiąkałaby jej energia, wyczerpująca się w tej olbrzymiej ekspansji sił, a ratująca się od zatonięcia w pierwiastku ruskim znów po pewnym czasie byłaby zmuszona paść w objęcia Polski, w której by się już bodaj tym razem strawiła do ostatniej kosteczki. Wolałbym, gdyby energia państwowa Litwy zwróciła się nie tyle na Wilno stołeczne, ile na kontakt federacyjny bałtycko-fińsko-skandynawski, odcinając się od ogonów słowiańskich, które są dla Litwy historycznie niebezpieczne.

10 października, rok 1929, czwartek
Obecny Gabinet Ministrów zabrał się bardzo gorliwie do projektów ustaw, które drzemały od dłuższego czasu bez ruchu i zdawały się już zupełnie zaniechane; to był los projektów, które nie pozyskały względów Voldemarasa; obecnie po jego upadku projekty te zaraz odżyły. W ich liczbie odżyły te projekty, które ubiegłej zimy były przez Radę Stanu opracowywane. W taki sposób ożył projekt ustawy o emigracji, projekt ustawy o kontroli nawozów sztucznych. Ten ostatni był dziś na porządku dziennym posiedzenia gabinetu, na które też i ja zostałem przez Šilinga skierowany, albowiem w swoim czasie należałem do odpowiedniej komisji w Radzie. Ustalonym od wiosny trybem delegacja Rady Stanu jest teraz wzywana na posiedzenia Gabinetu Ministrów, gdy są omawiane projekty ustaw już rozpoznane przez Radę Stanu albo dopiero mające być przekazane Radzie. Delegacja Rady składała się dziś z prezesa Šilinga i członków Papečkysa i mnie, albowiem my trzej braliśmy udział w opracowywaniu projektu ustawy o kontroli nawozów sztucznych. Na posiedzeniu pod przewodnictwem prezesa ministrów Tubelisa obecni byli ministrowie Musteikis, Šakenis, Aleksa, Żyliński i Variakojis i kontroler państwowy Matulaitis. Projekt ustawy kontroli nawozów sztucznych okazał się w nowym stadium. Minister rolnictwa Aleksa nie popierał już pierwotnego projektu swego, przeciwko któremu Rada Stanu opracowała kontrprojekt, lecz wystąpił z nowym projektem, stanowiącym rodzaj kompromisu między tym kontrprojektem Rady i pierwotnym projektem ministerialnym. Słyszeliśmy już od dawna, że minister Aleksa wyraża się bardzo krytycznie o kontrprojekcie Rady, który uważa za zwyczajne zepsucie projektu pierwotnego i zarzuca Radzie, że będąc z natury korporacją prawniczą dla doskonalenia redakcji projektów ustaw, uzurpuje sobie funkcje rzeczoznawców naprawiać *in meritu* ułożone przez specjalistów projekty. Od tego też dziś minister Aleksa zaczął krytykę kontrprojektu Rady, zarzucając jej nie tylko uzurpację nie należących do niej czynności, ale także operowanie przestarzałymi i szablonowymi pojęciami ekonomicznymi z ławy szkolnej obecnych członków Rady. Gdy jednak doszło do zestawienia nowego projektu ministerialnego z kontrprojektem Rady, to się okazało, że jest on oparty właśnie na tezach tego kontrprojektu z poszczególnymi poprawkami i uzupełnieniami, które przeważnie są albo zbyteczne, albo mają wartość bardzo wątpliwą. Zabieraliśmy głos my trzej – Šiling, ja i Papečkys, a z ministrów – tylko Aleksa i prezes Tubelis. Ostatecznie projekt został raz jeszcze zwrócony do Rady Stanu. Prezes ministrów Tubelis ma bardzo miły i miękki sposób przewodniczenia i dyskutowania, zupełnie różny od sposobu Voldemarasa. Nie czuć też tej atmosfery jakiegoś przygnębienia ministrów, jaka się wyczuwała za czasów Voldemarasa na posiedzeniach gabinetu.

11 października, rok 1929, piątek
Chcę zanotować w dzienniku jedną ciekawą rzecz, o której się dowiedziałem od prezesa Trybunału prof. Kriščiukaitisa i która bardzo dobitnie charakteryzuje metody rządów Voldemarasa, a zarazem uwydatnia wysokie i niespodziewane dla mnie zalety obecnego ministra sprawiedliwości Aleksandra Żylińskiego.
Wielekroć słyszałem od prezesa Kriščiukaitisa utyskiwania na to, że nigdy pod żadnym rządem nie uwydatniły się takie usiłowania wywierania presji na sąd, jak pod rządem Voldemarasa. Zwłaszcza w ostatnich czasach Kriščiukaitis żalił się na to. To usiłowanie presji i w ogóle interwencji rządu w czynności autonomiczne sądu wyrażały się, jak mi je opowiadał Kriščiukaitis, w rozmaitych pretensjach co do wyroków i decyzji sądowych Trybunału, co do interpretacji ustaw i umów międzynarodowych przez Trybunał itd. W Ministerium Sprawiedliwości nagromadziła się cała paczka pism, pisanych od imienia premiera Voldemarasa i adresowanych do ministra sprawiedliwości, wyrażających tego rodzaju pretensje, a stosowanych zwłaszcza do Trybunału. Minister Żyliński nie czynił z tego użytku formalnego i z wielkim taktem pisma te zachowywał, nie skierowując ich do Trybunału, jeno je prywatnie prezesowi Kriščiukaitisowi pokazywał, radził się z nim co do nich i w ogóle zasłaniał sąd od tego rodzaju wścibstwa i „krytyki". Ale oto fakt, o którym nic nie wiedziałem, bo dopóki był u steru rządu Voldemaras, Kriščiukaitis trzymał go w tajemnicy. Teraz Kriščiukaitis opowiada o tym otwarcie. Rzecz się miała tak. Tego roku latem podczas wakacji Kriščiukaitisa, które on spędzał w Birsztanach, w lipcu, otrzymał on razu pewnego telegraficzne wezwanie od ministra Żylińskiego, aby przyjechał do Kowna, ponieważ prezes ministrów życzy się z nim „poradzić". Takie samo wezwanie telegraficzne na ten sam termin otrzymał prokurator Trybunału Kalvaitis, który bawił w swoim majątku. Obaj przyjechali do Kowna i zgłosili się przede wszystkim do ministra Żylińskiego. Żyliński sam nie wiedział, o czym Voldemaras chce się z nimi radzić, bo mu tego nie był powiedział. W oznaczonym dniu i godzinie Kriščiukaitis i Kalvaitis w towarzystwie Żylińskiego jako ministra sprawiedliwości udali się do Voldemarasa. W gabinecie Voldemarasa na biurku leżały dwie rozpoznane sprawy trybunalskie, jedna karna i jedna cywilna. W sprawie karnej, w której jakiś X był oskarżony o „wymuszenie łapówki", wyrokiem Sądu Wojennego tenże X był skazany na 6 lat ciężkiego więzienia, Trybunał wszakże, do którego sprawa trafiła w trybie kasacji, skasował wyrok zaskarżony i samą sprawę umorzył, ponieważ stwierdził, że sam opis faktu w akcie oskarżenia nie zawiera żadnych cech przestępstwa i że wniosek oskarżenia, jak *deus ex machina*, nie ma żadnego związku z tym, co tenże akt w części opisowej stwierdza. Co do sprawy cywilnej – to nie znam jej treści. Ciąg dalszy jutro.

12 października, rok 1929, sobota
W dalszym ciągu relacja Kriščiukaitisa o presji Voldemarasa na sąd.
Gdy minister Żyliński z prezesem Trybunału Kriščiukaitisem i prokuratorem tegoż Kalvaitisem przyszli do Voldemarasa, ten wziął z biurka wpierw jedną ze spraw rozpoznanych przez Trybunał, następnie drugą i zaczął dowodzić, że Trybunał wyrokując w tych sprawach, popełnił pewne błędy prawne, rzekomo zgoła niedopuszczalne i gwałcące przepisy prawa. Już sam fakt urzędowego krytykowania prawomocnych wyroków sądowych (najwyższego sądu w państwie) przez szefa rządu, przez organ władzy politycznej w państwie, stanowi rzecz niepoprawną – nawet gdy się robi niepublicznie. Tym bardziej niedopuszczalna jest taka krytyka w obecności najwyższego przedstawiciela władzy sądowej – prezesa Sądu Najwyższego, a nawet więcej niż w obecności przygodnej, bo tu prezes sądu był specjalnie *ad hoc* wezwany dla wysłuchania tej krytyki. Wyrok sądowy jest aktem ostatecznym władzy

państwowej, aktem mocy ustawowej w stosunku do rozpoznanej sprawy. W rzeczywistości może on być błędnym, może się opierać na błędzie nie tylko faktycznym, ale także prawnym – na wadliwej interpretacji ustawy; ale urzędowo, formalnie – on „*pro veritate habetur*". Jeżeli osoby prywatne muszą mu się poddać, to tym bardziej muszą go uszanować wszystkie organy władzy państwowej, dla których jest on kategorycznym nakazem państwa, wcieleniem „woli państwowej" Ale Voldemaras posunął się jeszcze dalej. Jego „krytyka" wyroków trybunalskich *in merito* miała wszelkie cechy upomnienia służbowego czy nagany, udzielonej przez zwierzchnika podwładnym. Jeżeli w stosunku do prokuratora, który jest służbowo zależny i odpowiedzialny – zresztą nie za wyroki sądowe, które nie są jego aktami, jeno za czynności własne i podwładnych mu organów prokuratury – takie traktowanie go służbowe jest w ogóle możliwe, choć z zastrzeżeniami, że to czynić może tylko minister sprawiedliwości, a nie premier i zresztą stanowisko najwyższego prokuratora w sądzie najwyższym nakazuje traktowanie go z odpowiednim taktem i względami, boć to nie pionek szeregowy w hierarchii służbowej, to już w stosunku do prezesa sądu i treści wyroku, a nie jakiegoś aktu administracji sądowej jest to więcej, niż niedopuszczalne – jest wprost skandaliczne, nie dające się zgoła pomyśleć w państwach praworządnych cywilizacji europejskiej współczesnej. Nielojalność i niedopuszczalność takiego traktowania sądu zaakcentowuje się jeszcze bardziej przez to, że Voldemaras zrobił to z pominięciem ministra sprawiedliwości, którego o tym nie uprzedził i któremu mówił jeno o „poradzeniu" się z prezesem i prokuratorem Trybunału. Merytorycznie „krytyka" tych dwóch wyroków trybunalskich przez Voldemarasa, który pozwolił sobie istotnie zagrać w dyktatora, była słaba i właśnie błędna; w tym wypadku nie krytykowane przezeń wyroki trybunalskie, ale właśnie ta jego krytyka wyroków była oparta na wadliwej interpretacji ustaw. To jednak jest mniejsza, bo krytyka ta nie zyskałaby nic na poprawności, gdyby nawet merytorycznie była bardziej od wyroków uzasadniona. Kriščiukaitis i Kalvaitis w odpowiedzi na „krytykę" Voldemarasa wykazywali zupełną zasadność prawną obu wyroków, argumentując odpowiednio. Na to Voldemaras, akcentując charakter upomnienia czy nagany w swej elukubracji, pozwolił sobie wyrazić się w stosunku do sędziwego prezesa Trybunału, najwyższego dostojnika państwowej władzy sądowej, w te słowa: „Panowie, nie umiecie czytać ustaw!" („*Ponai, jūs nemokate skaityti įstatymų!*"), po czym wziął ze stołu kodeks karny z komentarzami Tagancewa i zaczął z książki czytać pewien ustęp tych komentarzy, mający rzekomo poprzeć jego tezę przeciwko tezom jednego z krytykowanych wyroków, choć podobno wcale nieodpowiedni. Ciąg dalszy jutro.

13 października, rok 1929, niedziela
Skandaliczny proces prałata Konstantego Olszewskiego, oskarżonego o zamordowanie w roku zeszłym w Birsztanach swojej wieloletniej kochanki p. Ustianowskiej – najsensacyjniejszy ze wszystkich procesów, jakie Litwa dotąd widziała – dobiegł wreszcie końca. Sąd okręgowy pod przewodnictwem prezesa Grigaitisa uznał prałata Olszewskiego winnym morderstwa i skazał go na 5 ½ lat ciężkiego więzienia. Karta dramatu zamknięta. Proces ten toczył się od d. 1 października. Jedyna to sprawa, w której cały przebieg rozpraw był stenografowany. Ludzie, którzy byli na procesie, są chyba syci wrażeń. Podobno znakomita była mowa prokuratora Byly. Główny obrońca Olszewskiego – adwokat Tumėnas, święcie i naiwnie przekonany o zupełnej niewinności Olszewskiego, miał mowę, która zajęła cały dzień. Cały też dzień – od rana do godz. 9 wieczorem wczoraj – przemawiał sam Olszewski.
Wieczorem byłem zaproszony dziś przez studentów na kolację pożegnalną do Dominika Kriwickiego, który jako stypendysta Wydziału Prawniczego wyjeżdża w tych

dniach do Francji dla pogłębienia swych studiów, by się przygotować do zawodu profesorskiego. Na kolacji, która się odbyła w gabinecie „Trijų Kunigaikščių” w Klubie Litewskim, wygłosiłem mowę, w której podnosiłem zalety Kriwickiego.

14 października, rok 1929, poniedziałek
Ze wstydem muszę wyznać, że się szpetnie upiłem wczoraj na kolacji pożegnalnej dla Dominika Kriwickiego. Upoili mię studenci – niecnoty, szczególnie student Dulewicz, który jakby się uwziął na mnie. Dawno nie pamiętam, abym się tak upił mocno. Nic nie pamiętam, jak wróciłem do domu (podobno automobilem – widocznie mię któryś ze studentów odprowadził) i co w domu robiłem (podobno hałasowałem bardzo, nie zasypiałem sam i spać nikomu nie dawałem). Rano, gdym wstawał, byłem jeszcze jak zaczadzony. Poszedłem jednak do uniwersytetu, odbyłem wykład na I semestrze, potem brałem udział w posiedzeniu komisji Rady Stanu, która w osobach Starkusa, Papečkysa i mnie zajmowała się projektem ustawy o stadnikach. Na ogół ten incydent wczorajszy nie zaszkodził mi na zdrowie, ale za to spać dziś wieczorem wcześnie poszedłem.
Będę kontynuować o lipcowym konflikcie czy nie wiem, jak go nazwać – między Voldemarasem a prezesem Trybunału Kriščiukaitisem i prokuratorem Kalvaitisem. Voldemaras więc, krytykując dwa wyroki trybunalskie i nadając tej krytyce cechy upomnienia czy nagany, wdawał się jednocześnie w nauczanie prezesa Trybunału – przedstawiciela najwyższego władzy sądowej w państwie, jak należy interpretować ustawę. Niesłychane! Nie dość na tym. Gdy mu Kriščiukaitis zwrócił uwagę, że zresztą wyrok jest wyrokiem sądowym, który jest powszechnie obowiązujący, nawet gdyby był błędny i oparty na wadliwej interpretacji ustawy (błędy sądowe zdarzać się mogą i oczywiście zdarzają się wszędzie, ale mocy prawomocnego wyroku, który jest równy ustawie *in concreto* w stosunku do danej sprawy zasądzonej i nie może być nawet przez tenże sąd ani przez żadne inne władze uchylony, chociaż tenże sąd w innej analogicznej sprawie może interpretację poprzednią radykalnie zmienić, co też nieraz robi), to Voldemaras powiedział: „My tego wyroku nie będziemy wykonywali”, a potem, znów wyraził się: „Nie ma rady – w takim razie trzeba będzie Trybunał „раскассировать”. Słowem – cała ta „pogadanka” premiera z prezesem Sądu Najwyższego była jednym wielkim skandalem. Wreszcie Voldemaras spojrzał na zegarek, oświadczył, że dzisiaj nie ma czasu rozmawiać, bo musi się gdzieś śpieszyć, wstał, podał rękę ministrowi Żylińskiemu, prezesowi Kriščiukaitisowi i prokuratorowi Kalvaitisowi i żegnając się z dwoma ostatnimi „*en passant*” zaznaczył, że się mają w ciągu tygodnia podać do dymisji. Tego rodzaju oświadczenie, niedopuszczalne samo przez się wobec wysokiego sędziego, jakim jest Kriščiukaitis, było w tym wypadku tym skandaliczniejsze, że przyczyną tego rozkazu dymisji było nie jakieś wykroczenie służbowe, jeno treść wyroku sądowego, a więc czynność należąca *par excellence* do autonomii sędziowskiej. Gdy Kriščiukaitis z Kalvaitisem wyszli wraz z ministrem sprawiedliwości Żylińskim od premiera Voldemarasa, minister Żyliński, który jako prawnik i sam były sędzia był zgorszony tą sceną i poza tym podrażniony tym, że Voldemaras go podszedł i pod pozorem narady urządził bez wiedzy ministra sprawiedliwości taką scenę i pozwolił sobie z pominięciem ministra sprawiedliwości żądać od prezesa Trybunału i od prokuratora dymisji, wyraził Kriščiukaitisowi i Kalvaitisowi swoją zupełną z nimi solidarność i oburzenie na Voldemarasa, z którym on się w tym względzie nie solidaryzuje i prosił ich, aby żadnych zgoła wniosków ze słów Voldemarasa nie czynili i do dymisji wcale się nie podawali.
Ciąg dalszy jutro.

15 października, rok 1929, wtorek

Marynia Römerowa mi pisze, że otrzymała list od swej córki Ewy Meyerowej, w którym Ewa donosi o przyjściu na świat jej córeczki. Ewenement to w rodzinie Maryni i w szczególności u Meyerów wielkiej doniosłości, bo Ewa dotąd dzieci nie miała, choć od lat pono ośmiu czy dziewięciu jest zamężna. Były nawet gawędy, że Konstanty Meyer (mąż Ewy) dzieci mieć nie może. Zdawało się, że Ewa się pogodziła z brakiem potomstwa, ale oto po ożenku brata – Stefana Römera – i po urodzeniu się jego córeczki Steni, która się bezpośrednio u babuni swej hoduje i jej serce, oczywiście, pozyskuje, Ewa, jakby tknięta zazdrością, zaczęła się też do matkowania gotować: już przed paru laty raptem gruchnęła od Ewy wieść, że zaszła w ciążę; pociągnęła się na ten temat korespondencja między Ewą a Marynią, Marynia zaczęła już coś szyć i gotować dla przyszłego wnuka czy wnuczki po Ewie, gdy wtem... przyszedł od Ewy list, że poroniła; wszystko to jakoś było zapowiadane tak tajemniczo i półgębkiem, że gdyśmy się dowiedzieli o tym poronieniu, to gotowiśmy byli posądzać, że wszystko było jakąś... kaczką. Teraz przed kilku miesiącami znów jakoś półgębkiem zaczęło się napomykać o ciąży Ewy, ale znowu listy w tej materii były takie jakieś niewyraźne, że – przynajmniej ja – nie wiedziałem, co o tym sądzić. Aż oto przyszła wiadomość o urodzinach. I gotów jestem znowu posądzać..., ale już nie – nie będę posądzać, a przynajmniej o domysłach pisać nie chcę. Niech sobie ma córeczkę i daj Boże im obydwu zdrowia.
Znowu w dalszym ciągu o Kriščiukaitisie i Kalvaitisie. Wobec słów ministra sprawiedliwości Kriščiukaitis i Kalvaitis, nie zważając na żądanie kategoryczne w formie rozkazu potężnego Voldemarasa, przywłaszczającego sobie roszczenia dyktatorskie, do dymisji się nie podali. Minister sprawiedliwości Żyliński o tej rozmowie Voldemarasa z Kriščiukaitisem i Kalvaitisem i o zażądaniu ich dymisji przez Voldemarasa opowiedział Prezydentowi Smetonie, który podzielił całkowicie stanowisko ministra Żylińskiego, zaznaczył wyraźnie, że sąd powinien być zupełnie wolny od interwencji władz politycznych i wyroki sądowe powinny mieć moc niewzruszoną w państwie, co zaś do żądania dymisji, to oświadczył, że gdyby nawet prezes Kriščiukaitis i prokurator Kalvaitis zgłosili w tych warunkach dymisję, to on jej nie przyjmie. Voldemaras oczywiście musiał być wściekły na ministra Żylińskiego, że swoim autorytetem ten opór pokrywa i że śmie mu się przeciwstawiać. Zapewne w związku z tą sprawą miał miejsce incydent we wrześniu, jeszcze przed ustąpieniem Voldemarasa, który się stał bardzo głośny: Voldemaras, rozgniewany na ministra Żylińskiego, odezwał się do niego: „Podaj się pan do dymisji!", na co mu Żyliński z właściwym mu uśmiechem spokojnie odpowiedział: „Dobrze, ale razem z panem".

16 października, rok 1929, środa
I w ogóle Kriščiukaitis powiada, że minister sprawiedliwości Aleksander Żyliński stale osłaniał sądy od interwencji i presji, które chciał i usiłował na nie wywierać premier Voldemaras. Voldemaras wprost zasypywał Ministerium (ministra) Sprawiedliwości skargami na sądy, zwłaszcza na Trybunał i rozmaitymi pretensjami i zarzutami w stosunku do tych lub innych wyroków i decyzji, wskazując to na mylną rzekomo interpretację ustawy, to na rzekomą niedopuszczalność jakiejś interpretacji, to na jakąś inną rzekomą wadliwość. Żyliński prywatnie pokazywał te pisma prezesowi Trybunału Kriščiukaitisowi i radził się z nim co do nich, ale urzędowo nie kierował ich nigdy do sądów i żadnych z nich wniosków urzędowo w stosunku do sądów nie wyciągał. Wszystkie te żale, pretensje, krytyki i skargi grzęzły w tece ministra i z niej do sądów nie dochodziły. Był on jak poduszka czy sprężyna buforowa, która przyjmuje z jednej strony nacisk, ale go nie przekazuje (nie transmituje) z siebie w kierunku strony odwrotnej, jeno będąc naciśnięta rozpręża się wnet znowu w kierunku, skąd ją presja nacisnęła. Stanowił on mocną ścianę, odgradzającą sąd od wszelkiej presji zewnętrznej i

strzegącą jego autorytetu. Pod jego osłoną sądy i sędziowie mogli się czuć bezpieczni i niezależni, pomimo że ataki na niezależność funkcji sędziowskiej były pod rządami Voldemarasa szczególnie gwałtowne. To mu się tym bardziej chwali. Żaden inny minister sprawiedliwości – a zwłaszcza za rządów chrześcijańsko-demokratycznych Karoblis i Tumėnas – nie strzegł tak kategorycznie i konsekwentnie niezawisłości sędziowskiej, jak za czasów Voldemarasa Żyliński. To się należy złotymi zgłoskami w karierze ministerialnej Żylińskiego wypisać. U nas to jest cenniejsze, niż gdzie indziej, bo u nas nie ma formalnej niezawisłości sędziowskiej.
Podobno w tych dniach na jakimś balu prezes ministrów Tubelis, który reprezentował na nim rząd obok Prezydenta Smetony, zemdlał. Stąd widać, jak słabe jest jeszcze Tubelisa zdrowie. Trudno wróżyć trwałość rządowi, na którego czele stoi człowiek tak schorowany. Tubelisowi należy się sanatorium, a nie fotel ministra.

17 października, rok 1929, czwartek
Herbaczewskiego spotkał wypadek. Wczoraj czy dziś rano w profesorium I gmachu uniwersyteckiego spotkał się on i rozgadał z prof. Janulaitisem. Herbaczewski w ogóle teraz prawie że nie jest w stanie mówić o czym innym, jak o Voldemarasie, którego nienawidzi ze wszystkich sił, podczas gdy Janulaitis jest właśnie sympatykiem Voldemarasa. Toteż na ten temat rozpoczęła się między nimi dyskusja. Herbaczewski zawsze, a w gorącej dyskusji tym bardziej, szalenie gestykuluje. Ręce jego są rozlatane, ale gdy dyskusja toczy się stojąc, to w gestykulacji u Herbaczewskiego biorą udział nie tylko ręce, ale i nogi i w ogóle cały korpus. Toteż – rzucając się w tej dyskusji – stuknął się on kłębem o róg twardy dużego stołu i stuknął się tak mocno, że upadł i zemdlał. Janulaitis wezwał przez telefon lekarza, potem drugiego. Lekarze ocucili Herbaczewskiego, który wszakże nie mógł stać; przewieziono go do szpitala miejskiego, gdzie też leży obecnie. Dziś rano sfotografowano go promieniami Roentgena i stwierdzono złamanie kości w nodze (w kłębie). Herbaczewskiemu będzie zagipsowana noga na całe półtora miesiąca.
Powiadają żartem, że to „duch Voldemarasa” „zemścił się” na Herbaczewskim. We wrześniu, gdy Voldemaras był wszechpotężnym premierem, Herbaczewski go przeklął. Spisał on akt tego przekleństwa i przez swoją żonę przesłał Voldemarasowi. W tydzień po tym przekleństwie Voldemaras upadł. Obecnie przez dyskusję o Voldemarasie Herbaczewski złamał sobie nogę.

18 października, rok 1929, piątek
Obecnie w Radzie Stanu mamy już pracy coraz więcej, aczkolwiek nadmiaru nie ma wcale. Przez cały wrzesień nie było pracy niemal żadnej i poza pierwszym posiedzeniu plenarnym więcej posiedzeń plenarnych nie było. Uruchomione były tylko komisje dla kontynuowania prac przedwakacyjnych. Cała praca skoncentrowała się w komisji rejestru handlowego i komisji prawa karnego, ja wszakże ani do jednej, ani do drugiej nie należę. Komisja, do której należę – komisja reformy sądownictwa – pracy zbiorowej nie rozpoczęła; jej członkowie dopiero gromadzą i studiują materiał. Teraz wszakże potoczyła się praca bieżąca. Napływać zaczęły z Gabinetu Ministrów projekty ustaw bieżące, przeważnie pochodzące z ramienia Ministerium Rolnictwa, które pod rządami stanowczymi Aleksy weszło na tory pracy intensywnej w kierunku intensyfikacji i racjonalizacji rolnictwa. W tej chwili w toku jest projekt ustawy o melioracjach rolnych. Dziś komisja Rady w osobach Starkusa, Papečkysa i mnie rozpoczęła pracę nad tym projektem, studiując go krytycznie w obecności kierownika zarządu reformy agrarnej Danilewskiego, informującego nas o stanowisku projektodawcy.

Co dzień tuż po obiedzie pracuję po parę godzin ze studentami nad sprawdzaniem tłumaczeń konstytucji i książki Esmaina.

19 października, rok 1929, sobota
Miałem dzień pracowity. W tym roku egzaminy wyznaczam na soboty. Otóż dziś miałem aż siedmiu egzaminujących się, w tej liczbie dwóch podsekretarzy Trybunału – moich dobrych znajomych – Antoniego Rymkiewicza i Piotra Strawińskiego, którzy obaj zdali celująco, następnie dwóch Żydów z Szawel – także dobrze mi znanych dobrych uczni moich – Samuela Pietuchowskiego i Ziwelczyńskiego, którzy też zdali celująco, następnie pannę Marię-Paulinę Wyszyńską, córkę nieodżałowanego Pawła Wyszyńskiego, zmarłego w roku 1906 w Wilnie z suchot wnet po urodzeniu się tej córki, jednego z najbardziej krystalicznych ludzi na lewicy ruchu litewskiego ówczesnej epoki, i dwóch mniej mi znanych studentów. Dwaj ostatni i Wyszyńska zdali nieco słabiej.
Egzaminy dzisiejsze musiałem rozłożyć na dwie części: trzech wyegzaminowałem rano i czterech – po obiedzie. Miałem bowiem posiedzenie komisji Rady Stanu z udziałem Danilewskiego w sprawie projektu ustawy o melioracjach rolnych i musiałem być na uniwersytecie dla zebrania pewnych informacji rzeczowych o uniwersytecie dla artykułu, który chcę napisać do „Przeglądu Wileńskiego".

20 października, rok 1929, niedziela
Dzień spędziłem dość pracowicie, choć to niedziela. Przed obiadem byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego, po obiedzie chodziłem z Jadzią do cukierni Perkowskiego na czekoladę. W domu ze studentami Daugutisem i Andrzejewskim sprawdzałem tłumaczenie konstytucji norweskiej, którą przygotowujemy do druku, skądinąd zaś byłem zajęty moją pracą bieżącą.

21 października, rok 1929, poniedziałek
Wczoraj, już po moim wyjściu z posiedzenia Rady Wydziału Prawniczego (wyszedłem przed końcem posiedzenia), zaszedł na tym posiedzeniu fakt, o którym mi dziś koledzy opowiedzieli i który miał efekt wybuchu bomby. Oto Janulaitis postawił formalnie kandydaturę Voldemarasa na obsadzenie częściowe katedry prawa rzymskiego, która u nas od czasu ustąpienia Balogha wakuje i którą prowizorycznie zajmuje Jaszczenko. Janulaitis w ogóle jest sympatykiem Voldemarasa, a w tym wypadku w szczególności chodzi mu o wyparcie Jaszczenki, którego osobiście nie lubi, a jeszcze bardziej nie znosi jako „intruza rosyjskiego", który wraz z niektórymi innymi profesorami kultury rosyjskiej (na naszym wydziale – Stankiewicz, Bielackin, poniekąd Mačys) rusyfikuje uniwersytet i zatruwa atmosferę kulturalną Litwy czadem starego ducha rosyjskiego. Zresztą Janulaitis zaproponował Voldemarasa tylko do wykładów publicznego prawa rzymskiego – po dwie godziny tygodniowo. Osobiście jestem zupełnie przekonany, że Voldemaras poradziłby sobie z tymi wykładami. Choć nie jest on prawnikiem z zawodu, to jednak ma głęboki zmysł prawa, ma wielką erudycję i wielkie zdolności. Zresztą jest on historykiem i w szczególności ma głęboką wiedzę w zakresie starożytności klasycznej, której dzieje zna nie tylko pod względem faktów mechanicznych, ale także ich więzi społecznej, toteż historię prawa publicznego rzymskiego zdołałby z pewnością wykładać znakomicie. Ale sama osoba Voldemarasa jest w chwili obecnej dla ogromnej większości naszej profesury „*odieuse*"[18]. Znaczna część profesorów na naszym wydziale z dziekanem Leonasem na czele nie cierpi go serdecznie. Poza tym, skoro nawet Wydział Humanistyczny, do którego Voldemaras

---
[18] *Odieuse* (fr.) – nienawistna.

dawniej należał, waha się z przyjęciem go ponownym, albowiem dziś wykłady Voldemarasa mogłyby sprowokować ciężkie komplikacje i zajścia na uniwersytecie, to zaangażowanie go przez Wydział Prawniczy byłoby pewną demonstracją, której bynajmniej profesura wydziału naszego nie życzy. Toteż wniosek Janulaitisa upadł radykalnie, wywołując zdziwienie i niesmak ogólny. O kandydaturze Voldemarasa do Wydziału Humanistycznego napiszę może jutro.
Rozpocząłem dziś na I semestrze kolokwia.
Byłem przed obiadem u Herbaczewskiego w szpitalu miejskim. Czuje się nieźle, ale wygląda nieszczególnie – zwłaszcza jest blady bardzo. Zagipsowana noga (lewa) jest mocno odchylona w bok i wysuwa się poza łóżko, oparta na stołku. Wyleżeć tak w gipsie bez ruchu i nie zmieniając pozycji przez półtora miesiąca albo i dłużej – to rzecz nielekka.

22 października, rok 1929, wtorek
Jest przepis statutu uniwersyteckiego, który stanowi, że profesor lub docent, który w ciągu całego semestru bez usprawiedliwienia powodów nie ogłosi (nie zapowie) wykładów albo nie wykona żadnego wykładu, traci automatycznie stanowisko profesora czy docenta. Prezydent Antoni Smetona, który jest docentem na Wydziale Humanistycznym, zaraz po objęciu Prezydentury Rzeczypospolitej zwrócił się do swego wydziału o udzielenie mu urlopu na cały czas Prezydentury i przez to samo stanowisko docenta utrzymał legalnie, chociaż nie wykłada. Minister rolnictwa Aleksa, który jest docentem na Wydziale Prawniczym, nie zawiesił czynności docenta, chociaż ją wykonywa niezupełnie – zresztą zawsze w kontakcie z wydziałem. Inaczej się rzecz miała z Voldemarasem. Po objęciu po przewrocie grudniowym r. 1926 stanowiska prezesa ministrów ignorował on wydział zupełnie i zarazem nie spełniał żadnych obowiązków profesorskich, chociaż pensję pobierał regularnie. Wobec tego już przed paru laty – na skutek nieusprawiedliwienia przed Wydziałem Humanistycznym swojej bezczynności – stracił on formalnie stanowisko profesora na uniwersytecie, o czym go w swoim czasie dziekan wydziału prof. Krėvė-Mickiewicz urzędowo powiadomił. Otóż teraz, po utracie władzy, prof. Voldemaras zgłosił do wydziału podanie o przyjęcie go powrotne w poczet członków wydziału, wskazując zarazem, że w swoim czasie był „zapomniał" prosić wydział o udzielenie mu urlopu (notabene – o braniu pensji uniwersyteckiej w swoim czasie nie był „zapomniał"). Otóż rzecz jest taka: rządy Voldemarasa, bez względu na to, czy były ze stanowiska państwowego dodatnie czy ujemne, bądź co bądź były krwawe, zwłaszcza w czasach ostatnich, kiedy terror rządowy został spotęgowany przez drakońską ustawę o sądach polowych i karze śmierci za wszystkie przestępstwa, związane w ten lub inny sposób z ruchem tzw. „pleczkaitisowym". W szczególności ten terror, którego inicjatywa i zaakcentowanie przypisywane są prof. Voldemarasowi, zaciążył mocno na młodzieży akademickiej kierunków lewicowych. Łatwo się więc domyślić, że pod świeżym wrażeniem tej roli Voldemarasa jego ukazanie się w audytorium uniwersytetu w charakterze wykładowcy wywołać może protesty i rozmaite ekscesy ze strony studentów. Zresztą profesura Wydziału Humanistycznego nie tylko się domyśla tego, ale ma podobno dokładne wiadomości o tym, że takie ekscesy istotnie się gotują na wypadek ukazania się prof. Voldemarasa na katedrze. Gdy dziekan prof. Krėvė-Mickiewicz uprzedził o tym Voldemarasa po zgłoszeniu przezeń kandydatury do wydziału, Voldemaras miał mu na to odpowiedzieć: „To i cóż z tego: ja mam także wśród młodzieży moich zwolenników i w dodatku zorganizowanych!". I kandydatury nie cofnął ani też nie zgodził się zaczekać, zanim namiętności się ukoją. Ale w takich warunkach cała rzecz zakrawa na

świadome prowokowanie awantur na uniwersytecie. Wydział Humanistyczny jeszcze decyzji w sprawie zgłoszonej kandydatury prof. Voldemarasa nie powziął.

23 października, rok 1929, środa
Ciekawe, jak Wydział Humanistyczny rozstrzygnie kwestię kandydatury prof. Voldemarasa. Powiadają, że zaakceptowanie tej kandydatury jest bardzo wątpliwe, bo, jak obliczają, większość członków wydziału skłonna jest głosować za odrzuceniem. Oczywiście, rozpoczęcie przez Voldemarasa wykładów zaraz grozi ekscesami ze strony studentów, szkodliwymi dla uniwersytetu. Skądinąd wszakże, zważywszy na niewątpliwe kwalifikacje prof. Voldemarasa jako erudyty i wykładowcy, odrzucenie jego kandydatury miałoby cechy bądź prywaty, bądź zemsty, bądź polityki, co wszystko nie licuje z powagą akademicką. Byłoby najwłaściwiej, żeby kandydatura prof. Voldemarasa została przyjęta, ale żeby rozpoczęcie jego wykładów zostało na czas pewien odroczone. Ale Voldemaras na odroczenie zapewne się nie zgodzi. Wzgląd na możliwość awantur go nie zatrzyma. Raczej przeciwnie: raczej może on pragnąć, aby się dokoła jego osoby wywiązało coś głośniejszego.

24 października, rok 1929, czwartek
Miałem wykład bieżący i drugie z kolei colloquium na I semestrze. Obydwa udały się bardzo dobrze. Dotąd zarejestrowało się u mnie 204 słuchaczy I semestru. Nie jest to jeszcze wszystko, ale już zapewne większość znaczna. Sądzę więc, że liczba ogólna nie przekroczy 300, a może i tego nie będzie, podczas gdy w roku ubiegłym miałem na I semestrze czterystu kilkudziesięciu
Przed paru tygodniami ukończyłem pracę nad obszernym artykułem o reformie konstytucyjnej litewskiej w roku 1928, który przeznaczam dla miesięcznika niemieckiego „Zeitsehrift für Ostrecht", wydawanego we Wrocławiu przez Instytut „Ost-Europa" przy Uniwersytecie Wrocławskim. Jeden z redaktorów tego wydawnictwa – p. Bochmann, były adwokat w Rydze przed wojną, bawiąc w roku zeszłym w Kownie, zwracał się do mnie z prośbą o współracownictwo. Artykuł ten, stosownie do umowy z p. Bochmannem, napisałem po rosyjsku: będzie on na miejscu we Wrocławiu przetłumaczony na niemiecki. Artykuł ten powtarza mniej więcej to, com w roku zeszłym pisał w mojej broszurze litewskiej pod tym samym tytułem, wydanej przez redakcję „Teisė". Trochę jeno pogłębiam teraz analizę i precyzuję wnioski. Artykuł ten przepisała mi na maszynie p. Oškinaitė, maszynistka i stenografistka Rady Stanu.

25 października, rok 1929, piątek
Odwiedził mię dziś Eugeniusz Römer z gościem z Polski –Marianem Świechowskim, którego zawsze widuję bardzo mile. Jest to jeden z najrzetelniejszych „krajowców" starej Litwy historycznej, polonofil z pewnością, bo należący do kultury polskiej, ale wielki i szczery rzecznik państwowości wielkolitewskiej. Należy on w Polsce do Instytutu Spraw Narodowościowych, założonego w Warszawie pod dyrekcją Stanisława Thugutta i bierze czynny udział w organie tegoż Instytutu, wydawanym pod nazwą „Sprawy Narodowościowe" Poza tym, Marian Świechowski, który sam pochodzi ze Żmudzi (z pow. rosieńskiego, gdzie jego brat ma mająteczek), słynie z tego, że broni spraw litewskich w Wileńszczyźnie wobec władz polskich i interweniuje zaraz, gdy się jakaś krzywda Litwinom dzieje. Zabawili oni u mnie parę godzin na przyjemnej gawędce.
Nie piszę dziś więcej, aczkolwiek chciałbym napisać to, co się dowiedziałem o usunięciu (jeszcze za rządów Voldemarasa) Mieczysława Reikały (mojego byłego

ucznia na uniwersytecie, obecnie już prawnika dyplomowanego) ze stanowiska naczelnika ciężkiego więzienia w Kownie. Jest to sprawa bardzo charakterystyczna, która rzuca światło właściwe na pewne metody rządzenia trybu Voldemarasowego. W tych dniach postaram się to omówić w dzienniku.

26 października, rok 1929, sobota
Rzecz była z Reikałą taka. Reikała był naczelnikiem ciężkiego więzienia. Razu pewnego na wiosnę – po zamachu na Voldemarasa – gdy ujęty został student Vosylius jako domniemany uczestnik tego zamachu i gdy dopiero miano go oddać pod sąd polowy, Reikałę wezwał do siebie Brazulewicz, komendant miasta, który zwyczajnie był wyznaczany przewodniczącym sądu polowego. Gdy się Reikała do niego stawił, Brazulewicz uczynił mu propozycję następującą: „Wszystkie szczegóły spisku i zamachu – powiedział Brazulewicz – nam są dokładnie wiadome, ale nie mamy świadków, którzy by na sądzie polowym nam je potwierdzili. Proponuję więc panu zeznać na sądzie w charakterze świadka, że szczegóły, które panu wskażemy, były panu przez Vosyliusa w rozmowie opowiedziane". Reikała odmówił, wskazując, że tego uczynić nie może. Brazulewicz mu zagroził, że w takim razie straci posadę. Reikała nie uległ. Już to jedno charakteryzuje metody, którymi operuje oskarżenie w sprawach politycznych, przekazywanych sądowi polowemu. Nie są one lepsze od metod słynnej „Czeki", czyli „czrezwyczajki" rosyjskiej. Ale rzecz mogła się skończyć jeszcze tragiczniej dla Reikały. Brazulewicz bowiem podał raport formalny do Voldemarasa, w którym kłamliwie zaznaczył, że Reikała był oświadczył, iż Vosylius w rozmowie opowiedział mu pewne szczegóły, dotyczące spisku i zamachu, ale że świadczyć na sądzie Reikała odmówił. Na raporcie tym Voldemaras napisał rezolucję: Oddać Reikałę pod sąd polowy jako wspólnika Vosyliusa. Co prawda, Reikale udało się przekonać kogo należy, że z Vosyliusem nigdy nie rozmawiał i że go nawet wcale nie zna, wskutek czego rezolucja Voldemarasa została cofnięta, ale miejsce naczelnika więzienia Reikała stracił. Biedak, będąc Bogu ducha winien, był o włos od kary śmierci, bo wspólnictwo z Vosyliusem to nie były przelewki.
Reikała, uzyskawszy w tym roku właśnie dyplom Wydziału Prawniczego, zgłosił się na kandydata do posad sądowych przy Sądzie Okręgowym w Kownie i zajmuje teraz to stanowisko, ale jest jeszcze kandydatem nadetatowym i nie pobiera żadnego wynagrodzenia. Czeka wakansu w kolejce, aż się miejsce kandydata etatowego otworzy, aby znów potem czekać wakansu na jakąś niższą posadę sądową.

27 października, rok 1929, niedziela
Między godz. czwartą a siódmą wieczorem w lokalu Izby Polskiej odbyło się posiedzenie zeszłorocznego Komitetu Wspierania Litwy Północnej, dotkniętej przez nieurodzaj roku 1928. W posiedzeniu wzięli udział: pani Prezydentowa Smetonowa jako protektorka i prezeska honorowa całej akcji, ja, skarbnik komitetu Toliušis, sekretarz Zygmunt Starkus, Lapėnas, redaktor Bružas, Apolinary Wienażyński, prezes Izby Rolniczej Tallat-Kiełpsz, prezes Izby Handlowo-Przemysłowej Dobkiewicz, prof. Žemaitis, burmistrz Kowna Jan Vileišis, p. Šklerysowa, poza tym bez głosu decydującego – dyrektor Departamentu Zdrowia, delegat Koła Pań, zajmującego się filantropią i w szczególności prowadzącego akcję żywienia dzieci w miejscowościach, które były ucierpiały od nieurodzaju, dwóch delegatów komitetu powiatowego w Birżach, dwóch przedstawicieli samorządu szawelskiego i paru dziennikarzy. Ponieważ pierwszy wiceprezes komitetu – ks. Mironas – był nieobecny, więc jako drugi wiceprezes przewodniczyłem z urzędu ja (prezes komitetu – Władysław Putwiński – umarł, prezeska zaś honorowa – p. Prezydentowa – nie przewodniczy nigdy).

Posiedzenie dzisiejsze miało być likwidacyjne, ale ostatecznie likwidacja została jeszcze odroczona. Sytuacja w komitecie jest obecnie następująca. Klęska nieurodzaju należy już do przeszłości, lato tegoroczne było w Litwie Północnej urodzajne. Akcja wspierania Litwy Północnej została wyczerpana, zadanie Komitetu Centralnego – skończone. Skończone są też zadania komitetów powiatowych, zarówno tych, które się zajmowały zbieraniem ofiar, jak tych, które, należąc do powiatów poszkodowanych, zajmowały się bezpośrednio udzielaniem pomocy i które obecnie likwidują swoją akcję. Wszakże, nie licząc pewnych pozostałości sum i zboża w komitetach północnych, w kasie Komitetu Centralnego utworzył się z ofiar, które jeszcze napływały przez lato i aż do jesieni, spory remanent gotówki w kwocie przeszło 300 000 litów. Najpoważniejszą więc kwestią jest obecnie rozporządzenie tym remanentem. Na wczorajszym posiedzeniu prezydium zapadła pod tym względem uchwała poprzeć na ogólnym zebraniu wniosek Departamentu Zdrowia o przeznaczeniu tych pieniędzy na założenie kurortu w majątku Likienach powiatu birżańskiego, gdzie istnieją obfite źródła i błoto mineralne, podług opinii całego szeregu lekarzy i znawców – nie ustępujące wodom i błotu łotewskiego Kemeri i francuskiego Contrexéville.

28 października, rok 1929, poniedziałek
Nic dzisiaj pisać nie będę, bo jestem zmęczony.

29 października, rok 1929, wtorek
Pozajutro wyjeżdżam na kilka dni do Bohdaniszek na sadzenie jesienne drzewek, sprowadzonych od ogrodników Szocha i Wagnera z Rygi. Korzystam ze Wszystkich Świętych. Jak zawsze przed wyjazdem, tyle się uzbiera pilnych na ostatnią chwilę zajęć, że czasu na wszystko brak. Brak mi więc go i na dziennik. Ale chcę choć w kilku słowach zakończyć o pozawczorajszym posiedzeniu likwidacyjnym Komitetu Wspierania Litwy Północnej. Akcja pomocy już się zakończyła, ale w kasie Komitetu pozostało 300 000 litów. Chodzi obecnie o to, jaki ma być uczyniony użytek z tych pieniędzy, gdy cel pierwotny, jako już osiągnięty, upadł. O zwrocie pieniędzy ofiarodawcom nie może być mowy, bo nawet niepodobna ustalić, z czyich datków ta suma się składa, a zresztą zwracanie i przeto niszczenie funduszu społecznego nie praktykuje się nigdzie. Prezydium Komitetu było uchwaliło poprzeć wniosek Departamentu Zdrowia o wyasygnowaniu tych pieniędzy na założenie letniska leczniczego w majątku Likienach pod Birżami na warunkach następujących: a. utworzenie odpowiedniego towarzystwa akcyjnego; b. suma 300 000, którą wyznacza Komitet, ma stanowić 1/3 część kapitału zakładowego, którego 2/3 mają być w pewnym terminie uzupełnione przez rząd, ewentualnie też Czerwony Krzyż lub inne instytucje i organizacje, które zechciałyby wziąć udział w towarzystwie akcyjnym; c. pieniądze Komitetu byłyby podzielone w równych częściach między trzy samorządy powiatowe tych powiatów, które w roku ubiegłym najwięcej ucierpiały od nieurodzaju – szawelskiego, birżańskiego i poniewieskiego, które stałyby się w odpowiedniej sumie udziału akcjonariuszami towarzystwa. Ale gdzie pachną pieniądze, tam się ludzie kręcą i usiłują urwać coś dla siebie. Toteż Szawle, Birże i filantropijne Koło Pań wystąpiły z szeregiem potrzeb, prosząc o zasiłki. Poza tym Starkus popiera projekt przeznaczenia tych pieniędzy na budowę sanatorium dla suchotników w Litwie Północnej. Wreszcie jest prąd, reprezentowany przez burmistrza Vileišisa i redaktora Bružasa, bądź zużytkowania tych pieniędzy na dalsze wspieranie detaliczne ludności ubogiej, bądź utworzenia z nich specjalnego kapitału do walki ze skutkami przyszłych klęsk żywiołowych. Ostatecznie rzecz nie została uchwalona. Decyzję odroczono, aby dać dojrzeć projektom i jeszcze raz się nad rozmaitymi wnioskami zastanowić.

30 października, rok 1929, środa
Miałem posiedzenie plenarne w Radzie Stanu, wieczorem zaś seminarium prawa konstytucyjnego na III semestrze. Co do tego seminarium, to dotąd kontynuowałem na nim wykłady, niedokończone w roku zeszłym, bo jeszcze prac seminaryjnych studenckich nie miałem. Obecnie zaczęły one już wpływać, toteż w przyszłą środę rozpoczniemy seminarium właściwe.
W Radzie Stanu robota się nieco wzmaga, ale zbyt forsowna nie jest. We wrześniu prawie że próżnowaliśmy w Radzie Stanu: posiedzeń plenarnych nie było wcale, praca się tylko w komisjach toczyła, ale tak się rzeczy były złożyły, że najczynniejsze były te komisje, w których ja udziału nie brałem. Obecnie posiedzenia plenarne odbywają się co tydzień – wtorkami (dziś wyjątkowo kontynuowaliśmy niedokończone posiedzenie wczorajsze). Ale rząd nas coraz obficiej zasypywać teraz zaczął projektami ustaw. W szczególności wkrótce rozpocznie pracę komisja organizacji sądownictwa, której jestem przewodniczącym; będzie to praca nie lada, ale dość ciekawa. O ile by się nam zresztą udało dobrze i możliwie szybko wykonać ten projekt i pozyskać jego opublikowanie przez Prezydenta, to bym się postarał przejść z Rady Stanu do kasacyjnego sądu najwyższego; to by mi lepiej trafiało do przekonania, niż cackanie się z projektami ustaw *de lege ferenda* w Radzie Stanu, czego nie lubię. Zgoła inaczej bym się czuł w Radzie Stanu, gdyby się była rozwinęła jej funkcja sądu administracyjnego, choćby nawet w formie zaczątkowej, jak to się daje z jej statutu wysnuć. Ale w tym kierunku rzeczy nie idą.

31 października, rok 1929, czwartek
Dziś wyjeżdżam z Jadzią na dni kilka do Bohdaniszek.

1 listopada, rok 1929, piątek
Przyjechaliśmy z Jadzią do Abel koło godz. 7 rano. Spotkał nas Piotr Skrebys parką moich koni, zaprzężonych w linijkę. Powietrze było zamglone, mżył drobniutki deszczyk, raczej – jakaś wilgoć padała. Typowy dzień późnej jesieni na wsi. W Abelach na stacji sprawdziłem, czy przyszły z Łotwy moje drzewka, które sprowadziłem z Rygi od Szocha i od Wagnera – i pojechaliśmy do Bohdaniszek. Droga okazała się nie tak zła, jak się sądząc z niepogody zapowiadać zdawała. Okazuje się, że jesień dotąd była ładna i sucha, toteż grunt drogi pod gościńcem jest twardy i do jazdy dobry. W Bohdaniszkach w domu moim i w gospodareczce zastaliśmy z Jadzią wszystko w dobrym porządku. Wszędzie znać staranną i umiejętną rękę Kazimierza, który od lata mieszkał w domu moim i doglądał ładu w mojej gospodareczce jako na poły sługa, na poły rezydent. Służba moja też dobra i staranna. Nie mówiąc o Piotrze Skrebysie, który w tym roku doskonale się spisuje i wzorowo gospodarstwo w moim zakresie prowadzi, mam teraz dobrą gospodynię w osobie Nasty, czystej, równej, która w roku ubiegłym u Maryni służyła. W domu wszystko czyste, uporządkowane, wzorowe; wszystkie piece wypalone, ciepło i sucho.
Prawie że nie wychodziłem przez dzień cały z domu. Obejrzałem tylko świnie, składy warzywa i chciałem iść do starego domu do sióstr, gdy jeden po drugim zaczęli się do mnie goście schodzić. Pierwsza przyszła Elwira z Michasiem, niebawem z Antonosza na piechotę przymaszerował Eugeniusz Falejew, potem Rosen z Gaczan przyjechał, potem przyszła Marynia Römerowa i Marysia Stefanowa Römerowa ze Stenią, wreszcie Stefan Römer. Zmieniając się lub wszyscy razem przesiedzieli oni u mnie ranek i czas obiadu i aż do zmroku niemal wśród ożywionej gawędki, w której szczególnie była mowa o Herbaczewskich.

Z Falejewem omówiłem sprawę mebli moich – w szczególności bufetu i stołu jadalnego, z Piotrem Rosenem – sprawę ozdobnego pieca kaflowego z Polepia, za który należność ma on za mnie do stycznia Kościałkowskim uiścić lub zaręczyć, poza tym omówiliśmy ich interesy, z którymi się oni do mnie odwoływali.
Długi wieczór listopadowy spędziłem trochę z Jadzią, trochę zaś – przy biurku.
Mój dom, świeżo oszalowany, słoneczno-różowo-żółty – bardzo ładnie się prezentuje.

2 listopada, rok 1929, sobota
Stefan Römer, pozostawszy na zimę w domu, zabrał się bardzo energicznie do twórczej pracy artystycznej. Bodźca mu dodała propozycja malarza Justyna Wienażyńskiego – jednego z lepszych dziś malarzy litewskich – urządzenia na wiosnę wspólnej ich wystawy w Kownie. Stefan bardzo poważnie się do tej wystawy gotuje. Wybrał on sobie na pracownię wielki pokój w starym domu na piętrze i tam dniami całymi pracuje. Pokazywał mi dziś swoje utwory. Praca mu aż kipi. Cały szereg obrazów i obrazków jest w toku roboty. Wszystkie mają pewien charakterystyczny styl Stefana, we wszystkich jest staranna kompozycja, jest intelektualizm wybitny i tragizm, podmiotowość twórcy przeważa nad przedmiotowym naśladownictwem natury. Co do formy tych dzieł najnowszych Stefana, to wszędzie jest wybitne zarysowanie konturów i dekoracyjne traktowanie linii w pewnej symetrii, pewnej ich harmonii konstrukcyjnej. Bardzo ładne są: portret żony Stefana i nieduży portrecik (sama głowa) jego własny (portrety skierowane są nie tyle do podobieństwa realistycznego, ile do ustalenia wyrazu tragicznego z woli samego twórcy – bardzo silne kompozycje!), obraz Ledy z łabędziem w samym akcie i szereg innych). Najnowszy ten dorobek Stefana jest rzeczywiście bogaty. Bądź co bądź, talent to wielki i bardzo oryginalny, który w tych latach dojrzewa szybko. Marynia i Elwira nie umieją się na obrazach Stefana poznać; wydają się im jego kompozycje dziwaczne. Ale sztuka nie polega tylko na kopiowaniu fotograficznym natury. Biedny Stefan ma trudne warunki moralne twórczości: w domu go nie rozumieją, matka i ciotka lekceważą jego wysiłek twórczy, żona też go, jak się zdaje, nie jest w stanie zrozumieć i dzielić z nim jego napięcie twórcze. Stefan jest samotny ze swą wiewiórką żywą, uwięzioną między oknami w jego pracowni.

3 listopada, rok 1929, niedziela
Zostałem zupełnie sam w moim nowym domu, bo Jadzia wyjechała rano do swojej wsi rodzinnej do siostry, która ma jej uszyć palto. Wróci zapewne dopiero we wtorek rano, to znaczy w dniu naszego wyjazdu z Bohdaniszek.
Ranek aż do samego prawie obiadu spędziłem w starym domu u sióstr, po obiedzie zaś odwiedził mię w moim domu Stefan Römer, który zabawił aż do zapadnięcia zupełnego wieczoru, że aż potem ledwie się w ciemnościach egipskich zdołał dowlec do mojej kuchni, skąd go Piotr Skrebys z latarką odprowadził do starego domu. Stefan Römer garnie się do mnie, wdzięczny za słowa uznania dla jego talentu, które usłyszał ode mnie, bo nikt tu jego twórczością się nie zachwyca i wszyscy dokoła upatrują jeno wady i braki w jego obrazach. Biedny Stefan, zupełnie tutaj w swojej twórczości samotny, przez nikogo nie uznawany, raczej wyśmiewany po cichu przez wszystkich, prócz żony, która jedna nie tyle go pojmuje i jego entuzjazm twórczy podziela, ile się go boi urazić i dlatego się wysila na podążanie za nim, usiłując stawać w jego obronie, jest znerwowany i bardzo zniechęcony do otoczenia bohdaniskiego. Czuje się on tu jak w jakimś obozie obcym czy wrogim i zamyka się w swojej pracowni, uciekając od ludzi i chroniąc przed nimi prace swoje. Nie jest wesoły jego pobyt na wsi przez zimę. Marzy on o tym, aby się stąd wyrwać i projektuje na wiosnę wynieść się z żoną do jej zaścianka Szaszewicz w gminie bobtowskiej nad Niewiażą pod Kownem, gdzie

zamierza stawiać domek mieszkalny. Nie będzie mu z tym łatwo, a gdy się tej budowy dotknie, to się sparzy rychło na niej, bo się nie zna na życiu praktycznym i zapewne nie pojmuje ciężaru budowania się. Ale mu chodzi o wyrwanie się z Bohdaniszek, o samodzielność i o nawiązanie jakiegoś zarobkowania w Kownie. Wyjazd na dalsze studia do Paryża gdzieś się już ulotnił, bo środków się na to nie przewiduje.
Długi wieczór spędzam w moim domu sam. Pracuję w pokoju środkowym – przyszłym herbowym. Obok w pokoju rogowym śpi Nasta. Kazimierz z Piotrem nocują w kuchni. Kazimierz pozostanie u mnie nadal w charakterze na poły rezydenta; będzie spał i jadł u mnie, pensji brać nie będzie, będzie dopatrywał domu, doglądał ogólnie porządku i w ogóle wiązał moją gospodareczkę. Miał wielką ochotą zostać na tych warunkach. Dla mnie jest on też bardzo dogodny w Bohdaniszkach. Ciężko pracować Kazimierz nie może, bo ma już zresztą 69 lat wieku, ale jest jeszcze ruchliwy, zdrów, wesoły, pełny sprytu; we wszystko wejrzy, wszędzie poradzi, zna się na porządku, czystości i potrzebach gospodarskich, toteż dla mnie ma wielką wagę, a dla niego jest to wygoda, suchy, ciepły kąt, spokój i czystość, towarzyskość i wszystko to, do czego przez całe życie przywykł i bez czego mu jest ciężko w swojej chacie w niedostatku, kłótniach i brudzie.
Piotra Skrebysa posyłałem dziś do Krewien. Sprowadzam stamtąd kilkaset sosenek, które w końcu tygodnia Piotr zasadzać będzie pod dozorem leśniczego („girininkasa") z Krewien.

4 listopada, rok 1929, poniedziałek
Wielkie sadzenie jesienne drzewek u mnie. Szoch z Rygi przysłał mi prawie same drzewka dekoracyjne. Jabłonek antonówek, których sztuk 15 u niego obstalowałem, nie przysłał, bo zabrakło mu ich tej wielkości, jakiej obstalowałem; przyśle je na wiosnę. Z obstalowanych u niego drzewek dekoracyjnych przysłał: jedną jodełkę płaczącą o kształtach bardzo dziwacznych i jakby zbiedzonych, przypominających coś nieszczęśliwego, jeden cyprys mały, pięć różnych rodzajów klonu (o liściach karbowanych, o liściach pstrych, o liściach olbrzymich, o liściach głęboko wyciętych), trzy rodzaje topoli (srebrnolistna, włoska piramidalna, płacząca o liściach drżących), jaśmin, olchę o liściach w żyłki czerwone, łozę płaczącą śliczną i dodał dwa jeszcze gatunki łozy za darmo, poza tym zaś z owocowych – śliwkę renklodę, trześnię o owocach żółtych i gruszkę karłowatą. Od Wagnera zaś przyszły antonówki w ilości 9 sztuk dla mnie. Poza tym, w tych dwóch transportach jest jeszcze pięć drzewek dla Jadzi na jej zaścianek nad Eibuczupisem.
Drzewka sadzili mi mój Piotr Skrebys z parobkiem Maryni Piotrem Deksnysem. Z rana deszcz mocny padał, co mi utrudniało dozorowanie sadzenia, potem deszcz ustał stopniowo, ale zimno było. Kazimierz przywiózł mi Eugeniusza Falejewa z Antonosza, który mi obciął wilki na drzewkach owocowych w sadzie moim. Na obiedzie miałem Falejewa i Stefana Römera. Falejew po obiedzie odjechał. Wieczór znów spędziłem samotnie w pracy, bo Jadzia nie wróciła. Ale niezmiernie miły jest po przyjeździe z miasta ciemny i głuchy wieczór listopadowy na wsi, spędzony przy pracy w ciepłym i jasnym pokoju. Mój dom w Bohdaniszkach – to rozkosz, nawet teraz, gdy nie jest jeszcze całkiem urządzony i szwankuje co do mebli.

5 listopada, rok 1929, wtorek
Ostatni dzień jesienny w Bohdaniszkach. Wyjazd wieczorem do Kowna. Rano dokończone zostało sadzenie drzewek. Jadzia wróciła z domu rodzicielskiego. Po obiedzie o godz. drugiej wyjechaliśmy z Jadzią na Antonosz, gdzie Falejew miał mi wskazać szewca w Abelach dla obstalowania nowych butów długich na wieś. U

Falejewa zatrzymani zostaliśmy na herbatę, podczas której złamałem jeden z kilku ostatnich zębów moich – strata bolesna i niepowetowana! Pozostaje mi u góry cztery zęby, w tej liczbie dwa kły, jeden lewy frontowy i jeden prawy przedni obok kła i przednich dolnych osiem.
Zanim siedzieliśmy w Antonoszu, ściemniało na dworze. W Abelach zaszedłem do szewca, po drodze uwalałem się kapitalnie w błocie, ale buty obstalowałem. Koło szóstej byliśmy już w Abelach na stacji. Wysiedzieliśmy tam do w pól do jedenastej, aż wreszcie wsiedliśmy do pociągu i – jazda!

6 listopada, rok 1929, środa
Przyjechaliśmy z Jadzią rano do Kowna. Na dworcu spotkała nas służąca Anielka, która też zabrała i odwiozła nasz bagaż do domu, my zaś z Jadzią udaliśmy się autobusem do miasta na śniadanie u Perkowskiego, po czym ja udałem się na posiedzenie Rady Stanu. W Radzie Stanu – nowina: mamy nowego członka w osobie prof. Jurgutisa, który po procesie Kalinowskiego i Landsberga stracił stanowisko naczelnika Banku Litewskiego. Jurgutis – ex-ksiądz – *bon viveur* – nie jest prawnikiem, ale jest człowiekiem rozumnym i znawcą finansowości i spraw bankowych. Rada Stanu staje się coraz bardziej archiwum strąconych z piedestału wielkości. Šiling, Papečkys, Dowkont, Starkus i Jurgutis – to znaczy większość obecnego składu Rady Stanu – piastowali teki ministerialne. Tylko Ciplijewski, Masiulis, Kalnietis i ja nie byliśmy dotąd nigdy ministrami. Nasza więc Rada Stanu – to zgromadzenie gwiazd zgasłych i wielkości wycofanych z obiegu wielkiej polityki. Nie stawałoby nam jeszcze Voldemarasa do kompletu.
Wieczorem na uniwersytecie miałem seminarium prawa konstytucyjnego na III semestrze. Dziś właśnie rozpoczęliśmy prace seminaryjne właściwe. Na pierwszy ogień puściłem referat studenta Antoniego Musteikisa na temat: „Kombinacja dyrektorializmu z parlamentaryzmem w Gdańsku”. Kontrreferentem był student Eliasz Portnoj, Żyd. Referat i kontrreferat były słabe. Na początku – na pierwszych referatach seminaryjnych – studenci są jeszcze nowicjuszami niezorientowanymi, nie bardzo rozumiejącymi zadania i metody pracy seminaryjnej, toteż referaty na razie są zwykle słabsze.

7 listopada, rok 1929, czwartek
Nic ciekawego z dnia dzisiejszego donieść nie mogę.

8 listopada, rok 1929, piątek
Rada Stanu otrzymała nowy lokal wspaniały. Właściwie jej lokal dotychczasowy był także bardzo ładny, acz nieco za mały. Mieściła się ona dotąd w pięknym pałacyku białym wśród wysokich brzóz płaczących przy ul. Donelaitisa na rogu placu, zwanego, jeżeli się nie mylę, Placem Zgody czy też Placem Jedności (Vienybės Aikštė). W pałacyku tym zajmowała piętro górne, raczej część tegoż, albowiem druga część piętra służyła za mieszkanie prywatne sekretarza Gabinetu Ministrów Mašiolaitisa. Ten lokal na piętrze pałacyku Gabinetu Ministrów Rada Stanu zajęła ubiegłej jesieni po Voldemarasie, który tam miał swoje mieszkanie osobiste przed przeniesieniem się do gmachu Banku Litewskiego. Parter tego pałacyku był i jest zajęty przez Gabinet Ministrów. Lokal Rady Stanu w pałacyku Gabinetu Ministrów składał się z dużej sali posiedzeń, ładnej, o wysokich sufitach, z kominkiem, dużego gabinetu prezesa Rady i pokoju sekretarza Novakasa z balkonem dużym na ogród, oddzielonego od sali posiedzeń przedpokoikiem. W razie jednoczesnego posiedzenia kilku komisji Rady nie było gdzie się podziać. Całą zimę ubiegłą słychać było, że o pałacyk Gabinetu

Ministrów ubiega się nuncjusz papieski Monsignore Bartoloni i że rząd skłania się do przekazania mu go. Ciągle więc otwartą była kwestia, gdzie się podzienie Rada Stanu. Aż oto teraz udzielono jej wspaniały lokal w nowym Gmachu Sprawiedliwości przy rogu ulic Tołstoja i Orzeszkowej, Gabinet zaś Ministrów pozostał w starym pałacyku. Zdaje się, że lokal, który dostała Rada, był przeznaczony właśnie dla Gabinetu Ministrów. W tym wielkim nowym Gmachu Sprawiedliwości, jednym z piękniejszych i fundamentalniejszych w Kownie, który był zaczęty stawiać za rządów Tumėnasa przed kilku laty i który świeżo wykończony został, mieści się już Ministerium Sprawiedliwości, Trybunał Najwyższy, archiwum notarialne z biurami starszego notariusza, obecnie Rada Stanu; tam mieści się także lokal przeznaczony w przyszłości dla Sejmu. Rada Stanu ma tam swoje wejście osobne, schody na piętro i cały korytarz z szeregiem pokojów: duża sala posiedzeń o ścianach pomalowanych na malinowo z boazerią u dołu, z kandelabrem marmurowym, który kosztował 3 500 litów, ze stołem dużym, nakrytym suknem zielonym, z oknami na ul. Tołstoja, duży gabinet prezesa, gabinet sekretarza z pokojem dla szaf z aktami, trzy czy cztery gabinety dla członków i komisji, kancelaria z trzech pokojów, osobna umywalnia, waterklozet, wreszcie własną osobną lożę w sali obrad Sejmu (wejście do tej loży wprost z korytarza Rady Stanu).

9 listopada, rok 1929, sobota
W Radzie Stanu zebrała się dziś komisja organizacji sądownictwa, do której – pod przewodnictwem moim – należą członkowie Rady Stanu Kalnietis, Ciplijewski i Masiulis. Komisja ta zabiera się już konkretnie do pracy nad układaniem projektu ustawy zasadniczej o organizacji sądownictwa. Jest to praca kapitalna, która zajmie niewątpliwie co najmniej całą zimę. Dotąd były już dwukrotnie układane w Litwie projekty organizacji sądownictwa: oba te projekty wypłynęły z prac byłej rady projektodawczej przy Ministerium Sprawiedliwości. Boję się, żeby ten trzeci projekt, który my ułożyć mamy, nie pozostał, jak tamte dwa, w stanie martwym. Cała nadzieja polega tylko na tym, że, po pierwsze, potrzeba tej reformy jest zupełnie dojrzała i po drugie, obecny prezes ministrów Tubelis uważa tę sprawę za bardzo pilną. Skądinąd wszakże prace kolegialne nad projektami wielkich ustaw organicznych są zwykle bardzo powolne i tak się rozwałkowują w dyskusjach, poprawkach, względach i względzikach, że nie mają giętkości i ostatecznie zapadają gdzieś w otchłań archiwów, w których butwieją. Do komisji w zakresie tej pracy ma być kooptowany w charakterze rzeczoznawcy-współpracownika prezes Trybunału Kriščiukaitis. Ja osobiście pragnę bardzo gorąco skuteczności tej pracy, bo gdyby projekt nasz miał się stać ustawą obowiązującą i ustawa ta utworzyłaby w państwie stały osobny organ sądu kasacyjnego (Sąd Najwyższy), to ja sam poczyniłbym starania o to, żeby zająć stanowisko sędziego kasacyjnego i umknąć z Rady Stanu, którą pożegnałbym zgoła bez żalu. Dla samego prezesa Šilinga, tj. ze względu na niego, Rada Stanu zaczyna mię nie tylko nudzić, ale już brzydzić. Jej wyradzanie się w rezerwuar wypoczynku i synekur dla rozmaitych gwiazd pogasłych też mi się wcale nie podoba. Natomiast funkcja quasi-sądu administracyjnego, zastosowana do kompetencji Rady, nie zdołała się rozwinąć (w dużym stopniu ta funkcja właśnie mię w swoim czasie do Rady Stanu skłoniła).

10 listopada, rok 1929, niedziela
Ministrem spraw zagranicznych mianowany Zaunius. Znam go tylko powierzchownie. Powiadają, że jest germanofilem skończonym, niewiele się różniącym od Niemca rodowitego. Nie wiem, jak się to ma w istocie, ale czy to nie wszystko jedno, skoro polityka litewska bez względu na osobę kierownika – z natury rzeczy w obecnym konflikcie z Polską – opiera się o Niemcy. Co zaś do niemieckości Zauniusa, to kto wie,

czy ten zarzut albo określenie jest zasadne. Że Zaunius jest z urodzenia Litwinem pruskim – i to nie kłajpedzkim, ale zaniemeńskim z samych kresów etnograficznych, które nie zostały z Prus do Kłajpedy wyłączone, że Litwini tameczni są w istocie bardziej Prusakami, niż Litwinami i są gorliwszymi patriotami niemieckimi od Niemców rodowitych, że dr Zaunius jest z wychowania i wykształcenia dzieckiem kultury niemieckiej – to są fakty. Ale czy on osobiście jest pod tym względem tak samo w uczuciach i aspiracjach swoich zniemczony, jak jego rodacy – o tym gotów byłbym wątpić. Pochodzi on z rodziny, która w procesie odrodzenia narodowego litewskiego, gdy prasa narodowa litewska, zabroniona w Rosji, skupiała się w Prusach, świadczyła wiele usług ofiarnych na rzecz ruchu litewskiego (Marta Zauniusówna), sam zaś, choć z urodzenia i z przynależności terytorialnej powinien by być poddanym prusko-niemieckim, jednak wstąpił na służbę litewską i naturalizował się w Litwie. Świadczyłoby to, że się czuje Litwinem szczerze i że się Niemcom przeciwstawia. Wspominają o kandydaturze naszego Zygmunta Starkusa z Rady Stanu na stanowisko kierownika naczelnego („valdytojas”) Banku Litewskiego.

11 listopada, rok 1929, poniedziałek
W końcu zimy czy na wiosnę podnoszona była kandydatura Janulaitisa do Rady Stanu. Mówił o niej sam Šiling, zdaje się, po rozmowie z Prezydentem Smetoną, choć przed rokiem, kiedy Rada Stanu dopiero się organizowała, Šiling był kandydaturze Janulaitisa przeciwny, uważając go za element niebezpieczny, niekarny, a więc warcholski. Ku wiośnie Šiling już zmienił zdanie co do pożądaności Janulaitisa w Radzie. Doszło już do tego, że zaproponował on Janulaitisowi formalnie wstąpienie do Rady. Janulaitis wtedy wymówił się brakiem czasu ze względu na szereg terminowych prac literacko-naukowych, którymi był zajęty, oświadczając, że w każdym razie do sierpnia o jego wstąpieniu do Rady nie może być mowy. Próbowałem i ja wtedy namówić Janulaitisa, bo rad bym go w Radzie widział, ale moja perswazja nie poskutkowała. Czułem, że Janulaitis nie tylko dla tej przyczyny formalnej nie kwapi się do Rady. Šiling widocznie zrozumiał także, że Janulaitisowi chodzi o co innego, bo w jesieni już nie wznawiał kwestii tej kandydatury. Mówiłem teraz ja z Janulaitisem parę razy o tym. Istotnie, nie chce on iść do Rady i wcale nie dla braku czasu. I ma, zdaje się, rację. Nie chce głównie dla osoby prezesa Rady – Šilinga, którego uważa za niepoważnego i nieodpowiedniego na tym stanowisku. Rzeczywiście, Šiling nie ma powagi, nie ma opinii w społeczeństwie, nie stanowi żadnej firmy dla Rady, raczej przeciwnie – sama osoba jego, pozbawiona wszelkich kwalifikacji do kierowania tą pracą i do przewodniczenia tej instytucji, dyskredytuje Radę. Pod przewodnictwem Šilinga Rada Stanu stała się jakąś instytucją biurokratyczną bez oblicza, bez autorytetu w społeczeństwie i w rządzie. Z jednej strony, zboczyła ona na stanowisko popychadła rządowego, z drugiej – nie wykorzystała tych możliwości – zwłaszcza w kierunku sądu administracyjnego i samodzielnej pracy kodyfikacyjnej, które dałyby się wyciągnąć z samej ustawy i regulaminu Rady. Trochę w tym kierunku zawinił i sam personel członków Rady, w którym zbyt dużo jest ludzi biernych (Ciplijewski, Masiulis) albo ludzi usposobionych do biurokracji (Kalnietis, Papečkys). Najżywszy człowiek w Radzie jest Starkus, ale ten jest tylko praktyk, doskonały do opracowywania ustaw zwłaszcza ekonomicznych, zaś właśnie nie uprzytamniający sobie funkcji Rady w kierunku kodyfikacyjnym i sądowo-administracyjnym. Rada w ręku Šilinga staje się niesłychanie nudna i jałowa.

12 listopada, rok 1929, wtorek
Niewątpliwie intensywność pracy w Radzie Stanu w ciągu miesiąca ubiegłego znacznie wzrosła. Ale wzrosła ona tylko w tej sferze, w której Rada jest popychadłem rządu; jest

to sfera pracy obstalowanej – pracy nakazanej. Wzrost pracy zależy tu od wzrostu obstalunków. Nie jest to bynajmniej intensyfikacja planowa, jak nie jest planowa sama praca. Są to projekty ustaw z najrozmaitszych dziedzin, ważniejsze i podrzędne, zasadnicze i zgoła karnistyczne, które Gabinet Ministrów skierowuje do Rady właściwie tylko do wykończenia redakcyjnego. Nie przeczę, że w tym wykończeniu – o ile zwłaszcza chodzi o projekty z dziedziny rolniczo-gospodarczej lub w pewnym zakresie administracyjnej, które trafiają do rąk Zygmunta Starkusa – Rada Stanu je w pewnym i czasem nawet znacznym stopniu koryguje i ulepsza, ale bądź co bądź jest to praca bez programu, przygodna, „*vom Fall zum Fall*[19]", jak powiadają Niemcy. Rada Stanu tak się oswoiła z tą swoją rolą popychadła rządowego i tą naturą swej pracy jako wykańczania pomysłów rządowych, że nawet motywów i komentarzy do tych swoich prac nie układa. Ot, po prostu wygładza lub gdzieniegdzie przerabia tekst nadesłanego projektu, potem referuje to ustnie i ustnie poprawki motywuje na posiedzeniach Gabinetu, na które w tych wypadkach udaje się prezes Šiling i ktoś z członków Rady, wyznaczony przez prezesa, najczęściej obecnie Starkus, odrabia swój „pacierz", a czy przekona panów ministrów, czy nie przekona, to już ją w gruncie mało obchodzi – i na tym kończy, śpiesząc do następnego obstalunku. Nie ma ona prawie żadnej działalności własnej, nie ma własnego programu i planu, uważając je za zbędne i za coś akademickiego, na co nie warto czasu marnować. Z zakresu jej inicjatywy i programu własnego w dziedzinie kodyfikacji wykonuje ona, zdaje się, tylko trzy rzeczy: a. nieśmiertelne trzy reformy handlowe – projekt rejestracji handlowej, projekt ochrony wierzycieli i projekt ustawy o bankructwie – nad którymi pracuje komisja w osobach prezesa Šilinga i członków Ciplijewskiego, Starkusa i bodaj Kalnietisa i Masiulisa, b. reformę kodeksu karnego, którą zajęci są Papečkys, Kalnietis i Masiulis i c. organizację sądownictwa, nad którą rozpoczęła pracę komisja w osobach mnie, Ciplijewskiego, Kalnietisa i Masiulisa. Zaś dziedzinę dozoru nad legalnością administracji Rada Stanu zaniedbała zupełnie i tu nic nie robi, wyjąwszy rzadkie wypadki okolicznościowe, kiedy któryś z ministrów poprosi o opinię w kwestii interpretacji jakiegoś przepisu ustawy lub w kwestii zgodności z ustawą jakichś przepisów administracyjnych. Nawet regulamin własny Rady nie jest w tym względzie wykonywany.

13 listopada, rok 1929, środa
Dziś upłynęło 30 lat (z małą poprawką, bo wtedy to było liczone podług starego stylu, podczas gdy dziś mamy te same daty stylu nowego, co dla czasu sprzed lat 30, to znaczy dla wieku jeszcze XIX, stanowi różnicę 12 dni) od dnia, w którym podług przepowiedni Cyganki powinienem był umrzeć. W roku 1896 pewna Cyganka w pociągu, idącym z Petersburga do Dyneburga, przepowiedziała mi, że umrę w d.13 listopada roku 1899. A oto w dniu 13 listopada roku 1929 – żyję!

14 listopada, rok 1929, czwartek
Nic dziś pisać nie będę, bo czasu nie mam.

15 listopada, rok 1929, piątek
Komisja organizacji sądownictwa w Radzie Stanu rozpoczyna jutro pracę. Na poprzednim posiedzeniu Kalnietis i ja zreferowaliśmy schemat organów sądowych w Polsce, Francji (ja), w Niemczech i Kłajpedzie (Kalnietis). Na jutro każdy z nas ma zaprojektować do dyskusji schemat organów sądowych (ze schematem podziału kompetencji) do naszej reformy sądowej litewskiej. Do komisji, złożonej z

---

[19] *Vom Fall zum Fall* (niem.) – od przypadku do przypadku.

Ciplijewskiego, Kalnietisa, Masiulisa i mnie, zaproszony został przez Radę Stanu także prezes Trybunału prof. Kriščiukaitis jako rzeczoznawca-współpracownik.

16 listopada, rok 1929, sobota
Na posiedzeniu komisji organizacji sądownictwa ja, Kalnietis, Ciplijewski i Masiulis przedstawiliśmy każdy swój obmyślony schemat organów sądowych w ich układzie instancyjnym łącznie z zarysem kompetencji. We wszystkich czterech schematach jest pewne podobieństwo wzajemne w tym, że wszystkie skłaniają się do jednorzędowej konstrukcji instancji z małą poprawką na rzecz osobnego wydzielenia spraw najdrobniejszych. Wszystkie więc przewidują trzy stopnie organów sądowych: I instancja – sąd powiatowy, instancja apelacyjna – sąd okręgowy, kasacja – Trybunał Najwyższy. Osobno zaś – do spraw najmniejszej wagi – sędzia lokalny, który może się nazywać sędzią pokoju albo sędzią gminnym lub miejskim. Najistotniejsza różnica polega na kwestii, czy sąd powiatowy miałby być sądem jednoosobowym czy kolegialnym, względnie jednoosobowym z udziałem ławników (asesorów, szöffenów) i czy sąd przysięgłych w łonie sądu okręgowego (ewentualnie – powiatowego) byłby oparty na rozdziale przysięgłych i sędziów koronnych w wyrokowaniu o winie i o karze, czy też na zlaniu przysięgłych z sędziami lub sędzią koronnym w jednym wspólnym kolegium, wyrokującym o całości sprawy. Najwięcej – bez ustanku – mówił Kriščiukaitis, który poniekąd brał na siebie rolę arbitra jako najwyższy w magistraturze sądowej dygnitarz, a więc autorytet w kwestiach sądu. Na przyszłą sobotę każdy z nas ma ułożyć swój schemat graficznie, ewentualnie go modyfikując nieco.

17 listopada, rok 1929, niedziela
Piotr Rosen jest w Kownie i był dziś u mnie na obiedzie. Przyjechał dla sądu polubownego, który się miał odbyć wczoraj między nim a jego siostrą – p. Anną Pisaniową – o pewne wzajemne roszczenia pieniężne (zlecenie przedśmiertne ich matki o wypłatę przez Piotra pani Pisaniowej należnej matce z Gaczan spłaty i dług pani Pisaniowej Piotrowi z tytułu pożyczki pieniężnej, zaciągniętej w roku 1920 w rublach carskich). Sprawa tego sądu polubownego, mającego ustalić te roszczenia wzajemne w walucie statecznej (w litach, dolarach czy złotych), ciągnie się już od lat kilku, ale sąd wciąż do skutku nie dochodził, bo zawsze coś tam stawało na przeszkodzie. Arbitrem ze strony Piotra Rosena miałem być ja, arbitrem zaś ze strony p. Pisaniowej – p. Kazimierz Bystram z Kurkl. Obecnie p. Pisaniowa, po sprzedaży swego majątku Adamowa w powiecie wiłkomierskim, wyemigrowała z Litwy i zamieszkała z synem Tadeuszem i głupkowatą córką Terenią po stronie polskiej w powiecie brasławskim w mająteczku, który tam nabyła. Wskutek tego tu wobec sądu polubownego p. Kazimierz Bystram, który miał być jej arbitrem, zajął stanowisko przedstawiciela p. Pisaniowej, to znaczy – strony. Przyjechał p. Bystram, przyjechał i Rosen. Bystram powołał na arbitra ze strony p. Pisaniowej dyrektora Syndykatu Rolniczego p. Bolesława Jasieńskiego; chodziło już tylko o skomunikowanie się moje z p. Jasieńskim dla ustalenia osoby superarbitra, na którego ja chciałem zaproponować sędziego Ignacego Buykę; sąd miał się odbyć wczoraj wieczorem. Ale cała rzecz spaliła na panewce, bo Jasieński, zapewne na zlecenie Bystrama, w rozmowie ze mną od razu zastrzegł, że tylko o tyle w sądzie tym udział weźmie, o ile z góry przyjmiemy zasadę obliczenia obu pretensji wzajemnych na podstawie przepisów obowiązujących ustaw o długach przedwojennych i powojennych. Zastrzeżenie z góry tej zasady czyniło ten kompromis w ogóle zgoła zbytecznym, a Piotra stawiało w pozycję najgorszą, bo zastosowanie tych ustaw dałoby pretensji p. Pisaniowej przywilej czystego ekwiwalentu w złocie, zaś pretensję Rosena strąciłoby do 1/5 części tego, co warte były podług kursu z roku 1920 pożyczone przezeń siostrze

pieniądze. Ale w ogóle cóż to za sąd, skoro przed jego ukonstytuowaniem już z góry zastrzeżony jest wyrok. Wiedząc, że Rosenowi nie o to chodzi i że sąd powołany został właśnie dlatego, że obie strony nie mogły się porozumieć same co do zasady przerachowania roszczeń swych na lity, którą to zasadę musiałby dopiero sam sąd ukonstytuowany ustalić, odmówiłem zgody na wniosek p. Jasieńskiego, który wobec tego cofnął się, a przez to samo upadł cały sąd. Bystram innego arbitra już wybrać nie zechciał.

18 listopada, rok 1929, poniedziałek
Od profesorów Wydziału Humanistycznego słyszałem, że stan zdrowia Herbaczewskiego jest bardzo zły. Kość złamana nie zrasta mu się, bo organizm fizyczny jego jest bardzo wyniszczony. Poza tym, zły jest stan jego nerwów, a od nacisku gipsu, w którym od przeszło miesiąca leży, zrobiło mu się zapalenie kończyn nerwowych – rzecz bardzo bolesna. Podobno lekarze nie bardzo robią nadzieję na wyzdrowienie. Trzeba będzie pójść odwiedzić Herbaczewskiego. Nie byłem u niego od przyjazdu z Bohdaniszek. Wiadomość o tym pogorszeniu stanu Herbaczewskiegop sprawiła na mnie ciężkie wrażenie. Bądź co bądź, ten człowiek, który oto może jest u samego schyłku życia, samotnie dogorywając w małej izdebce szpitalnej, jest poetą natchnionym, magicznym mistrzem słowa, romantykiem wspaniałym Odrodzenia Człowieka i mesjanistą Litwy, którego zaklęte słowa w jego ostatnim utworze literackim „Dievo šypsenos”, jak również jego „Erškėčių vainikas” stanowić będą w literaturze litewskiej nie tylko brylant znakomity, ale też żywe źródło bogatej myśli i uczucia. Waga Herbaczewskiego rosnąć i potężnieć będzie, ale on sam – może zginie. Wypadł śnieg – wszystko białe. Ale jest odwilż, śnieg stopnieje. Ziemia jeszcze nie zamarzła, mrozów nie było.

19 listopada, rok 1929, wtorek
Odwiedziłem Herbaczewskiego w szpitalu. Leży cicho, bólów wielkich nie ma, ale wygląda – źle. Twarz – biała, jak żeby kropli krwi po skórą nie było, jeszcze chudsza niż była; wygląd starca zgrzybiałego, z wyglądu dać mu można lat 70, choć ma nieco ponad 50; broda mu przez czas choroby urosła biała jak mleko; ręce ma szkieletu powleczonego skórą; jest w stanie drzemki ciągłej; przemówi kilka słów i znów drzemie, choć przy nim rozmawiamy z jego żoną głośno. Jego żona nie zdaje sobie, zdaje się, sprawy z niebezpieczeństwa, grożącego życiu męża; zmęczona jest bardzo czuwaniem, niewyspana, ale ostatecznie nawet dość wesoła; jest przekonana, że kości złamane już się zrastają i że niebawem zacznie się rekonwalescencja; bawiąc stale przy chorym – oswoiła się z jego wyglądem i nie dostrzega w nim zmiany widocznej dla osób ze strony. Tak w wyglądzie, jak w usposobieniu chorego – pogorszenie jest jaskrawe: żadnego porównania do tego, co było jeszcze przed miesiącem; wtedy Herbaczewski rozmawiał, dyskutował, był żywy jak zwykle; dzisiaj śpi tylko i jeno przebłyskami świadomości reaguje słabo na to, co go otacza, zaraz znów w swą drzemkę zapadając.
W Radzie Stanu mieliśmy posiedzenia plenarne. Kończyliśmy debaty nad projektem ustawy o łasce Prezydenta Rzeczypospolitej. Odesłaliśmy ten projekt raz jeszcze do komisji prawa karnego.

20 listopada, rok 1929, środa
Moje seminaria prawa konstytucyjnego na III semestrze dla studentów sekcji prawniczej są w tym roku niezwykle licznie, jak nigdy dotąd uczęszczane. Odbywają się one w tym roku po raz pierwszy w sali (dotąd odbywały się one w XIV audytorium,

w sali zaś – tylko moje wykłady dla I i II semestru) i sala jest prawie że zapełniona. Liczniejsza jest w tym roku frekwencja słuchaczy na moich seminariach, niż na moich wykładach – może dlatego, że tegoroczny semestr I jest na ogół mniej liczny, niż w latach ostatnich i zwłaszcza w roku ubiegłym, a poza tym wykłady na I semestrze odbywają się w godzinach przedpołudniowych, co nie daje możności uczęszczania na nie tym słuchaczom, którzy mają jakieś posady w urzędach lub biurach.
Zresztą seminaria moje dopiero niedawno się rozpoczęły; może *à la longue*[20] gorliwość pierwotna słuchaczy przeminie. W ogóle rozpoznaliśmy na seminariach dopiero dwa referaty z odpowiednimi kontrreferatami i konkluzjami moimi. W każdym razie, skala moich wymagań i mojej krytyki prac studentów imponuje moim słuchaczom i sprawia na nich wrażenie poważne, co bądź co bądź studenci cenią i lubią.

21 listopada, rok 1929, czwartek
W „Lietuvos Žinios" – organie ludowców – ukazał się artykuł wstępny o Radzie Stanu. Pismo przypomina nadzieje, jakie były przez narodowców łączone z Radą Stanu przed rokiem, kiedy ona powstawała, stwierdza uwydatnioną w ciągu roku jałowość tej instytucji, której owoców pracy nikt nie widzi i nie wie, czy ona w ogóle coś robi i co mianowicie robi, dalej pismo powtarza stare i – zdawało się – zapomniane brednie o rzekomym przeznaczeniu Rady Stanu być „erzatz-Sejmem" i przeciwstawia jej Sejm jako jedyny zdrowy czynnik ustawodawstwa, wreszcie wytyka kosztowność Rady Stanu w budżecie państwowym, niewspółmierną zgoła do jej użyteczności i kończy oświadczeniem, że choćby się napełniło Radę Stanu wszystkimi byłymi ministrami – nic z niej nie będzie, bo Sejmu ona nie zastąpi.
Artykuł ten sprawił na mnie przykre wrażenie. Po co znowu te brednie i co ma wspólnego Rada Stanu – rada administracyjna jako kolegium doradcze „speców" w skomplikowanych zagadnieniach techniki rządzenia – z Sejmem, organem władzy wybitnie politycznej! Wszak jest to bałamucenie opinii publicznej. Gdyby panowie ludowcy pofatygowali się zajrzeć do ustrojów administracyjnych innych państw, to by się przekonali, że instytucja o charakterze Rady Stanu nie jest bynajmniej wynalazkiem dyktatorów litewskich i że istnieje ona gdzie indziej, doskonale się harmonizując z Sejmem, demokracją i parlamentaryzmem i nie stanowiąc pod żadnym względem konkurencji Sejmowi. Ale, niestety, nasza Rada Stanu – ze względu na wadliwość jej kierownictwa (Šiling) i może w ogóle na jej skład osobisty i niezupełne zorientowanie, a może i bierność jej członków – kroczy po manowcach dość jałowych i nie wyzyskuje należycie możliwości legalnych do rozwinięcia właściwych samodzielnych funkcji swoich, stając się popychadłem w rękach rządu zamiast być doradcą tegoż, a przez to poniekąd sama przyczynia się do kompromitowania instytucji – szczególnie wobec istnienia tak fałszywych pojęć o istocie samej instytucji. W gruncie rzeczy, jest to instytucja użyteczna i treściwa, która nicw spólnego z problemem Sejmu i ustroju konstytucyjnego politycznego nie ma i żadnym nawrotom do demokracji i nawet parlamentaryzmu na zawadzie nie stoi. Zupełnie zaś inną jest kwestia jej obecnego składu, kierownictwa i sprężystości działania. Ale pomieszanie pojęć, które na tym gruncie się rozwinęło, nie daje ludziom możności zorientowania się.

22 listopada, rok 1929, piątek
Dobrze się rzeczy składają, że mam właśnie wygłosić wkrótce w studenckim Towarzystwie Prawników i Ekonomistów odczyt o Radzie Stanu. Od dawna zarząd tego towarzystwa, którego jestem członkiem honorowym, prosił mię o odczyt. Nie lubię odczytów wygłaszanych po towarzystwach, nie mam na to czasu, nie jestem

---

[20] *Á la longue* (fr.) – na dłuższą metę.

„conférencierem”, nie mam talentu ani zamiłowania po temu, więc zawsze odmawiałem albo zwlekałem. Wreszcie tej wiosny przyrzekłem, że w semestrze jesiennym odczyt im wygłoszę. W jesieni zarząd mi moją obietnicę przypomniał. Musiałem przystać. Po namyśle wybrałem temat: Rada Stanu. Zarządowi nie bardzo się temat spodobał, bo Rada Stanu nie jest instytucją popularną, a poza tym jest ona dziś w ogóle zapomniana, nie stanowiąca nic aktualnego i nie budząca zainteresowania. Ale ja nastałem na swoim, bo chodzi mi właśnie o spopularyzowanie istotnego znaczenia tej instytucji, którą uważam w założeniu za bardzo użyteczną, choć mam to lub owo do zarzucenia jej obecnej u nas działalności (zresztą tej krytyki w odczycie moim nie dotknę). A teraz – po wczorajszym artykule w „Lietuvos Žinios” – mój odczyt staje się tym bardziej potrzebny. Będzie on odpowiedzią bezpośrednią na ten artykuł. Odczyt mój, jak zwykle, opracowuję na piśmie. Po wygłoszeniu go w grudniu w Towarzystwie Prawników i Ekonomistów dam go do druku w „Teisė”.

23 listopada, rok 1929, sobota
W Radzie Stanu biorę obecnie udział w dwóch większych komisjach – w komisji czekowo-wekslowej i komisji organizacji sądów. W pierwszej z tych komisji, której przewodniczy prezes Rady Stanu Šiling, zasiadają prócz mnie – Starkus, Jurgutis, Ciplijewski i rzeczoznawca-współpracownik Tadeusz Pietkiewicz. Komisja ta utworzona została z pomysłu Šilinga, który znalazł gdzieś spory zbroszurowany zeszyt wydawnictwa Ligi Narodów, w którym sekcja ekonomiczna Ligi opublikowała opracowane z jej inicjatywy przez fachowców wzorowe projekty ustawy wekslowej i ustawy czekowej jako wzory międzynarodowe, przeznaczone czy proponowane do ujednostajnienia ustawodawstwa odpowiedniego wszystkich albo jak największej ilości państw wraz z nadesłanymi przez poszczególne rządy uwagami do tych projektów. Dla omówienia tych projektów i uwag na nie sekcja Ligi Narodów zwołuje na 17 lutego r. 1930 konferencję międzynarodową fachowców, delegowanych przez rządy. Šiling, który lubi reklamę, uznał przeto, że to dałoby dogodną okazję do zareklamowania Rady Stanu, ulegającej zapomnieniu w zakamarkach swojej pracy codziennej i wpadł na pomysł wystudiowania przez Radę tych projektów i narzucenia się rządowi do wysłania kogoś z jej łona na konferencję. Wczoraj odbyło się pierwsze posiedzenie tej komisji, ale że Šiling na posiedzeniu był nieobecny, komisja nadała swoim pracom inny kierunek: nie wiedząc, czy rząd w ogóle zechce brać udział w konferencji i posługiwać się do tego Radą Stanu, skądinąd zaś uważając, że nasza Rada Stanu mało co zdoła dodać lub ująć w stosunku do tych projektów i uwag, komisja uznała za bardziej realne i właściwe zabrać się do konkretnego opracowania projektu ustawy wekslowej i ustawy czekowej dla Litwy, uzgodnionego z tymi międzynarodowymi projektami wzorowymi, jak to uczynili Polacy. Polecono więc Pietkiewiczowi ze Starkusem usystematyzowanie materiału odnośnego ustawodawstw obcych jako podstawy orientacyjnej dla pracy komisji i dano im na to termin do Nowego Roku. Może Šiling będzie z tej decyzji nierad.
Komisja sądowa odbyła posiedzenie dziś. Ustaliliśmy główne zarysy schematu organizacji sądów i instancji. Zwyciężyły założenia schematu Kalnietisa, opartego na wzorze sądownictwa Kłajpedy. Istota tego schematu jest bardzo prosta i polega na trzech powszechnych organach trzystopniowej (trójinstancyjnej) budowy sądownictwa: a. jedyny powszechny sąd pierwszej instancji – jednoosobowy sędzia gminny; b. jedyny powszechny sąd apelacyjny – kolegialny sąd okręgowy; c. jedyny powszechny sąd kasacyjny – kolegialny Trybunał Najwyższy z kompetencją na całe państwo. Szczegóły, zastrzeżenia i odchylenia odroczono do następnego posiedzenia za tydzień.

24 listopada, rok 1929, niedziela
Odbyła się dziś pod auspicjami ministra sprawiedliwości uroczystość poświęcenia nowego gmachu „Sprawiedliwości”, który pod godłem „*Justitia est fundamentum regnorum*”, wypisanym na jego frontonie, stanął u zbiegu ulic Tołstoja i Orzeszkowej. Projekt budowy tego gmachu zainicjował i samą budowę pracą więźniów ciężkiego więzienia kowieńskiego rozpoczął przed kilku laty ówczesny minister sprawiedliwości Tumėnas. Gmach ten był przeznaczony na siedzibę sądów i Ministerium Sprawiedliwości. Później wszakże został on przystosowany także do potrzeb Sejmu. Jest okazały i piękny oraz ładnie wykończony wewnątrz. Dziś zalokowane w nim są: Ministerium Sprawiedliwości, Trybunał Najwyższy, biuro starszego notariusza i – w przyszłym lokalu Gabinetu Ministrów – Rada Stanu. Lokal Sejmu, na razie wobec nieistnienia Sejmu nieużyteczny, jeszcze wykończony nie jest. Akt poświęcenia miał miejsce w sali posiedzeń Trybunału. Uczestnicy aktu byli zaproszeni zaproszeniami imiennymi ministra sprawiedliwości Aleksandra Żylińskiego; zaproszeni byli wszyscy pracownicy sądów w Kownie (sędziowie, urzędnicy i biuraliści), personel Ministerium Sprawiedliwości i starszego notariatu, Rada Stanu *in corpore*. Przed rozpoczęciem poświęcenia krótko przemówił minister Żyliński i prezes Trybunału prof. Kriščiukaitis. Samego obrządku poświęcenia dokonał staruszek ksiądz kanonik Jarulaitis (głośny działacz, narodowiec, niegdyś poseł litewski do Dumy Państwowej petersburskiej), obecny kapelan więzienia w Kownie. Po akcie poświęcenia uczestnicy udali się przez korytarz Trybunału i Salę Sejmową do ubikacji Rady Stanu, gdzie w sali posiedzeń Rady i poszczególnych pokojach były ustawione stoliki nakryte i zastawione kawą, likierami, ciastami, słodyczami i owocami. W poczekalni Rady grała orkiestra. Pod dźwięki orkiestry młodzież tańczyła. Siedziałem przy stoliku dostojników w towarzystwie ministra Żylińskiego, prezesa Trybunału prof. Kriščiukaitisa i wiceprezesa Čepasa, prokuratora Trybunału Kalvaitisa, prezesa sądu okręgowego Grigaitisa, kanonika Jarulaitisa, prezesa Rady Stanu Šilinga i członków Rady Stanu Kalnietisa i Papečkysa. Wynudziłem się jednak i prędko do domu umknąłem.

25 listopada, rok 1929, poniedziałek
Nic szczególnego w dniu dzisiejszym zanotować nie mam. Chyba to, że minister spraw wewnętrznych Musteikis ustąpi ze swego stanowiska, albowiem na posiedzeniu akcjonariuszów Banku Litewskiego wybrany został wraz z Janem Masiulisem na dyrektora tegoż banku. Na zastępcę jego wymieniają naczelnika powiatu w Olicie Arawicza. Po ustąpieniu ministra Musteikisa w Gabinecie Ministrów spośród tych, którzy objęli tekę bezpośrednio po zamachu stanu z d. 17 grudnia 1926, pozostanie już tylko jeden Aleksa – ostatni.

26 listopada, rok 1929, wtorek
Zanotuję pewien szczegół. Opowiadał mi Piotr Klimas, poseł litewski w Paryżu, co raz usłyszał od znanego ministra i męża stanu francuskiego Arystydesa Brianda. Briand mu mówił o swoich wrażeniach co do sporu polsko-litewskiego. Powiadał, że mu zawsze trudno było się zorientować w naturze tego szczególnego sporu, ale po rozmowie, jaką miał z Piłsudskim w towarzystwie angielskiego ministra Chamberlaina w Genewie przy czarnej kawie w grudniu r. 1927, wszelkie pojęcia w tej kwestii mu się pogmatwały i zupełnie przestał rozumieć. Było to wtedy, kiedy na ostrzu noża postawiona została przez Józefa Piłsudskiego kwestia, czy Litwa uważa się wobec Polski na stopie wojny czy pokoju i Liga Narodów czyniła na Litwę nacisk, by się porozumiała z Polską o nawiązanie stosunków regularnych. W Genewie był Voldemaras i przyjechał tam osobiście Marszałek Piłsudski. Piłsudski spędził wieczór z Briandem i Chamberlainem

przy kawie. Gdy zachodziła mowa o Warszawie, o Polsce i Polakach, Piłsudski kilkakrotnie się ofuknął, używając w przemówieniu do Brianda i Chamberlaina zwrotów: „*Ah! Votre Varsovie! Vos Polonais!*[21]" – jak żeby on był czym innym i jak żeby Warszawa i Polacy nie byli tym, co on reprezentuje i co jego pozycję stanowi. Briand i Chamberlain byli zdezorientowani. Natomiast mówiąc o Wilnie – Piłsudski nie nazywał go ani polskim, ani litewskim, tylko „swoim": „Moje Wilno!"

27 listopada, rok 1929, środa
Nic szczególnego do zanotowania.

28 listopada, rok 1929, czwartek
Zaprosiłem bawiącego w Kownie dla swoich interesów Eugeniusza Falejewa do teatru na przedstawienie opery „Mignon". Wziąłem też Jadzię ze sobą. Na operze „Mignon" byłem po raz pierwszy. Treść jest bardzo ładna, pełna bardzo subtelnego wdzięku. Obsada – zwłaszcza ról męskich – była słaba; nie było nikogo z najwybitniejszych sił opery kowieńskiej, nie mogłem przeto zaprezentować należycie naszej opery Falejewowi, który, zdaje się, był na niej po raz pierwszy. Rolę Wilhelma grał Byra, który ma głosik słaby. Filinę grała Galaunienė, której głosu wrzaskliwego, chociaż może pod względem techniki i wysokości tonów niezłego, i której układu i wyrazu szczurzego twarzy – nie lubię. Ale samą rolę tytułową Mignon odśpiewała bardzo silnie i odegrała z wielkim wdziękiem i ekspresją Węcewiczówna. Dobry też był Kuczyński w roli Lotharia.

29 listopada, rok 1929, piątek
Obejrzałem dziś z Jadzią wystawę młodych malarzy i rzeźbiarzy żydowskich krajowych, otwartą w lokalu Giełdy Pracy. Nędza. Ogółem jest koło 100 eksponatów, ale w ogromnej większości rzeczy zupełnie słabe. Porównywałem to w myśli do obrazów Stefana Römera, który ma na wiosnę z wystawą wystąpić. Ani się to umyło do pełnych ekspresji utworów Stefana.
Otrzymałem za podpisem Maizela list z Kowna, donoszący mi, że tenże Maizel (nie wiem, kto to jest taki, ale domyślam się, że zapewne Żyd kowieński – może jakiś student albo artysta) świeżo przyjechał z Paryża i ma dla mnie dużo rzeczy „moralnych i materialnych" od mego starego przyjaciela paryskiego – malarza Włodka Terlikowskiego. Z wielką niecierpliwością czekam na te rzeczy, zwłaszcza „materialne", bo domyślam się w nich obrazów Włodka Terlikowskiego, które mi on przysyła w upominku. Domyślam się dlatego, że właśnie niedawno temu pisałem do niego i zapytywałem, czy nie mógłby mi parę mniejszych tworów pędzla swojego sprzedać. Z Terlikowskim od kilku miesięcy nawiązałem kontakt listowny. Serdeczny to i brylantowej natury chłop, którego kocham mocno.

30 listopada, rok 1929, sobota
Mój domysł się sprawdził. Rano posłałem moją służącą Anielkę do owego Maizla, który przyjechał z Paryża, podług adresu, wskazanego mi w jego liście. Anielka wróciła z dwoma obrazami pędzla Włodka Terlikowskiego, przysłanymi przezeń za pośrednictwem Maizla dla mnie – oczywiście w upominku serdecznym, bezpłatnie. Oba są bardzo ładne; jeden przedstawia widok długiego, ciągnącego się w dal wybrzeża morskiego, złożonego z pięknej plaży zazębionej i wody morskiej, z kilku łodziami wciśniętymi w piasek u wybrzeża na bliższym planie, z obłokami w subtelnym blasku; złocisto-różowy piasek plaży ze stalowym tonem wody i subtelnym blaskiem w

[21] *Ah! Votre Varsovie! Vos Polonais!* (fr.) – Ach, Wasza Warszawa! Wasi Polacy!

obłokach daje całość barwną, słoneczną, bardzo ciepłą, o wspaniałym delikatnym kolorycie. W oprawie ram złotych będzie to rzecz śliczna. Drugi obrazek – *nature morte*: wazeczka czarno-zielonkawa trochę pękata z kilku rozrzuconymi tkwiącymi w niej żywymi ciętymi białymi kwiatami – rzecz bardzo subtelna i lekka w kształtach i kolorycie, a bardzo naturalna i jakaś pieściwa i wykwintna w układzie.
Oba obrazy są olejne, wykonane plamami farb bez rysunku; patrząc z bliska, jak zwykle w obrazkach tej metody, widać jeno chaos plam kolorowych; dopiero z odległości plamy te układają się harmonijnie w pewien efekt kształtów. Jest to metoda malarska znana, dziś już wcale nie nowa, którą z malarzy litewskich operuje Adam Varnas, acz, zdaje się, nie tak wyłącznie, jak oto Włodek Terlikowski. Jestem zachwycony tym upominkiem od kochanego Włodka. Wieczorem zgłosił się do mnie Maizel osobiście; jest to studencik Żyd z Kowna, obecnie „*licencié en droit*", który tu u nas kończy zdawać egzaminy na dyplom prawniczy Uniwersytetu Litewskiego. Opowiadał mi dużo o Terlikowskim, którego zna z Paryża dobrze. Terlikowski, pomimo 56 lat wieku, wygląda podobno młodo, jest lekki i żywy, jak zawsze, wieczny Cygan niespokojnego ducha. Ma już szóstą czy siódmą żonę; ostatnia, z którą się właśnie rozwodzi, by zaślubić albo się połączyć związkiem wolnym z młodą, zakochaną w nim 23-letnią dziewczyną, jest córką byłego ministra francuskiego Leyguesa; Terlikowski ma już dzisiaj sławę i pieniądze, ale to typ nie filistrujący, którego natury cygańskiej nawet pieniądze zmienić nie są w stanie. Terlikowski jest od lat 16 obywatelem francuskim. Oprócz tych dwóch obrazów, Terlikowski przysłał mi jeszcze pięknie wydaną książkę artystyczną o nim, pisaną przez Arsina Alexandra i wydaną w roku 1927 w Paryżu przez Librairie Félix Alcan pod tytułem: „W. de Terlikovski Peintre" z 39 reprodukcjami obrazów Włodka, przeważnie z Włoch i Francji, malowanych wszystkie tą samą metodą i z tekstem biograficznym i krytycznym. Doczekałem się, że o Włodku Terlikowskim książki się piszą!

1 grudnia, rok 1929, niedziela
Miałem dziś o południu niespodziewanych gości. Oto przyszedł do mnie prof. Szyłkowski w towarzystwie dwóch panów, którzy się okazali gośćmi z Polski, profesorami o nazwiskach znanych: Semkowicz z Krakowa (z Akademii Umiejętności) i Bołoz-Antoniewicz z Warszawy. Zabawili u mnie jakieś pół godzinki na rozmowie. Wrażenie zrobili na mnie przyjemne. Sami są pod wielkim wrażeniem Kowna i Litwy i tego, co tu zastali. Wnosząc z ich rozmowy, robią tu na każdym kroku odkrycia, które ich zdumiewają. Nie mogą pojąć, jak mogło tak z niczego i tak szybko powstać państwo z całym niezbędnym aparatem, sztuka, nauka, uniwersytet itd. Są zachwyceni i pełni uznania dla Litwy. Ogromne wrażenie zrobiła na nich Galeria Čurlanisa, zwłaszcza twórczość samego Čurlanisa, zaimponowała im biblioteka uniwersytecka. Powiadają, że się ani w przybliżeniu nie spodziewali jadąc zastać to, co obecnie stwierdzają. Jechali poniekąd jakby do kraju barbarzyńców, a przynajmniej tak ich usposobiono i wielu odradzało im jechać mówiąc, że nie warto i że może nawet niebezpiecznie. Tymczasem są widzami żywej tryskającej twórczości i energicznego organizowania się.

2 grudnia, rok 1929, poniedziałek
Przede wszystkim poprawka: ten profesor z Warszawy, który tu przyjechał z prof. Semkowiczem, to nie jest, jak go wczoraj nazwałem Bołoz-Antoniewicz (prof. Bołoz-Antoniewicz ze Lwowa, historyk sztuki, już nie żyje), jeno po prostu Antoniewicz. Spotkaliśmy się dziś z tymi profesorami polskimi wieczorem w mieszkaniu prof. Włodzimierza Szyłkowskiego, który z powodu tej okazji zaprosił do siebie grono profesorów litewskich, nie usposobionych szczególnie do polonofobii. Oczywiście,

gdyby to byli profesorowie jakiejkolwiek innej narodowości, byliby oni witani na uniwersytecie urzędowo i uroczyście. Ze względu jednak na istniejące stosunki polsko-litewskie, profesorowie Polacy mogą być tu w Kownie honorowani tylko zakulisowo i prywatnie, bez firmy uniwersytetu. Z profesury litewskiej do Szyłkowskiego na to spotkanie z dwoma uczonymi polskimi przyszli: rektor Czapiński, prorektor ks. prof. Česnys, dziekan Wydziału Humanistycznego prof. Krėvė-Mickiewicz, ks. Tumas, prof. Michał Biržiška, prof. Karsawin i ja; poza tym był jeszcze dyrektor „Elty" Turowski Zabawiliśmy tam od godz. dziewiątej do północy. Większą część tego czasu spędziliśmy przy kolacji i kawie. Rozmowa była tylko prywatna. Nie było żadnych przemówień ani toastów, ani referatów. Dyrektor „Elty" Turowski, chcąc zachować widocznie rezerwę zupełną w stosunku do Polaków – nie wiem, czy przez dyplomację, czy z usposobienia polonofobskiego – nie brał wcale udziału w rozmowie i pozostawał cały czas na uboczu, rozmawiając tylko czasem kilka słów po litewsku z którymś z profesorów naszych. Jutro mamy się jeszcze z tymi panami z Polski spotkać u prof. Michała Biržiški.

3 grudnia, rok 1929, wtorek
Profesorowie polscy Semkowicz i Antoniewicz byli dziś zaproszeni na wieczór na herbatkę do prof. Michała Biržiški. Ponieważ obaj goście mieli przy tej okazji wygłosić referaty informacyjne o stanie prac i badań historycznych w Polsce ze szczególnym uwzględnieniem tych badań, które dotyczą lub potrącają o Litwę, więc na herbatkę tę Michał Biržiška zaprosił zwłaszcza te osoby z profesury naszej i nawet spoza profesury, które bądź pracują na polu historycznym, bądź się historią interesują. Oprócz samych gospodarzy – obojga państwa Michałostwa Biržišków – obecni byli: profesorowie historii na Wydziale Humanistycznym naszego uniwersytetu Jan Yčas i Ignacy Jonynas, historyk z powołania, znawca i szperacz tekstów historycznych, sędzia Konstanty Jabłoński, archeolog pułkownik Tarasenko, historyk prawa prof. Janulaitis, historyk sztuki prof. Galaunė, bibliotekarz uniwersytetu prof. Wacław Biržiška, prorektor ks. prof. Česnys, prof. ksiądz Alekna, prof. Wiktor Biržiška i ja. Herbata, kanapki i ciasta były roznoszone; siedziało się w salonie w głębokich fotelach skórzanych i miękkich meblach. Referował wpierw prof. Semkowicz, potem prof. Antoniewicz, a następnie zadawano im pytania i rozwinęła się gawędka, w której zwłaszcza brali udział historycy. Polacy zrobili na Litwinów wrażenie jak najlepsze, szczególnie dziekan prof. Semkowicz. Prof. Semkowicz opowiadał o archiwach i aktach historycznych litewskich w Polsce, o wydawnictwach tychże, o współczesnych organach i publikacjach naukowych, demonstrował niektóre odbitki i fotografie z ciekawszych dokumentów i aktów, puszczał w obieg próbki niektórych publikacji i zeszyty czasopisma naukowego heraldycznego, w których umieszcza on swoje dociekania i studia o rodach polskich i litewskich, w szczególności referował swoje studia o jednym z najwybitniejszych doradców Jagiełły Hanusonie, z pochodzenia Ryżaninie; wystudiował on biografię i najcharakterystyczniejsze czyny tego człowieka, w których świetle bardzo ciekawe się uwydatniają prądy i motywy unii Litwy z Polską na tle stosunków gospodarczych ówczesnych. Semkowicz po prostu zaimponował doniosłością swoich studiów i niezwykłą wagą swoich wniosków. Zakończył bardzo ładnie apelem do współpracy naukowej i zyskał poklask szczery słuchaczy. Antoniewicz, którego specjalnością jest archeologia i prahistoria, operował więcej ogólnikami. Gdyby nie te nieszczęsne stosunki między Polską a Litwą, które nie dają możności urzędowego witania uczonych polskich przez Uniwersytet Litewski, Semkowicz i Antoniewicz zrobiliby tu furorę, a referat Semkowicza, wygłoszony w uniwersytecie, byłby prawdziwym uświetnieniem wizyty. Niestety – okoliczności polityczne zmusiły do zamknięcia tego ciekawego

odczytu w kółku prywatnym i prywatnym mieszkaniu. Apel do współpracy nie został jednak chybiony. Z rozmowy, rozwiniętej następnie przez prof. Jonynasa, wywiązała się idea koniecznego kontaktu i jeżeli nie współpracy, to przynajmniej wzajemnego informowania się w zakresie usiłowań tak litewskich, jak polskich – do rewindykacji z Rosji zabytków, archiwów i aktów historycznych polskich i litewskich, wywiezionych w ciągu w. XIX i w czasie Wielkiej Wojny.

4 grudnia, rok 1929, środa
Poszedłem dziś poradzić się do lekarza. Namawiała mię do tego jeszcze latem Marynia i nalegała na Jadzię, aby wymogła to na mnie koniecznie, a już Jadzia, która wciąż drży o moje życie, zabrała się do tego gorliwie. Ociągałem się, ale wreszcie poszedłem. Udałem się do dr Ławrynowicza, tego samego, który leczył Jadzię. Dobry to i skromny lekarz, człowiek jeszcze młody. Opukał mię, wysłuchał, wymacał, szczególnie zaś pulsem się interesował, poważył, zmierzył, dokonał na poczekaniu doraźnej i powierzchownej analizy moczu. Stwierdził, że właściwie wszystkie organy wewnętrzne mam zdrowe. Wątroba, śledziona, nerki – zdrowe; w moczu nie ma ani białka, ani cukru. Skleroza już oczywiście jest, toteż przepisał jodynę. Ale cała rzecz, na którą główną uwagę zwrócił, to moja skłonność do tycia, która zwłaszcza oddziaływa ujemnie na serce zarówno w kierunku otłuszczenia tegoż, co je osłabia i energii oraz sprężystości pozbawia, jak w kierunku deformacji sytuacyjnej tegoż, albowiem przez podnoszenie się poziomu żołądka czy jamy brzusznej, obrastającej tłuszczem, serce, podpierane z dołu, deformuje się. Od serca zaś – wszystko inne. Ważę 103 kilo, podczas gdy w stosunku do wzrostu mego powinienem by normalnie ważyć 80 kilo. Doktor zalecił mi gimnastykę metodą Müllera, którą dawniej uprawiałem, jeno od lat czterech zaniechałem, wałkowanie się walcem ręcznym jako ersatz-masaż, wstrzemięźliwość co do alkoholu, zmniejszenie, ile można, palenia (tego nie obiecuję), unikanie pokarmów mącznych i zwłaszcza bułki pszennej, soli jak najmniej i tłuszczów, natomiast używanie owoców, jarzyn – zwłaszcza surowych, kapusty kwaszonej jak najwięcej, mięso gotowane i nie tłuste. Kawy nie zabronił.
Dziś wieczorem wraz z gośćmi polskimi – profesorami Semkowiczem i Antoniewiczem – i kilku profesorami Litwinami z rektorem naszym Czapińskim na czele – byłem zaproszony na kolację do lokalu stowarzyszeń akademickich polskich. O tej kolacji, o jej nastroju, o mowach, które tam były wygłoszone, powiem w dzienniku jutro.

5 grudnia, rok 1929, czwartek
Opowiem dziś o wczorajszym wieczorze u młodzieży akademickiej polskiej z udziałem gości – profesorów z Polski i profesury Uniwersytetu Litewskiego. Wieczór ten miał miejsce w gmachu stowarzyszeń polskich przy ul. Orzeszkowej i był dość niezwykły. Rolę gospodarzy grała młodzież akademicka polska Uniwersytetu Litewskiego, która jest zorganizowana w jednym stowarzyszeniu ogólnoakademickim o charakterze narodowym pod nazwą „Zjednoczenie Polaków Studentów Uniwersytetu Litewskiego" (czyli w skróceniu inicjałowym – „PSUL") i dwóch korporacjach – „Laudzie", założonej w r. 1928 za mojego rektoratu, i „Auterii", założonej w r. 1929. Nigdy dotąd młodzież polska nie miała u siebie profesury litewskiej; przywykła ona do tego, że w obecnych stosunkach polsko-litewskich jest ona, jako polska, traktowana po macoszemu przez społeczeństwo litewskie – w szczególności traktowana z niechęcią przez młodzież litewską i co najmniej z rezerwą przez profesurę i władze uniwersyteckie. Kiedy w r. 1928 za mego rektoratu była zakładana korporacja „Lauda", prof. Leonas, który zawsze, jako przedstawiciel Wydziału Prawniczego, udziela senatowi akademickiemu opinii w sprawie możności zarejestrowania stowarzyszeń

studenckich i którego opinia jest zwykle decydująca, wyraził opinię przeciwko zarejestrowaniu „Laudy" jako rzekomo organizacji politycznej, choć to wcale ze zgłoszonego statutu nie wypływało, musiałem oponować i tylko na skutek mojej, jako rektora, interwencji senat korporację zatwierdził. Nigdy na żadnej uroczystości stowarzyszeń młodzieży polskiej nikt z profesury litewskiej nie bywał, bo młodzież polska – to w Kownie rzecz trefna; tylko prof. Szyłkowski, jako osobiście Polak, bywał u nich, i ja – będąc rektorem – byłem na balu młodzieży polskiej w r. 1928.
Otóż teraz z okazji obecności profesorów polskich Semkowicza i Antoniewicza młodzież zorganizowana polska urządziła dla nich w lokalu swoim przyjęcie, na które oprócz gości zaprosiła także kilku profesorów Uniwersytetu Litewskiego z rektorem Czapińskim na czele. Już z samego względu na gości polskich profesorowie Litwini skorzystali z zaproszenia, aby profesorom polskim pokazać, że u nas – bez względu na wrogie stosunki polityczne Litwy z Polską – młodzież polska jest przez uniwersytet traktowana poprawnie i przez profesurę oraz władze uniwersyteckie serdecznie popierana. Nie twierdzę, żeby to był jedyny motyw przyjścia na wieczór tych profesorów Litwinów, którzy przyszli, ale niewątpliwie wśród innych był i ten. Na przyjęciu tym więc prócz młodzieży akademickiej polskiej i gości – profesorów Semkowicza i Antoniewicza – był prof. Szyłkowski i ja i profesorowie Litwini: rektor prof. Czapiński, dziekan prof. Krėvė-Mickiewicz i prof. Michał Biržiška. Był też obecny filister honorowy „Laudy" i jej patron faktyczny oraz wódz ideowy – hr. Konstanty Zyberk-Plater z Kurtowian.

6 grudnia, rok 1929, piątek
Dalszy ciąg o pozawczorajszym wieczorze u młodzieży akademickiej polskiej z udziałem gości z Polski i profesorów litewskich. Od wielu lat po raz pierwszy na tym zebraniu w obliczu młodzieży padły słowa miłości i braterstwa między Polakami i Litwinami, słowa zaiste niezwykłe, których ucho nasze oduczyło się już słyszeć i które jeno w głębi serca mego drzemały jak talizman i tęsknota – niewymawialne.
I przemawiali właśnie wszyscy dojrzali – zarówno profesorowie polscy, jak litewscy – właśnie prócz mnie jednego, choć dla mnie było to może najistotniejsze... Nie chciałem jednak mówić. Wolałem słuchać, co tamci z jednej i drugiej strony powiedzą.
Ze strony młodzieży było więcej toastów, krótkich, nacechowanych entuzjazmem okrzyków, zawołań promienistych, pięknych pieśni, jak zwłaszcza „pieśń Laudy nr 3", ułożona przez Konstantego Zyberk-Platera, niż mów. Mowy z ust starszych szły w tej kolejce: prof. Semkowicz, rektor Czapiński, prof. Michał Biržiška, Konstanty Zyberk-Plater, prof. Antoniewicz, prof. Szyłkowski, prof. Krėvė-Mickiewicz. Semkowicz witał słowem serdecznym „młódź polską", wyrażał swoje uczucia i wrażenia, doznane w Kownie i Litwie, dawał wyraz uznania dla tego, co tu zastał i czego się ujrzeć nie spodziewał, ze szczególnym zaś uznaniem podkreślił to skojarzenie u wspólnego stołu w pojednaniu i zrozumieniu się wzajemnym młodzieży polskiej i profesury litewskiej. Niestety, Semkowicz nie wiedział lub wiedzieć nie chciał, że to spotkanie było pierwsze i jedyne i że tylko przyjazd uczonych polskich dał to skojarzenie w warunkach naszych niezwykłe. W toastach młodzieży to „po raz pierwszy" było zaznaczone dość dobitnie, ale Semkowicz tego bądź nie zauważył, bądź zauważyć nie chciał i miał rację i wdzięczny mu za to jestem. W ogóle prof. Semkowicz przez cały tu czas swego pobytu zachował takt doskonały i na wszystkich, kto się z nim zetknął, czynił wrażenie najlepsze, a każdym swoim przemówieniem czy to w rozmowie, czy w słowach publicznych budził szacunek, rozjaśniał myśl i pomnażał swój i nauki polskiej autorytet.
Rektor Czapiński przemawiał krótko, ale w przemówieniu jego był moment niezwykłego solidaryzmu polsko-litewskiego. Porównał on stosunki litewsko-polskie

do szkocko-angielskich: jak dziś Szkoci z Anglikami współżyją w zgodzie i szacunku wzajemnym bez śladu najmniejszego tych niechęci i walk ostrych, które ich dzieliły niegdyś, tak Litwini z Polakami, przez historię i kulturę zbliżeni, acz powaśnieni w dobie odzyskania niepodległości, odnajdą braterstwo i zgodę i współżyć będą w miłości i zaufaniu wzajemnym.

7 grudnia, rok 1929, sobota
Zanadto mi się coś rozwlekle wałkuje opis wieczoru w środę u studentów Polaków. Będę się streszczał, by skończyć już dziś przynajmniej. W mowach profesury litewskiej i polskiej był ton bratania się, bardzo daleko idącego. Że był on w mowach uczonych polskich – temu się dziwić trudno. Strona polska – silniejsza – zawsze się w zetknięciu z Litwinami do braterstwa odwołuje, bo dla niej braterstwo to jest zyskowne: i zabiera ona bratu Wilno, i woła go w objęcia bratnie, otwierając mu ramiona tak szeroko, żeby w nich się prócz Wilna i Kowno jeszcze całe wraz z resztą pozostałą zmieściło. Ale Litwini braterstwa tego unikają, a w swoich o Polsce i Polakach sądach zawsze Polakom to „braterstwo" jako obłudę wytykają. Tymczasem tu sami na nutę braterstwa zaśpiewali. Wierzę nawet, że szczerze, bo ton ten zabrzmiał zwłaszcza w przemówieniach rektora Czapińskiego i dziekana Krėvė-Mickiewicza: pierwszy z nich jest socjalnym demokratą, tolerantem, wrogiem krzykackiego nacjonalizmu, szczególnie się nawet lubującym w sprawiedliwym traktowaniu Polaków, co mu niewątpliwie zaszczyt szlachetny przynosi, drugi jest poetą, który potrafi raz wołać publicznie, że Polaków bić należy po pyskach, to znów drugi raz wyciągać do nich rękę miłości i nazywać ich braćmi. Uczeni goście polscy – profesorowie Semkowicz i Antoniewicz – po powrocie do Polski mają swoje wrażenia z Kowna ogłosić przez radio. Dobrze byłoby posłuchać ich relacji, gdy będą o nas mówić tam – w Polsce, wśród swoich. I kto wie jeszcze, czy rektorowi Czapińskiemu i prof. Krėvė-Mickiewiczowi nie wypadnie odwoływać lub tłumaczyć się z tego, co tu wypowiedzieli i co goście może tam powtórzą wiernie albo przynajmniej osłabiać wrażenie zbyt silne tej deklaracji braterskiej, wyjaśniając, że zostali źle zrozumiani lub że ich przemówienia zostały rzekomo przekręcone. A cóż oni tu na tym „bankiecie" młodzieży akademickiej polskiej gościom polskim powiedzieli? Oto Czapiński za ideał i wzór stosunkom litewsko-polskim stawiał współżycie szkocko-angielskie; ale wszak stąd można uczynić wniosek, że wzorem tym, zalecanym dla Litwinów, jest wcielenie się do państwa polskiego, bodaj nawet do języka polskiego z zachowaniem jeno pewnych właściwości dzielnicowo-obyczajowych i dzielnicowo-prawnych, jak Szkoci w Anglii. A Krėvė-Mickiewicza mowa streszczała się w gruncie rzeczy do tego, że właściwie jest on tyleż Polakiem, co Litwinem i że pokrewieństwo jest tak bliskie, iż graniczy z utożsamieniem. Ostrożniejszy był w swym dłuższym i treściwszym przemówieniu prof. Michał Biržiška. Mówił, jak polonofil, to prawda, ale jak Litwin; w jego przemówieniu – jedynym – była nawet pewna aluzja do Wilna, o tyle przynajmniej, że nadmienił, iż jest on Litwinem, pragnącym „szerszej Litwy". Przemawiał on nie tyle do gości polskich, ile do młodzieży polskiej w Litwie, wzywając ją do tego, by ukochała Litwę i by ambicją jej było pośredniczyć między narodem litewskim i polskim i formułę pojednania znaleźć i wykonać. W odpowiedzi Biržišce Konstanty Zyberk-Plater głosem wzruszonym zapewniał, że Polacy litewscy Litwę ojczystą kochają i są do obywatelstwa zupełnie dojrzali, wiedząc o swoim obowiązku i nie wahając się nigdy, a młodzież na dowód tegoż zaintonowała pieśń laudańską, ułożoną przez tego Zyberka-Platera, istotnie ładną i rzewną, acz smutną, bo stwierdzającą mroki nocy w Litwie w stosunku do Polaków, ale też wyrażającą nadzieję, że te mroki się rozproszą i że znów słońce zgody i miłości zaświeci. Ba – ładny był nastrój wieczoru, ze strony zaś polskiej

szlachetny i piękny, jak zawsze, był głos Semkowicza, a Antoniewicz, słodki jak cukier, zbyt słodki nawet, kreślił swoje wrażenia i swoją otuchę z tego, co tu w Kownie zastał i czego doświadczył, w szczególności zaś mówiąc o Krėvė-Mickiewiczu i o mnie, których wyobrażał sobie jako starców sędziwych z długimi brodami; mówił o mojej przeszłości legionowej, wzywał młodzież polską, by uszanowała i ceniła moje oddanie się Litwie.
Ba – piękne to wszystko i nastrojowo szczere, ale wszak, niestety, to są tylko jednostki i mianowicie z pokolenia Litwinów, co to „*grattez un Lithuanien – vous y trouverez un Polonais*". Młode pokolenie inteligencji litewskiej tego podłoża polskiego już w sobie nie ma, a wychowanie, hasła, w których się rozwijało i pojęcia nie tylko je z polskością nie spokrewniły i nie uczuliły, ale wręcz usposobiły do tego, co polskie, wrogo i uczuciowo wstrętnie. A nawet ze starszego pokolenia już tylko jednostki do zbliżenia litewsko-polskiego ciążą. Prof. Leonas, prof. Tamošaitis i wielu innych – udziału w tym zbliżeniu wziąć nie zechcą już wcale.

8 grudnia, rok 1929, niedziela
Miałem dziś trzy posiedzenia. Rano – posiedzenia Rady Wydziału Prawniczego, które zresztą było krótkie i nic ciekawego nie przedstawiało, toteż o nim nic pisać nie będę. W związku z tym wspomnę tylko o tym, co miało miejsce nie na dzisiejszym, lecz na poprzednim posiedzeniu Rady Wydziału – równo przed dwoma tygodniami: Statut uniwersytecki czy też regulamin przewiduje 65 lat jako granicę wieku dla profesora, zastrzegając jednak, że uchwałą wydziału (rady) granica ta może być poszczególnemu profesorowi prolongowana, o ile Rada Wydziału uważa, że dany profesor jeszcze się umysłowo nie zestarzał. Otóż na naszym wydziale zaszedł właśnie fakt taki. Najstarszy z naszej profesury wydziałowej – prof. Leonas, dziekan wydziału – doszedł granicy wieku i przeto zgłosił swoją dymisję. Sam na to posiedzenie rady, na którym jego dymisja została zgłoszona, nie przyszedł, przewodniczył więc w jego zastępstwie sekretarz wydziału – prof. Wacław Biržiška. Rada Wydziału jednogłośnie prolongowała prof. Leonasowi granicę wieku na lat pięć – do roku 1934. Było to zupełnie uzasadnione, bo istotnie Leonas, choć już biały zupełnie, zachował zupełną energię i sprężystość umysłową i ma jeszcze temperament, którego by mu niejeden młody mógł pozazdrościć.
Drugie posiedzenie, które miałem dzisiaj, to zebranie organizacyjne Towarzystwa Historycznego, zainicjowanego przez prof. Janulaitisa. Towarzystwo jest już zarejestrowane i dziś odbyło się w gmachu uniwersytetu pierwsze zebranie ogólne członków, którymi są założyciele i kilka osób, przez nich kooptowanych. W zebraniu wzięli udział: prof. Janulaitis, prof. Jonynas, prof. Galaunė, Konstanty Jabłoński, prof. Volter, prof. Wacław Biržiška, pułkownik Tarasenko i ja. Na przewodniczącego powołano mnie. Wybrano zarząd w osobach: prezes Janulaitis, wiceprezes Jonynas, sekretarz Jabłoński, kasjer Tarasenko i bibliotekarz Wacław Biržiška. Towarzystwo ma wydawać organ naukowy, poświęcony badaniom historycznym; towarzystwo już uzyskało od Ministerium Oświaty częściowo zapomogę, częściowo zaś pożyczkę na to wydawnictwo, którego tom I już się gotuje do druku pod redakcją prof. Janulaitisa. Na posiedzeniu podniosłem zagadnienie archiwów i zbiorów aktów historycznych, istniejących w kraju, w szczególności – ewidencji tychże. Rzecz tę przekazano do obmyślenia zarządowi. Na tym się posiedzenie wyczerpało.
O godz. czwartej miał miejsce sąd dyscyplinarny Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego nad asystentem tegoż wydziału – dr Slavėnasem, który przed kilku miesiącami obraził publicznie prof. Folka. Musiałem brać w tym udział, ponieważ Wydział Matematyczno-Przyrodniczy wybrał mię na oskarżyciela.

9 grudnia, rok 1929, poniedziałek
Wczorajszy sąd dyscyplinarny Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego nad asystentem i aspirantem do profesury tegoż dr Slavėnasem. Oskarżony dr Slavėnas był jednym z pierwszych i celujących uczni Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego. Ze względu na jego wybitne zdolności, uwydatnione zwłaszcza w zakresie matematyki, profesorowie pokładali w nim wielkie nadzieje i po ukończeniu przezeń wydziału wyrobili mu stypendium na dalsze studia za granicą, aby go wyspecjalizować i uzdatnić do objęcia profesury. Slavėnas odbywał dalsze studia w Ameryce – w Stanach Zjednoczonych, doktoryzował się i latem roku 1928 wrócił do Litwy. Za specjalność sobie obrał astronomię, którą u nas wykłada Kodaitis – Litwin pruski, człowiek bardzo miły, kulturalny, światły, zamiłowany w specjalności swej, pracowity, ale z małym felerem formalnym, bo nie posiadający dyplomu – niedokończony w studiach uniwersyteckich, wskutek czego nie ma u nas pełnego tytułu docenta i jest jeno „pełniącym obowiązki docenta”. Dr Slavėnas po przyjeździe zgłosił się na asystenta przy katedrze astronomii, ale wydział, powołując się na to, że stanowisko to jest zajęte, mianował go asystentem przy katedrze geometrii. Wówczas Slavėnas podał się do prywatnej docentury w zakresie astronomii. Wydział wyłonił komisję w osobach profesora Folka, Kiejstuta Šliupasa i Kodaitisa dla ustalenia tematu inauguracyjnego wykładu popisowego dr Slavėnasa. Rzecz się dla różnych powodów zwlekła nieco ku wielkiemu niezadowoleniu Slavėnasa. Powody zwłoki były rozmaite: poniekąd przeładowanie członków komisji i jej prezesa prof. Folka rozmaitymi pracami, poniekąd wzgląd na zamierzoną przez rząd całkowitą likwidację katedry astronomii, poniekąd opieszałość; dr Slavėnas zaś domyślał się w tej zwłoce innych czynników, mianowicie – z jednej strony niechęci prof. Folka, obrażonego za to, że Slavėnas nie dość mu się kłaniał i o jego względy ubiegał, z drugiej – obaw o pozycję Kodaitisa, dla którego Slavėnas, posiadający stopień naukowy, mógł się stać niebezpiecznym rywalem. Czy domysły Slavėnasa były zasadne – nie wiem. Zresztą i o tych domysłach słyszałem jeno z ust trzecich. W każdym razie, zwlekała trochę komisja, zwlekał i sam wydział. Dr Slavėnasa trochę to niecierpliwiło. A człowiek to choć zdolny, ale inteligent surowy w pierwszym pokoleniu, pochodzący z ludu, nie wychowany w cywilizacji inteligenckiej, natomiast zepsuty przez naleciałości rosyjsko-bolszewickie, albowiem należący do tego pokolenia, które się napatrzyło metod bolszewickich w okresie rewolucji powojennej w Rosji – właśnie metod bolszewików szeregowych, łokciami, krzykiem najgłośniejszym, deptaniem bez ceremonii wszystkiego, co stoi na drodze, torujących sobie drogę, nie zaś koncepcji ideowych komunizmu szczytowego. Sam Slavėnas podobno się był w Rosji do bolszewizmu angażował i z tych praktyk wyniósł nie tyle jakieś specjalne przekonania i ideały, ile właśnie metody robienia kariery wszelkimi sposobami, a w szczególności przystosowywania się do tego, co jest silne i ma władzę i kopanie tego, co mu stoi na przeszkodzie i co jest słabe. Szanowanie autorytetów, kultura grzeczności, subtelność taktu i miary – nie należały do jego usposobienia. Sam będąc takim – innych też takimi być sądził i w szczególności przesadzał w posądzaniu zwierzchności wydziału i profesury o kierowanie się intrygami i motywami osobistymi kariery i prywaty w rozstrzyganiu jego kwestii. Był więc skłonny robić sobie drogę łokciami, jak w karczmie lub „u Urbana” i jednocześnie spekulować na kampanii rządowej za czasów Voldemarasa przeciwko uniwersytetowi i na tendencjach narodowców przeciwko cudzoziemcom i lewicowcom w profesurze. Na tle takich oto nastrojów, które się poza tym wyraziły w udzielaniu przez Slavėnasa odpowiednich informacji o uniwersytecie gazecie narodowców „Lietuvos Aidas” w dobie, gdy to pismo produkowało swoje napaści na uniwersytet, dr Slavėnas razu

pewnego, kiedy już komisja wydziałowa wyznaczyła mu temat dla wykładu popisowego (z tematu tego Slavėnas był niezadowolony), zrobił prof. Folkowi awanturę karczemnego stylu w obecności studentów, nazywając postępowanie profesora „chuligańskim", bijąc pięścią o stół, wygrażając kułakami, w sposób obraźliwy kwalifikując pewne wymagania formalne komisji itp.

10 grudnia, rok 1929, wtorek
Sąd dyscyplinarny na dr Slavėnasa był zorganizowany w następujący sposób. Rada Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego wyznaczyła trzech członków swoich, mających tworzyć sąd: prof. Regela, prof. Szywickiego i asystenta Prapuolenisa. Prezesem sądu był Prof. Regel, sekretarzem – Prapuolenis. W myśl regulaminu, rada winna wyznaczyć oskarżyciela spośród profesorów Wydziału Prawniczego i spośród tychże powinien być wyznaczony obrońca, o ile oskarżony sam go sobie nie wybrał. Na oskarżyciela Wydział M.-Przyrodniczy wyznaczył mnie, obrońcę zaś wybrał sobie oskarżony dr Slavėnas w osobie prof. Leonasa. Sąd już był ukonstytuowany w semestrze wiosennym i w maju ułożyłem już akt oskarżenia, który doręczyłem dziekanowi wydziału prof. Zygmuntowi Žemaitisowi. Akurat wszakże na wiosnę dr Slavėnas został powołany na służbę wojskową i wskutek tego rozprawa sądowa została odroczona. Wreszcie została ona wyznaczona na pozawczoraj. Rozprawa odbyła się w jednym z audytoriów tzw. Gmachu Wielkiego („Didieji Universiteto Rūmai" – gmach byłej drukarni państwowej). Obecny był na rozprawie rektor prof. Czapiński, dziekan prof. Žemaitis i kilka osób z niższego personelu wydziału (asystenci). Poza tym kilku profesorów było wezwanych na żądanie Leonasa w charakterze świadków – prof. Kodaitis, prof. Kiejstut Šliupas, prof. Wiktor Biržiška, prof. Purėnas. Był też obecny pokrzywdzony prof. Folk. Rozprawa toczyła się dość kulawo, bo sędziami byli nie prawnicy, którzy nie orientowali się w procedurze. Zdaje się, że to był pierwszy wypadek, kiedy mi się zdarzyło wystąpić w roli oskarżyciela. Wywiązałem się zresztą z zadania, które nie było trudne, nieźle. Po mowie prof. Leonasa sąd udał się na naradę i następnie ogłosił wyrok, którym potępił wybryk dr Slavėnasa, ale zarazem przyznał okoliczności łagodzące, które dostrzegł w zwlekaniu sprawy habilitacji Slavėnasa przez komisję i wobec tego skazał winnego na naganę. Prof. Folk był nierad z wyroku ze względu na to, że pominięto w nim satysfakcję osobistą prof. Folka. Prof. Folk odgraża się, że zaskarży dr Slavėnasa do sądu koronnego.

11 grudnia, rok 1929, środa
Pozawczoraj wieczorem byłem na dorocznym walnym zebraniu założonego w roku zeszłym Towarzystwa Litewsko-Żydowskiego, którego jestem członkiem. Walne zebranie odbyło się w lokalu biblioteki żydowskiej imienia Mapu. Walne zebranie było jednak mizerne; ogółem zebrało się łącznie z członkami zarządu... 15 osób! Z Litwinów obecni byli: prezes towarzystwa prof. Michał Biržiška, prezes Litewskiego Związku Dziennikarzy dr Józef Purycki, młody prawnik i działacz chrześcijańsko-demokratyczny dr Raulinaitis, młody prawnik czy też ekonomista, nasz były student Dagys – i oto, zdaje się, wszystko. Reszta – Żydzi. Z wybitniejszych był adwokat Robinzon, adwokat i działacz polityczny Garfunkel, socjalny demokrata dr Epsztejn, docent Szapiro, student Rozowski. Na przewodniczącego powołano mnie. Garfunkel wygłosił obszerny i dość ciekawy, choć tendencyjny odczyt o Palestynie w związku zwłaszcza z ostatnimi zaburzeniami, w których Arabi dokonali szeregu pogromu Żydów; w odczycie swoim usiłował dowieść, że ruch ten nie był u Arabów ludowym, jeno sztucznie wydmuchanym przez obszarników arabsko-palestyńskich, nienawidzących Żydów za wprowadzony przez nich postęp, usuwający wyzysk klas

ludowo-robotniczych. Następnie zarząd dał sprawozdanie działalności za rok ubiegły i odbyły się wybory nowego zarządu, które właściwie udzieliły nowego mandatu dotychczasowemu zarządowi. Na tym się posiedzenie zamknęło. Towarzystwo Litewsko-Żydowskie, jedno z licznych w tym rodzaju, skierowanych do zbliżenia się i poznania między narodami (istnieją towarzystwa: litewsko-francuskie, litewsko-niemieckie, litewsko-łotewskie, litewsko-ukraińskie, litewsko-angielskie itd.) jest niewątpliwie bardzo pożyteczne, aczkolwiek mniej czynne, niż by się należało. Niestety, towarzystwa litewsko-polskiego dotąd nie ma, choć byłoby może najpotrzebniejsze: stosunki polsko-litewskie urzędowe nie dały dotąd możności zrealizowania tej pięknej i bardzo ważnej idei.

12 grudnia, rok 1929, czwartek
Na uniwersytecie semestr się już kończy w sobotę. Dziś miałem ostatni wykład na I semestrze, wczoraj – ostatnie seminarium na III semestrze (na zakończenie był referat studenta Andrzeja Gintowta na temat „Król belgijski, król francuski z r. 1791 i cesarz japoński" z kontrreferatem studentki Marii Kriščiukaitisówny, córki prezesa Trybunału; referat był ładny, a kontrreferat krótki – śliczny, najpiękniejszy w semestrze; p. Kriščiukaitisówna, nie tyle ładna, ile pełna wdzięku i inteligencji, bardzo miła panna, zarazem prawniczka i muzyczka, studiuje jednocześnie prawo na uniwersytecie i muzykę w konserwatorium).
Choć na uniwersytecie pracę semestralną już ukończyłem, to jednak wyjadę na święta dopiero w końcu tygodnia przyszłego, bo mam jeszcze pracę w Radzie Stanu i pieniędzy jeszcze nie otrzymałem.

13 grudnia, rok 1929, piątek
Nasz statut uniwersytecki przewiduje jedną katedrę prawa konstytucyjnego, która urzędowo ma nazwę „prawa państwowego" („valstybės" albo „valstybinė teisė" z niemieckiego „Staatsrecht" i rosyjskiego „Gosudarstwiennoje prawo", ja wszakże, wzorując się na terminologii francuskiej, która wydaje mi się pod tym względem ściślejsza, używam terminu „prawo konstytucyjne" („*konstitucinė teisė*" – „*droit constitutionnel*"). Ale etaty profesury przewidują dwóch profesorów (profesor i docent) do wykładania prawa konstytucyjnego, zaś podług planu organizacji wykładów, przyjętego na samym początku podczas organizowania Wydziału Prawniczego, całość prawa konstytucyjnego rozbito, wzorując się, jak się zdaje, na precedensach uniwersyteckich w dawnej Rosji, na dwa równoległe kursy: a. prawo konstytucyjne ogólne i b. prawo konstytucyjne litewskie. Dla każdego z tych dwóch kursów wyznaczono po cztery godziny tygodniowo wykładów; prawo konstytucyjne ogólne przydzielono do semestru I i II, prawo konstytucyjne litewskie – do semestrów III i IV. Dla każdego też z tych dwóch kursów wyznaczono osobnego prelegenta: prawo konstytucyjne ogólne objąłem ja, prawo konstytucyjne litewskie – docent Antoni Tumėnas. Tak też pozostało i jest dotychczas. Egzaminujemy każdy osobno, każdy ze swego kursu, ale ponieważ katedra jest jedna i do dyplomu stopień jest jeden, więc stopień ostateczny ustalamy dla każdego studenta przeciętny. Gdyśmy nasz zawód profesorski zaczynali, obaj z Tumėnasem byliśmy docentami. Odtąd ja awansowałem dwukrotnie i doszedłem stopnia najwyższego – profesora zwyczajnego, Tumėnas pozostał dotąd docentem. Tumėnas nie awansuje, bo czy ma piórowstręt, czy też nie odważa się podać żadnej pracy do druku, uważając, że powinna by być jeszcze lepsza (widocznie nie hołduje zasadzie francuskiej: „*le mieux est l'ennemi du bien*"[22], dość że przez cały czas swojej profesury (7 lat) nic drukiem nie ogłosił. Co do mnie, miałbym

[22] *Le mieux est l'ennemi du bien* (fr.) – Lepsze jest wrogiem dobrego.

wielką chęć objąć także wykłady prawa konstytucyjnego litewskiego, ale nie mogę tego zrobić ani ujawnić, bo wyglądałoby to, że chcę Tumėnasa usunąć. W wykładach naszych i całym ujmowaniu teorii prawa konstytucyjnego jest między mną a Tumėnasem głęboki rozdźwięk zasadniczy, co na mniej wyrobionych i samodzielnych studentów niezbyt dobrze działa. Tumėnas pod względem ścisłości logiki ma umysł głęboki i jest prawnikiem dogmatykiem dobrym, ale, moim zdaniem, nie posiada żadnych pierwiastków twórczych w swoim umyśle, toteż w konstrukcjach jest niezdarny i ubogi, do syntezy naukowej nie ma żadnego nagabania.
Co zaś tu w szczególności chciałem zaznaczyć jako *curiosum*, to to, że Tumėnas, wykładający u nas prawo konstytucyjne litewskie, neguje całkowicie działającą w państwie naszym konstytucję z r. 1928 i wykłada li tylko dogmatycznie konstytucję z r. 1922, której sam jest głównym autorem i którą uważa za doskonałość. Co więcej, on, profesor prawa konstytucyjnego litewskiego, głośno się „chwali" tym, że konstytucji z r. 1928 „nie czytał", bo jej nie uznaje. Uważa on, że konstytucja ta, oparta na zamachach stanu, jest prawnie nieistniejąca jako nielegalna. Oczywiście, może mu się to podobać lub nie, może on być wrogiem przewrotów i zamachów stanu, może on podwaliny prawne tej konstytucji krytykować, ale „nie chcieć" jej znać i nie liczyć się, gdy ona jest prawem obowiązującym i czynnym – to nonsens. Zresztą zamachu stanu grudniowego z r. 1926 Tumėnas nie neguje i nie jest przeciwnikiem, jeno uważa, że zmiana osób rządzących, dokonana przez ten zamach i upozorowana nazajutrz dymisja formalna obalonego rządu konstytucji nie dotyka. Ale jeżeli konstytucja nie została przez zamach dotknięta, to po cóż był ten zamach! Dlaczegoż nie dokonano zmiany rządu trybem konstytucyjnym. Upozorowanie konstytucyjne owoców zamachu – to bajeczka dla naiwnych dzieci lub takich matołków, jak Tumėnas, który na zapytanie studentów o zamachu grudniowym odpowiada: „Co było w nocy z d. 16 na 17 grudnia – ja nie wiem, ale wiem, że we dnie 17 grudnia 1926 Prezydent i rząd podali się do dymisji i że wybrany został nowy Prezydent i mianowany nowy gabinet". O naiwności i ubóstwie myśli!

14 grudnia, rok 1929, sobota
Tematu mi do dziennika nie brak – mam go aż nadto, ale nie zawsze mam czas. I właśnie go nie mam w tej chwili.
O jednej wszakże rzeczy w dzienniku krótko nadmienię. Notatka to rodzinna. Józia Pruszanowska, córka mojej siostry Kotuni, panna 27-letnia (urodzona w roku 1901), zamieszkała przed jakimś czasem (bodaj czy nie latem na wilegiaturze) u Leonostwa Römerów. Leon Römer, człowiek już stary (lat przeszło 60) jest żonaty ze Świdówną, znacznie od niego młodszą. Siostra Leonowej Römerowej, druga Świdówna, jest także Römerowa: zamężna za Antonim Römerem z Ozieran, synem rodzonego brata Leona, Michała Römera i Domeykówny. Otóż bawiąc u Leonostwa Römerów Józia Pruszanowska, wielka kokietka i egoistka, nie przebierająca w środkach, o kulturze drapieżnej samicy, poznała młodego Antoniego Römera, którego Leon jest stryjem rodzonym i zarazem szwagrem. Zbałamuciła młodego Antoniego, który się w niej zakochał. Kując żelazo, póki gorące, Józia zerwała posadę, jaką miała u Mieczysia Bohdanowicza w Wilnie jako buchalterka czy kasjerka w Hotelu Europejskim i zamieszkała bodajże w Słonimie w pobliżu Ozieran, aby się widywać z Antonim Römerem. I oto Antoni Römer rozstaje się teraz z żoną (Świdówną) i ma się żenić z Józią. Ojciec Antoniego – Michał Römer – udał się do Józi i zrobił jej awanturę, ale ta się ostro stawiała i nie zrezygnowała. Hela Czarna Römerówna, która jest siostrą rodzoną Leona i Michała Römerów, tak wzięła to do serca, że dostała ataku

apoplektycznego (pęknięcie żyły w sklerozie) i leży bez przytomności. Podobno życiu jej grozi niebezpieczeństwo.

15 grudnia, rok 1929, niedziela
Od kilku lat weszła w zwyczaj nowa forma wytwarzania czy organizowania opinii publicznej, która jest zarazem dla pewnych osób środkiem propagandy swoich poglądów, dla innych *sui generis* sportem, środkiem reklamy siebie lub jakichś haseł albo wreszcie terenem popisu, dla gawiedzi zaś inteligenckiej i cyganerii akademickiej – zabawą. Ta forma – to „sąd" publiczny nad jakąś instytucją, czynem, utworem itd., oparty na naśladownictwie metod sądowych wyrokowania. Zdaje mi się, że pierwszy tego rodzaju „sąd" społeczny, o którym słyszałem (z pewnością nie był to pierwszy na świecie, jeno pierwszy zasłyszany przeze mnie) – był to „sąd" nad Ewą Pobratymską (zdaje się, że się nie mylę co do brzmienia nazwiska), bohaterką sensacyjnej naówczas powieści Stefana Żeromskiego „Dzieje grzechu". Było to w Polsce – w Warszawie – jeszcze przed wojną. W ostatnich latach ta komedia „sądów" społecznych upowszechniła się w Litwie (w Kownie). Zdaje się, że szczególną amatorką tych „sądów" jest młodzież i inteligencja żydowska, ale litewska też nie pogardza tą rozrywką. Z „sądów" takich, które sobie przypominam, choć na nich nie byłem, zanotuję „sąd" nad literaturą, nad modami, nad pewnym wydawnictwem modernistycznym grona literatów litewskich. Sąd taki czy też parodia sądu operuje formami i metodami sądu rzeczywistego: są sędziowie, którzy wyrokują, z przewodniczącym, który kieruje rozprawą, jest akt oskarżenia, są oskarżyciele i obrońcy (prokuratura i adwokatura), nawet improwizowani „świadkowie". Nigdy mię tego rodzaju zabawa towarzyska czy sport społeczny nie interesowały, toteż nigdy na „sądzie" takim nie byłem: za mało mam czasu na to, za drogi mi jest czas, za wiele mam własnej roboty pilnej zawsze. A zresztą nie ciekaw byłem, bo uważałem i uważam to za niepoważną szopkę – rodzaj próżniactwa inteligenckiego, które może jest dobre dla amatorów szermierki językowej i sensacji krasomówstwa i „*bons mots*", ale nie dla człowieka rozwiniętego i myślącego, a jeżeli może czemu być użyteczne w zapłodnieniu myśli czy pojęć, to chyba dla młodzieży zielonej akademickiej, ale już tylko nie dla profesury.
Aż oto nagle przed kilku dniami zgłosiły się do mieszkania dwie studentki, z których jedna była mi z widzenia jeszcze z czasów mego rektoratu czy też prorektoratu znana, aczkolwiek nie wiedziałem, jak się nazywa i do jakiego stowarzyszenia należy (dowiedziałem się potem, że się nazywa Drungaitė i jest jedną z najczynniejszych liderek stowarzyszenia studentek „Birutė", należącego do federacji młodzieży chrześcijańsko-demokratycznej „ateitininków" – zresztą dziewczyna bardzo uspołeczniona i miła osobiście). Otóż panna Drungaitė przyszła do mnie ze swą koleżanką i zaproponowały mi od imienia swej organizacji, której imienia nie wymieniły, ale którą należało mi poznać po barwach czapeczek, których nigdy nie pamiętam i nie rozróżniam, wzięcie udziału w organizowanym przez tę ich organizację („Birutę") „sądzie" nad... rodziną inteligencką litewską wieku XX. Zaproponowały mi stanowisko prezesa tego sądu. Choć wielkiej ochoty nie miałem, ale się odmówić krępowałem.
Dziś wieczorem „sąd" ten się odbył. Napiszę o nim jutro.

16 grudnia, rok 1929, poniedziałek
„Sąd" nad litewska rodziną inteligencką wieku XX odbył się wczoraj wieczorem w przepełnionej po brzegi, wprost natłoczonej wielkiej sali posiedzeń uniwersytetu (w I gmachu uniwersyteckim; sala ta jest zarazem moją salą wykładową). Skład „sądu" był

następujący: prezesem byłem ja, sędziami – prorektor ksiądz prof. Česnys i znana działaczka chrześcijańsko-demokratyczna pani Galdikasowa (Galdikienė), Draugelisówna z domu. Gdym się przed paru dniami, już po wyrażeniu zasadniczo zgody na udział i przewodniczenie w tym „sądzie", dowiedział, że inicjatywa tego sądu wychodzi z kół młodzieży „ateitininków", to znaczy ze sfer klerykalnych i gdym się zapoznał z treścią „aktu oskarżenia", wytoczonego „rodzinie", byłem nieco zdziwiony tak w ogóle składem tego sądu, jak w szczególności powołaniem mnie do jego składu i w dodatku na przewodniczącego. W myśl „aktu oskarżenia", rodzina jest oskarżana ze stanowiska moralnego, narodowego i gospodarczego, w szczególności zaś są tam takie zarzuty konkretne lub argumenty na rzecz winy rodziny litewskiej inteligenckiej, jak separacje, rozwody i rozstawanie się małżonków lub porzucanie żon i mężów dla nowych związków, jak zawieranie małżeństw mieszanych pod względem narodowości i wyznania, uczenie dzieci we wczesnym wieku języków obcych, oddawanie dzieci do szkół i zakładów obcej narodowości i mowy. Otóż co do mnie, żadnych szczególnych związków z klerykałami i chrześcijańską demokracją nie mam, a nawet – co więcej – jest to grupa, której ze wszystkich stronnictw i kierunków litewskich najbardziej obcy jestem i najmniej sprzyjam tak w ogóle w państwie, jak wśród młodzieży; co prawda, zachowuję w ogóle bezpartyjną czy międzypartyjną neutralność i staram się w każdym kierunku uwzględnić i uznać to, co w nim jest szlachetnego, ideowego i społecznie twórczego, a nie biorąc osobiście udziału w polityce – staram się moich większych lub mniejszych sympatii lub antypatii nie ujawniać; pomimo to jednak już kto jak kto, ale klerykali liczyć mię za swojego sympatyka i „Mitlaufera" nie mogą: w przeszłości byłem otwartym i na ogół jaskrawym radykalistą i antyklerykałem, po wojnie za rządów chrześcijańsko-demokratycznych w Litwie nigdy się do obozu rządzącego nie zbliżałem i dość wyraźnie wszelkiej opozycji bądź prawicowej, bądź lewicowej sprzyjałem, teraz mogą mię już raczej narodowcy niż klerykali za swego uważać, chociaż i tamci myliliby się bardzo, bo nie jestem żadnej partii człowiekiem, żadnego z istniejących kierunków politycznych hołdownikiem, a już najmniej – demagogów klerykalnych. To jedno. Drugie, sam jestem co do rodziny własnej – ze stanowiska katolickiego, na którym się akt oskarżenia opiera i z którego, oczywiście, tak inicjatorki tego „sądu", jak moi koledzy „sędziowie" i większość uczestników wychodzą – nie w porządku, bo jestem z żoną legalną w separacji i żyję tu z Jadzią w stosunku quasi-rodzinnym. Ksiądz i kobieta z niedowiarkiem – ex-rewolucjonistą i masonem i w dodatku „rozwodnikiem" na czele – piękny to ze stanowiska klerykalnego zespół do wyrokowania „moralnego" o rodzinie. Poza tym, nie jestem czystej krwi Litwinem, jeno Polakiem litewskim, czego nie zapieram się nigdy i nie taję. Jestem byłym legionistą polskim i byłym piłsudczykiem, Litwę, która jest równie moja, jak Litwinów i jak Polaków litewskich i naród litewski kocham, ale kocham też Polskę i naród polski. Na małżeństwa mieszane, a już w szczególności wyznaniowo, zapatruję się po swojemu i za zło bezwzględne ich nie uważam. W ogóle zbytniej wyłączności narodowej i tym bardziej odgradzaniu się murem chińskim od współżyjących w kraju, a nawet dalekich i obcych narodowości i tym bardziej od Polaków litewskich nie sprzyjam, wszakże skądinąd nie hołduję zasadzie uznającej Polaków litewskich za „Litwinów mówiących po polsku", choć ich nie uważam także za „odłam narodu polskiego", jeno za odłam autonomiczny i *sui generis* – właśnie krajowy. Wreszcie zgoła nie jestem, jak są klerykali – antysemitą. Ze względu na to wszystko byłem zdziwiony, że mię klerykali do tej funkcji powołali i czułem się dziś głupio. Nie dlatego, żebym sam siebie uważał za „godnego" lub upoważnionego do wydania sądu o rodzinie litewskiej, ale dlatego, że klerykali w sprawie, która ich tak obchodzi, nie obawiali się mi zaufać i uznali mię – chociaż w kooperacji z księdzem i kobietą – za właściwego do roli najodpowiedzialniejszej.

17 grudnia, rok 1929, wtorek
O „sądzie" niedzielnym nad litewską rodziną inteligencką XX wieku:
W myśl „aktu oskarżenia, jakem wspominał, rodzina ta była oskarżana pod względem moralnym, narodowym i ekonomicznym. Pod każdym z tych względów oskarżenie składało się z grupy oskarżeń konkretnych, zresztą pod względem logiki prawniczej niezupełnie poprawnych; na przykład, czasem osobno było sformułowane oskarżenie o jakiś czyn lub zaniedbanie i osobno o motywy tego czynu lub zaniedbania albo o skutki tegoż. Dla każdej z tych trzech kategorii oskarżeń był osobny oskarżyciel i osobny obrońca. Mianowicie pod względem moralnym oskarżał rodzinę prof. Dovydaitis, broniła zaś dr Kalvaitytė, Żmudzinka, działaczka społeczna i feministka, wrażliwa, pełna temperamentu, dobra mówczyni, energiczna i sympatyczna, w wieku lat koło 40-45; pod względem narodowym oskarżała p. Šalčiusowa, żona docenta Šalčiusa, ekonomisty i kooperatysty, bronił Keliuotis, młody publicysta obozu chrześcijańsko-demokratycznego, wykształcenia zagranicznego, zdaje się – francuskiego; pod względem wreszcie ekonomicznym oskarżała p. Janowa Mašiotasowa, znana działaczka w wieku lat koło 40, Wilnianka, bronił dr Karvelis, działacz i jeden z młodszych liderów Chrześcijańskiej Demokracji, były minister finansów. Jako przewodniczący zachowywałem na tej rozprawie sądowej doskonałą, klasyczną sędziowską powagę, którą nazywano olimpijską. Czy to było właściwe – sam nie wiem, bo publiczność, masowo zapełniająca salę, wcale powagi audytorium sądowego nie zachowywała, przeciwnie – zachowywała się jak na widowisku wesołym, każdy dowcip lub moment komiczny podkreślała głośnym śmiechem homerycznym lub hałaśliwymi oklaskami i w ogóle najwidoczniej pragnęła się bawić, interesując się nie tyle rozważanym zagadnieniem społecznym, ile sensacją. W przemówieniach też, a zwłaszcza jednym – Keliuotisa – były akcenty wprost bałaganowe, obliczone li tylko na puste śmieszenie publiczności. Zresztą w mowach, które były wygłoszone – zwłaszcza w gorącej, wymownej, entuzjastycznie jaskrawej, bardzo pięknej w treści, w uczuciu, w formie i nawet w gestach, bardzo dzielnej i szlachetnej mowie dr Kalvaitytė i w treściwej, rzeczowej, dobrze argumentowanej mowie dr Karvelisa – było dużo myśli głębokich i trafnych, utrzymanych na wysokiej stopie powagi lub prawdy. Zgoła chybiony i pozbawiony wszelkiego sensu był epizod „badania świadków". „Świadkami" byli dwaj studenci i jedna studentka, którzy w ogóle nic treściwego co do istoty zagadnienia lub faktów dać sądowi ani oskarżeniu lub obronie oczywiście nie mogli, bo tak oskarżyciele i obrońcy, jak sędziowie dużo więcej i treściwiej znają rodzinę inteligencką litewską, niż oni i przeto żadnego wniosku z tych naiwnych „zeznań", zgoła zbytecznych, wyciągać nie potrzebowali; jeden z tych świadków jeno się wysilał na robienie szopki. „Rozprawa sądowa" toczyła się od siódmej prawie do północy. Na zakończenie ogłosiłem decyzję sądu o tym, że wyrok będzie wydany w ciągu dwóch dni i zostanie opublikowany.

18 grudnia, rok 1929, środa
Ten „sąd nad rodziną" zajął mi czasu i pracy dużo. Ostatecznie bowiem cała praca nad wyrokiem, a więc ustalenie i zredagowanie wniosków oraz sankcji spadło na mnie jako przewodniczącego i prawnika. Dwoje moich kolegów z tego „sądu" – ksiądz i kobieta, „sędziowie" prorektor ks. prof. Česnys i p. Galdikasowa – wielkiej fatygi sobie nie zadali, z góry licząc na moją wprawę zawodową i takt, że ja ich w tym zastąpię. W niedzielę „rozprawa sądowa" zaciągnęła się do północy, przeto po uprzedzeniu publiczności, że wyrok zapadnie w ciągu dwóch dni i zostanie ogłoszony w druku, rozeszliśmy się, nie naradzając się wcale. Ułożyliśmy się z prof. Česnysem i p.

Galdikasową, że się spotkamy dla omówienia tez wyroku w poniedziałek o czwartej u Česnysa. Przyjął on nas doskonałą kawą czarną, wybornym naturalnym koniakiem francuskim, smacznym miodem i znakomitymi papierosami rosyjskimi. Gdybym miał wyrokować sam jeden, to skłonny byłbym rodzinę inteligencką ze wszystkich oskarżeń uniewinnić uznając, że wszystkie bolączki tej rodziny nie z niej samej płyną i nie jej winę stanowią, jeno są do niej z zewnątrz wnoszone. Pani Galdikasowa okazała się też wyrozumiałym sędzią i jedynie prof. Česnys przestrzegał przed zbytnią pobłażliwością, ale zresztą nie tylko z własnego przekonania, ile przez wzgląd na opinię publiczną, domagającą się rzekomo pewnej surowości zasad obyczajowych. Omówiliśmy wspólnie po łebkach wszystkie punkty oskarżenia – tyle, ile mi było potrzeba do zorientowania się w usposobieniu sędziów i następnie ja się podjąłem ułożenia projektu wyroku motywowanego. Praca ta zajęła mi cały wieczór w poniedziałek i parę godzin rano we wtorek. Rękopis wyroku motywowanego zajął sześć stron arkuszowych. Na ogół w całym szeregu najcięższych oskarżeń wytłumaczyłem zupełnie rodzinę, stwierdzając, że wina, o ile jest, nie ją obarcza, bo ona sama w tych wypadkach jest pokrzywdzona lub fałszywie założona albo z zewnątrz demoralizacją zarażona i przeto chora, z kilku oskarżeń kategorycznie ją uniewinniłem, wreszcie w kilku oskarżeniach uznałem ją winną pewnego zaniedbania lub opieszałości, ale w każdym razie znalazłem liczne okoliczności łagodzące. We wtorek o czwartej zebraliśmy się znów u prof. Česnysa, gdzie ja odczytałem mój projekt. Został on zaakceptowany z uznaniem, jeno z jedną małą wstawką pewnego przykładu, zaproponowana przez p. Galdikasową. Co do samej rezolucji i sankcji, ustaliliśmy, że udzielimy pewnego rodzaju przestrogi rodzinie, wskazując jej na niebezpieczeństwo abnegacji i wyrażając nadzieję, że zdrowe jądro rodziny rozwinie energię do naprawienia wszelkich usterek i uwydatnienia wszystkich tych sił i cnót dodatnich, które w niej tkwią, a w tym celu udzielamy jej 10 lat terminu na to. Tę rezolucję znów w domu sam we wtorek zredagowałem i wręczyłem całość brulionu pannie Drungaitė z zarządu stowarzyszenia „Birutė", aby sama młodzież z tego zarządu ewentualnie wygładziła język wyroku, zrobiła odpisy, zebrała podpisy sędziów i jeden egzemplarz autentyczny mnie doręczyła wraz z brulionem.

19 grudnia, rok 1929, czwartek
Widocznie przeziębiłem się i zachorowałem. Przez całą jesień powtarzał się u mnie ból newralgiczny prawej stron y twarzy – od górnej szczęki i górnych dziąseł do nosa, oka i ucha. Teraz powtórzyło się to w formie silniejszej i dziś na wieczór zaobserwowałem mocne brzęknięcie dziąseł i policzka oraz stan gorączkowy. Wypiłem herbaty z malinami na poty, wziąłem dozę aspiryny i położyłem się wcześnie do łóżka.

20 grudnia, rok 1929, piątek
Przez wieczór wczorajszy i przez noc gorączkowałem i potniałem w łóżku. Wybrzękły mi dziąsła w prawej szczęce górnej, szczególnie na przedzie, wybrzękła warga górna, policzek prawy aż z powieką prawą dolną łącznie. Stan ogólny nie polepszył się wcale; czuję to samo gorączkowe łamanie w kościach i nudny, monotonny, acz niezbyt ostry, ból w wybrzękłych okolicach twarzy, niezupełnie umiejscowiony, jakby latający po całej tej okolicy. Właściwie powinienem był nie wstawać dziś wcale; jednak wstałem i udałem się na posiedzenie plenum Rady Stanu, albowiem na porządku dziennym była dyskusja nad opracowanymi przez komisję zasadami organizacji sądownictwa; jako prezes tej komisji i jej referent w Radzie Stanu musiałem być obecny, tym bardziej, że Papečkys zapowiedział krytykę tych zasad i zgłoszenie kontrzasad swoich. O południu wróciłem z Rady Stanu, doczekałem się obiadu i po obiedzie znów do łóżka nurka dałem. Zagrzałem się, gorączkowałem i wypotniałem. Żadnego przesilenia na lepsze nie

czuję jeszcze. Niedobrze, że w tym stanie chorobliwym wypada mi jutro jazda do Bohdaniszek. Ale mam już bilety kupione, więc nie cofnę wyjazdu. Nie tyle się obawiam jazdy pociągiem, ile jazdy pojutrze rano końmi z Abel. W Bohdaniszkach położę się zaraz do łóżka.

21 grudnia, rok 1929, sobota
Jadzia i Anielka stwierdzają, że wyglądam dziś już lepiej, że obrzęknięcie policzka jest mniejsze. Jednak rano jeszcze polepszenia nie czułem. Pomimo więc, że dziś z Jadzią na święta pociągiem wieczorem wyjeżdżam, nie wstawałem we dnie z łóżka i przeto rano nie wychodziłem z domu. Rzeczywiście, bólu w policzku i w dziąsłach już prawie nie doświadczałem, policzek też, który był wybrzękł i stwardniał, odzyskał miękkość, jeno dziąsła i warga górna pozostały nabrzmiałe, ale na ogół stan gorączkowy nie ustał, łamanie w kościach i poty były zupełnie takie same, jak wczoraj. Jadzia załatwiała na wyjezdnym wszystko za mnie. Przyniosła mi pieniądze z Rady Stanu, biegała po bankach, opłacając bieżące weksle terminowe moje, załatwiała sprawunki do Bohdaniszek. Nalatała się do zbytku, a jeszcze i do szkoły swojej rano wpaść zdążyła i przyniosła z niej bardzo dobrą cenzurkę półroczną swoją.
Wreszcie po obiedzie nadeszła pora gotowania się do wyjazdu. Samego wyjazdu się nie bałem; przejechać w zamkniętym automobilu ciepło ubranemu z mieszkania do dworca kolejowego, posiedzieć w ciepłym bufecie, stamtąd przejść przez peron do wagonu, gdzie znów jest ciepło i w wagonie sypialnym wygodnie przez noc podróż odbyć – to nic wielkiego. Boję się tylko jutro rano jazdy po grudzie z Abel końmi do Bohdaniszek. Z pomocą Jadzi ubrałem się i siadłem w głębokim miękkim fotelu. Czułem się trochę osłabiony i na razie nawet poty mi wystąpiły. Przesiedziałem bezwładnie ostatnie przygotowania do wyjazdu. Wreszcie sprowadzony został automobil, którym też z Jadzią odjechałem, Anielka zaś dorożką powiozła rzeczy. Na dworcu był tłok, gorąco. Stopniowo czułem się coraz lepiej. Pociąg przyszedł z opóźnieniem. W wagonie sypialnym niewielu podróżnych jechało. Zalokowaliśmy się z Jadzią wygodnie.

22 grudnia, rok 1929, niedziela
Dziwna rzecz: przed podróżą byłem chory i do chwili wyjazdu leżałem w łóżku, toteż się bałem, żeby mi podróż nie zaszkodziła, tymczasem nie tylko że mi podróż nie zaszkodziła i nie zmęczyła, ale właśnie przez tę podróż wyzdrowiałem. Czy już zupełnie wyzdrowiałem – tego jeszcze nie wiem, ale w każdym razie czuję się o tyle lepiej, że już żadnego stanu gorączkowego nie mam i siły mi wróciły. Bólu też nie mam i obrzękłość policzka spadła. Trochę jeszcze dziąsła górne wybrzękłe i w nosie wysypało jak po katarze, ale w ogóle stan jest dobry. W wagonie wyspałem się dobrze i już mi przyjazd z Abel do Bohdaniszek nie był straszny. Po przyjeździe też do Bohdaniszek ani myślałem już kłaść się do łóżka, jak to zamierzałem uczynić.
Ziemię tu zastałem już białą, pokrytą leciutką, co prawda, ale przecież dość jednolitą warstewką śniegu. Już od Skopiszek, gdziem się obudził, ziemia była trochę przyprószona śniegiem, ale w kierunku Abel ta białość śnieżna stawała się coraz bardziej jednolita i coraz gęstsza. Jeszcze w Rakiszkach na stacji widać było furmanki wyłącznie kołowe, w Abelach natomiast już się obok kołowych ukazały sanie i po drodze do Bohdaniszek spotykaliśmy tyleż sań, co wozów kołowych. Właściwie nie ma ani sanny, ani drogi kołowej: sanna niedogodna dla braku śniegu, droga kołowa – dla grudy.
W Bohdaniszkach zastałem wszystko w dobrym porządku.

23 grudnia, rok 1929, poniedziałek

Zamieszkałem w moim domu na razie w środkowym pokoju w części wschodniej, który ma otrzymać nazwę herbowego lub portretowego, bo przeznaczony jest na galerię portretów rodzinnych i na lokatę dla garnituru mebli herbowych, które pochodzą jeszcze z Janopola w sukcesji po śp. Antonim Römerze, bracie stryjecznym pradziada Michała. Ponieważ jednak wiało mi tam z okna, przeniosłem się dziś rano do gabinetu rogowego, który w roku ubiegłym na Boże Narodzenie wypróbowałem jako ciepły. Aliści zerwał się dziś ostry wicher wschodni z mrozem, który mi tak wystudził całą połać wschodnią domu, że musiałem uciec i stamtąd i schroniłem się do jadalnego, gdzie za wiatrem jest ciepło jak w uchu.
Rano zakłuto u mnie wieprzka, którego mięsem zajęła się Jadzia, po obiedzie wszakże Jadzia odjechała na święta do swoich rodziców do Szadujtyszek. Zostałem sam jeden – w towarzystwie tylko Kazimierza, który mi usługuje bardzo pilnie. Kazimierz bardzo się jakoś posunął przez tę jesień; ma on dużo kłopotów w domu swoim, jest przygnębiony i smutny.
Oglądałem obrazy Stefana Römera. Od Wszystkich Świętych przybyło dużo nowych obrazów. Stefan Römer będzie miał z czym się pokazać na swoją pierwszą wystawę w Kownie na wiosnę. Jeden bardzo efektowny, acz nieco ze stanowiska moralności zdawkowej „nieprzyzwoity” obraz, nazwany „*Garçonne*”[23] („Chłopczyca”), który mi się bardzo podobał – Stefan mi darował. Obraz przedstawia młodą dziewczynę w negliżu, rozwaloną na kanapie na wznak z papierosem w ręku, z nogą jedną wpartą w kanapę i do kolana pionowo zadartą, a drugą spuszczoną. Ładna jest sama figura dziewczyny, bardzo realistyczne są nogi, stylistycznie harmonijne są geometryczne linie dwóch rąk, przecięte linią głowa – szyja – piersi w kształcie figury mniej więcej takiej: [...]. Draperie portiery, draperie miękkie makat, na których leży „garsonka”, obicie i poręcz rzeźbiona kanapy, papuga, która się z poręczy ku dziewczynie przechyla – są w ślicznych subtelnych barwach gobelinowych. Cylinder garsonki na taburecie, bonże w kącie z wielkimi oczami, utkwionymi w sam ośrodek płciowy swawolnej dziewczyny – dopełniają reszty.

24 grudnia, rok 1929, wtorek
Kucję spożyłem u Maryni wspólną. Do kucji zasiedli: Marynia Römerowa, ja, Eugeniusz Falejew, Stefan Römer, Marynia Stefanowa Römerowa, Michaś Mieczkowski, Stenia Römerówna, szwaczka p. Masiulisowa i ekonom Maryni. Na kucji były jadła następujące: śledzie z kartoflami jako zakąska do wódki, rosół z ryby, leszcz pieczony z sosem cytrynowym, śliżyki z podsytem, kompot, pszenica i groch pieczone, herbata.
Po kucji była choinka dla Steni – niespodzianka dla niej. Spotkała ją też druga nie mniejsza niespodzianka: jej ojciec Stefan, przebrany za „dobrego człowieka z lasu” (św. Mikołaja) w kożuchu i długą siwą brodą z pakuł lnianych, wkroczył przez ciemne pokoje do oświetlonego choinką pokoju, obwieszony zabawkami własnego wyrobu, wśród których największy i najciekawszy – pękaty słoń masywny z drzewa na kółkach z czaprakiem czerwonym, a w worze – cały pociąg wagonów drewnianych z lokomotywą – wyrobu Michasia Mieczkowskiego. Śliczniutka rezolutna Stenia była zachwycona.

25 grudnia, rok 1929, środa
Dzień Bożego Narodzenia. U mnie dzień powszedni, który spędzam tak samo, jak inne w Bohdaniszkach. Jadzia od pozawczoraj aż do pojutrza bawi u swych rodziców za Rakiszkami, ja więc jestem jeden w moim nowym domu. Dzień jest krótki, wieczór –

---
[23] *Garçonne* (fr.) – chłopczyca.

długi i wieczorem nie wychodzę z domu, bo choć śnieg rozwidnia nieco noc, to jednak śnieg jest płytki, a pod śniegiem – gruda do chodzenia bardzo niedogodna. Wychodzę więc tylko we dnie i tylko idę do starego domu, czasem krążąc nieco po dworze i zaglądając do budynków i zakamarków – trochę dla ruchu, trochę z ciekawości. Na spacery trudno chodzić po grudzie, do Gaju – także. Dziś urozmaicenie świąteczne polegało tylko na tym, że nocował u mnie Falejew, z którym rano wypiliśmy u mnie kawę i pogawędziliśmy nieco, na obiedzie zaś byłem u Maryni na kołdunach. Namawiano mię, bym się wybrał do Gaczan, ale ze względu na wiatr zimny i złą drogę nie chciałem. Do Gaczan pojechała tylko Marynia Stefanowa Römerowa, Falejew i Michaś Mieczkowski.
Wieczór długi, od trzeciej aż do jedenastej, do pójścia do łóżka, spędziłem w domu, w jedynym pokoju mieszkalnym, bo inne są ze względu na wiatr wschodnio-południowy wystudzone. Tym jedynym pokojem mieszkalnym jest jadalny, który stał się teraz moim uniwersalnym: jadalnym, sypialnym, gabinetem i bawialnym. Dotrzymuje mi towarzystwa Kazimierz Jankowski, który czasem wychodzi dla rozerwania się do kuchni, a potem wcześnie – spać do herbowego. Kazimierz się nudzi nieco przy mnie, bo ja czytam lub pracuję, on zaś – to w kominku ogień podsyca, to samowar mi nastawia lub grzeje, to nakrywa do kolacji i znów sprząta, to wreszcie drzemie na stołku. Ponieważ pokój jest jedyny, to i Kazimierz tylko w tym pokoju siedzieć może.

26 grudnia, rok 1929, czwartek
Ostatni dzień samotności, bo już jutro ma Jadzia przyjechać. Zaczynają się już sprawy gospodarskie. Rano była Adamowiczowa ze Staczerag, wdowa, mająca już dwie córki zamężne (jedna za Zybelisem z Bohdaniszek), ale wciąż jeszcze piękna pięknością poważną klasyczną, postawna jak Rzymianka patrycjuszka, niegdyś kochanka mego chrzestnego ojca – śp. Adama Kupścia z Węgierzyna. Adamowiczowa jest moją wierzycielką, bo w cenie tych 7000 litów, za które kupiłem od Maryni jej działkę Gaju, na jeden tysiąc przejąłem na siebie Maryni dług wekslowy Adamowiczowej. Adamowiczowa przyszła ułożyć się ze mną o weksel; płacę jej, jak Marynia, po 10 proc. od tego kapitału, wierzycielka zaś Adamowiczowa daje mi za to tradycyjną beczułkę piwa domowego, które ona szczególnie dobrze umie robić. Potem był u mnie Michał Nemeikšys w sprawie budulca z Gaju, który mu obiecałem darować na dom w Karwieliszkach. Nemeikšys na darowanych mu przeze mnie 10 hektarach w Karwieliszkach, do których mu przy komasacji gruntów wioskowych Bohdaniszek przydzielono parę ha jego własnych, ledwie się trzyma. Zaciągnął on dług w Banku Ziemskim, a teraz na opłacanie rat tegoż zaciąga pożyczki prywatne, płacąc droższe procenty. Nawet krowę sprzedał. Zaraz też i Kazimierz, słysząc prośbę Nemeikšysa, przypomniał mi obietnicę darowania mu z Gaju drzewa na budowę łazienki u niego w Janówce. Potem przyjechał Żydek z Abel, wnuk starego ceglarza, któremu winien byłem 84 lity za 650 sztuk cegły. Wnet po nim i Merkury Sinica się zgłosił – trochę po nadpłatę przy okazji (dałem mu 100 litów), trochę w sprawie budowy pieca z kafli polepskich. Kupiony przeze mnie w Polepiu piękny ozdobny staroświecki piec kaflowy został już przez Sinicę rozebrany, ale kafle i cegły pozostały w Polepiu, bo z powodu złej drogi nie mogły być przywiezione. Piotruk pojedzie po nie, gdy sanna się ustali. Z pieca tego zamierzałem zbudować kominek niewysoki w pokoju herbowym. Ale Sinica mi wytłumaczył i przekonał, że ze względu na wielkość kafli i budowę tego pieca nie można zeń zrobić niskiego kominka. Piec ten składa się z dwóch kondygnacji z występem między jedną a drugą, a w górnej kondygnacji ma na froncie cztery kolumienki ozdobne i między nimi we wnęku figura damy z takiejże białej kafli. U samego zaś szczytu piękne karnizy ozdób. Postawię więc w pokoju herbowym cały ten

piękny piec, jak jest, w całej okazałej wielkości w rogu pokoju skośnie tak, żeby oprócz frontu wyszły obie ścianki boczne, front zaś był zwrócony do środka pokoju. Palenisko będzie jednak kominkowe. Będzie to kominek monumentalny – ozdoba bogata całego pokoju.

27 grudnia, rok 1929, piątek
Przyjechała przed wieczorem Jadzia. I swoją siostrę Stefcię na parę dni dla uszycia sukienki przywiozła. Poweselało w domu. I pogoda się też zmieniła. Ustał mroźny wiatr. Śnieg padał dzień cały. Ustala się sanna, choć drogi będą kopkie, bo śnieg jest suchy i nierównomiernie zalega ziemię.
Zabrałem się do porządkowania mego archiwum – segregowania starych papierów i listów rodzinnych. Parę koszów tego naniosłem ze starego domu – z pokoiku na górze, gdzie te masy papierów wraz z książkami biblioteki antonoskiej w gromadzie nieporządnej leżą.

28 grudnia, rok 1929, sobota
Śniegu nasypało, wicher ustał, ale są takie zaspy, po drugie – drogi przez błota na Popiele i do jeziora są tak zawiane i niepewne, jeżeli już w ogóle są, że nie zdecydowałem się jeszcze dziś pojechać do Abel, choć mam tam do odebrania z kolei towar (siatkę drucianą), wysłany z Kowna na moje imię. Przesiedziałem więc dziś w domu; jedyny ruch, którego użyłem, to spacer do starego domu.
Stefan Römer zaczął dziś robić portret Jadzi.

29 grudnia, rok 1929, niedziela
Stefan robił dziś w dalszym ciągu portret Jadzi. Zmienił jej pozycję wczorajszą, posadził ją na dużą kanapę herbową z garnituru mebli janopolskich, które Papa odziedziczył niegdyś po śp. Antonim Römerze, swoim stryjecznym dziadku. Jadzia siedzi w kącie tej kanapy, mając za sobą piękną rzeźbę, zdobiącą poręcze tejże. Portret nie został jeszcze ukończony. Twarz Jadzi jednak jest prawie gotowa. Ma ona dużo podobieństwa i cech charakterystycznych, ale jest jednak coś w okolicy ust, co nadaje Jadzi jakiś grymas obcy. Zaczekajmy końca.

30 grudnia, rok 1929, poniedziałek
Wybrałem się dziś do Gaju wyznaczać drzewa do cięcia. Tym razem największy kontyngent stanowi drzewo, które obiecałem memu chrzestnemu synowi Michałowi Nemeikšysowi na budowę domu. Daję jemu na ten cel do 60 sztuk jodły przeciętnie od 10 do 13 cali. Dziś mu *à conto* tych drzew wybrałem i zacechowałem 43 sztuki. Poczciwy Gaj! Gdym obejmował Gaj na własność, zdawało się, że budulca w nim prawie nie ma. Tymczasem, wybierając sztukami, nie tylko że mi wystarczyło na postawienie mojego dużego domu, ale i Jadzi w roku zeszłym dałem 60 sztuk budulca, i dla Nemeikšysa wystarczy, i dla mnie dość będzie jeszcze na ściany wewnętrzne i na deski do kuchni, nie licząc drobniejszego użytku. Chodziłem dziś po Gaju z Piotrukiem i Nemeikšysem. Wyznaczam też trochę drzew i dla siebie, poza tym daję Kazimierzowi Jankowskiemu na postawienie łazienki. Innego dnia będę wyznaczał do cięcia osinę na opał dla Maryni, której ją sprzedaję na sążnie, także dla mnie na opał osinę, olchę i trochę brzozy, wreszcie wybiorę kilkanaście jesionów dla siebie na deski do mebli i na inne tzw. wygody.
Przyjemnie było chodzić po Gaju. Mamy dziś odwilż, więc powietrze jest łagodne, w lesie wiatru nie ma. Śnieg jest niegłęboki.

31 grudnia, rok 1929, wtorek
Wybraliśmy się dziś z Jadzią do Abel. Miałem tam interes, mianowicie kazałem z Kowna wysłać do Abel na moje imię siatkę drucianą, którą kupiłem dla Bohdaniszek. Ponieważ siatka miała być wysłana na moje imię, więc sam osobiście musiałem jechać ją odbierać ze stacji. Jadzia skorzystała z okazji, aby się przejechać także. Jechaliśmy z nią nowymi jednokonnymi saneczkami, które kupiłem latem, przed nami zaś jechał Piotr Skrebys w rozwalinach Huzarem. My jechaliśmy Dragonem. Był lekki mrozik po odwilży wczorajszej. Pojechaliśmy przez Gaj łąkami na Popiele, nie wiedząc, czy z Popiel pojedziemy na jezioro, czy też na gościniec i groblę. Zdawało się, że na jezioro nie można jechać, bo lód nie jest mocny, a nawet na naszych sadzawkach bohdaniskich lód z wierzchu zalany jest wodą z wczorajszych topniejących śniegów, wobec czego niektórzy boją się nawet iść pieszo. Zobaczyliśmy jednak w Popielach, że droga przez łąki w kierunku na jezioro jest wyjeżdżona i świeżych śladów jest dużo. Pojechaliśmy tedy. Nad jeziorem ktoś spotkany w lasku uprzedził nas, że przez jezioro ludzie jeżdżą, ale że jest strasznie, bo lód trzeszczy pod kopytami końskimi. Ale byliśmy już u jeziora i cofać się nie chcieliśmy. Piotr jechał pierwszy, my – za nim. Jechaliśmy kłusem. Jadzię posadziłem na desce furmańskiej, sam siedziałem na siedzeniu tylnym. Strasznie było. Na lodzie stoi woda, lód miejscami trzeszczy, konie – szczególnie Huzar – płoszą się. Ale trwało to krótko, bo oto dojeżdżamy już do abelskiego brzegu. Na stacji zabraliśmy siatkę drucianą, którą wziął Piotr na rozwaliny. Piotra posłaliśmy do miasteczka po sprawunki, a sami, nie ryzykując nowej jazdy przez jezioro, pojechaliśmy gościńcem, za Zajezierzem zaś zawróciliśmy znów na Popiele. Wycieczka była bardzo miła. Raz jeden tylko przewróciliśmy się. Powoziła Jadzia. Sanna – wcale dobra, choć śniegu mało.
Ostatni dzień roku.

1 stycznia, rok 1930, środa
Czegoż życzyć mam sobie na ten rok nowy, który mi znaczy 50 lat życia i wprowadza mię w tzw. „krzyżyk" szósty? W tym roku wychodzę formalnie z „wieku średniego", który ogarnia dwudziestolecie od lat 30 do lat 50, przepołowione na okres zwyżkowy od 30 do 40 i zniżkowy – od 40 do 50, i wkraczam w „starość", której wszakże pierwsze dziesięciolecie – do lat 60 – przynajmniej u mężczyzn i pracujących umysłowo ma tempo starzenia się powolne, kiedy siły – poniekąd fizyczne, a jeszcze bardziej psychiczne – utrzymują się jeszcze na poziomie mniej więcej równym i w wydajności swej nie ustępują przeciętnie dziesięcioleciu poprzedzającemu. Ale czas już staje się coraz droższy, bo coraz mniej go przed sobą pozostaje i zapas sił z każdym rokiem już się wyczerpuje. To już bądź co bądź starość. Nie czas już na daleko sięgające projekty i na zamiary, obliczone na daleką metę. Bo coraz bliżej jest czas likwidowania się i coraz bliższy termin.
Życzenia też moje na ten rok 1930 są krótkie i treściwe. Dwa z nich są najgłówniejsze. Jedno – żebym jak najdalej zdołał posunąć moją dopiero co rozpoczętą pracę nad kapitalnym dziełem moim – owocem mojej ośmioletniej profesury – księgą „Prawo konstytucyjne". Drugie – żebym ile możności zdołał się wykopać z długów, w które w roku 1929 – w związku z budową i wykończeniem mojego domu i oficyny w Bohdaniszkach i z odkupieniem reszty Gaju od Maryni – webrnąłem. Inne moje życzenia są na rok 1930 zaledwie „*pia desideria*"; należą do nich: a. popchnięcie, ile się da, naprzód budowy, wykończenia i urządzenia domu i kuchni (oficyny) w Bohdaniszkach; b. ustąpienie z Rady Stanu iześrodkowanie się na profesurze i Bohdaniszkach (na razie – nim profesura jest tak płatn, jak obecnie i nim potrzebne mi są większe pieniądze na Bohdaniszki i na spłatę długów, tego jeszcze uskutecznić nie

mogę i zapewne w roku 1930 nie uskutecznię); c. zbliżenie się do ponowienia rektoratu mego (jeżeli wszakże w tym roku wykonana zostanie reforma uniwersytetu, która w szczególności ma ustanowić rektorat trzyletni zamiast rocznego, to rok 1930 nie zbliży, lecz oddali ode mnie godność rektorską).

2 stycznia, rok 1930, czwartek
Znowu spędziłem przed obiadem parę godzin w Gaju na pracy z Piotrukiem Skrebysem. Wyznaczaliśmy i cechowaliśmy osinę dla Maryni, która ją kupuje u mnie na drwa na sążnie, i dla mnie – przeważnie białą olchę i łozę na zapas drew na opał na przyszłą zimę. Rozkosznie jest w Gaju. Śnieg nie za głęboki, dogodny do chodzenia po lesie w długich butach, cicho i ciepło.
Marynia jeździła wczoraj do Kowaliszek i dziś wróciła. Tam ruch, mnóstwo gości. Spędzają tam Nowy Rok pp. Gorscy z rodzeństwem Madzi Julkowej, p. Iza Jarosławowa Komorowska z córką Renią, pp. Józefostwo Komorowscy z Gikań. Ciągły ruch i komunikowanie się z Przeździeckimi, u których bawią też liczni goście z młodzieży (panny Dymszanki, młodzi Komarowie, Zyberkowie). Ciągłe tańce i zabawy, Oleńka Hektorowa śpiewa, życie towarzyskie kipi. Tylko resursy finansowe Kowaliszek są mocno zachwiane, kieszenie cienko śpiewają, a koszt tych gości i zabaw – niemały. Zitka Komorowska z nastaniem wiosny – o ile tylko do tej pory sprzedana zostanie nasza kamienica spadkowa po śp. Marynce O'Rourke w Wilnie, do czego wszyscy z wyjątkiem Mieczkowskich wzdychamy – zamierza się wynieść ostatecznie do Warszawy i wstąpić do Stowarzyszenia Panien Kanoniczek. Tak się likwiduje jej sen o samodzielności i wolności, zrażony chorobą płuc.

3 stycznia, rok 1930, piątek
Znowu dziś ranek do obiadu spędziłem w Gaju. Tym razem skończyłem wyznaczanie i cechowanie jodeł na budulec dla Nemeikšysa, wyznaczyłem jeszcze kilka sztuk na łazienkę dla Kazimierza Jankowskiego, wreszcie wyznaczałem jodły dla siebie na wiązanie dachu i na deski do oficyny (kuchni) mojej podług wykazu, sporządzonego wczoraj z cieślą-stolarzem Piotrem Šeškusem z Janówki. Oficynę moją zamierzam kryć dachówką czerwoną z cegły; jest to dach ciężki, który wymaga mocnego wiązania. Parobcy Maryni rozpoczęli dziś w Gaju wyrąb osiny, którą sprzedaję na drwa na sążnie. Jedna para rąbie, rozcina i oddziela gałęzie, a dwóch zwozi drzewo do dworu dwiema parami koni. Sanna już ucieka, odwilż trwa, czasami kropi deszcz. Do Gaju można jeszcze dojechać saniami, ale w dalszą drogę sanny już nie ma. Dotychczas zima – bardzo lekka, prawie że jej nie ma. Jak się sanna pokaże – toż to będzie ruch w Gaju: Marynia Römerowa, Michał Nemeikšys, Kazimierz Jankowski, ja – każdy się chwyci rąbania i wywożenia swego drzewa.
Po moim wyjeździe Kazimierz Jankowski zabierze się niezwłocznie do bielenia sufitu i malowania drzwi, okien, podłogi i – pod kierunkiem Stefana Römera – ścian w pokoju jadalnym, w pokoju zaś herbowym Sinica do Wielkiejnocy postawi piękny piec kaflowy z Polepia z paleniskiem kominkowym, a wtedy Stefan Römer z udziałem Kazimierza zabiorą się do malowania sufitu, ozdobnego malowania ścian, malowania podłogi i drzwi. Ostatecznie więc i te dwa ostatnie pokoje na parterze będą gotowe. Do Wielkiejnocy przybędzie też bufet (robi go Paurys w Antonoszu) i biurko (robi je Barzda w Wiłajszach).

4 stycznia, rok 1930, sobota
Dziś skończyłem wyznaczanie i cechowanie drzew w Gaju. Marynia rano poprosiła mię jeszcze o sprzedanie jej 20 jodeł 10-calowych na remont sklepu kartoflanego i 6

grubszych jodeł na deski. Zgodziłem się chętnie, bo cena tego drzewa potrąci się z reszty mojej należności Maryni za kupioną od niej jej działkę Gaju. Niedużo już mam drzewa budulcowego w Gaju, ale jeszcze tu i ówdzie się znajdzie, a nawet trochę jeszcze pozostanie rezerwy.
Pojechałem dziś z Piotrukiem Skrebysem i Michałem Nemeikšysem do Gaju. Skończyłem wyznaczanie drzew dla Kazimierza Jankowskiego na łazienkę, wyznaczyłem dla Maryni jej budulec, uzupełniłem resztę dla siebie na deski do budującej się oficyny (kuchni), wreszcie wyznaczyłem dla siebie na opał na przyszłą zimę koło trzech sążni brzozy po obu stronach drogi środkowej przez Gaj, gdzie każdej zimy dużo brzóz wykradają. Na tym zamykam Gaj. Dużo z niego w tym roku wybrałem do wyrąbania – ogółem 160 jodeł, 5 jesionów, 40 brzóz, koło 80 osin i koło 50 sztuk białej olchy i łozy.
Zakończyłem dziś segregowanie listów i papierów archiwalnych, których plikę byłem przyniósł z pokoiku na górze w starym domu, gdzie się te papiery w nieładzie wśród śmieci i książek z byłej biblioteki antonoskiej poniewierają.
W starym domu najintensywniej żyje i pracuje twórczo Stefan Römer. W pracowni jego – w drugim pokoju na górze przybudówki starego domu – wyrosła od jesieni cała galeria obrazów, która wciąż jeszcze nowymi tworami narasta.
Odwilż wielka. Sanna ucieka ostatecznie. Już tylko w Gaju sankami dojechać można. Drogi są w wielu miejscach pokryte lodkiem, który je czyni bardzo śliskimi. Ogromne przestrzenie dróg i pól są zupełnie gołe.

5 stycznia, rok 1930, niedziela
Barometr już od wczoraj szedł na pogodę. Ale jeszcze w nocy wypadł obfity deszcz, zmywający resztki śniegu, a z wieczora wczoraj i dziś rano była wielka mokra mgła. Chmury pełzały po ziemi, ale już się atmosfera oczyszczała. Wieczorem wyjrzały gwiazdy i mrozik się zjawił.
Chodziłem dziś z Jadzią na spacer do Gaju. Po obiedzie z Piotrem Skrebysem robiłem rachunki i udzielałem mu zleceń gospodarskich. Wymierzyłem też układ portretów rodzinnych na ściany pokoju herbowego w moim domu.
Po obiedzie przyjeżdżał do mnie z Rakiszek adwokat Trifskin, mój były uczeń. Na skutek pewnej denuncjacji zakwestionowane zostało jego obywatelstwo litewskie. Przyjeżdżał radzić się ze mną i na wszelki wypadek zastrzec moją interwencję czy protekcję w toku załatwiania jego sprawy w Kownie.

6 stycznia, rok 1930, poniedziałek
Dziś – wyjazd z Bohdaniszek. Dzień Trzech Króli. Liczę, że jutro – we wtorek – odbędzie się pierwsze po świętach posiedzenie plenarne Rady Stanu. Najwyższy czas, toteż muszę już śpieszyć. Z żalem opuszczam Bohdaniszki. Dobrze mi tu w moim domu i w moim Gaju kochanym. Odpoczywam w tej zimowej ciszy wiejskiej wśród moich marzeń o dobrym urządzeniu moich Bohdaniszek i poniekąd o ich przyszłości, którą chciałbym w pewien określony sposób ustalić po mojej śmierci (czy mi się to jednak uda i jak się to ułoży – tego jeszcze nie wiem, a zresztą o tym dopiero marzę, bo jeszcze się śmierci rychłej nie spodziewam, podczas gdy urządzanie Bohdaniszek aktualne jest już nie tylko marzeniem, lecz ciągłym realizowaniem stopniowym i najmilszą zabawą moją).
Sannę spędziło zupełnie, a mrozik uczynił drogę kołową bardzo niemiłą: miejscami jest gruda, miejscami – zatoczysto. Wyjechaliśmy z Jadzią za dnia – koło trzeciej – w linijce parą koni drogą na Pokrewnie i Antonosz do Abel. Dojechaliśmy szczęśliwie o zmroku. W Abelach na stacji wypadło nam siedzieć koło sześciu godzin czekając na pociąg. W

ciasnej stancyjce bufetu, przerobionej z jednej cząstki dawnej przedwojennej poczekalni I i II klasy, zastaliśmy parę kompanii pijaków. Jeden z tych pijaków – zamożny gospodarz miejscowy – przyczepił się do mnie, emablował mię, nudził i w kółko mi to samo o swoich troskach i przygodach opowiadał, że aż złość brała, ale z pijakiem trzeba cierpliwości.

7 stycznia, rok 1930, wtorek
Przyjechałem do Kowna. Okazało się, że posiedzenia Rady Stanu dziś nie ma. Mogłem jeszcze nie przyjeżdżać. W Radzie Stanu mam dopiero w sobotę posiedzenie komisji organizacji sądownictwa. Co prawda, mam osobiście inną jeszcze robotę, wiążącą się pośrednio z Radą Stanu: jest to polecenie (prośba), udzielone mi osobiście poufnie przez Prezydenta Rzeczypospolitej Smetonę za pośrednictwem prezesa Rady Stanu Šilinga, wystudiowania strony prawnej konfliktu, który się wywiązał między episkopatem litewskim a rządem. Wymaga to żmudnego interpretowania kanonów, konkordatu i zagadnienia szkół konfesjonalnych w związku z art. 83 konstytucji. Jest to dziedzina śliska i trudna, wymagająca wielkiej ostrożności. W szczególności jest to trudne ze względu też na to, że muszę operować tekstem kanonów w języku łacińskim, którego nie opanowuję w całej rozciągłości. Chcę się w tej sprawie udać do pomocy prof. Jaszczenki, ale go jeszcze nie ma w Kownie: nie wrócił z urlopu świątecznego z Berlina.
W Kownie, zdaje się, nic nowego. Zresztą w pierwszym dniu po przyjeździe czuję się jeszcze zmęczony z drogi – trochę jakby pijany. Na krótko więc tylko wychodziłem z domu. Zabrałem się w domu do pracy.

8 stycznia, rok 1930, środa
Zastałem w Kownie na uniwersytecie całą kupę listów adresowanych do mnie. W ich liczbie jest list od córki mojej z życzeniami noworocznymi. List długi i na ogół dość serdeczny. Jest w nim wzmianka i gorące podziękowanie za otrzymane pieniądze, które jej Henryś Wołłowicz z polecenia mego z moich dochodów z kamienicy wileńskiej przesłał; bezpośredniej prośby o ponowne przysłanie pieniędzy tym razem w liście Celinki nie ma, ale jest utyskiwanie na brak pieniędzy, na ciężkie warunki, na wielkie potrzeby, co pośrednio zmierza do tego samego. W ogóle tej jesieni, gdym po wizycie zeszłorocznej zaniechał posyłania pieniędzy Reginie, Regina i Celinka zaczęły mię jedna przed drugą, zastrzegając zawsze w swych listach sekret przed drugą, zasypywać serdecznościami, zmieszanymi z prośbą o pieniądze, że aż mi to niesmak sprawia, bo zdaje się, że to właściwie jest jedynym tych listów i serdeczności bodźcem. Co do Celinki, nie dziwię się temu; czymże ja jestem dla niej poza „bogatym" ojcem; właśnie „bogatym", a nie „kochanym"! Zresztą może jest ona ćwiczona przez matkę i Francuzkę do tego. Ale Regina jest mi mocno niesmaczna w tej roli świętoszki „szlachetnej", „brzydzącej" się mamoną i pełnej „wzniosłej" dumy, która wszakże tą swoją „szlachetnością" „wzniosłą", przetrawioną już zupełnie na frazes, frymarczy na rzecz jednego jedynego żądania – pieniędzy! Wolałbym już, żeby to robiła prościej, nie drapując się w togi tragiczne „wstrętu" do pieniędzy. Byłoby to naturalniejsze i zaiste szlachetniejsze. Po co to prostytuowanie się – *pardonnez l'expression!*[24]. Już to nierządna jest Regina jak rzadko. Wszak ma majątek piękny, jest zamożna, a ciągle brak jej pieniędzy. Chyba ją Francuzka doi potężnie. Ale niechby już tam! Niechże prosi szczerze. Niech sobie rady dać nie umie i tej pomocy potrzebuje. Ale po cóż ta komedia zastrzeżeń i drapowania się w tragiczność! A nade wszystko – niechby córki już do tego nie używała. Posądzam zaś, że to robi i że Celinka z jej natchnienia i jako

[24] *Pardonnez l'expression!* (fr.) – Przepraszam za wyrażenie.

jej narzędzie do mnie się – niby pod sekretem od matki – zwraca! Mam powody do tego posądzenia. Jeżeli istotnie Regina wypacza tą drogą uczucie dziewczynki do ojca, czyniąc je narzędziem eksploatowania materialnego kieszeni ojcowskiej – to... niech jej Bóg wybaczy grzech. Ja wybaczam, bo jest głupia.

9 stycznia, rok 1930, czwartek
Na uniwersytecie ferie świąteczno-noworoczne zakończyły się urzędowo wczoraj. Na dziś już miałem wyznaczone colloquium na II semestrze. Udałem się na salę, gdzie się moje wykłady odbywają i zastałem już zebrane grono moich słuchaczy, acz nieliczne, wynoszące ze 20-25 osób, ale bądź co bądź obecne. Gdym się przekonał, że w ich liczbie są tacy, którzy nie są do colloquium na dziś wezwani, zarządziłem wykład, ale tylko jednogodzinowy, po czym odbyłem colloquium.
Wspomniałem wczoraj, żem listów dużo otrzymał. W tej liczbie były listy następujące: a. z „Institut International du Droit Public” z Paryża z podziękowaniem za krótką notatkę za moim podpisem o konstytucji litewskiej z r. 1928, podaną do „Annuaire” (Rocznik) tego Instytutu (podał ją w moim imieniu sekretarz poselstwa litewskiego w Paryżu Urbšys w tłumaczeniu i przeróbce z mojej pracy zeszłorocznej „Lietuvos konstitucijos reforma”, drukowanej w dodatku „Teisė”); instytut zaprasza mię do dalszego współpracownictwa; publikacje, choćby najmniejsze, w języku francuskim lub niemieckim, dają pewne imię w świecie uczonym międzynarodowym; b. list od Zofii z domu Piaseckiej, *primo voto* d’Erceville, *secundo voto* Kalicińskiej; była to nieznośna olbrzymiej tuszy pannica, pełna pretensji i równie zmysłowa, jak obrzydliwa, a głupia, która „grasowała” między r. 1905 a 1909, czepiała się i mnie w Krakowie przyjaźniła się z Elwirą i była w r. 1907 w Bohdaniszkach, córka Papy kolegi szkolnego, dziedziczka Szyrwint, które po wojnie sprzedała; mieszka obecnie, zdaje się, w Wilnie; powołując się na dawną znajomość, prosi o pomoc w uzyskaniu na jej rzecz dodatku do normy niewywłaszczalnej, ustalonego przez nową ustawę zeszłoroczną; prosi, abym się w tej kwestii skomunikował z jej adwokatem Michałem Ślażewiczem; nie wie, oczywiście, że dodatek się nie należy tym, którzy już normę zasadniczą sprzedali; c. bardzo miły króciutki list od byłego studenta Józefa Šlekysa, ideowca komunisty, z którym się często stykałem za czasów mojego prorektoratu w jesieni r. 1926, kiedy Šlekys zakładał organizację komunistyczną akademicką i reprezentował ją wobec władz akademickich; nauczyłem się go wtedy cenić i polubiłem tego chłopca ideowego; po przewrocie był on wysłany do Worń, potem zwolniony, ale już studiów nie kończył; obecnie brat jego jest na II semestrze na prawie; poznałem go po nazwisku i podobieństwie do brata, któremu przezeń przesłałem pozdrowienia ustne; Józef Šlekys z żoną dziękuje mi krótko i serdecznie za tę moją pamięć o nim.

10 stycznia, rok 1930, piątek
Już skoro zacząłem o listach, które zastałem po świętach, to dokończę o nich. Poza wyliczonymi, otrzymałem jeszcze listy następujące: a. od p. Mizgiera z Francji, potomka emigrantów polskich z r. 1831, którego dziad pochodził z Litwy; jest to jegomość całkowicie już sfrancuziały, przemysłowiec z Lugdunu (Lugdunum, Lyon), który z właściwą plutokracji burżuazyjnej próżnością parweniuszowską chce się zdobić zaszczytami przodków i marzy o tytułach pochodzenia arystokratycznego: Mizgier ten święcie jest przekonany o świetności rodu Mizgierów, a że ród ten pochodzi z Litwy, chce tu wyszukać dowodów tej świetności i nawiązania przez akta metryczne swej genealogii, w której są jakieś luki, a zarazem dotrzeć do wskazówek o wielkich dobrach magnackich i dostojeństwach, które były niegdyś w tym rodzie; przed kilku laty zwracał się on o mnie i uprzykrzał w tej kwestii, a gdy student Dominik Kriwicki, którego mu

wskazałem i któremu on honorarium zapłacił, nic mu z żądanych dowodów nie znalazł, choć szukał, Mizgier się zagniewał na mnie; dziś znowu się zwraca, prosząc, bym mu jakiegoś heraldyka na Litwie wskazał; zdaje się, że w istocie ta rodzina Mizgierów pochodzi nie z żadnej wielkiej arystokracji, lecz z bardzo mizernej drobnej szlachty szaraczkowej na Żmudzi; wskażę Mizgierowi chyba Weryhę-Darewskiego albo starego maniaka „księcia" Giedymina-Birżańskiego; b. list od mojej siostrzenicy Elizy Tanajewskiej z Grodna, miły i serdeczny; siedzi ona ze swym synkiem Markiem wciąż w Grodnie i procesuje się o alimenty z mężem, który ma w Grodnie jakąś posadę; sama się z lekcji utrzymuje; c. list od mego brata stryjecznego Stefana Römera z Oyenhausen, syna Bolesława, pisany po francusku zapewne przez jego żonę w jego imieniu; choć jeszcze niestary (49 lat) – Stefan jest sparaliżowany i niedołężny; stan jego od roku 1923, kiedym go widział, oczywiście, się pogorszył; jest to paraliż i tabes; teraz Stefan już tylko w wózku jeździ; pisze, kołacząc o protekcję, abym pomógł Kamilce Römerównie odzyskać od rządu place koszedarskie na rzecz jego matki jako należące do Władykiszek; d. wreszcie list od Kamilki Römerówny w tejże kwestii. Oprócz tego, szereg biletów wizytowych od różnych osób z powinszowaniami noworocznymi.

11 stycznia, rok 1930, sobota
Odbyło się dziś w Radzie Stanu posiedzenie komisji organizacji sądownictwa. Komisja ta, której ja przewodniczę i która składa się oprócz mnie z członków Rady Kalnietisa, Ciplijewskiego i Masiulisa i z tzw. biegłego-współpracownika („žinovas-bendradarbis") prezesa Trybunału prof. Kriščiukaitisa, przed świętami zakończyła pierwszą część swej pracy, polegającą na ustaleniu schematu organów sądowych, instancji i podziału między nimi kompetencji. Schemat ten, zaaprobowany z małymi poprawkami przez plenum Rady, został skierowany do Gabinetu Ministrów, a dopiero następnie, o ile zostanie zasadniczo przez rząd zaaprobowany, zostanie przez komisję zredagowany do projektu ustawy. Schemat ten jest dość prosty. Przewiduje on w zasadzie trojakie organy sądowe, odpowiadające trzem instancjom zasadniczym: I instancja – jednoosobowy sędzia lokalny, który się może nazywać bądź sędzią pokoju, bądź sędzią gminnym lub miejskim, bądź sędzią obwodowym, II instancja merytoryczna, czyli apelacja – kolegialny sąd okręgowy i trzecia – sąd kasacyjny i administracyjny – Trybunał Najwyższy. W sprawach cywilnych system ten zaprojektowany został z całą ścisłością, z jedynym odchyleniem dla sporów petytornych w stosunku do nieruchomości zahipotekowanych, które to spory w zakresie całego powiatu należeć mają do kompetencji tego sędziego lokalnego, którego siedziba jest w centrum powiatu i który jest prezesem wydziału hipotecznego. W sądownictwie karnym odchylenia są większe i mianowicie są one dwa: a. jedno odchylenie dotyczy wszystkich spraw, w których oskarżonemu grozi porażenie praw; sprawy te należą do sądu przysięgłych, który rozpoznaje sprawę i wyrokuje w składzie sześciu przysięgłych i jednego sędziego zawodowego, który przewodniczy; sąd przysięgłych, aczkolwiek funkcjonuje sesjami po powiatach, jest zorganizowany w łonie sądu okręgowego tak ze względu na to, że do przewodniczenia w tym sądzie pożądany jest bardziej wyrobiony i doświadczony sędzia, jak ze względu na to, że w sądzie okręgowym jest prokuratura, której udział w redagowaniu aktu oskarżenia i w funkcji oskarżającej na rozprawie jest w sądzie przysięgłych konieczny; sprawy, należące do właściwości sądów przysięgłych, nie ulegają apelacji; dopuszczalna jest tylko kasacja; b. drugie odchylenie dotyczy spraw o przestępstwa służbowe; skoncentrowane są one w sądzie okręgowym bez apelacji; ale za to od razu są one w I instancji rozpoznawane kolegialnie, a w ważniejszych sprawach tej kategorii kolegializm jest „zagęszczony", albowiem komplet sądzący składa się z pięciu sędziów.

12 stycznia, rok 1930, niedziela
Miałem dziś na wieczór zaproszenie do rektora Czapińskiego na kolację. Od czasów rektoratu prof. dr Avižonisa weszło w zwyczaj, że raz do roku rektor podejmuje prywatnie kolacją członków senatu akademickiego i byłych rektorów. Tylko ja jeden, będąc rektorem, nie uczyniłem zadość temu zwyczajowi, nie wiedząc, że jest taki zwyczaj.
Na zaproszenie rektora zebrali się dziś u niego byli rektorowie w osobach profesorów Šimkusa, dr Avižonisa, Michała Biržiški, mnie i Jodeli, członkowie senatu w osobach prorektora prof. ks. Česnysa i dziekanów wydziałów profesorów ks. Kuraitisa, Leonasa, Lašasa, Žemaitisa i Wasilewskiego i zeszłoroczny sekretarz uniwersytetu prof. Dovydaitis. Nieobecni byli tylko dziekan prof. Krėvė-Mickiewicz i sekretarz aktualny prof. Raudonikis. Kolacja co do jadła, jak wina była zaiste znakomita – aż zanadto obfita. W toku kolacji było kilka krótkich przemówień: przemawiał do gości rektor Czapiński, odpowiedzieli mu w imieniu byłych rektorów ja i Jodelė, w imieniu zaś senatu – prorektor Česnys. Z pań była pani rektorowa Czapińska, zupełna już staruszka, głucha jak pień i, zdaje się, mocno zdziecinniała, i dwie inne. Zabawiliśmy do w pół do dwunastej.

13 stycznia, rok 1930, poniedziałek
Wracam jeszcze do opracowanych przez komisję Rady Stanu zasad schematu organizacji sądownictwa i podziału kompetencji między organami sądowymi, o czym mówiłem pozawczoraj.
Schemat więc – z pewnymi zastrzeżonymi odchyleniami, które wskazałem, jest na ogół prosty: jednoosobowy sędzia lokalny – I instancja cywilna i karna, kolegialny sąd okręgowy – instancja apelacyjna. U szczytu organizacji – Trybunał Najwyższy jako sąd kasacyjny w stosunku do wszystkich wyroków sądowych ostatecznych cywilnych i karnych i jako sąd administracyjny w stosunku do wszystkich aktów administracyjnych po wyczerpaniu drogi służbowo-hierarchicznej zaskarżenia. Trybunał Najwyższy składa się z trzech izb: cywilnej kasacyjnej, karnej kasacyjnej i administracyjnej. Każda z tych trzech izb zasadniczych ma swój skład sędziów stały. Jedność Trybunału utrzymana jest w osobie prezesa i ogólnego zebrania (sędziów wszystkich trzech izb). W łonie poszczególnych izb mogą być sekcje (wydziały) specjalne, w szczególności sekcja kłajpedzka w łonie izby kasacyjnej cywilnej i izby kasacyjnej karnej i sekcja wojenna w łonie izby kasacyjnej karnej. W sekcjach element sędziów specyficznych (specjalnych kwalifikacji) łączy się z elementem sędziów, delegowanych z izby. Poza tym, w Trybunale Najwyższym zorganizowany jest wyższy sąd dyscyplinarny dla sędziów, którego skład wyznaczony jest na określony zakres czasu przez ogólne zebranie, wreszcie specjalny sąd karny dla spraw, przewidzianych w art. 64 i 65 konstytucji (sprawy Prezydenta Rzeczypospolitej i ministrów, w których oskarżenie należy do Sejmu lub Prezydenta): skład tego specjalnego sądu karnego w Trybunale kompletuje się z dwóch sędziów Trybunału, wyznaczanych z góry na pewien zakres czasu przez ogólne zebranie, i dwóch sędziów, mianowanych z góry na takiż zakres spośród prawników przez Sejm i przez Prezydenta Rzeczypospolitej po jednym. Do kompetencji Trybunału zaprojektowaliśmy też ogólne wyjaśnianie ustaw (interpretację autentyczną) na wniosek ministra sprawiedliwości lub za inicjatywą własną Trybunału; wyjaśnienia te mają moc obowiązującą dla sądów. Ta ostatnia funkcja Trybunału jest szczególnie wskazana ze względu na jednoizbowy system parlamentu (Sejmu) i brak sądu konstytucyjnego. Taki jest zaprojektowany przez komisję Rady Stanu schemat.

14 stycznia, rok 1930, wtorek
Zachodzi obecnie kwestia, czy rząd zaakceptuje opracowane przez komisję Rady Stanu zasady schematu organizacji sądownictwa. Że rząd obecny reformę sądownictwa uważa za pilną – to wiemy. Tego zdania jest zarówno minister sprawiedliwości Żyliński, jak prezes ministrów Tubelis, a Prezydent też temu sprzyja. Nam by chodziło o to, żeby nasze zasady zostały zaakceptowane jak są. Wszakże, jak słychać, jeden zwłaszcza element naszego planu jest w kołach rządowych poważnie kwestionowany: sąd przysięgłych. W Radzie Stanu został on przyjęty większością głosów przeciwko głosom prezesa Šilinga i Zygmunta Starkusa. Potem Šiling nam komunikował, że miał okazję rozmawiania o tym z panami rządzącymi i że tak premier Tubelis, jak jeszcze bardziej sam Prezydent Smetona są kategorycznie przeciwni sądowi przysięgłych. Jednak my wniosku naszego w tym względzie nie cofnęliśmy. Będziemy go bronili, gdy zajdzie potrzeba, wobec rządu. Zresztą obrona może nie jest beznadziejna, bo minister Żyliński jest podobno za tym. Bardzo być może, że Šiling, sam będąc przeciwnikiem tej instytucji, tendencyjnie nas informuje, a może sam u rządu agituje przeciwko sądowi przysięgłych; do Šilinga byłoby to podobne. Sąd przysięgłych – to element naszego projektu organizacyjnie i zasadniczo bardzo ważny. Jego ewentualne wykreślenie podkopałoby popularność całej konstrukcji, a zarazem zdezorganizowałoby ją, bo wytworzyłaby się luka, dotycząca najważniejszej kategorii spraw karnych, dla której zapobieżenia, kto wie, czy nie okazałoby się niezbędnym przerobienie całej zaprojektowanej przez nas organizacji sądów. W naszej bowiem organizacji nie ma miejsca dla apelacji w tych sprawach, a pozostawienie ich bez apelacji, o ile sąd przysięgłych uległby skasowaniu, nie dałoby się uzasadnić, gdy dla spraw drobniejszych apelacja jest przyjęta.
Nie jestem pewien, czy nie natrafi na opozycję zasadniczą w rządzie zaprojektowana przez nas funkcja sądu administracyjnego, udzielona Trybunałowi. Poprzedni Gabinet Ministrów – Voldemarasa – był tej funkcji bardzo przeciwny. Sąd administracyjny uważam za rzecz jeszcze bardziej zasadniczą, niż sąd przysięgłych.

15 stycznia, rok 1930, środa
Wznowiłem seminaria prawa konstytucyjnego na IV semestrze. Referat dzisiejszy studenta Ippe był słaby, ale za to świetny był kontrreferat studenta Jana Gaudešisa.

16 stycznia, rok 1930, czwartek
Nie będę dziś dużo pisać. Jestem znerwowany sprawą weksli Stefana Bucewicza. Już, zdaje się, jeden jego dług w Banku Litewskim, oparty na wekslach, żyrowanych przeze mnie, wynoszący 2000 litów, spadł ostatecznie na mnie. Weksle te zostały już w grudniu zaprotestowane i obecnie będę musiał sam je ratami spłacać. Pomimo że mi to ciężko, bo właśnie sam w roku 1929 w długi własne webrnąłem, to jednak z tym się już pogodziłem. Udźwignę jakoś ten ciężar. Jest jeszcze jeden dług na takichże wekslach z moim żyrem – na sumę 3000 litów, który też chyba spadnie na mnie. Ale choć to mi jeszcze cięższe, pogodziłbym się już jakoś i z tym, żebym już przynajmniej wiedział na pewno, że to już koniec. Ale oto dziś jakiś nieznany mi jegomość – lichwiarz zapewne – dopomina się o jakieś 200 lt z weksla Bucewicza z moim żyrem. Co to za weksel znowu – nie wiem. Chyba że to nie z tych drugich 3000 litów! Żeby to było z tych, to bym się jeszcze cieszył. Czego się szczególnie boję, to czy Bucewicz przy różnych zmianach weksli nie zachował niektórych wykupionych i nie poznaczonych starych weksli, którymi by mógł operować teraz, bankrutując doszczętnie. Jestem tym znerwowany i niespokojny.

17 stycznia, rok 1930, piątek
Dziwaczny to i nieznośny – skądinąd też nieszczęśliwy człowiek – ten p. Stefan Bucewicz. Znam go od r. 1906, kiedy po zamknięciu „Gazety Wileńskiej”, którą wydawałem i redagowałem, musiałem wyjeżdżać nielegalnie za granicę, chroniąc się przed wytoczoną mi przez władze sądowe rosyjskie sprawą karną prawno-polityczną. Nie pamiętam, czy opisywałem w dzienniku tę ucieczkę za granicę. Wyjeżdżałem przez Żmudź. Udałem się do Pogryżowa do stryja Izydora Römera (ojciec Eugeniusza), który mię odesłał do Popanowa – majątku Grajewskich. Adolfa Grajewskiego, przyjaciela mojego, z którym się w późniejszych latach zbliżyłem w Wilnie, wtedy jeszcze nie znałem. W Popanowie nie zastałem ani Adolfa Grajewskiego, ani jego brata Stanisława, jeno ich matkę starą, która była przerażona, gdy się dowiedziała o celu mojego przyjazdu. Wobec służby uchodziłem za jakiegoś krewnego, który przyjechał odwiedzić rodzinę. Drżąc o to, aby policja nie natrafiła na mój ślad i aby to nie sprowadziło jakichś represji na ukrywających mię Grajewskich, p. Grajewska, po kilku dniach mojego pobytu, odwiozła mię w nocy do Judran, majątku pp. Bucewiczów, z których jeden – właśnie p. Stefan – jest i już był wtedy z córką p. Grajewskiej żonaty. Pani Grajewska powiedziała Bucewiczom, kto jestem i po co przyjeżdżam i sama czym prędzej tejże nocy wróciła do Popanowa, zapewne obawiając się, aby Bucewiczowie nazajutrz nie kazali jej tego fanta (mnie) nazad zabierać. Zostałem w Judranach w nieznajomym domu i rodzinie, skierowany tam dla przeszwarcowania przez granicę, położoną stamtąd o 2-3 mile. Byłem „żywym kłopotem” dla Bucewiczów. Byłem w położeniu głupim, czując, że krępuję i że wcale pożądany nie jestem. Myślałem już nawet o zaniechaniu ucieczki, przynajmniej tą drogą. Powstało kilka pomysłów o sposobie przewiezienia mię za granicę, ale wszystkie okazały się niewykonalne lub niepraktyczne. Chciano otrzymać dla mnie przepustkę na przejazd na imię jednego z braci Bucewiczów, bawiącego w Moskwie, ale władze zażądałyby osobistego stawienia się tego brata dla wzięcia przepustki; zamierzono następnie przebrać mię za kobietę, abym wyjechał niby jedna z młodych pań Bucewiczowych za jej przepustką; ale w przebraniu nie byłem do kobiety podobny. Gdy wszystkie te pomysły upadły – wyratował mię z sytuacji ojciec jednej z młodych pań Bucewiczowych, pani Zygmuntowej, człowiek z drobnej szlachty. Na panią Zygmuntową, pochodzącą z rodziny ubogiej i na jej ojca, który w Judranach przy córce mieszkał, patrzano w rodzinie Bucewiczów trochę z góry, ale właśnie ona i jej ojciec byli najdzielniejsi, najofiarniejsi i najwięcej mieli serca. Oni też, a nie właściwa rodzina Bucewiczów, dopomogli mi do ucieczki czynnie. O tym innym razem.

18 stycznia, rok 1930, sobota
W mojej ucieczce za granicę w jesieni r. 1906 byłem, jak powiadam, przewieziony tajemnie przez granicę w Ojsianach (za Wewirżanami) przez p. Zygmuntową Bucewiczową z Judran i jej starego ojca, drobnego szlachcica, który w rodzinie Bucewiczów w Judranach był traktowany na stopie mniej więcej ekonoma. Rodzina Bucewiczów w Judranach składała się w tym czasie ze starej p. Bucewiczowej – matki, która, zdaje się, żyje dotychczas, i z kilku synów dorosłych, a może – nie pamiętam dobrze – i córek; z tych synów niektórzy – młodsi – byli w Rosji na studiach czy posadach, inni – w domu, z nich zaś p. Stefan i p. Zygmunt byli już żonaci; Stefan, który uchodził za głowę najtęższą w rodzinie, był zarozumiały, sensat, z przekonań – endek, mówił długo i powoli, frazesami szlifowanymi, cedząc słowa i smakując mądrość własną, z upodobaniem i tonem kaznodziei prawiącego morały; był nudny i pusty; on to jest żonaty z Grajewską, siostrą Adolfa; on sam niczym się nie przyczynił do ułatwienia mi przejazdu przez granicę. Zygmunt uchodził w rodzinie za głupiego;

nie skończył nauk, był niedowarzony, cichy, mało rozwinięty, traktowany pogardliwie, jako „*quantité négligeable*”, źle ożeniony z kobietą starszą od siebie i bodajże ekonomówną czy w każdym razie ubogą szlachcianeczką chodaczkową; ale tu właśnie – w tej maltretowanej rodzince ściślejszej Zygmunta – było serce i znalazła się inicjatywa i czyn, dzięki którym zostałem przez granicę przewieziony. Wywieźli mię w karecie p. Zygmuntowa Bucewiczowa, jej ojciec i – pamiętam – była jeszcze jakaś pani czy panna, ale kto to był – już nie pamiętam: czy siostra p. Zygmuntowej Bucewiczowej, czy panna Bucewiczówna, czy panna Grajewska. W samej chwili podjeżdżania do komory pogranicznej rosyjskiej przysiadłem na dnie karety w nogach tych dwóch pań, a głowę oparłem na siedzeniu pomiędzy nimi, one zaś rozrzuciły chusty i szale, którymi mię przykryły; same udawały chore, jadące do Prus do lekarza i dlatego nie wysiadały na komorze. Urzędnik jakiś zajrzał do środka, sprawdził przepustki, mnie nie dostrzegł – i przejechaliśmy granicę. Mój cel był osiągnięty. Cytuję to nie tylko dla zafiksowania tego epizodu biograficznego z moich dziejów, ale też dla wykazania, że w istocie żadnego długu wdzięczności względem p. Stefana Bucewicza w szczególności nie posiadałem.

19 stycznia, rok 1930, niedziela
Rano na uniwersytecie odbyło się posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, na którym – poza szeregiem spraw bieżących, dotyczących poszczególnych studentów – podniesiona została przez dziekana prof. Leonasa urzędowo sprawa promocji czterech członków wydziału w myśl inicjatywy odpowiedniej komisji. Kandydatami do promocji są: minister rolnictwa Aleksa i Tadeusz Pietkiewicz, którzy obaj nie mają dotąd tytułu docenta i są jeno „pełniącymi obowiązki” docentów, dalej docent Albin Rimka, zaproponowany do promocji na profesora nadzwyczajnego, i profesor nadzwyczajny Wacław Biržiška – na profesora zwyczajnego. W myśl regulaminu, Rada Wydziału wyznaczyła komisję w osobach mnie i profesorów Mačysa i Jurgutisa dla wystudiowania kwalifikacji tych kandydatów do promocji i zreferowania odpowiedniego wniosku Radzie w zakresie tej propozycji. Dosyć dawno nie mieliśmy promocji w wydziale. Sprawa projektowanej reformy uniwersyteckiej, ograniczenie etatów profesury i odebranie promocji z rąk autonomii wydziałowej w ciągu paru lat ostatnich paraliżowały te inicjatywę. Teraz – po ustąpieniu Voldemarasa – gdy sprawa reformy uniwersyteckiej weszła na tory łagodniejsze i gdy uniwersytet nie czuje już nad sobą tej szczególnej niechęci i nagonki, jaka była nań skierowana za czasów Voldemarasa, w wydziałach promocje znów odżyły. Jest w łonie Rady naszego wydziału kilku, którzy sami wzdychają do promocji i nigdy się jej doczekać nie mogą, a wszelkiej inicjatywie promocji kolegów zazdroszczą i uważają ją za bezpośrednie uchybienie sobie. Tymi uważającymi się za pokrzywdzonych malkontentami są docenci Šalčius, Morawski i Stankiewicz. Z nich Stankiewicz ma najmniej racji: jest zdolny, a przecież od czasu rozpoczęcia wykładów, w ciągu lat 6 -7, żadnej książki i zgoła żadnej pracy naukowej nie ogłosił. Co do Šalčiusa i Morawskiego – ci są dość produkcyjni, ale Šalčius ma pewien brak w cenzusie naukowym. Zdaje się, że właściwego dyplomu uniwersyteckiego nie posiada i ukończył jeno studia na popularnym uniwersytecie prywatnym imienia Szaniawskiego w Moskwie i w ogóle nie zaleca się zbyt wysokim poziomem twórczo-naukowym swych prac, Morawski zaś ma także pono pewne niedokładności cenzusu, a jego własne prace „naukowe” – pomimo całą jego płodność – żadnego waloru naukowego nie mają.
Dziś po obiedzie odbyło się u p. Prezydentowej posiedzenie prezydium zeszłorocznego Komitetu Wspierania Litwy Północnej. Znowu wypłynęła sprawa sanatorium dla suchotników albo kurortu pod Birżami jako jednego z dwóch ewentualnych celów dla

zużytkowania remanentu ofiar w kwocie 300 000 lt. Starkus i Toliušis skłaniają się na rzecz sanatorium, ks. Mironas i Lapėnas – na rzecz kurortu. Pani Prezydentowa ma się jeszcze rozmówić w tej kwestii z ministrem spraw wewnętrznych.

20 stycznia, rok 1930, poniedziałek
Z kredytu mojego p. Stefan Bucewicz korzystać zaczął koło pięciu lat temu. Pierwszy raz głosił się on do mnie z żoną, prosząc o zażyrowanie weksli na sumę 3 czy 4 tysięcy litów. Zażyrowałem przez wzgląd na pomoc, doświadczoną w r. 1906 od Bucewiczów. Choć p. Stefan był w udzieleniu tej pomocy osobiście najmniej czynny – nawet zupełnie nieczynny, to jednak należy on do tego samego domu, dla którego mam wdzięczność, a trudno tę wdzięczność mierzyć i wydzielać podług zasług osób na gramy. Na razie – pierwszych parę lat – p. Bucewicz terminów pilnował, nie zarywał, weksle zamieniał i odnawiał, procenty opłacał, od czasu do czasu amortyzował dług częściowo. Zaciągnął był raz dług w innym banku i spłacił. Trochę byłem niespokojny powolnością, z jaką topniała suma, oparta na moich żyrach, tym bardziej, że o złym stanie interesów p. Bucewicza słyszałem, ale p. Bucewicz zawsze się jakoś na termin wykręcić zdołał i mnie nie zarywał. Potem zaczęło iść ciężej. P. Bucewicz kilkakrotnie mię atakował, chcąc uzyskać nowe żyra na większe w coraz innych bankach i na coraz to inne kombinacje ratowania się. Wielekroć odmawiałem, ale parę razy uległem. Ostatecznie, choć poniosłem na p. Bucewiczu stratę raz tylko przy bankructwie Banku Handlowo-Przemysłowego – nie z winy p. Bucewicza – zacząłem rozumieć, że sprawa tych żyrów zakończy się źle dla mnie. Pan Bucewicz brnął w długi coraz większe, jego norma 80-hektarowa w Judranach została wystawiona na licytację, sam on przesiadywał stale w Kownie, szukając wciąż pieniędzy i węsząc coraz to nowe, przeważnie fantastyczne kombinacje na rzecz jakiejś generalnej konwersji swoich długów, które narosły coś do 8000 litów; tymczasem w Kownie sam mieszkał zbytkownie w drogim hotelu „Wersal", jeździł automobilami, jadał w najdroższych restauracjach itd. Widziałem, że rzeczy biorą obrót coraz gorszy. Nie jestem tak naiwny, abym nie rozumiał, że wcześniej czy później za moje żyra będę musiał płacić ja. A tych długów, opartych na moich żyrach, w ostatnich czasach były trzy: a. dług w Banku Litewskim na sumę 2200 lt, b. dług w Banku Polskim na 700 lt i c. dług na wekslach w sumie 3000 lt, których miejsca zdyskontowania nie wiem. Oswoiłem się z myślą, że długi te, a przynajmniej ich resztki, spadną na mnie. Choć mi z tym ciężko, ostatecznie radę dam. Sprawę likwidacji długu w Banku Polskim mam już uporządkowaną, w grudniu p. Bucewicz już zarwał w Banku Litewskim, wobec czego jego weksle z moim żyro zostały zaprotestowane i spłata, rozłożona na raty, już na mnie spadła; dotąd tylko nie wiem o losach weksli na sumę 3000 lt. Że i to spadnie na mnie – tego już chyba pewny być muszę. Chodzi tylko, kiedy i jak.

21 stycznia, rok 1930, wtorek
Dziś krótko piszę, bo jest późno i czasu mam mało. Zanotuję tylko tyle, że dziś na posiedzeniu plenum Rady Stanu obradowaliśmy między innymi nad kandydaturami na stanowisko referenta i na stanowisko kierownika kancelarii Rady. Świeżo zatwierdzone etaty Rady Stanu przewidują stanowisko referentów, o które kruszyliśmy kopie od roku. Referentami mają być młodzi prawnicy wybitniejszych kwalifikacji, którzy będą przydzielani do komisji Rady i będą spełniali czynności pomocnicze – gromadzenie materiałów, wystudiowanie jakiejś kwestii, informacje z ustawodawstw obcych itd. Referenci będą dobrze płatni – 1000 litów miesięcznie (pensja profesorska!). Podług regulaminu Rady, kandydatów na referentów i na naczelnika kancelarii wskazuje prezesowi Rada. Dziś chodziło o mianowanie pierwszego referenta. Omawiana była i

przyjęta została kandydatura Novakasa, dotychczasowego naczelnika kancelarii. Chodziło więc także o kandydata na opróżnione przezeń miejsce naczelnika kancelarii. Reflektował na tę posadę podsekretarz Trybunału Antoni Rymkiewicz, student prawa VI semestru, którego kandydatura na jego prośbę zgłoszona została przeze mnie i Masiulisa. Ale znalazła się kandydatura niewątpliwie lepsza – Franciszka Morkusa, wprawdzie także studenta prawa VI semestru, ale już starszego, wyrobionego, człowieka wybitnego taktu i inteligencji, który przez szereg lat, od roku 1920 do 1927, był naczelnikiem miasta i powiatu kowieńskiego i wykazał na tym stanowisku tyle biegłości i taktu, że się utrzymał poprzez cały szereg zmieniających się u rządu kierunków politycznych. Jest to bardzo cenny nabytek dla Rady Stanu.

22 stycznia, rok 1930, środa
I znowu czasu nie mam. Pisać nie będę.

23 stycznia, rok 1930, czwartek
Od grudnia rozpocząłem pracę nad kursem całkowitym nauki prawa konstytucyjnego, wykładanego przeze mnie na uniwersytecie. Będzie to dzieło kapitalne, praca ciężkiej artylerii, obliczona na lat kilka i na co najmniej dwa, a bodajże i kilka tomów. Na razie pracuję nad tym niezbyt forsownie, wplatając tę robotę między rozmaite inne roboty bieżące, które w domu wykonywam. Idzie mi ona nieźle, ale jestem dopiero w samych początkach pracy. W ogóle jej część pierwsza, dotycząca samej istoty i natury państwa i w szczególności analizująca rozmaite systemy doktrynalne oraz wielki problem społeczeństwa, jest bodaj ze wszystkich najtrudniejsza. W każdym razie spodziewam się, że ku końcowi roku kalendarzowego będę już miał spory zapas rękopisu, na którego podstawie będę mógł zrealizować pewien awans honorarium, który mi będzie jako zasiłek nader użyteczny. Do druku pierwszej części – może tomu I – mam nadzieję się zabrać w roku 1931.
W semestrze ubiegłym wykonałem kilka drobniejszych prac publicystyczno-naukowych. W szczególności napisałem w postaci artykułu małe studium o Radzie Stanu; jest to analiza funkcji naszej Rady Stanu w związku z analizą w ogóle tego rodzaju instytucji i ilustracją jej precedensów i analogii w ustrojach innych państw. Pracę tę wydrukowałem w noworocznym zeszycie „Teisė". Była ona, co prawda, przeznaczona dla odczytu w akademickim (studenckim) Towarzystwie Prawników i Ekonomistów, ale odczyt ten w semestrze ubiegłym z powodu mego spóźnienia się nie doszedł do skutku, a teraz, gdy praca już się ukazała w druku, byłby nieodpowiedni.
W październiku-listopadzie opracowałem też dłuższą rzecz o konstytucji litewskiej z r. 1928 dla miesięcznika prawniczego „Zeitschrift für Ostrecht", poświęconego prawu krajów wschodu europejskiego i wydawanego przez Instytut „Ost-Europe" we Wrocławiu. O współpracownictwo na rzecz tego organu prosił mię w r. 1928 członek tego Instytutu Bochmann, Bałt z pochodzenia, który przed wojną był adwokatem w Rydze, obecnie zaś ekspatriował się do Niemiec.

24 stycznia, rok 1930, piątek
Ta moja praca o konstytucji litewskiej z r. 1928, którą pisałem w jesieni ubiegłej dla „Zeischrift für Ostrecht" we Wrocławiu, napisana została przeze mnie po rosyjsku, bo tak się umówiłem z p. Bochmannem. Po niemiecku nie zdołałbym napisać. Praca ta jest zbliżona do mojej broszury litewskiej „Lietuvos valstybės konstitucijos reforma", drukowanej w dodatku do „Teisė" przed rokiem, jeno w tej pracy obecnej bardziej uwydatniłem charakterystyczne cechy ustroju („*régime*") konstytucyjnego, organizowanego przez konstytucję litewską, zestawiając je z cechami

charakterystycznymi znanych typów ustrojowych z poszczególnych konstytucji okresu powojennego. Praca ta okazała się obszerniejsza niż przypuszczałem. Rękopis okazał się dość gruby. Bochmannowi, któremu go przesłałem, praca się podobała. Obecnie jest ona tłumaczona na język niemiecki i ma być przez Instytut „Ost-Europe” nie zużytkowana do „Zeitschrift für Ostrecht”, lecz wydana osobną broszurą w Monachium.

25 stycznia, rok 1930, sobota
W komisji organizacji sądownictwa w Radzie Stanu obradujemy obecnie nad zgłoszonym przez Ministerium Sprawiedliwości projektem ustawy o adwokaturze. Pierwsza część pracy tej komisji – zasady organizacji urzędów sądowych z podziałem kompetencji między nimi – odesłana, po zaakceptowaniu jej przez plenum Rady Stanu, do Gabinetu Ministrów – została obecnie przez Gabinet Ministrów przekazana do opinii ministra sprawiedliwości; minister zaś sprawiedliwości był zwołał w tym tygodniu zjazd prezesów sądów i prokuratorów Trybunału i sądów okręgowych, który obradował nad naszymi zasadami i wyraził swoje w tej kwestii poglądy. Na zjeździe tym podobno krytykowano ostro nasz projekt – szczególnie zaś ostro krytykował go prezes Sądu Okręgowego w Kownie Grigaitis, człowiek zresztą płytki, mało doświadczony, ale za to zarozumiały i ambitny bardzo. Wszakże – pomimo ostrą krytykę – zjazd ostatecznie w uchwałach swoich zaakceptował niemal wszystko, co przez nas zaprojektowane było i tylko w jednej kwestii systemat nasz potępił, mianowicie – w stosunku do przestępstw służbowych, które w naszym projekcie rzeczywiście znalazły się na pewnego rodzaju rozdrożu. Co do projektu organizacji adwokatury, który obecnie studiować i debatować w komisji zaczynamy, to na razie ustalamy tylko pewne szczegóły względnie mniejszej wagi, albowiem przede wszystkim zamierzamy wysłuchać opinii Rady Adwokackiej, do której zwróciliśmy się, prosząc o wydelegowanie do komisji swego przedstawiciela, który by nas poinformował o stanowisku Rady wobec zgłoszonego projektu ministerialnego. Sam projekt ministerialny jest na ogół szablonowy, przeważnie wzorowany na istniejącej ustawie rosyjskiej; cała reforma polega tylko na trzech nowych zasadach: a. reforma stażu adwokatury; projekt ustala konieczność, jako warunek *sine qua non*, przesłużenia co najmniej dwóch lat na stanowisku etatowym w sądownictwie lub na stanowisku etatowego kandydata do posad sądowych, po czym dopiero stażysta może być zaliczony pomocnikiem adwokata przysięgłego i musi być nim tyle lat, aby cały okres stażu pomocnika łącznie ze służbą etatową wynosił lat pięć; b. odrzucenie podania o przyjęcie petenta w poczet adwokatury musi być zawsze motywowane i jest zaskarżalne; uchylony więc zostaje przepis obecny, pozwalający odmówić przyjęcia bez wskazania przyczyn odmowy, czyli dyskrecjonalna władza przyjęcia lub nieprzyjęcia kogoś do korporacji; c. skasowanie zupełne instytucji adwokatów prywatnych, nie posiadających cenzusu prawniczego, z zastrzeżeniem, że ci, którzy już są adwokatami prywatnymi, zachowują swe prawo nabyte dożywotnio.

26 stycznia, rok 1930, niedziela
Znowu nic pisać nie będę, bo mi czasu brak. Zresztą dzień upłynął na pracy.

27 stycznia, rok 1930, poniedziałek
Do Kowna przyjechała Marynia Römerowa. Przygnały ją tu kłopoty finansowe – terminy wypłat wekslowych, dla których zabrakło jej gotówki. Przyjechała kołatać o pożyczkę w Banku Polskim (Polskim Towarzystwie Wzajemnego Kredytu) w Kownie. Dopóki ta kwestia przejdzie przez zarząd czy radę banku i dopóki formalności będą załatwiane, zabawi ona w Kownie u mnie, co potrwa dni kilka. Zaprowadzę ją do teatru

na dramat i operę. Niebawem też jej syn, Stefan, ma do Kowna przyjechać – na razie tylko na dni kilka. Podobno Stefan dostaje tu jakąś posadę prywatną z ramienia polskiego towarzystwa oświatowego „Pochodnia”, będzie udzielać jakichś lekcji w jakiejś szkole rzemiosł czy coś w tym rodzaju, utrzymywanej czy organizowanej przez „Pochodnię”, zapewne jakichś lekcji rysunku czy ornamentyki. Będzie to dla niego punktem zaczepienia się w Kownie (zamieszkawszy w Kownie – stołować się będzie u mnie). Na wiosnę ma on wystąpić w Kownie ze swoją wystawą. Jego żona – Marynia Römerowa z córeczką – ma od wiosny osiąść w swoich Szaszewiczach pod Kownem, gdzie ma się zająć produkcją pomidorów, a bliska i łatwa komunikacja statkiem z Kowna do Szaszewicz umożliwi Stefanowi dojeżdżanie do żony.

28 stycznia, rok 1930, wtorek
Byłem z Marynią i Jadzią w teatrze na dramacie „Už vienuolyno sienų” („Za murami klasztornymi”), tłumaczonym z włoskiego. Zabawiliśmy się dobrze. Tak sztuka sama, jak gra artystów – doskonałe. Rad byłem, że mogłem Maryni zaprezentować teatr litewski z dobrej strony. Takie argumenty realne, bezpośrednie, doświadczalne na przykładach, lepiej i skuteczniej przekonywują, niż wszelkie dowodzenia słowne, które przekonanego odwrotnie i nie chcącego się dać przekonać nie przekonują nigdy. Dramat „Za murami klasztoru” jest niezwykle silny i działający ostro na nerwy. Artyści Kubertowicz, Vosyliutė, Rutkowska, Laucius, Tvirbutas – byli w rolach swoich bardzo wyraziści i znakomici. Niespodziewanie sala teatralna była pełna. Na przestawieniach dramatu jest to rzecz rzadka: o ile opera, na którą uczęszczają Żydzi, Polacy, Rosjanie, jest zawsze pełna i daje dochody, o tyle dramat, który jest uczęszczany tylko przez Litwinów, daje deficyt i po jednym, dwóch, najwyżej trzech przedstawieniach tej samej sztuki – jest pusty. Teatralnej sztuce scenicznej, zwłaszcza dramatycznej, ogromny podryw robi kino. Wobec żywych, z natury branych, pełnych bezpośredniości, dekoracji akcji filmowej – sztuczne, konwencjonalne dekoracje akcji teatralnej są archaiczne jak coś zgoła przedpotopowego. W ogóle teatr – to od a do z – sztuka, podczas gdy kino – to coś jakby z życia i natury wyrwane. A przecież kino tak samo nie zdoła zastąpić teatru w sztuce istotnej, jak w architekturze wspaniałe kamienice nowojorskie nie zastąpią francuskich katedr średniowiecza.
Na posiedzeniu dzisiejszym plenum Rady Stanu rozpoczęliśmy dyskusje ogólne nad zgłoszonym przez komisję prawa karnego projektem kodeksu karnego. Komisję prawa karnego stanowią Kalnietis, Papečkys i „rzeczoznawca” zaproszony – generał Šniukšta (prezes Sądu Wojennego). W dyskusji dzisiejszej dotknięty został system kar. W szczególności debaty dotyczyły kary śmierci, której projekt komisji nie przewiduje, i specjalnej kary honorowej (nie hańbiącej), której też w systemacie kar komisji nie ma. Za karą śmierci przemawiali prezes Šiling i generał Dowkont, przeciwko – Papečkys, Kalnietis, ja, Ciplijewski; Starkus i Masiulis milczeli, a Jurgutisa nie było.

29 stycznia, rok 1930, środa
I znowu byliśmy z Marynią w teatrze – tym razem na operze, na „Fauście”. Jakoś Maryni mniej dziś się teatr podobał, niż wczoraj na dramacie. Nawet balet z „Nocy Walpurgii”, bardzo ładnie zainscenizowany, niezmiernie efektowny, nie zyskał jakoś jej uznania. Była, zdaje się, zmęczona – w tym cały sekret.
Wracam jeszcze do wczorajszego posiedzenia Rady Stanu. Ku końcowi tego posiedzenia poruszyłem kwestię zreferowania przeze mnie na posiedzeniu Litewskiego Towarzystwa Prawniczego („Liet. Teisininkų Draugija”) opracowanych przez komisję Rady Stanu zasad organizacji sądownictwa. Kwestia takiego referatu jako dyskusyjnego była przed kilku dniami omawiana w zarządzie tego towarzystwa, do którego i ja

należę. Referat ten miał być wygłoszony nie na zebraniu dorocznym, które ma się odbyć tej soboty, jeno na ogólnym zebraniu specjalnym, *ad hoc* dla tego referatu w lutym zwołanym. Poruszyłem tę sprawę na plenum Rady Stanu, aby się upewnić, że Rada nic przeciw temu mieć nie będzie. Byłem zresztą przekonany, że Rada nie tylko nie zaoponuje, ale uzna to za pożądane. Wszak kapitalną rzeczą w toku projektowania ustawy jest poddanie projektu lub jego zasad pod dyskusję opinii publicznej, a już w szczególności pod dyskusję fachowców i zrzeszeń tychże. Atoli zgoła nieoczekiwanie dla mnie Papečkys, a zwłaszcza prezes Rady Šiling zaoponowali. Nic nie pomogły moje perswazje i energiczne Kalnietisa i Starkusa argumenty na rzecz takiego referatu i dyskusji. Opozycja Šilinga jest bardzo charakterystyczna. Traktuje on pracę kodyfikacyjną, projektodawczą i redakcyjną Rady Stanu jako jakiś sekret polityczny, niemal intrygę, z którą się należy chować przed społeczeństwem i opinią publiczną, uważaną za coś wrogiego i z góry nieprawomyślnego, co trzeba bić faktami dokonanymi i rozkazem, a nie radzić się z tym i zasięgać zdania. W przekonaniu Šilinga, może być mowa li tylko o informowaniu społeczeństwa, ale nie o dyskusji i dopiero wtedy, gdy się już ustali stanowisko, jakie rząd wobec projektu i wniosków Rady Stanu zajmie, kiedy już decyzja arbitralna zapadła. Dziwny pogląd i dziwne traktowanie rządu i społeczeństwa jako dwóch sił wrogich. Nieszczęście Rady Stanu, że ma za prezesa takiego niedowarzonego „działacza", jak Šiling. Wobec takiego stanowiska prezesa cofnąłem kwestię; referatu w Towarzystwie Prawniczym nie wygłoszę.

30 stycznia, rok 1930, czwartek
Marynia odjechała do Bohdaniszek.
Otrzymałem od dr Stanisława Kota z Krakowa cały pakiet listów, wycinków i książek. Dr Stanisław Kot, którego w latach 1915-1916 znałem w Piotrkowie na stanowisku szefa biura prasowego w Departamencie Wojskowym NKN i redaktora „Wiadomości Polskich", wydawanych przez Departament w celu propagandy sprawy Legionów Polskich w interpretacji politycznej Sikorskiego, jest obecnie, jak się już od prof. Semkowicza w grudniu dowiedziałem, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, gdzie wykłada historię. Akurat w tym czasie, kiedy prof. Semkowicz i prof. Antoniewicz bawili w Kownie (w grudniu), otrzymałem *via* Berlin (za pośrednictwem p. Frejlicha) list od Stanisława Thugutta (lewicowiec niesocjalista, znany działacz polityczny polski, były minister, były legionista), zapraszający mię do współpracownictwa (artykuły informacyjne o Litwie) w założonym przez Thugutta tygodniku demokratycznym bezpartyjnym; w liście tym był dopisek prof. Kota. W odpowiedzi napisałem dłuższy list do Kota, przypominając się jego pamięci i zagajając go serdecznie. W liście tym dotknąłem wizyty profesorów Semkowicza i Antoniewicza w Kownie i stosunków litewsko-polskich w związku ze sprawą Wilna. Kot przysyła mi teraz parę prac swoich (książkę „Rzeczpospolita Polska w literaturze politycznej Zachodu" i jedną broszurę swoją) i zeszyt redagowanego przezeń czasopisma historycznego specjalnego „Reformacja w Polsce" oraz listy – od siebie, od prof. Semkowicza i od niejakiego Mycielskiego (chyba nie profesora).

31 stycznia, rok 1930, piątek
Zdawało się, że zima tegoroczna będzie zupełnie bezśnieżna. Wyjąwszy krótkich parę dni, w których śnieżyło w czasie świąt Bożego Narodzenia, kiedy to w Kownie sanna trwała ogółem jeden dzień, a w naszym powiecie rakiskim jakieś niespełna dwa tygodnie, poza tym nie tylko że nie było sanny, ale w ogóle śniegu nie było wcale. Przez cały też czas aż dotąd – do końca stycznia – było ciepło: przez cały styczeń

temperatura trzymała się na poziomie paru stopni mrozu, podnosząc się czasem do zera. Aż wreszcie przed dwoma dniami śnieg zaczął prószyć; teraz jest biało; ale bądź co bądź i teraz na sannę się jeszcze śniegu nie zebrało. Dziś pod wieczór zaczęło mocniej marznąć.
Do Kowna przyjechał Stefan Römer, na razie dopiero na dni kilka. Przyjechał dla ułożenia się z działaczami „Pochodni" – Konstantym Zyberkiem-Platerem, Budzyńskim i innymi – w sprawie założenia tu jakiejś pracowni artystycznej wyrobu zabawek, malowania tkanin itd.; przedsięwzięcie to byłoby przez „Pochodnię" finansowane, a Stefan miałby w tym także swój zarobek, który by mu dał możność zainstalowania się w Kownie. Jednocześnie ma on stąd pojechać do Cytowian dla zapoznania się z Zosią Eugeniuszową Römerową, z którą ewentualnie do spółki ma swą wystawę obrazów na wiosnę urządzić w Kownie.
Dziś przed południem miał miejsce w Kownie niesłychanie śmiały napad bandycki na bank (towarzystwo wzajemnego kredytu) żydowski – w biały dzień w centrum miasta przy ul. Prezydenta. Napadu dokonał bandyta pojedynczo. Wpadł do banku, gdzie zastał do 50 osób pracowników i interesantów, zamknął drzwi ze środka, nałożył maskę i z rewolwerami w obu rękach dał rozkaz wszystkim położenia się plackiem na ziemię, co gdy wszyscy uczynili – zrabował z kasy koło 100 000 litów gotówki. Wszakże jacyś chłopcy zaalarmowali policję, a gdy bandyta schodząc ze schodów ujrzał policjanta, strzelił do niego i sam uciekł na górę, gdzie przebiegł przez mieszkanie jakiegoś Żyda i schował się na strychu. Znaleziono go i ujęto. Okazało się, że to oficer, niejaki Sutkaitis.

1 lutego, rok 1930, sobota
Przed obiadem miałem posiedzenie komisji sądowniczej w Radzie Stanu.
Wieczorem w sali posiedzeń Trybunału (Trybunał mieści się już obecnie w naszym gmachu Ministerium Sprawiedliwości) odbyło się walne zebranie doroczne Litewskiego Towarzystwa Prawniczego. Byłem tylko na początku zebrania – do wyborów zarządu. Czy zostałem ponownie wybrany – nie wiem. W zarządzie tym jestem już od lat bodajże siedmiu.

2 lutego, rok 1930, niedziela
Miałem dziś odczyt w akademickim (studenckim) Towarzystwie Prawników i Ekonomistów. Temat odczytu: Rada Stanu. Byłem proszony o odczyt przez zarząd tego towarzystwa jeszcze w semestrze ubiegłym. Temat sam wybrałem. Nie odważając się na wygłoszenie odczytu z pamięci, opracowałem go na piśmie. Mówiąc o Radzie Stanu, miałem na myśli nie działalność konkretnej naszej Rady Stanu, ale samą istotę tego rodzaju instytucji i jej funkcje typowe w zestawieniu z funkcjami litewskiej Rady Stanu. Opracowany na piśmie odczyt miałem zamiar wygłosić i zarazem dać go jako artykuł do czasopisma prawniczego „Teisė". Tymczasem odczyt przed świętami Bożego Narodzenia już do skutku nie doszedł, a zanim został wyznaczony po świętach – artykuł ukazał się już w druku w „Teisė". Wobec tego miałem zamiar zaniechać zupełnie odczytu; wszakże prezes akademickiego Towarzystwa Prawników i Ekonomistów, student ekonomista VI semestru Baliūnas namówił mię do wygłoszenia, twierdząc, że „Teisė" jest mało przez studentów czytana i ze przeto ukazanie się artykułu w „Teisė" nie będzie stanowiło przeszkody i nie ujmie wartości odczytu. Zdecydowałem się. Odczyt był publiczny i bezpłatny. Odbył się w sali uniwersytetu o godz. 7. Sala była pełna; audytorium składało się prawie wyłącznie ze studentów. Spośród profesury i ludzie dojrzałych dostrzegłem ledwie kilka osób, w szczególności prof. Stanisława Szołkowskiego i redaktora „Elty" Turowskiego. Mało też było kobiet. Za to było kilku

dziennikarzy, którzy notowali skwapliwie. Właściwie odczyt polegał na odczytaniu publicznym artykułu z „Teisė”. Jeno w kilku miejscach kilku zdaniami uzupełniłem ustnie czytanie. Zdaje mi się, że odczyt mi się udał. Przynajmniej ja sam wyniosłem wrażenie dobre; zdaje mi się, że słuchacze byli zadowoleni. Nagrodzono mię rzęsistymi oklaskami. Może się ten odczyt rzeczowy i mocno argumentowany przyczyni cokolwiek do rozproszenia mroków w panujących u nas pojęciach bałamutnych o Radzie Stanu. Ciekaw jestem, co powie o odczycie prasa, jeżeli w ogóle coś powiedzieć zechce.

3 lutego, rok 1930, poniedziałek
Sprawozdanie z mojego odczytu wczorajszego o Radzie Stanu znalazłem tylko w jednej gazecie – w „Lietuvos Žinios”. Jako organ ludowców, którzy są w opozycji i którzy zwalczają tradycyjnie Radę Stanu, usiłując od początku ją zohydzić posądzeniami o jakiś faszyzm i o konkurencję Sejmowi, „Lietuvos Žinios” ze względów partyjnych nie zdobyło się i tym razem na rzeczową relację czy ocenę odczytu mojego. Same wyrazy „Rada Stanu” działają, zdaje się, na to pismo jak płachta czerwona na byka: rozjuszają je. Sprawozdanie wypacza całkowicie tak treść, jak intencję mojego odczytu. Smutno mi jest to stwierdzić. Żałuję, że wygłosiłem ten odczyt. Wszak tego, kto nie chce być przekonanym, nie przekonasz nigdy. Co prawda, nie dla przekonywania „Lietuvos Žinios” wygłaszałem ten odczyt. Uczyniłem to dla młodzieży akademickiej. Ale i na umysły młodzieży, nawet tych, co mię słuchali, fałszywa relacja dziennikarska wpływ mieć może. Potęga prasy jest wielka, a równie dobrze daje się ona zużytkować na ogłupianie, jak na oświecanie i dokształcanie.
Stefan Römer wyjechał dziś z Eugeniuszem do Cytowian. Nie miał eskorty, bo jest towarzysko dość dziki, a tam w Cytowianach Zosia Eugeniuszowa weźmie go w obroty. Ale jedzie, bo Zosia może mu dużo ułatwić w urządzeniu wystawy i w ogóle w jego karierze artystycznej w Kownie.

4 lutego, rok 1930, wtorek
Przed 10 dniami zacząłem pisać w dzienniku o rozpoczętej przez komisję sądowniczą Rady Stanu pracy nad projektem ustawy o adwokaturze. Ustawa taka jest właściwie częścią składową całkowitej ustawy zasadniczej o organizacji sądownictwa, którą ta komisja opracowuje, ale w tym wypadku komisja ma do czynienia z projektem rządowym nadesłanym. W tym projekcie rządowym najcharakterystyczniejsza jest ta część, która reformuje warunki stażu adwokatury. Dawna ustawa rosyjska, która, jak wszystkie rosyjskie sprzed wojny, obowiązuje u nas o tyle, o ile nie jest sprzeczna z konstytucją krajową lub nie została uchylona przez nowsze ustawy litewskie, dla wstąpienia do adwokatury właściwej, zwanej „przysięgłą”, żądała, aby kandydat albo przesłużył 5 lat w sądownictwie, albo przebył przez tyleż lat pomocnikiem adwokata przysięgłego, przypisanym do jednego z adwokatów przysięgłych jako swego patrona zawodowego (nie mówiąc o ogólnych warunkach takich, jak dyplom wydziału prawniczego, obywatelstwo krajowe itd.) Wydana przed kilku laty przez Sejm ustawa przedłużyła termin stażu pomocnika do lat 7 ½. Reforma obecna w projekcie rządowym powraca do terminu pięcioletniego, ale żąda, aby w liczbie tych lat były co najmniej dwa wysłużone w sądownictwie na jakimkolwiek stanowisku etatowym (choćby kandydata etatowego do posad sądowych przy sądzie okręgowym), zastrzegając poza tym, że te dwa lata muszą być przesłużone koniecznie przed trzema latami stażu pomocnika. Tak skombinowany projekt reformy ma bardzo wyraźne, aczkolwiek ukryte, ostrze antysemickie. Mianowicie chodzi o to, że obecnie adwokatura jest zalewana coraz bardziej przez żywioł żydowski. Już same kadry adwokatury przysięgłej

mają bardzo duży odsetek Żydów, szeregi zaś pomocników, z których się ta adwokatura rekrutuje, są już w ogromnej większości żydowskie: element litewski czy w ogóle chrześcijański jest pośród pomocników zupełnie nieznaczny. Zjawisko to jest zupełnie naturalne, które wszakże antysemici, a także konkurujący z Żydami młodzi pomocnicy Litwini skłonni są tłumaczyć (niesłusznie) jakąś rzekomo szczególną zachłannością Żydów. W istocie nie jest to żadna zachłanność, jeno prosty skutek dwóch faktów społecznych w naszym kraju: *primo* – Żydzi są w kraju elementem względnie bardziej rozwiniętym cywilizacyjnie, który wyłania z siebie procentowo więcej inteligencji zawodowej niż Litwini, toteż dodatek Żydów w ogólnej masie narastającej inteligencji krajowej jest wyższy, niż ich dodatek w ogólnej masie zaludnienia kraju i *secundo* – młodzież prawnicza litewska, o ile nie zajmuje posad rządowych w innych dziedzinach służby państwowej, wstępuje masowo do sądownictwa, gdzie dotąd jeszcze z wielką łatwością znajduje miejsce i dość szybko, aczkolwiek w tempie już słabnącym, awansuje, podczas gdy Żydzi albo wcale do sądownictwa nie są przyjmowani, albo są przyjmowani tylko wyjątkowo, a pod względem awansu są zgoła upośledzeni, toteż z konieczności pchają się, a raczej są przez okoliczności zmuszeni pchać się do adwokatury jako zawodu wolnego, bo zresztą w kraju niewielkim i tak mało uprzemysłowionym jak Litwa, dla swej inteligencji mają bardzo mało innego – czysto prywatnego i ekonomicznego – pola do pracy.

5 lutego, rok 1930, środa
W numerze wczorajszym, który mi dziś pokazano, jest i w „Lietuvos Aidasie" recenzja obszerna z mojego odczytu niedzielnego o Radzie Stanu. Ta recenzja jest zupełnie ścisła i rzeczowa, nie karykatura, jak w „Lietuvos Žinios" pozawczoraj. Pochodzi to zresztą stąd, że ponieważ Rada Stanu powstała z reformy obecnego rządu, więc zwolennicy tego rządu są usposobieni przychylnie do wszystkiego, co go w świetle korzystnym przedstawia, podczas gdy przeciwnicy rządu muszą ganić albo przynajmniej do karykatury sprowadzić wszystko to, co go może w świetle dodatnim przedstawiać. Ano, to w naturze rzeczy. Šiling by, zdaje się, chciał, żebym pisał sprostowanie do „Lietuvos Žinios". Nie będę.
Nie mam czasu na obszerniejsze pisanie dziś dziennika. Poza pracą bieżącą, której mam po uszy, siedzę teraz pogrążony w studiach projektu konwencji międzynarodowej o obywatelstwie, którą Ministerium Spraw Zagranicznych przysłało do wystudiowania i zaopiniowania Rady Stanu.

6 lutego, rok 1930, czwartek
Miałem na obiedzie Józefa Stawskiego i mego starego kolegę prawowieda Violliera. Poza tym cały wieczór pracowałem bardzo intensywnie nad studiowaniem projektu konwencji międzynarodowej o obywatelstwie. Rano miałem wykład i colloquium na II semestrze.

7 lutego, rok 1930, piątek
Poza posiedzeniem komisji Rady Stanu, która w osobach Kalnietisa, generała Dowkonta i mnie wystudiowuje projekty kodyfikacji międzynarodowej w przedmiotach obywatelstwa i prawa morskiego dla zaprojektowania opinii Rady Stanu, i poza robotą bieżącą w domu miałem dziś u siebie egzaminy. Zdawało czterech studentów – wszyscy czterej Żydzi: jeden z nich – Lew Fur – zdał świetnie, trzej inni – bardzo dobrze i dobrze.
Z gazet dowiedziałem się, że na tegorocznym walnym zebraniu Towarzystwa Prawniczego do zarządu wybrany nie zostałem. Nie został też wybrany Janulaitis.

Prezes towarzystwa Kriščiukaitis, sekretarz Grigaitis, skarbnik Toliušis – wybrani; natomiast na miejsce moje i Janulaitisa wybrani zostali Leonas i Stankiewicz.
Znów wracam do projektu ustawy o adwokaturze, który rozważamy obecnie w komisji sądowniczej Rady Stanu. Otóż zaprojektowana reforma stażu dla wstąpienia do adwokatury ma w sobie ukrytą tendencję antysemicką. Dla pewnych – nawet licznych kół litewskich – szybkie narastanie Żydów w adwokaturze, spowodowane przez to, że Litwini dążą do magistratury i w ogóle służby państwowej, prawnicy zaś Żydzi z konieczności – do adwokatury, bo inne drogi są dla nich zamknięte, jest od dawna solą w oku. Ich myślą jest: „odżydzić" adwokaturę. W tym właśnie celu skomponowana była ta reforma stażu adwokackiego. Zdaje się, że jej inicjatorem był obecny prezes Rady Stanu Šiling w czasie, gdy był on ministrem sprawiedliwości (w r. 1927-1928). Šiling rozumował tak: nie damy Żydom broni do rąk, nie damy im argumentu formalnego do oskarżania nas o antysemityzm; nie ustanowimy żadnego prawa wyjątkowego dla Żydów, nie wykroczymy z granic litery równości obywatelskiej; powiemy po prostu, że kto chce być adwokatem, ten musi przesłużyć dwa lata w sądownictwie, a po cichu przez usta ministra sprawiedliwości szepniemy prezesom sądów okręgowych, aby Żydów nie przyjmowali na kandydatów do posad sądowych albo przyjmowali rzadko, z wielką rezerwą, bacząc na pewną ich normę procentową w stosunku do Litwinów; w ten sposób stworzymy filtr, przez który przecedzać będziemy Żydów bardzo oszczędnie, nie gwałcąc litery równości; i po co nam ją gwałcić i dać się oskarżać, gdy można bez tego osiągnąć ten sam skutek. Oto jest myśl najgłębsza tego projektu.

8 lutego, rok 1930, sobota
Środami od dwunastej do drugiej i sobotami od dziewiątej do dwunastej obraduje w Radzie Stanu nasza komisja sądownicza. Rozpoznaliśmy już koło połowy projektu ustawy o adwokaturze. Do projektu rządowego wnieśliśmy cały szereg poprawek istotnych, w szczególności zreformowaliśmy organizację samorządu korporacyjnego adwokatury, rozwijając organ zasadniczy – ogólne zebranie adwokatów – równolegle do organu wykonawczego i administracyjnego – Rady, w której dotąd i w myśl projektu rządowego cały samorząd się streszczał. Zostawiliśmy na razie otwartą kwestię bodaj główną – reformę stażu adwokackiego – oraz związaną z tym kwestię instytucji tzw. „pomocników adwokatów". Co do tych kwestii, postanowiliśmy zaczekać na razie na wypowiedzenie się obecnej Rady Adwokackiej, która za parę tygodni ma przysłać na posiedzenie naszej komisji swego delegata dla zakomunikowania nam uwag i poglądów adwokatury na sprawę organizacji i w ogóle projektu ustawy o adwokaturze. Zresztą na samym początku naszych obrad nad projektem pomówiliśmy trochę w kwestii reformy stażu. Z tej wymiany zdań najjaskrawiej się wyłonił pomysł Kalnietisa, zmierzający do zupełnego skasowania instytucji pomocników adwokatów. Asumpt Kalnietisowi do jego pomysłu dała Kłajpeda, a raczej system niemiecki rekrutowania adwokatury. Kalnietis chce staż adwokacki utożsamić i zlać zupełnie ze stażem sędziowskim, opierając oba na instytucji kandydatów do posad sądowych z terminem trzyletnim, z praktyką odpowiednią i z dwukrotnym egzaminem. Staż taki stanowiłby stopień konieczny i zarazem powszechny i jedyny tak do magistratury sądowej, jak do adwokatury. Po odbyciu tego stażu z wynikiem zadowalającym młody prawnik byłby wykwalifikowany do stanowiska sędziego i zarazem do zawodu adwokackiego. Żadnych pomocników adwokatów nie byłoby. Komisja żadnej uchwały jeszcze nie powzięła, ale na razie pomysł Kalnietisa zdawał się pozyskiwać ogólne uznanie komisji, z pewną co prawda poprawką, o ile chodziło o opinię Kriščiukaitisa, a na następnym posiedzeniu ja zgłosiłem do pomysłu Kalnietisa pewne zastrzeżenie zasadnicze.

9 lutego, rok 1930, niedziela
Przed obiadem od dziesiątej do dwunastej byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Poza rozmaitymi kazusami bieżącymi, dotyczącymi poszczególnych bądź studentów, bądź osób, pragnących uzyskać dyplom lub wstąpić na uniwersytet, rozpoznaliśmy wniosek dziekana prof. Leonasa o zorganizowaniu przez wydział – przez każdą z dwóch jego sekcji – prawniczą i ekonomiczną – pewnych prac naukowo-społecznych. We wniosku motywowanym Leonas proponuje: a. aby sekcja ekonomiczna zorganizowała z udziałem młodzieży akademickiej pod kierunkiem profesorów akcję na rzecz wystudiowania warunków mieszkaniowych w Kownie lub w ogóle w Litwie i b. aby sekcja prawnicza – również przez studentów pod kierunkiem profesorów – wystudiowała prawo zwyczajowe litewskie na zasadzie materiału archiwalnego protokołów i wyroków byłych sądów gminnych (włościańskich). Nie są to rzeczy łatwe i proste, a w szczególności co do prawa zwyczajowego to jest ono do wystudiowania bardzo trudne, studiując zaś je grozi niebezpieczeństwo sfałszowania twierdzeń przez wnioski zbyt pochopne i przez niepodobieństwo ustalenia kryteriów dla odróżnienia tego, co płynie istotnie ze świadomości prawniczej ludu i jest produktem zwyczajowym obcowania społecznego, od tego, co jest jakąś li tylko naleciałością albo refleksem kodeksów albo – co gorsza – widzimisię sędziów gminnych, jakimś faworytyzmem lub zręczną sztuczką samych zainteresowanych stron w procesie. Co się tam działo w sądach gminnych przedwojennych pod firmą i pretekstem prawa zwyczajowego, któremu ustawodawstwo państwowe przyznawało w tych sądach moc obowiązującą, to wiedzą nie tylko sędziowie, ale wszyscy, kto trzeźwo stosunki obserwuje i nie łudzi się idealizacją tego „prawa" w społeczeństwie bądź co bądź nieco zaściankowym i zresztą wcielonym w tryb obcowania państwowego, operującego ustawami, jakim było nasze społeczeństwo włościańskie przed wojną w Rosji, poddane temu sądownictwu stanowemu.
W zasadzie Rada Wydziału Prawniczego wniosek prof. Leonasa przyjęła i dla zaprojektowania wykonania tegoż wybrała dwie komisje – ekonomiczną i prawniczą. Nie trafiłem ani do jednej, ani do drugiej, bo do grupy ekonomicznej nie należę, a w grupie prawniczej moją specjalnością jest prawo konstytucyjne, które z tym prawem zwyczajowym, jakie się w sądach praktykowało, nic wspólnego nie ma.

10 lutego, rok 1930, poniedziałek
Do innych prac moich, nad którymi siedzę, przyłączyła się jeszcze jedna poszczególna. Mianowicie z okazji 65-lecia dziekana Wydziału Prawniczego prof. Leonasa Rada Wydziału uchwaliła wydanie w tym roku jednego tomu zbiorowego „Teisių Fakulteto Darbų", poświęconego uczczeniu solenizanta. W tomie tym mają być prace – krótsze lub dłuższe – wszystkich, ile się da, członków wydziału. Prace mogą być na wszelkie tematy naukowe, bynajmniej nie związane z osobą prof. Leonasa. Redaktor „Teisių Fakulteto Darbų" prof. Janulaitis już egzekwuje rękopisy. Co do mnie, wybrałem na temat instytucję prawną mało znaną i mało dotąd praktykowaną, lecz doniosłą – sąd konstytucyjny. Nie będzie to zresztą rzecz długa – mniej więcej artykuł na parę najwyżej arkuszy druku.

11 lutego, rok 1930, wtorek
Wtorkami regularnie od godz. dziewiątej rano do drugiej po południu odbywają się w Radzie Stanu posiedzenia plenarne. W tym roku posiedzenia plenarne są rzadsze – w roku ubiegłym odbywały się one (przynajmniej w półroczu wiosennym 1929) po dwa razy na tydzień; nie znaczy to jednak wcale, aby działalność ówczesna była

intensywniejsza od obecnej; powiedziałbym raczej, że jest właśnie odwrotnie. Obecnie czynniejsze są komisje, praca w nich jest wydajniejsza. I co zwłaszcza stwierdzić należy, obecnie praca ześrodkowuje się zwłaszcza na funkcji twórczo-kodyfikacyjnej, podczas gdy w roku ubiegłym polegała ona niemal wyłącznie na drobiazgowym przeredagowywaniu i rozpoznawaniu różnych detalicznych projektów rządowych. Obecnie trzy wielkie komisje Rady – sądownicza, prawa karnego i ekonomiczna – opracowują cały szereg nowel kapitalnych i kodeksów. Ten zwrot dodatni w pracy Rady Stanu od przetrawiania drobiazgów w roli popychadła rządowego do twórczego i planowego wygotowywania wniosków *de lege ferenda* w celu zaopatrzenia ustawodawcy w materiał treściwie ułożony i dobrze przemyślany – zawdzięcza się poniekąd lepszemu zorientowaniu samej Rady, poniekąd zaś – zmianie rządu i innej metodzie traktowania Rady przez obecnego premiera Tubelisa w porównaniu do tego, jak ją traktował Voldemaras.
Szkoda tylko, że się nie rozwija w Radzie wcale czynność kontroli legalności administracji. W tym względzie zaniedbanie jest wielkie i rażące.

12 lutego, rok 1930, środa
Z Kalnietisem i generałem Dowkontem odbyłem w Radzie Stanu posiedzenie komisji wyłonionej *ad hoc* dla rozpoznania wniosków dyskusyjnych na konferencję międzynarodową w sprawie uporządkowania prawnego zagadnień obywatelstwa. Wnioski są już zaprojektowane przez odnośne media ekspertów z ramienia Ligi Narodów. Sprawa jest bardzo skomplikowana, zahaczająca z jednej strony o zasadę zwierzchnictwa ustawodawczego poszczególnych państw, opierających swoje ustawodawstwo o obywatelstwie na różnych założeniach, z drugiej o rozrastające się jak plaga międzynarodowa zjawisko podwójnego obywatelstwa lub osób bez żadnego obywatelstwa, które to zjawisko wypływa ze stosowania tych różnych założeń i do którego usunięcia, a przynajmniej zmniejszenia skierowane są te wnioski. Sprawę tę wystudiowałem i po omówieniu jej dziś w komisji będę ją w przyszłym tygodniu referował na plenum Rady, na którym ma być obecny minister spraw zagranicznych Zaunius.

13 lutego, rok 1930, czwartek
W grudniu referowałem dość obszernie w dzienniku wizytę uczonych polskich – profesorów Semkowicza i Antoniewicza – w Kownie. Dla mnie wizyta ta była szczególnie miła, bo kocham Polskę i sprzyjam gorąco zbliżeniu litewsko-polskiemu. Atmosfera niechęci, a nawet nienawiści do Polski, traktowanie Polski i Polaków jako wrogów tradycyjnych Litwy, aczkolwiek może w pewnej mierze usprawiedliwione wypadkami lat ostatnich – zresztą nie tyle czynami Polaków właściwych, ile akcją Polaków litewskich z synem Litwy Józefem Piłsudskim na czele – była i jest zawsze dla mnie zgrzytem najboleśniejszym. Tęsknię gorąco do pojednania polsko-litewskiego i mam przekonanie, że w gruncie rzeczy Polacy i Litwini są sobie bardzo bliscy i właściwie pomiędzy wszystkimi ludami oni siebie nawzajem najlepiej zrozumieć mogą. Prof. Semkowicz i Antoniewicz byli w Kownie grzecznie, a nawet, o ile chodzi o tych, co się tu z nimi z kół litewskich stykali, serdecznie przyjęci. Studiowali oni Kowno i stosunki litewskie bezstronnie i życzliwie, zorientowali się wcale nieźle, ocenili uczciwie i bez uprzedzeń wszystko to, co tu zaobserwowali i wyjechali z Litwy pod dobrym wrażeniem. Skutki tej wizyty mogły być tylko dodatnie. To, co ci profesorowie mogli w Polsce o Kownie i Litwie opowiadać i pisać, mogło tylko oddziałać kojąco i mogło się przyczynić jeno do otwarcia oczu społeczeństwu polskiemu na rzeczywistość litewską, której Polska nie zna i o której ma pojęcie, wyrobione na wszelkiego rodzaju

szkalowaniu i zniesławianiu „barbarzyństwa” litewskiego. Po przyjeździe też do Polski prof. Semkowicz referował o Kownie na zebraniu poufnym profesury Uniwersytetu Jagiellońskiego i napisał szereg artykułów informacyjnych, drukowanych w krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”. Artykuły te utrzymane są w tonie życzliwym dla Litwy i na ogół traktują z uznaniem i sympatią wysiłki młodej Litwy do uporządkowania się państwowego i kulturalnego. Polityki w ścisłym znaczeniu – nie poruszają. Prof. Semkowicz miał też odczyt o Litwie przez radio i, jak mi pisze prof. dr Kot, ma on wszystko to, co o Litwie i swej wizycie kowieńskiej napisał i powiedział, zebrać w broszurkę osobną. Co do prof. Antoniewicza, to nic nie wiem, co o Litwie i Kownie pisał i przemawiał.

14 lutego, rok 1930, piątek
Ale jeżeli profesorowie Semkowicz i Antoniewicz, komunikując w Polsce swoje obserwacje i wrażenia z wycieczki do Kowna, szerzą przez to pewien nastrój życzliwszy dla Litwy w opinii publicznej polskiej i oddziaływują dodatnio i kojąco, to z drugiej strony nie drzemią tam i ci, co z interesu lub namiętności są zainteresowani w jątrzeniu tradycyjnym tej opinii w stosunku do Litwy. Tymi zainteresowanymi są z jednej strony Wilnianie (oczywiście tylko Polacy z Wilna), którzy wciąż się boją powrotu Wilna w tej czy innej formie do Litwy i dlatego chcą utrzymać Polskę w ciągłej czujności nieufnej i niechętnej względem Litwy jako pretendentki do Wilna, a z drugiej – w stopniu jeszcze o wiele większym – różni emigranci z Litwy, którzy czy to doświadczyli od niej jakiejś krzywdy (reforma agrarna, procesy peowiackie itd.), czy się wobec niej przewinili sami i którzy bądź się jej boją, bądź chcieliby do niej wrócić w roli triumfatorów, marząc o wkroczeniu zwycięskim wojsk polskich na Litwę, a w każdym razie tak czy inaczej nienawidzą jej rządy narodowe i mają rozkosz w szczuciu na Litwę... Dla tych elementów wszelki błysk jakiegoś uznania dla Litwy, jakiejś sympatii i życzliwości – jest solą w oku, bolesną i sprawiającą uczucie nieznośne. Rozkoszą ich i namiętnością jest nienawiść, zemsta, deptanie Litwy i plucie na nią – oczywiście z daleka, z bezpiecznego schronienia w Polsce. Trzeba przyznać w imię sprawiedliwości, że to samo robią Litwini względem Polski – zwłaszcza rozmaite „Związki Odzyskania Wilna”, Šaulisy i w ogóle emigranci z Wileńszczyzny, ale Litwini mają poniekąd to usprawiedliwienie, że są słabsi wobec Polski i że są stroną w tym konflikcie polsko-litewskim skrzywdzoną, bo jeżeli do Wilna mogą mieć słuszną zasadę pretendowania obie strony – tak Polska, jak Litwa – i jeżeli wszelkie jednostronne rozstrzygnięcie problemu wileńskiego na rzecz czy to wyłącznie Polski, czy wyłącznie Litwy jest niesprawiedliwe, to pokrzywdzona jest Litwa, bo właśnie Polska prostym aktem zaboru z rozkazu Piłsudskiego sprawę przesądziła jednostronnie na korzyść wyłączną swoją. Ale zresztą na całym świecie emigranci są tacy sami. Napatrzyłem się na nich w roku 1915 w Rumunii, jak emigranci rumuńscy z Siedmiogrodu szczuli na Austrię – to samo jest zawsze i wszędzie; nikt tak Ojczyzny oplwać nie zdoła jak oni i nikt tak się nie przyczynia do jątrzenia jak oni. Toteż na akcję pojednawczą i kojącą prof. Semkowicza i prof. Antoniewicza zajedli się... Polacy litewscy. W „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”, w którym prof. Semkowicz ogłosił szereg artykułów informacyjnych i życzliwych o Litwie, ukazał się wnet „protest” jakiegoś „Kownianina” czy „Kowieńczyka”, „prostujący” fakty na rzecz oczywiście jątrzenia i zohydzania Litwy i Litwinów jako barbarzyńców, prześladujących polskość. A tu z ust Eugeniusza Römera, Hektora Komorowskiego i studentów Polaków – to znaczy z ust tych, którzy sami też lubią się przyczyniać do wytwarzania w Polsce i Wileńszczyźnie nastroju antylitewskiego i usiłują tam utrzymać wrażenie dotkliwych prześladowań polskości w Litwie (zdaje się, że gdyby tych prześladowań zabrakło, to byliby oni nieszczęśliwi –

tak im się one stały potrzebne do skarg i żalów swoich – *c'est donc leur métier*[25] – słyszałem, że koła uchodźców polskich z Litwy w Wilnie są „niesłychanie" zgorszone entuzjastycznymi pochwałami i zachwytem nad Litwą, jakie wygłasza prof. Antoniewicz, wobec czego postanowiły one dać nauczkę profesorowi taką: zaprosić go do siebie (to znaczy do jednego z ich towarzystw) dla wygłoszenia odczytu o Litwie i dopiero w odpowiedzi na ten odczyt obalić jego twierdzenia „faktami", zdyskredytować jego „wrażenia" czy „spostrzeżenia" i ostudzić tą drogą niewczesny jego zapał.

15 lutego, rok 1930, sobota
Aby dokończyć jeszcze o kwestiach, związanych z grudniową wizytą profesorów Semkowicza i Antoniewicza w Kownie, nadmienię, że, jak mi pisze Ludwik Abramowicz z Wilna, profesorowie ci bezpośrednio po powrocie z Kowna bawili przejazdem jeden dzień w Wilnie i pod wpływem swoich świeżych wrażeń litewskich tak entuzjastycznie się o Kownie wyrażali, że w kołach polsko-wileńskich, nawykłych do wieszania psów na Litwie, wywołało to „konsternację". Charakterystyczne.
Tak siedzę teraz głęboko w moich pracach pogrążony, że po prostu poza nie nosa nie wysuwam i nigdzie zgoła nie bywam, a że tej zimy i pieniędzy nie mam i od pensji do pensji siedzę miesiącami – po opłaceniu bieżących rat długów, wypłat należności i na utrzymanie domu – bez grosza, więc nawet do kawiarni nie zaglądam i ludzi – poza stykaniem się z niektórymi przy pracy fachowej – nie widuję.
Miało się dziś odbyć posiedzenie komisji promocyjnej Wydziału Prawniczego w osobach prof. Mačysa, prof. Jurgutisa i mojej dla omówienia wniosków o zakwalifikowaniu do promocji prof. Wacława Biržiški, doc. Rimki i pełniących obowiązki docentów Aleksy i Tadeusza Pietkiewicza. Prof. Jurgutis nie stawił się. Posiedzenie nie doszło do skutku. Ale pogadaliśmy w tej sprawie z Mačysem. Co do Rimki i Aleksy – to referować ma Jurgutis, ale co do Wacława Biržiški i Pietkiewicza – to zachodzi ta trudność, że Pietkiewicz ma tylko prace w rękopisach, jeszcze nie drukowane, a Wacław Biržiška od czasu poprzedniej promocji ma wprawdzie dużo prac rzetelnych i opublikowanych w druku, ale wszystkie one dotyczą bibliografii litewskiej i żadna nie dotyczy jego specjalności w zawodzie profesorskim na Wydziale Prawniczym – to znaczy prawa administracyjnego. Toteż prof. Mačys uważa promocję ich obu za niedopuszczalną.

16 lutego, rok 1930, niedziela
Tegoroczna rocznica – dwunasta – Niepodległości Litwy tym się różni od innych, że rok obecny jest rokiem jubileuszowym Witolda Wielkiego, poświęconym Jego pamięci i nawet ku Jego uczczeniu nazwany Jego imieniem – rokiem Witolda Wielkiego („1930 Vytauto Didžiojo metai"), i że do dnia dzisiejszego nawiązane zostało rozpoczęcie uroczystości jubileuszowych Witoldowych. Wiem ze słyszenia tylko, bo sam nie oglądałem, gdyż wieczorem wcale z domu nie wychodziłem, że miasto iluminowane było wieczorem świetnie. W Muzeum Wojennym – raczej w ogródku przy muzeum przed Pomnikiem Poległych – odbyła się wielka uroczystość solenna, wieczorem w teatrze odbyło się okolicznościowe przedstawienie galowe, w ciągu dnia odbył się szereg posiedzeń i zebrań z odczytami, poświęconymi Niepodległości i Witoldowi. W mieście rozlepiona była odezwa Prezydenta Smetony „do społeczeństwa". W salonach klubu wojennego „Ramovė" odbył się od godz. dziesiątej wieczorem tradycyjny bankiet i raut od imienia prezesa ministrów Tubelisa, na którym obecny był Prezydent Rzeczypospolitej, członkowie rządu, korpus dyplomatyczny, oficerowie, wyższe duchowieństwo, dygnitarze i najwyżsi urzędnicy państwowi. Miałem zaproszenie jako

[25] *C'est donc leur métier* (fr.) – To przecież ich zawód.

członek Rady Stanu i wybierałem się, ale w ostatniej chwili deszcz mię odstraszył i pozostałem w domu, dotrzymując towarzystwa Jadźce, która mi wyszywała okładkę do następnego zeszytu dziennika z pięknych wzorów pasków litewskich w jej własnej kompozycji układu barw i rysunku.
Byłem więc tylko na jednej uroczystości dzisiaj – na uroczystym posiedzeniu na uniwersytecie. Na posiedzenie to przybyli z ramienia rządu prezes ministrów Tubelis, minister oświaty Šakenis i minister rolnictwa Aleksa. Senat akademicki z magnificencją rektorem Czapińskim był w komplecie, profesura stawiła się bardzo licznie, młodzież zapełniła salę, dokoła stołu prezydialnego ustawiły się warty honorowe korporacji w barwach i insygniach ze sztandarami (była też reprezentowana jedna z korporacji żydowskich i, zdaje się, jedna polska w strojach malowniczych, coś niby z huzarów). Po otwarciu posiedzenia rektor udzielił głosu ministrowi Šakenisowi, który w przemówieniu swym mówił o znaczeniu uniwersytetu jako czynnika kultury i Niepodległości kraju. Następnie długą, treściwą i piękną mowę wygłosił rektor Czapiński, mówca efektowny – dowcipny, filozof stylowy. Rektor mówił o uniwersytecie, o Witoldzie, o ciągłości historycznej, o wielkich zagadnieniach dziejowych ludzkości, w końcu zaś bardzo zręcznie wyraził uznanie dla rządu za jego opiekę nad uniwersytetem i usiłowania na rzecz nauki i kultury (te słowa uznania były szczególnie wyraziste w ustach Czapińskiego, który jest socjalnym demokratą i był członkiem rządu, obalonego bezpośrednio przez przewrót grudniowy z r. 1926), kilka słów nadmienił życzliwie o projekcie reformy uniwersyteckiej w ramach oczywiście utrzymania autonomii akademickiej i zakończył życzeniem, by rząd uświęcił swą pracę ustaleniem pokoju zewnętrznego i wewnętrznego. Potem sekretarz prof. Raudonikis wygłosił rozwlekłe i nudne sprawozdanie doroczne uniwersytetu. Wreszcie był odczyt prof. Dovydaitisa, którego już nie słuchałem.

17 lutego, rok 1930, poniedziałek
Wykład i colloquium na II semestrze, egzaminy w domu po obiedzie, trochę roboty na prace bieżące, o ile jeszcze trochę czasu rozporządzalnego zostało – oto mój dzień dzisiejszy.

18 lutego, rok 1930, wtorek
Znowu dzień bez szczególnych wypadków. Rano – od dziewiątej do drugiej – posiedzenie plenum Rady Stanu; zakończone zostały debaty nad częścią ogólną Kodeksu Karnego, opracowaną przez komisję prawa karnego w osobach Papečkysa, Kalnietisa i biegłego-współpracownika generała Šniukšty, prezesa Sądu Wojennego. Po obiedzie para studentów Żydów, Chaja-Pesia Sejferówna i Efron Ruwin, odbyli u mnie swoją pracę seminaryjną z prawa konstytucyjnego. Poza tym byłem zajęty swoimi pracami bieżącymi, które są „na warsztacie” w domu. I wcześnie poszliśmy spać z Jadźką – sami, bo służąca Anielka wyjechała na ślub siostry do domu.

19 lutego, rok 1930, środa
Miałem dziś na seminarium prawa konstytucyjnego dwie bardzo ładne prace studenckie: referat studenta Lwa Michaliszskiego, młodego sympatycznego Żyda, na temat: „Veto w Egipcie, Turcji, SHS, Irlandii i Prusach” i krytykę referatu powyższego, czyli kontrreferat młodziutkiej, żywej i równie pięknej, jak inteligentnej i tryskającej sprytem i dowcipem studentki Żydówki, p. Maszy Zivaitė, być może – córki fabrykanta tytoniu Ziva. Takie referaty, jak dzisiejsze, należą do przyjemności dla mnie. Na obecnym IV semestrze jest kilka wybitnych zdolności panien: Maria Kriščiukaitisówna – córka prezesa Trybunału, Irena Garmiutė (Garmusówna) – maszynistka w Radzie

Stanu, Masza Zivaitė (Ziwówna), Łucja Bialkiewiczówna. Zresztą każdy semestr ma wśród studentek swoich, stanowiących na ogół element do nauki mniej od studentów płci męskiej uzdolniony i zwłaszcza usposobiony, przynajmniej po jednej albo po kilka studentek wzorowych bądź pod względem zdolności, bądź pod względem pracowitości i staranności. Do szczególnie się pod wszystkimi względami wyróżniających należy na przykład na obecnym II semestrze studentka Lidia Manumaitytė.
Miałem list od Stefana Römera, który, jak się okazuje, był w Cytowianach i nawet długo tam zabawił. Wbrew moim oczekiwaniom, jest zachwycony pobytem w Cytowianach i oczarowany przez Zosię Eugeniuszową Römerową, która zbudziła w nim entuzjazm pełny egzaltacji.

20 lutego, rok 1930, czwartek
Nic szczególnego.

21 lutego, rok 1930, piątek
Odbyło się dziś posiedzenie plenum Rady Stanu, wyznaczone dla przedyskutowania wniosków, opracowanych przez międzynarodową komisję ekspertów i mających stanowić podstawę do dyskusji na międzynarodową konferencję w marcu r. b. w sprawie pożądanej konwencji w przedmiocie zasad nabycia i utraty obywatelstwa. Wnioski dyskusyjne komisji ekspertów są opracowane na zasadzie odpowiedzi poszczególnych państwa na ankietę, którą komisja ekspertów poprzednio ułożyła w postaci kwestionariusza i rozesłała do rządów państw poszczególnych. Tak ankieta, jak wnioski, jak w ogóle cały pomysł konferencji i jakiegoś projektu konwencji czy legislacji międzynarodowej w tym przedmiocie oparte są na jednym dążeniu zasadniczym – ograniczenia, ile się da lub ewentualnie zlikwidowania wypadków tzw. podwójnego (czasem potrójnego itd.) obywatelstwa lub bezobywatelstwa, mnożących się automatycznie na skutek z jednej strony wzrastającego międzynarodowego ruchu ludności, uchodźstwa, małżeństw mieszanych, rozmaitych zmian granic, okupacji wojennych, emigracji politycznych itd., spowodowanych przez Wielką Wojnę i jej skutki, z drugiej zaś – różnorodności i sprzeczności przepisów odpowiednich w ustawodawstwach poszczególnych państw. Co prawda, praca komisji ekspertów wraz z jej wnioskami dyskusyjnymi przypomina nieco robotę niewdzięczną Syzyfa albo też kręcenie się w błędnym kole, albowiem cały program tych usiłowań oparty jest na kompromisie tej tendencji zasadniczej z paraliżującą jej skuteczność zasadą utrzymania zwierzchnictwa każdego państwa w ustawodawstwie narodowym o obywatelstwie: jedno wyklucza drugie. Gdzieś więc tylko się projektują pewne mgławicowe granice pewnych zasad najogólniejszych, ale też natychmiast osłabia się je lub całkiem anuluje przez zastrzeżenia i restrykcje na rzecz uszanowania zwierzchnictwa i płynących zeń konsekwencji. Zresztą wszelkie twierdzenia – nawet w tych bardzo ostrożnych ramach mgławic i zastrzeżeń – okażą się bardzo trudne do przyjęcia, albowiem każde państwo – a małe państwa nade wszystko – usposobione są do każdego twierdzenia z góry nieufnie, nie tyle szukając w nich dróg do walki z podwójnym obywatelstwem lub bezobywatelstwem, ile węsząc zazdrośnie jakiegoś interesu rywalów i potentatów w narzucaniu im przepisu i domyślając się *a priori* jak na razie może niewidocznej, ale z góry suponowanej pułapki, której uniknie się najpewniej odrzucając podejrzane twierdzenia. W atmosferze „*homo homini lupus [est]*”, panującej, niestety, między państwami, zwłaszcza państewkami pokawałkowanej na parcele i parcelki Europy, zadanie takiej akcji jest bodaj beznadziejnie syzyfowe. Dopóki jakaś wielka i gwałtowna potęga obca nie ujarzmi i nie spoi Europy albo dopóki ona sama się nie sfederuje – dopóty wszystko to są paliatywy słabiutkie, jak jakieś opary. Zaś Stany

Zjednoczone Europy, czyli Paneuropa, powstaną, moim zdaniem, nie wcześniej, niż po najbliższej z kolei Wielkiej Wojnie Powszechnej albo paneuropejskiej. Czy w obliczu tego ideału Paneuropy, który się z przyszłej wojny dopiero wyłonić może, nie czas już dziś modlić się o Wielką Wojnę znowu? O, nieszczęsna ludzkości!
Na dzisiejszej dyskusji na plenum Rady Stanu obecny miał być minister spraw zagranicznych Zaunius, ale się nie stawił. Referowałem w imieniu komisji Rady Stanu ja. Mam wrażenie, że wszystko to na nic, bo w Radzie Stanu panował w tym względzie właśnie ów nastrój „państwo państwu jest wilkiem", który zgoła wszelką płodność tego rodzaju przedsięwzięcia międzynarodowego udaremnia.

22 lutego, rok 1930, sobota
Wygłosiłem dziś w Litewskim Towarzystwie Prawniczym („Lietuvos Teisininkų Draugija") w sali posiedzeń Trybunału referat o zasadach organizacji sądownictwa i podziału kompetencji między organami sądowymi, opracowanych przez komisję sądowniczą Rady Stanu. Pomysł takiego referatu dyskusyjnego został przeze mnie podniesiony jeszcze na ostatnim zebraniu starego zarządu Towarzystwa Prawniczego w styczniu, kiedy ja jeszcze do tego zarządu należałem. Zarząd to przyjął chętnie, gdy wszakże potem wspomniałem o tym na plenum Rady Stanu, podniosło się w Radzie parę głosów przeciwko temu (prezes Šiling, Papečkys); przeciwnicy mego pomysłu w Radzie uważali takie wystąpienie za niewczesne, dopóki rząd (Gabinet Ministrów) nie wypowiedział się w tej mierze. Większość wszakże – w szczególności Kalnietis, Starkus, Ciplijewski – wypowiedzieli się gorąco za tym. Nie żądałem aprobaty Rady, ale wobec argumentów oponujących spytałem przy okazji prezesa ministrów Tubelisa, czy miałby co przeciwko takiemu referatowi memu w Towarzystwie Prawniczym. Tubelis nic zgoła przeciwko temu nie miał. Wobec tego referat wygłosiłem. Nie był to wyczerpujący referat naukowy, jeno komentarz do sformułowanych przez komisję Rady tez, które przed moim referatem zostały rozesłane wszystkim członkom Towarzystwa Prawniczego, by się do dyskusji przygotowali. Zebrało się koło 30-40 osób. Przewodniczył prezes zarządu prof. Kriščiukaitis. Choć referat mój był tylko komentarzem, jednak zajął on koło dwóch godzin czasu. Mówiłem ustnie – bez rękopisu i notatek, bom cały materiał i schemat miał w głowie.
Po referacie otwarto dyskusję. Na poczekaniu *ex promptu* wypowiedzieli się: prezes Kowieńskiego Sądu Okręgowego Grigaitis, Bielackin, Janulaitis, adwokat Rosjanin Bojew i adwokat Żyd Chorążyński. Trzej pierwsi wystąpili z ostrą krytyką tak samych zasad komisji Rady Stanu, jak poniekąd referatu mojego. Najmniej ostro co do formy, ale merytorycznie ostro przemawiał Janulaitis, błyskotliwie, operując zwłaszcza efektami, krytykował Bielackin, a nieznośnie, demagogicznie, z przykrą uszczypliwością i emfazą, dążącą do działania na uczucia i nastroje słuchaczy przemawiał, raczej napadał – Grigaitis.

23 lutego, rok 1930, niedziela
Na wczorajszym posiedzeniu Towarzystwa Prawniczego debaty nie zostały zakończone. Sam mój referat zajął koło dwóch godzin, poza tym przemówienia oponentów... Po przemówieniu piątego z kolejki, adwokata Chorążyńskiego, już było po godz. dziesiątej. Publiczności już trochę ubyło i coraz to gęściej ten lub ów zaczęli się wynosić. Na zakończenie wypadałaby jeszcze moja odpowiedź, a mówić musiałbym dość dużo po pięciu oponentach, zresztą był jeszcze zapisany do głosu członek Rady Stanu Papečkys (ciekaw bardzo jestem, co on chciał powiedzieć, bo w Radzie Stanu do komisji sądowniczej nie należy, a na plenum występował i głosował przeciwko tezom komisji, które zostały przez plenum przyjęte i które też wczoraj w Towarzystwie

Prawniczym referowałem), wreszcie wypadało może zaprojektować jakieś wnioski albo omówić wyłonienie z Towarzystwa Prawniczego komisji do zaprojektowania wniosków, wyrażających opinię tego towarzystwa w przedmiocie tez Rady Stanu. Toteż ze względu na późną porę i rozprzęganie się zebrania prezes prof. Kriščiukaitis zaproponował przerwanie obrad na ten raz i wyznaczenie ich ciągu dalszego na następne posiedzenie mniej więcej za tydzień. Na tym też stanęło. Wobec zgłoszonych w dyskusji zarzutów, z których jedne są zupełnie zasadne lub wymagające zastanowienia głębszego, inne wszakże pochodzą z nieświadomości lub niezorientowania się, a zwłaszcza wobec tych, które są jeno bądź błyskotliwą grą frazesów i paradoksami (Bielackin, Grigaitis), bądź tworem najobskurniejszej demagogii (Grigaitis), czuję się usposobiony bardzo wojowniczo i w replice mojej zaleję Grigaitisowi dobrze za skórę. Tego fanfarona nie oszczędzę. Jego głupiego frazesu, rzuconego na zakończenie swej mowy i spekulującego, oczywiście, na modny efekt, mu nie daruję – to pewne. Wyraził się on mniej więcej tak: „Jeżeli Rada Stanu będzie nam ofiarowywała tylko takie wnioski o udziale społeczeństwa w sądzie, jak to obecnie czyni, to ja gotów będę rozważać, czy nie należy podnieść wniosku o udziale społeczeństwa w samej Radzie Stanu”. Co to niby znaczy?! Oczywiście, modny postulat zwołania Sejmu dla wykonywania ustawodawstwa, połączony ze spekulowaniem na fałszywym i z nieświadomości płynącym poglądem na Radę Stanu jako „ersatz-Sejm”. Sejm – i owszem! Ale co to ma do Rady Stanu? Rada Stanu w ogóle władzy ustawodawczej nie posiada i żadną konkurentką Sejmu nie jest, ale zwołanie Sejmu (a nie udział społeczeństwa w Radzie Stanu) nie zależy ani od Rady Stanu, ani Towarzystwa Prawniczego. Zwołanie Sejmu – bardzo pięknie! Żądanie słuszne i na konstytucji oparte, będące w logice demokracji. Ale cóż to ma do projektowania ustaw przez Radę Stanu w łonie inicjatywy ustawodawczej rządu?! A zresztą, gdy Sejmu nie ma – to jakie mają być projekty ustaw opracowywane i co znaczy ten frazes Grigaitisa o „udziale społeczeństwa” w Radzie Stanu? Można chyba mówić o tym udziale w procesach Rady, nie zaś w Radzie samej. Ale jakiegoż to udziału i jakiego społeczeństwa chce p. Grigaitis przy opracowywaniu projektu o sądownictwie? Może być mowa chyba o tych grupach społeczeństwa, które mają pojęcie o zadaniach funkcji sądowej – to znaczy sędziowie, pracownicy sądowi i prokuratury, adwokaci, w ogóle prawnicy. Ale przecież komisja sądownicza Rady Stanu kooptowała właśnie stałego współpracownika w osobie prezesa Trybunału prof. Kriščiukaitisa, a obecnie z referatem mym zwracam się dla przedyskutowania tez do Towarzystwa Prawniczego! A więc opinia fachowych kół społeczeństwa jest wciągana do udziału współpracy. Czegoż więc chce poza demagogią p. Grigaitis?

24 lutego, rok 1930, poniedziałek
Odwiedziłem rano Eugeniuszostwo Römerów, bawiących w Kownie. Przy okazji przeczytałem Zosi Römerowej ustępy z listu Stefana Römera, dotyczące jej osoby. Popełniając tę „niedyskrecję”, wiedziałem, że ani Zosia, ani Stefan nie wezmą mi tego za złe, bo są to ustępy bardzo pochlebne dla Zosi. Oto jak pisze Stefan Römer o Zosi Römerowej:
„Wujenka Zosia oczarowała mię, jest bardzo miła, naturalna, inteligentna – jestem nią zachwycony i pełen entuzjazmu dla niej! Nie mówię tego pod pierwszym wrażeniem, owszem, obejrzałem ją jak najdokładniej i nic w stosunku Jej do mnie nie znalazłem nieprzyjemnego, trzeba z nią tylko umieć żyć. Jest pełna zapału w „kształceniu” mnie, czasem się naturalnie zupełnie poddaję, bo wiem i czuję, że ona głęboko kocha sztukę i przez sztukę jest dla mnie bardzo cenną i miłą. Nie należę do ludzi, których łatwo

speszyć, zastraszyć, owszem, umiem i nawet lubię czasem się ugiąć i podlec czyjemuś wpływowi, nie zatracając przy tym „siebie”.
I w ogóle muszę Wujkowi przyznać, że nie spodziewałem się tak miłych Cytowian. Przede wszystkim, owiała mnie atmosfera Römerów – tak jak nigdy i nigdzie dotąd. Bratnia krew Römerów w kochanym i przezacnym Wuju Gieniu i dziatkach (typowe „Römeruki”), jak i bratnia dusza artystki Zosi, od pierwszego zaraz wieczoru usposobiła mnie do nich bardzo serdecznie. Nie piszę żadnych więcej szczegółów, bo na to listu za mało. Zosia zrobiła mój portret – udatny, podobny – dobry portret (znęcała się przy tym bez litości iście po malarsku, ale ja to rozumiem, bo sam nieraz, malując z modelu, znęcam się nad nim!). Wystawę urządzamy prawdopodobnie w pierwszych dniach maja r.b. Mam teraz moc pracy, podmalowuję, wykańczam, ramy robię itd., a jeszcze do Krewna te dwie Matki Boskie – to istna zmora!
Jakiś czas miałem wrażenie, że Zosia boi się wystawy ze mną, aby jej nie skompromitowała, bo właściwie i racja, przecież nie zna moich prac, a te tak się różnią od Jej robót, no ale wierzę, że nie dojdzie do kompromitacji; może się nawet nauczy czego nowego ode mnie, malarze kształcą się wzajemnie. Znajdzie się i u mnie coś ciekawego...”.
Eugeniuszostwo też są pod miłym wrażeniem Stefana. Zosia, choć jego większych prac nie zna, uważa jego talent za wybitny; sądzi o nim z drobnych szkiców ornamentacyjnych, które w Cytowianach w drodze próbki wykonywał; widziała też jego obraz „Chłopczyca” czy „Garsonka” u mnie, należący już do serii tych nowych, które Stefan robił tej zimy pod znakiem przyszłej wystawy. Zosia odprowadziła mię do uniwersytetu, dokąd śpieszyłem na wykład. Na drzwiach wejściowych uniwersytetu ujrzeliśmy klepsydrę żałobną: umarł stary prof. Jan Jabłoński – zacny człowiek, wielki patriota i niegdyś gorący działacz narodowy litewski z demokratycznego obozu „Varpasu”, filolog, znawca i wielki miłośnik języka litewskiego, autorytet w sprawach językowych, którego wpływ na kształtowanie się mowy literackiej litewskiej był tak wielki, że go słusznie „ojcem języka literackiego” nazywano. Jabłoński nie był tak głębokim i genialnym lingwistą, jak ks. Jaunius i Kazimierz Buga albo współcześnie może prof. Gerulis i bodaj młody uczeń Bugi docent Salys, ale miał ogromne czucie języka, specjalne „ucho” do mowy i instynkt idei i logiki języka litewskiego, a wpływ jego był większy od wpływu Bugi i Jauniusa. W roku 1906 za czasów mojej „Gazety Wileńskiej” łączyły mię z Janem Jabłońskim stosunki bliskie. Po wojnie go nie widywałem, bo był sparaliżowany i tylko w wózku był wożony po mieszkaniu. Trzynaście lat przeżył sparaliżowany, bez władzy w nogach! W ostatnich czasach już tylko lewą ręką mógł poruszać. Po Basanowiczu, Piotrze Vileišisie i żyjącym jeszcze Šliupasie – Jabłoński był jednym z największych patriarchów narodowych Litwy. Toteż na wieść o jego śmierci całe Kowno się ozdobiło chorągwiami narodowymi, do połowy spuszczonymi na znak żałoby i przewiązanymi krepą.

25 lutego, rok 1930, wtorek
Pogrzeb śp. prof. Jana Jabłońskiego – „ojca” języka literackiego litewskiego.
Na pogrzebie nie byłem, bo jest chłód przenikliwy, dzień mroźny bez słońca, mam zaś lekką newralgię, którą boję się przeziębić. Byłem tylko na nabożeństwie żałobnym w bazylice, dokąd wczoraj eksportowano ze szpitala wojennego trumnę ze zwłokami zmarłego. Bazylika była pełna młodzieży szkolnej, którą ze wszystkich szkół przyprowadzono. Nabożeństwo uroczyste celebrował poeta narodowy, rektor seminarium duchownego ks. prałat Maculewicz-Maironis, piękne miał kazanie prof. ksiądz prorektor uniwersytetu Česnys.

Pogrzeb był o czwartej po południu. Był on, jak słyszałem, tłumny i piękny. Zwłoki niesiono z bazyliki przez stare miasto, Laisvės Aleję, ul. Maironisa i Donelaitisa mimo Muzeum Wojennego, gdzie oddano hołd zmarłemu i gdzie przemówił gen. Nagiewicz i dalej na cmentarz, gdzie wygłoszono nad grobem szereg mów z mową pana Prezydenta Rzeczypospolitej Antoniego Smetony na czele. Podobno bardzo piękną była mowa naszego rektora prof. Czapińskiego.

26 lutego, rok 1930, środa
Dziś wieczorem Jadźka wyjechała na tydzień na zapusty do Bohdaniszek i do rodziców swoich. W Bohdaniszkach zakłuje i rozporządzi mięso mojej świni karmnej, pojedzie do Wiłajszów do stolarza Barzdy obejrzeć meble, które ten robi dla mnie, zapłaci w Antonoszu za mój bufet itd.; słowem – ma różne zlecenia gospodarskie moje. W niedzielę będzie na ślubie swojej siostry Stefci, która wreszcie za mąż wychodzi (od kilku lat wciąż się to gotowało, aż wreszcie słowo ciałem się staje). Przez ten tydzień ja tu będę w domu samotny ze służącą Anielką.
W sobotę po raz pierwszy, a dziś po raz drugi nasza komisja sądownicza w Radzie Stanu obradowała z udziałem prof. Leonasa, prezesa Rady Adwokatów, który w imieniu tejże Rady, delegowany przez nią, ma nam udzielić uwag adwokatury do projektu ustawy o adwokaturze, który rozpoznajemy w komisji. Jedną z kapitalnych kwestii tego projektu jest reforma stażu dla wstąpienia do adwokatury. Projekt przewiduje przymusowe wysłużenie dwóch lat w sądownictwie w charakterze aplikanta etatowego, czyli kandydata do posad sądowych, i następnie praktykę trzyletnią w charakterze pomocnika adwokata. W komisji wyłoniły się trzy sprzeczne wnioski w tej kwestii – Kalnietisa, prof. Kriščiukaitisa i mój. Pomówię o nich w dzienniku.

27 lutego, rok 1930, czwartek
Tezy w sprawie reformy stażu adwokackiego ujawniły się następujące:
a. teza projektu rządowego: minimum dwa lata stażu służby na stanowisku etatowym kandydata do posad sądowych i następnie – już po wysłużeniu tych dwóch lat – trzy lata praktyki w charakterze pomocnika adwokata. Tej tezy nikt w naszej komisji nie popiera;
b. teza Kalnietisa, zapożyczona z ustawodawstwa niemieckiego: staż trzyletni na stanowisku kandydata do posad sądowych, połączony ze specjalnym egzaminem przed komisją dla sprawdzenia praktycznego przygotowania się kandydata do działalności sądowej; dostęp do stanowiska kandydata jest otwarty dla wszystkich prawników dyplomowanych; nie jest wymagane, żeby kandydat zajmował stanowisko etatowe kandydata; każdy, kto odbył ten staż i zdał odpowiedni egzamin, zostaje uznany za odpowiedniego do objęcia posady sędziego lub do zawodu adwokackiego; żadnego innego stażu nie potrzeba; instytucja pomocników adwokatów kasuje się;
c. teza prof. Kriščiukaitisa: staż trzyletni na stanowisku kandydata do posad sądowych, ale tylko etatowym; egzaminy jak w projekcie Kalnietisa; żadnego innego stażu do adwokatury nie ma; instytucja pomocników kandydatów kasuje się; wszakże, równolegle do tej adwokatury wykwalifikowanej, opartej na powyższym stażu, zorganizowanej korporacyjnie i autonomicznie, zachowuje się adwokatura zawodowa wolna, tzw. prywatna, podobna do obecnej adwokatury prywatnej, ale tym się od obecnej różniąca, że dostęp do niej mają tylko prawnicy dyplomowani, tacy sami, jak ci, co są przyjmowani na kandydatów, jeno nie posiadający powyższego stażu; ta adwokatura prywatna nie ma autonomii ani organizacji publicznej korporacyjnej; żeby zostać adwokatem prywatnym, trzeba zdać egzamin z wiadomości praktycznych przy sądzie; otrzymać świadectwo do odpowiedniego sądu na prawo prowadzenia spraw

sądowych; opłata za świadectwo zostaje podwyższona; dozór nad działalnością zawodową adwokatów prywatnych i władze dyscyplinarne nad nimi należą do sądu, od którego mają oni świadectwo.
d. teza moja: staż jest alternatywny: albo trzy lata na stanowisku kandydata do posad sądowych – tylko etatowym – z egzaminem odpowiednim, albo pięć lat praktyki w charakterze pomocnika adwokata; pomocnicy ulegają dozorowi i władzy dyscyplinarnej swoich patronów i adwokatury; ogólne zebranie adwokatury i Rada Adwokacka mogą wydawać przepisy, normujące warunki praktyki i ćwiczeń pomocników.
Prof. Leonas w imieniu adwokatury przychyla się do mojej tezy o stażu dwoistym.

28 lutego, rok 1930, piątek
Siedzę jeden – sierota – w domu. Choć mi jednostajnie czas płynie przy pracy – zawsze przy pracy, od której mię już chyba tylko śmierć uwolni, ale którą kocham coraz bardziej, im bardziej starzeję, to jednak różnica jest wielka, czy Jadzia jest, czy jej nie ma: ona ruch robi, napełnia życiem mieszkanie, czasem kaprysami drażni, ale jeszcze bardziej serduszkiem swym kochającym atmosferę ogrzewa i pieszczoty mi udziela, a robótkami swymi, które się jej ładnie udają i którym się oddaje gorliwie i z zapałem jak gorący koń rasowy na wyścigach, stwarza w domu jakąś rozmaitość, jakąś nową sferę zainteresowania, coś, co rozrywa monotonność skupienia umysłowego, charakteryzującego pracę moją. Brak mi jej wielki, gdy wyjeżdża.
Poszedłem wieczorem z moim kolegą prawowiedem Vollierem do teatru na operę Musorgskiego „Borys Godunow”. Jest to premiera w operze litewskiej, która wczoraj szła po raz pierwszy, dziś – po raz drugi. Zabawiłem się dobrze. Zespół był dobry, śpiew i gra – ciekawe.

1 marca, rok 1930, sobota
Rano spędziłem kilka godzin na posiedzeniu komisji sądowniczej Rady Stanu. Po tym posiedzeniu zaszedłem do kawiarni, a po powrocie do domu już nie wychodziłem więcej. Pracowałem w domu, a wieczorem przez dwie godziny miałem u siebie studentów Dangutisa i Bauera, z którymi sprawdzam tłumaczenie konstytucji pruskiej w redakcji ostatecznej, przeznaczonej już do druku. Wybierałem się dziś na wielki bal artystów, ale pożałowałem czasu i nie poszedłem. Co mi tam po balu!
Od studentów, którzy zdają u mnie egzaminy, słyszę, że na Wydziale Prawniczym uchodzą wśród studentów za trudne i wymagające poważnego przygotowania się następujące sześć egzaminów: prawo konstytucyjne – część ogólna (u mnie), historia prawa litewskiego (prof. Janulaitis), prawo rzymskie (prof. Jaszczenko), proces cywilny (prof. Mačys), historia filozofii prawa (prof. Leonas) i jeszcze jeden – nie pamiętam który. Rzeczywiście, mój program jest bardzo duży i na ogół studenci przychodzą na egzaminy dobrze przygotowani.

2 marca, rok 1930, niedziela
Na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego rano wśród innych kwestii postawiona była przez dziekana Leonasa kwestia obsadzenia katedry prawa rzymskiego, która od lat kilku (od wyjazdu prof. Balogha) u nas formalnie wakuje (prowizorycznie wykłada prof. Jaszczenko, którego katedrą właściwą jest prawo międzynarodowe). Na katedrę tę zgłosiło się do dziekanatu wydziału dwóch kandydatów – niejaki dr Himmelszein z Łotwy (bodajże Żyd) i nasz dr Tamošaitis, były nasz uczeń, który jako aspirant do profesury studiował parę lat uzupełniająco za granicą i w r. 1928 doktoryzował się u nas. Dr Tamošaitis, który okazał się człowiekiem zdolności wcale nieosobliwych (jako doktorant – egzaminu po raz pierwszy nie zdał i dopiero za drugim razem zdał bardzo

miernie, dysertację napisał i bronił też miernie), swoje studia uzupełniające za granicą odbywał w zakresie historii filozofii prawa, nie zaś wcale prawa rzymskiego. Cała jego kwalifikacja do katedry prawa rzymskiego polega bodaj wyłącznie na tym, że tłumaczy obecnie z francuskiego piękne i klasyczne dzieło Girarda o prawie rzymskim. Nie jest to kwalifikacja osobliwa jako cenzus naukowy do profesury, co oczywiście nic Girardowi nie ujmuje. Przemawiałem i głosowałem przeciwko tej kandydaturze, ale została uchwalona ogromną większością. Uważam, że to błąd, iż nasz wydział tak samo dziś szacuje kwalifikacje na stanowisko profesorów, jak szacowane były niegdyś nasze kwalifikacje dyletanckie wtedy, gdy zakładano dopiero uniwersytet i trzeba było cały wydział na poczekaniu stworzyć dla obsadzenia wszystkich katedr, zaś uczonych fachowych nie było. I dziś tych uczonych fachowych poza nami, którzyśmy się – jedni więcej, inni mniej – „ufachowili", mamy mało, ale, o ile konieczność nie nagli, należałoby nowe siły rekrutować z większą starannością, unikając mnożenia dyletantów.

3 marca, rok 1930, poniedziałek
Z powodu zapust nie miałem dziś wykładu, ale miałem za to w domu jedną parę studentów dla pracy seminaryjnej, następnie egzamin, wreszcie studenta Kazėnasa do sprawdzania tłumaczenia książki Esmaina.
Wczoraj z prof. Mačysem i prof. Jurgutisem odbyliśmy posiedzenie komisji promocyjnej w sprawie kandydatów profesora nadzwyczajnego Wacława Biržiški, docenta Albina Rimki i pełniących obowiązki docentów Aleksy i Tadeusza Pietkiewicza – do promocji: pierwszego – na profesora zwyczajnego, drugiego – na profesora nadzwyczajnego i dwóch ostatnich – na docentów. Co do Rimki i Aleksy – żadnych wątpliwości nie ma. Wacław Biržiška ma dużo prac poważnych, niewątpliwie naukowych, ale wszystkie dotyczą bibliografii i historii książki litewskiej, a żadna nie dotyczy prawa administracyjnego, które jest jego specjalnością na Wydziale Prawniczym. Pietkiewicz ma prace naukowe, ale nic drukowanego. Komisja ułoży raport, w którym da ocenę kwalifikacji naukowych aspirantów – ze wszelkimi zastrzeżeniami, a już niech wydział sam wnioski czyni. Rada Wydziału wczoraj przekazała komisji promocyjnej jeszcze jednego aspiranta – docenta Šalčiusa.

4 marca, rok 1930, wtorek
Dzień kulminacyjny zapust i karnawału: *le mardi gras*[26]! U mnie wszakże jest on dniem bardzo powszednim, pracowitym, skupionym, cichym. Na żadnych balach, karnawałach, maskaradach, widowiskach ani zabawach nie byłem, nie jadłem blinów ze śmietaną i kawiorem, nie miałem nawet kwiateczka mojego czy ptaszeczki – Jadzi – przy sobie, bo dopiero pozajutro ma ona wrócić ze wsi i ma przywieźć ze sobą starego Kazimierza Jankowskiego. Samotnie więc i pracowicie ten dzień spędziłem. Nie miałem żadnych studentów i z domu też nie wychodziłem, tylko wieczorem koło dziewiątej dla użycia ruchu przeszedłem się, zajrzałem do kawiarni Perkowskiego, gdzie kupiłem sobie dwa pączki – cała uczta zapustna – i wróciłem. Karnawał i św. Kazimierz zarazem – dwa grzyby w barszczu, ale dla mnie – ani jeden. Św. Kazimierz – rocznica urodzin śp. Papy, który, gdyby żył, byłby skończył 85 lat. Nie dożył tego sędziwego wieku. Nie dożyję z pewnością i ja, ale też nie tęsknię do tego. Źle się dziś czułem przez cały dzień: wczoraj kładąc się spać doświadczyłem jakiegoś męczącego bicia serca, które mię dziś przez cały dzień dręczyło i było połączone z pewnym bólem, chociaż niewielkim. Wstrzymałem się od kawy i papierosów dziś mniej wypaliłem.

---

[26] *Le mardi gras* (fr.) – tłusty wtorek.

5 marca, rok 1930, środa
Dziś wieczorem wyznaczony był w Towarzystwie Prawniczym ciąg dalszy dyskusji nad moim referatem o zasadach projektu o organizacji sądownictwa, opracowanych przez komisję sądowniczą Rady Stanu. Członków towarzystwa zebrało się tym razem mniej, niż poprzednio – ogółem najwyżej do 20 osób; główni jednak oponenci z poprzedniego zebrania – prezes Sądu Okręgowego w Kownie Grigaitis, prof. Bielackin i prof. Janulaitis – byli obecni. Pierwszy zabrał głos Papečkys, który się już na poprzednim posiedzeniu był zapisał do głosu. Powtórzył on swoją dawną piosenkę o konieczności zupełnego skasowania apelacji, o czym już pisał kiedyś w „Lietuvos Aidasie" i przemawiał w Radzie Stanu. Po nim, choć się jeszcze kilku zapisało do głosu w dyskusji, mianowicie prof. Mačys, prokurator Byla, prezes Grigaitis, prof. Bielackin, głosu zażądałem ja, aby odpowiedzieć na wszystkie poprzednie zarzuty i, że tak powiem, oczyścić atmosferę i drogę dalszych dyskusji z tych różnych naleciałości i ekiwoków, które wytworzyli poprzedni mówcy. Chodziło mi też o odparcie demagogicznego wyskoku Grigaitisa na poprzednim zebraniu, o czym w dzienniku wspominałem. Ale że od tej pory 10 dni upłynęło, więc już się moje oburzenie pierwotne uciszyło i poza tym w ogóle nie byłem dziś w zbyt wojowniczym usposobieniu. Grzecznie więc, choć stanowczo, zastrzegłem się przeciwko takim argumentom wiecowym, jak owo słówko czcze, ale jaskrawe Grigaitisa o pożądanym sukursie „przedstawicieli społeczeństwa" nie tyle w sądach, jak to Rada Stanu projektuje, ile w samej Radzie, zanalizowałem domniemaną treść tego powiedzenia i wykazałem jego nicość treściwą, prosząc o unikanie tego rodzaju „argumentów", skierowanych li tylko do złośliwego ukąszenia Rady Stany. Następnie w dłuższym przemówieniu obalałem jedne po drugim twierdzenia i zarzuty oponentów i w świetle tych twierdzeń i zarzutów raz jeszcze uzasadniłem tezy komisji Rady Stanu; tylko w kilku szczegółach uznałem rację twierdzeń oponentów. Moje przemówienie dużo wyjaśniło z tego, co poprzednio było oponentom niezrozumiałe lub co oni zrozumieli opacznie, toteż sami mi oni to przyznali i na ogół nie odważali się już na ton tak bezwzględny karcenia, jak to czynili przeszłą razą. Mačys następnie popierał zasady komisji Rady Stanu i zbijał przeważnie wnioski Papečkysa; Byla krytykował tezy komisji z kurtuazją, dotykając głównie krytykę dwóch rzeczy – przekazanie w zasadzie całej I instancji sędziom pokoju (z wyjątkiem spraw karnych, przekazywanych sądowi przysięgłych i paru wyjątków drobniejszych) i sposobu organizacji sądów przysięgłych (kwestia, czy jedna wspólna kolegia jury i sędziów zawodowych); Byla wypowiedział się za dwoma odrębnymi kolegiami. Doszła kolejka do Grigaitisa.

6 marca, rok 1930, czwartek
Rano wróciła z Bohdaniszek Jadzia, a z nią przyjechał w gościnę do Kowna i Kazimierz Jankowski. Co prawda, przyjazd Kazimierza bardzo niefortunnie wypadł. Zaprosiłem go na mój koszt do Kowna, żeby sobie na starość przypomniał i raz jeszcze doświadczył życia miejskiego, którego kiedyś – przed laty już 38-40 – zakosztował, co prawda w innych warunkach, kiedy spędził z Mamą i starszymi siostrami mymi kilka zim w Wilnie jako lokaj; siostry moje starsze – Kotunia, Elizka, Helcia – były w tym czasie pannami na wydaniu; w Wilnie karnawały bywały huczne, zjeżdżało się towarzystwo ziemiańskie z całej Litwy historycznej – od Kowna do Mohylowa, od Rzeczycy inflanckiej i dalekiego Siebieża do Pińska; bale prywatne i składkowe, kuligi, zabawy stanowiły ramy i dekoracje wielkiego targowiska małżeńskiego młodzieży ziemiańskiej, wiązania koligacji rodowych i w ogóle obcowania społecznego tej klasy zwartej i dość jeszcze ściśle zamkniętej, rozproszonej po wielkich połaciach tego kraju i stanowiącej wtedy jeszcze twierdzę starego przeżytku tradycji jedności i całości Wielkiego Xięstwa,

na którego terenach u dołu wzrastały nowe ludy narodowe, nie wyczuwane i nie przeczuwane przez tę starą szlachtę litewsko-rusko-polską – przeżytek starego „narodu” Litwy Jagiellońskiej. Kazimierz, lokaj w naszym domu, tych subtelności oczywiście nie rozumiał, ale widział zabawy, towarzyszył Mamie i siostrom w charakterze lokaja na bale i zabawy, usługiwał, obserwował, odbierał wrażenia, żył w jaskrawości tych wrażeń i „wypadków” karnawałowych. Utkwiło mu to wszystko mocno w pamięci i dziś umie opowiadać o tym bez końca i niezmiernie ciekawie. Znał stosunki, stosuneczki, epizody. Teraz chciałem go sprowadzić do Kowna, by mu dać rozrywkę miasta, wprawdzie inną, ale mogącą go też zabawić: teatr, kinematografy, kawiarnie, restauracje, kabaret. Niestety – źle trafił; właśnie post się zaczął, nie ma teatru, opera wyjechała na dni kilkanaście na występy gościnne do Kłajpedy, w teatrze zaś mają w tygodniu przyszłym odbywać się tylko występy trupy dramatycznej kłajpedzkiej, to znaczy przedstawienia niemieckie, do niedzieli zaś nawet kinematografy są nieczynne, nigdzie nawet muzyki nie ma. A Kazimierz właśnie teatru nie zna, o operze nawet pojęcia nie ma i to mu szczególnie pokazać chciałem… Fiasko.
Jadzia wróciła z wesela swej siostry Stefci bardzo zadowolona, czas spędziła przyjemnie. Co do Bohdaniszek, to Jadzia i Kazimierz opowiadają o Stefanie Römerze, że jest strasznie znerwowany i wariuje; to samo pisze Marynia. W domu męczy żonę, matkę i domowników, znęca się nad nimi, wybucha gniewem, skarży się na jakieś bóle, twierdzi, że go prześladuje duch Papy (jego dziadunio) za to, że był niedobry i okradał Papę w r. 1917-1918, kiedy to Papa go za to z domu wypędził, niecierpliwi się i drażni byle czym. Dla mnie jest to jasne; jest to u Stefana nic innego, jak histeria. Tak jest – typowa, niezmiernie charakterystyczna histeria, bardzo rzadka u mężczyzn, ale nietrudna do rozpoznania; jej cechy charakterystyczne – lubowanie się w dręczeniu otoczenia i osób bliskich, przewrotność, wymyślanie niestworzonych komplikacji, natomiast słodycz i pokora na zewnątrz wobec obcych; histerią się tłumaczą wszystkie kłamstwa, fałsze i przekorności Stefana, wszystkie jego dawne wybryki, cała jego przeszłość i teraźniejszość. Histeryczna też jest jego twórczość artystyczna. Nie czyni to ujmy jego talentowi. Ciężki to jest i straszny dla osób bliskich charakter.
Dalszy ciąg o Towarzystwie Prawniczym i o dzisiejszym posiedzeniu Gabinetu Ministrów, na którym byłem obecny, bo omawiana była kwestia organizacji sądów – muszę już odłożyć do dni następnych.

7 marca, rok 1930, piątek
Wracam do pozawczorajszego zebrania w Towarzystwie Prawniczym. Incydent z Grigaitisem, którego zaostrzenia się spodziewałem, zlikwidował się zupełnie łagodnie. Jego wyskok demagogiczny przed dziesięciu dniami, wyrażony w ustępie końcowym jego przemówienia, wskazujący na to, że rzekomo kto wie, czy nie byłoby do życzenia, aby udział „przedstawicieli społeczeństwa”, stosowany przez Radę Stanu do sądów, był raczej do niej samej zastosowany, bardzo mię był oburzył. Zamierzałem ostro zmachać Grigaitisa w replice mojej, wykazując mu jałową wiecowość tego wyskoku, spekulującego na popularności idei Sejmu. W niedzielę byłem się spotkał z Grigaitisem na herbatce towarzyskiej prawników w salonach Klubu Litewskiego. Z Grigaitisem się tam zetknąłem przy wyjściu. Stał w towarzystwie ministra sprawiedliwości Żylińskiego. Minister, poinformowany o dyspucie sprzed dni dziesięciu, zwrócił się do mnie jowialnie: „Panie profesorze – zadaj pan dobrze panu pieprzu we środę!” – „Ano – odrzekłem – pogadamy!”, ale już byłem zły. „Ostrożnie, panie profesorze, ostrożnie” – powiada Grigaitis. Wpadłem w gniew i odrzekłem ostro: „Na argumenty odpowiem argumentami, a na wybryki – wybrykami” – zawróciłem się i odszedłem. Atoli pozawczoraj, na samym posiedzeniu, nastrój wojowniczy mój zmalał. Zaznaczyłem, co

prawda, że uważam wyskok Grigaitisa za demagogiczny i że zastrzegam się przeciwko używaniu takich „argumentów” w debatach Towarzystwa Prawniczego, wykazując zarazem całą jałowość tego „argumentu”, ale wypowiedziałem to bez złości i w formie poprawnej. Grigaitis potem zabrał głos w dyskusji, usprawiedliwił się zręcznie z zarzutu, tłumacząc, że miał na myśli swój projekt, który dawno już był podnosił – o pożądaności systematycznego powoływania zainteresowanych czynników społecznych przy projektowaniu różnych ustaw specjalnych, jeno tej myśli wtedy w przemówieniu szczegółowo nie rozwinął i przeto mógł powstać pozór jakiejś chęci „ukąszenia złośliwego” Rady Stanu, jak się wyraziłem, wreszcie bardzo grzecznie mię przeprosił i całe nieporozumienie zostało bardzo kurtuazyjnie zlikwidowane.

8 marca, rok 1930, sobota
Kazimierza Jankowskiego chcę tu dotrzymać do powrotu opery z Kłajpedy. Chcę mu bowiem operę pokazać. Kazimierz nie jest krępującym gościem; przeciwnie – jeszcze usłuży i pomoże w domu. Miły też jest, miękki, wytresowany przez całe życie w służbie. A żywy jest jeszcze, ruchliwy i ciekawy wszystkiego jak dziecko. Nikt by mu nie dał 70 lat, które dźwiga bez wysiłku i bez widocznego zmęczenia. Wczoraj chodził on z Jadzią do Herbaczewskich, gdzie opowiadał Herbaczewskiemu o „strachach” w gumnie bohdaniskim, wywołując ogromne zainteresowanie Herbaczewskiego, pogrążonego wciąż w swoich wierzeniach o niezwykłej potędze duchów w okolicach bohdaniskich. Potem wieczorem byłem z nim i Jadzią na czekoladzie w cukierni Perkowskiego, dziś wieczorem zaś poszliśmy na kolację do restauracji „Wersal” licząc, że trafimy na kabaret. Kabaretu jednak nie było ze względu na post, ale za to stwierdziłem upadek tej – pierwszorzędnej niegdyś – restauracji. Dziś jest to dziura, w której kwitnie rozpusta. Na sali pełno kobiet pijanych. Jakieś artystki kabaretowe czy może „bar-damy” piją z mężczyznami, przysiadają się, podniecają swoich gości; mężczyźni ściskają i gładzą nagie ręce kobiet – słowem, atmosfera wielkomiejskiego baru nocnego w pośledniejszym gatunku. Krzyki, chichot, alkohol, atmosfera zmysłowa rozpusty.

9 marca, rok 1930, niedziela
Napiszę o posiedzeniu Gabinetu Ministrów we czwartek. Ponieważ na posiedzeniu tym była wyznaczona do dyskusji sprawa organizacji sądownictwa, raczej tych zasad czy tez, które zgłosiła Rada Stanu, a raczej komisja sądownicza Rady, więc do udziału w posiedzeniu Gabinetu powołani byli przedstawiciele Rady Stanu jako wnioskodawcy i doradcy rządu. Z ramienia Rady Stanu był *ex officio* jej prezes Šiling i ja jako przewodniczący komisji sądowniczej w Radzie. Członkowie Gabinetu, z wyjątkiem ministra spraw zagranicznych Zauniusa, byli w komplecie pod wodzą prezesa ministrów Tubelisa. My z Šilingiem, jak zwykle w takich razach, braliśmy udział w posiedzeniu tylko tyle, ile omawiana była sprawa, w której nasz udział był zażądany, to znaczy sprawa zasad organizacji sądownictwa. Przede wszystkim, głos został udzielony mnie. W obszernym szczegółowym przemówieniu streściłem i uzasadniłem wszystkie tezy schematu zaprojektowanego przez Radę Stanu, zaznaczając też niektóre braki jego w pewnych szczegółach (zwłaszcza odpowiedzialność karna nieletnich i odpowiedzialność karna za przestępstwa służbowe). Po mnie głos zabrał minister sprawiedliwości Aleksander Żyliński, do którego sfery sprawa ta należy. Wyczułem, że minister Żyliński był poniekąd napompowany przez prezesa sądu okręgowego Grigaitisa, bo operował tymi samymi argumentami, co Grigaitis w Towarzystwie Prawniczym i nawet tą samą metodą dowodzenia, ale tylko bez tych ostrych i przykrych wycieczek złośliwych, które były w przemówieniu Grigaitisa na pierwszym posiedzeniu

Towarzystwa Prawniczego. Ciąg dalszy o debatach i decyzji Gabinetu Ministrów – jutro.

10 marca, rok 1930, poniedziałek

Dalszy ciąg o czwartkowym posiedzeniu Gabinetu Ministrów. Minister sprawiedliwości Żyliński przemawiał krótko i nic szczególnego nie powiedział. Zaczął, jak Grigaitis w Towarzystwie Prawniczym, od statystyki ruchu spraw w sądach. Cyframi tej statystyki wykazał, że tak sędziowie pokoju, jak sądy okręgowe są przeciążone i że zaległości spraw nierozpoznanych z roku na rok wzrastają. Co chciał przez to powiedzieć i jaki to ma związek ze schematem organizacji sądownictwa – trudno dociec. Czy miał na myśli to, co w Towarzystwie Prawniczym wyraził Grigaitis: że oto już i obecnie zaległości u sędziów pokoju nie ubywają, lecz rosną, wysiłek pracy jest maksymalny, a tymczasem projekt Rady Stanu jeszcze bardziej niż dotąd obciąża sędziów pokoju, przekładając na nich znaczną część kompetencji sądów okręgowych? Jakem potem ministrowi Zylińskiemu odpowiedział, kwestia nadmiernego obciążenia sądów może wpłynąć na etaty, ale nie na organizację sądów i instancji; jeżeli nie przełożymy żadnych spraw na sędziów pokoju, ale stworzymy między sądami okręgowymi a Trybunałem, mającym być wyłącznie sądem kasacyjnym, nowy organ sądu apelacyjnego, to wyjdzie na jedno; jeżeli ilość spraw będzie ta sama lub będzie rosła, to czy one będą rozpoznawane tu czy tam – trzeba będzie powiększać etaty i pozycje budżetowe na utrzymanie sędziów. Tylko zmniejszenie ilości spraw, ale nie ich przekazanie temu czy innemu sądowi mogłoby odciążyć sądy bez powiększenia etatów.

Druga kwestia – i najważniejsza – którą podniósł minister Żyliński, to kwestia sądu przysięgłych. Minister nie wypowiedział się kategorycznie ani za, ani przeciw, ale podniósł wątpliwość co do tej formy sądu i następnie zaznaczył, że o ile ustawodawca sądu przysięgłych nie zechce – cały schemat będzie musiał ulec przekształceniu, toteż przede wszystkim Gabinet Ministrów, do którego należy formalnie inicjatywa projektu, powinien rozstrzygnąć kwestię sądu przysięgłych jako podstawową. Ze swej strony ja także stwierdziłem to samo. Istotnie, jeżeli sąd przysięgłych odpadnie, to te sprawy karne, które w naszym schemacie są zarezerwowane na rzecz tego sądu albo będą musiały przejść do sędziów pokoju, albo, o ile będą pozostawione sądowi okręgowemu, nie będą w naszym schemacie miały apelacji. Ale ponieważ są to właśnie sprawy karne najcięższe – oddać je sędziom pokoju niepodobna, nie tylko dlatego, że sędziowie pokoju są mniej doświadczeni i wprawni fachowcy, niż sędziowie okręgowi i że sprawy te wymagają sądu kolegialnego, ale też dlatego, że przy sędziach pokoju nie ma prokuratury. Pozostawić zaś je bez apelacji, gdy się zachowuje apelację dla spraw drobniejszych, należących do właściwości sędziów pokoju – także niepodobna. Toteż wtedy koniecznym jest utworzenie dla tych spraw sądu apelacyjnego między sądem okręgowym a Trybunałem, a to już czyni wyłom w całym naszym schemacie.

11 marca, rok 1930, wtorek

Jeszcze o czwartkowym posiedzeniu Gabinetu Ministrów w sprawie zasad organizacji sądownictwa. Po przemówieniach moim i ministra Żylińskiego zabrał głos prezes Rady Stanu Šiling. Całe jego przemówienie pierwsze i wszystkie następne, ilekroć zabierał głos, były skierowane przeciwko instytucji sądu przysięgłych. Muszę stwierdzić, że wobec rządu najgoręcej i najżarliwiej agitował przeciwko zaprojektowanej przez Radę Stanu instytucji właśnie sam prezes Rady. Jest to stała metoda Šilinga. Na stanowisku prezesa Rady nie jest on bynajmniej jej głową i rzecznikiem, jeno jakimś *sui generis* policjantem, ochraniającym pewne przeczuwane przezeń tendencje rządu od „zakusów” Rady i pracującym nad udaremnieniem takowych, czyli nad „unieszkodliwianiem”

Rady Stanu. Współpraca poważnego kolegium z takim prezesem nie należy do rzeczy miłych i owocnych. Nie mam nic przeciwko temu, żeby każdy członek Rady, nie wyłączając nawet prezesa, swobodnie wypowiadał wobec rządu swoją opinię osobistą, nie będąc związany uchwałą kolegialną; jest to zupełnie zgodne z samą naturą takiego organu, jak Rada Stanu, przeznaczonego do udzielenia pomocy i rady rządowi przez fachowców. Ale u Šilinga jest nie to: on nie swoją tylko opinię fachową wyraża, bo zresztą sam jest prawnikiem fachowcem słabym, ale właśnie polityku je zawodowo i zwalcza sprytnie „niepożądane" przejawy nie tyle reprezentowanej, ile dozorowanej przezeń Rady.
Za udziałem „przedstawicieli społeczeństwa" w sądzie przemawiał z łona Gabinetu Ministrów jeden tylko Aleksa, który proponował coś pośredniego między przysięgłymi („jury") a ławnikami („szöfenami"). Prezes ministrów Tubelis przemawiał przeciwko. W zarządzonym głosowaniu za udziałem „przedstawicieli społeczeństwa" głosował jeden minister Aleksa, przeciwko – wszyscy inni, minister zaś sprawiedliwości Żyliński nie głosował wcale. Sąd przysięgłych przeto upadł. Wypadnie nam reformować nasz schemat organizacji sądownictwa. Uważam, że Gabinet Ministrów, odrzucając instytucję przysięgłych, popełnił błąd. W opinii publicznej ta instytucja jest popularna, toteż organizacja sądownictwa, która jej nie uwzględnia, trwałą nie będzie.

12 marca, rok 1930, środa
Wieczorem z Kazimierzem Jankowskim i Jadzią byłem w teatrze na komedii „Viengungis tėvas", tłumaczonej z angielskiego. Ubawiłem się dobrze. Gra artystów Glińskiego, Żaliukiewiczówny-Piotrowskiej i Kramera była znakomita.
Umarł śp. sędzia pokoju Stanisław Herubowicz. Był sędzią pokoju w Kownie, uchodził słusznie za jednego z najlepszych sędziów w Litwie. Był stylowym sędzią, sprawy sądził po ojcowsku, gderząc i dając reprymendy moralne oskarżonym. Herubowicz, starzec 70-letni, był spokrewniony z naszą rodziną Römerów, z jej domem antonoskim (przez Białłozorów). Był jednym z nielicznych ziemian, którzy bardzo lojalnie oddali swą pracę państwu litewskiemu. Herubowicz był zresztą lojalistą wcielonym: był wiernym sługą państwa bez względu na to, jakie to jest państwo. Równie lojalny był niegdyś w służbie wobec Rosji, jak potem wobec Litwy. Śmierć jego wywołała w kołach prawniczych żal szczery.
Na seminarium prawa konstytucyjnego miałem dziś kazus, który mi się po raz trzeci (co roku po jednym) zdarza. Mianowicie referentem był dziś młody student Jan Stankiewicz, który złożył referat bardzo ładnie napisany na temat: „Cechy rządów bezpośrednich w Belgii i Anglii". Byłem przygotowany go chwalić. Ale odczytał ten referat tak niedołężnie, że powziąłem posądzenie, iż był nie przez niego opracowany. Dla skontrolowania go zadałem mu ustnie kilka pytań z zakresu zagadnień teoretycznych, poruszonych w referacie. Odpowiedzieć nie zdołał. Usunąłem go wobec tego, ogłaszając go za niedopuszczonego do cenzury seminaryjnej. Bronił się i zastrzegał, że pracę sam wykonał, dawał słowo honoru, wreszcie poczerwieniał i usiadł. Żal mi się go zrobiło, ale dla przykładu ustąpić już nie mogłem i mojej decyzji nie cofnąłem.

13 marca, rok 1930, czwartek
Zgłosił się do mnie w Radzie Stanu Michał Ślażewicz. Przyszedł w czasie, gdym miał posiedzenie komisji, nie mogłem się więc z nim rozmówić. Widziałem go tylko chwilkę. Zdążył mi tylko podziękować za odbitkę mojego artykułu w „Teisė" o Radzie Stanu, którą mu przesłałem i tylko tyle powiedział, że chciał się ze mną zobaczyć i pogawędzić, bośmy się dawno nie widzieli. Wyraził też chęć rozmowy – choćby innym

razem. Wyznaczyłem mu spotkanie pojutrze w południe w Radzie. Bardzo ciekaw jestem, co mi powie. Lubię go i mam zawsze słabość do lewicy. Miałem wszakże od dwóch lat wrażenie, że ludowcy mają mi za złe, żem wstąpił do Rady Stanu, utworzonej przez narodowców w związku z nową konstytucją wyłonioną z przewrotów. Pewne spostrzeżenia moje i jedna recenzja w „Liet. Žinios" o moim odczycie w studenckim Towarzystwa Prawników utwierdzały mię w tym wrażeniu o boczeniu się ludowców wobec mnie. Czy się mylę, jeżeli teraz ich wódz Ślażewicz, z którym zresztą mam dawne stosunki osobiste, zwraca się teraz do mnie dla rozmowy osobistej bez specjalnego interesu formalnego? I co mi powie Michał Ślażewicz? Nie wiem, czy wiedzą ludowcy, że nie poszedłem wcale do obozu prawicy i że, choć nawet „demokratą" doktrynalnym już nie jestem, to jednak ideałom wolnościowym społecznym byłem i jestem wierny niewzruszenie. Jeno z demokraty indywidualisty stałem się społecznikiem w moich poglądach i sympatiach politycznych, a to w szczególności pod wpływem moich studiów naukowych w profesurze.

14 marca, rok 1930, piątek
Sporo mi dziś czasu zajęło egzaminowanie studentów. Praca w Radzie Stanu też się w ostatnich czasach tak rozwinęła, że i na posiedzeniach, i w domu tyle mi daje roboty, że nie mogę pchać tak intensywnie, jak bym życzył, innych robót moich, a zwłaszcza nie mogę się oddać moim ulubionym pracom naukowo-literackim, których mam w tej chwili na warsztacie dwie: a. moją książkę kapitalną o prawie konstytucyjnym i b. mój artykuł o sądzie konstytucyjnym dla tomu zbiorowego „Prac Wydziału Prawniczego", poświęconego uczczeniu dziekana wydziału – prof. Piotra Leonasa. A mam jeszcze poza tym szereg poszczególnych prac literacko-naukowych zamierzonych lub obstalowanych.
Wczoraj na colloquium w II semestrze miałem pewien incydent, co mi się rzadko zdarza, bo colloquia moje mają od szeregu lat swój tryb ustalony, nie budzący żadnych nieporozumień, a studentów umiem utrzymać w karbach dyscypliny; zwykle więc żadne incydenty się nie trafiają i nieporozumień i konfliktów między mną a studentami nie ma. Rzecz zaszła taka. Do colloquium na wczoraj wezwanych było 10 studentów, samych „weteranów", którzy w ubiegłych latach odbyli colloquium z I semestru, colloquium zaś z II semestru w swoim czasie zaniedbali, a teraz, będąc już na wyższych semestrach, zapisali się na moje wykłady II semestru. Byli to wszystko „osły", którzy na colloquium z I semestru w swoim czasie otrzymali minus. Otóż stawili się oni wczoraj na wezwanie licznie. Pierwsza z wywołanych, która była obecna, była studentka Gurewiczówna. Na wywołanie odezwała się: "Esu!" (Jestem!), podniosła się z miejsca i znów usiadła. Nie podeszła wszakże do stołu i nie usiadła na miejscu, na których sadzam odbywających colloquium. Zwróciłem wtedy uwagę jej głośno i publicznie, że nie chodzi mi wcale o to, czy ona jest, czy jej nie ma, jeno że ten, kto chce odbyć colloquium, winien przyjść do stołu, zająć właściwe miejsce i poddać się trybowi zwykłemu. Studentka Gurewiczówna nie zareagowała wcale na tę uwagę moją i najspokojniej siedziała dalej na miejscu. Wobec tego wywołałem następnego – studenta Zalcberga siedzącego obok Gurewiczówny. I ten się odezwał z miejsca: „Esu!", ale się nie ruszył. I jemu powtórzyłem uwagę – bez skutku. Zacząłem wywoływać dalej. Nikt nie podchodził do stołu, jeno się odzywano z miejsca: „Esu!". Wywołałem wszystkich z listy, wstałem, powiedziałem: „Sudiev" i wyszedłem. Po moim wyjściu studenci zaczęli się naradzać, po obiedzie zgłosiły się do mnie od nich dwie delegacje, wreszcie przyszła studentka Gurewiczówna, płakała, usprawiedliwiała się nieporozumieniem, ale nie ustąpiłem i wszystkim odrzekłem kategorycznie, że takich „żartów" czy „tricków" w sprawie colloquium nie toleruję i że będą mogli odbyć

colloquium za rok, gdy się w roku przyszłym wpiszą na słuchaczy moich znowu. Niech mają nauczkę.

15 marca, rok 1930, sobota
W południe – po posiedzeniu komisji sądowniczej – zgłosił się do mnie do Rady Stanu Michał Ślażewicz. Ciekaw byłem, o co mu chodzi. Okazało się, że Ślażewicz przyszedł poruszyć sprawę loży, która już przeszło od roku nie zebrała się wcale. Do mnie jako jej vénérable'a należy zwoływanie jej posiedzeń. Nie zwoływałem, bo loża nasza, jak w ogóle cały nasz embrionalny związek wolnomularski litewski, który, zwłaszcza po wojnie, nie zdołał się skoncentrować na żadnym czynie żywym, w ciągu ostatnich lat kilku zaczął się bardzo rozluźniać. Wielu braci, szczególnie tych, co zostali przyjęci do loży po wojnie, jak Żemaitis, Czapiński, Sugint, w ostatnich leciech prawie nigdy nie przychodzili na posiedzenia, poza tym w ogóle dał się obserwować wielki indyferentyzm, brak żywego i czynnego braterstwa w stosunkach braci, a pewne ewolucje polityczno-ideowe poszczególnych braci oddaliły wielu jednych od drugich. Nie miałem pewności, czy bracia w ogóle życzą sobie dalszego istnienia loży; czasem miewałem wrażenie, że zwoływanie, a może i istnienie loży ciąży niektórym,. Bardzo mię ucieszyło to, że Michał Ślażewicz, jeden z braci przedwojennych, a więc najstarszych w wolnomularstwie naszym (od roku 1911) i polityk wybitny, tęskni do loży i pragnie jej utrzymania. Postanowiliśmy ją w najbliższym czasie zwołać. Moim zdaniem, jedyny sposób odrodzenia naszego Wielkiego Wschodu Litwy – to wciągnięcie do związku sił młodych i oddanie inicjatywy czynnej w ich ręce. My już jesteśmy zanadto pogrążeni każdy w swojej pracy szczególnej, a niebawem już się zestarzejemy.

16 marca, rok 1930, niedziela
Dziś wybrałem się z Kazimierzem i Jadzią na Fredę, żeby pokazać Kazimierzowi mój placyk. Co prawda, nie wiem teraz, czy on będzie mój. Sam bowiem podniosłem raz wobec zwierzchnika reformy agrarnej p. Danilewskiego wątpliwość, czy to nie będzie przeciwne ustawie, jeżeli mając własność ziemską (Bohdaniszki) otrzymam z ramienia reformy agrarnej w nadział placyk podmiejski. Danilewski zgodził się ze mną, że to legalne nie będzie. Potem otrzymałem od žemės tvarkytoja kowieńskiego zapytanie, czy nie życzyłbym kupić ten placyk. Po namyśle odpowiedziałem, że życzę. Ale w toku tych odpowiedzi i pytań tyle czasu upłynęło, że nie wiem, czy los placyku na Fredzie nie został już jakoś inaczej rozstrzygnięty. Decyzji ostatecznej dotąd nie otrzymałem. Nie wiem więc, czy ten placyk jest jeszcze albo raczej będzie mój. Jeżeli on będzie mój, to obiecałem go Stefanowi Römerowi darować, o ile Stefan się na nim zabudować zechce.
Słońce towarzyszyło naszej wycieczce. Ładnie tam było na Fredzie. Kazimierzowi placyk i w ogóle Freda podobały się bardzo.
Przed obiadem odbyło się dziś posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Po wysłuchaniu referatu komisji promocyjnej, która dala ocenę prac naukowych czterech kandydatów do promocji, wszyscy czterej zostali promowani: Wacław Biržiška – na profesora zwyczajnego, Albin Rimka – na profesora nadzwyczajnego, Tadeusz Pietkiewicz i Aleksa – na docentów. Kandydatura docenta Šalčiusa jeszcze przez komisję rozpoznana nie została. Dotknięci i obrażeni zostali – aczkolwiek tego oczywiście nie wyrazili – docenci Stankiewicz i Morawski, który obaj tęsknią do tego awansu i wszelką nominację inną uważają za krzywdę i obrazę osobistą, im wyrządzoną. Jeden z nich przez czas swojej profesury nic nie napisał (za wyjątkiem może paru artykulików mniej więcej popularnych i sprawozdawczych), choć jest

człowiekiem bardzo zdolnym i żywym, drugi (Morawski) napisał i pisze bardzo dużo, ale nic z tego, co pisze, nie posiada żadnej wartości naukowej. Dziwny jest ten Alfons Morawski, człowiek nieszczęśliwy i chyba chory. Kiedyś, przed laty 35, był żywym i czynnym; wraz z Domaszewiczem był jednym z założycieli Socjalnej Demokracji Litewskiej, jeden z pierwszych socjalistów litewskich, którzy wtedy podnieśli sztandar samodzielnej partii przeciw PPS-owi, w którego szeregach byli dotąd socjaliści litewscy. Dziś jest to człowiek zupełnie martwy: nigdy w Radzie Wydziału ani w żadnym innym zgromadzeniu słowa nie przemówi; jest bezwładny, bez wszelkiej emocji i inicjatywy; tylko ambicję zachował szaloną. Płodny jest, co prawda, w pisaniu, ale to, co pisze, nic nie warte. Tylko sam jest o swoich pracach przekonany jako o rzeczach genialnych. Jest zupełnie do niczego i żadnych myśli powiązać nie umie. Zresztą myśl jego jest chaotyczna i zawsze jałowa.

17 marca, rok 1930, poniedziałek
Nic bardzo szczególnego w dniu dzisiejszym. W ogóle dzień był niezły. Wykład (o ewolucji Izby Lordów) udał się dobrze, colloquium – także; po obiedzie kupowałem z Jadzią i Kazimierzem story do pokoju jadalnego w moim domu w Bohdaniszkach. Wieczorem czułem się bardzo senny i trochę niezdrów; wcześnie poszedłem spać.

18 marca, rok 1930, wtorek
Nie wiem, co mi dziś było. Wyspałem się w nocy dobrze, rano wstałem zupełnie rzeźwy i raźny. Tymczasem taka mię we dnie ogarnęła senność szalona, że nie mogłem w żaden sposób jej zwalczyć. I to nie tylko po obiedzie, ale też przed obiadem. Na posiedzeniu plenarnym Rady Stanu drzemałem i byłem w ogóle tak osowiały i na pół przytomny, że nie tylko, co mi się rzadko zdarza, w debatach udziału nie brałem, ale w ogóle nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, o czym dyskutowano i obecnie nie bardzo sobie przypominam, o czym była mowa. W ogóle senność dziś miałem taką, jaka mię opanowywała czasem latem ubiegłego roku, a może jeszcze większa i jakiej od lata już nie doświadczałem. Czyżby to był skutek wiosny?
Rada Stanu zabrała się do wydania rocznika prac swoich. Nad redakcją tego wydawnictwa i w szczególności nad segregacją materiału do druku i stylizacją językową rękopisów pracuje komisja redakcyjna z Masiulisem na czele. Większą część wydawnictwa tego zapełnią, jak się zdaje, te prace Rady, które należą do pióra mojego. Pod tym względem powtarza się to samo, co było z publikacjami wyroków trybunalskich (bądź w „Teisė”, bądź w wydawnictwie podręcznym Zygmunta Toliušisa i Władysława Pożeły) z czasów, gdy ja zasiadałem w Trybunale jako sędzia.

19 marca, rok 1930, środa
Już w tych dniach Kazimierz Jankowski po dwutygodniowym pobycie w Kownie wraca do Bohdaniszek. Zatrzymałem go tutaj dłużej, żeby się doczekał opery, którą mu chciałem pokazać, bo nie znał tego widowiska i pojęcia o nim nie miał. Ponieważ zaś nasza Opera Państwowa bawiła na występach gościnnych w Kłajpedzie, więc wypadło czekać do dnia dzisiejszego. Wreszcie dzisiaj puściłem Kazimierza na przedstawienie „Giocondy”. Poszedł z Jadzią, bo ja miałem seminarium prawa konstytucyjnego na uniwersytecie i wybrać się do teatru nie mogłem. Wrócił Kazimierz z opery zachwycony.

20 marca, rok 1930, czwartek
Stwierdzam jeden szczegół ciekawy, który się uwydatnił w tym roku akademickim na uniwersytecie naszym: na pierwszym roku prawa prawie że nie ma Żydów. Innych lat

studentów Żydów na Wydziale Prawniczym bywało od 20 do 30 proc., a bodajże i więcej. W tym roku są liczone jednostki spośród Żydów, a i ci na wykładach, które w tym roku na I-II semestrze odbywają się w godzinach przedobiednich, nie bywają wcale, colloquiów też znaczna ich część nie odbyła. Czemu to przypisać – sam nie wiem. W ogóle tegoroczny pierwszy rok prawa liczy o jakąś setkę studentów mniej, niż w roku ubiegłym. Za to bardzo urosła, bodajże bezwzględnie, a w każdym razie procentowo – liczba studentek, wśród których jest w tym roku kilka bardzo pilnych i zdolnych, nie ustępujących wcale chłopcom. Ale i wśród studentek Żydówek prawie nie ma, podczas gdy innych lat bywały.
Ubytek słuchaczy na prawie, który się w tym roku niespodziewanie ujawnił, przypisują niektórzy temu, że w myśl nowej ustawy o służbie wojskowej prolongaty na rzecz studiów uniwersyteckich nie są nadal udzielane tym, co ukończyli gimnazjum i są w wieku poborowym, wobec czego znaczna część młodzieży męskiej, która by była w tym roku akademickim wstąpiła na uniwersytet, gdyby prolongaty były, odbywa teraz służbę wojskową. Jeżeli to jest przyczyną ubytku, to luka ta jest tylko czasową i na przyszły rok się wyrówna, gdy tegoroczni wojacy skończą swoją służbę i wstąpią do uniwersytetu; ile będzie szło co roku do wojska, tyleż mniej więcej będzie się z wojska po odbyciu służby wyzwalało. Ale gdyby była tylko ta jedna przyczyna ubytku studentów na prawie, to nie wyraziłaby się ona w szczególnym zmniejszeniu się ilości Żydów, bo dotyczy ona w równym stopniu Żydów i Litwinów. A ta setka, o którą się zmniejszyła tegoroczna liczba studentów na pierwszym roku prawa, właśnie odpowiada mniej więcej ubytkowi Żydów. Musi więc być coś jeszcze poza tym, zwłaszcza, że ilość Żydówek i wśród studentek równie gwałtownie zmalała, choć tam już służba wojskowa żadnego wpływu nie ma. Czynnikiem, który może hamować wzrost ilości prawników, jest obawa przed nadprodukcją inteligencji i w szczególności prawników, o której dość dużo, choć, zdaje się, bez głębszej zasady, się mówi. W każdym razie, z roku na rok prawnikom i młodzieży inteligenckiej jest w kraju coraz ciaśniej. Ale dotąd za ciasno jeszcze nie jest, a zresztą, gdzież by się młodzież żydowska cała podziała, dezerterując zawód prawniczy.
Żydów może zacząć odstraszać od prawa projektowana przez rząd reforma adwokatury, raczej stażu adwokackiego, w której jest wyraźna, choć ukryta myśl o specjalnym filtrze, mającym utrudniać właśnie Żydom dostęp do adwokatury, a w zawodzie prawniczym Żydzi w Litwie na nic innego poza adwokaturą liczyć nie mogą. Ale ten czynnik, mający odstraszać Żydów, zarysował się dopiero po rozpoczęciu obecnego roku akademickiego, więc nie mógł wpłynąć na tegoroczny kontyngent Żydów na prawie.

21 marca, rok 1930, piątek
Wysłałem dziś już Kazimierza do Bohdaniszek. Dość się zabawił w Kownie. Będzie miał na długo tematów do opowiadania w Bohdaniszkach.
Śliczny dziś dzień słoneczny, ciepły i pachnący wiosną. Chciałoby się na wieś...

22 marca, rok 1930, sobota
Nasza komisja sądownicza w Radzie Stanu obraduje obecnie „w trzecim czytaniu" nad projektem ustawy o adwokaturze. W tym tygodniu powzięła ona wreszcie decyzję w najgłówniejszej kwestii reformy adwokatury – kwestii stażu adwokackiego. Tezę dwóch stażów równoległych – stażu aplikantów sądowych i wolnego stażu pomocników adwokatów – komisja uchyliła. Za tezą tą głosowaliśmy my z Ciplijewskim, przeciwko – Kalnietis, Masiulis i Kriščiukaitis. Przyjęta została teza przeciwna – wyłącznego stażu w sądownictwie, mianowicie na stanowisku aplikanta

(kandydata do posad sądowych) w ciągu lat trzech albo tyleż lat służby w sądownictwie na posadach wyższych niż aplikanta; staż trzyletni aplikanta podzielony na dwie części: dwa lata na stanowisku niższego aplikanta i rok na stanowisku wyższego aplikanta z egzaminem praktycznym przy przejściu z jednego stanowiska na drugie; w razie, gdyby ktoś, po odbyciu stażu dwuletniego niższego aplikanta i zdaniu egzaminów nie odbył stażu wyższego aplikanta, musi on dodatkowo odbyć dwuletni staż specjalnej aplikacji adwokackiej. Odrzucenie równoległego wolnego stażu adwokackiego zniewala mię do zgłoszenia *votum separatum*. Wszakże ostrze ukrytego antysemityzmu projektu rządowego zostało w uchwale komisji zmodyfikowane i uchylone (a może tylko osłabione) przez to, że komisja przyjęła tezę, iż staż aplikancki nie będzie związany ze stanowiskiem etatowym, lecz będzie wolny i otwarty dla wszystkich mających kwalifikacje do zajęcia stanowiska aplikanta.
Dziś wieczorem w Towarzystwie Prawniczym wyznaczone było trzecie z rzędu ogólne zebranie dla dyskusji nad opracowanymi przez komisję Rady Stanu zasadami organizacji sądownictwa. Rzecz ta jednak straciła na aktualności, odkąd Gabinet Ministrów uchwalił odrzucić sąd przysięgłych, a komisja Rady Stanu uchwaliła na skutek tego przyjąć tezę starą o dwóch równoległych trybach instancyjnych. Wprawdzie dyskusje się jeszcze na posiedzeniu dzisiejszym toczyły – szczególnie między Mačysem a Bielackinem – to jednak miały już one cechę wyłącznie akademicką i do rezolucji nie doszło żadnej.

23 marca, rok 1930, niedziela
W Towarzystwie Prawniczym na porządku dziennym była wczoraj także kwestia projektów ustaw o rejestrze handlowym, o firmie handlowej itd., opracowanych przez komisję ekonomiczną Rady Stanu. Referował członek Rady Stanu Zygmunt Starkus, jeden z głównych autorów tych projektów. Potem miała być dyskusja. Śpiesząc do mojej pracy w domu, nie mogłem być na posiedzeniu do końca. Na porządku dziennym była także sprawa reformy adwokatury, tocząca się w Radzie Stanu. W tej sprawie ja bym był referentem. Ale ze względu na dwie pierwsze sprawy porządku dziennego ta już dla spóźnionej pory oczywiście do skutku dojść nie mogła. Może innym razem wypadnie mi jeszcze w tej sprawie w Towarzystwie Prawniczym wystąpić.

24 marca, rok 1930, poniedziałek
Z Krakowa – za pośrednictwem zamieszkałego w Berlinie pepeesowca dr Frejlicha – otrzymałem pięć odezw z zaproszeniem drukowanym do udziału w akcie uczczenia pamięci klasyka polskiego Jana Kochanowskiego przez Polską Akademię Umiejętności. Zaproszenia te są adresowane: do mnie, do prof. Michała Biržiški, do prof. Wacława Biržiški, do prof. Krėvė-Mickiewicza i do prof. Herbaczewskiego. Do zaproszeń tych i odezw nie dodano żadnego listu. Sądzę jednak, że zaproszenia te przysłał prof. dr Stanisław Kot, bo on to używa pośrednictwa dr Frejlicha i jego nazwisko wskazane jest w odezwach do nadsyłania zgłoszeń udziału. Nazwisk osób do zaproszenia udzielił mu zapewne prof. Semkowicz. Szkoda, że pominął Janulaitisa. Wątpię, aby profesorowie litewscy z zaproszeń tych skorzystali, bądź co bądź jednak spróbuję z nimi pomówić, czy by się nie dało przynajmniej jakieś pozdrowienie zbiorowe do Akademii Krakowskiej z powodu tej okazji przesłać.
Do prof. Semkowicza pisałem niedawno, przesyłając na jego ręce odpowiedź szczegółową dr Mycielskiemu na jego pewne zapytanie, dotyczące konstytucji litewskiej. Za pośrednictwem zaś prof. Szyłkowskiego Semkowicz obstalował u mnie niedawno artykuł informacyjny o rozwoju nauki litewskiej – do pewnego wydawnictwa polskiego.

25 marca, rok 1930, wtorek
Posiedzenie zwyczajne plenarne w Radzie Stanu, jak zwykle co wtorek. Drobne detaliczne projekciki ustaw, nadesłane z Gabinetu Ministrów do rozpoznania i właściwie wygładzenia redakcyjnego. Nudne zajęcie.
Po obiedzie przychodził do mnie były student Józef Tomkus, obecnie prawnik już dyplomowany, ideolog faszyzmu. Z mojej inicjatywy przed paru laty podjął się napisania pracy dyplomowej z zakresu prawa konstytucyjnego – o faszyzmie. W r. 1926 za rządów lewicowych ludowców z socjaldemokratami Tomkus z generałem Głowackim wydawali gazetkę opozycyjną „Tautos Valia" o jaskrawym zabarwieniu faszystowskim, przynajmniej w popularnym rozumieniu faszyzmu. Chcąc zwrócić zdolności umysłu Tomkusa do wystudiowania głębszego problematu faszyzmu, który traktowany był przez niego tylko dyletancko i znając jego w tym kierunku sympatie, skierowałem go do tych studiów. Rozpoczął on rzeczywiście studia, pracę dyplomową napisał, ale na tym nie poprzestał. Umiłował zagadnienie faszyzmu i studia swoje szeroko rozwinął, pogłębiając je nieustannie. Obecnie gotuje się do opracowania dysertacji o faszyzmie, zamierzając się doktoryzować. Temat dla dysertacji wybrał: „Parlament i rząd w ustroju faszystowskim". W tej sprawie przyszedł się poradzić ze mną. Ciekawy człowiek i rzeczywiście dużo już wie o faszyzmie. Szczególnie go interesuje kapitalny problem korporacyjnej przebudowy społeczeństwa państwowego. Radzę Tomkusowi po doktoryzacji objąć prywatną docenturę na uniwersytecie. Tomkus, jak spostrzegłem, należy do tzw. voldemarasowców, którzy zaczynają zrzeszać elementy faszyzmu krajowego.

26 marca, rok 1930, środa
Kowno rośnie, zdobi się, europeizuje. Już kto by dziś do Kowna zawitał, a znał je sprzed wojny albo z r. 1919, kiedy się tu państwo litewskie i jego władze zainstalowały, byłby zdumiony zmianą, jaka zaszła w ciągu tych lat dziesięciu. I zdumiewają się też wszyscy, komu się to przytrafia. Każdy rok coś przynosi i dodaje. Centrum miasta się urządza, zabudowuje i pięknieje, kamienice wyrastają jak grzyby po deszczu, chodniki od dawna są europejskie w stylu zupełnie wielkomiejskim, przybywa wspaniałych gmachów publicznych, stara przedpotopowa „konka" już znikła, są wodociągi i kanalizacja, wygodne, duże i czyste autobusy utrzymują komunikację publiczną, taxi biegają po mieście wypierając ginące dorożki konne, wystawy sklepów modernizują się, dzielnice i ulice się różniczkują i specjalizują, powoli i kryzys mieszkaniowy się łagodzi, nie brak publiczności eleganckiej na ulicach, reklamy świetlne czynią postępy, dokoła na przedmieściach całe dzielnice nowe się rozrastają... Postęp wielki, ruch budowlany ujawnia nawet cechy gorączki spekulacyjnej. W kołach bliskich sprawom miejskim dużo się wprawdzie mówi o wielkiej bierności Rady Miejskiej, o prywacie, która się tam gnieździ, szkodząc społecznemu rozwojowi miasta i innych brakach zarządu miasta, jednak pomimo wszystko ruch i postęp jest i ciągle idzie naprzód. Rok 1930 – rok Witoldowy – ma w tym względzie dać nowe postępy. W szczególności – poza budownictwem, które ma wzrosnąć w centrum jeszcze bardziej – zaprojektowana jest kapitalna reforma głównej arterii – Laisvės Alei: usunięcie całkowite plantacji Alei, jej wyasfaltowanie całkowite. Ma też być urządzony „funiculaire" na Zieloną Górę.

27 marca, rok 1930, czwartek
Dzień był brzydki, mokry i zimny. Ale wbrew pogodzie, wykład na II semestrze, w którym dziś omówiłem wypaczenia parlamentaryzmu kontynentalnego w stosunku do instytucji Gabinetu Ministrów, udał mi się znakomicie i był w wyrazistości, wymowie i

ekspresji gestykulacyjnej świetny, toteż wracałem do pracy mojej do domu w humorze doskonałym, jak w dzień słoneczny.
Miałem też dziś tę przyjemność, że zwrócił się do mnie w sprawie pracy dyplomowej student Kutra, jeden z najzdolniejszych studentów naszych z ostatniego semestru, chłopiec bardzo inteligentny i rozwinięty, społecznik, działacz akademicki postępowy, esperantysta, słowem – osobnik pod wszelkimi względami należący do najwybitniejszych w naszej młodzieży akademickiej. Że ten się do mnie zwrócił w sprawie pracy dyplomowej i że mój przedmiot obrał sobie – to mię mile dotknęło.

28 marca, rok 1930, piątek
Miałem egzaminy studenckie. Debiutowali studenci obecnego semestru IV, którzy już swoje prace seminaryjne wykonali. Zdawało ich czterech z tego semestru: Fajwel Rozing, Jan Korła, Albert Juozuvaitis i Józef Daniulaitis-Daniulewicz. Wszyscy czterej zdali na „bardzo dobrze".
Przychodził do mnie student Kutra w sprawie tematu dla pracy dyplomowej. Interesują go problemy stosunku społeczeństwa do państwa. Rozważaliśmy z nim ewentualne tematy do wybrania. Zastanawialiśmy się nad kwestią metod wyborów politycznych i w ogóle głosowania politycznego, referendum, opinii publicznej, amerykańskiej instytucji komisji ankiety publicznej w zastosowaniu do funkcji ustawodawczej, ustroju korporacyjnego państwa jako federacji syndykatów zawodowych w związku z konstrukcją tzw. „Karty Wolności Carnaro" (Fiume), nadanej przed laty 10 okręgowi spornemu Fiume przez Gabryela d'Annunzio. Skończyło się na tym, że Kutra wybrał sobie temat: Pan-Europa.

29 marca, rok 1930, sobota
Przyjechała Marynia Römerowa dla poczynienia starań w celu uzyskania pozwolenia na wjazd do Litwy dla Ewy Meyerowej z córeczką i nianką i dla ex-panny Maniusi Frąckiewiczówny (jest to ta sama Maniusia Frąckiewiczówna, niegdyś koleżanka szkolna Ewy i poniekąd wychowanka Maryni, która w latach 1918-1919 mieszkała w Bohdaniszkach u Papy i zarządzała u Papy wszystkim we dworze; obecnie jest ona żoną jakiegoś oficera polskiego – nazwiska jej obecnego nie wiem). Panie te mają przyjechać do Maryni do Bohdaniszek na całe lato; przyjazd ma nastąpić w końcu kwietnia.
Wieczorem byłem na posiedzeniu Litewskiego Towarzystwa Prawniczego w sali Trybunału. Toczył się dalszy ciąg obrad nad projektami ustaw, nad którymi pracuje Rada Stanu. Tym razem debatowano nad czterema projektami ustaw (o rejestrze handlowym, o firmie handlowej, o ochronie wierzycieli, o prokurzystach handlowych), opracowanymi przez komisję ekonomiczną Rady Stanu (Zygmunt Starkus, prof. Jurgutis, doc. Tadeusz Pietkiewicz, Ciplijewski). Na poprzednim posiedzeniu przed tygodniem referował Starkus, teraz toczyła się dyskusja. Przemawiali prof. Mačys, doc. Stankiewicz, adwokat Fridsztejn i prof. Bielackin. Najbardziej rzeczowo traktował kwestię Fridsztejn, nieźle też ją traktował Stankiewicz. Bielackin natomiast uderzał w ton demagogiczny i w ogóle operował raczej efektami i paradoksami, traktując rzecz po łebkach i popisując się przesadnym „szczypaniem" Rady Stanu.

30 marca, rok 1930, niedziela
Wybraliśmy się po obiedzie z Marynią i Jadzią na wystawę grona młodych artystów litewskich, urządzoną w lokalu domu „ateitininków". Jest to grono dziewięciu młodych malarzy i rzeźbiarzy, którzy ukończyli szkołę malarską w Kownie i po raz pierwszy stają samodzielnie wobec szerokiej publiczności. Jest wśród nich Kalpokas syn, Naruszewiczówna, Draugelytė, Kairys, Pundžius – są to bodaj najlepsi. Eksponatów jest

kilka setek. Są rzeczy niezłe; byłbym nawet kupił parę obrazków, gdybym tylko miał pieniądze.
Wieczorem zaprowadziłem Marynię na operę „Borys Godunow", na której byłem już po raz drugi. Piękny to utwór i bardzo sceniczny. W roli Borysa występował dziś Sodeika, który bardzo ładnie tę rolę i odśpiewał, i odegrał. Dekoracje i kostiumy są wspaniałe. Charakterystyczne sceny ludowe – szczególnie scena z buntów chłopskich – znakomicie reżyserowana. Wspaniale też odegrane typy rosyjskie mnichów włóczęgów – Warłaama i Misaiła.

31 marca, rok 1920, poniedziałek
Od prof. Wladysława Semkowicza z Krakowa otrzymałem zebrane przez niego i wydane w osobnej odbitce artykuły jego sprawozdawcze z pobytu w Litwie niepodległej w grudniu 1929 r. Odbitka ta, stanowiąca broszurę o 34 stronach druku, zatytułowana: „Wspomnienia z Litwy Kowieńskiej", składa się z czterech rozdziałków, jest ilustrowana („Widok na Kowno z lotu ptaka", „Kościół Witoldowy w Kownie", „Kościół w Pożajściu", podobizna trzech braci profesorów Biržišków – z pocztówki, wydanej w czasie, gdy Michał Biržiška był rektorem uniwersytetu, „Uniwersytet w Kownie", „Ratusz w starym Kownie", portret Krzysztofa Paca, portret Michała ks. Ogińskiego, obraz Čurlanisa „Finale" z cyklu „Morze", autoportret drzeworytowy Čurlanisa – ze zbiorów Galerii Čurlanisa w Kownie, wreszcie grupa uczestników „wieczornicy" w Zjednoczeniu Polskich Studentów w Kownie w d. 4.XII.1929). „Wspomnienia" Semkowicza są pisane w duchu życzliwym i pojednawczym – zupełnie szczerze, na ogół z uznaniem dla Litwy i Litwinów. Są wszakże pewne szczególiki, które razić mogą Litwinów: nazwanie Litwy „kowieńską", którego Litwini nie lubią, traktowanie „sprawy wileńskiej" jako pewnego rodzaju żalu Litwinów (tylko żalu?), których światlejsze jednostki wszakże pojmują, że już obecne Wilno „jest miastem polskim". We „Wspomnieniach" jest wzmianka bardzo życzliwa i o mnie, jest też o innych profesorach Uniwersytetu Litewskiego, z którymi się prof. Semkowicz bliżej zetknął w Kownie.

1 kwietnia, rok 1930, wtorek
Dzień mi upłynął na pracy zwyczajnie.
Żadnych prima-aprylisów nie miałem.

2 kwietnia, rok 1930, środa
Przed obiadem miałem posiedzenie komisji sądowniczej w Radzie Stanu. Projekt ustawy o adwokaturze w przeróbce komisji jest na ukończeniu. Do Wielkiejnocy będzie zakończony i zostanie przekazany plenum Rady. Byłby on wcale dobry, gdyby go nie zohydzały ukryte (ale dla wszystkich jeszcze jak „*un secret de polichinel*") tendencje antysemickie, zawarte w przepisach o stażu adwokatury.
Wieczorem miałem na IV semestrze seminarium prawa konstytucyjnego.
Praca moja nad księgą kapitalną prawa konstytucyjnego posuwa się powolutku, ale dobrze. Pracuję nad tym fundamentalnie.

3 kwietnia, rok 1930, czwartek
Przyjechał do Kowna Stefan Römer; przyjechał już na stałe, odprowadzony przez żonę. Znalazł sobie od razu pokój przy ul. Podgórnej za 75 litów miesięcznie, obiady zaś jeść będzie, o ile zechce, u mnie. W lokalu gimnazjum polskiego ma mu być udzielony pokój pod pracownię zabawek artystycznych, malowideł na materiale i ewentualnie innych wyrobów artystycznych sztuki stosowanej, które on ma wyrabiać, ewentualnie

uczyć wyrabiać. Pracownia ta ma być sfinansowana przez „Pochodnię", w której dyspozycji Stefan pod tym względem będzie. Sprawą tą zajął się Konstanty Zyberk-Plater i Eugeniusz Römer, którzy w tym Stefanowi dopomogą w „Pochodni". Jednocześnie Stefanowi leży na sercu urządzenie wystawy obrazów swoich. Zosia Römerowa, która miała z nim do tej wystawy do spółki stanąć, coś się ociąga i, zdaje się, boi się wspólnictwa Stefana, nie znając jego obrazów i obawiając się, aby jej czasem pod jakimkolwiek względem nie skompromitował. Stefan jest cichy i wygląda nieco onieśmielony tymi początkami swej kariery samodzielnej o własnych siłach. Brak mu też zdrowia – wygląda niesłychanie mizernie.

4 kwietnia, rok 1930, piątek
Zaczął się teraz masowo do egzaminów sunąć semestr IV, a przynajmniej ci tego semestru studenci, którzy już odbyli swoje seminarium prawa konstytucyjnego. Dziś zdawało ich sześciu. Z nich jeden – Justyn Švelnys – nie zdał, jeden – Antoni Wojciechowicz (Vaitiekavičius) – zdał dobrze, czterej pozostali – Józef Kogan (Kagan), Jan Baronas, Ruwin Epsztejn i Miron Chorążycki – bardzo dobrze.

5 kwietnia, rok 1930, sobota
W lokalu Rady Stanu artysta malarz Mackiewicz złożył wykonany przezeń na jubileusz Witolda Wielkiego duży obraz historyczny, przedstawiający Witolda na czele szeregów konnych rycerzy Wielkiego Xięstwa Litewskiego w chwili dotarcia do Morza Czarnego. Jest to duże płótno, na którym figura naczelna księcia Witolda konno jest wielkości prawie że naturalnej. Bardzo ładne jest na obrazie morze i biegnące w dal wysokie wybrzeże lądu; efektowny też jest sam Witold w młodym wieku o twarzy energicznej i ogorzałej rycerza, w zbroi stalowej od szyi do stóp, z płaszczem czerwonym i w czerwonym kołpaku. Twarz męska i piękna, długa. Koń biały, stoi w morzu, nogi mu oblewa fala, lewą przednią nogą kopie wodę i dno niecierpliwie. Pięknym gestem wyciągniętej ręki prawej Witold obejmuje Morze Czarne w posiadanie, czyniąc je Morzem Litewskim. Za Witoldem – szeregi jego rycerstwa w szyku pochodu, wyciągnięte długim szeregiem w głąb lądu: pierwszy rząd rycerstwa dosięgnął brzegu wody; są tam rycerze brodaci i młodzieńcy, podobni do kobiety, Litwini i Rusini olbrzymiego państwa Witoldowego, jest też chan tatarski w jednym z pierwszych szeregów. Na horyzoncie – dymy zgliszcz i pożogi wojny. Są podobno defekty w przednich nogach konia Witoldowego w niektórych plamach monotonnych obrazu, ale na ogół obraz jest żywy, barwny, w widoku piękny – i efektowny. Podobno obraz ten jest już nabyty przez gen. Nagiewicza dla Muzeum Wojennego za 7000 litów. Wieczorem pokazałem go Stefanowi Römerowi, którego w tym celu zaprowadziłem do lokalu Rady Stanu. Mackiewicz jest pierwszy, który wyzyskał jubileusz Witolda Wielkiego i dał okolicznościowy utwór kapitalny. Zresztą i inni artyści litewscy nie dają się ubiec: bodaj każdy z nich coś w hołdzie Witoldowi gotuje: Zikaras rzeźbi jego statuę, Varnas maluje jego portret, Żmujdzinowicz, Kalpokas i inni też z czymś zapewne wystąpią. Nawet Zosia Römerowa coś podobno na rzecz Witolda kombinuje, a Stefan Römer ma także tryptyk symboliczny litewski, do którego Witold wchodzi, a zdaje się, że teraz zazdrość go podnieca i pobudza go do snucia nowych pomysłów o Witoldzie.
Dziś w komisji sądowniczej Rady Stanu zakończyliśmy pracę nad konstrukcją projektu ustawy o adwokaturze. Masiulis opracowuje redakcję prowizoryczną i niezwłocznie już wniesiemy nasz projekt na plenum Rady Stanu.

6 kwietnia, rok 1930, niedziela

Na dziennik mam czasu coraz mniej. Roboty mam huk.
Oglądałem dziś pokoik, który sobie wynajął przy ul. Podgórnej, prawie że na wprost schodów, prowadzących na Szosę Wiłkomierską i Zieloną Górę, Stefan Römer. Pokoik niezły, sympatyczny nawet i staroświecki, ale jest w nim wilgoć. Stefan tłucze się po Kownie trochę zdezorientowany; czeka przyjazdu Eugeniusza Römera, który ma go tutaj przy „Pochodni" urządzić. Pragnąłby też wystawy swojej, ale Zosia Römerowa, która miała być jego wspólniczką i poniekąd mu patronować trochę w tej wystawie, jako firma już znana i solidna, której sam Stefan osobiście jeszcze nie ma – ociąga się.

7 kwietnia, rok 1930, poniedziałek
Miałem dzisiaj gościa rzadkiego – panią doktorową Adolfową Narkiewiczową z Wilna, bawiącą w przejeździe przez Kowno od rana do wieczora. Pani Narkiewiczowa jedzie z czteroletnim synkiem na lato do folwarku mężowskiego na Żmudź. Kilka godzin spędziła ona w moim mieszkaniu i była u mnie na obiedzie.
Ślęczę nad moją pracą kapitalną, mającą zająć całokształt wykładanego przeze mnie prawa konstytucyjnego. Niestety, wśród mnóstwa innych drobniejszych prac bieżących nie mogę poświęcić tej pracy zbyt dużo czasu. Poświęcam jej nie więcej, jak z pięciu dni – trzy, czyli na miesiąc – 18 dni, ale oczywiście i w te dni, kiedy się ona na warsztacie moim znajduje, nie mogę się jej oddać wyłącznie, ale bywa i tak, że musi wystarczyć jedna godzina. Liczę, że latem będę mógł nieco energiczniej się nią zająć. Czuję, że czas już na tę pracę, która stanowić powinna owoc dojrzały moich studiów ośmioletnich, prowadzonych w gabinecie i na katedrze. Praca to jest ciekawa, ale wielka, która się rozciągnie na kilka lat i wyrazi w kilku tomach.

8 kwietnia, rok 1930, wtorek
Nic bardzo szczególnego dzisiaj.

9 kwietnia, rok 1930, środa
Funduję Stefanowi Römerowi operę. Dziś go zaprowadziłem na „Aidę", w której w roli Amadesa (Radamesa) występuje Cyprian Piotrowski, jutro – prowadzę go na „Borysa Godunowa". „Aida" wystawiona jest na scenie naszej ze szczególnym przepychem; dekoracje i kostiumy – świetne. W roli tytułowej „Aidy" występowała Rakowska, która się Stefanowi niezmiernie podobała; rzeczywiście jest to jedna z lepszych jej ról. Zaimponowała też Stefanowi wystawa opery. Jako dekoratorowi z powołania – ornamentyka dekoracyjna sprawia mu wrażenie ogromne. Zapomniał nawet swej manierowej, nabranej w otoczeniu naszych Polaków litewskich i modnej w ich środowisku pewnej szczypty lekceważenia wszystkiego, co jest litewskie jako rzekomo podrzędnego i już w żadnym razie nie będącego godnym zachwytu. Był szczerze przejęty tak grą artystów, jak ich głosami, jak piękną wystawą opery. Nurtuje go pewna zazdrość i tęsknota rywalizowania z artystami miejscowymi, których zresztą nie doceniał, jak się zdaje – tak mu się to wszystko *à priori* na niewidziane pospolitym zdawało. Zniechęcający się jest Stefan i niewytrwały: zrażony już jest do Eugeniusza Römera, Konstantego Zyberka i „Pochodni", bo mu się nie kwapią dać gotówki do rąk, namyślają się, oglądają go i ważą wszelkie szanse tej jego „pracowni", z którą się on im narzucił. Powiada już, że się z nimi liczyć nie będzie; mając od dyrektora gimnazjum polskiego pokoik na pracownię, sam po trochę pracować zacznie nad sztuką stosowaną na własną rękę. Przede mną się jednak Stefan ze swych projektów nie bardzo spowiada. Czy zdecyduje się na urządzenie samodzielnej wystawy swojej na wiosnę – wyraźnie mi nie mówi.

10 kwietnia, rok 1930, czwartek
Przyjechał do Kowna Eugeniusz Falejew, a raczej przywiozła go jego poczciwa gospodyni, a teraz opiekunka – pani Zaleska. Wiedziałem o tym, że Falejew jest ciężko chory i że się posunął bardzo. I sam on mi o tym pisał, i z Bohdaniszek pisano i mówiono, i Jadzia, która go na zapusty widziała, opowiadała, że się Falejew zmienił wprost do niepoznania. Podziałały na niego ciężkie straty materialne i jeszcze cięższe od strat troski i kłopoty, które spadły na niego i od dwóch lat męczyły go zwłaszcza moralnie. Ciosy te rozpoczęły się od afery Rymszy, który przed paru laty po całym szeregu malwersacji, dokonanych na stanowisku dyrektora oddziału Banku „Ukininkų Sąjungos" w Rakiszkach, i po podpaleniu składów towarowych tego banku, gdy się podpalenie wykryło i gdy wszczęte o to zostało dochodzenie karne, okradł jeszcze, co się dało i umknął do Brazylii, obładowany pieniędzmi i krzywdą ludzką. Podpalenie to było próbą ratunku bankruta. Aby pokryć popełnione nadużycia i oczyścić cię z możliwych zarzutów, Rymsza i jego wspólnik Mačiulis wykombinowali spekulację taką: towary, które nadeszły na imię i rachunek banku, wyekspediowali do innych stacji kolejowych, by je tam na własną rękę sprzedać, a przez pożar składów w Rakiszkach udać, że się one w składach tych spaliły. Pieniądze natomiast, uzyskane pokątnie i prywatnie ze sprzedaży tych towarów, bądź wprost zabrać sobie i uciec, bądź pokryć nimi deficyty i straty w banku, poczynione przez własne nadużycia poprzednie. Składy zostały podpalone przez Rymszę i spaliły się, zaś towary wyekspediowane do innych stacji zostały sprzedane i może by się cała kombinacja udała, gdyby Rymsza, chcąc odwrócić wszelkie podejrzenia od siebie, nie zaczął rozgłaszać w Rakiszkach posądzenia, że pożar powstał z podpalenia przez Żydów, działających rzekomo ze względów konkurencji. Insynuacja ta oburzyła Żydów, którzy się zawzięli i dopóty się nie uspokoili, aż przez swoje rozgałęzione stosunki międzymiasteczkowe nie ujawnili i nie udowodnili jak na dłoni, że partie towarów, które Rymsza podał za zniszczone przez pożar w składach, zostały zawczasu wywiezione gdzie indziej i sprzedane. Wytoczono Rymszowi i Mačiulisowi sprawę, rozpoczęło się śledztwo. Tu Rymsza nabrał, co jeszcze mógł, zdyskontował weksle, złożone przez ludzi na ratowanie banku od krachu i uciekł do Brazylii, gdzie też dotąd prosperuje szczęśliwie. Tu, w Rakiszkach, defraudacja Rymszy sprawiła katastrofę. Mnóstwo gospodarzy zostało zrujnowanych, gdy jęto uzyskiwać należności z weksli gwarancyjnych, tzw. „przyjacielskich", zdeponowanych przez ludzi tytułem ratowania banku lub na rzecz różnych operacji, które nigdy nic z pożyczką nie miały wspólnego. Krach Rymszy i banku rakiskiego zahaczył też Falejewa, który był z Rymszą w stosunkach, ponieważ Antonoska Spółka Owocarska, na której czele stał Falejew, miała Rymszę w zarządzie i była materialnie kredytem związana z bankiem rakiskim Rymszy, od którego w szczególności otrzymała narzędzia i instalację na wypłatę itd. Spółka owocarska zbankrutowała. Ale Falejewowi los gotował próbę cięższą.

11 kwietnia, rok 1930, piątek
Byłem ze Stefanem Römerem wczoraj na operze „Borys Godunow" Po raz trzeci jestem na tej operze, wystawionej tu dopiero w sezonie bieżącym. Słowa Puszkina, muzyka Musorgskiego, dekoracje Dobużyńskiego... Zdaje się, że w tej operze, która mi się tym więcej podoba, im częściej ją oglądam i słyszę, mniej działa na mnie muzyka i śpiew, niż treść, myśl i wystawa, połączona zresztą ze wspaniałą grą Oleki w roli Borysa (słyszałem w tej roli dwa razy Olekę i raz Sodeikę i za każdym razem ten, którego słuchałem, wydawał mi się lepszy) i ze świetną reżyserią, która w scenach masowych i charakterystycznych wydobywa maksimum ekspresji. Takie wystawienie pod względem dekoracji, kostiumów, gry i reżysury, jak w operze „Borys Godunow",

stawiają nasz teatr na wysokich szczytach sztuki i potęgują kulturę artystyczną wspaniale. „Borys Godunow” – to opera dramatyczna, w której sztuka staje się najwyższą filozofią zagadnień życia. W tej operze najwięcej mi imponuje i wrażenie sprawia nie tyle bolesny dramat Godunowa, uwydatniony w grze do samych szczytów potęgi ekspresyjnej, ile zwłaszcza sceny charakterystyczne i masowe, jak scena pierwsza – modły ludu, spędzonego dla inscenizacji uczuć wiernopoddańczych i patriotycznych i manifestującego swe uczucia spod pałki, scena w karczmie u granicy litewskiej z niezmiernie charakterystycznymi postaciami mnichów włóczęgów Warłaama i Misaiła, wreszcie nade wszystko – scena z buntów chłopskich, w której się bajecznie uwydatnia dziwaczna, histeryczna dusza ludu rosyjskiego, pełna przedziwnych kontrastów – tu znęcającą się nad pochwyconym bojarem, okrutna i mściwa, tu litująca się nad „jurodiwym”, tu dziecinnie naiwna w przyjmowaniu na wiarę słów agitacyjnych próżniaków i pasibrzuchów Warłaama i Misaiła, tu bezczeszcząca władzę, autorytet, hierarchię społeczną, tu wybuchająca zapałem na widok gwiazdy wschodzącej Dymitra Samozwańca, tu wieszająca pochwyconych jezuitów – itd., itd. Opera pisana i komponowana za głębokich czasów carskich w w. XIX, a jednak jej sceny ludowe i charakterystyczne są bolszewickie, jakby żywcem z dzisiejszego „raju” sowieckiego wzięte. Pokazana jest Rosja, jaką jest: lud rosyjski jest chaotyczny, niszczący, pełny tych instynktów, które się w dzisiejszym bolszewizmie uwydatniły i które jeszcze Mereżkowski w swym „Грядущем Хаме” przewidział i przepowiadał. Z pewnością bolszewizm jest w Rosji „eurazyjskiej” głęboko i historycznie narodowy, od setek lat w psychice ludu rosyjskiego tkwiący. Pajacowa szopka „kiereńszczyzny”, jak zresztą cały petersbursko-piotrowy okres historii Rosji – to było tylko jakieś opium pozorów, pod którymi kryła się istotna Rosja Czyngis-chanowa, która w bolszewizmie znalazła siebie. To nie żadne paradoksy. Opera Puszkina i Musorgskiego – to rewelacje prorockie.

12 kwietnia, rok 1930, sobota
Późna godzina – nic dziś pisać nie będę.

13 kwietnia, rok 1930, niedziela
Znów dalej o Eugeniuszu Falejewie. Defraudacja Rymszy i krach Rakiskiego Banku „Ukininkų Sąjungos” podkopały radykalnie Falejewa. Jego marzenie o stworzeniu mocnej spółki owocarskiej w naszych stronach, opartej na eksporcie owoców świeżych i na suszarni owoców kompotowych oraz produkcji wina – spełzło na niczym. Przedsiębiorstwo, które już się po trochę rozwijało i na którym Falejew zasadził własne utrzymanie oraz dzierżawę Antonosza, zostało rozbite. W dodatku spadł stąd na Falejewa ciężar długów wekslowych na sumę jakichś 20 000 litów. Zajął się on wtedy sprawą Purpiszek, mająteczku dziedzicznego po Rudominach, położonego pod Komajami. Purpiszki były w zarządzie państwowym, wzięte w r. 1919-1920 w opiekę jako bezpańskie, kiedy jeszcze Falejew nie był wrócił do kraju. Falejew chciał Purpiszki odebrać z zarządu państwowego, sprzedać, spłacić długi i za resztę pieniędzy, po sprowadzeniu z Rosji dwóch synów dorosłych zamordowanego przez bolszewików brata, wyemigrować z nimi do Brazylii, kupić tam własność ziemską i osiąść. Zaprzedał on z góry Purpiszki częściowo dzierżawcom, częściowo niejakiemu Indriunasowi i rozpoczął starania o odzyskanie majątku od rządu. Z zadatków, pobranych przy zaprzedaży, opędził część długów wekslowych rakiskich. Okazało się wszakże, na co dawniej Falejew uwagi nie zwracał, że Purpiszki zapisane są nie na jego osobiste imię, ale na imię właśnie brata, zabitego przez bolszewików w Rosji. Przed rozpoczęciem akcji o przepisanie tytułu własności na siebie, co mogło być dokonane li tylko w drodze

praw spadkowych po bracie, Falejew postarał się o mianowanie go opiekunem nad majątkiem brata jako zaginionego. To mu się udało: opieka została ustanowiona i opiekunem mianowany został on. Wtedy rozpoczął akcję o oddanie mu majątku przez rząd. Ministerium Rolnictwa z łatwością to uczyniło, ale przy tej okazji, gdy chodziło o realizację pewnej należności z rachunków zarządu, wydział wywłaszczeniowy w ministerium zakwestionował sam tytuł Falejewów na Purpiszki, podnosząc kwestię, czy nie ulegają one konfiskacie z mocy ustawy o reformie egrarnej jako majątek nabyty przez Rosjanina (ojca Falejewa) na warunkach ulgowych.

14 kwietnia, rok 1930, poniedziałek
Waham się – zmienić mieszkanie czy jeszcze nie zmienić. Moje mieszkanie dotychczasowe uprzykrzyło mi się już i nabrało defektów, których pierwotnie nie miało. Szczególnie uprzykrzone jest to, że dziedziniec zeszedł zupełnie na psy: powstała tu jakaś pracownia remontu i przeróbek automobilów – stuk, huk, kurz, znikły drzewa, krzewy, ogród warzywny; na sąsiednim dziedzińcu w jakichś szopkach przylegających do domu, w którym mieszkam, zahodowano świnie – całą chyba trzodę, która czyni smród nieznośny u samych moich drzwi wejściowych; ani widoku, ani spokoju, ani latem okna otworzyć. W samym też mieszkaniu wewnątrz – ściany nietynkowane, zimą – chłód przenikliwy, piec funkcjonuje gorzej niż poprzednio, podłogi, sufit, ściany, drzwi – tandeta. Ale niełatwo też ze znalezieniem mieszkania znośnego. Mieszkań jest, ale albo z defektami, albo bardzo drogie. Chodziliśmy trochę z Jadzią wczoraj, oglądając mieszkania, dziś ona sama chodziła, ale niewieleśmy wskórali. Najlepsze mieszkania są bez żadnych ogłoszeń z góry pobrane, a to, co jest do wzięcia, ma zawsze jakieś „ale". Największym zaś „ale" jest cena. Chciałoby się już posiąść mieszkanko wygodne – z wanną, z wygodami, z ogrzewaniem centralnym; takie są przeważnie mieszkania w nowych budujących się kamienicach w śródmieściu, ale wszystko to kosztuje słono. Zarabiam wprawdzie dobrze, ale cóż z tego, kiedy z powodu budowy domu w Bohdaniszkach, bankructwa p. Stefana Bucewicza, któremu żyrowałem, i kupna Gaju od Maryni – wlazłem w długi, siedzę po uszy w zaległościach i wypłatach i, zarabiając dobrze – pieniędzy nie mam.
Zwrócę się do usług faktora mieszkaniowego – może coś mi znajdzie. I zostać w mieszkaniu dawnym – źle, i zmienić – źle. Sam nie wiem, na co się zdecyduję. A za miesiąc już się moje komorne kończy.

15 kwietnia, rok 1930, wtorek
Na dzisiejszym plenum Rady Stanu wpłynął wreszcie opracowany przez komisję sądowniczą projekt ustawy o adwokaturze wraz z moim motywowanym *votum separatum* w kwestii stażu, wymaganego dla wstąpienia do adwokatury. W moim *votum separatum* bronię pozycji podwójnego równoległego stażu jako alternatywy: albo staż na stanowisku kandydata (aplikanta) sądowego, albo staż na stanowisku kandydata (aplikanta) adwokackiego. Tezę mojego *votum separatum* poparli na plenum: Ciplijewski, Starkus i prof. Jurgutis. Większością głosów (prezes Šiling, Kalnietis, Masiulis, Papečkys i gen. Dowkont) zwyciężyła teza komisji: wyłączny staż kandydata sądowego. To, co zwyciężyło, to – antysemityzm. Ale kij ma dwa końce. Może niebawem zacznie on bić tych, którzy sami nim innych bić pragnęli.
Wieczorem zajęty byłem sprawami Eugeniusza Falejewa, który sam, ciężko chory, leży w szpitalu miejskim.

16 kwietnia, rok 1930, środa

Wyjeżdżam dziś z Jadzią na święta Wielkiejnocy do Bohdaniszek. Przed wyjazdem pełno miałem interesów. Przede wszystkim musiałem się udawać do odpowiednich urzędów, do moich byłych uczniów w tychże urzędach – Olechnowicza i Witolda Banaitisa – dla zapewnienia wizy na przyjazd do Bohdaniszek na święta dzieciom Elwiry – Heli i Andrzejowi, którzy ugrzęźli w Dyneburgu w drodze z Wilna. Rzecz tę załatwiłem pomyślnie. Będąc w tej sprawie w dzielnicy miasta, w której Stefan Römer ma swoją pracownię (w gmachu Gimnazjum Polskiego), poszedłem go w jego pracowni odwiedzić, by móc dać o tym relację w Bohdaniszkach. Stefan jest już teraz w fazie optymizmu. Z udziałem pomocnika – swojego byłego ucznia – Stefan pracuje zawzięcie nad malowaniem dekoracyjnym chustek damskich jedwabnych. Wzory tych ozdób komponuje sam, następnie jego pomocnik reprodukuje je mechanicznie szablonami na chustkach. Obstalunków od magazynów i firm ma już dużo, przeważnie w drodze próby, bo jeszcze rozgłosu nie zdobył; ale chustki te są istotnie w wykonaniu Stefana bardzo ładne, toteż firmy chętnie mu obstalunków udzielają. Zarząd „Pochodni", subsydiujący pracownię Stefana, udzielił mu kredytu w Banku Polskim do wysokości 800 litów, toteż Stefan czuje się mocny i zadowolony, pełny wiary w siebie. Ma już firmę „*Atelier moderne*" i pracuje. Może mu się to rozwinie. Sprawę swojej wystawy obrazów odłożył do jesieni.
W sprawie nieszczęśliwego Eugeniusza Falejewa nie udało mi się nic jeszcze naprzód popchnąć. Szukałem w tym celu dziś adwokata Nargiełowicza, ale nie złapałem go. Biedny Falejew będzie znowu czekał, aż wrócę.
Mieszkanie już wymówiłem gospodyni – to znaczy, że się zdecydowałem przenieść do innego. Umówiłem faktora mieszkaniowego Załkinda do znalezienia mi nowego mieszkania. Ten Załkind jest specjalistą w tym względzie i ma niewyczerpany zasób mieszkań. Mam nadzieję, że się znajdzie odpowiednie, przenosin zaś dokona Jadzia z Anielką bez fatygi mojej.
O godz. ósmej wyjechaliśmy z Jadzią.

17 kwietnia, rok 1930, czwartek
Rano przyjechaliśmy z Jadzią do Abel, gdzie spotkał nas Piotr Skrebys z końmi. Trafiliśmy w tym roku na Wielkanoc na śliczną wiosnę. Dawno zeszły już śniegi, które tej zimy w ogóle wyjątkowo nieduże były, dawno też puścił już zamróz i spłynęły wody. Sucho jest zupełnie i rolnicy czekają tylko deszczu, który od razu odrodzi ruń, koniczyny i trawy na łąkach, a niebawem też liście na drzewach. Ciepło jest, tylko wilgoci za mało i to właśnie tamuje rozwój roślinności wiosennej. Powietrze i lasy aż się zanoszą od świergotu, gwizdu i śpiewu wiosennego ptaków. Rechotać już poczynają żaby, które nerestują właśnie, bociany klekoczą wesoło po gniazdach, na drzewach już pączki nabrzmiały, a na krzakach już pękają listki. Wiosna w całej krasie. Piękna natura nasza, podniecona, drży, zda się, szczęściem godowym, rodzącym życie młode. Bohdaniszki kochane w swej przepięknej oprawie widoków podgórskich są jak pocałunek tej wiosny urodzajnej.
W domu moim przybyło to i owo. W pokoju środkowym, który ma być pasowany na pokój portretów i ma nosić imię „pokoju herbowego", stanął śliczny kominek, przerobiony z pieca polepskiego, bogaty, elegancki, wytworny, prawdziwa ozdoba domu. Bardzo ładnie jest pomalowany pokój jadalny ze szlakiem bladozielonym u góry, na którym biegnie rysunek, stylizowany z ornamentyki pasów ludowych litewskich. Wspaniały bufet jak organy kościelne, wzorowany na starych bufetach antonoskich, ozdabia pokój jadalny. W gabinecie – biurko, wykonane przez stolarza Barzdę z Viłaiszów; biureczko nieduże, ale bardzo ładnie wykonane, jasne.

Od razu sadzimy drzewka, nadesłane przez ogrodnika Schocha z Rygi, potem Piotr zaoruje placyki przed domem, gdzie powstaną klomby. Jadzia biegnie do swego folwarczku i tak nam oto czas płynie.

18 kwietnia, rok 1930, piątek
Jadzia wyjechała na święta do rodziców i siostry – zostałem sam. Piotr powiózł Jadzię – nic przeto dzisiaj w polu u mnie się nie robiło. Przeszedłem się z Murzą do Gaju, odwiedziłem stary dom, powłóczyłem się, by obejrzeć drzewostan mojego sadzenia w sadzie owocowym i drzewkach dekoracyjnych, w których się kocham szczególnie, poza tym siedziałem w domu, zajęty trochę pracą, która mi tu zresztą dość ospale idzie. Znowu doświadczam senności.

19 kwietnia, rok 1930, sobota
Bohdaniszki są dla mnie czymś wiecznym. Nie są one tylko tym epizodem, który ja oglądam na przestrzeni krótkiego życia ludzkiego od roku 1880 ery chrześcijańskiej do roku, jak dotąd, 1930, ale czymś ciągłym, co trwa i przekształca się w coraz nowe postacie. Het, kiedyś, kiedy jeszcze te miejsca nazw żadnych nie miały, zwały lodowców, wprawione w różne ruchy przez proces topnienia i rozkładu wśród nacisku nowych mas lodowych, posuwających się z północy, ścierając się ze sobą i mieląc przyniesione w nich ze Skandynawii głazy skaliste, utworzyły tu wzgórze i wyżłobiły łożysko olbrzymich zbiorników wód lub rzek pierwotnych, pędzących huraganowo potokami niesłychanych sił. Oto potem rozlała się tu tafla wód olbrzymiego jak morze jeziora, którego krańców na Dusiaty i Jeziorosy nie dojrzysz, a które, zwężając się w górę ku Abelom, ginęło w coraz ciaśniejszym otoczu wybrzeży górzystych. Oto potem jezioro olbrzymie się zwęża, występują nań wyspy, ziemia pokrywa się borami puszcz iglastych, pełnych dzikiego zwierza. Oto ziemię tę zamieszkują Finowie, potem nachodzą Litwini. Wyrastają pilkalnie, powstaje państwo. Litwa się zmaga z krzyżactwem i rozlewa na Ruś, z Dusiatczyzny i jej folwarku Krewien wydziela się z czasem na cyplu wzgórz nowy folwark – Bohdaniszki. Kraj się z borów oczyszcza, gęścieją osady rolników, jezioro się cofnęło ku Krewnom i Dusiatom, tylko mgły poranne o świcie latem i jesienią odtwarzają widmowo jego dawne kształty. Epizody przetwarzania się dobiegają dni dzisiejszych: oto wiek XVIII – Bohdaniszki się usamodzielniły i przechodzą okres dziejów burzliwy, lasy się pokurczyły i poprzerywały, oto wiek XIX – rządy ekonomskie w Bohdaniszkach, oto osiada tu Papa, oto dochodzi do współczesności mojej. Dwór Bohdaniszki, dolina dusiacko-abelska urozmaicona laskami i kępkami zarośli, błyskają oczka jezior drobniejszych, gdzieniegdzie dwór, na krańcach kościoły, wsie tu i ówdzie. I dalej – posiadłości się rozdrabniają, okolica pokrywa się zaściankami, dwór Bohdaniszki podzielony na części, ale się trzyma i ostał się parcelacji, wyrasta mój dom, Gaj malowniczo trwa. A dalej co? Moje marzenie: Bohdaniszki moje – kolonie uniwersyteckie, ziemia kochana zwrócona powszechności litewskiej.

20 kwietnia, rok 1930, niedziela
Wielkanoc. Z nas trojga w Bohdaniszkach – tylko jedna Elwira, która doczekała przyjazdu z Wilna dzieci na święta, wystąpiła ze święconym właściwym. Marynia ma za całe święcone pieczeń baranią i bułkę, ja znowu – indyka, wspaniałego, co prawda, ale jedynego, a z ciast mam dwa mazurki, upieczone dla mnie przez Jadzię i słodką bułkę. Marynia spędza święta sama z wnuczką Stenią; Stefan Römer z żoną spędzają je w Burniach u Narbutów. Ale Marynia gotuje się do innego święta, którym dla niej będzie przyjazd na całe lato jej córki Ewy Meyerowej z córeczką i Maryni niegdyś

„wychowanki” – Maniusi Frąckiewiczówny, dziś już pani oficerowej (nazwiska nie pamiętam), z córeczką także. Ten przyjazd nastąpić ma za tydzień.
Po obiedzie przyjeżdżali pp. Rosenowie z dziećmi. Piotr, jak zawsze, zachłanny, *ami-cochon*, chytry, udający przyjaciela, gdy chodzi o ciągnięcie z kogoś korzyści, człowiek nie mający w sobie żadnych uczuć innych poza względami własnego interesu i dobra swojej rodziny, ona zaś, osoba niegłupia i zdolna, zacietrzewiona entuzjazmem iście kobiecym do Polski i pogardą oraz awersją równie kobiecą do Litwy, co czyni tę ciekawą kobietę jednostronną i nudną, bo się przecie z uczuciami i „poglądami” natury histerycznej spierać i przekonywać trudno.

21 kwietnia, rok 1930, poniedziałek
Wybrałem się dziś po obiedzie w towarzystwie Maryni Römerowej moimi końmi do Antonosza i do Kroszt. W Antonoszu chodziło mi o stolarza Paurysa w sprawie stołu jadalnego, który mi ten stolarz ma robić, w Krosztach zaś u Tupalskich chodziło mi o piec kaflowy, który miał być tam do sprzedania. Paurysa wszakże w Antonoszu nie zastałem, w Krosztach zaś u Tupalskich z pieca także nic bodaj nie będzie; kafle są rozebrane, ale były już nieco uszkodzone, tak że stanowią komplet wątpliwy, a mnie też nie bardzo są w tej chwili potrzebne (do pokoju Herbaczewskich na górze kupię może drugi piec ozdobny w Polepiu, a w salce długiej dam dwa piece z kafli kolorowej bez glansu).
Ale przyjemność mi sprawiło samo przejechanie się. Ciepło, pogoda piękna, wiosna – jak całus dziewczyny. Pora roku, którą nazwać można po prostu: rozkosz. Droga do Kroszt – ładna. Od Antonosza do Dydeliszek – gościńcem na Aleksandrówkę – jedzie się coraz w górę. Jest to wysokie przeciwległe wybrzeże tej kotliny olbrzymiej, której wybrzeża przeciwległego cyplem szczytowym są Bohdaniszki. Z Dydeliszek droga zawraca do Kroszt na lewo. Tu wszakże „hinterland” wybrzeża jest zupełnie inny niż po stronie bohdaniskiej. Po naszej stronie w kierunku na Rakiszki ów „hinterland” ma tendencję do przejścia w płaskowzgórze, przecięte gdzieniegdzie wąwozami głębokich ruczajów, miejscami zaś zaciągnięte bagniskiem. Tam natomiast pod Aleksandrówkę tworzy on pogmatwany system wysokich poszczególnych gór, dolinek, bagien, jezior, teren pocięty, skomplikowany, dziki, jakieś urwiska i chaos. „Góry na górach, a na tych górach góry i małe pagórki” – jak śpiewał Baranowski o Oniksztach. Widoki tam zamknięte, ciasne, kanciaste, zupełnie jak w górach; brak wielkich przestrzeni widoków podgórskich jak w Bohdaniszkach. A już droga – pożal się Boże. W Krosztach – dworze niegdyś bogatym śp. Józefata Tupalskiego – całe gniazdo jego krewniaków rozrodzonych i rozradzających się a podupadłych. Pałac murowany – chluba p. Józefata, owoc jego spóźnionych przygotowań matrymonialnych, także się już pochyla do upadku. Smutno tam jak w każdej ruinie, która trąci rozkładem.

22 kwietnia, rok 1930, wtorek
Dziś przeciągnęła nad Bohdaniszkami pierwsza wielka burza w tym roku. Wieczory są teraz śliczne – żaby grają koncerty, stawy rozbrzmiewają muzyką tęskną, jakby ich łona śpiewały jakieś hymny wiośnie i budzącemu się życiu. Z Gaju dobiega wciąż piękny głos gołębi dzikich, czasem kaczka się odezwie, pole we dnie brzmi pieśnią skowronka. Wróciła dziś od swojej matki i siostry Jadzia.

23 kwietnia, rok 1930, środa
Dzień św. Jerzego. Nowy rok gospodarski. Zarazem dzień, który u rolników uważany jest za święto koni. Wielu gospodarzy, szanujących tradycje i zwyczaje dawne, nie używa w tym dniu koni do pracy.

Pogoda wciąż cudowna. Po obiedzie przyjeżdżali do Bohdaniszek Hektorostwo Komorowscy. Po raz pierwszy od ich ślubu miałem okazję przyjrzeć się ich stosunkowi. Muszę też stwierdzić, że stosunek ten nie bardzo mi się świetny wydał. Mam wrażenie, że Hektor, flegmatyczny i stateczny, dobrze podtatusiały i tłuściutki, nie może nastarczyć się szalonemu temperamentowi Oleńki. Ona, choć już i na niej znać pewne rozlewanie się figury, która tyć zaczyna w ramionach i biuście, jest ruchliwa i skoczna jak żywe srebro. Nie można jej sobie wyobrazić inaczej jak w ruchu. W każdym towarzystwie lgnie ona od razu do młodzieży i łakoma jest na chłopców. Zaraz też jej Andrzej wpadł w oko i cały czas spędziła z Andrzejem i Helą, Hektora zaś ja zabawiałem. Hektora Oleńka traktuje z pewną pobłażliwą kokieterią, coś bardzo podobnie jak utrzymanka traktuje podtatusiałego adoratora albo jak rozpieszczona dziewczyna starego wujaszka, w którym jej wdzięki i młodość budzą jakieś wspomnienia przeszłości i spóźnione zachcianki flirtu. Podbiegnie czasem do Hektora, podsunie mu rączkę do pocałunku lub twarz do niego przytuli, psikusa mu wyrządzi, pogrozi jak wielkiemu dziecku, zakpi trochę. Nie jest to stosunek żony i towarzyszki, jeno kochanki kapryśnej i łaskawej, która uczucia w to nie wkłada, jeno bawi się starym i trzyma go na uwięzi, natomiast szczerze i gorąco gdzie indziej rozrywek szuka. Hektora to widocznie razi i męczy; nadrabia miną, próbuje powagi lub w żart obraca zabawne wybryki żonki, ale widocznie ciąży mu ta pozycja, która go pewną śmiesznością otacza. Nie umie on żony opanować, czuje pewną wobec niej niższość starości i ociężałości, pokrywa to wszelkimi pozorami, na jakie go stać, ale jest tym wszystkim „*dépaysé*”[27]. Nie obliczył się pan Hektor z siłami, biorąc taką żonkę.
O nadziei dziecka nic jeszcze u Hektorostwa nie słychać, co, zdaje się, jest powodem żalów Elizki, choć mnie się zdaje, że to wina nie Oleńki, lecz raczej Hektora. Jest tam na ogół w tym małżeństwie coś nieszczerego, coś, co idzie trochę jak koło źle smarowane. Nie wróżę stosunkowi temu wielkiej trwałości i szczęścia. Sztuczność dziś jest w nim widoczna, a im dalej, tym zapewne trudniejsza będzie do zniesienia, zwłaszcza dla Hektora, bo Oleńka, zdaje się, skrępowana się nie czuje i nie ona jest w tym stosunku ofiarą cierpiącą. Elizka, zdaje się, zachwycona tą synową nie jest.

24 kwietnia, rok 1930, czwartek
Zaniedbałem w Bohdaniszkach wszystkie moje bieżące prace zawodowe i jedyna rzecz poza dziennikiem, którą tu robię, to porządkowanie archiwum mojego – na razie klasyfikowanie i rejestrowanie listów moich. Robotę tę wykonywam w Bohdaniszkach już trzeci rok, ale materiał tej kolekcji listów jest bardzo obfity, liczy co najmniej kilka, jeżeli nie kilkanaście albo może nawet kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy listów. Rozdzielam całą masę listów na trzy kategorie: a. listy pisane do mnie osobiście, b. listy pisane do mego Ojca i c. listy rozmaitych osób do rozmaitych osób – przeważnie stanowiące korespondencję rodzinną. Ta trzecia kategoria ogarnia listy począwszy od pierwszej połowy wieku XVIII. Wchodzą tu między innymi najważniejsze serie następujące: a. listy pradziada Michała Römera do stryjecznego pradziada Antoniego Römera; b. listy babki Witalii Michałowej Römerowej, *secundo voto* Żukowskiej; c. listy do Mamy, d. listy do Elwiry. Zresztą jest mnóstwo innych. Każdą z trzech klas listów układam jak najściślej chronologicznie i następnie wszystkie w tym porządku wciągam do odpowiedniego rejestratora, gdzie każdy zostaje unieruchomiony. Robotę tę mam już mniej więcej na wykończeniu. Większość jest już rozlokowana w rejestratorach, inne – już ułożone – czekają w gromadkach swojej kolejki. Latem zapewne z listami już skończę, a wtedy pozostaną jeszcze luźne papiery, z których rozsegregowaniem będzie jeszcze trudniej.

[27] Zmieszany, zdeprymowany (fr.).

Wiosna wciąż prześliczna. Odbywam spacery, chodzę do Gaju.

25 kwietnia, rok 1930, piątek
Bawiąc pozawczoraj w Bohdaniszkach, Oleńka Hektorowa Komorowska cały niemal czas spędzała w towarzystwie Heli i Andrzeja Mieczkowskich. Męża, Hektora, zostawiała ona towarzystwu starszych, przeważnie mojemu, bo Elwira i Marynia krzątały się w gospodarstwie, sama zaś, pełna temperamentu i przedziwnej młodości (choć ma już blisko trzydziestki), instynktem garnęła się do najmłodszych. Hela i Andrzej Mieczkowscy – to jeszcze prawie dzieci. Hela ma lat 19, Andrzej – 17. Oleńka pierwszy raz je poznała, ale jest towarzysko tak łatwa i ekspansywna, że nie wahała się zwierzać Heli z najintymniejszych szczegółów swojej sytuacji w Kowaliszkach. Oczywiście, Hela nie omieszkała powtórzyć tego natychmiast matce i tak oto wszystkie żale i skargi Oleńki stały się nam wszystkim tegoż dnia wiadome. Skarżyła się więc Oleńka, że w Kowaliszkach nie doznaje serca i że gdyby nie Hektor, to by już uciekła, nie mogąc znieść tej sytuacji. W Kowaliszkach głodno, nudno, Elizka się wszystkim gorszy, Oleńki nie lubi, traktuje ją z góry. Poglądy i zwyczaje kowaliskie, tchnące archaizmem, rażą Oleńkę. Napatrzyła się ona biedy w Rosji bolszewickiej, ceni wartość pracy i samodzielności, tymczasem w Kowaliszkach to „nie uchodzi", bo ubliża godności hrabiowskiej, wymagającej, by się wszystko robiło wyłącznie przez sługi. Ale gołe hrabiostwo, kiedy się siedzi bez grosza i nie ma czym całego dworu sług opłacić i nawet co do ust włożyć, jest rozkoszą wątpliwej wartości. Hektor też nie jest taki, jakim by go Oleńka mieć pragnęła. Nieraz, gdy ona, stęskniona serdeczności i pieszczot w zimnym otoczeniu kowaliskim, podskoczy do Hektora, usiądzie mu na kolanach, pochwyci jego głowę w objęcia lub sama się doń przytuli, Hektor ją oblewa chłodem lub sarkastyczną uwagą: „Znowu lizać się zechciało!", po czym Oleńka postanawia się doń nie zbliżać. Nie lubi też Oleńka napuszonych wielkopańskich gości kowaliskich – szczególnie p. Przeździeckiej, która ją podobno ogląda od nóg do głowy wzrokiem sztywnej obserwacji i wyższości pańskiej. W Kownie pp. Przeździeccy, spotykając matkę Oleńki, nie raczą jej poznawać. Zdaje się, że w ogóle Oleńce jest w Kowaliszkach źle i że w tej atmosferze jej, lubiącej zabawy i życie miejskie z gwarem, rozrywkami i śmiechem młodości, trudno będzie wytrzymać. Ciężką jest też niełaska Elizki.

26 kwietnia, rok 1930, sobota
Dziś wyjeżdżamy z Jadzią z Bohdaniszek. Szkoda teraz wyjeżdżać na długo, kiedy się wiosna i lato rozpoczyna i nowy rok życia moim Bohdaniszkom przybywa: oto klomby powstają już po obu bokach domu; zaorana została ziemia pod te klomby, nasypano szlamu, wybranego przed dwoma laty z dna sadzawki; sadzawka u domu, powiększona w roku zeszłym, napełniła się wodą prawie po same brzegi – wygląda ślicznie; ogrodziłem moje „osiedle domowe" od mostu aż pod dawne gumnisko piękną srebrzystą siatką drucianą itd., itd. Drobiazgi, szczególiki, ale jakie to miłe. Ciągle coś powstaje, coś się naprzód posuwa. A mój sad owocowy – dosadzany i dorastający z roku na rok – niebawem się zazieleni i zakwitnie. Moje też drzewka dekoracyjne, których wciąż przybywa, są w pączkach W domu Kazimierz Jankowski będzie malował pozostałe okna, drzwi i podłogi, bielił sufit w pokoju herbowym... Niestety, długie trzy miesiące przejdą, zanim tu wrócę w lipcu. Ptactwo dojrzewa w jajach, świneczki rosną, krowa się ocieli. Instynkt gospodarski się w tych szczegółach kocha.
Na mój wyjazd chłód się zrobił po szeregu dni ciepłych i pięknych. Słonecznie było i dzisiaj, ale przenikliwie zimno na wietrze północno-wschodnim z dalekich przestrzeni rosyjsko-sybirskich.

27 kwietnia, rok 1930, niedziela
Wróciliśmy do Kowna. Po obiedzie poszedłem do kolegi Jana Fiszera, prawowieda, albowiem się dowiedziałem, że w czasie mojej nieobecności zgłaszał się do mnie z propozycją wynajęcia mi w swoim domu mieszkania. Zmiana mieszkania to teraz największa troska moja. Fiszer ma piękną starą kamienicę w samym sercu starego Kowna – przy Placu Ratuszowym. Miłe to i urocze miejsce, pełne charakteru i tradycji, malownicze i tchnące sentymentem. Niestety, mieszkanie, odremontowane kapitalnie przez Fiszera, ładne i wygodne, nie dla mnie: pięć pokoi – 600 litów miesięcznie! Nawet bez ogrzewania centralnego.
Nadmienię tu, że w ostatnich dniach mego pobytu w Bohdaniszkach otrzymałem list od Józi Pruszanowskiej, której ślub z Antonim Römerem z Ozieran, synem Michała z linii ciskadzkiej (Felicjanowicze) z Domeykówny, dochodzi do skutku i ma się odbyć już pozajutro (29 kwietnia). Biedna Józia, której to małżeństwo nie różami jest słane, bo prowadzi poprzez rozwód Antoniego Römera z jego pierwszą żoną Świdówną, zabiega oczywiście o zjednanie sobie opinii przychylnej w rodzinie. Bardzo ostro potępiła Józię jej matka, Kotunia Pruszanowska, również Elwira Mieczkowska, również oczywiście ze strony Antoniego Römera jego ciotka Hela Czarna Römerówna i stryj rodzony Leon Römer, którego żona jest siostrą rodzoną Antoniowej Römerowej-Świdówny, podobno też i sam ojciec Antoniego Michał Römer. Józia zwraca się do mnie, usprawiedliwia się i tłumaczy, prosi mię o względy i sympatię, zaznacza, że rodzice Antoniego Römera są temu związkowi przychylni (Elwira stanowczo zaprzecza temu, o ile o Michała chodzi), wmawia, że pierwsza żona Antoniego udzieliła zgody na rozwód ewangelicki i że będąc zabezpieczona materialnie przez męża, dobrze się czuje i bawi, ma powodzenie i „zapewne" niebawem sama znajdzie sposobność zawarcia nowego związku. Nadrabia miną Józia i usiłuje mię usposobić przychylnie.

28 kwietnia, rok 1930, poniedziałek
Akuratnie rozpocząłem wykłady poświąteczne na II semestrze. Słuchaczy zebrało się niedużo, ale bądź co bądź wykład się odbył.
Z nowinek kowieńskich, o których się dowiedziałem, zanotuję następujące:
Ogłoszona została wreszcie w „Vyriausybės Žinios" druga nowela poprawek do reformy agrarnej, zawierająca cały szereg poprawek detalicznych, mających na względzie złagodzenie lub usunięcie pewnych bardziej rażących krzywd, wypływających dla poszczególnych osób z ustawy zasadniczej o reformie.
Rząd rozpoczął akcję rugowania prof. Voldemarasa z mieszkania, które on zajmuje w gmachu Banku Litewskiego. Voldemaras wszakże, który w ogóle nie daje się łatwo usunąć z zajętej przez siebie placówki, nie jest skłonny do ustąpienia. Rząd zaproponował mu usunięcie się z mieszkania na św. Jerzy. W tym dniu cały szereg dziennikarzy krajowych i zagranicznych z aparatami fotograficznymi w ręku czatował na sensacyjną chwilę wynoszenia się Voldemarasa; nie doczekano się wszakże tej chwili, Voldemaras nie wyszedł. W liście, który Voldemaras wystosował do Tubelisa w odpowiedzi na propozycję opróżnienia mieszkania, Voldemaras oświadcza, że chętnie to uczyni, gdy mu rząd udzieli innego mieszkania, albowiem musi gdzieś przecie się lokować, sam zaś ze względu na stosowane doń przez rząd środki obserwacji nie jest w stanie znaleźć mieszkania; skoro bowiem, jak teraz, cały dziedziniec Banku Litewskiego i wszystkie wejścia i wyjścia z mieszkania Voldemarasa, jak również cały front ulicy, na który wychodzi jego mieszkanie, są obsadzone przez policję, szpiclów i agentów, którzy śledzą każdy ruch Voldemarasa i jego domowników i każdy jego kontakt ze światem, a dochodzi do tego, jak to już miało miejsce, że student, którego

przyłapano wychodzącego z mieszkania Voldemarasa, natychmiast otrzymał rozkaz wyjazdu z Kowna na czas trwania stanu wojennego, to w tych warunkach żaden właściciel domu nie zgodzi się wynająć Voldemarasowi mieszkania, nie chcąc oczywiście ściągnąć na swój dom całej plejady szpiclów i obserwatorów. Przeto za niemożność znalezienia mieszkania i wyniesienia się z gmachu Banku Litewskiego Voldemaras składa winę na rząd. Istotnie, jest on obserwowany systematycznie i drobiazgowo. Aby nieco zamaskować obserwację szpiclów na ulicy u domu Voldemarasa zarządzono wynajęcie budek sprzedaży ulicznej papierosów ajentom tajnym policji, którzy dokoła tego domu, niby handlarze papierosów, siedzą w budkach i obserwują domniemanego spiskowca.
Ciekawe jest, że Voldemaras, który prawie nigdy nie wychodzi z domu, złożył w czasie świąt wizytę... Toliušisowi, liderowi skrzydła umiarkowanego ludowców. Jest to pewien gest nawiązania kontaktu opozycyjnego z umiarkowaną lewicą.

29 kwietnia, rok 1930, wtorek
Oto co jeszcze z nowinek „*de publicis*" po powrocie ze świąt do Kowna słyszałem:
W sprawie reformy uniwersyteckiej, której inicjatywa oto już szczęśliwie jubileusz trzyletni obchodzić może (podniesiona została za rektoratu prof. Michała Biržiški i agitowana była w ciągu rektoratów mojego, prof. Jodelė i prof. Czapińskiego). Podobno projekt nowego statutu debatowany jest obecnie forsownie na posiedzeniach u Prezydenta Rzeczypospolitej z udziałem prezesa ministrów i ministra oświaty, ale bez udziału przedstawicieli władz akademickich, które zgłosiły swoje poprawki do projektu rządowego wraz z odpowiednim memoriałem (w semestrze jesiennym r. 1929). Mówią, że jednak cały szereg projektowanych przez senat akademicki poprawek został uchylony. Prezydent życzy sobie koniecznie, aby nowy statut uniwersytecki został ogłoszony i zyskał moc prawną przed rozpoczęciem nowego roku akademickiego, to znaczy w każdym razie przed wrześniem r.b.
W sprawie reformy Rady Stanu. Podobno w sferach rządowych omawiana jest ewentualność zreformowania Rady Stanu w kierunku utworzenia z niej Izby Wyższej parlamentu. Myśl taka była podnoszona przy układaniu projektu konstytucji r. 1928, ale wówczas sprzeciwił się temu prof. Voldemaras, który obawiał się przewagi Rady Stanu nad rządem. Obecnie znów ta myśl pono wypływa. Jaką w takim razie nadano by Radzie Stanu konstrukcję personalną – nie wiem. Taka reforma, nie mówiąc o dość niewyraźnej koncepcji jej kształtów, byłaby w każdym razie nowym aktem dyktatury, albowiem złamałaby prowizorium konstytucyjne z r. 1928.

30 kwietnia, rok 1930, środa
Zaaferowany jestem bardzo kwestią znalezienia mieszkania. Szuka mi go Żydek faktor, chodzi i szuka Jadzia, dowiaduje się Anielka, ja sam także idę oglądać, co się trafia, ale jakoś dotąd nic nie znajduję takiego, aby mię zadowalało. Albo bardzo drogo, albo jakieś braki. Nieznośna to kwestia.

1 maja, rok 1930, czwartek
Od paru lat święto robotnicze 1 maja przestało być obchodzone w Litwie. Rząd faktycznie skasował to święto, nakazując w tym dniu pracę normalną w urzędach i znosząc stosowanie w tym dniu przepisów świątecznych do handlu i wszelkiej innej manifestacji pracy. Samo przez się nie miałbym nic przeciw temu. Święto symboliczne 1 maja miało swoje piękno, gdy było ono pewnym hasłem i środkiem bojowym w walce proletariatu, ale – obłaskawione i przyswojone przez burżuazję po wojnie – straciło ono swoje piękno i swoje znaczenie symboliczne. U nas zostało ono obłaskawione przez

Chrześcijańską Demokrację jako święto solidarności, ale w istocie chodziło tylko o wytrącenie oręża z rąk ruchu robotniczego. Zupełnie logiczne jest skasowanie tego święta przez rządy społecznie prawicowe, jakie mamy; jest to akt zerwania z obłudą demagogiczną i zarazem akt, który przywraca temu świętu jego istotny charakter robotniczo-rewolucyjny. Ale zgoła nienormalnym jest to, że rząd dokonał skasowania tego święta majowego drogą po prostu niestosowania go, nie uchylając i nie modyfikując ustawowo ustawy o świętach, która ten dzień wyraźnie do świąt zalicza. Toteż ustawa nakazuje jedno, a praktyka administracyjna ustala drugie. Z tego względu – w myśl legalizmu – dzisiejszy mój wykład na uniwersytecie odwołałem, choć mi bardzo było żal dwóch godzin straconych.
Gazety jednak dzisiaj nie wyszły. Zecerzy strajkowali. Manifestacji, zdaje się, nie było żadnych. Esdecy nie mają sił po temu, komuniści zaś są przez forsowne areszty zbici z tropu.

2 maja, rok 1930, piątek
Zdaje się, że wreszcie sprawa mieszkania stanęła na dobrej drodze. Dotąd żadnego skutku nie było. Mieszkania co prawda się trafiały, ale o ile ze wszelkimi wygodami (wanną, klozetem, wodociągiem, zlewem i centralnym ogrzewaniem), a zwłaszcza jeszcze w centrum miasta, to strasznie drogo – po 500-650 litów miesięcznie za 4-5 pokojów, albo też, o ile nie drogo – po 250-400 litów za 3-4 pokoje z kuchnią – to albo miniaturowe komórki zamiast pokojów i gdzieś na Zielonej Górze (byłoby to: zamienił stryjek siekierkę na kijek), oczywiście bez żadnych dogodności, albo też w śródmieściu, ale braki: bez wygód, wejście przez kuchnię, pokoje małe lub ciemne, czasem częściowo salki na poddaszu itp. Byłem już chwilami zrozpaczony, nie wiedzący zgoła co począć. Aż oto niespodzianie trafiło się. Usłyszeliśmy o tym mieszkanku od dziada z VII fortu, który mleko przynosi, a obejrzała i wróciła zachwycona Jadzia. Dziś byłem u gospodarza i właściwie prawie że skończyłem, bo i on mnie chce, i ja z mieszkania rad jestem; ale ostatecznie mamy zakończyć w niedzielę. Mieszkanie to jest wprawdzie droższe niż sobie życzyłem i dość daleko, ale ma duże zalety. Mieści się ono w nowym domu murowanym przy Ukmergės plentas zaraz za ulicą Aukštaičių; do miasta w kierunku soboru droga stamtąd najbliższa albo ulicą Žemaičių lub ścieżką „Aušros takas” przez ogrody, albo zejściem „Kaukų gatvė”, albo przez ulicę „Parodos gatvė”. Zresztą można mieć bilet miesięczny na autobus Szosą Wiłkomierską. Dom należy do p. Homolickiego, Rosjanina, członka Rady Miejskiej. Mieszkanko wesołe, złożone z czterech ładnych pokoi z przedpokoikiem, korytarzykiem, kuchnią, pokoikiem dla służącej, wanną itd., z centralnym ogrzewaniem, kranem i zlewem – 400 litów miesięcznie. Dom położony ładnie, wychodzi frontem na szeroką arterię Szosy Wiłkomierskiej, tyłem zaś – na ogromną przestrzeń ogrodów. Oby Pan Bóg dał, aby nic nie przeszkodziło najęciu. Wszakże do zamieszkania będzie dopiero od czerwca.

3 maja, rok 1930, sobota
Wieczorem byłem ze Stefanem Römerem i Jadzią na operze „Carmen”. Jest to moja ulubiona opera.

4 maja, rok 1930, niedziela
Mieszkanie w domu p. Aleksandra Homolickiego przy Szosie Wiłkomierskiej pod nr 62 dziś już nająłem. Dałem p. Homolickiemu 200 litów zadatku (połowa opłaty miesięcznej). Mieszkanie ma być wolne na 15 czerwca. Zamierzam na przenoszenie się sprowadzić do pomocy z Bohdaniszek Kazimierza Jankowskiego.

Dziś po przerwie przeszło miesięcznej odbyło się posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, o której różnych uchwałach dzisiejszych chcę nieco pomówić. Przede wszystkim, zapadła uchwala o awansowaniu docenta Šalčiusa na profesora nadzwyczajnego. Šalčius wraz z Morawskim i Stankiewiczem od dawna czekał niecierpliwie tego awansu. Czekał on go tym bardziej, że należy wraz z Morawskim do tych członków profesury, których uzdolnienia i kwalifikacje formalne są przez opinię publiczną kwestionowane. Zdaje się bowiem, że cenzus wykształcenia uniwersyteckiego Šalčiusa nie jest zupełnie w porządku. Podobno ukończył on tylko prywatny tzw. „Uniwersytet im. Szaniawskiego" w Moskwie; był to zakład w rodzaju uniwersytetu popularnego, praw państwowych nie posiadał i swoim uczniom ich udzielać nie mógł; przyjmował słuchaczy bez kwalifikacji formalnych, z defektami; zresztą wykłady w nim były systematyczne. Oczywiście wszakże komisja promocyjna, której wydział był polecił rozważenie prac naukowych Šalčiusa pod względem zasług do promocji i do której ja też wraz z prof. Mačysem i Jurgutisem należę, kwestii cenzusu Šalčiusa nie rozpoznawała, bo musiała się liczyć z faktem już istniejącym jego przynależności do profesury. Komisja zbadała tylko jego prace, wykonane w charakterze docenta. Šalčius jest niewątpliwie wybitnym działaczem praktycznym ruchu kooperacyjnego. Jako teoretyk jest wszakże słaby i na miano uczonego nie zasługuje. Co prawda, jest bardzo ambitny i rzeczywiście robi maximum wysiłku, na jaki go stać, aby naukę ekonomii politycznej rozwijać i do produkcji naukowej się przyczyniać. Ma też pewne niewątpliwe zasługi na tym polu; w szczególności zręcznie tłumaczy dzieła ekonomistów obcych, których kilku już tłumaczeniami zasilił literaturę litewską, przy tym dużo się przyczynił do ustalenia terminologii naukowej litewskiej w dziedzinie ekonomii. Wszakże oryginalne jego prace stoją jeno na poziomie popularyzacji pojęć zdawkowych – nie więcej; brak mu horyzontów i metody naukowej. W referacie komisji, ułożonym przez Jurgutisa, uwydatnione zostały wszystkie zalety i braki na ogół płodnej działalności naukowej Šalčiusa – bez wniosków wszakże. Rada Wydziału promocję uchwaliła. Stało się zadość tęsknocie Šalčiusa do tytułu profesorskiego. Tym bardziej się gryzie zazdrością i żalem biedny Morawski, który wszakże jest zupełnie do niczego jako uczony.

5 maja, rok 1930, poniedziałek
Jeszcze o wczorajszym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Dwa wnioski zgłoszone zostały przeze mnie, dotyczące oba organizacji mojego nauczania. Jeden wniosek dotyczył powiększenia ilości moich godzin wykładowych na I i II semestrze z czterech do pięciu godzin tygodniowo. Chodzi o to, że teraz, przy czterech godzinach wykładowych, nie mogę nigdy zdążyć wyczerpać mojego kursu prawa konstytucyjnego; dwa ostatnie obszerne rozdziały – o wyborach politycznych i o publicznych prawach podmiotowych – co roku pozostają nietknięte, choć są to rozdziały ważne. Do programu wchodzą one i na egzaminach są wymagane, ale nigdy nie miałem możności w żywym wykładzie wyłożyć je moim uczniom. Przed czterema laty, gdy student Švelnikas stenografował moje wykłady, zaprosiłem go w końcu roku akademickiego do siebie i podyktowałem mu do stenogramu treść tych dwóch rozdziałów; z tego, co Švelnikas zastenografował, studenci się w zakresie tych dwóch rozdziałów gotują do egzaminu. W roku bieżącym, chcąc tę lukę uzupełnić, zacząłem w jesieni moje wykłady nie od samego początku kursu, jeno od biletu 17 (ogółem w dotychczasowym programie moim biletów jest 93, z których opuściłem pierwszych 16); i oto teraz spostrzegam się, że znowu nie dokończę tych dwóch nieszczęsnych rozdziałów ostatnich. Poprosiłem więc wydział o udzielenie mi piątej godziny wykładowej. Aby nie myślano, że chodzi mi o powiększeniu honorarium, zastrzegłem

się, że piąta godzina może być bezpłatna, ale Rada Wydziału zastrzeżenie to odrzuciła. I owszem. Akurat mi się to przyda, bo te 80 litów, które mi ta piąta godzina przyniesie, o tyle zmniejszą mi nadwyżkę komornego za nowe mieszkanie, które będzie droższe od obecnego.
Drugi mój wniosek dotyczył mojego seminarium prawa konstytucyjnego. Obecnie to seminarium, obowiązujące tylko prawników (nie-ekonomistów), miało miejsce na III i IV semestrze. Poprzedzało ono egzaminy, które były dopuszczalne tylko po odbyciu seminarium. Seminarium polega u mnie na analizowaniu tekstów konstytucyjnych rozmaitych państw. Przekonałem się, że o wiele lepsze są prace seminaryjne tych studentów, którzy jednocześnie się przygotowali do egzaminów i są zorientowani w całej teorii prawa konstytucyjnego. Toteż dla podniesienia wartości i korzyści tej pracy seminaryjnej zaprojektowałem przeniesienie jej sprzed egzaminów na po egzaminach. Oczywiście, przez to samo praca seminaryjna stanie się elementem samego egzaminu, oddziaływującym na ocenę i stopień dyplomowy. Rada Wydziału zaakceptowała mój wniosek. W związku z tą reformą seminarium, mającą podnieść jego wydajność i wartość nauczającą, seminarium moje będzie zastosowane nie do III i IV, lecz do V i VI semestru.

6 maja, rok 1930, wtorek
Na pozawczorajszym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego dotknięto też kwestii udziału w międzynarodowym Kongresie Prawa Administracyjnego, który ma się odbyć latem czy w jesieni r.b. w Madrycie. W zasadzie postanowiono wziąć udział, o ile Ministerium Spraw Zagranicznych udzieli na ten cel (na podróż delegata) środków. Postanowiono zwrócić się o to do Ministerium Spraw Zagranicznych. Na delegata tego wyznaczony zostałem ja. Zgodziłem się i, o ile będą środki, pojadę, jeżeli tylko to będzie w jesieni, nie latem. Miałbym okazję poznania Hiszpanii, której nie znam wcale. Ale to jeszcze bardzo niepewne.

7 maja, rok 1930, środa
Dzień „francuski" Z inicjatywy Towarzystwa Franko-Litewskiego zaproszony został do Kowna profesor Uniwersytetu Paryskiego Olivier Martin – historyk prawa. Towarzystwo Franko-Litewskie przed jakimiś laty 7 czy 8 założone było z inicjatywy obecnie już nieżyjącego wielkiego patrioty litewskiego – „staro-Litwina", jak on sam siebie nazywał, Jerzego Dowiata. Prezesem towarzystwa był burmistrz Jan Vileišis. Towarzystwo zaczęło się trochę ruszać, ale niebawem, dla braku żywszych ludzi w jego składzie, zamarło. Dopiero przed dwoma laty zostało ono wznowione za staraniem byłego zięcia Vileišisa, dr Jurgelionisa, i obecnego dyrektora „Elty" Turowskiego. Ci dwaj są też stałym „*spiritus movens*" towarzystwa, którego prezesem jest znowu Jan Vileišis. Towarzystwo obecne franko-litewskie, grupujące Litwinów dotkniętych kulturą francuską (takich jest coraz więcej) i działające w kontakcie z posłem francuskim w Kownie oraz poselstwem litewskim w Paryżu, jest bardzo ruchliwe. Urządza ono odczyty o Francji, jej sztuce, literaturze, kulturze, popularyzuje tu Francję, a we Francji – Litwę, sprowadza do Kowna prelegentów francuskich, utrzymuje stosunki z przyjaciółmi Litwy pośród Francuzów i tych przyjaciół nowych zdobywa, niedawno urządziło ciekawą wystawę grafiki francuskiej, w ogóle czyni dużo. Obecnie sprowadziło ono profesora Oliviera Martina, którego uczniem jest Turowski (Turowski ukończył wydział prawniczy w Paryżu). Do jutra.

8 maja, rok 1930, czwartek

Prof. Wydziału Prawniczego Uniwersytetu Paryskiego Olivier Martin, historyk prawa francuskiego, jest jeszcze względnie młody – liczy lat ± 40, mężczyzna wysoki, brunet z brodą, przystojny, twarz wyrazista i miła, człowiek bardzo grzeczny, wrażliwy, subtelny i dystyngowany. Na Wydziale Prawniczym wygłosił on wykład publiczny pozawczoraj wieczorem, we wtorek. Zebrało się na wykład sporo profesury naszej, studentów i publiczności – ogółem do 200 osób, tak że sala była pełna. Aż dziwne było, że tyle się znalazło słuchaczy, rozumiejących oczywiście po francusku. Zagaił nasz dziekan wydziału, prof. Leonas – mową powitalną litewską, przetłumaczoną na francuski przez Turowskiego. Tematem wykładu było: „Państwo a ustrój korporacyjny". Treść zbyt oryginalna nie była. Prof. Martin mówił rzeczy dobrze znane o negowaniu wszelkich zrzeszeń społecznych przez Rewolucję Francuską, zanalizował znaną ustawę „loi Chapelier", mówił o stopniowym dojrzewaniu we Francji w w. XIX idei związków społecznych, o ustawie o syndykatach zawodowych z r. 1884, o ustawie Waldeck-Rousseau z r. 1901 o stowarzyszeniach, w szczególności zaś o zrzeszeniach urzędników i ruchu syndykalistycznym francuskim, wreszcie dotknął problemu stosunku syndykalizmu do państwa, zajmując stanowisko demokratyczne i przestrzegając przed popadnięciem państwa pod wpływy stowarzyszeń, które powinny być przez państwo uwzględniane, ale też kontrolowane i utrzymywane w granicach posłuszeństwa ścisłego i funkcji zawodowych, aby państwo nie zboczyło bądź w kierunku faszyzmu włoskiego, bądź sowietyzmu rosyjskiego. Zakończenie nie wyszło wprawdzie poza błędne koło tez demokratycznych Esmeina i klasyków demokracji, a treść obrazu ewolucji idei zrzeszeniowej we Francji była bardzo szablonowa, ale za to technika prelekcji i ścisłość kategoryczna wykładu były znakomite. Nazajutrz, to znaczy wczoraj, grono osób było *ex re* prof. Oliviera Martina zaproszone na godz. pierwszą na śniadanie w poselstwie francuskim (w domu Józefa Landsberga przy Kalnų gatvė). Towarzystwo na śniadaniu było ściśle męskie. Obecni byli: poseł francuski p. Ristalhubert (rodem Alzatczyk), z profesury Wydziału Prawniczego naszego sekretarz wydziału prof. Wacław Biržiška, Janulaitis i ja, z uniwersytetu – rektor prof. Czapiński, prorektor prof. Česnys, prof. Jonynas, prof. Tamošaitis Izydor, wreszcie z ramienia Towarzystwa Franko-Litewskiego – prezes tegoż Jan Vileišis, dr Jurgelionis i Turowski.

9 maja, rok 1930, piątek

Jeszcze o prof. Olivierze Martinie. Jako najlepszy znawca języka francuskiego na naszym Wydziale Prawniczym – byłem z góry przygotowany na to, że wypadnie wystąpić z przemówieniem francuskim na uroczystościach przyjęcia prof. Oliviera Martina. Dlatego też zawczasu ułożyłem sobie tę mowę i wyuczyłem się jej od niedzieli do środy. Oto jej tekst dosłowny: „*Monsieur le Professeur et Cher Maître! Monsieur le Ministre de France! Monsieur le Recteur Magnifique! Monsieur le Doyen! Messieurs et Chers Collègues! Au nom de mes Collègues de la Faculté de Droit de l'Université de Lithuanie je me permet de saluer la présence à Kaunas parmi nous de notre cher éminent hôte et de lui exprimer nos sentiments non seulement distingués et respectueux pour le grand nom de Maître, qui a bien voulu nous faire l'honneur de venir nous voir et nous adresser sa parole magistrale, et pour la science universitaire française, qu'il représente, et enfin pour sa grande patrie, pour cette France immortelle, fille aînée de toute notre civilisation occidentale, sœur aînée des peuples d'Europe, que surtout nous admirons, nous – peuples affranchis et recommenceants notre carrière internationale, peuples ayants une tâche difficile à accomplir et auxquels il manque bien de moyens et de ressources. Et c'est surtout la science de droit, que nous représentons en ce pays, qui est tributaire de la grande tâche scientifique et pratique, accomplie pour la France, et*

des efforts magnifique du génie français, qui surtout depuis la Grande Révolution Française, mais comme jadis aussi au temps de l'ancienne Monarchie, a mis la France et ses institutions avec la science française de droit précise et claire – à la tête du mouvement et de formes modernes de l'organisation des peuples. Le droit français et la science française au service de droit – voilà une arme puissante de sauvegarde des peuples et un outil précíeux de perfectionnement social, qui nous mêne vers une Europe plus pacifique, plus juste et mieux organisée. Nous, peuple petit, souffrant souvent de la violence de nos voisins plus forts et agressifs, comme en souffre la Lithuanie, privée de ce fait de sa capitale historique, - nous acclamons avec enthouiasme la France des Droits de l'Homme et du Citoyen, la France du principe national, la France de droit, de justice et de la science.
Nous saluons la science française, nous l'admirons et nous l'aimons. La clarté des conceptions françaises de droit, la logique, la précision, les idées simples, jointes aux vues généreuses de justice, d'humanité, de liberté et de sociabilité, tout le contenu merveilleux de l'œuvre français en droit, reflètant l'esprit de cette belle race bien-aimée et chère aux peuples civilisés, - c'est le don généreux de la France à toute l'Humanité. Nous, Lithuaniens, nous sommes bien attachés à l'œuvre du génie français en droit. Nous sommes un des pays, qui ont conservés et qui pratiquent encore le Code Civil Napoléon, nous étudions les livres français de droit, nous sommes toujours au courant des idées, que répand la science françáise de droit. Le noms d'Esmain, de Léon Duguit, d'Haurion et d'autres en droit public constitutionnel et administratif, comme les noms de Planiol, de Girard, comme celui d'Olivier Martin et tant d'autres – nous sont bien familiers et chers. Il y a parmi nous des disciples directs de ces maîtres français et aujourd'hui encore, lorsque nous chosissons les meilleurs de nos étudiants pour les préparer à la carrière scientifique – nous les envoyons en premier lieu en France. Voilà donc l'état d'esprit,que Vous trouvez, cher Maître, chez nous et voilà les sentiments, qui nous animent à l'égard de la science française. Vous concevez donc la joie, que nous ressentons en Vous voyant parmi nous. Nous sommes peut-être, comme race du nord, peu expansifs; mais croyez-nous – nos sentiments sont vrais, sont sincères, sont profonds"[28].

[28] Panie Profesorze i Drogi Mistrzu! Panie Ministrze! Magnificencjo Rektorze! Panie Dziekanie! Panowie i Drodzy Koledzy! W imieniu moich kolegów z Wydziału Prawniczego Uniwersytetu Litewskiego pozwalam sobie powitać obecnego tu w Kownie pośród nas naszego wybitnego gościa i złożyć mu wyrazy uznania i szacunku, jak również serdeczności dla wielkiego imienia Mistrza, który zechciał zaszczycić nas swoim przybyciem i skierować do nas swe mistrzowskie słowo, dla nauki akademickiej francuskiej, którą on reprezentuje, wreszcie dla jego wielkiej ojczyzny, tej Francji nieśmiertelnej, córy starszej całej naszej cywilizacji zachodniej, starszej siostry narodów Europy, którą szczególnie podziwiamy, my – narody wyzwolone i wznawiające naszą karierę międzynarodową, narody, podejmujące wielki trud do spełnienia, a którym brak sposobów i zasobów. To nade wszystko nauka prawa, którą reprezentujemy w tym kraju – danina wielkiego trudu naukowego i praktycznego, podjętego przez Francję oraz wybitnego wysiłku geniuszu francuskiego, która zwłaszcza po Wielkiej Rewolucji Francuskiej, jak też wcześniej w okresie dawnej monarchii uplasowała Francję i jej instytucje wraz z francuską nauką prawa ścisłego i przejrzystego – na czele ruchu i współczesnych form organizacji narodów. Prawo francuskie i nauka francuska w służbie prawa – oto potężny oręż obrony narodów i nieocenione narzędzie doskonalenia społecznego, które prowadzą nas ku Europie bardziej pokojowej, bardziej sprawiedliwej i lepiej zorganizowanej. My, naród mały, często cierpiący od przemocy naszych bardziej silnych i agresywnych sąsiadów, jak cierpi Litwa, pozbawiona przez to swej historycznej stolicy, entuzjastycznie przyklaskujemy Francji praw człowieka i obywatela, Francji pryncypiów narodowych, Francji prawa, sprawiedliwości i nauki.
Wiwatujemy nauce francuskiej, podziwiamy ją i kochamy. Przejrzystość koncepcji prawa francuskiego, jego logika, dokładność, prostota myśli, połączone ze szlachetnymi względami sprawiedliwości, humanitaryzmu, wolności i solidarności społecznej, cała cudowna treść francuskiego dzieła w zakresie prawa, będącego odbiciem ducha tej pięknej rasy, umiłowanej i cenionej przez narody ucywilizowane – to szlachetny dar Francji dla całej ludzkości. My, Litwini, jesteśmy bardzo przywiązani do dzieła geniuszu francuskiego w zakresie prawa. Jesteśmy jednym z krajów, które zachowały i stosują wciąż Kodeks Cywilny Napoleona, studiujemy francuską literaturę prawniczą, jesteśmy na bieżąco z nowymi ideami we francuskiej nauce prawa. Nazwiska Esmaina, Leona Duguita, Hauriona oraz innych uczonych

10 maja, rok 1930, sobota
I jeszcze o wizycie prof. Oliviera Martina w Kownie. Właściwie profesor był gościem Towarzystwa Franko-Litewskiego, które go zaprosiło i podejmowało. Ale przy tej okazji i Wydział Prawniczy odegrał rolę gospodarza. Prof. Martin wygłosił we wtorek wykład publiczny na Wydziale Prawniczym, we środę zaś – w Towarzystwie Franko-Litewskim. Na śniadaniu we środę w poselstwie francuskim zaproszeni byli przedstawiciele tak wydziału, jak towarzystwa. Na śniadaniu tym przemówień nie było. Natomiast tegoż dnia wieczorem Wydział Prawniczy przyjmował prof. Oliviera Martina obiadem w gabinecie „Trijų Kunigaikščių" w Klubie Litewskim. W obiedzie tym prócz prof. Martina brali udział: poseł francuski, rektor prof. Czapiński, prorektor prof. Česnys, burmistrz Vileišis, dyrektor „Elty" Turowski i profesura Wydziału Prawniczego z dziekanem Leonasem na czele. Obiad zeszedł bardzo przyjemnie, prof. Olivier Martin jest człowiekiem bardzo układnym i towarzysko sympatycznym, bardzo kulturalnym i miękkim, jak potrafi być Francuz. Przy deserze rozpoczęły się mowy. Przemawiał pierwszy prof. Leonas po litewsku (mowę jego tłumaczył na francuski Turowski), potem ja – po francusku, następnie krótko spróbował przemawiać po francusku rektor, kalecząc wprawdzie mowę, ale zyskując aprobatę ogólną, po czym odpowiadał prof. Olivier Martin i wreszcie poseł po francusku. Zdaje się, że nasz gość był pod miłym wrażeniem. Będziemy w nim mieli przyjaciela w Paryżu. Dla naszych stosunków taka wizyta jest bardzo pożądana. Dotąd mieliśmy kontakt li tylko z sąsiadami z Rygi, Dorpatu, Helsingforsu i Królewca.

11 maja, rok 1930, niedziela
Od kilku dni wielka nowina w świecie akademickim. Projekt nowego statutu uniwersyteckiego, od lat już blisko czterech to zasypiający, to znów powstający jak widmo i już-już zapowiadany do realizacji – płód Voldemarasa – zdawał się w ostatnich czasach na dobre zadrzemać. Ostatnia faza komedii projektowej odbyła się w semestrze jesiennym r. 1929. Przed samym swoim ustąpieniem Voldemaras był zaprosił do siebie senat akademicki i po raz pierwszy potraktował sprawę po ludzku, wyrażając chęć nie podyktowania reformy uniwersytetowi, lecz porozumienia się z uniwersytetem co do reformy. Niebawem Voldemaras upadł. Senat akademicki tymczasem zabrał się do przejrzenia rządowego projektu statutu i przez komisję specjalną opracował swoje poprawki i wnioski do reformy, które też wraz z obszernym memoriałem złożył do rządu. Mówiono wtedy, że w lutym Prezydent Rzeczypospolitej z udziałem przedstawicieli rządu i przedstawicieli władz akademickich ma w szeregu posiedzeń przejrzeć projekt w związku z wnioskami i poprawkami uniwersytetu. Jednak posiedzeń takich nie było i cała rzecz ucichła. Zdawało się, że sprawa śpi. Coś wprawdzie słychać było w ostatnich czasach głucho, że u Prezydenta toczą się jakieś narady nad projektem reformy, ale inni zaprzeczali temu, a władze uniwersyteckie nie były wzywane. W czasie świąt Wielkiejnocy, gdy rektor Czapiński był z wizytą u Prezydenta Rzeczypospolitej, Prezydent na przyjęciu wspomniał mu, że reforma uniwersytecka rychło zostanie wykonana. Rektor nie miał sposobności dłużej o tym z Prezydentem mówić, ale zwrócił się niebawem z zapytaniem do prezesa ministrów Tubelisa, który

---

w zakresie prawa konstytucyjnego i administracyjnego, jak też Planiola, Girarda, jak też Oliviera Martina i tylu innych – są nam bliskie i drogie. Mamy pośród nas bezpośrednich uczniów tych mistrzów francuskich i do dzisiaj wciąż, kiedy wybieramy najlepszych naszych studentów, by przygotować ich do kariery naukowej – wysyłamy ich przede wszystkim do Francji. W takim oto stanie ducha, drogi Mistrzu, zastaje pan nas tutaj i takie uczucia żywimy względem nauki francuskiej. Pojmuje więc Pan tę radość, jaką odczuwamy goszcząc Pana pośród nas. Jesteśmy być może, jako rasa Północy, mało wylewni; ale proszę wierzyć – nasze uczucia są prawdziwe, są szczere i są głębokie.

mu odrzekł uspokajająco, że sam jeszcze projektu reformy nie studiował. I znowu zdawało się, że sprawa poszła w odwłokę. Aliści oto na początku ubiegłego tygodnia rektor otrzymał z Ministerium Oświaty poprawiony tekst projektu statutu z zapowiedzią, że projekt ten w najbliższym czasie – jeszcze w maju – zostanie ogłoszony jako ustawa obowiązująca. Jak mi mówił rektor, który wtedy jeno pobieżnie był przejrzał nowy zreformowany projekt, znaczna część zgłoszonych przez uniwersytet w jesieni poprawek, ale nie wszystkie, została uwzględniona. Samorząd uniwersytetu został w głównych rysach zachowany, jeno zmodyfikowany w kierunku przeniesienia głównego centrum decyzji z wydziałów na senat; wszakże zatwierdzenie rektora i profesorów przez władze państwowe, jak to chciał Voldemaras, zostało zachowane; zachowana też została instytucja docentów, a instytucja prywatnej docentury, rozwijana przez Voldemarasa, upadła. Rektorat zreformowany na trzyletni. Zmniejszona ilość katedr, zwłaszcza dotkliwie na wydziale naszym, skasowane katedry równoległe, kapitalnie obcięty Wydział Teologii.

12 maja, rok 1930, poniedziałek
Jak słychać, senat akademicki ma jeszcze odbyć posiedzenie z rządem dla zareklamowania pewnych zmian i poprawek do projektu statutu uniwersyteckiego. Zapewne niewiele już wskóra. Zdaje się, że inne wydziały – w szczególności Matematyczno-Przyrodniczy, Humanistyczny, bodaj też Techniczny i Medyczny – nie mają powodów do uskarżania się zbytniego na projekt statutu. Wydział Teologii (katolickiej) więcej został dotknięty i obcięty, ale zdaje się, że w drodze rokowań z episkopatem doszło tam w tym względzie do porozumienia i kompensat (w szczególności, zdaje się, trzech profesorów tego wydziału – zapewne z sekcji filozoficznej – zostaje wraz z katedrami przeniesionych do Humanistycznego). Bodajże za najdotkliwszy uważany jest cios wymierzony Wydziałowi Prawniczemu. Krucho będzie w ramach nowego statutu sekcji ekonomicznej naszego wydziału. Co zaś do sekcji ściśle prawniczej, to redukcja katedr w związku z przewidzianymi etatami personelu wykładowego usuwa niektóre osoby poza nawias. W szczególności w tym względzie dotkniętych jest trzech, dla których niepodobna znaleźć miejsca: są to docent Kazimierz Szołkowski na prawie cywilnym, docent Tumėnas, który wykłada prawo konstytucyjne litewskie i sam dziekan naszego wydziału, jeden z organizatorów tegoż – prof. Leonas. Dwóch pierwszych niewielka szkoda. Docent Szołkowski mieszka w Szawlach, zajęty jest adwokaturą, na pracę naukową nie ma czasu, ani ochoty, pracę akademicką zaniedbuje, wykłady opuszcza, wykłada marnie, nie pisze i nie drukuje nic zgoła. Tumėnas – to miernota, choć straszliwie zarozumiała; zwłaszcza od czasów, gdy był ministrem, uważa się za jakiegoś półboga nauki i wszystkich innych traktuje pobłażliwie jako niewiele wartych. Sam zaś jest zupełnie nieprodukcyjny, nie napisał i nie wydrukował przez osiem lat profesury ani jednego wiersza z dziedziny nauki. Tkwi on w prawie konstytucyjnym litewskim, które ja bym z o wiele większą korzyścią i z większą energią twórczą dobrał do mego kursu ogólnego teorii prawa konstytucyjnego, podczas gdy ten zawalidroga, jałowy i niezdarny, ani twórczy, ani konstrukcyjny, jeno skamieniały w pewnych koncepcjach i formułkach prawniczych, którymi kiedyś ujął konstytucję litewską, siedzi i śmierdzi na katedrze. Tumėnas jest autorem pierwszej konstytucji litewskiej z r. 1922, jednej z najsłabszych powojennych. Był on prezesem komisji konstytucyjnej w Sejmie Ustawodawczym i projekt tej konstytucji sam ułożył. Układ tej konstytucji jest mocno wzorowany na konstytucji polskiej z d. 17.III.1921 z pewnymi odchyleniami czasem dodatnimi, czasem ujemnymi. Tumėnas jest tak zakochany w swoim dziele konstytucyjnym, tak przekonany święcie o doskonałości tej konstytucji Tumėnasowego wyroku, że nic mu tego z głowy wybić nie jest w stanie.

Ale najlepsze jest to, że będąc jednym z liderów Chrześcijańskiej Demokracji i przez to należąc do opozycji wobec rządów obecnych, z którymi zresztą Chrześcijańska Demokracja dokonała przewrotu do spółki, nie uznaje on ogłoszonej przez rząd poprzewrotowy i działającej obecnie konstytucji z r. 1928. Nie żeby ją krytykował, ale w ogóle nie chce nic o jej istnieniu wiedzieć i po prostu ją ignoruje.

13 maja, rok 1930, wtorek
Jeżeli usunięcie docenta Szołkowskiego na skutek przepisów nowego statutu u nikogo żadnych skrupułów nie budzi, jeżeli usunięcie ewentualne Tumėnasa będzie, zdaniem moim, usunięciem li tylko trutnia, to rzecz ma się zgoła inaczej w stosunku do prof. Leonasa, dziekana Wydziału Prawniczego. Leonas może być komuś mniej lub więcej przyjemny; ma on swoje fantazje, ma swoje sympatie i antypatie, jest złośnik; nie uważam go za siłę pierwszorzędną naukową, zresztą jest już stary, ma lat 65 i trudno wymagać, aby w tym wieku, rozpocząwszy zawód profesorski przed kilku laty i uprawiając poza tym zawód adwokata, mającego rozległą praktykę, mógł zabłysnąć gwiazdą wielkiego kalibru. Ale ma zasługi niewątpliwe i wybitne. Jest jednym z głównych organizatorów Wydziału Prawniczego, jego dziekanem od samego początku; obowiązki dziekana i profesora spełnia sumiennie i starannie; ma poczucie dyscypliny, które stosuje do innych, ale i do siebie. Ma ambicję wielką, która mu nie pozwala na drzemkę bezczynną lub na pantoflowe traktowanie nauki i zawodu profesorskiego jak, na przykład, Kriščiukaitis i Mačys, jego rówieśnicy na wydziale, którzy są tylko rzemieślnikami wykładowymi i na nic więcej się nie kuszą. Leonas robi co może i na ile go stać. Ogłosił drukiem dwie książki – encyklopedię i historię filozofii, choć nie kto wie jakie, ale zresztą niezłe. W każdym razie, kocha naukę i dba o poziom wydziału. W przeszłości był zawsze popularyzatorem wiedzy prawniczej w przedwojennej literaturze narodowej odradzającej się Litwy. Pozbawienie go katedry i postawienie go w warunki, uniemożliwiające mu pozostanie w wydziale, zaiste niesprawiedliwe względem niego, a mające wszelkie pozory umyślnego wyrugowania go z uniwersytetu, czyni ujemne wrażenie tak na całą profesurę, jak na opinię publiczną i na młodzież, gdzie Leonas ma uznanie i szacunek głęboki i szczery. Jest to jakiś akt drażniący, skądinąd nawet ze stanowiska czynników rządowych, niechętnych Leonasowi, niepotrzebny, bo jest to człowiek stary, który i bez tego długo już na stanowisku w profesurze nie pozostanie, więc ostatecznie wiele zaszkodzić nie może, a usunięcie jego wywoła krzyk i manifestacje sympatii właśnie na jego rzecz.

14 maja, rok 1930, środa
I znowu, jak już od lat 3-4, wszystko się obraca do góry nogami. Znowu, zdaje się, reforma uniwersytecka po krótkim rwetesie, poszła spać. Senat uniwersytecki, zaalarmowany, zwrócił się do rządu, aby odbyć ogólne posiedzenie, na którym senat wyłuszczyłby jeszcze swoje poglądy i dezyderaty do projektu ostatecznego. Okazało się dopiero, że Gabinet Ministrów jest zajęty sprawami pilniejszymi i jeszcze zgoła nie zamierza rozpoznawać projektu statutu uniwersyteckiego. Sprawa więc na ostrzu noża jeszcze nie stanęła i oczywiście w najbliższym czasie jeszcze załatwiona nie będzie.. Z pewnością upłynie jeszcze cały maj i w początku czerwca odbędą się po staremu wybory nowego rektora rocznego, a kto wie, czy się jeszcze do jesieni coś rozwidni, a pod nowym rektoratem Česnysa znów co jakiś czas alarmy powstawać będą, jak już powstawały za rektoratów Michała Biržiški, mojego, Jodeli i Czapińskiego. Pogłoski szepcą, że projektu statutu zażądała jeszcze do przejrzenia kuria arcybiskupia, a to jest czynnik, z którym się rząd mocno liczy.

Głupie to jest i szkodliwe takie prowadzenie „reformy” przez cztery lata bez skutku – alarmami, wielkim hałasem, zastraszaniem i rozjątrzaniem co czas jakiś. Już ostatecznie można było wszystko robić cicho, bez krzyku, spokojnie, po prostu kilku poprawkami detalicznymi. Nie – idzie się drogą krzyku wielkiego, „Reformy” (przez wielkie „R”), atakowania uniwersytetu, kampanii prasowej, skandalu. I wreszcie za każdym razem – nic z tego. Podobne to jest do owej wielkiej pustej beczki z bajki, którą się co jakiś czas obwozi z wielką pompą i hałasem piekielnym po bruku: beczka skacze po bruku, trzeszczy, stuka, wszystkich uwagę zwraca, ludzie biegną do okien, patrzą, dziwią się wielkiemu hałasowi, domyślają się czegoś strasznego, plotkują i, jak zawsze, przesadzają, nerwują się i drażnią, oburzają, irytują, czekają któż wie czego, z nienawiścią spoglądają na beczkę, która ma taką własność drażnienia ich jak czerwona płachta na byka – beczka przejeżdża i znów cicho. Po jakimś czasie sensacja się ponawia. I po co to? Kto na tym zyskuje? Czy uniwersytet, czy może rząd?!...

15 maja, rok 1930, czwartek
Rocznica zwołania Sejmu Ustawodawczego przed laty dziesięciu. Rocznica ta obchodzona była w Litwie jako święto narodowe (państwowe). Nawet – ze względu na porę roku – samo Święto Niepodległości bywało przenoszone z d. 16 lutego na d. 15 maja jako odpowiedniejszy do pochodów i wszelkiego rodzaju manifestacji ulicznych; pewną zaś podstawę do takiego przenoszenia dawała teza demokratyczna, podług której istotnym momentem powstania państwa jest nie jego proklamowanie przez jakąś garstkę indywiduów, jeno usankcjonowanie dzieła prowizorycznego inicjatorów przez legalnie wyrażoną „wolę ludu” bezpośrednio lub w osobie demokratycznie wybranych przedstawicieli. I nawet za rządów narodowców po przewrocie z r. 1926 dzień 15 maja bywał obchodzony jako święto narodowe, a w szczególności w tym dniu odbywała się zwyczajnie uroczysta parada wojskowa. Ale w ideologii narodowców, skłaniających się do zasady rządów osobistych, w szczególności zaś ześrodkowanych w osobie Antoniego Smetony, Sejm jest instytucją źle widzianą, zaś Sejm Ustawodawczy jest uważany za rywala rządów osobistych, który wyrwał władzę z rąk wodzów właściwych. Gdy przeto rocznica tegoroczna stała się rocznicą dziesiątą, jubileuszową i święto dzisiejsze nabierało znaczenia symbolu, jednoczącego całą opozycję od Chrześcijańskiej Demokracji do Socjalnej Demokracji przeciwko zasadzie rządów obecnych, władze to niemiłe dla nich święto odwołały w ten sam sposób, w jaki skasowały święto robotnicze 1 maja. Urzędy wszystkie pracowały, magazyny były otwarte, żadne dekorowania lub odznaki zewnętrzne święta nie były dopuszczone. Nawet projektowane przez opozycję wielkie zgromadzenie publiczne w teatrze ku uczczeniu rocznicy Sejmu nie doszło do skutku, bo władze, słusznie wyczuwając w nim moment manifestacyjny potępienia *status quo*, wolały tych demonstracji uniknąć. Jedyna uroczystość, w której się jubileusz dzisiejszy ześrodkował, było zebranie publiczne na uniwersytecie. Tu bowiem gospodarzem lokalu i panem autonomicznym sytuacji jest rektor; on udziela lub odmawia pozwolenia na zebranie publiczne uniwersytetu i młodzieży akademickiej; władze państwowe i policja bez wiedzy i woli rektora tu nie rządzą. Rektor obecny, prof. Czapiński, sam był członkiem Sejmu Ustawodawczego i jest członkiem partii SD, zresztą członkiem bardzo umiarkowanym, wielce różowym, najzupełniej salonowym i umiejącym zachować takt kurtuazyjny wobec obecnego rządu, co zresztą nie przeszkadza temu, że będąc ministrem w gabinecie Ślażewicza w r. 1926 był jednym z najkonsekwentniejszych lewicowców w gabinecie i właśnie tym, który wespół z Pożełą zarządził tłumienie manifestacji antyrządowej młodzieży narodowej i klerykalnej przez policję, co sprowokowało właśnie spisek przewrotowy.

16 maja, rok 1930, piątek
Miałem egzaminy, ogółem sześciu studentów, przeważnie ekonomistów, w tej liczbie dwie studentki – rzadkość; były to dwie panny z Szawel, studentki IV semestru sekcji ekonomicznej – Helena Pietkiewiczówna i Marianna Lavruškaitė, dobre uczennice. Czterej inni to byli studenci Natan Šimberg (prawnik VIII semestru), Jan Slavėnas (prawnik VI semestru), Kriščiunas i Paweł Graublys (ekonomiści IV semestru). Troje zdało bardzo dobrze (Slavėnas, Šimberg i Pietkiewiczówna), troje – dobrze.
Jeszcze o wczorajszym obchodzie jubileuszowej rocznicy 10-letniej Sejmu Ustawodawczego na uniwersytecie. Obchód urządzał nie uniwersytet jako taki, jeno dwa studenckie stowarzyszenia akademickie – „Varpas" (ludowcy) i „Žaizdras" (esdecy). Oni dali firmę i rozesłali zaproszenia. Zebrała się publiczności pełna sala, nie starczyło miejsca. Dużo było akademików, ale przeważała publiczność miejska. Profesury było nie nazbyt dużo. Gdym przyszedł, od razu w „profesorium", gdzie się zbierała publiczność honorowa, spostrzegłem, że w tym obchodzie reprezentowana jest tylko lewica – ludowcy i esdecy. Z Chrześcijańskiej Demokracji firmowej nie było nikogo, z wyjątkiem jedynego Tumėnasa, który zresztą mógł być obecny nie z tytułu przynależności partyjnej i swego tytułu byłego członka Sejmu Ustawodawczego, ale z tytułu członka profesury. Nieobecność Chrześcijańskiej Demokracji tłumaczyłem sobie na razie tym, że organizatorami obchodu są tylko stowarzyszenia lewicowe bez kontaktu z chrześcijańsko-demokratycznymi „ateitininkami", ale się dowiedziałem później, że Chrześcijańska Demokracja odmówiła udziału, a w kołach ludowców powiadają, że odmowa ta jest skutkiem jakichś rokowań o kompromis, toczących się między rządem czy narodowcami a Chrześcijańską Demokracją. Ludowcy oburzają się na chrześcijańskich demokratów za to cofnięcie się od solidarnego zamanifestowania zasad demokratycznych, wiążących się z ideą Sejmu Ustawodawczego. Naiwni i niepoprawni! Piękni mi „wspólnicy" i „towarzysze" w „demokracji", którzy potem sami w grudniu r. 1926 wespół z narodowcami uczestniczyli w zamachu stanu, obalającym dzieło konstytucyjne tegoż Sejmu, skoro tylko władza im się z rąk wymknęła, a potem wróciła do lamentów nad demokracją i konstytucją, gdy narodowcy ich z władzy poprzewrotowej wykiwali. Piękni mi rzecznicy demokracji! Narodowców szanuję, bo ci o demokracji nie deklamują, ale chrześcijańscy „demokraci" – ludzie frazesu i czynu wręcz sobie przeciwnych... Czyż aż takich wspólników pragnie mieć do swej walki lewica „demokratyczna"!? Pożal się, Boże, co za ubóstwo myśli i metod „postępu"! Do prezydium zgromadzenia powołano rektora Czapińskiego i szereg dostojnych byłych posłów na Sejm Ustawodawczy z lewicy – dr Griniusa oczywiście, p. Felicję Bortkiewiczową, Stefana Kairysa, prof. Purėnasa, wreszcie prof. Leonasa, który wprawdzie w żadnym sejmie nie był, ale stał się w ostatnich czasach z nienawiści do rządu obecnego i jego ludzi rycerzem i szermierzem zaprzysiężonym „pryncypiów" demokracji i parlamentaryzmu, wprawdzie bardzo zdawkowo przezeń interpretowanych, ale za to z talmudyczną ścisłością dogmatu traktowanych. On i Grinius – to są dziś dwie mumie szablonu demokratyczno-parlamentarnego, pojmowanego na sposób liberalno-rosyjski z okresu przedwojennego.
Posiedzenie zagaił rektor, potem przemawiał dr Grinius i Kairys, owacyjnie oklaskiwani. Dalej miał mieć mowę, oczywiście „akademicką", Leonas, której już nie słuchałem.

17 maja, rok 1930, sobota
Arbitrowie prof. Wiktor Biržiška i docent Włodzimierz Stankiewicz w sprawie honorowej między generałem Dowkontem a prywatdocentem na Wydziale

Przyrodniczo-Matematycznym dr Kwaszninem-Samarinem powołali mię na superarbitra. Generał Dowkont jest też na tymże wydziale docentem i sama sprawa ma pewien związek z uniwersytetem, przeto i cały sąd w ramach profesury został ukonstytuowany. Prof. Wiktor Biržiška był arbitrem ze strony gen. Dowkonta, docent Stankiewicz – ze strony Kwasznina-Samarina, który był pozywający, podczas gdy Dowkont był pozwany. Sąd honorowy odbył się pozawczoraj wieczorem w mieszkaniu Stankiewicza. Zatarg namiętnym nie był, chodziło raczej o oczyszczenie się Kwasznina-Samarina przez ten sąd z pewnych skierowanych doń zarzutów. Sprawa była taka. I gen. Dowkont, i Kwasznin-Samarin jeździli każdy osobno, jeden – jesienią roku ubiegłego, drugi – obecnej zimy po Nowym Roku – do Brazylii, Urugwaju, Argentyny itd. Ameryka Południowa – to kraj powojennej emigracji z Litwy i innych krajów starej Europy. Za emigrantami z ludu – robotnikami i rolnikami – ciągną do Brazylii i Argentyny wszelkiego rodzaju szumowiny społeczne, rycerze spekulacji, chcący upiec swoją pieczeń na wyzyskiwaniu emigrantów i kolonizacji ich na gruntach, poskupywanych w tamtych krajach i sprzedawanych z wyśrubowaniem ceny, mnóstwo ciemnych figur i łotrzyków. Tam, jak do ziemi obiecanej, uciekają ci, co się tu okradli lub już zbyt skompromitowali, jak taki Rymsza z Rakiszek lub taki Marčulonis, przed kilku laty wódz młodzieży narodowej akademickiej i potem pomocnik adwokata, który zaczął i skończył swoją karierę zawodową na nadużyciu zaufania klientki i obróceniu sprawy przeciwko niej w celu wzbogacenia się jej kosztem. Kruki i sępy spekulacji i szybkiego bogacenia się, którym tu ciasno w starej małej Litwie, gromadzą się tam. Rywalizując ze sobą, dobierając się w grupki, ci spekulanci węszą tam i tropią perspektywy przedsięwzięć oszukańczych, powołując się czasem na patriotyzm i na jakieś niby zadanie społeczne opieki nad emigrantami i kolonizowania na ich rzecz ziem zdatnych do rolnictwa i hodowli. Szajki tych spekulantów grasują tam wśród rodaków, oglądają ziemie i frymarczą nimi, oszukują na prawo i na lewo etc. W samym gen. Dowkoncie, który ma żyłkę kariery i spekulacji w kierunku wzbogacenia się, Brazylia wywołała tęsknotę do spróbowania swych sił i oddania się kombinacjom. Wyjeżdża on teraz wkrótce do Brazylii na stałe, mając objąć stanowisko urzędowe przedstawiciela Litwy i marząc jednocześnie o zawodzie kolonizatora i plantatora, dorabiającego się fortuny. Na tym tle zachodzą tam różne rywalizacje, posądzenia, denuncjacje itd. Ale już jutro o tym.

18 maja, rok 1930, niedziela

Jeszcze o sądzie honorowym między gen. Dowkontem i dr Kwaszninem-Samarinem. Gen. Dowkont, choć jeździł do Brazylii i Argentyny w celach naukowych, jako profesor geografii na uniwersytecie, mając poza tym pewne zlecenia od rządu na rzecz zbadania stosunków i potrzeb emigracji litewskiej, nie zaniedbał przy tym rozejrzeć się tam co do warunków urządzenia się własnego w charakterze plantatora-kolonisty, ewentualnie zaś akcji zakupu terenów na parcelację emigrantom litewskim. Gdy wrócił, zaczęto mówić, że zamierza się wynieść na stałe do Ameryki Południowej i że szuka wspólników do zakupu ziem w Ameryce. Dowkont, zapytywany, zaprzeczał lub zbywał natrętów żartami.

Widocznie jednak było coś z prawdy w tych gawędach, bo oto teraz istotnie wyjeżdża, obejmując stanowisko posła litewskiego w krajach Ameryki Południowej. Stanowisko urzędowe i płatne uwalnia go od ryzyka i jednocześnie da mu możność spekulowania ostrożnie, dobrze się informując i trzymając nici w ręku. Po powrocie z Brazylii Dowkont korespondował tu w dalszym ciągu z Mačiulisem, który tam jest konsulem litewskim i który, wyczuwając zapewne zamiary Dowkonta, a wiedząc, że jest to osoba wpływowa u władz, starał się w tej korespondencji zjednywać Dowkonta dla siebie i

informować o różnych grasujących tam spekulantach litewskich, zwalczanych przez konsulat i mogących być nie tylko szkodnikami społecznymi, ale i konkurentami do zwalczania. W jednym z tych listów Mačiulis wymienił i Kwasznina-Samarina jako biorącego udział w „komisji", zorganizowanej przez spekulanta Rachmaninowa z Litwy i oglądającej tereny do kolonizacji w Urugwaju. Rachmaninow, obywatel litewski, ziemianin z pow. trockiego, kręcił się z innymi po Ameryce Południowej na rzecz akcji zakupu terenów dla zamierzonej większej partii emigrantów Rosjan z Litwy. W jakim celu bawił w Ameryce Kwasznin-Samarin i co tam porabiał – trudno dociec. Miał też oczywiście cele „naukowe" – studia do swej książki o „dziejach konia", ale zapewne przy sposobności też się orientował, jak Dowkont, w warunkach spekulacji na terenach kolonizacyjnych w Brazylii i Argentynie. Ta gorączka spekulacyjna wielu tam pociąga i nęci. Już to były jakieś pogłoski czy plotki, a nawet skargi i zarzuty na Kwasznina-Samarina, które dotarły do wydziału, ale sprawa ta dla braku jakichś poszlak miała być przez władze wydziałowe i wydziałową „komisję biologów" umorzona.

19 maja, rok 1930, poniedziałek
Jeszcze o sądzie honorowym Kwasznina-Samarina z gen. Dowkontem. Gdy jakieś pogłoski o spekulacyjnym charakterze brazylijskiej wycieczki Kwasznina-Samarina doszły do wiadomości Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, do którego on należy, zarządzone było coś w rodzaju dochodzenia w tej sprawie, ale rzecz już miała być umorzona, gdy wtem do sprawy wpłynął list konsula litewskiego w Brazylii i Argentynie Mačiulisa, pisany do Dowkonta. W tym liście wymienione było nazwisko Kwasznina-Samarina w zestawieniu z Rachmaninowem, charakteryzowanym jako jeden ze złośliwszych spekulantów i rzucona pewna poszlaka, że Kwasznin-Samarin też maczał palce w akcji spekulacyjnej. Zgłoszenie przez Dowkonta tego listu spowodowało ze strony Kwasznina-Samarina konieczność oczyszczenia się z zarzutów przez formalne wyzwanie Dowkonta na sąd honorowy. Właściwie zadanie nasze jako sądu honorowego nie było trudne. Z wyjaśnień stron ujawniło się, że gen. Dowkont nie miał najmniejszego zamiaru popierania zarzutów czy insynuacji konsula Mačiulisa, list zaś jego złożył dlatego, że wydział zażądał wszystkich materiałów, dotyczących przedmiotu sprawy. Wyrok sądu honorowego, w formie tez motywowanych, zawiera dwie tezy: 1. Gen. Dowkont jest niewinien, albowiem składając wydziałowi list Mačiulisa uważał to za swój obowiązek wobec wydziału. 2. Skądinąd jednak, jak stwierdziliśmy, list Mačiulisa nie zawiera żadnych faktów co do Kwasznina-Samarina i nie może służyć za obciążający, tym bardziej, że, jak zostało ujawnione przez złożone przez Kwasznina-Samarina dowody, Kwasznin tak krótko bawił w Urugwaju (podług listu – ta akcja spekulacyjna miała mieć miejsce w Urugwaju) i tyle innej roboty naukowej tam przez ten czas wykonał, że wszelka możność jakiejś akcji spekulacyjnej z jego strony, połączonej z tym pobytem w Urugwaju, jest wykluczona. Słowem – daliśmy satysfakcję obu i obie strony są z wyroku sądu honorowego zadowolone.

20 maja, rok 1930, wtorek
Zupełnie niespodzianie, gdyśmy już z Jadzią i Anielką spali wczoraj koło północy, zapukała do mieszkania Marynia Römerowa, która z córką Ewą Meyerową przyjechała z Bohdaniszek autobusem. Wiedziałem, że się Marynia wybiera niebawem z Ewą do Kowna, ale nie sądziłem, żeby tak prędko i bez uprzedzenia. Jakoś się jednak zalokowały u mnie. Dziś rano towarzyszyć im na mieście nie mogłem, bo miałem posiedzenie Rady Stanu. Na obiedzie była u mnie cała rodzinka Maryni – ona, Ewa i Stefan. Wszystkich też ich zaprowadziłem wieczorem do teatru na operę „Trubadur". Zaprowadziłem też Marynię i Ewę do domu, w którym mieszkanie od połowy czerwca

mam zająć, oprowadziłem je nieco po mieście, byłem z nimi w kawiarni, z teatru odwiozłem do domu automobilem, a jutro o świcie już one odjeżdżają do Bohdaniszek pociągiem pośpiesznym. Ewa ma się dobrze i dobrze wygląda; energiczna jest, pełna życia i temperamentu. Mówi za dwóch – a nawet więcej. Ta ich wizyta, choć mię oderwała od pracy, sprawiła mi przyjemność.

21 maja, rok 1930, środa
O świcie niemal, kiedy jeszcze spałem, Marynia z Ewą wstały i opuściły moje mieszkanie, udając się na dworzec kolejowy, skąd pociągiem pośpiesznym odjechały do Bohdaniszek.
Miałem posiedzenie komisji sądowniczej w Radzie Stanu, po obiedzie – seminarium prawa konstytucyjnego na IV semestrze. W lukach między tymi zajęciami pracowałem w domu. Komisja sądownicza Rady Stanu, po ukończeniu pracy nad projektem ustawy o adwokaturze, pracuje obecnie nad projektem ustawy o „kandydatach sądowych”. Jadzia, która jest bardzo zapracowana obecnie, bo w jej szkole rzemiosł artystycznych koniec roku szkolnego się zbliża, a wraz z nim wystawa doroczna prac uczennic, wykończyła świeżo prześliczną firankę z wyszywaniem białych wzorów, skomponowanych z deseni litewskich na siatce roboty ręcznej. Jadzia ma wielkie uzdolnienia do tych robótek, ma gust artystyczny i zapał ambitny. Firanka ta, którą Jadzia przeznacza do pokoju jadalnego w moim domu bohdaniskim, będzie prawdziwą ozdobą wystawy szkolnej.

22 maja, rok 1930, czwartek
Gen. Dowkont i dr Kwasznin-Samarin, których sprawę honorową przed tygodniem rozsądziliśmy, zaprosili dziś nas – swoich sędziów honorowych – na kolację do restauracji „Metropolu”. Byliśmy wszyscy – ja, prof. Wiktor Biržiška i mecenas docent Włodzimierz Stankiewicz. Nie jestem amatorem kolacji; nie bawią mię one, a poza tym w wieku starszym nie służą na żołądek. Ale niepodobna było nie przyjąć zaproszenia. Gen. Dowkont jest już na wyjezdnym. Ma już nominację na konsula litewskiego w Rio de Janeiro. W początku czerwca wyjeżdża. Porzuca uniwersytet, ustępuje z Rady Stanu i wyjeżdża. Zapewne już nie wróci albo wróci bogatym człowiekiem. Nęci go wzbogacenie się w Brazylii – spekulacje na terenach kolonizacyjnych i perspektywy plantatorskie w egzotycznych krajach wszelkich możliwości.
W ostatnich czasach prof. Voldemaras znów daje znać o sobie. Udziela wywiadów sensacyjnych żydowskiej „Jidisze Sztimm” i „Lietuvos Žinios”. Robi gesty opozycyjne i bawi się w rewelacje; między innymi – oskarża swych wspólników i towarzyszy wczorajszych o łamanie konstytucji, siebie zaś wystawia w roli tego, który jej bronił (*sic*!). Z obozu rządowego rękawicę podniósł prezes Związku Narodowców, przemysłowiec i businessman Lapėnas. Polemika Voldemarasa z Lapėnasem jest wcale nieestetyczna i nie budująca. Łają się i brudy sobie nawzajem wytykają. A w istocie – wart Pac pałaca, a pałac – Paca.

23 maja, rok 1930, piątek
Rano byłem na posiedzeniu komisji ekonomicznej Rady Stanu, która w osobach prezesa Šilinga, Ciplijewskiego, Masiulisa, Starkusa, prof. Jurgutisa i mnie oraz rzeczoznawcy-współpracownika doc. Tadeusza Pietkiewicza rozpoczęła obrady nad opracowanym przez Ciplijewskiego projektem ustawy hipotecznej. Potem w domu miałem egzaminy studentów. Zdawało pięciu, w tej liczbie trzech Żydów – Frenkel-Frank, Berensztejn i Efron i dwóch Litwinów – ekonomista Balta i prawnik Ludwik Andrijewski. Wszyscy, prócz ostatniego, zdali celująco, ostatni zaś – dobrze. Potem pracowałem w domu, a

wieczorem miałem jeszcze parę studentów na pracy seminaryjnej – studenta Henryka Krygiera i studenta Gamznika. Dzień mi przeto upływał na pracy i ani się domyślałem, że w tym czasie w mieście miały miejsce awantury, o których dopiero się od Jadzi dowiedziałem, gdy wieczorem wróciła ze szkoły swej zziajana, opowiadając gorączkowo o tym, co poniekąd widziała, poniekąd się z pogłosek i wieści dowiedziała. Mianowicie odbyły się i odbywają w Kownie zaburzenia antypolskie, mówiąc ściślej – pogrom polski. Tak jest, niestety. Cicho było od dłuższego czasu – pewnego rodzaju „*détente*" nastało w stosunkach polsko-litewskich. I oto znowu w najostrzejszej fazie. Na pograniczu w Oranach po stronie polskiej jakiś oficer polski Witkowski czy Wilkowski sprowokował jakąś awanturę na wieczorku prywatnym litewskim, wskutek czego doszło do zajść między uczestnikami wieczorka i oddziałem wojska, sprowadzonym przez owego oficera; oficer i wojsko podobno się znęcali i zmaltretowali Litwinów, kogoś zabili; innych poranili czy pokaleczyli. Prasa litewska obszernie o tym wypadku rozpisała i na dziś po obiedzie zwołany został na placu u soboru (obecnie kościoła garnizonowego) wielki wiec manifestacyjny pod otwartym niebem. Na wiecu takim zapaliły się namiętności i tłumy młodzieży i wyrostków rozbiegły się po mieście gromić i rozbijać instytucje polskie. Największe uszkodzenia zostały dokonane, zdaje się, na gimnazjum polskim przy ul. Leśnej i na księgarni polskiej w Domu Polskim przy ul. Kiejstuta. Z księgarni powyrzucano na ulicę książki, deptano je i kopano. Były usiłowania napaści na księgarnię Ossowskiego, na cukiernię Perkowskiego, na redakcję „Dnia Kowieńskiego", na dom stowarzyszeń polskich przy ul. Orzeszkowej. Dokładnych szczegółów nie znam. Smutne to są rzeczy.

24 maja, rok 1930, sobota
Wychodziłem dziś z domu tylko do Rady Stanu, gdzie miałem posiedzenie komisji sądowniczej. Potem wróciłem i nie wychodziłem więcej. Jestem pod bardzo przykrym wrażeniem pogromu polskiego, który miał miejsce wczoraj. Z nikim o tym nie rozmawiałem, żadnych szczegółów się nie dowiadywałem. Przykro mi nawet rozmawiać o tym. Gdym wchodził do sali Rady Stanu na posiedzenie komisji, obecni tam Kalnietis, Kriščiukaitis i Masiulis właśnie rozmawiali o tych wypadkach wczorajszych, ale zamilkli, gdym się pokazał; zapewne uczynili to przez delikatność, czując, że ta sprawa obraża uczucia moje. Zresztą wiem na pamięć, jak tę kwestię traktuje poważniejsza opinia litewska; właśnie tak samo traktuje tę kwestię prasa („Lietuvos Aidas", „Lietuvos Žinios"): potępia ekscesy, ale je bagatelizuje; ma na ustach frazes, że na „barbarzyństwo" polskie Litwini barbarzyństwem odpowiadać nie powinni, bo to ich sprawie jeno szkodzi; zajście usiłuje przedstawić w ten sposób, że odbył się wielki mityng patriotyczny, karny i imponujący, po czym elementy niezrównoważone, może młodsze i gorętsze, może nawet prowokacyjne, dopuściły się pewnych ekscesów, zresztą niezbyt wielkich i przez policję udaremnionych. (Czy tylko aby nie złoży się winy ekscesów na „prowokację polską", to znaczy na samych Polaków, którzy je dla skompromitowania patriotycznych jagniąt litewskich sami przez swych agentów w tłumie zainscenizowali?!) Że ekscesy były dziełem elementów niezrównoważonych – to pewne, ale że były one chuligańskie, że brała w nich udział młodzież litewska, złożona z gimnazistów i studentów oraz wyrostków wszelakich kondycji i że takie akty są objawem zdziczenia i przyczyniają się do dalszej barbaryzacji społeczeństwa, które u nas w ogóle w młodym pokoleniu zbyt wielkiej subtelności uczuć nie posiada – to fakt. Że inscenizatorowie manifestacji, rozpalających nie tylko piękne uczucie miłości kraju i narodu, lecz także i zwłaszcza nienawiści obcych, nietolerancji itd., ci, którzy w tłumy barbarzyńskie młodzieży i wyrostków rzucają hasła zamykania pism i gimnazjów polskich, deptania i rugowania polskości

itd., są współwinni ekscesów wybijania okien, niszczenia książek polskich, gromienia sklepów i lokalów zakładów i instytucji polskich – to fakt. Kto sieje – ten jest sprawcą plonu. Najstraszniejsze jest zupełne znieczulenie opinii elementów młodych inteligencji i półinteligencji na takie wypadki. Cała młodzież interesuje się i bawi tymi zajściami jako sensacją ciekawą, ale żeby się oburzała i brzydziła – tego nie widać i nie czuć. Przeciwnie – brawura pogromu imponuje barbarzyńcom. Widzę to na tym, co Jadzia mi o swoich koleżankach opowiada i co słyszę od gimnazistki, która się stołuje u mnie, także na nastrojach tej młodzieży, która pracuje na dziedzińcu domu.

25 maja, rok 1930, niedziela
Rząd jednak nie poniechał myśli o reformie uniwersyteckiej i nie odłożył jej ad *calendas graecas*. Jeno rozpoznanie ostatniego projektu statutu uniwersyteckiego (jest to już projekt trzeci) i wysłuchanie uwag senatu akademickiego był odroczył do d. 23 maja. Natomiast zdecydowany jest rząd, a przynajmniej był zdecydowany, przyjąć wreszcie ten statut z poprawkami lub bez poprawek w najbliższym czasie, w ciągu jeszcze maja, aby nowe wybory akademickie rektora, które powinny nastąpić w początkach czerwca, były już dokonane na zasadzie nowego statutu (na okres trzyletni z zatwierdzeniem wyboru przez Prezydenta Rzeczypospolitej).
Posiedzenie rządu z udziałem senatu akademickiego odbyło się pozawczoraj, a na dziś zwołana została przez rektora wielka Rada Uniwersytetu, czyli ogólne zebranie profesury. Senat akademicki, który już w jesieni zgłosił szereg poprawek do ówczesnego rządowego projektu statutu, akceptując już przeto samą zasadę reformy, i obecnie także stanął na gruncie reformy, projektując jeno poprawki. Senat stwierdził, że obecny projekt statutu, który już niektóre z poprzednich (jesiennych) uwag senatu uwzględnił, jest już nieco lepszy od dwóch pierwszych projektów, ale pomimo to niezadowalający. Z linii, przyjętej przez inicjatorów reformy uniwersyteckiej, senat akademicki zaakceptował jeszcze w jesieni dwie tezy: w łonie uniwersytetu zwiększenie władzy senatu akademickiego kosztem władzy samodzielnej wydziałów (przeto zaakcentowanie centralizacji akademickiej, czyli właściwie przekształcenie obecnej budowy konfederacyjnej uniwersytetu na federacyjną) i przyjęcie zasady zatwierdzania wyników wyborów akademickich przez władze rządowe. Natomiast poprawki, których się senat domaga do obecnego projektu statutu, dotyczą głównie przedmiotów następujących: a. wyraźne oświadczenie w art. 1, że uniwersytet jest instytucją autonomiczną (projekt, podając określenie, czym jest uniwersytet, tej jego cechy nie wymienia), b. zastąpienie zasady nominacji wybranych przez wydziały i zaakceptowanych przez senat profesorów i docentów przez zasadę zatwierdzenia, c. rektorat roczny zamiast trzyletniego (to jest, zdaje się, mniej zasadnicze), d. uchylenie egzaminów państwowych na rzecz uzyskania dyplomu uniwersyteckiego przewidzianych przez rządowy projekt statutu (egzaminy takie państwo może ustanowić dla przyjęcia na służbę państwową, ale nie powinien być z nimi wiązany dyplom udzielany przez uniwersytet), e. wybór stypendystów, którzy się mają gotować do kariery profesorskiej, należeć winien do wydziałów i senatu, nie zaś do ministra oświaty. Oto są główne poprawki, zgłoszone do ostatniego projektu statutu przez senat.

26 maja, rok 1930, poniedziałek
Chciałbym dokończyć o posiedzeniu wczorajszym Rady Uniwersytetu, ale wątpię, czy dziś zdołam to zrobić, bo jest późno i czuję się bardzo senny. Zanotowałem już wczoraj, jak się perspektywy reformy uniwersyteckiej przedstawiają i jakie do nowego projektu statutu poprawki zgłosił senat akademicki na wspólnym posiedzeniu z Gabinetem Ministrów w piątek 23 maja. Na tymże posiedzeniu dziekani wydziałów zgłosili

reklamacje wydziałowe w przedmiocie katedr i etatów na poszczególnych wydziałach, przewidzianych w projekcie statutu; w tę kwestię katedr i etatów, należącą do wydziałów, senat się nie wtrąca. Gabinet Ministrów odpowiedzi nie udzielił, jeno wysłuchał wniosków senatu i wydziałów i poszczególni ministrowie poczynili sobie notatki. Jak rząd na nie zareaguje, czy uwzględni, czy też ogłosi nowy statut w brzmieniu projektu – nie wiadomo. Decyzja i ogłoszenie nowego statutu ma być dziełem dni najbliższych. W każdym razie charakterystyczne jest, że już w tym roku senat stoi urzędowo na gruncie reformy, jeno zgłasza poprawki i zastrzega autonomię akademicką. Poprzednio – do roku obecnego – tak senat, jak rada negowała reformę całkowicie i w żadne zgoła dyskusje i poprawki wdawać się nie chciała. I ciekawe, że na gruncie reformy stanął właśnie nasz rektor tegoroczny Czapiński, który dopóki nie był rektorem, był wraz z prof. Stanisławem Szołkowskim i prof. biskupem Reinysem liderem opozycji nieprzejednanej. O przebiegu posiedzenia Rady – jutro.

27 maja, rok 1930, wtorek
Pozawczorajsza Rada Uniwersytetu zebrała się w komplecie licznym. Obecna była wielka większość profesury. Posiedzenie zagaił rektor Czapiński, który streścił całoroczną akcję senatu w sprawie reformy uniwersyteckiej, to znaczy akcję jesienną i obecną, kończąc zreferowaniem posiedzenia piątkowego Gabinetu Ministrów z udziałem senatu akademickiego. W dyskusji, która się następnie wywiązała, pierwszy głos zabrał humanista docent Augustaitis, należący do najbardziej radykalnych opozycjonistów obozu nieprzejednanych, działających solidarnie z teologami. Augustaitis wystąpił z zarzutami względem akcji senatu jako kompromisowej, czyniąc zwłaszcza ten zarzut, że senat odważył się na własną rękę wkroczyć na te tory wbrew dotychczasowej opinii Rady Uniwersyteckiej, która dotąd zawsze wypowiadała się kategorycznie przeciwko wszelkiej potrzebie reformy i uczynił to bez odwołania się do Rady, której komunikuje dopiero o fakcie dokonanym. Na to mu odpowiedział rektor wskazując, że senat akcji swej przed profesurą nie taił i że o ile członkowie profesury życzyliby na to reagować, to byliby mogli w myśl regulaminu zażądać zwołania Rady, czego wszakże nie czynili. W dalszych debatach ten początkowy zarzut senatowi już się nie ponawiał. Zgłoszone zostały cztery wnioski. Z nich dwa pierwsze – teologa biskupa prof. Reinysa i przyrodnika prof. Butkiewicza – były do siebie podobne i różniły się chyba tylko odcieniem motywacji: Reinysa był nieco radykalniejszy i jaskrawszy w opozycji; oba te wnioski sprowadzały się ostatecznie do kapitalnego stwierdzenia, że żadna reforma uniwersytetu nie jest potrzebna i że Rada po prostu wszelką myśl reformy odrzuca i przechodzi nad nią do porządku dziennego. Uchwalenie którejkolwiek z tych rezolucji byłoby jednak pośrednio potępieniem akcji senatu, czego wnioskodawca Butkiewicz, zdaje się, zgoła nie rozumiał (Reinys z pewnością rozumiał to dobrze, zbyt jest sprytny i biegły w subtelnościach kanonicznych!), albowiem efekt byłby taki, że oto senat pertraktuje z rządem co do szczegółów reformy, zgłasza poprawki, akceptuje więc zasadę reformy, jeno co do jej konkretnej treści się spiera, a tu Rada wszystko w czambuł odrzuca i nic zgoła o reformie słyszeć i widzieć nie chce. Z trzecim wnioskiem, kompromisowym, bo już się liczącym z akcją senatu, a więc w zasadzie i z dopuszczalnością reformy, wystąpił niespodzianie filozof Wydziału Teologicznego – prof. Stanisław Szołkowski, który zawsze dotąd w tej sprawie zdawał się być nieprzejednany nie mniej od Reinysa. Dokończę jutro.

28 maja, rok 1930, środa
Zaznaczyłem wczoraj, że trzecim wnioskiem, zgłoszonym na niedzielnym zebraniu Rady Uniwersytetu w sprawie projektu reformy uniwersyteckiej, był wniosek prof.

Stanisława Szołkowskiego. Słyszałem potem, że minister oświaty Šakenis uważa wniosek ten, który się stał rezolucją Rady, za radykalny. W istocie wszakże, nie poddając się tylko złudzeniom jaskrawego miejscami frazesu, wniosek ten w treści swojej jest bynajmniej nie radykalny, jeno właśnie kompromisowy, którego trudno się było spodziewać od prof. Szołkowskiego. Wniosek prof. Szołkowskiego bowiem staje na gruncie reformy i w zasadzie ją przyjmuje, albowiem zaczyna się od aprobaty akcji senatu, która, jak wiadomo, polegała nie na odrzuceniu w czambuł reformy, jak bywało dotąd w rezolucjach Rady, jeno na zgłoszeniu poprawek do projektu rządowego, a więc na szukaniu drogi pośredniej – kompromisu w reformie. Po wyrażeniu aprobaty akcji senatu (czego nie było w dwóch wnioskach poprzednich – biskupa Reinysa i prof. Butkiewicza – rzeczywiście radykalnych) wniosek prof. Szołkowskiego – w myśl oczywiście aspiracji teologów – dodaje jeszcze zastrzeżenie o respektacji przez Radę domagań się poszczególnych wydziałów w sprawie katedr i etatów, a następnie dopiero w stylu dość napuszonym i pozornie, frazesowo jaskrawym wypowiada się na rzecz nieprzejednanego odrzucenia rządowego projektu statutu. Do wniosku prof. Szołkowskiego zgłosiłem jeszcze dwie poprawki ja, z których jedna dotyczyła wykreślenia niedopuszczalnego demagogicznego zaznaczenia „publicznego” oświadczenia Rady (bo Rada, jako organ autonomiczny Uniwersytetu, nie jest powołana do czynienia oświadczeń „publicznych”), a druga wprowadziła do drugiej części wniosku zastrzeżenie, że potępienie projektu rządowego jest uwarunkowane nieprzyjęciem poprawek senatu, czyli że zatem, o ile te poprawki będą przyjęte – całe potępienie projektu reformy upada. Przez te moje poprawki charakter kompromisowy wniosku prof. Szołkowskiego został jeszcze bardziej podkreślony. Obie moje poprawki zostały przez wnioskodawcę zaakceptowane. Był jeszcze wniosek czwarty – prof. Janulaitisa, sympatyka reformy rządowej. Wniosek Janulaitisa był krótki i polegał tylko na wyrażeniu aprobaty zgłoszonym przez senat poprawkom, nie wypowiadając się wcale o projekcie rządowym. Było oczywiste, że wniosek Janulaitisa jest niedostosowany do nastroju Rady, toteż chybiony. Potępienie projektu rządowego bez poprawek senatu było konieczne, aby uczynić zadość tym nastrojom, ale jeżeli przy tym udziela się aprobaty akcji senatu – to już się grunt reformy przyjmuje i staje na nim. Jest to właśnie to, co daje wniosek Szołkowskiego. Przyjęcie gruntu i zasady reformy – jest to już wielki krok naprzód w porównaniu do dotychczasowego stanowiska nieprzejednanego Rady. Wniosek prof. Szołkowskiego został większością głosów uchwalony. Poprawki senatu zastrzegają samorząd uniwersytecki, a to jest jedyne dobro, którego utrata w tej reformie groziła uniwersytetowi niebezpieczeństwem. Poza tym wszystko inne w reformie jest do przyjęcia.

29 maja, rok 1930, czwartek
Dwa dni temu – we wtorek po obiedzie – wypadł w Kownie gwałtowny deszcz, jakimi bywają chyba deszcze podzwrotnikowe, jak oberwanie chmury. Ulewa lała dobrych kilka godzin. W taki deszcz nie wychodziłem wcale z domu i zresztą nie miałem potrzeby wychodzić. Toteż osobiście nie oglądałem widoku powodzi, jaka zalała dolne miasto. Wiem o niej tylko z gazet i od tych, co ją widzieli, skądinąd oglądać mogłem nazajutrz niektóre jej skutki. Wszystkie ulice dolnego miasta zamieniły się w rzeki i potoki, a place wyglądały jak jeziora. Przy soborze brnęło się po pas w wodzie. Ludzie, którzy musieli przechodzić ulicami, zdejmowali obuwie i brnęli przez wodę boso. Ogromne masy wód, zbiegające z gór i zasilane ulewą, pędziły ulicami do Niemna i Wilii. Potoki unosiły meble, beczki, drzewa, wszelkie śmieci, gdzieniegdzie nawet świnie i inne stworzenia w rodzaju kóz. Na przedmieściach Aleksoty, Marwianki woda poznosiła budynki drewniane; w wielu miejscach podmyła fundamenty, poznosiła

ściany, porozwalała konstrukcje. Podmyła i poobrywała zbocza piaszczyste Zielonej Góry, które gdzieniegdzie pospełzały z całą roślinnością. Tak, na przykład, na ul. Podgórnej spełzło zbocze zielonogórskie tak, że na środku ulicy znalazł się ogród z darnią, krzewami i nawet drzewem gruszki, które w raz z ziemią zsunęło się z góry i stanęło na ulicy, jak żeby tu właśnie rosło. Ulewa i sprawiona przez nią powódź uszkodziła ogrody, spłukała flansy i posiewy. Ale bo taki deszcz – to osobliwość.

30 maja, rok 1930, piątek
Egzaminy. Miałem sześciu studentów do egzaminowania. W ich liczbie byli: 1. Irena Garmiutė, studentka prawa IV semestru, ładna dziewczyna, zdolna i żywa, obecnie maszynistka Rady Stanu, 2. Jan Gosent, student prawa IV semestru, starszy semestralny, pilny i sumienny uczeń, chłopiec staranny i systematyczny, z przekonań ludowiec, członek stowarzyszenia „Varpas", trochę publicysta, zabierający czasem głos w prasie, 3. Kazimierz Nausėda, bardzo pilny słuchacz, prawnik IV semestru, chłopiec miły i zawsze uśmiechnięty, 4. Aron Ulman, Żyd, prawnik IV semestru, człowiek w wieku średnim, urzędnik bankowy, inteligentny i rozwinięty, 5. Zenon Daniłowicz, Polak, prawnik skończony, ale jeszcze nie dyplomowany, bardzo pilny i akuratny, sympatyczny, ale, zdaje się, niezbyt zdolny i 6. Władysław Domeika, prawnik VI czy VII semestru, mało mi znany. Oprócz panny Garmiutė – wszyscy inni zdali bardzo dobrze, Garmiutė zaś, wbrew memu oczekiwaniu, bom się po niej dużo spodziewał, egzaminu nie zdała wcale: musiałem ją przepędzić.
O zajściach antypolskich ubiegłego tygodnia prasa litewska milczy, jakby wody do ust nabrała. Prawda, że wszystkie, zdaje się, pisma litewskie potępiły wybryki pogromowe chuliganów, rozbijających okna i demolujących książki polskie. Ale wypowiedziano to krótko, jakby półgębkiem, nazajutrz po zajściach i więcej już do tego tematu nie wracano. Postarano się teraz uczynić wrażenie bagatelizujące to zajście. Natomiast pośrednio przy okazji – naprawiono morałów Polakom jako „złym obywatelom" kraju. Jednak w opinii publicznej wrażenia tych ekscesów nie zatuszowano. Porządniejsze elementy społeczeństwa litewskiego są szczerze oburzone i stwierdzają, że ekscesy te były sprowokowane przez elementy „šaulysów" i im podobne w cichym porozumieniu z kołami rządowymi. Mnie te zajścia bolały głęboko, bolały właśnie przez miłość do Litwy, więcej niż przez sympatię do polskości. Litwę pragnąłbym widzieć szlachetną, czystą, wolną od takich skaz, jak gwałty nad bezbronnymi, bo taką Litwę kocham, nie zaś Litwę plugawych pogromów. Pogromcy szyb i książek są z pewnością pierwsi, którzy by mój kraj zdradzili w chwili niebezpieczeństwa istotnego. Brawura ich jest dopóty wielka, dopóki „wróg" jest bezbronny i słaby. Organizacje polskie ogłosiły protest do opinii publicznej, którego tekst z załączeniem fotografii uszkodzeń pogromowych rozesłali do najbardziej znanych osób.

31 maja, rok 1930, sobota
Z Voldemarasem sto pociech, gdyby chodziło tylko o „*comedia vitae*". Niestety – chodzi o wartość większą – o Litwę, którą ten chciwy władzy człowiek kompromituje, błaźniąc się wobec całego świata i ujawniając, w rękach jakiego człowieka były do niedawna rządy dyktatorskie młodej republiki. Jeżeli tacy są rządzący, jeżeli tego rodzaju maniacy niezrównoważeni zdobywają władzę i wykonywają ją nieodpowiedzialnie, to cóż wart jest kraj i jego społeczeństwo, dające takim osobnikom zapanować nad sobą – oto może być opinia, która się o Litwie układać będzie, dyskredytując jej państwowość młodzieńczą.
Nienawiść do tych, co go strącili z piedestału, namiętność zemsty i nie mniejsza namiętność reklamy, zwrócenie na siebie uwagi, zdobycie za wszelką cenę rozgłosu,

robienie jakiegoś ruchu, w czego głębi tkwi jedna wielka mania – mącenie wody, by w mętach dojść znowu do władzy – oto bodaj jedyne, co kieruje Voldemarasem. Usiłuje się tu bratać z opozycją lewicową, robi reweranse ludowcom; oczywiście zamknięta mu jest w szeregach opozycji droga tak do Chrześcijańskiej Demokracji, której dał się szczególnie we znaki i której jest już wrogiem tradycyjnym, a która zresztą jest zbyt mądrą, aby się z bankrutem wiązała i aby zapomniała o metodach, jakimi niedawno Voldemaras ze współpracy we władzy ją wykiwał, jak do socjalnej demokracji, którą niedawno gnębił i usiłował w aferę „plečkaitisową" uwikłać, a która zresztą, słaba i zdezorientowana, ale trzeźwa, nie tęskni w warunkach obecnych bynajmniej do władzy i już w żadnym razie do flirtu z Voldemarasem skłonna nie jest. Toteż w szeregach opozycji Voldemaras zwrócił uwagę na ludowców, suponując – zresztą naiwnie – że tych jeszcze frazesem swoim złudzić i pozyskać zdoła.

1 czerwca, rok 1930, niedziela
Pan Józef Stawski, mąż Marysi Rosenówny i ojciec Anulki i Justysi Stawskich, oskarżony o wymaganie i branie łapówek na stanowisku referenta czy inspektora rybołówstwa w Ministerium Rolnictwa, w przeszłym roku uniewinniony przez Sąd Okręgowy w Kownie, był wczoraj na skutek protestu apelacyjnego prokuratury sądzony powtórnie przez Trybunał Najwyższy, który go uznał winnym i skazał na sześć miesięcy więzienia, uwzględniając trzy miesiące aresztu prewencyjnego i potrącając 1 ½ miesiąca z tytułu amnestii. Kara – ostatecznie niewielka, Stawski odsiedzi tylko 1 ½ miesiąca, ale jest fakt skazania i wstyd dla niego i rodziny. W całej tej sprawie Stawski bronił się energicznie i walczył z argumentami oskarżenia do upadłego; znając jego przeszłość i w ogóle jego poziom moralny, mam wrażenie, że istotnie jest winien i że Trybunał się nie pomylił, zasądzając go. Co zaś do rodziny – żony i dzieci – to ta oczywiście nie uzna zasadności wyroku i będzie twierdziła, że Stawski, jak to sam rozgłasza, padł ofiarą intrygi za swą gorliwość służbową, intrygi, której agentami byli Andrzej Rondomański, prof. Tadeusz Iwanowski i sędzia trybunału Julian Rymsza. A zresztą ten wstyd, który spada na Stawskiego, posłuży do jeszcze większego odsunięcia jego rodziny od litewskości w kierunku polskim, co zresztą skutecznie i systematycznie Marysia Stawska od lat wielu czyni: jeżeli Justyś Stawski, syn Józefa i Marysi, pozostał indyferentem narodowym – tyleż Litwinem, co Polakiem, to ich córka – piękna Anula, która właśnie obecnie maturę w gimnazjum polskim w Poniewieżu zdaje, jest z roku na rok coraz bardziej zajadłą Polką, zaś Litwinów, których krew w niej bezpośrednio po ojcu płynie, coraz bardziej nienawidzi i pogardza nimi. Przed paru jeszcze laty poczuwała się ona do pewnej litewskości, choć Litwinką szczerą nie była; w każdym razie, miała pozostać w Litwie i tu na uniwersytecie studia kontynuować; teraz już słyszeć o tym nie chce i marzy tylko o Wilnie i Polsce, dokąd się też na studia akademickie, a zapewne i po runo małżeńskie, a przynajmniej po runo zabaw i flirtu wybiera. Skazanie ojca jeno ją w tym kierunku utrwali.
Jednocześnie w szpitalu miejskim w Kownie umiera drugi Józef Stawski, imiennik tamtego, właściciel pięknego folwarku Annopola w gminie dusiackiej nad jeziorem Sarty. Był to człowiek bardzo zacny, powszechnie szanowany, pełny cnót społecznych, obywatelskich i ludzkich.

2 czerwca, rok 1930, poniedziałek
Słychać, że Gabinet Ministrów, który na posiedzeniu piątkowym rozpoznawał znowu projekt nowego statutu uniwersyteckiego w związku ze zgłoszonymi doń poprawkami senatu akademickiego, jeszcze czynności tej nie dokończył i odłożył ją do innego posiedzenia. Podobno wszakże dwie poprawki już zaakceptował. Mianowicie przyjął

wpisanie do art. 1 zasady, że uniwersytet stanowi w łonie Ministerium Oświaty jednostkę „autonomiczną”; odrestaurował też na Wydziale Prawniczym katedrę „encyklopedii prawa” i przez to samo zlikwidował drażniącą kwestię wyrugowania z wydziału i uniwersytetu starego prof. Leonasa – tradycyjnego dziekana naszego. Są więc szanse, że sprawa reformy akademickiej znajdzie rychło rozwiązanie kompromisowe, bo już obie strony – rząd i uniwersytet – bardzo się do siebie w postulatach reformy, wbrew pozorom przeciwnym, zbliżyły. Tymczasem, w oczekiwaniu spodziewanej rychło decyzji ostatecznej, senat zwleka ze zwołaniem posiedzenia Rady Uniwersytetu dla dokonania wyborów rektora, prorektora i sekretarza na rok następny. W myśl regulaminu, wybory te powinny mieć miejsce w pierwszą niedzielę w czerwcu – byłoby to więc wczoraj; senat jednak jeszcze zwleka, bo w razie ogłoszenia nowego statutu okoliczności tych wyborów mogą się zmienić – projekt statutu przewiduje bowiem rektorat trzyletni. Mam wrażenie, że obecny rektor Czapiński nic by chyba nie miał przeciwko temu, aby został obranym na pierwszego rektora trzyletniego. Gdyby zaś obecnie – przed ogłoszeniem nowego statutu – wybory się miały odbyć w myśl zasad dotychczasowych, obrany by zostać musiał prorektor obecny – prof. Česnys, wprawdzie na rok tylko, ale już potem, przekładając wybór roczny na trzyletni, należałoby się już liczyć z faktem dokonanym wyboru Česnysa, co niewątpliwie pogorszyłoby szanse wyboru Czapińskiego.
Ba, ochotę na rektorat miałbym i ja, ale nie ma na to szans najmniejszych, bo na pierwszym planie w chwili obecnej stoją inne wydziały i o naszym nikt ani myśli, a nie ma tej nadziei, aby w perspektywach nowego statutu, nie wiążącego formalnie rektoratu z kolejnością wydziałów, ktoś czy to w rządzie, czy uniwersytecie pomyślał specjalnie o mnie – zupełnie osobiście, bez związku z wydziałem. Gdy się zeszło ze sceny i nie stoi się na pierwszym planie, być znów przez jakąś falę wyniesionym na czoło – niełatwo.

3 czerwca, rok 1930, wtorek
Przed paru dniami zacząłem pisać o Voldemarasie. O jego ekscentrycznych „kawałach”, o manewrach, którymi usiłuje zwrócić na siebie uwagę i kompromitować swoich wrogów, którzy byli do niedawna jego wspólnikami, o skandalach, w których figuruje ten niespokojny człowiek – dużo by się napisać dało, zwłaszcza gdyby się miało czas na systematyczne tych epizodów notowanie, ściśle się o nich informując.
W taktyce obecnej Voldemarasa jest dwoistość. Z jednej strony, w kołach jemu wiernej młodzieży i oddanych mu młodych oficerów, którzy zresztą są bardzo pilnowani przez władze wojskowe, Voldemaras stara się utrzymać wiarę w siebie jako opatrznościowego dyktatora Litwy, którego intryga garści spekulantów z panią Prezydentową Smetonową na czele nielegalnie usunęła od władzy i który jedyny jest w stanie rządzić Litwą i zapewnić jej zbawienie. Z drugiej zaś strony Voldemaras, działając na opozycję, uderza w strunę demokratyczną, odważając się drapować w togę rzecznika demokracji i obrońcy zasad konstytucyjnych (*sic*!). Środowiskiem tej drugiej jego akcji są ludowcy, z którymi flirt uprawia. Co prawda, osobiście usiłuje się w reweransach zbliżyć tylko do Toliušisa, lidera skrzydła najumiarkowańszego, któremu składa wizyty, wyróżnia i kadzi; do Michała Ślażewicza i dr Griniusa nie próbuje się osobiście zalecać. Ludowcy chętnie zresztą korzystają z tego usposobienia obalonego dyktatora: odwiedzają go redaktorowie „Lietuvos Žinios”, czynią z nim wywiady, drukują chętnie jego enuncjacje, udają, jak gdyby wierzyli, sami zdania swego nie wypowiadają, komentarzy od siebie nie podają, unikają wszelkiego zadraśnięcia Voldemarasa w swym piśmie. Ale w gruncie śmieją się z niego i powiadają prywatnie, że dla nich te wynurzenia Voldemarasa i jego flirt z nimi są korzystne potrójnie: a.

stanowią sensację, która wpływa na poczytność pisma, b. kompromitują samego Voldemarasa i czynią jego powrót do władzy coraz mniej możliwym i c. pogłębiają rozłam narodowców, osłabiając ich rzędy, a przy okazji w tym lub innym szczególe coś z tajemnic zakulisowych rządu niedyskretnie odsłaniają i dyskredytują.

4 czerwca, rok 1930, środa
Na IV semestrze ukończyłem dziś seminarium prawa konstytucyjnego. Jak co roku, wygłosiłem na pożegnanie mowę serdeczną do moich byłych uczni, z którymi się rozstaję.
Jeszcze o Voldemarasie. Od samego początku – od chwili swojej dymisji – Voldemaras w swoich enuncjacjach prasowych zaczął bez ceremonii dyskredytować rząd, nie szczędząc zjadliwych przeciwko niemu wycieczek, swoją zaś dymisję, którą uważa za nielegalną, charakteryzował jako nie „kryzys rządu", lecz „kryzys państwa". Swojej dymisji udziela on interpretację taką: Prezydent Rzeczypospolitej Smetona był wybrany na to stanowisko w trybie konstytucji z r. 1922 i przeto w myśl przepisów tej konstytucji jego mandat już się wyczerpał; wobec tego Smetona nie mógł udzielić Voldemarasowi dymisji, czyli, inaczej mówiąc, Voldemaras jest legalnym prezesem ministrów, który jeno przez fakt gwałtu usunięty od swych legalnych obowiązków został; ponieważ zaś Prezydentura Rzeczypospolitej wakuje, więc z samego prawa Prezydenta zastępuje prezes Gabinetu Ministrów, a ponieważ legalnie jest nim Voldemaras, więc nie kto inny jak on ma moc spełniania aktów Prezydenta Rzeczypospolitej. Z tytułu więc legalnej ciągłości władzy państwowej on jeden, Voldemaras, ma prawo rządzenia; wszystko inne – to tylko stan faktów, ale nie prawa, to tylko uzurpacja.
Nie przeszkodziło to jednak Voldemarasowi wziąć z rąk Tubelisa z funduszów skarbowych kilkadziesiąt tysięcy litów awansu z tytułu honorarium za książkę, którą się podjął napisać o Kłajpedzie. Naiwny Tubelis przypuszczał zapewne, że datkiem zatknie usta Voldemarasowi i że się może tej książki doczeka, a przynajmniej zwiąże niespokojnego „*enfant terrible*" narodowców. Nie taki jednak Voldemaras potulny, żeby się dał nabrać: pieniądze naturalnie wziął, książki naturalnie nie napisał (wszak pisać ją można i lata całe, i całe życie i pomimo to nie napisać nigdy!), a wymyśla na rząd ile tylko może i dołki pod nim kopie jawnie, z niczym się nie licząc, a we wspaniałych apartamentach Banku Litewskiego siedzi, jak siedział, nic nie płaci i ani myśli się wynosić. Nie boi się niczego, owszem – pragnąłby skandalu, rozgłosu, zniecierpliwienia i jakiegoś ekscesu rządu. Bardzo by sobie życzył, by mu wytoczono proces sądowy, bądź karny, bądź cywilny, żeby go wyrzucano przemocą z mieszkania, żeby go aresztowano lub internowano. Ale rząd tego właśnie sobie nie życzy. Popularność Voldemarasa pod wszelkim względem, nawet w kompromitowaniu się i błaznowaniu, nie jest rządowi na rękę, bo to, co mu będzie w opinii poważniejszej poczytane za błazeństwo lub kompromitację, to go w opinii młodzieży „żelaznych wilków" i młodych oficerów może właśnie bohaterem czynić będzie.

5 czerwca, rok 1930, czwartek
Jak co roku, mam teraz przed zakończeniem roku akademickiego dużo do czynienia z pracami seminaryjnymi studentów. W ciągu roku przez moje seminarium publiczne w audytorium przechodzi koło 30 prac seminaryjnych, podczas gdy przeszło drugie tyle do audytorium już nie trafia: te prace, które do audytorium nie trafiają, odczytywane są i debatowane niepublicznie w mieszkaniu moim. Owóż zawsze w końcu roku nagromadza się zapas tych prac zaległych do odbycia i wtedy załatwiamy je forsownie

– co dzień po jednej, po dwie, po trzy. Przychodzi referent i kontrreferent i debatują wobec mnie, ja zaś daję *résumé* krytyczne.
Otrzymałem wezwanie na posiedzenie Rady Uniwersytetu w poniedziałek na drugi dzień Zielonych Świątek. Na porządku dziennym: wybory rektora, prorektora i sekretarza uniwersytetu na rok akademicki 1930-1931. Nowy statut jeszcze nie jest ogłoszony. Jeżeli do poniedziałku ogłoszony nie zostanie – wybory się odbędą na zasadach statutu starego. To znaczy – o ile tylko nie będzie ogłoszony nowy Statut – rektorem wybrany będzie prorektor obecny prof. ks. Błażej Česnys, prorektorat zaś wypadnie z kolei na rzecz Wydziału Medycznego; kogo medycy na kandydata wystawią – byłego z ich ramienia rektora prof. Avižonisa, którego rektorat był najniepopularniejszy i który w ogóle nie ma miru w profesurze, czy też swego dziekana obecnego Łaszasa – jeszcze nie wiadomo. Gdyby się wybory odbyły jeszcze pod działaniem starego statutu, to będą one zapewne wkrótce złamane, gdy nowy statut ogłoszony zostanie; wytworzą one tylko pewne prowizorium i zapewne trzeba je będzie powtórzyć dla wyboru rektora trzyletniego. Ale być może, że pomimo to wybory obecne będą nie tylko manifestacją, bo potem, ponawiając wybory, może się ustalić zasada czy tendencja potwierdzić na nowy termin dłuższy tych samych, którzy już raz zaszczyceni wyborem zostali.

6 czerwca, rok 1930, piątek
Słychać, że rząd zajął się bardzo forsownie sprawą nowego statutu uniwersyteckiego, by go wreszcie przyjąć w redakcji ostatecznej i jak najprędzej ogłosić. Wczoraj projekt statutu był znowu rozpoznawany na posiedzeniu Gabinetu Ministrów. Czy już został ostatecznie przyjęty – nie wiem. Dowiedziałem się jednak w Radzie Stanu, że projekt tego statutu był w tych dniach z Gabinetu Ministrów przysłany „poufnie" do Rady Stanu, raczej o jej prezesa Šilinga dla wygładzenia redakcyjnego i zarazem dla przejrzenia go merytorycznego „w drodze prywatnej". Šiling również „prywatnie" przekazał przejrzenie projektu utworzonej przezeń nieurzędowej komisji, do której wszedł on sam i dwaj nie-członkowie Rady, jeno stali jej „rzeczoznawcy-współpracownicy", pobierający z tego tytułu w Radzie stałą pensję – prof. Kriščiukaitis i filolog docent Salys. Kriščiukaitis i Salys są obaj znawcami języka litewskiego i należą z tego tytułu do komisji terminologicznej i komisji redakcyjnej w Radzie Stanu. Tym razem jednak była to nie jedna z tych komisji stałych, jeno komisja *ad hoc*. Ponieważ się to robiło „prywatnie", więc ta okoliczność, że do tej komisji *ad hoc* Šiling nie zawezwał nikogo z członków Rady, mogła się zdawać usprawiedliwiona: mógł to być rodzaj usługi prywatnej, wyświadczonej przez Šilinga rządowi. Gdyby też chodziło li tylko o stylizację językową, to ostatecznie taki tryb działania mógłby być zupełnie normalny. W istocie jednak komisja ta rozpoznawała projekt nie tylko stylistycznie, lecz także *in meritum*. Siedziała ona nad nim kilka wieczorów, potem już z udziałem ministra oświaty Šakenisa i naczelnika kancelarii Gabinetu Ministrów Mašiolaitisa. Šiling oczywiście potraktował tę komisję jako biegłą *in meritum*, ze względu na obecność w niej dwóch członków uniwersytetu – Kriščiukaitisa i Salysa, zwłaszcza pierwszego. I Kriščiukaitis grał w komisji tej właśnie rolę rzeczoznawcy, kombinatora postulatów rządowych z postulatami uniwersyteckimi. Że rząd może prywatnie korzystać z czyich sobie chce usług – to pewne. Nikt mu tego zabronić nie może i nic w tym nie ma osobliwego. Ale robić to zakulisowo za parawanikiem Rady Stanu – to niewłaściwe. Jedno z dwóch: albo Rada Stanu stanowi kolegium, albo jest tylko jakimś rezerwuarem osób, z którego rząd sam może sobie czerpać wykonawców usług poszczególnych. Zdaje mi się, że takie praktyki są przeciwne kolegialnej naturze Rady. Tymczasem firma Rady Stanu jest w takich praktykach zaangażowana:

odpowiedzialność moralna spada na całą Radę Stanu, podczas gdy czyn jest zakulisowy. Rola Kriščiukaitisa mi się tu nie podoba; jest on biurokratą, który każdemu rządowi usłuży chętnie, a nade wszystko patrzy, aby mu dobrze zapłacono. Charakterystyczny dla Kriščiukaitisa malutki szczególik: rządowy projekt statutu przewiduje dla profesora minimum sześć godzin wykładowych. Oczywiście, Kriščiukaitis, który zajmuje kilka stanowisk płatnych li tylko dla wynagrodzenia materialnego (prezes Trybunału, profesor, współpracownik Rady Stanu, redaktor „Teisė" itd.) i który nie jest żadnym uczonym i najmniejszych predyspozycji i ambicji do pracy naukowej nie posiada, profesurę traktuje rzemieślniczo, nie dałby rady sześciu godzinom wykładów. Dlatego też na jego inicjatywę komisja zakulisowa Rady Stanu zaprojektowała obniżenie minimum godzin z sześciu do czterech. Oczywiście, normalnie sześć godzin – to nie za dużo.

7 czerwca, rok 1930, sobota
Słychać, że Voldemaras znowu udzielił jakiegoś wywiadu prasie. Ponieważ jednak władze, korzystając ze stanu wojennego i cenzury prasowej, zabroniły prasie krajowej drukowania tych skandalicznych wywiadów u Voldemarasa, więc Voldemaras udziela teraz wywiadów prasie zagranicznej, przeważnie niemieckiej. Co wywiad – to nowy skandal. Już stronnictwo narodowe (Związek Narodowców), którego Voldemars jest członkiem honorowym, uchwaliło go oddać pod sąd honorowy partyjny (Voldemaras wszakże oświadczył, że sądu tego nie uznaje i że mu się nie podda). Władze polityczne wraz z prokuraturą zastanawiają się obecnie nad tym, czy nie należy wytoczyć Voldemarasowi sprawy karnej z powodu tych jego wywiadów. Minister sprawiedliwości Aleksander Żyliński wraz z prokuratorem Trybunału Kalvaitisem studiują tę kwestię technicznie, analizując szczegółowo jego wynurzenia i ustalając kwalifikację oskarżenia, rząd zaś rozważa, czy wytoczenie takiego procesu, którego zresztą sam Voldemaras pragnie, byłoby pożądane, czy też przeciwnie – szkodliwe. Tak, Voldemaras to prawdziwy „*enfant terrible*". Ale sam on nic sobie z tego robi i rozmyślnie pogłębia zaognienie, grając oczywiście „*va banque!*". Zresztą elementy, na których się on dziś opiera, są właśnie takie, które on w entuzjazmie dla siebie utrzymać może li tylko szaleństwem. Jest to młodzież zielona i młodzież oficerska – szalone entuzjastyczne pałki, które nie rozumują i rozumować nie chcą, jeno znają jedną jedyną mądrość: zapału i czynu bezpośredniego. Ale do czego ma zmierzać ten czyn, jakie są jego hasła i cele, jaka zasada ma być przeciwstawiona rządom obecnym i istniejącemu stanowi rzeczy – o tym się w kołach zwolenników Voldemarasa myśli najmniej: wierzą oni w Voldemarasa jak w gwiazdę i wierzą, że zasadę wie on i ustali sam, on, mistrz, który myśli za całą Litwę i którego trzeba słuchać jak wodza. Wszystkie elementy rozważne, dojrzałe od Voldemarasa odpadły. Wszyscy liderzy i wodzowie narodowców są przeciwko niemu. Pozostała mu tylko młodzież – szalone pałki, dzicy entuzjaści. Jednego z tych najwierniejszych, jednego i może głównego szefa sztabu akcji Voldemarasowej, Statkusa – młodzieńca, którego Voldemaras za rządów swoich był wyniósł na wysokie stanowisko jednego z dyrektorów Banku Litewskiego, wczoraj właśnie z rozkazu komendanta wojennego wysłano z Kowna. Największą sensację z wywiadów Voldemarasa wywołało jego oświadczenie o rzekomym sfałszowaniu tekstu konstytucji, ogłoszonej w roku 1928. Wrócę jeszcze do tego tematu.

8 czerwca, rok 1930, niedziela
Stało się. Ogłoszony został w „Vyriausybės Žinios" pod datą wczorajszą nowy statut uniwersytetu i jednocześnie osobna ustawa o nadaniu Uniwersytetowi Litewskiemu tytułu: „Uniwersytet Witolda Wielkiego" („Vytauto Didžiojo Universitetas"). W

Krakowie jest „Jagielloński”, w Kownie – „Witoldowy”, zaś Wilno – stolica Jagiełły i Witolda – ma Uniwersytet... Stefana Batorego.
Posiedzenie Rady Uniwersytetu, która było wyznaczone na poniedziałek dla wyboru rektora, prorektora i sekretarza na rok akademicki 1930-1931 w myśl starego statutu, zostało przez rektora odwołane. Rektor zapowiada wyznaczenie tych wyborów – już oczywiście podług nowego statutu – na okres trzyletni, na 1 września.
Przepisy przechodnie do nowego statutu przewidują konieczność zatwierdzenia przez Prezydenta wszystkich obecnych profesorów uniwersytetu. To jest dziwaczne, bo skoro jest tylko statut zreformowany, ale nie nowy uniwersytet tworzony, to wszystkie nominacje, które były dokonane legalnie w myśl przepisów dawnego statutu, winny były się ostać. Tymczasem teraz uczyniono tak, jak żeby dotychczasowy uniwersytet został zlikwidowany, a dopiero był tworzony nowy; w tym względzie przepisy przechodnie kłócą się z przepisami statutu, nie przerywającego ciągłości uniwersytetu. Ale bo w istocie jednym z motywów reformy była, jak wiadomo, rewizja personelu profesury. Procedura zatwierdzenia obecnych profesorów uniwersytetu winna być zakończona do 1 lipca.
Nowy statut obchodzi kwestię katedr Wydziału Teologiczno-Filozoficznego (katolickiego), która stanowiła jeden z najtrudniejszych i najbardziej spornych elementów reformy, ale też jeden z najistotniejszych, który dla wielu stanowił samo uzasadnienie reformy. Mianowicie statut oświadcza, że kwestia ta będzie ustalona w drodze ustawy specjalnej, tymczasem zaś Teologia co do katedr rządzi się przepisami dawnego statutu. Ta sytuacja nienormalna i uprzywilejowana Wydziału Teologii, czyniąca ten wydział jakimś „*status in statu*” na uniwersytecie i dająca mu przewagę nad innymi wydziałami i w ogóle w całej profesurze – to jest wrzód naszego uniwersytetu. Ten wrzód pasożytniczy nie został zlikwidowany. Rząd się nie odważył go dotknąć, chociaż wciąż się dokoła tej kwestii kręcił i ją w projektach swych poruszał. Oczywiście, siła kleru jest u nas jeszcze taka, że się z nim bez rękawiczek obchodzić nie można. Wchodzi tu też w grę protekcja konkordatu. Jest to więc zwycięstwo i triumf teologów. Widocznie wywarli nacisk w ostatniej chwili i skutecznie. Czy sami coś za to dadzą rządowi – wolno wątpić. Będą mu dalej czynili opozycję, dążąc do odzyskania władzy zupełnej, którą dwukrotnie – w r. 1926 i w r. 1927 – utracili.

9 czerwca, rok 1930, poniedziałek
Jeszcze o nowym statucie uniwersyteckim, ogłoszonym w sobotę. W gruncie rzeczy, zmiany, które on zarządza, nie są wcale radykalne i sprowadzają się do pewnych szczegółów, jak mi się zdaje, niezbyt istotnych. To, co było czy też miało być samym „*clou*” reformy – pewne ujarzmienie Wydziału Teologicznego i obcięcie skrzydeł jego rozrastania się w sferę nauki innych wydziałów, czyniącego ten wydział jakąś miniaturą wszystkich wydziałów, a więc embrionem uniwersytetu katolickiego w łonie ogólnego uniwersytetu – to właśnie w statucie nowym odpadło. Cóż zatem pozostało z reformy? Oto zatwierdzenie przez rząd (przez Prezydenta przeważnie) rektora i prorektora, nominacja profesorów, których kandydatury ustalają czynniki akademickie, trzyletnia kadencja rektora, prorektora i dziekanów, drażniąca nieco i nie uzgodniona z zasadą reformy procedura zakwestionowania całego personelu obecnego profesury i zatwierdzanie *da capo* wszystkich, którzy już są profesorami, nieznaczne zredukowanie i zreformowanie układu katedr i etatów na wydziałach, bardzo słuszne zarządzenie w celu przebudowy autonomii uniwersyteckiej od zasad konfederacji wydziałów w kierunku zasad ich federacji ze zwiększeniem władzy federacyjnego senatu kosztem władzy konfederacyjnej rad wydziałowych i władzy unitarystycznej Rady Uniwersytetu

(ogólnego zebrania profesury). Poza tym, szereg poprawek poszczególnych, których nie zanalizowałem jeszcze wszystkich.
Na naszym Wydziale Prawniczym układ katedr i etatów nowego statutu usuwa poza nawias jednego tylko docenta Tumėnasa. Niewątpliwie odpadną jeszcze docenci Kazimierza Szołkowski i Alfons Morawski, których zapewne rząd w procedurze gremialnego zatwierdzania całego personelu obecnego profesury nie zatwierdzi (wszakże w stosunku do nich wcale nie ze względów politycznych, jeno ze względu na ujawnioną przez nich niezdolność do wykonywania zawodu profesorskiego). Co do Tumėnasa, to on był moim wspólnikiem na katedrze prawa konstytucyjnego; ja wykładałem część ogólną (teorię i wzory konstytucyjne), on – prawo konstytucyjne litewskie. Teraz w myśl nowego statutu katedra prawa konstytucyjnego ma tylko jednego człowieka. Nie wątpię, że z nas dwojga tym jednym, który pozostanie, będę i powinienem być ja, a nie Tumėnas. Po pierwsze dlatego, że ja jestem profesorem zwyczajnym, podczas gdy Tumėnas tylko docentem, a po drugie też dlatego, że przez czas mojej profesury ja w moim dorobku mam szereg prac drukowanych naukowych, podczas gdy Tumėnas nie ma ani jednej pracy. Moje też imię w nauce, również w kołach studenckich i w profesurze, ma swoją wagę i ma poza tym pieczęć byłego urzędu rektorskiego, podczas gdy Tumėnas jest „wielkim uczonym” i „profesorem” li tylko w partyjnych kołach Chrześcijańskiej Demokracji, której jest jednym z liderów i byłych ministrów oraz prezesem Akcji Katolickiej. Może zresztą dla Tumėnasa skroi się miejsce na sekcji ekonomicznej, gdzie wykłada on politykę komunalną.

10 czerwca, rok 1930, wtorek
Wraz z ogłoszeniem nowego statutu uniwersyteckiego i etatów nie została jednak ogłoszona jednocześnie nowa ustawa o wynagrodzeniu profesury. Ta nowa ustawa o wynagrodzeniu, podnosząca stopy dotychczasowe, była główną osłodą pigułki nowego statutu, niemiłej dla ogółu profesury. Podejrzewałem, że może ta reforma wynagrodzenia, której nadzieją wciąż łudzono, by opozycję profesury łagodzić, w ostatniej chwili ze względów finansowych odroczona została *ad calendas Graecas*. Jak mię jednak poinformował wczoraj prof. Žemaitis (który zawsze się kręci tam, gdzie są czynniki możne i który zawsze i o wszystkim jest dobrze poinformowany, a zresztą, jako dziekan wydziału, jest jednym z „senatorów” akademickich), nowa ustawa o wynagrodzeniu profesury tylko dlatego nie została ogłoszona wraz ze statutem, że nie zdążono jej w przeddzień Zielonych Świątek wydrukować. Ma być wydrukowana i ogłoszona w tym tygodniu. Podług tej ustawy mógłbym na uniwersytecie dopędzić moje wynagrodzenie do 1900 litów. Mógłbym już porzucić posadę w Radzie Stanu, która mię wcale nie zachwyca. Mając więcej wolnego czasu, mógłbym więcej zarabiać dodatkowo na pracy naukowo-literackiej.

11 czerwca, rok 1930, środa
Na dziś na godz. szóstą wieczorem zwołane było przez dziekana prof. Leonasa posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, pierwsze po ogłoszeniu nowego statutu uniwersyteckiego. Sądziłem, że będzie na nim omawiany cały szereg zagadnień, wiążących się z nowym statutem w stosunku do wydziału, ale tak nie było. Przeważnie omawiane były różne sprawy bieżące – jakieś poszczególne prośby i podania, dyplomy... Wszystkie kwestie, prócz jednej, wypływające z nowego statutu, odroczone zostały do jesieni – do września, kiedy między 1-szym a 15-tym cały uniwersytet będzie się dopasowywał do nowej sytuacji. Zakłóci mi to i zapewne skróci nawet koniec moich wakacji letnich, ale co robić! Wtedy nastąpi wybór rektora na okres trzyletni i dokona się cała reorganizacja statutowa. Tymczasem zaś nic: w myśl przepisów przechodnich –

do d. 1 lipca władze uniwersyteckie muszą przedstawić do rządu na ręce ministra oświaty spisy profesury wydziałów, zastosowane do katedr, przewidzianych w nowym statucie, a do d. 1 września Prezydent Rzeczypospolitej, względnie w stosunku do pewnych niższych kategorii personelu akademickiego – minister oświaty mają dokonać nominacji, statutowo przewidzianej. Dopóki akt zatwierdzenia, czyli nominacji nie nastąpił – jesteśmy wszyscy jeno byłymi profesorami, czasowo w myśl przepisów przechodnich pełniącymi obowiązki do d. 1 września i jednocześnie kandydatami do nominacji, którzy mogą być nie zatwierdzeni. Dlatego też dopiero po dokonanej nominacji, we wrześniu, będziemy stanowili nową profesurę statutową, która dokona reorganizacji, jaka się okaże potrzebna. Dziś stanowimy tylko zdegradowane prowizorium.
Tę właśnie jedyną kwestię – kwestię przedstawienia naszej profesury wydziałowej do nominacji z rozsegregowaniem jej na katedry, przewidziane w nowym statucie stosownie do naszych etatów, dziś załatwiliśmy. Etaty nasze mają akurat tyle miejsc, ilu jest ludzi w naszej profesurze wydziałowej! Na katedrach prawniczych zabrakło miejsca tylko dla jednego docenta Tumėnasa. Ale że Tumėnas wykłada u nas także politykę komunalną na sekcji ekonomicznej, więc tameśmy go do tej sekcji wcisnęli do jednej z trzech katedr ekonomicznych. Sekcja ekonomiczna ma w nowym Statucie trzy katedry z etatami po dwie osoby na każdą katedrę, czyli ogółem sześć osób (nie licząc katedry finansów, należącej do obydwóch sekcji i obsadzonej przez prof. Jurgutisa). Do sześciu osób sekcji ekonomicznej zaliczeni zostali: prof. Rimka i Šalčius i docenci Jungfer, Aleksa, Morawski i Tumėnas. Sekcję prawniczą stanowią: profesorowie zwyczajni Leonas, Kriščiukaitis, Mačys, Janulaitis, Jaszczenko, Wacław Biržiška i ja, profesor nadzwyczajny Bielackin i docenci Stankiewicz, Kazimierz Szołkowski, Tadeusz Pietkiewicz i dr Tamošaitis. Teraz – kwestia zatwierdzenia, czyli nominacji. To się do 1 września wyjaśnić musi. Czy wszyscy będą zatwierdzeni – to się pokaże.

12 czerwca, rok 1930, czwartek
Zakończyłem dziś wykłady na II semestrze. Kursu całego wyczerpać nie zdołałem. Rozdział o publicznych prawach podmiotowych pozostał nietknięty, rozdział o wyborach politycznych – tylko w połowie załatwiony.
Jeszcze słówko o wczorajszym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Z tego, co na tym posiedzeniu mówiono, przekonałem się, że profesura nasza interpretuje przepisy nowego statutu o etatach i katedrach wydziałowych tak, że chodzi tylko o to, aby w ramach etatów cała profesura wydziałowa była rozsegregowana nominalnie podług katedr, natomiast ta klasyfikacja normalna nie ma mieć żadnego wpływu na to, co i kto będzie wykładał, to znaczy, że nadal wszyscy, o ile tylko wszyscy zostaną przez Prezydenta Rzeczypospolitej zatwierdzeni, wykładać będą mogli także i to, jak i co wykładali dotychczas. To znaczy, że jeżeli teraz na katedrze prawa konstytucyjnego jest tylko jeden profesor, którym będę ja, zaś Tumėnas, który był dotąd na tej katedrze drugim, zaliczony zostanie formalnie do innej katedry – na sekcji ekonomicznej, to faktycznie nic się w porównaniu do tego, co było, nie zmieni i ja będę nadal zredukowany do wykładania części ogólnej, podczas gdy Tumėnas nadal wykładać będzie prawo konstytucyjne litewskie. Czy to jest interpretacja ścisła – nie jestem pewny.
W toku debat wczorajszych był – wprawdzie bez wniosku konkretnego – przez jednego z członków wydziału poruszony temat legalności nowej ustawy. Mianowicie dotknął tego w swoim przemówieniu docent Tumėnas, który w ogóle konstytucji z r. 1928 nie uznaje i skłonny jest negować wszystko to, co się nie opiera na konstytucji z r. 1922. Nowego statutu, jako przyjętego nie przez Sejm, nie uznaje on za ustawę, jeno za jakiś

„akt". Z tego stanowiska zakwestionował on legalność jakich bądź uchwał, powziętych na rzecz wykonania nowego statutu. Ta koncepcja nie została przez nikogo podniesiona i w tok debat nie weszła.

13 czerwca, rok 1930, piątek
Imieniny Prezydenta Antoniego Smetony. Miałem być na nabożeństwie galowym na intencję Prezydenta, spóźniłem się, wreszcie pośpieszyłem, ale do bazyliki, nabożeństwo zaś, jak się okazało, odbywało się w kościele garnizonowym (byłym soborze prawosławnym). O godz. pierwszej po południu byłem u Prezydenta dla złożenia życzeń. Wszyscy, którzy składali życzenia, byli zaproszeni na herbatkę imieninową o godz. piątej, ale już nie poszedłem, bo się leniłem. Było gorąco strasznie i miałem w domu dość pracy.

14 czerwca, rok 1930, sobota
Dziś na samo zakończenie semestru jeden z najpracowitszych u mnie dni roku. Mianowicie bowiem wyznaczyłem na dziś colloquium wszystkim tym studentom II semestru, których w ciągu semestru regularnie wezwać do colloquium nie zdążyłem. Okazało się takich aż 112! Rozdzieliłem ich na dwie grupy; w pierwszej – 53 i w drugiej – 59. Grupie pierwszej wyznaczyłem godz. ósmą rano, grupie drugiej – piątą po obiedzie. Było z tym roboty nie lada, bo trybem moich colloquiów musiałem każdego imiennie wezwać, zadać mu kilka pytań jedno po drugim, skorygować odpowiedzi, ewentualnie uzupełnić, wyjaśnić itd. Upał zaś przez cały dzień był nieznośny, więc siedziałem zalany potem. Prawie wszyscy wezwani stawili się. Choć byli to wszystko studenci, którzy na pierwszym colloquium mieli po dwa plusy, jednak colloquium dziś zbyt gładko nie szło, bo przy wielkiej masie uczestników żaden student nie jest w stanie z góry przewidzieć, jakie albo nawet z jakiego rozdziału pytanie mu wypadnie, toteż trudno się studentom przygotować na poczekaniu w ciągu dwóch dni, tym bardziej, że w tym samym właśnie czasie mają oni z innych przedmiotów egzaminy. Pierwszą grupę (53-ch) przesłuchałem od ósmej rano do drugiej po południu, drugą – od piątej do 10.30. Razem przeto zajęło mi to 11 ½ godzin pracy wysilonej. Byłem zmęczony bardzo.

15 czerwca, rok 1930, niedziela
Z mieszkaniem nowa komplikacja. Mam już właściwie od miesiąca najęte nowe mieszkanie w domu niejakiego p. Gomolickiego, Rosjanina, przy Szosie Wiłkomierskiej nr 162 w nowym domu murowanym, w pięknym miejscu wśród ogrodów, z centralnym ogrzewaniem, wanną i wszelkimi wygodami za 400 litów miesięcznie. Mieszkanie to wszakże nie było w maju wolne. Lokator i gospodarz domu zapewniali, że będzie zwolnione do 15 czerwca. Wobec tego zapłaciłem tu za moje dawne mieszkanie jeszcze za jeden miesiąc, a tam dałem p. Gomolickiemu 200 litów zadatku i czekałem. Sprowadziłem już Kazimierza Jankowskiego z Bohdaniszek na przeprowadzkę, ale coś jakoś zaczynało być niewyraźnie, bo Jadzia i służąca Anielka, która kilkakrotnie w ostatnich dniach chodziły się dowiadywać, czy obecny lokator z wynajętego przeze mnie mieszkania się nie wyniósł, wracały zawsze z odpowiedzią przeczącą. Wciąż gospodarz zapewniał, że lada dzień lokator powinien się wynieść, że obiecuje to uczynić, że szuka sobie nowego mieszkania, że już ma upatrzone itd., ale ostatecznie sprawa się nie posuwała naprzód. Lokatorem tym jest niejaki Lozoraitis, człowiek młody, bodajże wicedyrektor Banku Kooperacyjnego, który stał się głośny z tego, że jego młoda przystojna żona była kochanką Józefa Landsberga, byłego buchaltera głównego Banku Litewskiego; jak wiadomo, Landsberg był oskarżony w

głośnej sprawie pobrania grubych sum z Banku Litewskiego przez Kalinowskiego za sfałszowanymi czekami; nie było wyraźnych dowodów winy Landsberga poza obmową samego Kalinowskiego i pewnymi poszlakami, opartymi na niezupełnie porządnym życiu Landsberga i na wielkich jego wydatkach; poza zbudowaniem sobie przez Landsberga pięknego domu przy ul. Podgórnej, gdzie się obecnie mieści poselstwo francuskie, w tych poszlakach figurowała też p. Lozoraitisowa, którą, zdaje się, wraz z jej mężem Landsberg utrzymywał i której dziecka bodaj jest ojcem. Oczywiście, to nie ma nic wspólnego z kwestią mojego mieszkania, ale charakteryzuje poniekąd osobę tego Lozoraitisa, który w tych kombinacjach grał marną rolę alfonsa własnej żony.

16 czerwca, rok 1930, poniedziałek
Byłem więc z Kazimierzem wczoraj u p. Gomolickiego, właściciela domu, w którym nająłem mieszkanie po Lozoraitisie. Okazało się, że Lozoraitis nie myśli się wynosić, nowego mieszkania nie ma, natomiast ma kontrakt z Gomolickim na piśmie z terminem do 1 września. Gdy p. Gomolicki zaprosił Lozoraitisa do siebie, by z nim ostatecznie w mojej obecności się rozmówić, Lozoraitis po rozmowie, w której winę wobec mnie składał z siebie na gospodarza, tak ostatecznie swoją tezę sformułował: zaczekamy do 20 czerwca; przez ten czas Lozoraitis poszuka sobie jeszcze mieszkania; wprawdzie już obecnie szukał, ale odpowiedniego nie znalazł; w każdym razie, nie chce on brać byle jakiego mieszkania, z którego po paru miesiącach znów wypadnie się wynosić; jeżeli do 20-go znajdzie – to się wyniesie; jeżeli wszakże nie znajdzie, to zostanie do terminu swego kontraktu, to znaczy do 1 września. Ze stanowiska tego nie zgodził się zejść mimo perswazji Gomolickiego; na zarzuty Gomolickiego, że przecie Lozoraitis sam mu mówił, iż mieszkanie mu jest niedogodne i za drogie i że się wyniesie koło 15 czerwca, Lozoraitis odpowiadał, że tylko się zgadzał poszukać sobie inne, ale ostatecznie nigdy z kontraktu nie zrezygnował i nie rezygnuje. Gomolicki był w rozpaczy; po wyjściu Lozoraitisa wściekał się na niego, twierdził, że ma świadków, iż Lozoraitis sam się zgadzał na wyniesienie z mieszkania do 15 czerwca, zapowiadał, że będzie wyrzucał Lozoraitisa sądownie, mnie upraszał o cierpliwość, ofiarowywał się zwrócić 200 litów zadatku, ale bez zrywania układu, bo chce mię mieć za lokatora itd. Stanęło na tym, że do 20-go będziemy czekali. Jestem prawie pewny, że Lozoraitis nie wyjdzie i że oświadczy, iż pozostanie do terminu kontraktu. Mam przekonanie, że Lozoraitis spekuluje na to, by dostać od gospodarza lub ode mnie albo od obu odstępnego za wyniesienie się. Niech czeka zdrów! Sądownie gospodarz nic mu teraz nie zrobi, bo przeciwko kontraktowi na piśmie świadkowie nic nie wskórają, a zresztą Lozoraitis obiecywał tylko szukać innego mieszkania, ale kontraktu nie zerwał; poza tym, Lozoraitis komorne do 12 czerwca już opłacił, a że nie opłacił teraz naprzód, to dlatego, że sam gospodarz prosił go o szukanie innego mieszkania, on przeto szukał i szuka i, nie wiedząc, czy znajdzie, czy nie, z góry na razie nie płaci. Nie mówiłem nic Gomolickiemu i Lozoraitisowi o tym, że w gruncie rzeczy dla mnie ta zwłoka do 1 września wcale nie jest straszna. Przeciwnie – wygrałbym na niej 550 litów oszczędności. Do 10 lipca przecierpię na dawnym mieszkaniu, potem wyjadę na wakacje. Niedużo mi tam na tym zależy, aby się przenieść zaraz. Niech sobie Lozoraitis spekuluje na odstępne; ode mnie się go nie doczeka.

17 czerwca, rok 1930, wtorek
Zbliża się dzień wystawy, której otwarcie nastąpi jutro. Wystawa tegoroczna zapowiada się bardziej imponująco niż dotychczasowe. Jest ona jubileuszową ze względu na rok, poświęcony pamięci Wielkiego Xięcia Witolda Wielkiego w 500-setną rocznicę jego śmierci. Będzie to wystawa rolniczo-przemysłowa, połączona z jarmarkiem. Do terminu

tej wystawy, która, jak zawsze, ściągnie wielkie tłumy ludzi z prowincji i wycieczki zamorskie bogatych Litwinów amerykańskich, zastosowane są różne widowiska, uroczystości, zjazdy itd. Będzie to kilka dni wielkiego ruchu, gwałtu, ożywienia, po czym rozpocznie się wyjazd na letniska, do kurortów i nad morze, i Kowno się wyludni. W czasie wystawy czynna będzie operetka i dramat litewski w teatrze letnim ogrodu miejskiego, popisy chórów śpiewackich z całej Litwy (święto pieśni), misterium narodowe z czasów Witolda układu Ludwika Giry w lesie dębowym na Górze Witolda... Przyjeżdża wycieczka dziennikarzy łotewskich, wczoraj otwarta została konferencja organizacji ekonomicznych Litwy, Łotwy i Estonii, zwłaszcza z inicjatywy Izb Handlowo-Przemysłowej i Rolniczej, na której otwarcie i na bankiet okolicznościowy wczoraj miałem od prezesa grupy litewskiej – Dobkiewicza – zaproszenie, alem się nie wybrał.
Pozawczoraj też otwarta została wystawa robót szkolnych w szkole robót artystycznych kobiecych („Moterų Dailės Darbų Mokykla”), w której się uczy Jadźka. Byłem na otwarciu tej wystawy. Prezentuje się ona ładnie; najpiękniejsze zaś niezawodnie są prace właśnie Jadźki – firanki do pokoju jadalnego w domu moim w Bohdaniszkach, portiera do tegoż pokoju, abażur z metaloplastyki i chustka z frędzlami. Zarówno nauczycielki i koleżanki, jak wszyscy zwiedzający przyznają robotom Jadzi pierwszeństwo. Zasłużyła ona na to. Ta dziewczyna kochana – to nie tandeta. Jak złote ma serce, tak szczerozłotą jest cała jej natura. Gdy się do czegoś zabiera, to robi to gorąco, z całą namiętnością i oddaniem się, gnana wielką ambicją doskonałości.

18 czerwca, rok 1930, środa
Byłem na otwarciu wystawy rolniczo-przemysłowej. Postęp w stosunku do lat ubiegłych znaczny. Wystawa zyskała na pawilonach (najładniejszy – pawilon Komitetu Witolda Wielkiego) i w ogóle na zawartości eksponatów. Z państw obcych w wystawie biorą udział z własnymi pawilonami: SSSR, Łotwa, Niemcy, zdaje się – Dania. Bogaty jest dział inwentarza żywego. Wśród koni, których jest bardzo dużo, dominują ardeny, wśród bydła rogatego – holendry, świń – jorksziry. Okazy świń są bardzo ładne. Ptactwa, z wyjątkiem indyków, jest dużo – szczególnie kur i kogutów; śliczne też są gołębie. Nie będę opisywał szczegółowo wystawy, bom jej zresztą szczegółowo całej dziś jeszcze nie obejrzał. Zwiedzę ją jeszcze jutro z Jadzią.

19 czerwca, rok 1930, czwartek
Do obiadu miałem egzaminy studenckie. Zdawało siedmiu studentów. Po obiedzie poszedłem z Jadzią na wystawę rolniczo-przemysłową; takie tam jednak tłumy ludzi i kurz, że trudno coś obejrzeć akuratnie. Wieczorem byłem z Jadzią i Kazimierzem w letnim teatrzyku w ogrodzie miejskim na przedstawieniu operetki „Cnotliwa Zuzanna” („Dorovingoji Siuzana”).

20 czerwca, rok 1930, piątek
Po obiedzie poszedłem z Jadzią na „Święto pieśni”, czyli na wielki popis chórów śpiewackich na Placu im. Piotra Vileišisa. Osobiście miałem zaproszenie honorowe, Jadzia zaś weszła ze mną jako członek mojej rodziny. Ludzi były tłumy. Siedzieliśmy dobrze, w pierwszym rzędzie ław. Był Prezydent, ministrowie, dyplomaci, cały wielki świat. Upał był nadal dziki, wiele dziewcząt spośród chórzystek pomdlało. Służbę sanitarną pełnili skauci, służbę porządkową wewnątrz – šaulysi, na zewnątrz – policja i wojsko. Jakoś święto pieśni tegoroczne pod względem śpiewackim mniej mi się podobało. Chóry śpiewały bez temperamentu, przerwy i antrakty były bardzo długie.

Nie byłem do końca. Wieczorem miałem bilety na misterium Ludwika Giry „Vytauto laikai”, alem się czuł zmęczony i nie wybrał się. Poszła Jadzia z Kazimierzem.

21 czerwca, rok 1930, sobota
Upały są wściekłe. Nieznośnie jest teraz siedzieć w mieście. Tęskno już na wieś, ale przed 10-tym lipca nie ma żadnej nadziei się stąd wydostać. Rada Stanu nie wypuszcza. A nawet nie ma pewności, że na 10 lipca będziemy wolni, bo Šiling coś o 20-tym przebąkuje. Ta Rada Stanu jest najnieznośniejsza właśnie latem. Co do mnie – to od jakiegoś miesiąca nic właściwie w Radzie Stanie do robienia nie miałem, odkąd komisja sądownicza skończyła robotę nad projektem ustawy o adwokaturze i o kandydatach sądowych; kapitalny projekt ustawy o organizacji sądownictwa komisja ma dopiero od jesieni debatować. Wobec tego bywałem teraz tylko na posiedzeniach plenarnych Rady, które się odbywają raz na tydzień, we wtorek, i oprócz tego brałem udział w posiedzeniach komisji debatującej nad ułożonym przez Ciplijewskiego projektem ustawy o hipotece. Teraz wszakże przybyła mi nowa praca w Radzie. Na wniosek Gabinetu Ministrów Rada wyłoniła komisję do ustawowego uregulowania trybu wykonywania statutu ekonomicznego Kłajpedy w stosunkach Kłajpedy z państwem; zagadnienie to ma wiele luk, które wyzyskują Niemcy Kłajpedy, organizujący ostrą walkę polityczną z państwowością litewską. Do komisji pod przewodnictwem Šilinga wydelegowani zostali: ja, Kalnietis, Papečkys oraz dwaj współpracownicy zaproszeni – podprokurator Trybunału Żołkowski (były gubernator Kłajpedy) i prezes Trybunału prof. Kriščiukaitis. Komisja zaś wyłoniła podkomisję w osobach mnie, Żołkowskiego i trzeciego współpracownika – docenta Tadeusza Pietkiewicza – w celu ułożenia pierwszego projektu ustawy kapitalnej w tej kwestii. Ta robota wypełni mi teraz czas przedwakacyjny w Radzie Stanu.

22 czerwca, rok 1930, niedziela
Uf! Upał i upał! Żeby licho wzięło miasto!
W mieszkaniu w domu Gomolickiego wciąż jeszcze nie dochodzę do ładu. Lokator Lozoraitis oczywiście oświadczył, że zostaje w mieszkaniu do 15 września. Mnie byłoby to nawet na rękę, gdybym tylko miał pewność, że 15 września istotnie się wyniesie. Pewne to jednak nie jest, bo kontrakt daje prawo lokatorowi przedłużenia dzierżawy mieszkania na warunkach umowy jeszcze na rok cały. Jedyny więc sposób, żeby Lozoraitis dał na piśmie zrzeczenie się kontraktu od d. 15 września albo zobowiązanie wyniesienia się w tym dniu z mieszkania. Gomolicki będzie tego od niego żądał i nawet gotów mu dać za to odstępnego, ale czy Lozoraitis się zgodzi i czy się zadowoli tym odstępnym, które mu Gomolicki chce ofiarować: *l'appétit vient en mangeant*.

23 czerwca, rok 1930 , poniedziałek
Skończyła się wystawa, minęły wszystkie „święta pieśni” i misteria, Kowno zacznie się wyludniać gwałtownie na wakacje letnie. W końcu bieżącego tygodnia wyjedzie Jadzia, zostanę sam jeden na ciężkie nudne dwa tygodnie smażenia się w upale miejskim i oczywiście – intensywnej pracy literackiej (literacko-naukowej).
Jadzia wyjeżdża wesoła i zadowolona z powodzenia swej szkoły, która się przez wystawę prac szkolnych spopularyzowała i zyskała uznanie, oraz ze swego powodzenia osobistego w szkole, albowiem jej roboty wielkie są na tej wystawie najładniejsze. Jadzia, która jest bardzo ambitna i całą swą duszę wraz z myślą i sercem w swoją szkołę i pracę wkłada, jest w siódmym niebie. Co ona więcej kocha – mnie czy szkołę?

24 czerwca, rok 1930, wtorek
Takie upały i duszność, że aż wytrzymać trudno. Na dzisiejszym posiedzeniu plenarnym Rady Stanu uchwaliliśmy odbyć ostatnie przed wakacjami posiedzenie Rady w d. 8 lipca, po czym zarządzić wakacje do d. 2 września. Ale ta data rozpoczęcia wakacji będzie zależała jeszcze od sankcji prezesa ministrów Tubelisa.
W ostatnich czasach umarło kilku ludzi w moim wieku: umarł adwokat prywatny Bronisław Cyrtowt, esdek, były poseł na Sejm i były sędzia pokoju w Kiejdanach, człowiek światły i zacny, wczoraj umarł były adwokat przysięgły Melchior Šlenys, w roku ubiegłym mianowany „starszym notariuszem", człowiek cichy i uczciwy.

25 czerwca, rok 1930, środa
Źle słychać. Šiling dziś powiada, że premier Tubelis ani chce słyszeć o tak długich wakacjach Rady Stanu, jakie ona sama sobie zaprojektowała (od 8 lipca do 2 września). Nawet miesięczna przerwa w pracach Rady Stanu wydaje mu się za długa. Co najwyżej Tubelis się zgadza na przerwę wakacyjną od 20 lipca do najdalej 15 sierpnia! Źle słychać. Już dla tego jednego trzeba będzie przyszłej zimy umykać z Rady, aby choć wakacje przyszłe mieć wolne i prawdziwe, jakie uniwersytet daje. Wszak dobre wakacje – to cała przyjemność. Tego lata jeszcze się przemęczę – co robić! Jeszcze na uniwersytecie nie podniesiono pensji, a wydatki w Bohdaniszkach i na spłatę długów mam duże – muszę więc jeszcze cierpieć. Ale już niedługo. Nie na tom sobie w Bohdaniszkach dom postawił, aby nawet wakacji nie mieć. I żeby jeszcze było dla czego się poświęcać! Rada Stanu, która w rękach Šilinga jest tylko popychadłem rządu – ani to ciekawe, ani prawdziwie użyteczne.
Mam zresztą nadzieję, że jeżeli te wakacje zostaną tak okrojone, jak tego życzy sobie Tubelis, to w każdym razie będę mógł w pierwszej połowie lipca i w końcu sierpnia choć po pół tygodnia w Bohdaniszkach spędzać, podróżując między Bohdaniszkami a Kownem.
Kazimierz Jankowski dziś odjechał do Bohdaniszek. Z mieszkaniem tymczasem nic nie wyszło. Drugi zawód: z uniwersytetu otrzymałem zawiadomienie, że kredytów na moją jazdę w październiku do Hiszpanii na kongres administracyjny nie ma. Rzecz więc upada. Nie ma rady!

26 czerwca, rok 1930, czwartek
Rano do południa miałem egzaminy. Egzaminujących się miałem czterech: dwie studentki prawniczki IV semestru, student prawnik IV semestru Louis-Hilch Perłow, Żyd, i student prawnik IV semestru Čelkus. Studentki – były to dwie wielkie przyjaciółki, obie – zdolne i żywe, inteligentne dziewczyny – Irena Garmiutė, która jest maszynistką w Radzie Stanu, i Maria Kriščiukaitisówna, córka prezesa Trybunału prof. Antoniego Kriščiukaitisa. Obie wspólnymi siłami, kontrolując się wzajemnie, od wielu miesięcy gotowały się do tego egzaminu. Obie były zaliczone u mnie do uczennic wzorowych; zawsze bywały na wykładach, uczęszczały pilnie ma seminaria moje; Garmiutė w roku ubiegłym celująco odbyła colloquia i w tym roku – seminarium; Kriščiukaitisówna na drugim colloquium nieco się była zachwiała, ale za to na seminarium tak się wyróżniła, że została nagrodzona najwyższym stopniem „*cum laude*". Ale że to kobiety są zawsze mniej lub więcej histeryczki, to znaczy narowiste, więc i tu się nie obeszło bez epizodu; mianowicie Garmiutė stanęła po raz pierwszy do egzaminu przed paru tygodniami. Wyciągnęła bilet nr 10 – doktryna Duguita. Speszyła się nieco na wykładzie tej doktryny, a że jest ambitna i po kobiecemu narowista, więc się tym tak poruszyła, że się zacięła i im dalej, tym coraz szło gorzej, aż wreszcie utknęła – i ani z miejsca; nie rozumiała już najłatwiejszych pytań i straciła zupełnie

głowę, czyli mówiąc po prostu – zgłupiała. Byłem zmuszony ją oddalić. Tak się tym niepowodzeniem przejęła i tak straciła wiarę w siebie, że potem w kancelarii Rady Stanu, dokąd po nieudanym egzaminie przybiegła, płakała i już zapowiadała, że porzuci studia, bo jest niezdolna. W istocie wszakże jest bardzo zdolna dziewczyna, umysł ma żywy, jest bystra i pełna temperamentu. Po trochę się jednak ustatkowała i wróciła do egzaminu ze swą towarzyszką Kriščiukaitisówną. Była wszakże tak niespokojna przed samym zdawaniem egzaminu, blada i jak z krzyża zdjęta, że gdy w swojej kolejce wyciągnęła bilet, to usiadłszy aż się rozpłakała, nie żeby bilet się trafił szczególnie trudny, lecz z poruszenia. Gdybym tylko chciał, mógłbym samym tonem groźnym zupełnie ją zbić z tropu i złamać znowu jej egzamin. Oczywiście tego nie pragnąłem, bo chodzi o sprawdzenie wiedzy i studiów studenta, nie zaś o akt dręczenia, dlatego też obchodziłem się z nią ostrożnie i delikatnie, zachęcając ją i dodając otuchy; toteż nabrała werwy i odpowiadała coraz lepiej, z pewnością siebie i temperamentem. Obie z Kriščiukaitisówna zdały egzamin bardzo dobrze. Dwaj studenci natomiast zdali go tylko dobrze. Kriščiukaitisówna jest prawniczką i zarazem... muzyczką. Jest studentką uniwersytetu na prawie i jednocześnie uczennicą Konserwatorium.
Wieczorem był u mnie z wizytą ks. Viskont z Wilna, były sekretarz biskupa Matulewicza, obecnie przez arcybiskupa Jałbrzykowskiego usunięty z kurii, w której duchowieństwa litewskiego nie zostało. Jest to człowiek rozumny, światły i umiarkowany. Swego czasu był nawet przez Litwinów pomawiany o siedzenie na dwóch stołkach i wysługiwanie się Polakom. Viskont jest Litwinem i patriotą, jest dziś prezesem Litewskiego Towarzystwa Wydawniczego św. Kazimierza w Wilnie. Ks. Viskont opowiadał mi dużo o Wilnie. Rozmowę prowadziliśmy po francusku.

27 czerwca, rok 1930, piątek
Od paru dni słońce mniej świeci, upały ustały. Powietrze jest ciepłe, ale już znośne. Nasza ulica Zielona na Zielonej Górze, przy której mieszkam, zabrukowuje się. Akurat na moje wynoszenie się, bo jednak nie chcę wątpić, że mi się we wrześniu uda zamieszkać w domu p. Gomolickiego przy Szosie Wiłkomierskiej. Mieszkałem przy ul. Zielonej akurat lat 10, od listopada czy grudnia 1920, kiedy wróciłem tu z Wilna po zajęciu go przez oddziały gen. Żeligowskiego. Przez ten czas pięć lat przemieszkałem w domu Mickiewiczowej i pięć lat w mieszkaniu obecnym.
Ulica Tołstoja, przy której mieści się obecnie Rada Stanu w gmachu Ministerium Sprawiedliwości, masfaltuje się i nabiera wyglądu europejskiego. Kowno się cywilizuje.

28 czerwca, rok 1930, sobota
Odbyło się posiedzenie komisji kłajpedzkiej w Radzie Stanu, do której należą członkowie Rady: prezes Šiling, ja, Kalnietis i Papečkys i rzeczoznawcy-współpracownicy: prof. Kriščiukaitis, podprokurator Trybunału Żołkowski i docent Tadeusz Pietkiewicz. W imieniu podkomisji, której było polecone zaprojektowanie ustawy zasadniczej o trybie likwidowania konfliktów między organami władzy autonomicznej i władzą centralną w przedmiocie wykonywania statutu autonomicznego i która się składała ze mnie, Żołkowskiego i Pietkiewicza, zreferowałem główne zasady do unormowania, ustalone przez podkomisję, a następnie każdy z członków podkomisji – ja, Żołkowski i Pietkiewicz – referowaliśmy każdy swój wariant projektu ustawy. Między naszymi trzema wariantami są pewne różnice mniej lub więcej zasadnicze lub tylko konstrukcyjne, wszystkie wszakże, a zwłaszcza mój i Pietkiewicza, osnute są na tezach następujących: a. w pewnych warunkach bezczynności władz autonomicznych lub wyłamywania się tychże z zasad statutowych władza centralna w osobie Prezydenta

Rzeczypospolitej ma moc interweniowania bezpośredniego i nieograniczonego aż do użycia siły zbrojnej i bezpośredniego wykonywania aktów, zastrzeżonych na rzecz autonomii; b. w pewnych warunkach formalnych sabotażu swych obowiązków przez autonomiczny organ ustawodawczy władza ustawodawcza centralna ma moc ogłaszania ustaw tymczasowych w zakresie uprawnień autonomicznych; c. akty administracyjne interwencji i ustawy tymczasowe władzy centralnej mogą być zaskarżane przez organy autonomiczne „sądowi statutowemu”, który też ma moc uchylenia ustaw lokalnych autonomicznych, uchybiających statutowi i zaskarżonych temu sądowi przez władze centralne; d. sąd statutowy organizuje się w łonie Trybunału jako Sądu Najwyższego Rzeczypospolitej albo też osobno i samodzielnie.
Komisja po wysłuchaniu referatów i krótkiej dyskusji odroczyła głębsze rozprawy do czwartku; czwarty wariant ma jeszcze do czwartku opracować prof. Kriščiukaitis, który nieco inaczej kwestię ujmuje.

29 czerwca, rok 1930, niedziela
W przeddzień wyjazdu Jadzi do Bohdaniszek wybrałem się z nią dziś na wycieczkę do Birsztan, których nie znałem. Komunikacja z Birsztanami jest łatwa. Jedzie się autobusem niespełna półtorej godziny. Szosa jest dobrze utrzymana, miejscami nawet, jak między Kownem i Godlewem (Garliava) i między Prenami a Birsztanami – masfaltowana. Ruch na szosie autobusowy i automobilowy – ogromny. Jazda jest miła i ładna. Autobusy do Birsztan kursują wygodniejsze i większe, niż do innych miast i miasteczek. Dokuczał mi jednak i psuł rozrywkę jazdy ból reumatyczny w lewym kolanie, który mam od kilku dni, widocznie na zmianę pogody i mianowicie na niepogodę wielką. W autobusie byłem ściśnięty i nie mogłem wyprostować nogi, aby mi ulżyło, musiałem ją trzymać w kolanie zgiętą i to mi właśnie ból powiększało. Ale wreszcie dojechaliśmy. Powłóczyliśmy się po Birsztanach, po alei wzdłuż Niemna, próbowaliśmy wody ze źródeł Biruty i Witolda, słuchaliśmy koncertu w parku, przyglądaliśmy się produkcji błota do kąpieli. Kuracjuszy i w ogóle ludzi tu niemało, wanny są w ruchu, dużo ludzi starych i ludzi z różnymi defektami nóg. Zjedliśmy w Birsztanach obiad i wróciliśmy do Kowna. Wracając zająłem w autobusie takie miejsce, abym mógł trzymać nogę wyprostowaną, toteż w drodze powrotnej kolano mi nie bolało.
Wieczorem odwiedził mię i dobrych parę godzin na herbatce zabawił u mnie Hektor Komorowski.

30 czerwca, rok 1930, poniedziałek
Raniutko odjechała do Bohdaniszek Jadźka. Niestety, na mnie jeszcze nie czas. Muszę jeszcze siedzieć dla Rady Stanu, choć sensu z tego siedzenia mało. Będę się starał wymykać co tydzień na jakieś dni 3-4, dzieląc czas między Kownem a Bohdaniszkami. Jadźka wyjechała z Kowna pociągiem rannym o godz. 6, który w Radziwiliszkach trafia na wielki ekspres międzynarodowy Paryż-Władywostok (Atlantyk-Ocean Spokojny, czyli Europa Zachodnia – krańce Dalekiego Wschodu Azji). Ten wielki ekspres, zapewne największy i łączący dwa najdalsze punkty wielkiego lądu Starego Świata, od d. 15 maja przebiega przez Litwę po linii Tylża-Pojegie-Taurogi-Radziwiliszki-Poniewież-Abele-Grzywa, która była zawsze kopciuszkiem, linią podrzędną i lokalną, po której tak za czasów rosyjskich, jak za czasów litewskich włóczył się sennie raz na dzień pociąg, traktowany przez wszystkie administracje kolejowe po macoszemu, nagle dostąpiła niesłychanego zaszczytu: stała się odcinkiem wielkiej światowej drogi z Paryża na Moskwę i Władywostok. Okazało się, że ta droga tędy jest najkrótsza.

Uczyniło to przeprowadzenie kolei żelaznej z Szawel na Taurogi-Tylżę, dokonane przez Niemców za czasów okupacji.

1 lipca, rok 1930, wtorek
W kilku ostatnich numerach dziennika ludowców „Lietuvos Žinios" z końca tygodnia ubiegłego i z dnia wczorajszego ukazały się artykuliki charakterystyczne, zatytułowane „Listy z Warszawy" i podpisane: „Stary Warszawianin" („Senas Varšuvietis"). Kto jest autorem tych „listów" i jaka jest ich geneza – nie wiem. Czy inicjatywa, a może i sam rękopis tych „listów" jako „korespondencji" wyszedł bezpośrednio z redakcji dziennika, czy też rzeczywiście są to korespondencje, nadesłane przez któregoś z nielicznych dziś w Warszawie Litwinów, czy może to jest akcja kogoś z Litwinów wileńskich – może dr Alseiki, który w tych dniach bawił w Kownie i który już od paru lat ujawnia pewne tendencje jeżeli nie polonofilskie, to w każdym razie ugodowe w kierunku Polski i jest przez nacjonalistów okrzyczany za przysięgłego polonofila??! Nie wiem, ale byłoby ciekawe wiedzieć. Dawno tego rodzaju głosów o Polsce w prasie litewskiej w Kownie nie było. Od czasu artykułu Bistrasa w „Rytasie" przed laty kilku nie przypominam sobie, abym coś czytał w prasie litewskiej z tendencją życzliwą o Polsce. Artykuł Bistrasa zresztą podkreślał jeno przedmiotowe podstawy ewentualnego sojuszu Litwy z Polską, wyrażając niewykonalność tego postulatu z winy wyłącznie Polski, na którą wszystkie grzechy niezgody zwalał. Te zaś „listy" „starego Warszawianina" stawiają rzecz radykalniej i mocniej. W paru pierwszych „listach" przeważała informacja, w której się mówiło o ugodzie, zapoczątkowanej ze strony polskiej w kierunku Ukraińców i Białorusinów. W ostatnim liście, wczorajszym, wysunięto już postulat zbliżenia Litwy z Polską i skoordynowania polityki litewskiej z polityką państewek bałtyckich (Łotwa i Estonia) i Polski z kategorycznym zaakcentowaniem wspólnego Litwie i Polsce niebezpieczeństwa niemieckiego (Kłajpeda – Korytarz Pomorski) i wspólnego frontu antyniemieckiego i w związku z tym dotknięto ewentualność rewizji sprawy wileńskiej w polityce litewskiej. Nie jestem usposobiony zbyt optymistycznie, nie ulegam złudzeniom i wiem, jak trudnym byłoby przełamanie tradycyjnej linii antypolskiej nie tylko w polityce państwowej litewskiej, ale też w usposobieniach opinii publicznej narodowej i czynników narodowo aktywnych, jak „šaulisy" etc., po prostu już wytresowanych na nienawiści do Polski. Niemniej taki głos w prasie litewskiej jest bardzo ciekawy; i szczególnie charakterystyczne jest to, że się na wydrukowanie takich ze stanowiska tradycyjnego „herezji" odważyło pismo ludowców, którzy odwagą i samodzielnością myśli nie grzeszą wcale.

2 lipca, rok 1930, środa
Czy gdzieś coś się już robi w sprawie ustalenia kandydatur na rektora, prorektora i sekretarza, mających być d. 1 września po raz pierwszy wybranymi w myśl nowego statutu uniwersyteckiego na lat trzy, czy te kandydatury są gdzieś w kołach miarodajnych omawiane, czy ktoś gdzieś o to zabiega – nic nie wiem. Obecnie czynnikiem decydującym będzie już nie wydział, na którego wypada kolejka rektoratu, bo kolejki żadnej nie ma, ale z jednej strony cała profesura uniwersytetu, która wybiera kandydatów, z drugiej rząd, który wybranego kandydata zatwierdza (mianuje). Rząd – to znaczy minister oświaty i Prezydent Rzeczypospolitej. Profesura i dotychczas wpływ miała, bo formalnie wybierała ona, faktycznie zaś mianowała ona kandydata, wskazanego przez wydział, mogła więc czasem wskazanego jej przez wydział kandydata nie chcieć i odmówić mianowania (wyboru), jak było w r. 1925 z kandydaturą Janulaitisa i w r. 1929 z kandydaturą Dovydaitisa. Role więc, które poprzednio należały do wydziału i profesury, obecnie należeć będą do profesury i

rządu. Ustalenie kandydatury stanie się bardziej skomplikowane teraz, bo kandydatury wydziałowe dawały się ustalić w łonie wydziału łatwo; obecnie będzie więcej intryg, tarć międzywydziałowych, ambicji, podchodzeń zakulisowych itd., tym bardziej, że i rektorat, jako trzyletni, stał się cenniejszy i bardziej nęcący.
Ja z zasady palcem o palec nie stukam w kwestii jakichś starań o wybór na to stanowisko, mimo że z wielką radością przyjąłbym kandydaturę, gdyby mi ją ofiarowano. Nikt też z kół rządowych lub uniwersyteckich ze mną o ewentualnym wyborze moim nie mówił. Sądzę zresztą, że w ogóle jeszcze oficjalnie o tym mówić nie zaczęto, bo czasu do 1 września jest dużo. Tylko… Diskin, który, oczywiście, nie jest żadną osobistością ani uniwersytecką, ani rządową i żadnych nigdzie [stosunków?] (poza „Kasą Chorych" miejską chyba) nie ma, powtarza mi zawsze przy spotkaniu, że trzeba byłoby, bym został rektorem, i dziwi się, że o to nie zabiegam, a dodaje znacząco, że to się zrobi. Aliści dziś – od pewnego Żyda studenta, korespondenta żydowskiej „Idisze Stimme", posłyszałem, że rzekomo „mówią" (kto? gdzie? jakieś gawędy, pogłoski oczywiście?) o mojej kandydaturze na stanowisko rektora i że nawet w polskim „Dniu Kowieńskim" była wzmianka o tej mojej kandydaturze. Nie są to, oczywiście, źródła miarodajne i nic jeszcze na tych gawędach fundować nie mogę. Ale gdyby tak?! Cieszyłbym się bardzo. Wszakże palcem o palec nie stuknę. Co to byłaby za radość, gdybym tak we wrześniu znów Magnificencją Rektorem, jak przed dwoma laty, został! Stanowisko, żywa praca, odpowiedzialność, czyn! Ha, złudzenie zapewne!

3 lipca, rok 1930, czwartek
Rano miałem posiedzenie komisji kłajpedzkiej w Radzie Stanu. Obecni byli: prezes Rady Šiling, członkowie Rady Kalnietis, Papečkys i ja i współpracownicy *ad hoc* – Żołkowski i Pietkiewicz. Kriščiukaitis, który już bawi na wakacjach, był nieobecny, ale przysłał swój projekt ustawy, konkurujący z trzema projektami, które już posiadamy – moim, Pietkiewicza i Żołkowskiego – i które stanowią różne zaprojektowane warianty uporządkowania prawnego stosunku Kłajpedy do państwa litewskiego w ramach legalnych udzielonej jej autonomii. Główna różnica między tezami Pietkiewicza i moją z jednej strony a tezą Kriščiukaitisa z drugiej – ta, że w naszej koncepcji władza państwowa centralna, do której z natury rzeczy należy dozór nad legalnością aktów prowincji autonomicznej, sama decyduje arbitralnie, czy i kiedy organy autonomiczne gwałcą statut autonomiczny lub zaniedbują swoje obowiązki wobec państwa i kraju autonomicznego (atatutu) i na skutek tej decyzji wkracza w sferę autonomiczną i czyni akty interwencji przemocą władzy (imperium). Organom autonomicznym zaś udziela się na rzecz obrony ich praw autonomicznych gwarancji skargi na te akty władzy (akty dozoru i akty interwencji) do Sądu Statutowego, utworzonego w łonie Trybunału. Sąd statutowy wyrokuje o legalności aktów dozoru i interwencji. W jednym tylko wypadku, gdy chodzi o legalność ustawy wydanej przez sejmik autonomiczny, władza centralna sama arbitralnie żadnej decyzji powziąć nie może, jeno może zaskarżyć taką ustawę do Sądu Statutowego, który też wyrokuje wtedy o jej legalności i w razie uznania jej za nielegalną – uchyla ją wyrokiem sądowym. Taki jest schemat mój i Pietkiewicza. Natomiast Kriščiukaitis konstruuje zasadę konfliktów między władzą centralną a autonomiczną i nie dając władzy centralnej prawie żadnej mocy decyzji samodzielnej, odsyła wszystkie konflikty do Sądu Statutowego, którego wyrok przeto zawsze poprzedza akcję. Skądinąd jest spór między z jednej strony projektami moim i Kriščiukaitisa, a z drugiej projektem Pietkiewicza – o to, czy projektowana ustawa ma być ustawą dla Kłajpedy, jak chce Pietkiewicz, czy też ustawą ramową o realizacji autonomii, przewidzianej w naszej konstytucji ogólnie bez względu na Kłajpedę. Konstytucja litewska jest jedyną z mi znanych (a znam ich mnóstwo i mam wciąż z

nimi do czynienia jako profesor prawa konstytucyjnego), która mówi o autonomii nie w szczególności, lecz w ogólności, przewidując możność jej nadania każdej prowincji (krajowi w łonie państwa), która się wyróżnia z sytuacji ogólnej w państwie.
Długośmy debatowali i skończyło się na tym, że poleciliśmy specjalnej komisji redakcyjnej, złożonej z Šilinga, Starkusa, Papečkysa i Masiulisa, spróbować ułożyć z czterech różnych projektów jeden projekt ogólny, który następnie komisja kłajpedzka rozważy.
Wyjeżdżam dziś do Bohdaniszek – na razie tylko na dni cztery, bo się jeszcze wakacje formalne Rady Stanu nie rozpoczęły. Do wtorku w Radzie Stanu nie mam co robić, moją zaś pracę zaległą mogę wykonywać równie dobrze w Bohdaniszkach, jak w Kownie, a już mi bardzo tęskno do wsi.

4 lipca, rok 1930, piątek
Przyjechałem rano przez Abele do Bohdaniszek. Nacieszyłem się gospodareczką i śliczną wsią, która jest w pełnym rozkwicie letnim. Wyjątkowa ilość słońca tego lata wraz z dostatkiem w tych stronach opadów atmosferycznych sprawiła, że roślinność jest tego lata niezmiernie bujna. Drzewa zwłaszcza są tak pełne liści, tak gęste, że aż miło patrzeć. Wszystkie moje drzewka, tak owocowe, jak dekoracyjne, żyją i prosperują, nie wyłączając świeżo posadzonych. Wiatr jest jednak północno-wschodni dzisiaj, więc choć słońce świeci, w cieniu jest ostry chłodek. Siano i koniczyna koszą się już i zwożą, wiatr suszy je doskonale. Żyta już bieleją, wcześniej niż zwykle.
W swoim domu zastałem już wykończony pokój jadalny, który – z zawieszoną na drzwiach portierą Jadzi i na oknie piękną ozdobną jej firanką – wygląda ślicznie. Podłoga w jadalnym pomalowana na kolor brudnozielony, całość bardzo harmonijna i poważna.

5 lipca, rok 1930, sobota
Dzień mi schodzi w Bohdaniszkach bardzo mile. Pracuję wcale nieźle, część dnia do obiadu łażę i nic nie robię, po obiedzie zaś pracuję, przerywając pracę spacerkiem koło domu i różną rozrywką drobną. Pracuję nad moją książką kapitalną; opracowuję teraz rozdział o teorii Hauriona. Posługuję się przeważnie moimi notatkami do wykładów, a następnie uzupełniam tekst odsyłaczami i cytatami.
W starym domu u Maryni bawi jej córka Ewa Meyerowa z małą dziewięciomiesięczną córeczką „Bisią” (zdaje się – Elżbieta) i dawna „wychowanka” Maryni – Maniusia Frąckiewiczówna, obecnie pani Radziszewska, która tu z Kielc od męża swego z córeczką pięcioletnią na wakacje do Maryni przyjechała. Maniusia Radziszewska kiedyś w latach 1918-1919 mieszkała w Bohdaniszkach u Papy i prowadziła gospodarstwo całe. Przeżyła ona tu czasy inwazji bolszewickiej, częściowo – okupację niemiecką, wkroczenie wojsk litewskich. Teraz przypomina ona sobie te czasy w Bohdaniszkach wolnych i normalnych. Przytyła trochę, ale wygląda nieźle.

6 lipca, rok 1930, niedziela
Elwira i Marynia jeździły wczoraj do Dusiat na pogrzeb śp. Józefa Stawskiego z Annopola, który umarł w d. 2 lipca. Nie był to jeszcze człowiek bardzo stary, przynajmniej nie tyle stary, aby mu już umierać była pora – miał lat koło 60; ale był schorowany bardzo; od lat kilku był dotknięty początkami paraliżu czy tabesu, który mu się rozwijał stopniowo, utrudniając ruchy i odbierając władzę ciała. Poza tym miał coś jakby raka w płucach, a zdaje się na koniec – raka na wątrobie. Od lat kilku leczył się, jeździł za granicę, radził się lekarzy, odbywał kuracje – wszystko na nic. Na Wielkanoc u mieszczono go w szpitalu miejskim w Kownie i już stan jego określony został jako

beznadziejny; liczono już mu życie tylko na miesiące. Wreszcie na tydzień przed śmiercią krewni odwieźli go do majątku jego; przywieziono go niedołężnego w automobilu w asystencji lekarza, sanitariuszy i pielęgniarki. Józef Stawski chciał jeszcze żyć, miał nadzieję wyzdrowienia, cieszył się jednak, że wrócił do siebie, patrzał jeszcze przez okno na swoją ziemię ukochaną. I umarł wreszcie. Był to nie tylko gospodarz znakomity, ale też człowiek niezmiernie prawy i zacny, cytowany zawsze za wzór nieskazitelnej rzetelności i najsubtelniejszej szlachetności, człowiek bardzo uspołeczniony, czynny w samorządzie, ofiarny, wolnościowy, głowa otwarta. Samotny był w życiu. Miał sześć sióstr, odziedziczył po rodzicach piękny folwark Annopol nad jeziorem Sarty, siostry spłacił rzetelnie, folwark podniósł i zagospodarzył wzorowo. Właściwie Annopol był wlasnością rodzinną nie Stawskich, lecz Wienażyńskich, którzy kiedyś nazywali się Vienažindisami. Józefa Stawskiego ojciec, stary Stawski, również prawości wielkiej człowiek, był żonaty z wdową po Wienażyńskim i osiadł w Annopolu. Pasierbów swoich Wienażyńskich wychował jak własne dzieci i wyposażył ich kupionym dla nich przezeń od Papy folwarkiem Montowszczyzną, Annopol zaś zachował sobie w zamian i synowi rodzonemu przekazał. Stary Wienażyński, ojciec obecnych Antoniego (inspektora rolnego na powiat rakiski), Apolinarego (dyrektora departamentu w Ministerium Rolnictwa, właściciela Rakiszeczek, wywłaszczonych z tytułu reformy agrarnej od Przeździeckiego i nabytych od państwa przez Wienażyńskiego) i Justyna (artysty malarza) – to był właśnie brat przyrodni Józefa Stawskiego. Józef Stawski ożenił się późno z miłości gorącej z p. Gedminówną, Litwinką patriotką, która praktykowała jako lekarz w Dusiatach. Przeżył z nią w idealnej zgodzie i miłości zaledwie lat parę,czy może rok tylko; żona mu zmarła przy urodzeniu córki, która też umarła. Stawski został sam jeden ze wspomnieniem idealnym kochanej żony, której pozostał wierny do śmierci. Ciekawy to był człowiek, głęboki, skupiony, wrażliwy i razem jak opoka mocny. Typ Litwina w najlepszym gatunku. Pogrzeb Józefa Stawskiego był świetny. Dusiaty zalane były tłumem ludzi. Nieboszczyk był znany w szerokiej okolicy i popularny. Wzięły też udział w pogrzebie organizacje okoliczne, w szczególności „šaulisy”, do których zmarły Stawski należał. W chwili spuszczenia trumny do grobu oddział „šaulisów” dał salwę honorową. W pogrzebie brał też udział oddział straży pogranicznej, policja. Nad trumną wygłoszono sześć mów. Po pogrzebie odbyła się w Annopolu stypa wspaniała na kilkaset osób. Na dworze stały stoły zastawione mięsiwem, pieczywem i miodem. Do stołów zasiadało naraz po 150 osób. Gdy jedni wstawali od uczty – zasiadali inni. Na stypę zarżnięto krowę, cielę trzypudowe, kilka świń i kabanków, dano całe zapasy wędliny, jakie były, cały miód tegoroczny i zeszłoroczny. Żadnego testamentu nie znaleziono. Spadkobiercami są siostry zmarłego, z których tylko dwie mają dzieci. Domniemanym dziedzicem Annopola jest siostrzeniec zmarłego – pułkownik Kibirkštis, ożeniony z Kłajpedzianką.

7 lipca, rok 1930, poniedziałek
Skończyły się moje pierwsze cztery dni „przedwakacji”. Wracam do Kowna, aby figurować jutro na posiedzeniu plenarnym Rady Stanu. Spodziewam się w piątek wrócić do Bohdaniszek znowu – i znowu jeszcze tylko na dni cztery. Właściwie w Radzie Stanu szczególnie pilnych rzeczy, które musiałyby być koniecznie w lipcu rozpoznawane i nie mogłyby być w równym skutkiem rozpoznawane we wrześniu i dla których przeto konieczne byłoby siedzenie w Kownie, nie ma, bo zresztą żadnego, zdaje się, z pilniejszych i bardziej zasadniczych projektów, które są obecnie w Radzie Stanu „w robocie”, przed wakacjami nie wykończymy; tak, wszystko to prawda i właściwie żadnych przeszkód istotnych do rozpoczęcia wakacji nie ma, ale... Tubelis

nas jeszcze nie puszcza, i oto: „dwie dziurki w nosie – i skończyło się”, jak mówi dobitne przysłowie szlachecko-białoruskie.
Nie chce się wsi opuszczać – tak tu jest ładnie i tak jest miło w moim domu. I pracować tu można wcale nieźle, a zdrowiej jest o wiele.
Przyjeżdżały do Elwiry z Gaczan panna Anulka Stawska i panna Zosia Wasilewska, które, jak zawsze, bawią tam na wakacjach, jedna – z tytułu bliskiego pokrewieństwa, jako siostrzenica rodzona Piotra Rosena, druga – z tytułu przyjaźni jej matki, p. Brunonowej Wasilewskiej, z Rosenem. Anulka Stawska, która była takim miłym i kochanym podlotkiem, jest już panną zupełną. Ładna jest i byłaby miła, gdyby była trochę mniej zarozumiała i trochę mniej kokietka. Wolałem ją podlotkiem – była moją faworytką tradycyjną przed laty kilku. Anulka Stawska zdała już w tym roku w gimnazjum polskim w Poniewieżu maturę i marzy teraz o wyjeździe na studia medycyny – no, oczywiście... do Polski. Będąc po ojcu czystej krwi Litwinką – tym gorętszą i namiętniejszą jest Polką. Wpływ matki, która przez polskość odcina się od rodziny... „chamskiej” męża, w którą przez swój mezalians z wyżyn domu ziemiańskiego zstąpiła, a jeszcze bardziej wpływ atmosfery polskiego gimnazjum poniewieskiego, w którym utrzymywany jest gorący kult pogardy dla wszystkiego, co litewskie i entuzjazmu dla wszystkiego, co polskie, głęboko się wyżłobiły w tej duszyczce panieńskiej Litwinki Stawskiej, która swoją litewskość za wstyd swój uważa i przeto tym gorliwiej się wyzbywa i od siebie odpycha litewskość, aby uchodzić za Polkę stuprocentową najczystszej rasy mazowieckiej. Polskie gimnazjum w Poniewieżu więcej od obu polskich gimnazjów kowieńskich utrzymuje w swoich abiturientach szczególnego ducha nieprzejednania względem wszystkiego, co litewskie. Jest to gniazdo antylitewskości, szczególny kultywator uczuć antykrajowych, gdzie ideałem cnoty i bohaterstwem jest zdrada kraju i ubóstwianie Polski. Starsze pokolenie Polaków litewskich hołduje względem Litwy zasadom „defetyzmu”, obłudnie udając ubolewanie nad złą drogą, po której kroczy Litwa i udając wierność obywatelską; wszakże na dnie jest tam jeszcze pewien sentyment litewski krajowy. Ale w tym pokoleniu młodych gimnazistów poniewieskich jest już tylko wyidealizowana nienawiść i pogarda dla Litwy, czyniąca z jej zdrady na rzecz Polski – cnotę. O ile wielka masa polsko-litewska litwinizuje się szybko, o tyle ta młodzież polska gimnazjum poniewieskiego delitwinizuje się ostatecznie i do szczętu, wyzbywając się wszelkiego kontaktu z krajem.

8 lipca, rok 1930, wtorek
Pociągiem nocnym przyjechałem z Abel do Kowna, gdzie o godz. 7 ½ rano stanąłem. Udałem się na posiedzenie plenum Rady Stanu, gdzie do godz. drugiej po południu, drzemiąc uczciwie, wysiedziałem. Debatowany był ciąg dalszy projektu ustawy hipotecznej, ułożonego przez Ciplijewskiego, i parę projektów ustaw drobniejszych (o kandydatach sądowych, o używaniu imienia Witolda Wielkiego do reklamy). We czwartek ma się odbyć znowu posiedzenie plenarne. Latem te posiedzenia są niesłychanie nudne.

9 lipca, rok 1930, środa
Rano miałem egzaminy. Egzaminowało się trzech studentów – dwóch Żydów (Zerdin i Blumental) i jeden Litwin (Mozuraitis). Wszyscy trzej zdali celująco.
W Radzie Stanu roboty nie miałem. Pracowałem w domu. Była u mnie Zosia Römerowa, która wyjeżdża do Wilna, wezwana do niebezpiecznie chorego ojca – starego dr Dembowskiego, i był Stefan Römer, który obecnie spędza lato w Szaszewiczach, folwareczku żony pod Bobtami w pow. kowieńskim nad Niewiażą.

Tak mi dzień upłynął. Jutro znowu posiedzenie plenarne Rady. Jeszcze nie wiem, czy będę mógł jutro znów na cztery dni dać do Bohdaniszek nurka.

10 lipca, rok 1930, czwartek
Znowu mieliśmy posiedzenie plenarne Rady Stanu. Zdaje się, że to już przedostatnie. Debatowaliśmy, a raczej czytaliśmy publicznie dalszy ciąg projektu ustawy hipotecznej Ciplijewskiego. Robota polegała na tym, że sekretarz Rady Stanu Morkus odczytywał głośno tekst kolejnego artykułu projektu i robił pauzę; wtedy czasem, gdy artykuł był większej wagi, wnioskodawca Ciplijewski udzielał pewnych wyjaśnień albo też czasem ktoś z członków Rady, po wysłuchaniu uwag Ciplijewskiego albo niezależnie od nich, wyrażał jakieś zastrzeżenie lub wątpliwość co do skuteczności jakiegoś szczegółu w tekście. Głosowania nie zarządzono, było to dopiero pierwsze czytanie, nie ostateczne. Chodzi dopiero o zorientowanie się Rady, ale jeszcze nie o decyzję. Ogółem przerobiliśmy do dnia dzisiejszego w ten sposób 132 artykuły projektu. Ma to być dopiero część pierwsza; część druga jeszcze nie jest gotowa. Właściwie nie było żadnego sensu opóźniać wakacji dla tej pracy niedokończonej, która równie dobrze mogła być we wrześniu czy październiku w plenum Rady wykonywana.
We wtorek ma się znowu odbyć posiedzenie plenarne – zapewne już ostatnie przed wakacjami. Zostaną na nim przedyskutowane zasady projektu unormowania stosunków Kłajpedy do centrum. Świta nadzieja, choć jeszcze nie pewność, że posiedzenie wtorkowe będzie już ostatnie.
Znów na cztery dni wyjeżdżam do Bohdaniszek. Ze względu na wydatki bieżące dopożyczyłem za pośrednictwem Galińskiego 1200 litów z banku. Kupiłem do Bohdaniszek siatkę drucianą (z drutu cynkowego) na płot koło domu i fotel biegunowy.

11 lipca, rok 1930, piątek
Rano przyjechałem do Abel i z Abel końmi do Bohdaniszek. Rozkosz tutaj. Ładnie. Pracuję w gabinecie, okna otwieram, much mniej, znośnie. A za to mam przed sobą na wprost i na bok przez moje duże okno widoki cudowne, bohdaniskie, które myśli dodają wielkości i perspektywy w szczegółach. Piszę rozdział o teorii przemocy jako istocie władzy państwowej.

12 lipca, rok 1930, sobota
Za namową Jadzi zarządziłem reformę w moim trybie bohdaniskim. Ponieważ muszę pracować, a chcę też i Bohdaniszek używać, więc rozłożyłem czas tak, aby do obiadu nic nie robić, a po obiedzie pracować. Jadzia mię przekonała, że trzeba robić na odwrót. Pracować będę co dzień do godz. trzeciej, potem – kiejf.

13 lipca, rok 1930, niedziela
Pogoda się psuje. Słońce w tych dniach rzadsze, chłodno, wiatr. Kąpać się ani brać „wanien” słonecznych nie można.
Maryni „dziewczynki”, jak ona je nazywa, to znaczy Ewa Meyerowa i pani Maniusia Radziszewska (dobre „dziewczynki”, które już są w czwartym krzyżyku, mają mężów i dzieci i już same więdnąć zaczynają!) bardzo są miłe. Trochę są stęsknione towarzystwa na wsi, widocznie pragnęłyby flirtu dla rozrywki. Ewa tym razem lepiej jest do Bohdaniszek usposobiona. Maniusię Radziszewską w Kielcach, gdy tu się wybierała, straszono niesłychanymi niebezpieczeństwami, na jakie się w Litwie rzekomo naraża Polak przybywający z Polski; rzekomo czekają go tu areszty, więzienie, wszelkiego rodzaju męczarnie i szykany. Tymczasem ona tu nawet policjanta na oczy nie widziała. Ma wizy i przepustki w porządku i nikt jej tu w drogę nie wchodzi.

14 lipca, rok 1930, poniedziałek
Bardzo brzydki dzień. Zimno, całe niebo pokryte jedną gęstą niską chmurą z jednego, bez szwu, deszcz pada i pada. Na wieczór trochę ustał. Naturalnie, trzeba było siedzieć w domu. Zapaliliśmy w kominku w pokoju herbowym, wypaliliśmy piec w pokoju Jadzi, że by było cieplej i zwłaszcza suszej. Piotr przywiózł z Abel ze stacji fotel na biegunach, sprowadzony z Kowna.
Na wieczór wypadło mi wyjeżdżać na stację kolejową do Abel na trzydniówkę do Kowna (zdaje się – ostatnią). Korzystając z okazji, Marynia posyła przeze mnie Stefanostwu Römerom ich córeczkę Stenię. Będę się nią musiał opiekować w drodze. Miłe to jest jednak i bardzo grzeczne dziecko, które mi kłopotu wielkiego nie sprawi. Aż do wsadzenia do wagonu opiekowała się Stenią Jadzia, która mię odprowadziła na kolej.
Zapomniałem nadmienić, że przed wyjazdem moim do Bohdaniszek otrzymałem z poczty przysłany mi z Niemiec egzemplarz mojej broszury prawniczej o reformie konstytucji litewskiej z r. 1928, wydanej po niemiecku przez Instytut „Ost-Europa" we Wrocławiu (druk J. Schweitzer w Monachium). Broszura ta, którą napisałem w jesieni po rosyjsku, została przez Instytut „Ost-Europa" przetłumaczona na niemiecki i wydana (przeznaczałem ją właściwie na artykuł do wydawanego przez ten instytut czasopisma „Zeitenschrift für Ostrecht"). Broszura zawiera 41 stronę druku. Z ułożenia jest ona podobna do takiejże broszury pod tymże tytułem, którą w roku 1928 wydała mi po litewsku „Teisė", tylko ta niemiecka jest nieco obszerniejsza i szczegółowsza, bardziej też uwydatniająca pożyczki, dokonane na rzecz nowej konstytucji litewskiej z innych ustrojów konstytucyjnych. Tytuł broszury obecnej po niemiecku brzmi: „Die Verfassungsreform Litauens von Jahre 1928". Honorarium otrzymałem za nią – 130 marek złotych niemieckich (310 litów). Zresztą nie jestem pewny, czy wyszła ona broszurą osobną, czy też jest wcielona do jakiegoś większego wydawnictwa. To, co otrzymałem, jest tylko odbitką niebroszurowaną i u góry ma tytuły generalne: „OstEuropa – Institut im Breslau". „Quellen und Studien". „Arbeitung: Recht". Neue Folgs: J. Heft".

15 lipca, rok 1930, wtorek
Ze Stenią dojechałem do Kowna bez większych [kłopotów]. Tylko w nocy nie dała mi ona spać. Położyła się bowiem na mojej pościeli i spała w najlepsze na materacach i pod kołdrą, ja zaś musiałem leżeć na gołej ławce obok, nakryty własną marynarką. Drugiej pościeli otrzymać dla siebie nie mogłem, bo na jeden bilet daje się tylko jedna pościel, Stenia zaś jedzie bez biletu, a więc na pościel prawa nie ma i jeżeli z niej korzysta, to tylko kosztem moim. Zaś o tym, abyśmy się z nią oboje zmieścili w jednej pościeli na wąskiej ławce wagonu, mowy nie ma. Źle więc spałem i zimno mi było, ale za to Stenia się wyspała. Rano za to bawiła się w wagonie w najlepsze, grzeczna, wesoła, śmiała i rezolutna, wystarczająca sama sobie, nie nudząca się nigdy, zajęta swoim niedźwiadkiem-lalką, to znów patrzeniem przez okno i przeróżną obserwacją. Gdy zechciała do pi-pi, sama mi o tym oświadczyła, mówiąc, że chce „sisi" Potem tylko majteczek nie zapięła, co się okazało przy wysiadaniu w Kownie, ale już tam moja służąca Anielka nas spotkała. Bądź co bądź, Stenia śliczne dziecko, ma naturę bogatą, ciekawa jest wszystkiego, fantazja bujna, a kaprysów nie ma wcale. W Kownie zawiozłem ją automobilem do mego mieszkania, zaprowadziłem potem na śniadanie do Perkowskiego, później przyszedł i zabrał ją Stefan Römer, jej ojciec, który też po obiedzie zawiózł ją statkiem do Szaszewicz.

Przyjazd dziś okazał się niepotrzebny, mógłbym był przyjechać jutro, bo w Radzie Stanu dziś posiedzenia nie ma. Dziś dzień świąteczny jubileuszu Witoldowego – uroczyste wyruszenie portretu Witolda w objazd po całej Litwie. W pierwszym wyniesieniu podróżującego portretu brał udział prezes Rady Stanu Šiling. Ale zdaje się, że za to na jutrzejszym posiedzeniu plenarnym zakończy się sesja Rady i nastąpią wreszcie urzędowe wakacje.

16 lipca, rok 1930, środa
Wreszcie skończyło się. Sesja Rady Stanu na posiedzeniu dzisiejszym została zamknięta i Rada Stanu ma wakacje do d. 2 września. Odbyliśmy dziś aż dwa posiedzenia, aby wyczerpać porządek dzienny – jedno rano od dziewiątej do drugiej i drugie wieczorem od szóstej do dziewiątej, ale już się przynajmniej skończyło. Deliberowaliśmy dziś nad projektem kontroli autonomii kłajpedzkiej. Z czterech projektów pierwotnych – Tadeusza Pietkiewicza, mojego, Żołkowskiego i prof. Kriščiukaitisa – komisja w osobach Starkusa, Papečkysa i Pietkiewicza ułożyła jeden, do którego za podstawę użyła przeważnie projektu Pietkiewicza. Zresztą rozbiła projekt swój na trzy odrębne: 1. o dozorze nad wykonywaniem obowiązków przez władze lokalne Kłajpedy, 2. o sądzie statutowym i 3. o likwidacji konfliktów kompetencyjnych między sądami autonomicznymi Kłajpedy i sądami państwowymi. W dyskusji poczyniliśmy szereg niezbyt zasadniczych poprawek. Motywy do tych projektów mam opracować w Bohdaniszkach ja. Projekty te z motywami zostaną następnie przez rząd przesłane do posła litewskiego Klimasa w Paryżu, który zasięgnie co do nich opinii autorytetów prawa międzynarodowego, jak zwłaszcza prof. Lapradelle'a, aby się zabezpieczyć przeciwko ewentualnym zarzutom o gwałceniu konwencji kłajpedzkiej, które z pewnością podniesione zostaną przez Niemców kłajpedzkich i przez czynniki państwowe i społeczne Niemiec.

17 lipca, rok 1930, czwartek
Byłbym już dziś wyjechał do Bohdaniszek, gdyby nie to, że obiecałem odwiedzić Stefanostwo Römerów, bawiących w ojcowiźnie Marysi Stefanowej Römerowej – w wiosce Szaszewiczach pod Bobtami nad Niewiażą. Wybrałem się tam parostatkiem z Kowna – po Niemnie i Niewiaży. Wyjechałem o godz. czwartej po południu, przyjechałem na miejsce o siódmej wieczorem. W Szaszewiczach zanocowałem. Jutro tę ładną jazdę i wizytę opiszę.

18 lipca, rok 1930, piątek
Przenocowałem w Szaszewiczach u Stefanostwa Römerów, rano wróciłem od nich statkiem do Kowna i wieczorem wyjeżdżam do Bohdaniszek.
O wycieczce do Szaszewicz zanotuję w dzienniku to, com wczoraj nie zanotował. Wyjechałem wczoraj o czwartej z Kowna stateczkiem „Pegazas". Od Czerwonego Dworu (Raudondvaris), gdzie Niewiaża ma ujście do Niemna, statek zawraca na Niewiażę. Jazda po Niewiaży jeszcze mi się bardziej podoba, niż po Niemnie. Dolina Niewiaży jest mało co mniejsza od niemeńskiej, ale sama Niewiaża wąska, płynąca smugą bardzo głęboką (bodaj najgłębsza z rzek litewskich), gładka bez fali, kręci się i wije fantastycznie po tej dolinie, to ją przecinając w poprzek, to naprzód, to wstecz, zygzakami i skrętami niespodziewanymi, ożywia tę dolinę, zabudowaną folwarkami, dworkami, osadami w cieniu drzew wśród zarośli i szuwarów nadbrzeżnych. Z góry, z wszystkich wybrzeży doliny, których stoki są nieraz zalesione, dolina Niewiaży z wijącą się wstęgą wody wygląda jak cudny kobierzec. Przestrzeń od Czerwonego Dworu (ujście Niewiaży) do Sztabownicy, gdzie się do Szaszewicz wylądowuje, lub do

Bobt, jest prostą linią doliny względnie nieduża – na oko wydaje się na kilometrów ± 8, podczas gdy skrętami i zygzakami smugi wodnej – robi się przestrzeń może potrójną. Sama smuga głęboka Niewiaży o prądzie skupionym i równym, intensywnym, ale przeto nie falistym i nie skaczącym, podobna do samej natury litewskiej, piękna jest bardzo; na powierzchni jej gładkiej, obok zmarszczek wirów wodnych, co jak histeria uporu i dziwnych podświadomych kaprysów zamącają równość głębi, pływają wielkie płaskie liście nenufarów i kwiaty lilii wodnych, a brzegi zębate piasków, szczerbione wodami wiosennymi, pełne są otworków, poczynionych przez jaskółki ziemne, gnieżdżące się w tych otworkach, wylatujące z nich i wlatujące oraz uganiające się ponad wodą w połowie muszek i owadów nadwodnych.
Niewiaża rozdziela dwie strefy – czysto litewską na prawym jej brzegu, gdzie się zaczyna Żmudź historyczna (choć nie etniczna jeszcze) i spolonizowaną na lewym jej brzegu. Na lewym brzegu dominuje język polski, który tu w powiecie kowieńskim i dalej na Kiejdany, Krakinów i aż pod Poniewież – wżera się wydłużonym zębem głęboko w terytorium językowe litewskie. Pod Kownem pas między Niewiażą a Wilią jest najbardziej spolonizowany, potem staje się on językowo mieszanym między Niewiażą a Świętą, zachowując większe wydłużenie polskie w stronie zachodniej pod Poniewież, niż na wschodniej, gdzie ku północy roztapia się on w czysto litewskim wcześniej niż na zachodzie, podczas gdy na zachodzie przerzuca się on nie dochodząc Poniewieża – mniej więcej od Krakinowa – na prawy brzeg Niewiaży – na Laudę ku Bejsagole i Radziwiliszkom, by tam znów i ostatecznie się w litewskim rozpłynąć. Teraz wszakże – w dziesięcioleciu Niepodległości – ten schemat spolonizowany ku Bobtom-Żejmom-Kiejdanom znów się nakrapiać zaczyna litewskim, który przenika już i tutaj, rozrastając się w zdobywczym postępie.
Jechał ze mną prokurator Trybunału Kalvaitis, który ma tu nad samą Niewiażą piękny mająteczek Kudrańce – w pasie właśnie polskim. Sam Kalvaitis też ulegał polonizacji i tylko niepodległość Litwy i służba państwowa na stanowisku wysokim prokuratora naczelnego zmusiły go do trzymania się litewskości. Głośno mówi do żony po litewsku, ale żona – przeważnie po polsku, a w domu ma na wakacjach wnuków i córkę jedynaczkę z Częstochowy, zamężną za Polakiem. Nieraz w prasie litewskiej – w organach opozycyjnych – były czynione aluzje do skłonności polskich Kalvaitisa, ale swoją drogą każde stronnictwo, będąc u władzy, nie odważało się go usunąć ze względu na jego rutynę i kwalifikacje zawodowe. Nie ma go kim w Litwie zastąpić. Jest on prokuratorem fachowym, znawcą wytrawnym swojego zawodu.
Wreszcie o godz. siódmej dojechałem (wczoraj) do Sztabownicy. Trzeba wysiadać. Bardzo ładna miejscowość i rzeka oraz dolina pełna życia. Na drugim brzegu mająteczek Bobcin, dawniej folwark czerwonodworski Tyszkiewiczowski, obecnie własność generała Nagiewicza – piękny pałac murowany biały, parawan dawnego parku, budowle gospodarskie solidne, w Sztabownicy – tartak na Niewiaży, dwie ogromne barliny ze Smolnik, dalej rzeka pełna koni, które tu ułani wieczorem pławią i myją (ułani tu letniskują), na przedzie widać niedaleko Bobty, a wstecz prosta linia wielkiej doliny niewiaskiej aż do Niemna i obraz doliny ze wstęgą wijącej się fantastycznie rzeki.
Spotkał mnie w Sztabownicy Stefan Römer i zaprowadził do Szaszewicz.

19 lipca, rok 1930, sobota
Rano przyjechałem ze służącą Anielką do Abel. Tym razem przyjeżdżam już na wakacje ostatecznie. Na stacji był Piotr Skrebys parą koni w linijce. Była jeszcze do zabrania siatka druciana, którą przysłano mi towarem z Kowna z magazynu. Okazało się, że siatka ta może być wydana dopiero o godz. siódmej, kiedy przyjdzie kasjer

kolejowy, a była godz. piąta z minutami. Nie chcąc posyłać koni osobno po siatkę, kazałem Piotrowi zaczekać do siódmej i zabrać siatkę, sam zaś czekać tak długo w Abelach nie chciałem i przeto wybrałem się pieszo z Abel do Bohdaniszek. Poszedłem przez miasteczko za most na rzece Krewnie i dalej łąkami bliższą drogą na Popiele. Bałem się, czy u kładki przez rzekę będą poręcze, bo bez poręczy nie zdobyłbym się na przebycie kładki. Wszystko poszło dobrze. Kładka okazała się mocna, poręcze – dobre. Szedłem nie śpiesząc, ale też nigdzie po drodze nie stając i nie wypoczywając. Przez pachnące łąki, przez aromatyczne laski i zarośla, wśród pól ścieżkami i dróżkami dotarłem szczęśliwie i bez przygód do domu. Na łąkach niezbyt mokro, tylko w kilku miejscach miałem kłopot z przedostaniem się przez rowy bagniste. Gdym jednak doszedł do Bohdaniszek, konie już moje z Abel zastałem.
Ledwie wypiłem w Bohdaniszkach kawę – a tu gość mi się trafił: przyjechał do mnie z wizytą p. Richter z Kazimieryszek zza Aleksandrówki znad samej granicy łotewskiej. Stary to człowiek lat 74, schorowany, ale jeszcze umysłowo rześki i ruchliwy. Kupił on przed laty majątek Kazimieryszki, sąsiedztwu mało się udzielał. Jest to Niemiec rosyjski, tzw. Bałt. Wybrał się do mnie dla złożenia mi uszanowania szczególnego, ze względu na wyrok trybunalski sprzed lat kilku, w którym udział brałem i który zapadł za moim głównie wpływem. Wyrokiem tym cały niemal fundusz ziemski Richtera został ocalony. Kazimieryszki bowiem są położone na samej granicy Litwy z Łotwą; granica ta je przecina. Otóż jest między Litwą a Łotwą konwencja, zawarta jeszcze przed wydaniem litewskiej ustawy o reformie agrarnej. Konwencja przewiduje pewien termin, w ciągu którego właściciele majętności ziemskich, przeciętych granicą, mogą swoją własność po jednej lub drugiej stronie zlikwidować z wolnej ręki. Z wyjątkiem więc lasów, upaństwowionych przed tą konwencją, Trybunał przyznał Richterowi prawo samodzielnego likwidowania swojej własności, będącej po stronie litewskiej, wychodząc z tego założenia, że przepisy konwencji umownej międzynarodowej nie mogły być jednostronnym aktem ustawodawczym jednego z członków umowy (ustawą państwową o reformie agrarnej) uchylone ani zmodyfikowane. Reforma więc agrarna do ziem, dotkniętych tą konwencją, nie stosuje się o tyle, o ile chodzi o prawo właściciela rozrządzania majątkiem w myśl założeń konwencji. Na tej zasadzie Richter ocalił całe Kazimieryszki, przynajmniej tę ich część, która jest po stronie litewskiej, wyjąwszy lasy. Wskutek tego Richter sprzedał działki po 80 ha – żonie, córce, synowi, kuzynce, zachował 50 ha sobie, co razem czyni już 400 ha pozostawionych w rodzinie, 80 ha darował adwokatowi Norejce, który prowadził tę sprawę, 80 ha sprzedał majorowi Januszkiewiczowi, który się nim opiekował i był jego doradcą, a którego brat ożenił się z córką Richtera. Poza tym po stronie łotewskiej pozostawiono Richterowi 110 ha.
Richter zabawił u mnie do godz. czwartej po południu. Rozmowny to pan, wielce ustosunkowany z dawnymi dygnitarzami sądów carskich, z całą starą biurokracją rosyjską. Ciekawy jest i niewyczerpany w opowiadaniach, życiowo mądry i doświadczony, tylko już schorowany. Ma jakąś chorobę starczą opadnięcia wnętrzności o kilka cali, jest więc w gorsecie, który mu cały brzuch podnosi, jeść może tylko mleko i pieczywo suche – nic więcej; posądzam, że to rak w żołądku, bo to głodzenie się mleczne i niemożność jedzenia są właśnie charakterystyczne dla raka.

20 lipca, rok 1930, niedziela
Zanotuję szczegół o p. Richterze – moim gościu wczorajszym w Bohdaniszkach, ilustrujący teorię „cudów". Jest to „cud" zapewne zupełnie taki sam, jak to, co się wydarzają w świętych miejscach cudownych. A „cud" to autentyczny. Richter był od lat trzech sparaliżowany. Nie mógł o siłach własnych chodzić ani dźwigać się. Nie chodził

też nigdzie, z wyjątkiem od łóżka do fotelu i od fotelu do łóżka. W tych zaś „wycieczkach" między łóżkiem a fotelem mógł iść, a raczej posuwać się tylko z pomocą innego człowieka, który go wspierał. Pewnego wieczora siedział w fotelu, gdy strażnik pograniczny łotewski przyniósł mu dwie depesze, adresowane do niego na jakąś stację pocztową pograniczną w Łotwie, najbliższą jego majątku, położonego już w Litwie. Depesze pochodziły: jedna – od adwokata Norejki, który prowadził jego sprawę w Trybunale o własność ziemi (sprawa z Ministerium Rolnictwa, o której wzmiankowałem wczoraj), druga od majora Januszkiewicza. Obie depesze donosiły mu o tym, że sprawa jego w Trybunale została wygrana. Pan Richter nie liczył już wcale na to. Wyrok trybunalski uwolnił jego majątek od działania reformy agrarnej. Pan Richter na skutek tego wyroku odzyskiwał cały majątek, oprócz lasu – to znaczy ocalał kilkaset hektarów ziemi. Po przeczytaniu obydwóch depesz paralityk skoczył z fotelu i był zdrów. Odzyskał władzę samodzielnego poruszania się, chodzenia, skakania. Był w wieku już przeszło 70 lat. A że wyrok Trybunału zapadł głównie za moją sprawą, bom w tej sprawie zasiadał w charakterze sędziego i referował ją, więc czy nie do mnie należy ten cud?!
Brzydki dziś czas. Zdaje się, że lato tegoroczne podzielić wypada na dwa okresy: jeden przepiękny do mojego przyjazdu na wakacje i drugi brzydki – dżdżysty i chłodny – od mojego przyjazdu na wakacje. Taki los.

21 lipca, rok 1930, poniedziałek
Chmurno. Deszcz. Niezbyt ciepło. Wiatr – zachodni. Jadzia zaczęła projektować deseń z motywów ludowych litewskich na pomalowanie ozdobnego szlaku górnego w pokoju „herbowym" (portretowym) mojego domu.
Poza tym dzień upływa cicho, równo, sennie.

22 lipca, rok 1930, wtorek
Pojechałem po obiedzie do Gaczan. Niby to pretekst – imieniny Marysi Józefowej Stawskiej, która bawi właśnie u brata w Gaczanach. W istocie jednak to był pretekst tylko, bo Marysi imieniny urzędowo się nie obchodzą, a zresztą wątpię, aby ona miała nawet ochotę po temu, gdyż, zdaje się, mąż właśnie odsiaduje więzienie, na które wyrokiem Trybunału na 1 ½ miesiąca skazany został za łapówki. Chodziło w istocie nie o te imieniny, jeno o ten fakt, że w Gaczanach nagromadziło się bardzo dużo młodzieży – cały bukiet panienek, którym potrzebny jest ruch i zabawa. Ich obecność w Gaczanach ściąga tam młodzież Elwiry z Bohdaniszek, ale tego nie wystarcza. Panien jest bez liku, ale młodzieży męskiej ani rusz, a jeżeli jest – to albo dzieci, albo jakieś braki. Jest to cecha ogólna społeczeństwa Polaków litewskich w Litwie niepodległej, a zwłaszcza jego gałęzi ziemiańskiej, że brak jest młodzieży męskiej. Dużo kobiet wszelkiego wieku, sporo mężczyzn starszych, są dzieci, ale młodzieńców – liczyć na palcach. Co silne, zdatne do pracy, energiczne, liczące na siły własne lub pragnące kariery – to z miejscowego społeczeństwa polskiego ucieka do Polski. Abiturienci gimnazjów polskich marzą tylko o studiach akademickich w Polsce, o wojsku – polskim. Jeżeli zostają – to ci, których nie stać na wyjazd. Nieliczni są ci, co zostają tu na miejscu, odbywają wszystkie obowiązki względem państwa – bądź z przywiązania do Litwy (to najrzadsze), bądź z poczucia obowiązku społecznego wobec rodaków i utrzymania tu polskości, bądź z jakichś innych pobudek własnych – świadomie i z rozmysłem. Ogromna więc ilość młodzieży polskiej męskiej wyjeżdża, zubożając przeto polskość w kraju i ułatwiając postępy litwinizacji, które są bardzo znaczne.
„Na bezrybiu i rak ryba" – jak powiada przysłowie. Gdzie przeto brak panienkom młodzieży męskiej tam i ersatz-mężczyźni w postaci podtatusiałych panów przejrzałych

albo wręcz dziadów, jak również różne wymoczki, braki i najmłodsze chłopaki zyskują na wartości, jeżeli tylko potrafią być weseli, zabawni i zdatni nie tylko „do różańca". A że ja mam opinię umiejącego bawić młodzież i umiejącego się bawić z młodzieżą, gdy mi humor dopisze, jak nikt inny, więc panny gaczańskie z uroczą maturzystką Anulką na czele poczyniły starania, aby mnie na dziś zwerbować. Uczyniłem to chętnie, bo i Rosenom winienem był tę wizytę. Pojechałem z Ewą Meyerową, którą wiozłem moimi końmi, Marynia zaś pojechała z Elwirą, a dzieci Elwiry z Niemeczką panną Irmą z Kłajpedy, najętą dla wprawiania Heli w języku niemieckim, pojechały osobno. Zebrało się w Gaczanach towarzystwo liczne. Starszą część towarzystwa składali: Piotr Rosen z żoną, Marysia Stawska, Elwira Mieczkowska, Marynia Römerowa i pani Dąbrowska – teściowa Antoniego Wienażyńskiego, zajadła Polka, która się wiecznie kłóci z mężem na tematy narodowe. Co prawda, ja bym się był powinien [zaliczyć] do tej generacji naj-„starszej", ale w tym wypadku stałem ponad generacjami, bo byłem duszą i ośrodkiem całej zabawy. Wiek średni – ponad trzydziestkę – reprezentowała jedna Ewa Meyerowa, jej koleżanka i towarzyszka bowiem Maniusia Radziszewska pozostała w Bohdaniszkach. Wreszcie młodzież składali: z płci męskiej – tylko Justyś Stawski – chłopiec przystojny, ale mało się tam rozczulający do panien i bardzo pozytywny, i Andrzej Mieczkowski, jeszcze „scyzoryk" dopiero, ładny, ale w tym wieku, kiedy jest się nieśmiałym; za to z płci żeńskiej, z panien – cała gamma, cały romans: a więc Anulka Stawska, maturzystka, w całej krasie, pełna temperamentu i przedziwnej swojskości, przyszła „lwica", jak ją Herbaczewski w roku ubiegłym określił, Litwineczka modrych wód i strumieni; dalej jej koleżanka, która do niej w gościnę przyjechała, maturzystka także, p. Janina Prifferówna, córka adwokata przysięgłego Priffera z Telsz, sympatyczna, pełna wdzięku brunetka o dużych oczach, bardzo naturalna a szczerze wesoła i grzeczna, dalej p. Stefania Stefanowiczówna, córka aptekarza z Dusiat, także była uczennica gimnazjum polskiego w Poniewieżu, które ukończyła przed dwoma laty, blondynka jasna okrągła i dość pełna, dalej Hela Mieczkowska, przylepiona zawsze do towarzyszek, szczera wobec nich, dobra dziewczyna, ale też głupia, Niemeczka Irma o gołych, opalonych w Sandkrüg na plaży morskiej aż do barwy brunatnej [ramionach], zresztą bardzo zgrabna, dalej piękna, podrastająca Zosia Wasilewska i podlotek Marysieńka Stawska.

23 lipca, rok 1930, środa
Jeszcze o Gaczanach wczorajszych. Do tych trzech generacji towarzystwa, które wyliczyłem wczoraj, najstarszej, średniego wieku i młodzieży, i z których pierwsza i trzecia licznie się prezentowały, podczas gdy wiek średni był reprezentowany przez jedną Ewę Meyerową, trzeba jeszcze dodać generację czwartą – dzieci. Nawet w najstarszej, jakeśmy widzieli, przeważają kobiety. Średni wiek – to ta generacja, która była młodzieżą w dobie Wielkiej Wojny i natychmiast po niej, gdy się nasze młode państwa naradzały. Z tej generacji poza Ewą nikogo nie było, ale i Ewa jest tutaj tylko gościem letniskowym z Polski. Ta generacja w społeczeństwie ziemiańsko-polskim Litwy niepodległej prawie że zupełnie nie istnieje, wyemigrowała ona prawie cała do Polski: mężczyźni wyemigrowali do wojska lub na służbę państwową polską, panny – za nimi, aby wyjść za mąż. Młodzież dzisiejsza – to już powojenna. I w niej przeważają panny, bo chłopcy w dalszym ciągu ciągną ku Polsce; ciągną za nimi i panny, ale te się zwykle opóźniają nieco. Można powiedzieć, że ideałem każdego ucznia i każdej uczennicy gimnazjum polskiego w Poniewieżu jest wstąpienie na uniwersytet do Polski i ostatecznie pozostanie w tym przybytku doskonałości – w Polsce – na zawsze.

Z generacji więc dziecinnej byli w Gaczanach: Lutuś i Antoś Roseniuki i ich siostrzyczka młodsza, Michaś Mieczkowski, Dzidzia Radziszewska – córka Maniusi – i mały Wienażyński – synek Antoniego.
Młodzież i dzieci bawiły się wspólnie. Bawiono się ochoczo i wesoło w gry towarzyskie – w karczmę, w dżenkinsa, w króla, w sekretarza, a ja w tych grach prym trzymałem,ześrodkowując na sobie uwagę powszechną. Byłem w doskonałym usposobieniu, miałem wenę i temperament, bom nie miał rywali. Justyś Stawski i Andrzej Mieczkowski, jedyni kawalerowie, pannami się nie zajmowali, toteż uwaga wszystkich panien byłaześrodkowana na mnie i przez nikogo nie odciągana. A panny – to stworzenia dziwne: są lepkie na modę i każda z nich jak owca leci za stadem i jak ćma wpada w to, co świeci i błyska. Trzeba być błyskotliwym, wszystko jedno – na jaki sposób, byle na siebie uwagę ściągać, a wtedy, o ile tylko nie ma nikogo, kto by potężniej zabłysnął – zwłaszcza młodą męskością – panny rzucą się na ciebie swoją słodką i pachnącą adoracją, choćbyś był podstarzały i wcale nie piękny. Rzucą się i będą tajać i gotowe będą prawie do pocałunków, a już do objęć, do dawania się schwytać itd. – to na pewno. Miałem więc krótką, ale miłą rozrywkę takiego wtopienia się w adoracje panieńskie, tchnące młodością ubiegłą. Zaraz po herbacie jednak wyjechałem.
Dziś dzień mi zeszedł zwyczajnie, ale wieczorem zaszła rzecz przykra, która mię napełniła niepokojem o Kazimierza. Posłałem Piotruka i Kazimierza przez Abele do Antonosza po stół jadalny i po stolarza Paurysa. W drodze zdarzył się z Kazimierzem wypadek, o którym napiszę jutro.

24 lipca, rok 1930, czwartek
Wczoraj posyłałem Piotra Skrebysa i Kazimierza Jankowskiego dwiema furmankami do Abel i Antonosza. Mieli mi przywieźć stół jadalny i stolarza Paurysa dla odrestaurowania niektórych mebli w Bohdaniszkach. Wrócili po obiedzie, stół przywieźli, stolarza – także, ale Kazimierz wrócił nieswój. Ledwo się trzymał na nogach i położył się zaraz do łóżka. Okazało się, że go spotkała w drodze przygoda. Pod Ginduryszkami kary, w których jechał, wyskoczyły z kół przednich; koń z kołami przednimi pobiegł, a kary upadły nosem naprzód i Kazimierz spadł z siedzenia na dno i bardzo mocno zbił sobie krzyż. Nie wrócił jednak zaraz po wypadku do domu, lecz pojechał do Abel i Antonosza. W drodze czuł się tak źle i miał takie bóle, że w Abelach myślał już, że umrze. Doświadczał też nudzenia, co wskazywałoby na wstrząśnienie mózgu. Gdy się położył do łóżka, to miał krzyż tak zbolały, że się nie mógł o własnych siłach z boku na bok przewrócić. Ewa Meyerowa zrobiła mu kompres, a Piotruk Skrebys nacierał mu krzyż kamforą. Wieczorem miał przeszło 38 stopni temperatury. Zachodziła obawa, że może ma kość pękniętą. Chciał baniek albo puszczenia krwi. Dziś rano temperatura spadła. Kazimierz wstawał nawet i trochę chodził mimo moje protesty. Po obiedzie sprowadziłem doń z Miczun felczera Klišonisa z bańkami. Klišonis skonstatował, że żadnego złamania kości nie ma i że samo przez się stłuczenie ciężkie nie jest. Zdziwił się wszakże i zaniepokoił tym, że gorączka znowu tak wielka – 38 stopni. Przypuszcza, że Kazimierz miał oprócz tego grypę lub przeziębienie i gorączkował jeszcze przed potłuczeniem się, czemu sam Kazimierz przeczy. Klišonis bańki postawił, lekarstwo zapisał. Nic by już strasznego nie było, gdyby nie temperatura, wskazująca na jakiś proces wewnętrzny zapalny i na niebezpieczeństwo zapalenia płuc, które się u człowieka starszego rozwija od samego faktu dłuższego leżenia. Zapalenie zaś płuc dla człowieka w wieku Kazimierza, który liczy 70 lat, jest zawsze śmiertelne. Bardzo mię to niepokoi.

25 lipca, rok 1930, piątek
Do Elwiry przyjechali młodzi Geysztorowie z Suwalszczyzny. Są to nasi dalecy krewni po Świdach. Mój dziad Mieczysław Tukałło, zmarły w roku 1883, ojciec Mamy, rodził się Świdówny – mojej prababki Konstancji ze Świdów Tukałłowej. Z tychże Świdów pochodził Ludwik Świda, właściciel majątku Hranicze, położonego w powiecie wilejskim, gdzieś w okolicy między Nowym Dworem Wołodkowiczów a Starzynkami Babci Zuzanny Tukałłowej. Ludwik Świda był bodajże wnukiem, a może synem brata prababki Konstancji Tukałłowej. Jedna z jego córek Marynia Świdówna, mniej więcej rówieśnica moja, wyszła za mąż za Stefana Geysztora w Suwalszczyźnie i to jest właśnie matka tych młodych Geysztorów, którzy przyjechali wczoraj do Mieczkowskich. Świdów z Hranicz spotykałem dość często w młodości, bywając w Kasucie i Nowym Dworze, a nawet kiedyś, w roku 1894 czy 1895, za namową i podjudzeniem młodzieży kuzynowskiej – na żart pocałowałem kuzynkę Marynię Świdównę, dzisiejszą p. Geysztorową, czym ją, zdaje się, mocno uraziłem. Był to, zdaje się, pierwszy mój pocałunek. Nie podobała mi się ona zresztą wcale i w ogóle Świdowie hraniccy byli zawsze po trochę pośmiewiskiem naszej młodzieży kuzynowskiej Wołodkowiczów, Bohdanowiczów etc. Pan Stefan Geysztor, mąż Maryni Świdówny, jest synem znanego patrioty z obozu ówczesnych „czerwonych” czy „demagogów” doby powstania r. 1863 – Jakuba Geysztora. Sam p. Stefan Geysztor, człowiek, zdaje się, miernej inteligencji, ale wielki patriota polski, spadkobierca imienia Jakuba Geysztora, a przez to samo usposobiony przeciwko Litwie, dał się w roku 1919 wciągnąć w ruch POW i był sądzony i skazany w wielkim procesie peowiackim w Kownie; z tego też tytułu jego część majątku ziemskiego uległa konfiskacie, ale ponieważ majątek należał w połowie do żony, więc Geysztorowie uzyskali jedną normę niewywłaszczalną i utrzymali się przy centrum majątku, położonego przy samej szosie między Godlewem a Prenami. Majątek jest piękny, a p. Geysztorowa, z tradycji i krwi Świdów, jest zawołaną gospodynią, oszczędną, zabiegliwą, praktyczną i gospodarną. U Geysztorów właśnie przebyła cały rok w charakterze nauczycielki domowej Litka Komorowska. Ci, co teraz przyjechali, to są starsze dzieci pp. Geysztorów. Syn starszy jest już na wyższych studiach w Antwerpii, córka zaś – Szczęsna Geysztorówna – była koleżanką Helci Mieczkowskiej u Nazaretanek w Wilnie. Poznałem dziś tę parkę młodych Geysztorów. On – dość sympatyczny, wesoły, uśmiechnięty, widocznie łatwy, wrażenia wielkiej inteligencji nie czyni. Ona, Szczęsna, typowa Świdówna – mdła, prozaiczna, bez temperamentu. Helcia Mieczkowska ze swą przesadą na poły naiwną i na poły histeryczną rozpływa się w zachwycie nad swoimi gośćmi: nowe u niej sitko na kołku.

26 lipca, rok 1930, sobota
Rozpocząłem dziś kampanię słońca i wody. Kąpię się w sadzawce dolnej i wygrzewam się na brzegu w słońcu, czytając książkę. Chcę opalić ciało w słońcu. Na początek jednak mało dziś miałem słońca. Za to kąpiel dobra. Pływałem jak zawsze. Jest to sztuka, której raz się nauczywszy, nie zapomina się nigdy.
Na sadzawce kąpielowej po kilka godzin dziennie spędza młodzież Mieczkowskich z Fraülein Irmą i młodymi Geysztorukami. Kapią się wspólnie w kostiumach, pływają łódką, którą w roku ubiegłym od Żyda kupili; choć łódka stara i przeciekająca, jednak z biedy pływać można, wyczerpując ciągle wodę.
Żniwa w pełnym toku. U mnie jeszcze nie zaczęte. Gazet od tygodnia nie miałem w ręku. Nie tęsknię zbytnio do nich.
Kazimierz wrócił już do zdrowia. Tym razem szczęśliwie jeszcze uszedł niebezpieczeństwu.

27 lipca, rok 1930, niedziela
Rano, gdym już po kawie siadł pracować w gabinecie, a Jadzia była wyszła na swój „placyk", który nazywa „Eičiupis", wpadła nagle do domu mego wataha gości gaczańskich, a następnie i swoich ze starego domu. Pierwszy wpadł Piotr Rosen, który poszedł po pokojach mię szukać, a już w jadalnym stała straż przednia w osobach uroczych dwóch koleżanek – oczywiście Anulki Stawskiej i p. Janiny Prifferówny. Zaczęły się oględziny szczegółowe mojego domu, zachwyty, uwagi, harmider. Za młodzieżą posuwała się na ostatku aż najcięższa artyleria w osobie samej mamy – Marysi Stawskiej, którą pamiętam jeszcze równie uroczą i ponętną gdzieś przed laty 30 i więcej, ale która już dziś wszystko ze swych wdzięków i ponęt straciła. Anulka Stawska – to typ rozrzucony, wesoły, przytulny, trochę dziwacznie dziki, jakiś hajdamacko-cygański, ambitny, a razem litewsko-uczuciowy. Przyszła „lwica" – jak ją w roku ubiegłym określił Herbaczewski. W każdym razie – rozkoszna dziewczyna. Ale ciężka żona dla tego, komu w losie wypadnie. Panna Janka Prifferówna – to inny rodzaj: bardzo dobrze ułożona, przystojna, miła, grzeczna, gładka, Polka czystej krwi spod Łowicza, choć już urodzona i wychowana w Litwie; pieszczotliwa jak koteczka, ale nie kozak. Cała wataha przeleciała przez mój dom, narobiła hałasu, naśmiała się i zabawiła i poleciała na kawę do Elwiry, a stamtąd niebawem Rosen z Marysią Stawską, Anulką i p. Prifferówną odjechali do Rakiszek na pociąg.
Kąpałem się i brałem wannę słoneczną dziś po raz drugi.

28 lipca, rok 1930, poniedziałek
Poniedziałek – feralny dzień, w którym porządny gospodarz żniw nie rozpoczyna, toteż nie rozpoczynamy ich i my z Piotrukiem. A wszędzie już dokoła żniwa są albo już w pełnym toku, albo skończone. U sióstr moich także. Zresztą u mnie kawałek żyta jest tak niewielki, że „żniwa" nie potrwają długo.
Nie mam jeszcze cementu i nie mogę się doczekać cegły, toteż moja oficyna, której mur w zeszłym roku został niedokończony, stoi bez ruchu aż dotąd. Sinica nie zaczyna jeszcze roboty, bo materiału nie ma. U Jadzi cieśle w tych dniach dom mieszkalny stawić zaczną. Wieczorem na „placyku" Jadzi, czyli w „Eyczupisie" – alarm: zachorowała nagle matka Jadzi. Pracowała z synami w żniwach, aż nagle po podwieczorku zaczęło ją ziębić, osłabła i położyła się. Po zmierzeniu przez Jadzię gorączki okazało się, że ma przeszło 40 stopni temperatury. Skarży się na kłucie w boku. Oby też nie było zapalenie płuc. Jadzia chodzi jak struta i nie wie, co robić.
W gazetach była wiadomość – krótka i lapidarna – że prof. Voldemaras, jako osobnik niebezpieczny dla spokoju wewnętrznego, rozkazem komendanta wydalony został z Kowna, jednocześnie zaś jego rzeczy usunięte zostały z mieszkania, które nielegalnie prawem kaduka zajmował w Banku Litewskim, ani myśląc się z niego dobrowolnie wynosić. Ciekaw jestem, czy ten akt represji wywołany został jakimś nowym konkretnym działaniem Voldemarasa, czy też stanowi on tylko akt zwrotu w traktowaniu tego dziwnego opozycjonisty. Rosen mówi, że radio z Warszawy bardzo szeroko i szczegółowo się rozwodziło nad szczegółami wykonania tego zarządzenia.

29 lipca, rok 1930, wtorek
I dziś jeszcze nie zacząłem żniwa, bom posyłał Piotra i Anielkę we dwie pojedynki do Rakiszek – po cement, farbę itd.
Doczekałem się dziś pierwszego własnego przychówku świń. Duża tłusta maciora, którą przed rokiem kupiłem prosięciem z Rakiszeczek z chlewu Apolinarego

Wienażyńskiego, przyprowadziła mi pięcioro prosiąt, z których jedno – małe i pokaleczone – niebawem zdechło. Cztery pozostałe prosiątka są bardzo ładne i duże.
Oto są wiejskie rozmaitości: Čepasowa – matka Jadzi – jak nagle wczoraj zachorowała, tak nagle dzisiaj wyzdrowiała.
Młodzi Geysztorowie, którzy byli gośćmi Elwiry w ciągu dni pięciu, odjechali. Pojechali jeszcze do Kowaliszek i do Zygmuntostwa Rutkowskich do Koźliszek. Pisząc przed kilku dniami o Geysztorach, popełniłem błąd. Ojciec młodych Emila i Szczęsnej, właściciel majątku Šaltupie w Suwalszczyźnie pod Prenami, p. Stefan Geysztor, żonaty z Marynią Świdówną z Hranicz, nie jest synem znanego z r. 1863 patrioty i działacza niepodległościowego polskiego Jakuba Geysztora, jeno synem Emila, który był bratem Jakuba. Pan Stefan jest przeto Jakuba synowcem.

30 lipca, rok 1930, środa
Cały dzień dziś chodziła burza dokoła. Zaczęła się koło godz. dziesiątej rano i potem prawie bez przerwy gdzieś się po niebie przewalała, to oddalając się i gasnąc, to znów z czarnymi chmurami nadciągając i waląc piorunami. Kilka było piorunów bliskich. Wieczorem wypadł też grad, który w okolicach Pokrewnia-Ažubal był dość silny.
U mnie rozpoczęte zostały nareszcie żniwa: Piotr kosi żyto. Deszcz wszakże kilkakrotnie mu przerwał robotę.
Poza tym nic osobliwego. Lato tegoroczne jest szczególnie płodne na muchy.

31 lipca, rok 1930, czwartek
Pojechaliśmy rano z Jadzią na targ do Abel. Było parę drobnych sprawunków do załatwienia i rozrywka przejażdżki. Pojechaliśmy sami Huzarem w małej linijce jednokonnej, pożyczonej od Čepasów. Piotr kosi żyto, a to jest czynność, którą szanujący się rolnik uważa za najważniejszą, ponad którą nie ma nic zgoła wyższego na świecie. Kosząc żyto – czuje się kapłanem społecznym, czynność tę uważa za jakiś rodzaj obrzędu kultu. Gdy kosi żyto – czuje się wyższym od innych i z pogardą traktuje wszelkie inne zajęcie. Nie przerywałem więc Piotrowi tego nabożeństwa. Żyto – to chleb, a więc on, żniwiarz – to chlebodawca ludzki. Jest coś z głębokiej tradycji i z archaicznego kultu w żniwach w społeczeństwie rolniczym, które się w chłopach zamknęło.
Wycieczka do Abel udała nam się dobrze. Żadnego automobilu, autobusu ani motocykletki, która jest prawdziwym postrachem wsi ze względu na płoszenie koni – nie spotkaliśmy. Na obiad byliśmy z powrotem. Kupiliśmy ogórków, wiśni, słoniny, mięsa wieprzowego dla czeladzi.

1 sierpnia, rok 1930, piątek
Piotr skończył kosić moje żyto i zabrał się do koszenia jęczmienia, który już dojrzał. Dziś więc dożynki u mnie. Wyraziły się one w tym, że ja dostałem tradycyjny pas żyta od Piotra, a Jadzia – takiż wianek od dziewczyny, która pomagała Piotrowi, stawiając skoszone żyto. Dałem 10 litów Piotrowi i 5 – dziewczynie. To na rzecz tradycji.
Co dzień teraz deszcze i burze. Od kilku dni próbuję pracować na balkonie na górze przed obiadem. Miejsce – bardzo miłe, cień, much – nie ma, widoki – ładne. Ale co dzień deszcz mię stamtąd niebawem wygania i znów wracam do gabinetu. W ogóle zresztą czuję się na wakacjach znakomicie. Trochę bym tylko pogody lepszej pragnął.

2 sierpnia, rok 1930, sobota
Służąca Anielka Buckusówna, która służy u mnie już od lat dwóch przeszło, miała już odejść. Właściwie ja ją odprawić miałem. Jest uczciwa, gotuje bardzo dobrze, zręczna

jest i sprytna, ale kłóci się z Jadzią szalenie, odpowiada jej w Kownie ząb za ząb, leni się i przeto opuszcza w służbie, choruje na panienkę, w głowie ma tylko stroje i chłopców. Dziwnie są z naszych stron rakiskich ludzie ambitni, do pańskości skłonni, drażliwi na punkcie honoru – jak Polacy lub Hiszpanie. Anielka ma te same cechy i jest poza tym histeryczka. A że Jadzia też się zacina i zaciąwszy się – prześladuje upatrzoną ofiarę i dokucza, więc nieraz tygodniami całymi jedna drugą dręczy, w tedy mają się tak do siebie, jak dwie indyczki, które się dzióbią. Aż nagle, gdy już trzeba było się rozmówić z Anielką, rozrachować i wymówić jej służbę, gdy dziś odjeżdżała na parę tygodni do domu, Jadzia rozmówiła się i stanęło na tym, że Anielka pozostanie u nas na służbie. Zupełnie jak kiedyś Marynia z Anusią Dyrżisówną.
W tych dniach miałem gazety kowieńskie. Szukałem, czy nie znajdę w mich jakich wzmianek o kandydaturach rektorskich na uniwersytecie. Nie ma. Pewno nic się jeszcze i nie kombinuje. Zakipi chyba w ostatnich dniach, ale i to niepewne, bo może ktoś wysunie jakieś hasło zdawkowe i wszyscy biernie pójdą za nim. Nie będzie może ani rywalizacji, ani szukania kandydatów, ani porozumienia się z rządem, ani w ogóle żadnych kombinacji, a po prostu zastosowanie zwyczajne trybu dawnego.

3 sierpnia, rok 1930, niedziela
W starym domu – goście świąteczni. U Maryni Römerowej p. Alfred Charmański, dzierżawiący Antonosz, i z Kowaliszek Zitka i Litka Komorowskie, a u Elwiry – młodzież gaczańska, to znaczy: Zosia Wasilewska, Marysieńka Stawska i Lutuś, Antoś i Hala Rosenowie.

4 sierpnia, rok 1930, poniedziałek
Z mojej „czeladzi" Jadzia, Nasta i Piotr wyjechali dziś do Rakiszek i wyprowadzili na targ na sprzedaż krowę, zwaną „Ciotką", świeżo ocieloną, wraz z cielęciem. Jest to krowa, którą mam jeszcze od Maryni z pierwszego sześciolecia jej dzierżawy. Krowa duża i ładna, ale zła na mleko. Dopiero na wieczór wrócili z Rakiszek. Krowę z cielęciem sprzedali za 380 litów. Teraz trzeba będzie kupić nową na miejsce sprzedanej. Ponieważ teraz powiększam hodowlę świń, a powiększę może i krów, więc dobieram do pomocy gospodyni Naście dziewczynkę. Nająłem dziś 16-letnią Bronię Degutisówną z wioski Pokrewnie za 25 litów miesięcznie.
Wieczorem miałem przygodę. Po kolacji, już po ciemku, wyszedłem na drogę pokrewieńską i kawałek się przeszedłem. Wracając usłyszałem głuche pomruki gniewu buhaja. Jest to młody buhaj dwulatek, łobaty[29], ale złośliwy. Stał na łące dolnej koło owsa mojego i drogi, kopał ziemię i pomrukiwał wrogo. Był sam i szukał bydła. Konie moje, które się pasły w łańcuchach na łące, parskały i rzucały się ze strachu. Nie odważałem się iść drogą, a buhaj ryczał i mruczał coraz wścieklej, zapewne mię widząc w białej koszuli. Wybrałem miejsce obronne między dużymi kamieniami przy drodze i czekałem. Niespokojny, zacząłem wołać i Jadzię, która przez okno wyjrzała, prosiłem wypuścić Murzę. Buhaj ruszył do mnie, ja zaś manipulowałem, chowając się od niego za dużymi kamieniami. Postał chwilę, patrząc w kamienie, ale potem, nie dostrzegłszy mię, pomaszerował rycząc dalej. Przybiegł Murza, potem Kazimierz, Jadzia, Nasta. Buhaja już nie było, ale niebawem znów się z daleka zbliżać zaczął. My już byliśmy wrócili o domu i staliśmy na moim moście. Powędrował buhaj gdzieś na pola wioskowe Dyrżisa, a Murzę ledwieśmy odwołać zdołali.

5 sierpnia, rok 1930, wtorek

[29] Bezrogi (reg.).

W starym domu – wiecznie goście. Bawią tam od paru dni u Maryni Zitka i Litka Komorowskie, a oto dziś znów przyjeżdżali pp. Bichniewiczowie z Poniemuńka. Sami pp. Bichniewiczowie są gośćmi Maryni, zaś ich dzieci – gośćmi Elwiry Mieczkowskiej. Nie ma wciąż pogody. Powietrze – ciepłe, ale wciąż deszcze, wiatry gwałtowne, burze. Mało słońca.

6 sierpnia, rok 1930, środa
Dzień szesnastej rocznicy Legionów Polskich! Obchodzi się on w tym roku zjazdem tradycyjnym legionistów gdzieś w Radomiu pono. Ja myślą jeno mogę w uroczystości tej wziąć udział. Z radością bym i dumą stanął w tym dniu w szeregach moich dawnych towarzyszy broni ze świadomością, że i ja jestem jednym z tych, co w tym wielkim dziele wolności udział bezpośredni brali. Żaden wzgląd na Litwę nie hamuje mojej dumy z udziału w Legionach Polskich Wielkiej Wojny Światowej. Albowiem bez względu na to, co później w stosunkach litewsko-polskich zaszło – wielka sprawa niepodległości Polski w latach 1914-1918 była zarazem sprawą wolności wszystkich, co się w Rosji w pętach niewoli targali, a więc i wolności Litwy.
Wybrałem się dziś z Jadzią na wycieczkę – pieszo do Abel łąkami na pocztę po pieniądze z uniwersytetu, które powinny być wysłane na imię Jadzi. Droga łąkami jest teraz mokra, ale wycieczka taka – bardzo miła we dwoje. Pieniądze w Abelach już były. Wracaliśmy na Antonosz, gdzie za jeziorem w Kuprach miał nas spotkać Piotr w linijce parą koni. W Kuprach jednak Piotra nie zastaliśmy, więc udaliśmy się pieszo dalej na Pokrewnie i tu dopiero w połowie drogi nadjechał Piotr.

7 sierpnia, rok 1930, czwartek
Szalony wicher, jak huragan, dął przez całą noc i cały dzień dzisiejszy. Wicher to rozwidniał powietrze, tworząc luki w rozpędzonych chmurach, to znów tak je nagromadzał i skupiał, że się zlewały i tworzyły czarne, sine, białe masy potworne ruchome, z których jeżeli deszcz padać zaczął, to padał nie pospolity, jeno ulewny, jak oberwanie chmury, mgłą zaćmiewający najbliższy horyzont, falami widocznymi pędzący w powietrzu. Już to w tym roku co deszcz – to ulewa, a deszcze teraz ciągle. O ile czerwiec i pierwsza połowa lipca były suche i upalne, o tyle teraz jest mokro i kapryśnie w pogodzie. Zimno nie jest. Wszystko też przedwcześnie dojrzałe w polach, zdawałoby się – że jesień.
Jadzia dziś jeździła z Nastą i Piotrem do Abel na targ poszukać krowy do kupienia. Nie znalazła.

8 sierpnia, rok 1930, piątek
Oficynę moją, którą stawiam z kamienia, wykładając ścianę wewnętrzną cegłą, kryć zamierzam dachówką z cegły. Pokrycie zamierzam wykonać w roku przyszłym, w tym roku zaś tylko dokończyć budowę ścian. Dachówkę miałem zamiar kupić zimą w Kownie, bo o tym, by tu w tych stronach wyrabiano dachówkę z cegły, nie słyszałem. Dość się upowszechniła w ostatnich latach dachówka z cementu, którą, zdaje się, nawet w Rakiszkach wyrabiają, ale jest ona mniej praktyczna i mniej ładna od czerwonej dachówki ceglanej; pęka często, wskutek czego dach zacieka, utrzymuje wilgoć i jest cięższa. Ktoś mi jednak powiedział, że w cegielni pod Komajami dachówka z cegły jest czy ma być wyrabiana. Pojechałem więc dziś z Jadzią na miejsce dla poinformowania się. Udaliśmy się małą jednokonną linijką, pożyczoną od Čepasów, zaprzężoną w Dragona. Sądziłem, że do Komaj już prowadzi gościniec abelski, którego część pierwsza, przechodząca w granicach gminy abelskiej od Abel (od Zajezierza – od gościńca rakiskiego) do Apuszyni, jest już od lat kilku gościńcem, a dalej od Apuszyni

w kierunku Rogiel, w granicach gminy rakiskiej, też od roku czy dwóch lat zaczęto na gościniec przerabiać. Istotnie przez Staczeragi, Kurklecie i aż do Rogiel gościniec już gotowy, z wyjątkiem wielkiej góry staczeraskiej nad Birżupisem, która dotąd jest w stanie dawnym, jak ją za okupacji Niemcy uporządkowali. Mianowicie Niemcy całą drogę na stoku tej góry wyłożyli w poprzek bierwionami, które obecnie po kilkunastu leciech już częściowo wygniły i stanowią nową komplikację do przebycia tej przepaścistej i mokrej góry. Za Rogielami wszakże gościniec na Komaje zupełnie się urywa i droga staje się ohydna. Przy zjeździe z pól rogielskich w bór nad rzeką Audrą są w kamienistym gruncie takie wyrwy, poczynione przez ściekające wody deszczowe, że po prostu trudno przejechać, a dalej straszliwą jest grobla, usypywana z torfu, faszyny gałęziastej i kamieni przez dolinę rzeki Audry i most nad nią. Przez całe też Kosie gościńca nie ma. Dopiero za Kosiami znów się projekt gościńca odnajduje, ale tylko kawałkami jest wykonany, kawałkami zaś wcale nietknięty. Bardzośmy się więc strzęśli i strudzili, zanim dojechaliśmy do Komaj, skąd o 4 wiorsty przy gościńcu na Użpole stoi cegielnia „Paliepinė", przed wojną własność Raynolda Przeździeckiego, należąca do dworu Komaj, dziś własność byłego jej dzierżawcy, starego Moskala. Są tu wyrabiane dreny i cegły, a jak mię gospodarz zapewnił, będzie tu niebawem wyrabiana dachówka, która kosztować będzie po 30 centów sztuka, co na mój dach, licząc po 72 sztuki na 1 sążeń kwadratowy powierzchni, kosztować mię będzie od 400 do 450 litów. Jeszcze tylko formy żelaznej do wyrobu dachówki stary cegielnik nie posiada, ale już poczynił starania o jej zamówienie. Za miesiąc ma mi dać znać ostatecznie, czy robić będzie dachówkę i kiedy. Wracając wstąpiliśmy w Komajach na popas do jakiejś herbaciarni, gdzieśmy jedli jajecznicę, śledzie, chałę, pili herbatę z konfiturami z wiśni i piwo. Przed wieczorem byliśmy w domu. Pogoda dziś dotrzymała niezła. Deszczu nie spadło ani kropli, wiatr był dość silny.

9 sierpnia, rok 1930, sobota
Miałem list od kierownika kancelarii uniwersyteckiej Zygmunta Gurewicza, do którego się zwracałem o przysłanie mi tu pensji bieżącej i o niektóre informacje. Pisze mi, że jeszcze dotąd nikt z profesury, której cały zespół w myśl przepisów przechodnich nowego statutu przedstawiony został do zatwierdzenia, zatwierdzony przez Prezydenta nie został. Widocznie zostało to odroczone do osobistej decyzji Prezydenta Smetony, który bawi chwilowo na kuracji w Czechach i którego zastępuje premier Tubelis. Nie została też dotąd ogłoszona nowela, reformująca wynagrodzenie profesury w kierunku podwyższenia tegoż. W sprawie tej noweli zaszło niewesołe *qui pro quo*. Podwyższenie stopy wynagrodzenia było wciąż głoszone przez rząd jako jeden z elementów istotnych reformy uniwersyteckiej. Była to też przynęta, mająca osłodzić profesurze pigułkę reformy i niejeden z profesorów, licząc się z tym podwyższeniem, skłonny był niezbyt się wtrącać w ewentualne braki reformy. Nowela o podwyższeniu wynagrodzenia miała być ogłoszona jednocześnie z nowym statutem. Tymczasem w numerze „Vyriausybės Žinios", w którym ogłoszony został w początku czerwca statut, nowela ta się nie ukazała. Ze strony rządu na razie tłumaczono to tym, że ponieważ wypadło statut śpiesznie ogłaszać (śpieszność istotnie miała miejsce ze względu na to, że nazajutrz miały się odbyć wybory rektora w myśl starego statutu i chciano przeto fakt ten uprzedzić), więc „nie zdążono" noweli wydrukować jednocześnie, ale będzie ona w tygodniu następnym ogłoszona. Ale minął tydzień, upłynęły dwa, trzy tygodnie, miesiąc, obecnie już dwa – a noweli nie ma. Można by posądzić, że nowela potrzebna była tylko na ponętę, aby obiecanką stłumić krzyk przeciwko nowemu statutowi; skoro zaś już statut został ogłoszony i fakt się dokonał, to nowela... obiecanka – cacanka, a głupiemu radość. Bywaj, Fruziu! Wszakże w istocie, jak się zdaje, los tej noweli zawisł

nie od intencji rządu, jeno od pewnej okoliczności nieprzewidzianej. Mianowicie nowy statut, jak wiadomo, nie dotknął na razie konstrukcji Wydziału Katolicko-Teologicznego. Wskutek tego podwyższenie wynagrodzenia miało być zastosowane tylko do zrekonstruowanych wydziałów, podczas gdy profesura teologii do czasu jej rekonstrukcji miała być wynagradzaną podług norm dawnych. Na to wszakże teolodzy i w ogóle władze kościelne podniosły protest, twierdząc, że to jest obraza konkordatu, który zapewnia profesorom teologii tę samą sytuację prawną, co całej profesurze. Rząd nie chciałby ustąpić, ale się boi kleru. Sprawa więc utknęła i kto wie, jak z tym będzie. Już to z teologami i armią Rzymu rzecz niełatwa. Ale tymczasem możemy na tym ucierpieć my, bo teologia i rząd – to potęgi, my zaś – profesura zwyczajna – siły politycznej nie mamy. Gdzie dwóch silnych się kłóci – tam ucierpi najczęściej trzeci słaby i Bogu ducha winny.

10 sierpnia, rok 1930, niedziela
Dzień wczorajszy przyniósł pewną ulgę w gospodarstwie. Po paru dniach pogodnych z dużym wiatrem żyto o tyle przeschło, że można było zacząć je wozić. Moje całe żyto Piotr z Kazimierzem zwieźli od śniadania do podwieczorku. U Elwiry i Maryni także zwożono żyto. U Maryni nawet była wielka tłoka. Ma ona tzw. punkt mleczarniany, to znaczy centralę lokalną do centryfugowania mleka, do której co ranek – od godz. drugiej w nocy do dziesiątej przed południem – całe mnóstwo ludzi okolicznych zwozi i znosi swój udój całodzienny, zostawiając śmietankę i zabierając mleko; śmietanka odsyła się następnie do właściwej mleczarni, czyli centrali wyrobu masła, która jest w Łaszach. Dla ludności okolicznej ta sieć mleczarniana jest dobrodziejstwem, bo obok produkcji eksportowej świń i zwłaszcza kabanów na bekon – mleczarstwo jest dziś jedynym i znacznym źródłem zasilania gospodarstwa rolnego gotówką, gdy zboże żadnej wartości towarowej nie ma. Z mleczarni ludzie mają do 50 litów miesięcznie od krowy, nie licząc mleka zbieranego spod centryfugi, które im się zwraca. Marynia zaś ma poza tym pewien dochód z tytułu organizacji i administracji punktu. Zespół dostawców mleka do punktu z Marynią na czele tworzy skądinąd pewną kooperację elementarną – na przykład, we wspólnym zakupie na kredyt nawozów sztucznych. Przez mleczarnię też Marynia ogłosiła wczoraj do siebie tłokę na zwózkę żyta. Stawiło się wielu i żyto wieziono Maryni forsownie. Nie zwieziono wszystkiego, ale część znaczną w każdym razie. Na sam wieczór pogoda, która od rana była słoneczna, zaczęła się chwiać, potem zaciągnęły ciężkie chmury i wreszcie lunął ogromny tegoroczny deszcz, jak z wywróconego cebra. Ale było to już o samym wieczorze, kiedy wieziono już ostatnie wozy po ciemku. Deszcz ten zamienił się dziś na cały dzień w ciepłą burzliwą słotę z gwałtownymi deszczami. W nocy po tłoce balowano u Maryni, a u Elwiry też obchodzono tańcami i ucztą dożynki. Ze względu tylko na deszcz wypadło przenieść stoły, przygotowane na dworze, do kuchni, gdzie też jedzono i tańczono. Marynia ofiarowała na ucztę pół pieczonego barana, śledzie z kartoflami, dwa wiadra wina domowego, bułki.

11 sierpnia, rok 1930, poniedziałek
Znowu słota, deszcz jak strumienie z sikawki strażackiej. Ciepło, parno, atmosfera burzliwa. Jadzia wczoraj chorowała, miała pod wieczór gorączkę – przeszło 38 stopni, dziś więc przeleżała cały dzień w łóżku. Pracowałem w jej pokoju. Kazimierz Jankowski, Nasta i matka Jadzi jeździli do Rakiszek na targ kupić dla mnie krowę. Nie kupili jednak.

12 sierpnia, rok 1930, wtorek

Zaczyna się w Bohdaniszkach doroczna kampania pomidorowa. Marynia i Elwira posłały już wczoraj na rynek rakiski pierwsze partie pomidorów. U mnie dojrzałych jeszcze nie ma, ale obfitość plonu ogromna. Wszystkie okna zaczynają już świecić pomidorami, mającymi dojrzewać w cieple i na słońcu.

13 sierpnia, rok 1930, środa
Wybrałem się dziś z wizytą do p. Richtera w Komaryszkach i jednocześnie odwiedzić chciałem Falejewa w Antonoszu i Pawła Koziełłę w Użukrewniu. Wszakże z tej ostatniej wizyty musiałem zrezygnować, bo wypadłaby za duża odległość jazdy na jeden dzień. Zmęczyłyby się konie i nie zdążyłbym za dnia wszystkich objechać. Wyruszyłem o godz. 9 rano. Od Pokrewnia jechałem po raz pierwszy nowym gościńcem, idącym wprost na Aleksandrówkę przez Bojary, Miczuny, Kieleżery itd. Piękna to bardzo droga i piękna okolica, którą przecina. Od Miczun ku Aleksandrówce zwały gór i pagórków coraz wyższych, jak w znanym wierszu litewskim ks. biskupa Baranowskiego „Borek Oniksztyński" („Anykščių šilelis"). Między górami, wzgórzami i pagórkami, jak w powiecie jezioroskim, wielkie perspektywy dolin głębokich i wąwozów, jakieś cieśniny i przełęcze, na dnie dolin duże bagniska, gdzieniegdzie jeziorko. Widać, że kraj to szczytowy wysokich źródeł rozpoczynającego się stąd systemu wód rzecznych, kraj rezerwuarów wodnych prehistorycznych, jezior olbrzymich, które w epoce cofania się lodowców napełniły te doliny głębokie. Na jednym z grzbietów najwyższych tego krajobrazu rozsiadła się Aleksandrówka. Nie byłem w niej dotąd nigdy, tylko z widzenia z Bohdaniszek obserwować mogłem jej kościół biały na horyzoncie. Aleksandrówka („Aleksandravėlė") ładnie się przedstawia ze swymi rozległymi widokami, położona wysoko i czysto wśród ogrodów i drzew. Za Aleksandrówką jeszcze 6-10 kilometrów do Komaryszek Richtera. Komaryszki – piękny, dobrze utrzymany i zagospodarzony majątek na samej granicy łotewskiej, przecięty tą granicą. Spędziłem u p. Richtera trzy godziny, byłem na obiedzie. O trzeciej wyjechałem na Aleksandrówkę i stamtąd gościńcem na Dydeliszki – wprost do Antonosza. Eugeniusz Falejew ma się niby trochę lepiej, ale wygląda znowu jak żywy trup. Mało się może ruszać, zwłaszcza chodzić, leży po trzy razy na dzień, ale obrzękłość nóg bądź co bądź zwalcza skutecznie. Cieszy się, bo już został zatwierdzony do spadku po bracie i przeto uprawnił się na swych rodowych Purpiszkach, które będzie mógł wreszcie sprzedać.
Wróciłem do domu na zachód słońca.

14 sierpnia, rok 1930, czwartek
Słota nieznośna cały dzień. Dopiero na wieczór nieco się wypogodziło. Ale ani barometr, ani znaki w przyrodzie nie wróżą pogody. Nie wiadomo skąd się biorą takie masy nieprzebrane wody w tych deszczach. W polu niepodobna nic robić. Chwała Bogu, że żyto zwiozłem. Maryni żyto, którego jeszcze nieco pozostało, zaczyna porastać. Jęczmień mój, skoszony jednocześnie z żytem, stoi w polu. Owsa kosić nie można, choć już czas wielki. W domu pracować dobrze tylko przy biurku. W zakresie mojego kursu prawa konstytucyjnego pracuję obecnie nad doktryną Leona Duguita. W słotę przerywam pracę tylko dla takich zajęć: a. wycieczka do starego domu, b. nakarmienie świń jabłkami, c. zebranie pomidorów i rozkładanie ich po oknach, d. obiad, kolacja, kawa, e. pogawędki i kiejf z Jadźką.
Wieczorem cała ekspedycja, złożona z Maryni Römerowej, Jadzi, Kazimierza Jankowskiego i Pietruka Skrebysa, wyruszyła do Murmy w Montowszczyźnie (Amerykanin Murma, wzbogacony na nielegalnym pędzeniu wódki w „suchych" pod względem alkoholu Stanach Zjednoczonych, jest nabywcą połowy byłej schedy

dziedzicznej Henrysia Wołłowicza w lesie montowskim) dla obejrzenia krowy do kupienia dla mnie. Krowa została kupiona za 450 litów. Jest to duża, młoda ryża krowa, podobno dobra na mleko.

15 sierpnia, rok 1930, piątek
Dziś znowu to samo. Deszcz chluszcze falami. Jarzębiny są w tym roku osypane obficie owocem. Jest to znak nieomylny – jesień będzie mokra. Ale po co „będzie", kiedy już aż nadto mokra jest.

16 sierpnia, rok 1930, sobota
Pogoda taka sama. No, lipiec i sierpień drogo opłaciły prześliczną pogodę tegorocznego maja i czerwca. Jęczmień skoszony gnije, owies przejrzały czeka koszenia, len już do rwania gotowy, groch dochodzi, ugór już orać pora – a nic robić nie można. U Maryni pszenica i resztki niezwiezionego żyta porastają. Zresztą u sióstr punkt ciężkości teraz w jabłkach i pomidorach. Plon pomidorowy u nich już dojrzewa, a od poniedziałku już się po targach rozwozi i sprzedaje; tymczasem u mnie pierwszy transport na targ dojdzie za dni 10 i przeto oczywiście na cenie dużo stracę. Sadów owocowych siostry w dzierżawę nie oddały i same teraz je spieniężać muszą. Nie stracą na tym, ale kłopotu, pracy, ruchu z tym mnóstwo. Opadki wożą się na targi miejscowe, towar zaś z drzewa wiezie się na stację do Abel, gdzie Żydzi je wprost z wozów zawagonowują: letnie gatunki wyborowe – do Kłajpedy, zimowe – na eksport zagraniczny.

Michał Römer
Bohdaniszki
1930.VIII.16